

BESTSELLEROWA AUTORKA „NEW YORK TIMESA”

# NORA ROBERTS

KRONIKI TEJ JEDYNEJ



# POCZĄTEK

# NORA ROBERTS

KRONIKI TEJ JEDYNEJ

# POCZĄTEK

Przełożyła Magdalena Rabsztyń-Anioł



EDIPRESSE  
KRAKÓW

Bestsellerowa autorka „New York Timesa”

Nora Roberts

**POLECAMY**

Obsesja

Kłamca

Przed zmierzchem

Dla Logana, za poradę

W tekście korzystano z Pisma Świętego w przekładzie Piotra Zaremby,  
Ewangeliczny Instytut Biblijny, Poznań 2016.

## APOKALIPSA

Dusza słucha raczej spokojnego, cichego głosu  
niż straszliwych ryków potępienia<sup>[1]</sup>.

William Dean Howells

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Dumfries, Szkocja*

Kiedy Ross MacLeod pociągnął za spust i zestrzelił bażanta, nie mógł wiedzieć, że zabija także siebie. I miliardy innych osób.

W zimny, wilgotny dzień, ten ostatni dzień roku, który miał być dla niego rokiem ostatnim, wybrał się wraz z bratem i kuzynem na polowanie. Maszerowali rażno po oszronionym, chrzęszczącym pod stopami polu pod niebem barwy wyblakłego, zimowego błękitu. Ten wysportowany sześćdziesięcioczworoletk, który trzy razy w tygodniu chodził do siłowni i uwielbiał grać w golfa (miał handicap dziewięciu uderzeń), czuł się zdrow i pełen życia.

Z Robem, bratem bliźniakiem, stworzyli – i wciąż prowadzili – dobrze prosperującą firmę marketingową z siedzibami w Nowym Jorku i Londynie. Jego trzydziestodwuletnia żona z żonami Roba oraz Hugh, ich kuzyna, zostały w uroczym, starym wiejskim domu. W kamiennych kominkach buzował ogień, w czajniku wrzała woda, kobiety postanowiły więc gotować, piec i szykować potrawy na nadchodzące przyjęcie sylwestrowe. Mężczyźni zaś, włożywszy kalosze, udali się na przechadzkę po polach.

Farma MacLeodów, od przeszło dwustu lat przekazywana z ojca na syna, zajmowała ponad osiemdziesiąt hektarów. Hugh kochał ją niemal równie mocno, jak swoją żonę, dzieci i wnuki. Z pola, które przecinali, widać było ciągnące się na wschodzie odległe wzgórze. Nieopodal zaś, na zachodzie, falowało Morze Irlandzkie.

Mimo że bracia i ich rodziny często podróżowali razem, ten coroczny zjazd na farmie był dla wszystkich najważniejszym wydarzeniem roku. Jako chłopcy latem często spędzali miesiąc na farmie, biegając po polach z Hugh i jego bratem Duncanem – nieżyjącym już, wskutek żołnierskiego życia, jakie obrał. Ross i Rob, mieszcuchy, zawsze rzucali się na prace rolne wyznaczone im przez wuja Jamiego i ciotkę Bess. Nauczyli się łowić ryby, polować, karmić kurczaki i zbierać jajka. Z pasją przemierzali lasy i pola, pieszo i konno.

W bezksiężycowe noce nierzadko wymykali się z domu, żeby odwiedzić właśnie to pole, które teraz przemierzali. Wewnątrz małego kamiennego kręgu, który miejscowi zwali *sgiath de solas* – tarczą światła – odbywali tajne spotkania i wywoływali duchy.

Co do tych ostatnich, nigdy tak naprawdę nie udało im się ich przywołać, podobnie jak nie odnaleźli zjaw ani duszków, które – tego chłopcy byli pewni – przemierzały te lasy. Chociaż podczas pewnej wyprawy o północy, kiedy – jak się zdawało – nawet powietrze wstrzymało oddech, Ross mógłby przysiąc, że wyczuł mroczną obecność jakiejś istoty, usłyszał szelest jej skrzydeł, a nawet poczuł cuchnący oddech.

Zwłaszcza poczuł – czego niezmiennie się potem trzymał – ten smrodliwy oddech, który go nagle owionął. Ogarnęła go panika; pragnąc uciec z kręgu, potknął się i obtarł nasadę dłoni o jeden z leżących tam kamieni. Na ziemię kapnęła kropla jego krwi.

Jakże to było dawno temu... Nadal śmiali się z tamtej nocy i dokuczali sobie, pielęgnując wspomnienia.

Jako dorośli mężczyźni przywozili na farmę swoje żony, a potem i dzieci, urządzając w ten sposób coroczne zjazdy rodzinne, rozpoczynające się w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i trwające do drugiego stycznia.

Ich synowie z żonami dopiero co wyjechali do Londynu, gdzie mieli powitać Nowy Rok z przyjaciółmi i spędzić kilka dni w interesach. Tylko córka Rossa, Katie, która była w siódmym miesiącu ciąży i spodziewała się bliźniąt, została w Nowym Jorku.

Planowała przywitać rodziców kolacją, która miała nigdy się nie odbyć.

Jednak w ten rzeński ostatni dzień roku Ross MacLeod czuł się tak sprawny i szczęśliwy, jak chłopak, którym niegdyś był. Dlatego zdumiał go przebiegający po plecach dreszcz oraz kołujące nad kamiennym kręgiem kraczące wrony. Otrząsnął się z tego jednak w mig, kiedy samiec bażanta, barwna smuga na bladym niebie, poderwał się do lotu.

Ross przyłożył do oka śrutówkę, którą dostał od wuja na szesnaste urodziny, i powiódł lufą za lecącym ptakiem.

Możliwe, że obtarty przed pięćdziesięciu laty nadgarstek zakłuł go przez chwilę pulsującym bólem.

Jednak...

Pociągnął za spust.

Gdy rozległ się huk wystrzału, przestraszone wrony zakrakały, ale nie odleciały. Zamiast tego jedna z nich oderwała się od stada, jakby zamierzając pochwycić zabitego ptaka. Któryś z mężczyzn parsknął śmiechem, gdy lecąca niczym strzała wrona zderzyła się ze spadającym bażantem. Ten, martwy, uderzył w środek kamiennego kręgu. Jego krew rozbryzła po zmarzniętej ziemi.

Rob klepnął Rossa w ramię i trzej mężczyźni uśmiechnęli się, gdy jeden z labradorów Hugh popędził zaaportować ptaka.

– Widzieliście tę zwariowaną wronę? – zapytał Rob.

Ross pokręcił głową i znowu się zaśmiał.

– Nie zje bażanta na kolację.

– Ale my owszem – powiedział Hugh. – Każdy z nas upolował po trzy sztuki, czeka nas uczta.

Mężczyźni zebrali upolowane ptaki, a Rob wyciągnął z kieszeni kijek do robienia selfie.

– Zawsze przygotowany.

Ustawili się do zdjęcia – trzech mężczyzn z zaczerwienionymi od zimna policzkami i jarzącymi się błękitem MacLeodów oczami – po czym szczęśliwi i roześmiani wrócili do starego domu.

Tymczasem ptasia krew, zupełnie jakby gotowała się od niewidzialnego ognia, bąblując, przesiąkła przez zmarzniętą ziemię.

Zadowoleni z siebie myśliwi, minawszy stado owiec pasących się na wzgórzu, pomaszzerowali wzdłuż pól jęczmienia poruszanego lekkim wietrzykiem. Jedną z krów, którą Hugh tuczył na mięso, zaryczała leniwie.

Idąc, Ross pomyślał, że ma ogromne szczęście, mogąc skończyć jeden rok i zacząć kolejny tu, na farmie, w otoczeniu tych, których kocha.

Z kominów solidnego, kamiennego domu unosiły się dymy. Kiedy się do niego zbliżali, wyprzedziły ich psy, pędziły, żeby się siłować i bawić. Ich dzień pracy dobiegł końca. Mężczyźni musieli jeszcze zajrzeć do małej szopy.

Żona Hugh, Millie, zarazem córka farmera, stanowczo odmawiała oprawiania ptactwa. Musieli się tym zająć sami. Usadowili się przy długim stole, który Hugh zbudował specjalnie do tego celu.

Podczas pracy leniwie gawędzili o polowaniu i zbliżającym się posiłku. Ross wziął ostre nożyce, żeby odciąć skrzydła bażanta. Oporządził go tak, jak nauczył go tego wuj, tnąc blisko ciała. Niektóre części będą na zupeę; włożył je do grubej plastikowej torby, którą zamierzał zanieść do kuchni, pozostałe do torby na odpadki.

Rob podniósł odcięty łepok i zaczął wydawać z siebie skrzekliwe dźwięki. Zerknawszy na brata, Ross zaśmiał się wbrew sobie. Nieoczekiwanie zadrasnął kciuk o odciętą kość.

– Cholera – wymamrotał i zatamował krew palcem wskazującym.

– Trzeba na to uważać – zacmokał Hugh.

– Tak, tak. To wina tego przygłupa tutaj.

Krew ptaka zmieszała się z jego krwią.

Skończywszy, umyli wypatroszone ptaki w lodowatej wodzie ze studni, po czym zanieśli je do domu, wchodząc kuchennym wejściem.

Kobiety zebrały się w dużej wiejskiej kuchni. Powietrze przesyciły zapachy wypieków i palących się drewna z paleniska.

Ross na widok tej idealnej sceny domowej poczuł drżenie w sercu. Położył ptaki na szerokim kuchennym blacie, pochwycił żonę w płucho i okręcił ją tak, że się roześmiała.

– Powrót myśliwych – oświadczyła Angie i ucałowała go mocno w usta.

Rudowłosa Millie, z upiętą na czubku głowy burzą loków, popatrzyła z aprobatą na stos ptaków.

– Wystarczy ich do upieczenia na naszą ucztę – oznajmiła – i jeszcze zostanie na przyjęcie. Może zrobimy trochę pasztecików z bażanciną i orzechami? O ile pamiętam, bardzo je lubisz, czyż nie, Robbie?

Ten wyszczerzył zęby w uśmiechu, klepiąc się po wystającym znad paska brzuchu.

– Może powinienem wyjść i ustrzelić jeszcze kilka, żeby starczyło dla wszystkich.

Żona Roba, Jayne, uśmiechnęła się, że wkręca palec w brzuch męża:

– Skoro zamierzasz zamienić się w prosię, to może nam trochę pomożesz.

– No właśnie – odezwała się Millie. – Hugh, wyciągnij proszę z chłopakami ten długi stół do salonu na przyjęcie i nakryj go długim, koronkowym obrusem mojej mamy. I ustaw porządne świeczniki. Przynies też dodatkowe krzesła z gabinetu i je rozstaw.

– Gdziekolwiek je postawimy, i tak będziecie je przesuwali.

– No to bierzcie się już do roboty. – Millie zmierzyła wzrokiem ptaki i zatarła dłonie. – Dobrze, moje panie, dotrzynamy panom kroku i też weźmy się do pracy.

Niedługo potem, zasiadłszy do uczt, szczęśliwa rodzina zjadła ze smakiem dzikiego bażanta doprawionego estragonem, nadziewanego pomarańczami, jabłkami, szalotkami i szalwią, upieczonego z marchewkami i ziemniakami. Oprócz pieczeni był groszek, pełnoziarnisty chleb z piekarnika i domowe masło.

Dobrzy przyjaciele z lat dziecińczych i rodzina cieszyli się ostatnim w starym roku posiłkiem. Na stole stały dwie butelki szampana Cristal, które Ross i Angie specjalnie na tę okazję przywieźli z Nowego Jorku.

Kiedy sprząтали i zmywali, nadal rozkoszując się dniem i ciesząc na myśl o nadchodzącym przyjęciu noworocznym, za oknami wiatr zawiewał drobny, rzadki śnieg.

A wieczorem świętowali Hogmanay – były zapalone świece i trzaskający w kominkach ogień. Na stół wjechało mnóstwo jedzenia – przygotowanie go zajęło dwa dni – wino, whisky i szampan, a także tradycyjne kordiały, bakalie w cieście, haggis i sery.

Niektórzy sąsiedzi i przyjaciele pojawili się wcześniej, zanim wybiła północ. Przyszli jeść, pić i plotkować oraz wybijać stopą rytm do grających dud i skrzypek. Gdy stary zegar na ścianie obwieścił północ, dom pełen był muzyki i wesela.

Odszedł stary rok, nowy zaś powitano wiwatami, pocałunkami i chóralnym odśpiewaniem *Auld Lang Syne*. Wszystko to niezmiernie radowało serce Rossa, który stał z wtuloną w niego Angie z jednej strony i z bratem z drugiej.

Gdy skończyli śpiewać, wzniesli toast. Wtem otworzyły się szeroko drzwi.

– Pierwszy, który przekroczy próg! – wykrzyknął ktoś.

Ross przeniósł wzrok na drzwi, spodziewając się w nich ujrzeć jednego z chłopaków Frazierów albo może Delroya MacGrudera, ciemnowłosego młodzieńca o łagodnym usposobieniu. Zgodnie z tradycją wierzył, że gdy taka osoba pierwsza przekroczy próg w Nowy Rok, przyniesie domowi szczęście.

Do środka wpadły jednak tylko wiatr, rzadki śnieg i głęboka ciemność.

Stojący najbliżej wejścia Ross wyszedł na zewnątrz i się rozejrzał. Poczł dreszcz, który przypisał szalejącemu wiatrowi. Mimo jego pojękiwań panowała dziwna cisza.

Powietrze wstrzymywało oddech.

Czy był to szelest skrzydeł, długi, niewyraźny cień – mrok w mroku?

Ross MacLeod – człowiek, który miał już nigdy nie cieszyć się wspólną biesiadą ani nie witać następnego Nowego Roku – zadrżał gwałtownie i wszedł do środka, stając się jednocześnie tym, który pierwszy przekroczył próg.



– Musiałem nie zamknąć ich na zasuwkę – mruknął, zamykając drzwi.

Nadal czując dreszcze, Ross podszedł do ognia i wyciągnął dłonie ku płomieniom. Przy kominku siedziała stara kobieta opatulona szalem. Jej laska opierała się o fotel. Ross wiedział, że to prababcia młodych Frazierów.

– Może przyniosę pani whisky? – zagadnął.

Wyciągnęła do niego chudą, pokrytą plamami starczymi dłoń i kiedy podał jej rękę, ścisnęła ją z zadziwiającą siłą. Utkwiła w nim spojrzenie ciemnych oczu.

– Zapisano to tak dawno temu, że większość zapomniała.

– Co takiego?

– Że tarcza pęknie, a materia świata zostanie rozdarta przez krew Tuatha de Dananna. Więc teraz koniec i ból, niesnaski i strach – początek i światło. Nigdy nie sądziłam, że tego dożyję.

Położył łagodnie rękę na jej dłoni. Wiedział, że niektórzy nazywali ją jasnowidzką. Inni powiadali, że zdziecinniała ze starości.

Czuł się wciąż źle, ustawicznie wstrząsały nim dreszcze, tak jakby ktoś wbił mu w kręgosłup szpikulec do lodu.

– Zacznie się od was, potomkowie starożytnych.

Jej oczy pociemniały, głos się obniżył. Zebranych w sali ogarnęło uczucie grozy.

– A więc teraz pomiędzy czasem narodziny śmierci budzi się ze snu potęga – i ciemności, i światła. Zaczyna się przesiąknięta krwią bitwa między nimi. A z błyskawicami i bólami porodowymi matki nadchodzi Jedyna, która dzierży miecz. Grobów jest wiele, a twój pierwszy. Wojna będzie długa, jej koniec nie został zapisany. – Na twarzy starej kobiety odmalowało się współczucie, gdy głos znowu przybrał wyższe tony, a oczy rozbłysły światłem. – Ale nie ma w tym niczyjej winy, a błogosławieństwa nadejdą, gdy długo skrywana magia znowu odetchnie. Po łzach może nadejść radość. – Westchnęła i lekko ścisnęła jego dłoń. – Poproszę whisky.

– Już przynoszę.

Ross skarcił się w duchu, że to niemądre, by przejmował się jej nonsensownymi słowami i świdrującymi oczami. Ale musiał się uspokoić, zanim nalał jej whisky – i drugą dla siebie.

Gdy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, zapanowała pełna oczekiwania cisza. Hugh otworzył je przed jednym z chłopaków Frazierów; Ross ich nie rozpoznawał. Gość przestąpił przez próg z szerokim uśmiechem na twarzy i bochenkiem chleba w dłoni. Powitano go gromkimi brawami i okrzykami zadowolenia.

Jednak czas, w którym mógł zwiastować szczęście, minął.

Mimo to kiedy prawie o czwartej nad ranem dom opuścili ostatni goście, Ross zapomniał o niepokoju. „Może wypił nieco za dużo”, pomyślał. Co tam, ta noc służyła przecież biesiadowaniu. Musiał już tylko dotrzeć chwiejnym krokiem do łóżka.

Po zmyciu makijażu i nałożeniu kremu na noc Angie wsunęła się pod kołdrę koło męża i westchnęła.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie – wymamrotała.

W ciemności objął ją ramieniem.

– Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie.

I Ross zapadł w sen, w którym krwawiący bażant spadał z nieba do małego kamiennego kręgu, a czarnookie wrony krążyły w takiej masie, że zasłaniały słońce. We śnie dręczyły go wilcze wycie wiatru, przenikliwe zimno i straszliwy upał. Słysząc było czyjś płacz i zawodzenie, kuranty wyznaczające pędzący czas.

Zapanowała nagle, przerażająca cisza.

Obudził się dobrze po południu, z pękającą głową i mdłościami. Ponieważ zapracował na kaca, zmusił się, żeby wstać, dotrzeć do łazienki i znaleźć aspirynę w apteczce żony.

Połknął cztery tabletki i chcąc ukoić podrażnione gardło, popił je dwiema szklankami wody. Po krótkim wahaniu zdecydował się na wzięcie gorącego prysznica, po którym poczuł się nieco lepiej, ubrał się i zszedł na dół.

Skierował kroki do kuchni, gdzie pozostali zebrali się już wokół stołu, jedząc późne śniadanie złożone z jajek, ciepłych bułeczek, bekonu i sera. Zapach, zwłaszcza zaś widok jedzenia

sprawił, że żołądek podszedł mu do gardła.

– Och, zobaczcie, żyje – powitała go z uśmiechem Angie, po czym przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie, odgarniając za ucho sięgające brody jasne kosmyki. – Nie wyglądasz najlepiej, kochanie.

– Rzeczywiście, jesteś jakiś nieswój – zgodziła się Millie i wstała od stołu. – Usiądź, naleję ci kawy.

– Daj mu napój imbirowy – zaordynował Hugh. – Nic tak dobrze nie robi na kaca.

– Wszyscy wypiliśmy sporo. – Rob podniósł do ust kubek z herbatą. – Też nie jestem w najlepszej formie. Ale jedzenie postawiło mnie na nogi.

– Na razie może nie. – Wziął napój imbirowy od Millie, podziękował i upił łyżeczek. – Chyba pójde się przewietrzyć. I przypomnieć sobie, że jestem za stary, by pić do świtu.

– Mów za siebie. – I choć Rob sam nieco pobladł, to nie stracił apetytu i wbił zęby w bułkę.

– Zawsze będę od ciebie starszy o cztery minuty.

– Trzy minuty i czterdzieści trzy sekundy.

Ross wciągnął kalosze i narzucił na siebie grubą kurtkę. Z myślą o obolałym gardle owinął szyję szalikiem i wcisnął na głowę czapkę. Wziął przygotowaną przez Millie herbatę w grubym kubku i wyszedł na zimne, rześkie powietrze.

Kiedy podbiegł do niego Bilbo, czarny labrador, ruszył na przechadzkę, popijając łyżkami mocną, gorącą herbatę. Przeszedłszy spory kawał drogi, uznał, że czuje się już lepiej. Pomyślał, że kac to okropne cholerstwo, ale przecież nie trwa wiecznie. I na pewno nie spędzi ostatnich godzin w Szkocji na żałowaniu, że przesadził z whisky i winem.

Kac nie zepsuje spaceru z psem.

Nie wiadomo kiedy znalazł się na tym samym polu, na którym zastrzelił ostatniego bażanta podczas polowania. Podszedł do małego kamiennego kręgu, do którego spadł ptak.

Czy to jego krew czerniała na pozbawionej koloru trawie, pokrytej warstewką śniegu? Taka smoliście czarna?

Nie chciał się do tego zbliżać ani tego oglądać. Gdy już miał odchodzić, usłyszał szelest.

Pies warknął cicho, kiedy Ross odwrócił się, by spojrzeć na zagajnik starych, sękatych drzew na skraju pola. Tam coś jest, pomyślał i znowu zadrżał. Coś się poruszało, coś tam szeleściło.

Uznał, że to pewnie jelen. Jeleń albo lis. Może turysta.

Jednak pies odsłonił zęby i zjeżył sierść na karku.

– Halo?! – zawołał Ross, ale usłyszał tylko zagadkowy szmer. – To wiatr – oznajmił stanowczo. – To tylko wiatr.

Wiedział jednak, tak samo jak wiedział ongiś, jako młody chłopak, że to nie wiatr.

Przeszedł kilka kroków, przeczesując wzrokiem drzewa.

– Chodź, Bilbo. Chodź, piesku, wracajmy do domu.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, czując ucisk w piersi. Zerknął za siebie i zauważył, że pies nadal stoi na sztywnych łapach ze zjeżoną sierścią.

– Bilbo! Do nogi! – Ross klasnął w dłonie. – Już!

Pies odwrócił łeb i przez moment spoglądał na niego wściekłymi, oszalałymi ślepiami. Po czym ruszył pędem do swego pana z wywieszonym językiem.

Ross nie zwalniał kroku, póki nie dotarł na skraj pola, po czym położył drżącą dłoń na psim łbie.

– Dobra, stary, obaj jesteśmy idiotami. Nigdy do tego nie wracajmy.

W domu ból głowy nieco zelżał, a żołądek uspokoił się na tyle, że do kolejnego kubka herbaty mógł już zjeść grzanekę.

Przekonany, że najgorsze minęło, zasiadł z innymi mężczyznami przed telewizorem, by obejrzeć mecz. Momentami zapadał w drzemkę wypełnioną dziwacznymi snami.

Ocknął się wzmocniony. Miska prostej zupy, którą zjadł na obiad, smakowała jak najwykwintniejsze danie. Po posiłku poszli z Angie się pakować.

– Położę się dziś wcześniej – oznajmił żonie. – Jestem zmordowany.

– Wyglądasz... rzeczywiście nieswojo. – Angie położyła mu dłoń na policzku. – Wydaje mi

się, że masz podwyższoną temperaturę.

– Chyba łapie mnie przeziębienie.

Kiwnęła energicznie głową i poszła do łazienki poszukać czegoś w kosmetyczce. Wróciła z dwiema jaskrawozielonymi tabletkami i szklanką wody.

– Weź to i połóż się spać. To lek na przeziębienie na noc, pomoże ci się też wyspać.

– Myślisz o wszystkim. – Połknął lek. – Powiedz wszystkim dobranoc, zobaczę się z nimi rano.

– Wypocznij.

Otuliła go kołdrą i pocałowała w czoło. Uśmiechnął się.

– Oj tak, masz ciepłe czoło.

– Prześpię się i będzie dobrze.

– Koniecznie.

\* \* \*

Rano wydawało się, że jest już lepiej. Nie miał stuprocentowej pewności – wrócił tępy, dokuczliwy ból głowy i męczyło go rozwolnienie – ale zjadł porządne śniadanie w postaci owsianki i wypił kubek mocnej czarnej kawy.

Ostatni spacer i wstawienie bagaży do samochodu sprawiły, że krew zaczęła w nim szybciej krążyć. Przytulił Millie, uściskał Hugh.

– Przyjedźcie na wiosnę do Nowego Jorku.

– Możliwe, że wpadniemy. Jamie mógłby przez kilka dni popilnować farmy.

– Pożegnaj go od nas.

– Dobrze. Pewnie niedługo wróci, ale...

– Samolot nie będzie czekać. – Rob uściskał gospodarzy.

– Och, będę za wami tęskniła – powiedziała Millie, przytulając do siebie obie kobiety. – Szczęśliwej podróży!

– Przyjedź do nas! – zawołała Angie, wsiadając do samochodu. – Koniecznie! – Posłała im całusa.

\* \* \*

Oddali samochód do wypożyczalni, zarażając pracownika firmy i biznesmena, który wziął po nich auto. Zarazili też bagażowego, który dźwignął ich torby; wirus przeskoczył w momencie podawania napiwku z ręki do ręki. Nim przeszli przez punkty kontrolne na lotnisku, infekcja przeszła na co najmniej dwadzieścia osób.

A także na kolejne dwadzieścia w poczekalni dla pasażerów pierwszej klasy, gdzie popijali krwawą mary i wracali myślami do świątecznych chwil.

– Już czas, Jayne. – Rob podniósł się, cmoknął Angie w policzek i poklepał brata po plecach. – Do zobaczenia za tydzień.

– Daj mi znać, co z tym kontem Colridge'a.

– Jasne. Niedługo będę w Londynie. Jeżeli jest coś, o czym powinieneś wiedzieć, to otrzymasz informację najpóźniej, gdy wylądujesz w Nowym Jorku. Odpocznij teraz. Nadal jesteś błady.

– Też nie wyglądasz za dobrze.

– Zaraz się ożywię – powiedział Rob, jedną ręką chwytając za teczkę, a drugą pozdrawiając bliźniaka. – Do zobaczenia wkrótce, braciszku.

Rob i Jayne MacLeodowie zawlekli wirusa do Londynu. Po drodze zarazili nim pasażerów udających się do Paryża, Rzymu, Frankfurtu, Dublinu i dalej. Na Heathrow to, co miało otrzymać nazwę apokalipsa, dotknęło pasażerów czekających na loty do Tokio i Hongkongu, Los Angeles, Waszyngtonu i Moskwy.

Kierowca, który zawiózł ich do hotelu, ojciec czwórki dzieci, zabrał go do domu i podczas kolacji skazał na śmierć całą rodzinę.

Recepcjonistka w hotelu Dorchester zameldowała ich z uśmiechem. Naprawdę była wesoła.

W końcu rano wyjeżdżała na tygodniowe wakacje na Bahamy.

Zabrała apokalipsę ze sobą.

Tego wieczoru przy drinkach i kolacji z synem, synową, bratankiem i jego żoną przekazali śmierć kolejnym członkom rodziny i dorzucili ją do hojnego napiwku dla kelnera.

Tej nocy, przypisując ból gardła, zmęczenie i rozstrój żołądka czemuś, co złapał od brata – i nie mylił się – Rob łyknął paracetamol, żeby odzyskać siły.

\* \* \*

Podczas lotu nad Atlantykiem Ross usiłował skupić się na książce, ale nie był w stanie się skoncentrować. Włączył więc muzykę, mając nadzieję, że ukołysze go do snu. Obok niego Angie oglądała film – komedię romantyczną, lekką i beztroską jak szampan w jej kieliszku.

W połowie drogi obudził go gwałtowny atak kaszlu. Angie z troską zaczęła klepać go plecach.

– Przyniosę ci wody – zaoferowała się, ale Ross pokręciwszy głową, podniósł rękę na znak, że dziękuje.

Odpiął pasy, wstał i pośpiesznie udał się do łazienki. Objął dłońmi umywalkę, wykaszliwując gęstą, żółtą flegmę, która wydawała się płynąć wprost z bolących, płonących płuc. Usiłował złapać oddech, kiedy zaczął się kolejny atak kaszlu.

Odkrztusiwszy jeszcze więcej flegmy, zwymiotował i w absurdalnym przebłysku świadomości przypomniał sobie film, w którym tytułowy Ferris Bueller zastanawia się, czy można wykaszleć płuco.

A potem poczuł w brzuchu ostry, przeszywający skurcz, tak że ledwie zdążył ściągnąć spodnie. Gdy na jego rozgrzanej twarzy wystąpił kroplami pot, przeszło mu przez myśl, że zaraz wypadną mu jelita. Poczul, że dopadły go potworne zawroty głowy, więc przycisnął jedną dłoń do ściany, i gdy jego ciało brutalnie się wypróżniało, zamknął oczy.

Kiedy skurcze i zawroty głowy minęły, omal nie popłakał się z ulgi. Wyczerpany doprowadził się do porządku, wypłukał usta miętowym płynem i ochlapał twarz zimną wodą. Poczul się lepiej.

Przyjrząwszy się swojej twarzy w lustrze, uznał, że nadal ma nieco podkrążone oczy, ale wygląda lepiej. Doszedł do wniosku, że jakikolwiek wirus wywołał ten stan, trafił do kanalizacji.

Gdy wyszedł, stewardesa obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem.

– Wszystko w porządku, panie MacLeod?

– Chyba tak. – Przykrył zakłopotanie mrugnięciem i żartem. – Zjadłem za dużo haggisu.

Zaśmiała się grzecznie, nieświadoma, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny sama będzie chorować równie gwałtownie.

Wrócił do Angie i usadowił się w fotelu przy oknie.

– W porządku, kochanie?

– Tak, tak. Chyba tak.

Przyjrzała mu się krytycznym okiem i potarła jego dłoń.

– Wróciły ci kolory. Co powiesz na herbatę?

– Owszem, chętnie.

Wypił małymi łykami herbatę i nabrał apetytu na kurczaka z ryżem. Godzinę przed lądowaniem dostał kolejnego ataku kaszlu, wymiotów i biegunki, ale uznał, że jest łagodniejszy niż poprzedni.

Zdał się na Angie, kiedy przechodzili przez odprawę celną i paszportową, pchając wózek z bagażami na zewnątrz, gdzie czekał umówiony kierowca z firmy.

– Miło państwa widzieć! Ja to wezmę, panie Mac.

– Dziękuję, Amidzie.

– Jak się państwu udał wyjazd?

– Cudownie – odparła Angie, manewrując między tłumami na lotnisku Kennedy'ego. – Ale Ross nie czuje się najlepiej. Złapał jakiegoś wirusa.

– Przykro mi to słyszeć. Zabierzemy pana jak najszybciej do domu.

Ross przebył drogę do domu kompletnie zamroczony. Przeszli drogę od lotniska do samochodu, załadowali bagaże, minęli korek wokół lotniska i wreszcie dojechali na Brooklyn do pięknego domu, w którym wychowali dwójkę dzieci.

Zdał się znów na Angie, pozwalając, by zajęła się szczegółami. Czuł wdzięczność, gdy objęła go w pasie i prowadząc na górę, poprosiła, by się na niej wsparł.

– Idziesz prosto do łóżka – zarządziła.

– Nie będę się z tobą sprzeczał, ale najpierw muszę wziąć prysznic. Czuję się... muszę się umyć.

Pomogła mu się rozebrać, co wzbudziło w nim kolejną falę czułości. Oparł głowę na jej piersi.

– Co ja bym bez ciebie zrobił?

– Nawet nie próbuj tego sprawdzać.

Pod prysznicem, pewien, że najgorsze za nim, poczuł się znów lepiej. Gdy wyszedł z łazienki i zobaczył, że odsunęła kołdrę, a na stoliku nocnym postawiła butelkę wody, napój imbirowy i jego telefon, do oczu napłynęły mu łzy wdzięczności.

Pilotem zasunęła żaluzje w oknach.

– Wypij trochę wody albo lemoniady, żebyś się nie odwodnił. A jeżeli rano nie poczujesz się lepiej, to nie ma zmiłuj, jedziemy do lekarza.

– Już mi lepiej – stwierdził, ale posłusznie wypił napój i z uczuciem błogości wsunął się do łóżka.

Otuliła go i z niepokojem położyła mu rękę na czole.

– Zdecydowanie masz gorączkę. Pójdę po termometr.

– Później – powiedział. – Daj mi wpierw kilka godzin.

– Będę na dole.

Zamknął oczy i westchnął.

– Potrzebuję tylko wyspać się we własnym łóżku.

Zeszła na dół, wyjęła z zamrażarki mięso kurczaka i porcję rosółową, po czym wstawiła je pod zimną wodę, żeby przyspieszyć rozmrażanie. Zrobi duży garnek rosółu – lek na całe zło. Jej też się przyda, czuła się wykończona, za plecami Rossa wzięła kilka tabletek na ból gardła.

Nie ma powodu go martwić, kiedy tak źle się czuje. Poza tym zawsze miała silniejszy organizm niż Ross i pewnie zwalczy to coś, nim się rozwinie.

Krzątając się po kuchni, włączyła tryb głośnomówiący w telefonie i zadzwoniła do córki. Gawędziły wesoło, gdy Angie nalewała wody do czajnika i robiła herbatę.

– Masz pod ręką tatę? Chciałam się przywitać – spytała Katie.

– Śpi. Rozchorował się w Nowy Rok.

– Ojej!

– Nie martw się. Właśnie gotuję rosół. Do niedzielnego obiadu wyzdrowieje. Nie mogę się doczekać spotkania z tobą i Tonym. Och, Katie, znalazłam precudowne ubranka dla dzieci! No dobra, kilka ubranek. Zobaczysz. Muszę kończyć. – Mówienie męczyło jej obolałe gardło. – Zobaczmy się za kilka dni. Na razie tu nie przychodź, Katie, mówię serio. Tata prawdopodobnie zaraża.

– Powiedz mu, że mam nadzieję, że szybko wróci do zdrowia i żeby zadzwonił, gdy już poczuje się lepiej.

– Dobrze. Kocham cię, słonko.

– Ja ciebie też.

Angie włączyła kuchenny telewizor i uznała, że kieliszek wina zrobi jej lepiej niż herbata. Wrzuciła do garnka mięso i korpus, po czym pobiegła na górę, żeby sprawdzić, co u męża. Cicho pochrapywał, uspokojona wróciła więc obrać ziemniaki i marchewki oraz pokroić seler.

Skoncentrowana na zadaniu, jednym uchem słuchała bezmyślnej telewizyjnej paplaniny. Uparcie ignorowała ból głowy, który ćmił za oczami.

Pomyślała, że gdy Ross poczuje się lepiej – i spadnie mu gorączka – będzie mógł przenieść się z sypialni do pokoju dziennego. I na Boga, sama też przebierze się w piżamę, bo zaczyna się

parszywie czuć, a potem będą się przytulać, jeść rosół i oglądać telewizję.

Robiła zupę jak automat – wyjęła korpus i wrzuciła go do śmieci, po czym pokroiła mięso na duże kawałki, dodała warzywa, zioła, przyprawy i domowej roboty bulion drobiowy.

Przykręciła gaz, wróciła na górę i ponownie zajrzała do Rossa. Nie chciała mu przeszkadzać, ale aby być jednak w pobliżu, poszła do dawnego pokoju córki, który służył teraz za miejsce zabaw dla wnuków. Gdy poczuła nagłe mdłości, rzuciła się do gościnnej łazienki i z wymiotowała makaron zjedzony w samolocie.

– Cholera, Ross, coś ty złapał... – stęknęła.

Wyjęła termometr, włączyła go i włożyła końcówkę do ucha. Kiedy piknął, spojrzała na wyświetlacz z przerażeniem: 38,5.

– W takim razie oboje zjemy w łóżku na tacy.

Połknęła jeszcze kilka tabletek advilu i zeszła po napój imbirowy z lodem. Wśliznąwszy się do sypialni, wyciągnęła bluzę i flanelowe spodnie oraz grube skarpetki, bo już wstrząsały nią dreszcze. Wróciła do drugiej sypialni, przebrała się, położyła na łóżku, owinęła piękną kapą i niemal natychmiast zasnęła.

Śniła o czarnych błyskawicach i czarnych ptakach, o rzece, którą płynęła spieniona, czerwona woda.

Obudziła się gwałtownie. Paliło ją gardło, a w głowie huczało. Czyżby słyszała krzyk, wołanie? Usiłując się wyplątać z kapy, usłyszała jakiś łoskot.

– Ross! – Pokój zawirował, gdy wyskoczyła z łóżka. Zakłęła pod nosem, pędząc do sypialni i krzycząc.

Leżał na podłodze przy łóżku w konwulsjach. Obok niego znajdowała się kałuża wymiocin i kolejna wodnistych odchodów. W obu widziała krew.

– O mój Boże! – zawołała. Uklękła i spróbowała przewrócić go na bok. Cholera, tak chyba należało zrobić. Nie miała pewności. Chwyliła jego telefon ze stolika nocnego i wystukała numer pogotowia.

– Potrzebuję karetki. Natychmiast. Potrzebuję pomocy. Boże. – Wyrecytowała szybko adres. – Mój mąż, mój mąż... Tak, ma atak... Jest rozpalony, cały rozpalony... Wymiotował... Z krwią.

– Karetka już do pani jedzie.

– Szybko, proszę, pośpieszcie się!

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jonah Vorhies, trzydziestodwuletni ratownik medyczny, poczuł zapach gotującej się zupy i wyłączył gaz pod garnkiem, nim on i jego partnerka, Patti Ann, zabrali MacLeoda z domu i wnieśli nosze do ambulansu.

Kobieta wskoczyła do szoferki i włączyła sygnał alarmu, on zaś został z tyłu, starając się ustabilizować stan pacjenta, czemu przyglądała się jego żona.

Jonah pomyślał, że dobrze się trzyma. Nie histeryzuje. Niemal słyszał, jak w myślach błaga męża, żeby się obudził.

Jonah potrafił rozpoznać śmierć, gdy ją widział. Czasami ją wyczuwał. Starał się tego nie robić, bo się bał, że zaszkodzi mu to w pracy – usilnie blokował tę wiedzę. Czasami jednak wiedział, że facet, który na niego wpadł na ulicy, ma nowotwór. Albo że jakiś przebiegający dzieciak jeszcze tego samego popołudnia spadnie z roweru i złamie prawy nadgarstek.

Niekiedy nawet znał imię tego dzieciaka, wiedział, ile ma lat i gdzie mieszka.

Ta wiedza bywała tak konkretna, że przez jakiś czas traktował ją jak formę zabawy. Szybko jednak przestał, bo go wystraszyła.

W przypadku MacLeoda ogarnęło go tak silne przeczucie, że nie pozwalało się zablokować. Co gorsza, towarzyszyło mu coś nowego: jasnowidzenie. Atak minął, nim on i Patti Ann dojechali na miejsce, ale kiedy zajmował się MacLeodem i podawał Patti Ann szczegóły, żeby przekazała je dyspozytorom, Jonah widział pacjenta w łóżku: jak się obraca, jak wymiotuje na podłogę. Jak przed upadkiem z łóżka i atakiem konwulsji wzywa pomocy.

Widział też wbiegającą żonę, słyszał jej głos, gdy krzyknęła. Słyszał i widział wszystko, jakby oglądał to na wielkim ekranie.

I cholernie tego nie lubił.

Kiedy wjechali na podjazd dla karettek, starał się wyłączyć ten obraz, robić co w jego mocy, by ratować życie, o którym wiedział, że dobiega końca.

Jednym tchem wyrecytował parametry życiowe, podał szczegóły objawów i zastosowane działania ratunkowe, podczas gdy doktor Rachel Hopman (w której poważnie się durzył) oraz jej ekipa pędem wieźli pacjenta do sali zabiegowej.

Gdy dotarli na miejsce, nim żona pacjenta pchnęła dwuskrzydłowe drzwi, ujął ją za ramię. I natychmiast je puścił, jakby go parzyło, zobaczył bowiem, że i ona jest martwa.

Powiedziała „Ross” i chcąc otworzyć drzwi, położyła dłoń na klamce.

– Proszę pani. Pani MacLeod, musi pani tutaj poczekać. Doktor Hopman jest znakomitym lekarzem. Zrobi dla pani męża wszystko, co możliwe.

I dla pani, już niedługo, przeszło mu przez głowę. Choć to nie wystarczy.

– Ross. Muszę...

– Może pani usiądzie? Życzy pani sobie kawy?

– Ja... nie. – Przycisnęła dłoń do czoła. – Nie, dziękuję. Nie. Co mu jest? Co się stało?

– Doktor Hopman z pewnością to sprawdzi. Chce pani, żebyśmy do kogoś zadzwonili?

– Nasz syn jest w Londynie. Wróci dopiero za kilka dni. Moja córka... Jest w ciąży, spodziewa się bliźniąt. Nie wolno jej denerwować. Moja przyjaciółka Marjorie...

– Chce pani, żebym zadzwonił do Marjorie?

– Ja... – Spojrzała niepewnie na ścisną torebkę, którą złapała odruchowo, tak samo jak chwyciła płaszcz i włożyła buty. – Mam telefon.

Wyjęła urządzenie i nie wiedząc, co robić, wbiła w nie wzrok.

Jonah oddalił się i złapał jedną z pielęgniarek.

– Ktoś musi się nią zająć. – Wskazał na panią MacLeod. – Jej mąż jest w sali w ciężkim stanie. Ona chyba też jest chora.

– Tu jest dużo chorych osób, Jonah.

– Ma gorączkę. Nie wiem, jak wysoką. – Wiedział: 38,5 i rośnie. – Pacjent też ma gorączkę. A ja muszę wracać do ambulansu.

– Dobrze, dobrze. Zaraz się nią zajmę. Bardzo źle? – spytała, wskazując brodą na salę zabiegową.

Wbrew woli Jonah widział, co się dzieje w sali, czuł, jak kobieta, której nadal nie miał odwagi zaprosić na randkę, zerka na zegarek i podaje czas zgonu.

– Źle – bąknął tylko i uciekł, nim Rachel wyszła poinformować żonę o śmierci męża.

\* \* \*

Po drugiej stronie cieśniny East River, w lofcie w Chelsea, Lana Bingham krzyknęła, gdy zaczął w niej wzbierać długi, rozwijający się falami orgazm. Gdy krzyk przeszedł w jęk, a jęk w westchnienie, przestała zaciskać palce na pościeli i uniosła ręce, by objąć szczytującego Maksa.

Westchnęła ponownie – zaspokojona, rozluźniona i zadowolona. Cieszyła się z ciężaru leżącego na niej kochanka, którego serce nadal biło jak szalone przy jej piersi. Przesunęła leniwie palcami po jego włosach.

Powinien je przystrzyc, pomyślała, ale lubiła, kiedy były dłuższe i mogła zawijać je na palce.

Mieszkali razem od sześciu miesięcy i było coraz lepiej.

Spokojna i odprężona zamknęła oczy i znów westchnęła.

Krzyknęła, gdy coś dzikiego i cudownego przetoczyło się przez nią, jakby w niej eksplodowało. Coś o wiele silniejszego niż orgazm, głębszego, będącego zarazem mieszaniną rozkoszy i wstrząsu, którego nie umiałyby opisać. Uczucie to przypominało eksplozję światła, błyskawicę przeszywającą ją na wskroś, płonąca strzałę, która trafiła ją w samo serce i rozgorzała blaskiem w ciele. Prawie czuła, jak krew jej się jarzy.

Leżące na niej i tkwiące wciąż w niej ciało Maksa drgnęło. Usłyszała, jak wstrzymał oddech, gdy na moment znowu stwardniał.

A potem wszystko się uspokoiło, wyrównało i złagodniało. W jej oczach migotały tylko drobne iskierki, a w końcu i one zniknęły.

Max podniósł się na łokciach i spojrzał na nią w świetle pełgających świec.

– Co to było?

Jeszcze nieco oszołomiona wypuściła powietrze.

– Nie wiem. Największy postkoitalny wstrząs świata?

Zaśmiał się i zniżył głowę, żeby musnąć wargami jej usta.

– Myślę, że musimy kupić jeszcze jedną butelkę tego nowego wina, które otworzyliśmy.

– Weźmy całą skrzynkę, jejku. – Przeciągnęła się pod nim, podnosząc ręce. – Czuję się niesamowicie.

– I tak samo wyglądasz, moja śliczna, śliczna czarownico.

Teraz ona się zaśmiała. Wiedziała – podobnie jak on – że w najlepszym razie jest amatorką. I była rada, w zupełności wystarczały jej próby rzucania niewielkich uroków i odprawianie rytuałów ze świecami oraz przestrzeganie świąt.

Od czasu, kiedy w trakcie przesilenia zimowego poznała Maksa Fallona, w którym zakochała się – i to bardzo – jeszcze zanim nadeszła Ostara, równonoc wiosenna, próbowała poważniej popracować nad czarostwem.

Nie miała jednak iskry i szczerze mówiąc, знаła niewiele osób, które ją miały. Większość – właściwie wszyscy – których znała lub spotkała na festiwalach, rytuałach, spotkaniach, zaliczali się do amatorów, tak samo jak ona. A niektórzy mieli, według niej, po prostu nierówno pod sufitem, inni zaś zwyczajnie mieli obsesję.

Niektórzy pewnie nawet byliby niebezpieczni, gdyby rzeczywiście mieli moc.

A prócz nich, och tak, prócz nich był jeszcze Max.

On miał talent. Czyż nie rozpalał świec w sypialni oddechem, co zawsze ją podniecało?

A gdy się porządnie skupił, potrafił unosić siłą woli małe przedmioty.

Niesamowite.



I kochał ją. A ten rodzaj magii był dla Lany najważniejszy.

Pocałował ją i przetoczywszy się na bok, wziął do ręki niezapaloną świecę.

Lana przewróciła oczami i jęknęła z udawaną przesadą.

– Zawsze idzie ci lepiej, kiedy jesteś zrelaksowana. – Powoli przesunął wzrokiem po jej ciele. – Wyglądasz na zrelaksowaną.

Leżała, nie wstydząc się nagości, z ramionami skrzyżowanymi za głową i rozrzuconymi na poduszce, długimi włosami barwy karmelu. Miała pełne usta o wydatnej dolnej wardze.

– Gdybym była jeszcze bardziej zrelaksowana, to chyba straciłabym przytomność.

– No to spróbuj. – Sięgnął po jej dłoń i pocałował palce. – Skup się. Masz w sobie energię.

Cóż, chciała, żeby tak było, ponieważ Max tego pragnął. A ponieważ nie znosiła go rozczarowywać, usiadła i odgarnęła włosy.

– Dobrze.

Szykując się, zamknęła oczy i wyrównała oddech. Starła się, zgodnie z tym, co próbował jej tłumaczyć, przyciągnąć energię, którą jego zdaniem w sobie miała.

O dziwo, poczuła, jak coś w niej lekko drga i zaskoczona tym wrażeniem, otworzyła oczy i odetchnęła.

Świeca zapłonęła.

Wpatrywała się w nią ze zdumieniem, a on uśmiechnął się szeroko.

– Bravo! – krzyknął z dumą.

– Ale... ale ja nawet nie... – Dotąd zdołała ledwie zapalić kilka świec po paru minutach wytężonej koncentracji. – Nawet nie byłam gotowa zacząć i... ty to zrobiłeś.

Czując rozbawienie i lekką ulgę, stuknęła go palcem w klatkę piersiową.

– Chcesz dodać mi pewności siebie.

– Niczego nie zrobiłem – zaprzeczył i położył dłoń na jej nagim kolanie. – Nie zrobiłbym czegoś takiego i nigdy cię nie okłamuję. Lano, ty to sprawiłaś.

– Ale ja... Naprawdę nie ty? Nie dałeś mi, bo ja wiem... jakiegoś wsparcia?

– Zrobiłaś to absolutnie sama. Spróbuj jeszcze raz. – Zdmuchnął świecę i tym razem włożył ją w jej dłoń.

Zdenerwowana zamknęła oczy, bardziej, żeby się uspokoić niż w jakimkolwiek innym celu. Kiedy jednak pomyślała o świecy, poczuła, że coś w niej wzbiera. Gdy otworzyła oczy i po prostu pomyślała o płomieniu, ten wystrzelił w górę.

– Och, o Boże – westchnęła. W jej oczach barwy letniego nieba odbijało się światło świecy. – Naprawdę to zrobiłam.

– Co czułaś?

– Jakby... jakby się coś we mnie wznosiło. Wznosiło, pęczniało, sama nie wiem. Ale Max, to było naturalne. Nie żaden tam wielki błysk i bum. Tylko jak... cóż... jak by to ująć? Jak oddech. Ale to, wiesz, jest dość straszne. Nie mówmy o tym nikomu, dobrze? – Popatrzyła na niego nad płomieniem.

Ujrzała na jego przystojnej, uduchowionej twarzy dumę i błysk zainteresowania. Pokrywał ją dwudniowy zarost. Jego oczy w świetle świecy wydawały się szare.

– Nie pisz o tym ani nic takiego. Przynajmniej dopóki się nie upewnimy, że to nie przypadek.

– Otworzyły się w tobie drzwi, Lano. Dostrzegłem to w twoich oczach, tak samo jak dostrzegłem w nich możliwość, że się otworzą, kiedy się poznaliśmy. Widziałem to, zanim cię pokochałem. Ale jeżeli chcesz, by zostało to między nami, niech tak będzie.

– Dobrze. – Wstała i dostawiła świecę do poprzednio przez niego zapalonych. Pomyślała, że to symbol ich jedności. Odwróciła się, drgały za nią płomyki. – Kocham cię, Max. Oto moje światło.

Podерwał się gibki niczym kot i przyciągnął ją do siebie.

– Nie potrafię wyobrazić sobie życia bez ciebie. Chcesz jeszcze wina?

– To jakiś eufemizm? – Odchyliła głowę.

– Myślę o winie i o zamówieniu czegoś, bo umieram z głodu. – Uśmiechnął się i ją

pocałował. – A potem zajmiemy się eufemizmami.

– Zgadzam się na wszystko. Choć mogę coś ugotować.

– Na pewno, tylko że robiłaś to cały dzień. Masz wolne. Umówiliśmy się, że zjemy coś na mieście...

– Wolałabym zostać. Z tobą. – Zdała sobie sprawę, że zdecydowanie bardziej woli być z nim sam na sam, niż wyjść na miasto.

– Dobrze. Na co masz ochotę?

– Zaskocz mnie – powiedziała, odwracając się, żeby podnieść czarne spodnie i koszulkę, którą nosiła pod bluzą szefa kuchni, zastępcy szefa kuchni, mówiąc dokładniej, które zdarł z niej, gdy wróciła z restauracji. – W tym tygodniu dwa razy pracowałam na dwie zmiany, więc chętnie zostanę w domu i zjem coś – cokolwiek – co ktoś inny ugotuje.

– Załatwione. – Wciągnął džinsy i ciemny sweter, w których pracował, czyli pisał w gabinecie. – Otworzę wino i zaskoczę cię resztą.

– Zaraz wracam – obiecała, idąc do garderoby.

Kiedy wprowadziła się do Maksa, starała się zająć nie więcej niż pół szafy, ale... uwielbiała ubrania i modę – a ponieważ większość czasu spędzała w białej tunice i czarnych spodniach, nadrabiała to po wyjściu z pracy.

Pomyślała, że ubranie codzienne nadal może być ładne, a nawet romantyczne, gdy się je włoży na wieczór spędzony w domu. Wybrała granatową sukienkę z czerwonymi zawijasami, kończącą się tuż nad kolanami. I też go zaskoczy: seksowną bielizną, gdy już zajmą się eufemizmami.

Ubrała się, po czym przyjrzała się krytycznie swojej twarzy w lustrze. Światło świec jest korzystne, pomyślała, ale... Położyła dłonie na twarzy i używając czarów, przydała sobie nieco uroku – miała do tego talent od czasów licealnych.

Często się zastanawiała, czy talent, jakikolwiek miała, nie zależał bardziej od próżności niż rzeczywistej mocy.

To jej jednak zupełnie nie przeszkadzało. Ani trochę się nie wstydziła, że jest lub czuje ładniejsza niż bardziej pełna mocy. Zwłaszcza że jej przymioty w obu tych dziedzinach przyciągnęły takiego mężczyznę jak Max.

Już miała do niego pójść, kiedy przypomniała sobie o świecach.

– Lepiej nie zostawiać ich bez nadzoru – mruknęła i odwróciła się, by je zgasić.

Zatrzymała się i chwilę zastanowiła. Skoro może je zapalić, to czy może je zgasić?

– To samo, tylko w drugą stronę, no nie? – Powiedziawszy to, a zwłaszcza pomyślawszy o tym, wskazała na jedną ze świec i podeszła bliżej, by spróbować.

Świeca zgasła.

– Ach... Jeju. – Zaczęła wołać Maksa, ale zaraz zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie tylko go to nakręci i zamiast zjeść spokojną kolację w domu, będą ćwiczyć i się uczyć.

Zamiast tego skoncentrowała uwagę na świecach, najpierw jednej, potem drugiej, aż w końcu w pokoju zapanowała ciemność. Nie potrafiła wyjaśnić, co czuje ani jakie drzwi, o których mówił Max, się nagle otworzyły.

Uznała, że później o tym pomyśli. Najpierw wino.

\* \* \*

Podczas gdy Max i Lana pili wino – i jedli przystawkę w postaci rozpuszczonego brie na grzankach z bagietki, przed których zrobieniem Lana nie była w stanie się powstrzymać – Katie MacLeod Parsoni spieszyła do szpitala na Brooklynie.

Nie płakała jeszcze, gdyż nie wierzyła – nie chciała wierzyć – że jej ojciec nie żyje, a matka nagle zachorowała tak, że musiano ją położyć na OIOM-ie.

Z dłonią podtrzymującą brzuch i mężem obejmującym ją w nieistniejącej już talii szła do windy prowadzącej na oddział intensywniej opieki medycznej.

– To się nie dzieje. To jakaś pomyłka – mamrotała. – Mówiłam ci, rozmawiałam z nią kilka godzin temu. Tata źle się czuł – jakieś przeziębienie czy coś takiego – a ona robiła zupę.

Powtarzała te słowa całą drogę do szpitala. Tony tylko ją obejmował.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, nie umiejąc wymyślić nic innego.

– To jakaś pomyłka – powtórzyła. Ale kiedy dotarli do dyżurki pielęgniarek, nie potrafiła wykrztusić słowa i spojrzała tylko bezradnie na Tony'ego.

– Powiedziano nam, że Angie – Angela – MacLeod została przyjęta na oddział. To jej córka, Kathleen. Moja żona, Katie.

– Muszę się zobaczyć z mamą, muszę się z nią zobaczyć. – Coś w oczach tej pielęgniarki sprawiło, że w Kate zaczęła narastać panika. – Muszę zobaczyć się z mamą! – zawołała. – Chcę rozmawiać z doktor Hopman. Powiedziała... – Katie załamał się głos.

– Pani mamą zajmuje się doktor Gerson – oznajmiła pielęgniarka.

– Nie chcę widzieć doktora Gersona. Chcę zobaczyć się z mamą! Chcę rozmawiać z doktor Hopman.

– Spokojnie, Katie, no już. Spróbuj się uspokoić. Musisz myśleć o dzieciach.

– Skontaktuję się z doktor Hopman. – Pielęgniarka wyszła zza biurka. – Może poczeka pani tutaj, proszę usiąść. Który miesiąc?

– Dwadzieścia dziewięć tygodni, cztery dni – odpowiedział Tony.

Z oczu Kate popłynęły łzy.

– Liczysz też dni – wymamrotała.

– Oczywiście, że tak, kochanie. Jasne, że liczę. Będziemy mieli bliźnięta – poinformował pielęgniarkę.

– Fajnie. – Pielęgniarka uśmiechnęła się, ale, gdy odwróciła się z powrotem w stronę biurka, jej twarz natychmiast spoważniała.

Rachel zareagowała na wezwanie pagera najszybciej, jak umiała i na widok pary w ułamku sekundy trafnie oceniła sytuację. Wkrótce będzie miała do czynienia z ciężarną w żałobie.

Dobrze, że dotarła tu przed Gersonem. To doskonały internista, ale potrafił być tak szorstki, że aż nieuprzejmy.

Pielęgniarka dała Rachel znak kiwnięciem głowy. Lekarka zebrała siły i podeszła do Parsonich.

– Jestem doktor Hopman. Bardzo mi przykro z powodu pani ojca.

– To jakaś pomyłka.

– Pani jest Katie?

– Tak. Katie MacLeod Parsoni.

– Katie. – Rachel usiadła. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Pani mama zrobiła wszystko, co w jej mocy. Zadzwoiła po karetkę, tata znalazł się u nas tak szybko, jak się dało. Ale był zbyt chory.

Oczy Katie, takiego samego koloru ciemnej zieleni co oczy jej matki, wpatrywały się w Rachel błagalnie.

– Jest tylko przeziębiony. To jakiś łagodny wirus. Mama gotowała mu rosół.

– Pani mama nie była w stanie nam wiele powiedzieć. Byli w Szkocji? Ale pani z nimi nie pojechała?

– Mam jak najwięcej leżeć, nie wolno mi latać samolotem.

– Bliźnięta – wtrącił Tony. – Dwadzieścia siedem tygodni, cztery dni.

– Wiecie, gdzie dokładnie w Szkocji?

– W Dumfries. Jakie to ma znaczenie? Gdzie jest moja mama? Muszę się z nią zobaczyć.

– Jest w izolatce.

– Jak to w izolatce?!

Spojrzenie Rachel było tak spokojne i opanowane, jak jej głos.

– To środek ostrożności, Katie. Jeżeli ona i pani tata nabawili się jakiejś infekcji lub jedno z nich zaraziło drugie, musimy przeciwdziałać epidemii. Może pani się z nią zobaczyć przez kilka minut, ale musi się do tego przygotować. Mama jest bardzo chora. Musi pani włożyć maseczkę, rękawiczki i strój ochronny.

– Wszystko mi jedno, co mam włożyć, muszę zobaczyć mamę.

– Nie będzie pani mogła jej dotknąć – dodała Rachel. – I może pani spędzić tam tylko kilka minut.

– Idę z żoną.

– Dobrze. Najpierw muszą mi państwo opowiedzieć o ich wyjeździe do Szkocji. Pani mama wspominała, że wrócili dopiero dziś rano i bawili tam od drugiego dnia świąt. Wie pani może, czy pani tata był chory, zanim wyjechali?

– Nie, nie, czuł się dobrze. Spotkaliśmy się w Boże Narodzenie. Na drugi dzień zawsze wyjeżdżamy na farmę. Pojechali wszyscy z wyjątkiem mnie i Tony’ego, bo nie wolno mi podróżować w tym stanie.

– Rozmawiała pani z nimi, kiedy byli w Szkocji?

– Oczywiście. Prawie codziennie. Mówię pani, że nic im nie dolegało. Może pani spytać wuja Roba, brata bliźniaka mojego ojca. Wszyscy tam zebrani dobrze się czuli. Może pani go spytać. Jest w Londynie.

– Może mi pani dać do niego numer telefonu?

– Ja to zrobię. – Tony ścisnął dłoń Katie. – Podam pani wszystko, czego sobie pani życzy. Ale Katie musi zobaczyć się z mamą.

Gdy oboje włożyli szpitalne kitle i rękawiczki, Rachel pomyślała, że musi ich przygotować na to, co zastaną.

– Przeciwdziałamy odwodnieniu. Pani mama ma wysoką gorączkę, którą staramy się zbić. – Zatrzymała się przed salą o szklanej ścianie: drobnokoścista kobieta z burzą czarnych loków, bezlitośnie zaczesanych do tyłu i spiętych. Wskutek zmęczenia jej oczy koloru ciemnej czekolady zapadły się w głąb, ale głos emanował energią. – Plastikowa zasłona służy ochronie przed infekcją.

Katie mogła tylko patrzeć przez plastikową szybę, oddzielającą kobietę leżącą na wąskim szpitalnym łóżku od reszty pokoju.

Jak pusta skorupa po mojej matce, pomyślała.

– Dopiero co rozmawialiśmy – wybełkotała. – Dopiero co rozmawialiśmy. – Chwyła dłoń Tony’ego i weszła do środka.

W sali było słychać dźwięki monitorów. Po ekranach przesuwaly się jakieś zielone szlaczki, jedne przypominały bazgraninę, inne szpikulce. Wentylator szumiał niczym rój pszczoł. Nad wszystkimi tymi dźwiękami górował chrapliwy oddech jej matki.

– Mamo – powiedziała, ale Angie ani drgnęła. – Czy mama dostała jakieś środki uspokajające?

– Nie.

– Mamo, to ja, Katie. Mamo.

Angie poruszyła się i jęknęła.

– Zmęczona... taka zmęczona... Zrobić zupę... Trzeba zostać w domu, wszyscy jesteśmy chorzy i musimy zostać w domu... Mamusi, chcę piżamkę w owieczki. Nie mogę dziś iść do szkoły.

– Mamo, to Katie.

– Katie, Katie. – Głowa Angie przewracała się na poduszce to w prawo, to w lewo. – Mamusia mówi: Katie, zarygluj drzwi. Zarygluj drzwi, Katie. – Powieki Angie zamrugaly i uniosły się, a błyszczące od gorączki oczy rozejrzały się po sali. – Nie pozwól temu dostać się do środka. Słyszysz, jak szeleści w krzakach? Katie, zarygluj drzwi!

– Nie martw się, mamo. Nie martw się.

– Widzisz te wrony? Wszystkie krążą.

Wtem jej rozgorączkowane, niewidzące spojrzenie spoczęło na Katie. Zamigotało w nich coś matczynego.

– Katie. Moja dziewczynka.

– Jestem tu, mamo. Jestem przy tobie.

– Tata i ja nie czujemy się najlepiej. Zjemy rosół w łóżku na tacach i pooglądamy telewizję.

– Dobrze. – Wzbierające łzy ścisnęły jej gardło, zdołała jednak wymamrotać: – Wkrótce poczujesz się lepiej. Kocham cię.

– Musisz trzymać mnie za rękę, kiedy przechodzimy na drugą stronę ulicy. I trzeba się rozejrzeć w obie strony, to bardzo ważne.

– Wiem.

– Słyszałaś? – Oddech Angie przyspieszył, a głos opadł do szeptu. – Coś szeleści w tych krzakach. Coś na nas patrzy.

– Niczego tu nie ma, mamó.

– Jest! Kocham cię, Katie. Kocham cię, Ian. Moje dzieci.

– Kocham cię, mamó – powiedział Tony, zdając sobie sprawę, że teściowa bierze go za brata Katie. – Kocham cię – powtórzył, ponieważ była to prawda.

– Później zrobimy sobie piknik w parku, ale... Nie, nie, idzie burza. Razem z tym.

Czerwona błyskawica, ogień i krew. Uciekaj! – Usiłowała się podnieść. – Uciekaj!

Dostała gwałtownego ataku kaszlu. Na plastikową zasłonę poleciały kropelki śliny i flegmy.

– Proszę ją stąd zabrać! – nakazała Rachel, wciskając guzik przywołujący pielęgniarkę.

– Nie! Mamó!

Mimo protestów Katie Tony wyciągnął ją z sali.

– Przykro mi. Naprawdę mi przykro, ale musisz im pozwolić jej pomóc. Chodź. – Dłonie mu drżały, kiedy pomagał jej zdjąć kitel. – Powinniśmy zostawić te rzeczy tutaj, pamiętasz?

Zdjął jej rękawiczki, ściągnął swoje i wyrzucił, kiedy pielęgniarka wpadła do sali, by pomóc lekarce.

– Katie, musisz usiąść.

– Co jej jest, Tony? Ona bredziła.

– To pewnie gorączka. – Czując jak drży, poprowadził ją z powrotem na fotele. – Zbiją tę gorączkę.

– Mój ojciec nie żyje. On nie żyje, a ja nie mogę o nim myśleć. Muszę myśleć o niej. Ale...

– W porządku. – Cały czas ją obejmował i przyciągając jej głowę do ramienia, głąkał po kręconych kasztanowych włosach. – Musimy o niej myśleć. Ian będzie tu tak szybko, jak to możliwe. Może nawet jest już w drodze. On też będzie nas potrzebował, zwłaszcza że Abby i dzieci nie mogą z nim przylecieć, jeżeli nie zdołał kupić biletów.

Mów, pomyślał Tony, dużo mów, żeby Katie nie zastanawiała się nad tym, co się dzieje po drugiej stronie tej potwornej plastikowej zasłony.

– Pamiętasz, napisał, że udało mu się znaleźć przelot do Dublina, a stamtąd już leci bezpośrednio. Pamiętasz? I stara się znaleźć lot dla Abby i dzieci, żeby jak najszybciej wylecieli z Londynu.

– Wzięła cię za Iana. Ona cię kocha, Tony.

– Wiem. Już dobrze. Wiem.

– Przykro mi.

– Och, daj spokój, Katie.

– Nie, przykro mi. Mam skurcze.

– Czekał, co? Ile?

– Nie wiem. Nie wiem, ale mam. I czuję...

Zakołysała się w fotelu. Podniósł ją, wstał, objął żonę i ich nienarodzone dzieci i czując, że świat wali mu się na głowę, wezwał pomoc.

Przyjęto ją natychmiast i po pełnej napięcia godzinie skurcze ustały. Po koszmarze z rodzicami i zaleceniu pozostania w szpitalu na obserwacji oboje byli wyczerpani.

– Zrobimy listę tego, czego potrzebujesz, z domu, a ja pojedę i to przywiozę. Zostanę tu z tobą do rana.

– Nie jestem w stanie jasno myśleć. – Choć Katie miała wrażenie piasku pod powiekami, nie mogła przymknąć oczu.

Wziął jej dłoń i okrył ją pocałunkami.

– Coś wymyślę. A ty musisz robić to, co powiedział lekarz. Musisz odpoczywać.

– Wiem, ale... Tony, możesz tylko iść sprawdzić? Możesz zobaczyć, jak się czuje mama? Chyba nie będę mogła odpoczywać, póki się tego nie dowiem.

– Dobrze, ale żadnego wstawania i kręcenia się po sali, kiedy mnie nie będzie.

Zdobyła się na wątyły uśmiech.

– Uroczyście przyrzekam.

Wstał, nachylił się i pocałował ją w brzuch.

– A wy, dzieciaki, siedźcie tu grzecznie. Dzieci – przewrócił oczami – zawsze dokądś pędzą.

Kiedy wyszedł, oparł się o drzwi, walcząc z przemożną chęcią poddania się rozpacz.

Pomyślał, że to Katie jest silna, Katie jest twarda. A teraz to on musi być silny. Więc będzie.

Przeszedł przez oddział intensywnej opieki – który przypominał labirynt – i znalazłszy drzwi do poczekalni i recepcji, dotarł do wind. Podejrzywał, że żeby przestał się gubić, Katie będzie musiała zostać tu o wiele dłużej.

Kiedy podszedł do windy, wyszła z niej drobna, ładna Afroamerykanka w białym laboratoryjnym fartuchu i czarnych niki'ach. Rozpoznał ją.

– Doktor Hopman. – Rozpromienił się.

– Pan Parsoni. Jak Katie?

– Proszę mi mówić Tony. Katie stara się odpoczywać. Wszystko w porządku. Od godziny nie miała skurczy, a dzieci czują się dobrze. Chcą ją zatrzymać przynajmniej na noc, pewnie na kilka dni. Pyta o mamę, więc szedłem sprawdzić.

– Może usiądziemy tutaj?

Od dziecka pracował w rodzinnym sklepie z artykułami sportowymi – teraz kierował główną filią. Znał się na ludziach.

– To nie może być prawda.

– Naprawdę mi przykro, Tony. – Wzięła go pod ramię i poprowadziła do foteli. –

Powiedziałam doktorowi Gersonowi, że zejde, ale mogę go przywołać pagerem, żeby z panem porozmawiał.

– Nie, nie znam go, nie ma takiej potrzeby. – Opadł ciężko i schował głowę w dłoniach. – Co się dzieje? Nie rozumiem, co się dzieje. Dlaczego oni zmarli?

– Sprawdzamy to, usiłujemy ustalić, co to za infekcja. Sądzymy, że zarazili się w Szkocji, skoro pański teść poczuł się źle przed wylotem. Katie wspominała, że byli na farmie.

W Dumfries...?

– Tak, to rodzinna farma prowadzona przez kuzyna – potwierdził. – Cudowne miejsce.

– Kuzyna?

– Tak, Hugh, Hugh MacLeoda. I Millie. Boże, muszę ich powiadomić. I Roba, i Iana. Co ja powiem Katie?

– Chce pan kawy?

– Nie, dziękuję. Przydałby mi się porządny, mocny drink, ale... – Musi być silny, napomniał siebie w duchu i obtarł łzy przegubami dłoni. – Wystarczy mi cola.

Zaczął się podnosić, gdy Rachel położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ja przyniosę. Zwykła?

– Tak.

Podeszła do automatów i wydobyła drobne. Farma, pomyślała. Świnie, kurczaki. Czyżby jakiś szczerp świńskiej albo ptasiej grypy?

Nie jej dziedzina, ale postanowiła, że zdobędzie informacje i przekaże je dalej.

Przyniosła Tony'emu colę.

– Gdyby podał nam pan telefon do Hugh i Rossa MacLeodów, brata, mogłoby nam to pomóc w ustaleniu faktów.

Zapisała w telefonie wszystkie numery podane przez Tony'ego. Kuzyn, brat bliźniak, syn, nawet bratankowie.

– Proszę wziąć mój numer. – Wzięła jego telefon i wpisała się do listy kontaktów. – Proszę do mnie zadzwonić, gdybym mogła się na coś przydać. Zamierza pan zostać z Katie do rana?

– Tak.

– Zajmę się tym. Przykro mi, Tony. Bardzo mi przykro.

Odetchnął głęboko.

– Ross i Angie, byli... kochałem ich jak własnych rodziców. Dobrze wiedzieć, że w ostatnich chwilach byli z kimś dobrym, z kimś, wie pani, troskliwym. Żonie też ta świadomość pomoże.

Powłócząc nogami, ruszył do sali Katie. Raz nawet umyślnie źle skręcił, by dać sobie więcej czasu.

Kiedy do niej wszedł i zobaczył, jak leży i wpatruje się w sufit, a dłońmi tuli rosnące w niej dzieci, wiedział, co musi zrobić.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, okłamał ją.

– Mama?

– Śpi. Ty też powinnaś się przespać. – Nachylił się nad łóżkiem i pocałował ją. – Pojadę do domu i przywiozę trochę rzeczy. Na pewno mają tu paskudne jedzenie, wezmę więc lazanie z twojej ulubionej restauracji. Dzieciaki muszą jeść. – Poklepał ją delikatnie po brzuchu. – I potrzebują mięsa.

– Okej, masz rację, moja ty opoko.

– Wrócę, nim się zorientujesz. Żadnych dzikich imprez pod moją nieobecność.

Oczy jej zalśniły, a usta zadrżały. Jego Katie zawsze była dzielna.

– Już zamówiłam striptizerów.

– Powiedz im, żeby na mnie poczekali.

Wyszedł i powlókł się do samochodu. Zaczął padać śnieg, ale tak rzadki, że ledwo go czuł na skórze. Wsiadł do minivana, którego kupili zaledwie przed dwoma tygodniami, szykując się na narodziny bliźniąt.

Nachylił głowę nad kierownicą i rozplakał się z rozpaczy.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Do końca pierwszego tygodnia stycznia liczba zgonów przekroczyła milion. Światowa Organizacja Zdrowia ogłosiła pandemię rozprzestrzeniającą się z niespotykaną prędkością. Centra kontroli i prewencji chorób poinformowały, że to nowy szczep ptasiej grypy, który przenosi się między ludźmi.

Nikt nie był w stanie wytłumaczyć, dlaczego przebadane ptaki nie miały żadnych objawów zakażenia. Żaden kurczak, indyk, gęś, przepiórka czy bażant – skonfiskowany lub schwytany w promieniu stu kilometrów od farmy MacLeodów – nie okazał się zakażony.

Jednak ludzie – rodzina MacLeodów w Szkocji, ich sąsiedzi, okoliczni farmerzy – wszyscy zmarli.

Ten szczegół WHO, centra kontroli i narodowe instytuty zdrowia trzymały w ścisłej tajemnicy.

Wskutek przepychanek o dostęp do szczepionek ich sprzedaż szwankowała, odbywała się jakimiś dziwnymi kanałami. Opóźnienia w dostawie wzniewały bunty, szaber, przemoc.

Wszelako nie miało to znaczenia, gdyż szczepionki okazały się równie nieskuteczne, co fałszywe leki, które szybko pojawiły się w internecie.

Przywódcy państw na całym świecie wzywali do zachowania spokoju i porządku, obiecywali pomoc i prawili o powziętych strategiach politycznych.

Zamknięto szkoły, niezliczone firmy zawiesiły działalność, ponieważ odradzano kontaktowania się z ludźmi. Wzrosła sprzedaż masek chirurgicznych, rękawiczek, leków przeciwgrypowych bez recepty i na receptę, środków przeczyszczających i dezynfekcyjnych.

Bezskutecznie. Tony Parsoni mógłby im o tym opowiedzieć, niestety zmarł w tym samym szpitalnym łóżku, co jego teściowa siedemdziesiąt dwie godziny wcześniej.

Plastikowe zasłony, lateksowe rękawiczki, maseczki chirurgiczne? Wirus kpił z tego wszystkiego i na potęgę się rozprzestrzeniał.

W drugim tygodniu nowego roku liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła dziesięć milionów i nic nie wskazywało na wyhamowanie epidemii. Choć nie podano informacji o jego chorobie, a śmierć trzymano w sekrecie przez niemal dwa dni, to wskutek zarażenia zmarł również prezydent Stanów Zjednoczonych.

Głowy państwa padały jak kostki domina. Mimo stosowania nadzwyczajnych środków ostrożności okazali się równie podatni na pandemię, co bezdomni, katolicy, ateści, księża i grzesznicy.

W fali, która przetoczyła się przez Waszyngton w trzecim tygodniu rozprzestrzeniania się apokalipsy, ponad sześćdziesiąt procent członków Kongresu albo padło trupem, albo właśnie umierało, wraz z przeszło miliardem innych ludzi na świecie.

Ponieważ kraj znalazł się w stanie chaosu, wróciły obawy o ataki terrorystyczne. Jednak terroryści umierali tak, jak inni.

Tereny miejskie zamieniły się w strefy działań wojennych, a rzędzące siły policyjne podjęły walkę przeciw tym ocalałym, którzy schyłek ludzkości traktowali jak okazję do rozlewu krwi i przemocy. Albo zysku.

Zaroiło się od plotek o dziwnych tańczących ognikach, o ludziach obdarzonych dziwnymi zdolnościami, leczących oparzenia bez żadnych maści i dla rozgrzewki rozpalających ognie w beczkach bez paliwa. Niektórzy zapalali je dla samej przyjemności wpatrywania się w płomień. Inni twierdzili, że widzieli jakąś kobietę, która przeszła przez ścianę, jeszcze inni przysięgali, że widzieli mężczyznę podnoszącego samochód jedną ręką tudzież tańczącego szkocką gigę pół metra nad ziemią.

Loty komercyjne zawieszono w drugim tygodniu trwania pandemii. Uczyniono to w nadziei zatrzymania lub spowolnienia rozprzestrzeniania się choroby. Większość, która zdołała uciec przed



tymi obostrzeniami i opuściła swoje domy i miasta, a nawet kraje, zmarła gdzie indziej.

Inni postanowili przeczekać epidemię, gromadząc zapasy w domach i mieszkaniach – a nawet biurach – zamykając drzwi i okna, często stawiając nieopodal uzbrojonych strażników.

Ci najprzezorniejsi mieli ten komfort, że umarli we własnych łóżkach.

Ci, którzy się zamknęli i żyli, słuchali coraz rzadszych relacji medialnych, licząc na cud.

W trzecim tygodniu wiadomości były równie cenne, co diamenty – i o wiele rzadsze.

Arlys Reid nie wierzyła w cuda, ale uważała, że obywatele mają prawo do informacji.

Z prezenterki późnowieczornych wiadomości w Ohio, gdzie zajmowała się głównie doniesieniami z farm i czasami robiła relacje z miejscowych targów oraz festiwali, awansowała na reporterkę przygotowującą zapchajdziury w miejscowym dodatku nowojorskiego oddziału. Zyskała popularność, choć nie miała wielu okazji do mocnych, poważnych tematów.

Miała trzydzieści dwa lata i nadal marzyła o dostaniu się do serwisów ogólnokrajowych. Nie spodziewała się, że trafi tam z braku innych kandydatów. Gwiazda programu *Evening Spotlight*, spokojny i stateczny głos, który od dwudziestu lat przeprowadzał widzów przez światowe kryzysy, zniknął przed końcem pierwszego tygodnia pandemii. Kolejni w porządku dziobania zastępcy umierali, odlatywali lub, jak w przypadku jej bezpośredniej poprzedniczki, przechodzili załamanie nerwowe na wizji.

Każdego ranka zaraz po przebudzeniu – w niemal pustym, kilkupiętrowym budynku położonym parę przecznic od studia – Arlys robiła bilans.

Nie ma gorączki, nie ma mdłości, nie ma skurczy, nie ma kaszlu, nie ma urojeń. Nie ma także – choć nie wierzyła plotkom – nadzwyczajnych zdolności.

Przyrządziła śniadanie ze skromnych zapasów. Zazwyczaj składało się ono z samych płatków zbożowych, gdyż mleko stało się prawie niedostępne. Dostępne było tylko mleko w proszku, pod warunkiem że się je znosiło. A ona nie znosiła.

Ubrała się, jakby miała biegać; przekonała się, że bieganie może być konieczne, nawet w biały dzień, na dystansie kilku przecznic. Zarzuciła na ramię torbę, w której trzymała nieduży pistolet znaleziony na ulicy. Zamknęła drzwi na klucz i wyszła z budynku.

Po drodze, jeżeli czuła się stosunkowo bezpieczna, robiła zdjęcia telefonem. Zawsze było coś do uwiecznienia. Kolejne ciało, kolejny spalony samochód, kolejna wybita witryna sklepowa. Jeśli nie było, kroczyła w swoim stałym tempie.

Była w dobrej formie – zawsze się o to starała – i w razie potrzeby mogła puścić się biegiem. Na ogół rankami na ulicach panowała upiorna cisza. Pustkę wypełniały tylko porzucone lub rozbite samochody. Ci, którzy przemierzali je nocami, szukając krwi, o wschodzie słońca wpełzali do swoich nor niczym wampiry.

Wchodziła bocznymi drzwiami; Tim z ochrony dał jej na szczęście pełen zestaw kluczy i kart magnetycznych, zanim zniknął. Zawsze wchodziła schodami, mieli kilka poważnych awarii prądu. Wejście na piąte piętro pomagało jej nadrobić brak siłowni, w której niegdyś spędzała wiele godzin.

Cisza panująca w całym budynku i echo jej kroków już przestały ją niepokoić. W kafeterii i bufecie nadal była kawa. Zanim nastawiła dzbanek, zmieliła więcej ziaren do plastikowej torebki, którą miała w torbie. Brała tylko jednodniową porcję – w końcu nie ona jedna wciąż przychodziła do pracy i potrzebowała czegoś, co by ją postawiło na nogi.

Czasami Mała Fred – entuzjastycznie nastawiona stażystka, która tak jak Arlys codziennie stawiała się do pracy w stacji telewizyjnej – uzupełniała zapasy. Arlys nigdy nie pytała, skąd ten niewysoki, pełen wigoru rudzielec bierze kawę ziarnistą, pudełka batonów czy wafelków.

Po prostu cieszyła się, że może z tego korzystać.

Dziś napelniła termos kawą i wybrała roladki śmietankowe w czekoladzie.

Jedno i drugie zaniósła do newsroomu. Mogłaby zająć jakiś gabinet – było ich teraz pełno – wolała jednak przestrzeń redakcji informacyjnej.

Pstryknęła przełącznik świateł i powiodła wzrokiem po lampach, które migając, zapalały się nad pustymi biurkami, po wygaszonych ekranach i niepracujących komputerach.

Usiłowała nie martwić się dniem, w którym włączy przełącznik i nic się nie stanie.

Jak zawsze usiadła przy wybranym biurku, zacisnęła kciuki i włączyła komputer. Wi-Fi w jej budynku przestało działać dwa tygodnie wcześniej, ale w stacji ciągle był internet.

Działał co prawda bardzo wolno i często się zawieszał, ale był. Kliknęła ikonkę połączenia z internetem, naląła kawę i oparła się wygodnie – nadal zaciskając kciuki.

– I tak przetrwamy kolejny dzień – powiedziała do siebie półgłosem, gdy pojawiło się połączenie.

Uruchomiła program pocztowy, upiła łyk kawy i poczekała, aż na ekranie wyświetli się jej konto. Parę razy dziennie sprawdzała, czy nie ma wiadomości od rodziców, brata i znajomych w Ohio. Od ponad tygodnia nie udało się jej do nich dodzwonić ani wysłać esemesa. Kiedy ostatni raz rozmawiała z rodzicami, matka poinformowała ją, że wszyscy czują się dobrze. Jednak jej głos wydawał się zachrypnięty i słaby.

A potem nastąpiła cisza. Nikt nie odbierał telefonów, nie odpowiadał na esemesy ani maile.

Wysłała kolejny zbiorczy mail.

Skontaktujcie się ze mną, proszę. Sprawdzam pocztę kilka razy dziennie. Możecie zadzwonić na moją komórkę, nadal działa. Muszę wiedzieć, co u was. Dajcie znać, co z wami i gdzie jesteście. Zaczynam się naprawdę martwić.

Melly, jeżeli to czytasz, to błagam, sprawdź, co u moich rodziców. Mam nadzieję, że ty i twoja rodzina jesteście zdrowi. Arlys

Nacisnęła „wyślij”, a ponieważ nie mogła już nic więcej zrobić, odsunęła od siebie złe myśli i zabrała się do pracy.

Otworzyła strony „New York Timesa” i „Washington Post”. Doniesienia były coraz rzadsze, ale nadal dawało się w nich znaleźć jakąś treść.

Były sekretarz stanu – obecnie prezydent, kolejny z jego następców – brał udział w telekonferencji z sekretarzem zdrowia i opieki społecznej, obecnym szefem Centrum Kontroli Chorób (poprzedni zmarł dziewiątego dnia pandemii) oraz nowo mianowaną szefową WHO. Elizabeth Morrelli zastąpiła Carlsona Tracka, którego też powalił wirus. Pytania dotyczące szczegółów śmierci doktora Tracka pozostały bez odpowiedzi.

Arlys odnotowała, że Morrelli wydała oświadczenie, w którym stwierdziła, że dzięki ogólnoswiatowym staraniom nowa szczepionka zwalczająca H5N1-X powinna trafić do sprzedaży w ciągu tygodnia.

– Dziwne – wymamrotała – Track powiedział dokładnie to samo dziesięć dni temu. Brednia w hermetycznie zamkniętym bunkrze nadal jest brednią.

Przebiegła wzrokiem po tekście o grupie ludzi gromadzących żywność, wodę i inne zapasy w szkole podstawowej w Queens. Strzelali do osób, które usiłowały się do nich dostać. Zginęło pięć osób, w tym kobieta z dziesięciomiesięcznym dzieckiem na ręku.

Po przeciwnej stronie tego szaleństwa jakiś podmiejski kościół w stanie Maryland wydawał koce, racje żywnościowe, świece, baterie i inne artykuły pierwszej potrzeby.

Mnożyły się doniesienia o morderstwach, samobójstwach, gwałtach, okaleczeniach. Ale była też garstka informacji o bohaterskich zachowaniach i zwyczajnej życzliwości.

Oczywiście, pojawiały się obłąkańcze relacje o ludziach twierdzących, jakoby widzieli latające istoty o świecących skrzydłach. Albo mężczyznę przebijającego innego mężczyznę płonącymi strzałami wystrzelowanymi z palców.

Czytywała doniesienia o wojskowych, którzy transportowali ponoć odpornych ochotników do zabezpieczonych placówek w celu przeprowadzenia testów. Ciekawiło ją, gdzie mogą się znajdować te placówki. Były jeszcze doniesienia o kwarantannach całych społeczności, o masowych pogrzebach, blokadach i o bombie zapalającej rzuconej na trawnik Białego Domu.

Fanatyczny kaznodzieja, wielobny Jeremiah White, twierdził, że pandemia to gniew Boży skierowany przeciwko bezbożnemu światu. Ogłosił, że cnotliwi przetrwają tylko wówczas, gdy pokonają nikczemnych.

– Oni chodzą między nami – nawoływał – ale nie są tacy jak my. Są z piekła rodem i trzeba ich zagnać z powrotem do ognia!

Arlys robiła notatki i sprawdzała inne strony. Przeglądając doniesienia, pomyślała, że coraz

więcej osób przechodzi na ciemną stronę. Zerknęła na zegarek i połączyła się przez Skype'a ze źródłem, któremu ufała.

Kiedy pojawił się na ekranie, wyszczerzył do niej radośnie zęby. Białe włosy sterczały mu we wszystkich kierunkach wokół głupkowatej, ale sympatycznej twarzy.

– Cześć, Chuck.

– Cześć, anielska Arlys! Nadal w formie?

– Owszem, a ty jak?

– Zdrowy, bogaty i mądry. Jakież straty?

– Jeszcze nie wiem, nikogo dziś rano nie widziałam. Bob Barrett nadal się nie pokazuje, Lorainne Marsh wczoraj się załamała.

– No, widziałem.

– Przejmę jej popołudniowe wiadomości, bo nie wydaje mi się, żeby wróciła. Nadal mamy trochę ludzi. Carol siedzi w reżyserce, a Jim Clayton od jakichś dziesięciu dni codziennie przychodzi do pracy. To dość surrealistyczna sytuacja, gdy dyrektor programowy zastępuje oświetleniowca czy kogo tam akurat trzeba. A Mała Fred nadal uzupełnia bufet, pisze teksty, robi za gońca i czasami pojawia się na antenie.

– Słodka jest. Mogłabyś mnie z nią umówić.

– Z przyjemnością. Daj mi tylko adres i natychmiast ci ją przywiozę.

Znowu rozciągnął usta tak, jakby miał twarz z gumy.

– Chciałbym, ale ściany mają uszy. Cholerne powietrze ma uszy. Twój miły haker z sąsiedztwa jak każdy superbohater potrzebuje swojej jaskini.

– Batman nie był miły, był błyskotliwym psychopata. A Spider-Man nie miał jaskini.

– Kolejny powód, żeby być twoim wielbicielem. – Zachichotał. – Przeszkolisz mnie z superbohaterów. Co dziś dobrego wyczytałaś?

– Doniesienie o nagiej kobiecie, która w SoHo jeździła na jednorożcu.

– Jezu, chciałbym zobaczyć nagą kobietę, nawet na jednorożcu. Trochę już tu tkwię.

– Ja się dla ciebie nie rozbiore, Chuck. Nawet za te przekazywane mi informacje.

– Jesteśmy kumplami, Arlys. Kumple nie muszą się rozbierać.

– No to co nowego?

Uśmiech zniknął.

– Widziałaś dzisiejszy wynik?

– Tak. – Zarówno „Times”, jak i „Post” codziennie podawały aktualną liczbę ofiar. – Przekroczyliśmy miliard o pięć milionów, trzysta dwadzieścia dwa tysiące, czterysta szesnaście.

– To wersja dla mediów. Rzeczywista liczba to ponad dwa miliardy.

– Ponad dwa miliardy? – zdziwiła się. – Skąd to wiesz?

– Nie mogę tego zdradzić. Ale tak właśnie jest, Arlys. Ludzie umierają o wiele szybciej, niż zdradzają zawiadujący tą rzeźnią.

– Ale... O Jezu Chryste, Chuck, to prawie jedna trzecia ludzkości. Jedna trzecia ludzkości zginęła w ciągu kilku tygodni...? – Zrobiło się jej niedobrze, ale zanotowała tę liczbę. – I to nie licząc morderstw, samobójstw ani tych, którzy zginęli wskutek wypadków, pożarów, stratowania albo zimna.

– A będzie jeszcze gorzej. Saga o co chwilę zmieniających się prezydentach? Carnegie wyleciał.

– Jak to wyleciał?

– Nie żyje. – Chuck potarł nieufne jasnobieskie oczy na lekko piegowanej twarzy. – Około drugiej nad ranem zaprzysięgli nowego. Ponoć sekretarz rolnictwa – tych przed nią już zmiotła śmiertelność apokalipsa. Tym, co teraz zostało z wolnego świata, zarządza pieprzona farmerka, wyobrażasz sobie? Jeżeli to puścisz w eter, ci cholerni faszyci runą do ciebie razem z drzwiami.

– Masz rację. Zniszczę komputer, tak jak mi kazałeś, jeżeli zdecyduję się to puścić.

Rolnictwo. – Musiała przekartkować notes do listy, którą spisała. – Ósma w kolejce.

Arlys przekreśliła nazwisko przed sekretarz rolnictwa i spostrzegła, że wcześniej wykreśliła już po niej kilka osób. – Jeżeli nie przeżyje, to zostaje nam sekretarz edukacji, a po nim... nie ma

już nikogo.

– Skarbie, rząd jest skończony. Nie tylko tu – wszędzie. To parszywy sposób na pozbycie się dyktatorów, ale zawsze jakiś sposób. Korea Północna, Rosja...

– Czekaj, Kim Dzong Un? Nie żyje? Kiedy?

– Dwa tygodnie temu. Twierdzą, że żyje, ale to nieprawda. Masz to jak w banku. Jeżeli jeszcze jakiś jest otwarty. Tylko że to nie jest najważniejsza sprawa, Arlys. Wirus zmutował. Carnegie – jednodniowy prezydent? No dobra, trzydniowy. Miał rany – pootwierają się na całym ciele i jego naturalnych otworach – zanim zaczęły się objawy apokalipsy. Mimo że szczelnie go zamknięto, strzeżono całą dobę, badano trzy razy dziennie.

– Jeżeli wirus zmutował...

– ...to badania nad szczepionką trzeba zacząć od początku, a mamy dwa miliardy ofiar i cały czas dochodzą nowe. A teraz bomba. Nikt nie wie, co to jest. Wirus ptasiej grypy? Bzdura.

– Co ty opowiadasz? Przecież zidentyfikowano szczep. Pacjent zero...

– Bzdura, Arlys. Może ten koleś, co zmarł na Brooklynie, miał ptasią grypę. Ale apokalipsa to całkiem co innego. Ptaki nie chorują, nie są zakażone. Badali kurczaki i bażanty, i inne gatunki naszych pierzastych braci mniejszych i nic. A czworonogi? Zdrowe i w doskonałym stanie. Chorują tylko ludzie. Tylko my.

Poczuła ucisk w gardle, ale wydusiła z siebie pytanie.

– Broń biologiczna? Terroryzm?

– O tym się nic nie mówi. Nic, a możesz być pewna, że to sprawdzali. Cokolwiek to jest, nikt tego wcześniej nie widział. A te ochłapy ze szczytów władzy? Kłamią, uciekają się do tej bzdury o niewywoływaniu paniki. Pieprzyć to. Panika już wybuchła.

– Jeżeli nie mogą zidentyfikować wirusa, to nie opracują szczepionki.

– Bingo. – Chuck nakreślił w powietrzu parafkę na znak zaliczonej odpowiedzi. – Mają inny sposób, a ten nie budzi zaufania. Dochodzą mnie słuchy o wojskowych obławach, o wyciąganiu tych, którzy – jak dotąd – nie mają żadnych objawów, i zawożeniu ich do takich miejsc, jak Raven Rock w Fort Detrick. Ustawili posterunki kontrolne i przeczesują okolice, zamykają całe kwartały miasta. Jeżeli zamierzasz wyjechać z Nowego Jorku, złotko, to zrób to jak najszybciej.

– A kto będzie przekazywał wiadomości? – Jednak poczuła ścisk w żołądku. – I jak bym z tobą rozmawiała?

– Myślę, że mam czas, zanim po mnie przyjdą, no i mam jeszcze wyjście ewakuacyjne. Jeżeli to podasz, Arlys, to pamiętaj, żadnego chojraczenia, od razu bierz nogi za pas. Weź tyle zapasów, ile zdołasz unieść, i uciekaj z miasta. Żadnego opieprzania się.

Umilkł i znowu posłał jej ten swój uśmiech.

– A skoro o tym mowa. Dajesz, Frank!

Arlys zamknęła oczy i zaśmiała się lekko, kiedy usłyszała Sinatrę śpiewającego *New York, New York*.

– Owszem. Zatem ogłaszam wiadomości<sup>[2]</sup>.

– Zdecydowanie mu się udało. Chudzielec z Hoboken. Hej, ja też jestem chudzielcem. Nieźle brzmi, prawda? Hoboken.

Nadal uśmiechał się szeroko, ale zaniepokoiło ją jego spojrzenie, skupione i poważne.

– Tak, robiłam tam jakiś materiał milion lat temu.

– Hoboken Sroboken. To nie Park Avenue, ale ich chłopak numer jeden zdecydowanie był w świecie. Na mnie już pora. Hakowałem do trzeciej nad ranem. A trzecia rano to późno nawet jak na mnie. Bądź sobą.

– Ty też, Chuck.

Zakończyła rozmowę i wyciągnęła mapę Hoboken.

– Park Avenue – mruknęła pod nosem. – No jest. Park Avenue numer jeden, może? Albo... Park Avenue krzyżuje się Pierwszą. Park i Pierwsza, trzecia nad ranem. O ile wydam się z Manhattanu.

Wstała i zaczęła przechadzać się po sali, starając się wchłonąć wszystko, co Chuck jej zdradził. Ślepo mu ufała – niemal wszystko, co do dzisiejszego ranka jej przekazał, potwierdziło

się. A to, co nie potwierdziło się oficjalnie, trafiało do kategorii „doniesienia od anonimowych informatorów”.

Dwa miliardy nie żyją. Zmutowany wirus. Śmierć kolejnego prezydenta. Musiała zebrać trochę informacji na temat Sally MacBride – sekretarz rolnictwa, która według Chucka została nową prezydent Stanów Zjednoczonych. Będzie gotowa, jeżeli – i kiedy – ta zmiana u władzy zostanie ogłoszona.

Jeżeli teraz powie o tym na antenie, stacja z pewnością zaroi się od mundurowych albo od facetów ubranych na czarno. Zabiorą ją na przesłuchanie, może zamkną stację. W świecie takim jak kiedyś zaryzykowałyby przesłuchanie, dałaby się zaciągnąć do sądu, żeby chronić źródło. Ale teraz świat był całkiem inny.

Postanowiła, że w paśmie porannym będzie się trzymała oficjalnie zweryfikowanych doniesień oraz własnych obserwacji. A potem spisze tekst oparty na informacjach od Chucka. I będzie monitorowała internet – Mała Fred jej w tym pomoże. Jeżeli zdoła znaleźć jakieś inne źródło, nawet z niedostępnej dla wyszukiwarek sieci, ochroni siebie i Chucka. Oraz stację.

Wiedziała, że są ludzie, którzy liczą na jej programy – czerpią z nich wsparcie, nadzieję, dowiadują się prawdy, jakiej dla nich wyszukiwała.

Usiadła, dołała sobie kawy, napisała tekst, poprawiła tu i ówdzie i wydrukowała. Da go Fred, żeby wstawiła do promptera.

Jedną kopię wzięła z sobą do garderoby, zabrała żakiet i zajęła się makijażem oraz włosami. Może świat się kończy, ale ona jest profesjonalistką.

W studiu czekała już pełna wigoru rudowłosa Mała Fred, gawędząca z kamerzystą o smutnych oczach.

– Cześć, Arlys! Pracowałeś, nie chciałam więc wybijać cię z rytmu. Mam trochę jabłek i pomarańczy, są w bufecie.

– Skąd ty bierzesz te rzeczy?

– Och, trzeba wiedzieć, gdzie szukać.

– Cieszę się, że ty wiesz. Ustawisz mi tekst?

– Jasne. – Zniżyła głos. – Steve ma doła. Widział, jak jakiś dupek zastrzelił wczoraj wieczorem psa. Zanim tam dotarł, gość zniknął, a pies wyzionął ducha. Dlaczego ludzie muszą być tacy podli?

– Nie wiem. Ale są też tacy jak Steve, którzy rzucą się na pomoc psu.

– Prawda...? Może znajdę mu psa. Teraz jest tyle bezpańskich.

Zanim Arlys zdążyła coś powiedzieć, Mała Fred pobiegła już do promptera.

Arlys podeszła do stanowiska prezentera wiadomości i włożyła słuchawkę do ucha.

– Słuchać mnie?

– Mamy cię, Arlys.

– Dzień dobry, Carol. Mam dziesięć minut poważnych wiadomości i dziesięć nieco luźniejszych. Mała Fred już je wstawia do promptera.

Rozmawiały o produkcji, dodały tekst, który napisali Carol i Jim, ustaliły, od czego zacząć, na czym skończyć – jednorozec trafił na końcówkę – i wyliczyły, że materiału starczy na pełne trzydzieści minut.

– Kiedy to się skończy, Arlys – odezwał się w jej uchu głos Jima – i świat znowu znormalnieje, no, stosunkowo przynajmniej znormalnieje, ty przy stanowisku gospodarza *Evening Spotlight* na pewno zostaniesz.

Pomyślała, że byłoby to niesamowite. Jak również to, czego się dowiedziała od Chucka. Nigdy nie zostanie wielką szychą.

– Trzymam cię za słowo.

– Daję ci uroczyste słowo honoru.

Fred położyła wydrukowany tekst i postawiła kubek z wodą.

– Dzięki. – Arlys zerknęła do lusterka, wygładziła ciemnobrązowe, ostrzyżone na długiego boba włosy i wyartykułowała kilka łamańców językowych, żeby się rozgrzać, kiedy zapaliło się światelko informujące, że za trzydzieści sekund wchodzi na antenę.

Dziesięć sekund przed emisją wyprostowała się, ściągając barki, na pięć sekund wcześniej zwróciła się do kamery i czekała, aż Steve da jej znak.

– Dzień dobry. Prosto z Nowego Jorku wita państwa Arlys Reid i zespół *Morning Report*. Obecnie Światowa Organizacja Zdrowia szacuje liczbę ofiar śmiertelnych H5N1-X na ponad miliard pięćset milionów. Wczoraj prezydent Carnegie odbył spotkanie z urzędnikami ze Światowej Organizacji Zdrowia oraz Centrum Kontroli Chorób, a także z szefami obu organizacji oraz naukowcami pracującymi całą dobę nad opracowaniem szczepionki, która pokona wirusa.

Kłamię, pomyślała, czytając dalej informacje. Kłamię, gdyż boję się powiedzieć prawdę.  
Kłamię, gdyż się boję.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Podczas gdy Arlys czytała doniesienia, Lana słuchała jednej nieprzyjemnej wiadomości za drugą i wyglądała przez okno.

Uwielbiała sięgające od podłogi do sufitu okna loftu, uwielbiała przypatrywać się dzielnicy, w której zamieszkała. Ileż było takich ranków, gdy we dwoje z Maksem biegli na drugą stronę ulicy do malutkiej piekarni po świeże bajgle? Teraz zamiast wystawy pełnej kuszących ciastek i ciast witrynę zasłaniały płyty upstrzone obscenicznymi graffiti.

Powiodła spojrzeniem ku delikatesom na rogu, gdzie tak często żartowała z wesołą sprzedawczynią. Przypomniała sobie jej imię – Doris. Tak, tak. Nazywała się Doris i zawsze nosiła biały czepek na ciasno ściągniętych do tyłu, siwiejących lokach, a usta miała pomalowane jaskrawoczerwoną szminką.

Ledwie dzień wcześniej Lana wyglądała przez to samo okno i obserwowała, jak rodzinny niegdyś sklep pełen klientów skurczył się do kupki osmalonych cegieł, nadal dymiących drewnianych elementów i rozbitego szkła.

Na pewno zrobiono to wyłącznie dla złośliwej satysfakcji.

Zniszczono lub zamknięto tak wiele sklepów i restauracji, w których ona i Max ongiś bywali, a w których teraz tak dobrze czuli się szabrownicy. Wandale nie próżnowali.

Inne lofty i mieszkania stały puste lub zamknięte na głucho. Zastanawiała się, czy za tymi drzwiami znajdowali się żywi, czy martwi.

Tego ranka nikogo nie zauważyła na chodnikach. Nie było nawet tych, którzy odważali się wychynąć w poszukiwaniu zapasów i innego zaopatrzenia, nim ponownie zamknęli się na trzy spusty. Nie przejechało ani jedno auto.

Pojawiali się nocą, wraz z narastającą ciemnością. Samozwańczy Najeźdźcy. Lana zastanawiała się, czy można ich było jakoś inaczej nazwać. Wyrastali znikąd niczym wściekle wilki, napadając stadami i przemieszczając się na ryczących motocyklach. Strzelali, rzucali w okna kamieniami lub bombami zapalającymi. Niszczyli, palili, szabrowali, śmiali się w głos.

Poprzedniej nocy, obudzona przez krzyki, zaryzykowała i wyjrzała przez okno. Zobaczyła bandę Najeźdźców stojących prawie na progu ich budynku. Dwóch się kłóciło, zaczęło ze sobą walczyć, wyciągnęli noże, podczas gdy reszta ich otoczyła i wznosiła gromkie okrzyki na widok krwi. Porzucili wykrwawiającego się przegranego na ulicy – ale uprzednio go skopali, a ktoś nawet po nim skakał.

Max zadzwonił na policję. Przybierające na sile moce pomogły mu wzmocnić sygnał, jako że telefony – naziemne i komórkowe – rzadko teraz działały.

Zjawili się po godzinie od telefonu z całym bojowym rynsztunkiem. Wsadzili ciało do worka i zabrali je, nie weszli jednak do budynku i ani z nią, ani z Maksem nie zamienili nawet słowa.

Z okna widziała na ulicy kałuże krwi.

Jak to możliwe, że świat stał się tak mrocznym, okrutnym miejscem? W tym samym czasie, w którym wstąpiło w nią światło? Czowała, jak wzbiera, czowała jego blask, czowała ten napływ mocy za każdym razem, gdy się na nią otwierała.

Wiedziała, że z Maksem jest podobnie – przeżywał taki sam rozkwit i zdumienie.

Zdawała sobie doskonale sprawę, że spotkało to nie tylko ich. Kobieta, która skoczyła z dachu budynku po drugiej stronie ulicy. Nie z rozpaczy, ale dla czystej radości szybowania na rozpostartych świetlistych skrzydłach. Albo chłopak, góra dziesięcioletni, który podskakując, biegł ulicą, machaniem rąk włączając i wyłączając sygnalizację świetlną.

Widziała tańczące światełka, obserwowała, jak niektóre z nich podfruwają na tyle blisko jej okna, że potrafiła rozróżnić ich postacie – damskie, męskie.

Cuda. Z tego okna widziała cuda. I podłość. Ludzkie okrucieństwo, siejące zniszczenie za

pomocą broni palnej, noży i dzikich spojrzeń. Mrocznej strony magii, która ciskała śmiertelne kule ognia lub powalała innych czarnymi, krzyczącymi mieczami.

Toteż, choć światło w niej przybierało na sile, świat umierał na jej oczach.

Z drżeniem serca Lana pomyślała o liczbach podanych przez kobietę z telewizji. Ponad półtora miliarda zgonów. Ponad półtora miliarda istnień ludzkich zniknęło z powierzchni ziemi – nie z powodu terroryzmu, bomb, czołgów czy obłąkanej ideologii. Lecz wirusa, jakichś mikroskopijnych mikrobów, które naukowcy beznamyślnie nazwali ciągiem liter i cyfr.

A ludzie, jej zdaniem, znacznie zwięźlej – apokalipsą.

Arlys Reid była teraz dla Lany podstawowym probierzem świata poza loftem. Oczekiwała z niecierpliwością na te codzienne wiadomości, gdyż reporterka wydawała jej się taka spokojna, tak niemożliwie spokojna, kiedy informowała o tych wszystkich okropieństwach.

I nadzieja, westchnęła Lana. Ciągła praca nad lekiem. Tylko że nawet gdy się pojawi – i czy się pojawi? – nic już nie będzie takie samo.

Apokalipsa rozprzestrzeniła swe trucizny z błyskawiczną precyzją, podczas gdy magia – zarówno ciemna, jak i jasna strona mocy – przybierała na sile, by wypełnić próżnię, którą wywołała śmierć.

Co z tego koniec końców zostanie?

– Lano, odejdz od okna, to niebezpieczne – poprosił Max.

– Ośloniłam je. Nikt nie zajrzy do środka.

– A czy sprawiłaś również, że stało się kuloodporne? – Max podszedł i ją odciągnął.

Odwróciła się do niego i zacisnęła oczy.

– Och, Max. Jak to możliwe? Na zachodzie jest dym. Zasnuł prawie całe niebo. Nowy Jork umiera.

– Wiem o tym. – Wziął ją w objęcia i objął spojrzeniem widok nad jej głową: dymy i coś, co przypominało ptaki, czarne na tle szarości i krążące. – W końcu udało mi się dodzwonić do Erica.

Lana szybko się odsunęła. Max od wielu dni usiłował skontaktować się ze swym młodszym bratem.

– Bogu dzięki! Wszystko u niego dobrze?

– Tak. Też nie dodzwonił się do rodziców. Skoro byli we Francji, kiedy to się zaczęło... nie ma się jak dowiedzieć. Nie umiałem tak daleko przepchnąć sygnału. Jeszcze nie.

– Wiem, że nic im nie jest. Po prostu wiem. Gdzie jest Eric?

– Nadal na Stanowym Pensylwańskim, ale mówi, że jest źle i że w nocy spróbuje się wydostać. Zamierza kierować się na zachód, z dala od miasta. Ma grupkę ludzi, z którymi będzie podróżować. Gromadzą zapasy. Zdołał podać mi miejsce, do którego jadą, zanim padł sygnał. Nie byłem w stanie go już dłużej utrzymać.

– Jednak dodzwoniłeś się do Erica i jest zdrow. – Uchwyciła się kurczowo tej myśli, ściskając dłonie Maksa. – Chcesz jechać, znaleźć go.

– Musimy wydostać się z Nowego Jorku, Lano. Sama powiedziałaś, miasto umiera. Zerknęła za siebie na okno.

– Całe życie – bąknęła. – Spędziłam tu całe życie. Tu pracowałam, tu cię poznałam. To już nie jest nasz dom. A ty musisz znaleźć Erica. Musimy iść i oboje go znaleźć.

Ulżyło mu, że Lana to rozumie. Przytulił policzek do czubka jej głowy. Znalazł swoje miejsce tutaj, w tym mieście, uważał je za centrum swego świata – tu pisał, co kochał robić, tu odkrył w sobie moc. Tutaj tak naprawdę stał się tym, kim był, tu studiował, praktykował czarostwo, wypracował pozycję zawodową. Tutaj znalazł Lanę i tutaj zaczęli budować wspólne życie.

A teraz jego miasto płonęło i krwawiło. Widział dość, by zdawać sobie sprawę, że trafia z nim do piekła, jeżeli tu zostaną. On mógł ryzykować, ale nie mógł narażać Lany.

– Muszę znaleźć Erica, ale najważniejsza dla mnie jesteś ty i twoje bezpieczeństwo.

Odwróciła głowę, żeby musnąć ustami jego szyję.

– Nawzajem będziemy dbać o swoje bezpieczeństwo. Może któregoś dnia wrócimy, pomożemy odbudować miasto.

Nic nie odpowiedział. To on wychodził z loftu, przeszukiwał miasto, żeby zdobyć prowiant.



Jego nadzieje na powrót przepadły.

– Jedna z osób w grupie Erica ma letni dom w Alleghenies, chcą tam dotrzeć. Jest położony na uboczu. – Max cały czas wpatrywał się w widok za oknem, gdzie ptaki – czy aby teraz nie nadleciało ich jeszcze więcej? – krążyły w kłębach dymu. – Tam powinno być bezpiecznie – podjął po chwili. – Im dalej od miasta, tym lepiej. Opracowałem już najlepszą trasę.

– To daleko stąd. Doniesienia – wiarygodna Arlys Reid – mówią, że tunele są zablokowane. A wojsko postawiło barykady. Usiłuje powstrzymać ludzi przed podróżami.

– Wydostaniemy się. – Przyciągnął ją znowu, chwycił za barki i przesunął dłońmi po jej ramionach, jakby chcąc jej przekazać swoją determinację. – Damy radę, Lano. Spakuj to, czego potrzebujesz, i tylko to, czego potrzebujesz. Ja teraz wyjdę, zdobędę trochę zapasów. A potem ukradniemy jakiś samochód, jest mnóstwo porzuconych. Potrafię go uruchomić.

Spojrzał na swoje dłonie.

– Poradzę sobie z tym. Pojedziemy na północ, dostaniemy się na Bronx.

– Bronx?

– Głównym problemem są tunele i mosty. Będziemy musieli przedostać się przez Cieśninę Harlemską, ale z tego, co wiem, nikt nie zabrania ludziom jechać na Bronx.

– Jak się tam dostaniemy?

– Najszybciej będzie chyba przez most Park Avenue. – Od wielu dni studiował mapy. – To most kolejowy, ale pickup albo terenówka powinny sobie na nim poradzić. To jakieś czterdzieści metrów, zjedziemy zaraz, jak tylko na niego wjedziemy. I będziemy kierować się na północ, aż będzie można skręcić na zachód do Pensylwanii. Musimy się wydostać z Nowego Jorku. Tu będzie tylko gorzej.

– Wiem. Czuję to. – Chwyciła Maksa za rękę i obróciła się w stronę telewizora. – Ona mówi, że rząd, naukowcy, dygnitarze, wszyscy twierdzą, że są coraz bliżej opracowania szczepionki, ale ja tego nie czuję, Max, choćbym bardzo chciała.

Pełna nagłej determinacji postąpiła krok w tył.

– Spakuję nas. Nie będziemy wiele potrzebować.

– Ciepłe ubrania – podsunął. – I włoż coś, w czym możesz się swobodnie poruszać, w razie potrzeby biec. Spakujemy też jedzenie, ale nie za dużo. Latarki, dodatkowe baterie, woda, kilka koców. Zdobędziemy więcej rzeczy, kiedy będziemy już w drodze.

Spojrzała na ścianę regałów – od podłogi do sufitu, zupełnie jak okna – i dziesiątki książek. Na części z nich było jego nazwisko.

Zrozumiał to i wzruszył ramionami.

– I tak już je przeczytałem. Wychodzę, znajdę nam plecaki. Tymczasem spakuj nas w jedną torbę, Lano.

– Uważaj na siebie.

Wziął jej twarz w dłonie i pocałował.

– Będę za godzinę.

– To się zbieram. – Ale ponieważ zdjął ją lek, przytrzymała go jeszcze na chwilę. – Jedźmy już teraz razem. Proszę, Max. Zdobędziemy potrzebne rzeczy, gdy wydostaniemy się z miasta.

– Lano, kochanie. – Pocałował ją w czoło. – Umarło wiele osób, które wyjechały nieprzygotowane. Nie stracimy głowy, zrobimy to, jak należy. Ciepłe ubrania – powtórzył i włożył kurtkę i czapkę narciarską. – Godzina. Zamknij za mną.

Kiedy wyszedł, przekreśliła zamki, które zainstalowali, odkąd zaczęło się to szaleństwo.

Wróci, pocieszyła się w myślach. Wróci, bo jest bystry i szybki i ma moc. Bo nigdy nie zostawiłby jej samej.

Poszła do sypialni i powiodła wzrokiem po ubraniach w szafie. Żadnych fajnych ani eleganckich ciuchów, westchnęła, żadnych wytwornych, seksownych butów. Poczula, że ścisła jej się serce, i wyobraziła sobie, że to samo poczuł Max na myśl o zostawieniu swoich książek.

Konieczność oznaczała pozostawienie rzeczy, które kochają, ale nigdy siebie.

Spakowała swetry, bluzy, grube legginsy, wełniane spodnie, dzinsy, flanelowe koszule, skarpetki, bieliznę. Jeden koc, jeden duży, ciepły szal, dwa ręczniki, saszetkę z podstawowymi

przyborami kosmetycznymi.

To samo pomyślała w łazience na widok produktów do pielęgnacji twarzy i włosów, akcesoriów do makijażu oraz olejków kąpielowych. Postanowiła wziąć tylko jeden jedyny słoiczek ulubionego kremu nawilżającego. Uznała, że to konieczność.

Weszła do salonu, kiedy Arlys Reid kończyła program relacją o kobiecie, która galopowała nago po Madison na jednorozcu.

– Mam nadzieję, że to prawda – mruknęła Lana i po raz ostatni wyłączyła telewizor.

Z sentymentu wybrała swoje ulubione zdjęcie z Maksem. Stał za nią i ją obejmował. Ona skrzyżowała ręce i trzymała go za dłonie. Był ubrany w czarne dżinsy i niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami, ona w letnią, zwiewną sukienkę, wokół nich rozciągała się bujna zieleń Central Parku.

Spakowała fotografię razem z ramką między ręczniki. I wsunęła egzemplarz jego pierwszej wydanej książki zatytułowanej *Król Czarodziej*.

Gnana nadzieją na koniec tego horroru poszła do jego gabinetu i wzięła przenośny dysk, na który kopiował pisane książki. Któregoś dnia, kiedy w świecie zagości normalność, będzie tego potrzebował.

Wyjęła z wąskiej szafki kuchennej dwie latarki i zapasowe baterie. Spakowała chleb, który upiekła dzień wcześniej, torebkę makaronu, torebkę ryżu, saszetki ziół, które ususzyła, kawę, herbatę. Do małej, miękkiej torby-chłodziarki włożyła kilka łatwo psujących się produktów, trochę zamrożonych piersi kurczaka.

Nie umrą z głodu – przynajmniej przez jakiś czas.

Rozwinęła miękką torbę na noże, cudowne japońskie ostrza, na które oszczędzała miesiącami, ale były tego warte. Pewnie nie powinna była zabierać ich wszystkich, musiała jednak przyznać, że zostawienie któregoś z nich złamie jej serce bardziej niż porzucenie garderoby. Poza tym to narzędzia, a one zawsze się przydadzą.

Zawinęła je i odłożyła. Uznała, że skoro to jej narzędzia, będzie je nosiła w plecaku. Jej narzędzia, jej ciężar.

Jakkolwiek głupie to było, poszła do sypialni, posłała łóżko i ułożyła poduszki.

Ubrała się – ciepłe ubrania, grube skarpety, solidne buty.

Kiedy usłyszała pukającego Maksa – siedem razy, trzy, trzy, raz – prawie przefrunęła do drzwi, szarpiąc zamki. A potem rzuciła się w jego ramiona.

– Nie martwiłam się – nie pozwoliłam sobie na to – kiedy cię nie było. – Wciągnęła go do środka. – Więc wszystko wezbrało i odpuściło w chwili, gdy usłyszałam twoje pukanie.

Do oczu napłynęły jej łzy. Parsknęła śmiechem, kiedy wyciągnął w jej kierunku plecak w kolorze czerwonego wina, z cukierkoworóżowym wykończeniem.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

– Lubisz róż. Mieli jeden w sprzedaży

– Max... – Starając się powstrzymać łzy, wzięła plecak. – Jejku. Jaki ciężki.

– Już je spakowałem. Twoje i moje męskie moro.

Chociaż jej tego nie powiedział, w jego plecaku był pistolet kaliber 9 milimetrów i dodatkowe magazynki, które znalazł w splądrowanym składzie.

– Każde z nas ma narzędzie uniwersalne i zestaw do filtrowania wody oraz trochę elastycznych linek. – Zdjął czapkę i przeczesał palcami włosy. – Jesteśmy nowojorczykami, Lano. Mieszczuchami. Tam będziemy obcy na obcej ziemi.

– Będziemy razem.

– Nie pozwolę, żeby ktoś cię skrzywdził.

– Dobrze. Ja też nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić.

– Spakujmy resztę. Być może będziemy musieli trochę maszerować, nim natrafimy na coś, co nadaje się do jazdy. Chcę wydostać się z Nowego Jorku przed zmrokiem. – Kiedy dopakowywali plecaki, zmierzył wzrokiem jej torbę z nożami. – Wszystkie?

– Nie wzięłam ani jednej pary od Manolo. To boli, Max. To boli.

Zastanowił się nad tym krótko, po czym wziął ze stojaka butelkę wina i wsunął ją do

swojego plecaka.

– To wydaje się sprawiedliwe.

– Owszem. Ty masz nóż przy pasku. To pochwa na nóż, prawda?

– To narzędzie. I zabezpieczenie – dodał, gdy nic nie powiedziała. Po chwili odsunął suwak przedniej kieszeni plecaka, wyjął pistolet i kaburę.

Autentycznie wstrząśnięta na widok broni w jego ręku cofnęła się.

– Och, Max. Tylko nie broń. Zawsze mieliśmy do niej identyczne podejście.

– Obca ziemia, Lano. Niebezpieczna. – Przymocował kaburę do paska. – Nie wychodziłaś z domu od prawie dwóch tygodni. – Wziął jej dłoń i ścisnął. – Zaufaj mi, to konieczne.

– Ufam ci. Chcę się stąd wydostać, Max, i pojechać gdzieś, gdzie pistolety nie są konieczne, a noże nie rozwiązują sytuacji. Chodźmy już.

Zaczęła wkładać kaszmirowy płaszcz – niebieski jak jej oczy – który dostała od niego na Boże Narodzenie, ale kiedy pokręcił głową, sięgnęła po parkę. Przynajmniej nie sprzeczał się o kaszmirowy szalik, którym owinęła szyję.

Pomógł jej włożyć plecak.

– Dasz sobie z nim radę?

Zacisnęła dłoń w pięść i zgięła rękę w łokciu.

– Jestem mieszkanką miasta, która chodzi na siłownię. A raczej chodziła.

I z tymi słowy wzięła torebkę i przerzuciła ją przez ramię.

– Lano, nie potrzebujesz...

– Zostawiam robot kuchenny, żeliwny garnek, noszone dokładnie raz louboutiny za kolana, ale bez torebki nie wyjdę. – Rozluźniając barki, żeby plecak dobrze się ułożył, spojrzała na niego spokojnie i zaczepnie. – Apokalipsa czy nie apokalipsa, są jakieś granice, Max.

– To te buty, w których weszłaś do mojego gabinetu, mając na sobie jedną z moich koszul?

– Owszem. Nosилаm je zatem dwa razy.

– Będę za nimi tęsknił tak samo jak ty.

Pomyślała, że to dobrze, że się uśmiechnęli przed wyjściem z domu.

Max chwycił torbę, którą przygotowała. Otworzył drzwi.

– Będziemy cały czas szli – oznajmił. – Po prostu będziemy szli, dopóki nie natrafimy na pickupa albo terenówkę.

Ponieważ uśmiech spelzł jej z twarzy, tylko kiwnęła głową.

Ruszyli ku klatce schodowej znajdującej się na końcu wspólnego korytarza.

Drzwi ostatniego mieszkania uchyliły się lekko.

– Nie idźcie tam.

– Nie zatrzymuj się – nakazał Max, kiedy Lana przystanęła.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej. Stała w nich kobieta, którą Lana знаła jako Michelle. Pracowała w reklamie, pochodziła z bogatej rodziny, była rozwiedziona i prowadziła bujne życie towarzyskie.

Teraz skołtunione włosy Michelle unosiły się wokół jej twarzy niby podwiewane szaleńczym wiatrem.

Za jej plecami wirowały talerze, szkło, poduszki i zdjęcia.

– Nie idźcie tam – powtórzyła. – Tam czai się śmierć. – A potem wyszczerzyła zęby w przerażającym uśmiechu, gdy kręciła w powietrzu palcami. – Nie mogę przestać! Po prostu nie mogę! Wszyscy tu jesteśmy szaleni. Wszyscy. Jesteśmy. Szaleni.

Zatrzasnęła drzwi.

– Nie możemy jej jakoś pomóc? – spytała Lana.

Max tylko ujął ją pod ramię i pociągnął w stronę schodów.

– Nie zatrzymuj się.

– Jest jedną z nas, Max.

– I niektórzy z nas nie są w stanie poradzić sobie z tym, co się w nich obudziło. Popadli w obłąd, tak jak ona. Wykazują odporność na wirusa, ale i tak są straceni. Taka jest rzeczywistość, Lano. Nie zatrzymuj się.

Zeszli trzy piętra w dół do wąskiego holu.

Ktoś pootwierał skrzynki na listy, ich drzwiczki zostały wyłamane lub zwisały na zawiasach niczym języki. Ściany pokrywało graffiti. Czują zapach moczu, ostry i stary.

– Nie wiedziałam, że dostali się do budynku,

– Aż do pierwszego piętra. – Pokiwał głową Max. – Większość lokatorów zdążyła już zniknąć. Nie jestem pewien, czy ktokolwiek poniżej drugiego piętra jeszcze został.

Na dworze świeciło zimowe słońce i wiał ostry, przenikliwy wiatr. Lana poczuła w nozdrzach dym i popiół, zepsute jedzenie i coś, o czym wiedziała, że jest zapachem śmierci.

Milczała, gdy mijali coś, co niegdyś było jej małym światem uliczek, zaułków, sklepów i kafejek. Zamiast nich widziała teraz zniszczenie, ruiny i opustoszałe ulice zasłane rozbitymi lub porzuconymi autami. W przeraźliwej ciszy ich kroki odbijały się głośnie echem.

Pragnęła usłyszeć silniki, klaksony, ludzkie głosy, całą tę nakładającą się i uciążliwą kakofonię miasta. Oplakiwała ją, gdy kierowali się na północ.

– Max, o Boże, Max, w tym samochodzie są ciała.

– Niektórzy byli zbyt chorzy, żeby wyjść o własnych siłach albo dostać się do szpitala, ale przynajmniej próbowali. Widzę ich coraz więcej za każdym razem, gdy wychodzę. Nie możemy się zatrzymywać, Lano. Nic nie możemy zrobić.

– Nie powinniśmy ich tak zostawiać, ale też to wszystko nie powinno się było wydarzyć. Nawet gdyby jutro zaczęto wydawać szczepionki... Sądysz, że szczepionka nigdy się nie pojawi?

– Sądzę, że jest więcej zmarłych, niż podają, a to nie koniec. Moim zdaniem ludzie nie są wcale bliscy znalezienia szczepionki.

– Nie wolno nam tak myśleć. Max, nie wolno...

Gdy to mówiła, jakaś dziewczyna – mogła mieć nie więcej niż piętnaście lat – wyskoczyła z rozbitego okna wystawowego, dźwigając na ramionach wypchany plecak.

Lana zaczęła ją gorączkowo uspokajać. Dziewczyna uśmiechnęła się i wyszarpnęła zza paska nóż o ząbkowanym ostrzu.

– Natychmiast rzućcie na ziemię plecaki i torby i idźcie w swoją stronę, to was nie potnę.

Pod wpływem szoku i strachu Lana skuliła się. Max zasłonił ją własną pierśią.

– Wyświadczyć nam wszystkim grzeczność – rzekł lodowatym tonem. – I odejść.

Jasnowłosa dziewczyna, z wystającymi spod wełnianej czapki kosmykami włosów, ze świstem machnęła w powietrzu nożem.

– Twoja suczka nie będzie ładnie wyglądać, kiedy wywiercę w niej kilka dziur. Rzućcie towar, jeśli nie chcecie krwawić.

Gdy dziewczyna skoczyła, dźgając nożem, Lana zareagowała instynktownie. Wyrzuciła do góry rękę i wrzasnęła ze strachu. Ale tylko w głowie.

Tamta cofnęła się gwałtownie z krzykiem. Tych kilka sekund pozwoliło Maksowi wyciągnąć broń z kabury.

– Cofnij się. Odejść.

– Jesteś jedną z nich. – Oczy dziewczyny, teraz pełne nienawiści, zwęziły się i wpatrywały w Lanę. – Jesteś jedną z Niesamowitych. To przez ciebie. To wszystko przez ciebie. Jesteś pierdolonym śmieciem. – Splunęła im pod nogi i uciekła.

– Max, mój Boże...

– Spadamy. Na pewno ma towarzystwo.

Ruszyła za nim truchtem, kątem oka zauważając, że nadal nie schował broni.

– Co ona miała na myśli, mówiąc o...

– Później. Patrz, tam, ta srebrna terenówka. Widzisz?

Auto miało zderzak zgnieciony przez sedana. Obok niego na ziemi leżały ciała.

Max wepchnął broń do kabury i chwycił Lanę za rękę. Teraz musiała biec sprintem, żeby dotrzeć do kroku.

– Max. Krew... Wsiąkła w ulicę.

– Nie zwracaj na nią uwagi.

Kiedy szarpnięciem otworzył drzwi, ciszę przerwał ryk silnika.

– Wsiadaj!

Lana musiała przeskoczyć nad krwią i martwymi ciałami, żeby niezgrabnie wpakować się do auta. Nie mogła powstrzymać się od krzyku, kiedy rozległ się huk wystrzału. Cała się trzęsła. Max wskoczył za kierownicę, ciskając torbę na tył.

Sznur kolorowych plastikowych kółek zagrzecotał, gdy Max wyciągnął dłoń do stacyjki. Zza rogu wypadł motocykl i z warkotem pędził w ich kierunku. Na tylnym siodełku jechała jakaś dziewczyna. Obejmowała w pasie mężczyznę z powiewającymi na wietrze czarnymi włosami, poprzetykanymi czerwonymi pasemkami.

– Dorwać Niesamowitych! – wrzasnęła dziewczyna. – Zabić ich!

Wybiegła za nimi grupka czterech, może pięciu osób i zaczęła strzelać do terenówki. Na czole Maksa załśnił pot. Nie miał zamiaru się poddać.

– No dalej, dalej – wysyczał z wściekłością.

Myśląc o życiu, jakie mogli razem wieść, o świecie, który mógł wyglądać zupełnie inaczej, Lana zamknęła oczy. Przynajmniej umrą razem, westchnęła w duchu i ścisnęła go za przedramię.

Silnik zaskoczył. Max przestawił dźwignię biegów na tryb jazdy i wcisnął gaz.

– Trzymaj się – ostrzegł i gwałtownie wykręcając kierownicę, ruszył z piskiem opon.

Lana podskoczyła, kiedy kula rozbiła boczne lustro, a jedno koło wjechało na krawężnik i zaraz się z niego stoczyło. Auto otarło się o bok kolejnego rozbitego samochodu, zanim Max ponownie wcisnął gaz do dechy.

Pędzili ulicą, ale motocykl cały czas ich ścigał.

Max nie zwolnił, kiedy natknęli się na kolejne wraki samochodów, przeciwnie – manewrował między nimi z niebezpieczną prędkością.

Lana odwróciła się.

– Chyba się zbliżają – jęknęła. – O Boże, Max ta dziewczyna... ta dziewczyna... ma broń.

Celu...

Pociski ze świstem przecięły powietrze. Usłyszała brzęk rozbitego szkła.

– Tylne światło – rzekł ponuro i ściąwszy róg Pięćdziesiątej, tak że terenówka niebezpiecznie się zakołysała, skierował się na wschód. – Być może będę musiał zwolnić, żeby przejechać przez miasto i ominąć porzucone auta. Ale on jest zwrotniejszy. Zrób to, co zrobiłaś na ulicy.

Spanikowana przycisnęła dłonie do skroni.

– Nie wiem, co zrobiłam. Byłam przerażona.

Wykręcił błyskawicznie kierownicę, tak że auto podskoczyło nad spłaszczonym rowerem kurierskim.

– A teraz nie jesteś? Odepchnij ich, Lano. Odepchnij ich mocą albo nie wiem, czy zdołamy się wywinąć.

Pocisk trafił w tylną szybę i roztrzaskał okno. Lana wyrzuciła rękę w górę. I odegnała od siebie strach.

Przednie koło motocykla wystrzeliło nagle w górę, a tylne się uniosło. Gdy pojazd zaczął się obracać, dziewczyna zleciała z siodełka. Krzyknęła, zanim uderzyła w maskę jakiegoś samochodu. Mężczyzna ścisnął nogami motor, usiłując odzyskać nad nim kontrolę. Pojazd jednak opadł na drogę, wywrócił się, a potem i on, i jego kierowca potoczyli się po ulicy.

– O Boże, zabiłam ich?! – zawołała Lana.

– Ocaliłaś nas.

Zwolnił nieco, lawirując przez miasto. Musiał skręcić na północ w Broadway, ponieważ wraki blokowały nitkę wschodnią. Za nimi Times Square, niegdyś tak zatłoczony, chaotyczny mikroświat, tonął teraz w ciszy niczym cmentarz.

Max zwolnił na samym skrzyżowaniu, sprawdzając, czy droga jest przejezdna. Skręcił na wschód.

Lana zastanawiała się, ile razy jechała taksówką lub metrem do tej części Manhattanu, na zakupy, lunch lub do teatru.

Wyprzedaż u Barneysa, polowanie w obuwniczym rajku na siódmym piętrze Saksa,

przechadzka po Central Parku z Maksem.

To już koniec, to tylko wspomnienia.

Na ulicach widziało się nieliczne oznaki życia – ludzie poruszali się ukradkiem, bez tego charakterystycznego dla nowojorczyków energicznego tempa, dowodzącego, że ma się wiele spraw do załatwienia. Nie było turystów, którzy by z zadartymi głowami podziwiali drapacze chmur.

Porozbijane wystawy, wywrócone śmietniki, rozbite latarnie, polujący pies, tak chudy, że widać mu było żebra. Lana zastanawiała się, czy zwierzę zdziczeje, czy zacznie polować na ludzi.

– Ilu mieszkańców ma Nowy Jork?

– Blisko dziewięć milionów.

– Przejechaliśmy prawie pięćdziesiąt przecznic, a ja nie widziałam nawet pięćdziesięciu osób. Nie ma nawet jednego człowieka na przecznicy. – Odetchnęła głęboko, usiłując się uspokoić. – Nie wierzyłam, kiedy mówiłeś, że nie podają liczby wszystkich zmarłych. Teraz wierzę. Dlaczego ta dziewczyna chciała naszej śmierci, Max? Dlaczego nas ścigali i chcieli zabić?

– Pozwól, że najpierw wydostanę nas z miasta.

Skręcił w Park Avenue. Na szerokiej alei wcale nie mieli więcej miejsca, było tylko więcej wraków. Wyobraziła sobie tę panikę, która spowodowała karambole, tę wściekłość, która wywróciła autobusy i samochody, ten strach, który zabił deskami okna, nawet pięć czy sześć pięter nad ulicami i chodnikami.

Narożna budka z jedzeniem została kompletnie zdemolowana. Całkowicie spalona limuzyna jeszcze dymiała. Porzucone dźwigi kołysały się niczym gigantyczne szkielety. Max manewrował między tym wszystkim z rękami zaciśniętymi na kierownicy i wzrokiem skupionym na drodze.

– Robi się nieco luźniej – powiedział. – Większość pojechała przez tunele czy mosty, nawet po tym, jak ustawiono barykady.

– Nadal jest pięknie – rzekła Lana przez zaciśnięte gardło. – Te stare kamienice, te posiadłości.

Mimo drzwi wyrwanych z zawiasów i rozbitych okien tej okolicy nadal uparcie trzymało się piękno.

Wodząc uważnie wzrokiem, Max pędził szeroką, niegdyś zadbaną aleją.

– Wszystko wróci na swoje miejsce – orzekł. – Ludzie są zbyt uparci, by nie odbudować, nie zasiedlić ponownie takiego miasta jak Nowy Jork.

– Czy my jesteśmy ludźmi?

– Oczywiście, że tak. – By pocieszyć ich oboje, nakrył jej dłoń swoją. – Nie pozwól, by strach i podejrzliwość okrutnych i niedouczonej sprawiły, że przestaniesz w siebie wierzyć. Musimy wydostać się z Manhattanu, a potem będziemy kierować się na północ, na północ i zachód, dopóki nie przekroczymy rzeki. Im dalej od terenów miejskich, tym większe mamy szanse.

Musieli przedostać się na most, zjechali więc z asfaltu na tory kolejowe, jak tylko te wyłoniły się z tunelu.

Skinęła głową, a on ścisnął jej dłoń.

– Jeżeli nie uda nam się przejechać przez Hudson, znajdziemy jakieś miejsce, w którym doczekamy do wiosny. Zaufaj mi, Lano.

– Ufam ci.

– Zostało już tylko niecałe dwadzieścia przecznic do mostu. – Zerknął w lusterko wsteczne i zmarszczył brwi. – Za nami jedzie jakiś samochód, i to dość szybko.

Max zwiększył prędkość.

Lana spojrzała za siebie.

– To chyba policja. Świecą lampami i włączyli syreny. To policja, Max, powinieneś zjechać. Zamiast tego docisnął gaz.

– Stare zasady już nie działają. Niektórzy gliniarze robią obławy na takich jak my.

– Nie. Niczego takiego nie słyszałam. Max! Jedziesz za szybko.

– Nie zamierzam ryzykować. Rozmawiałem z takimi jak my. Jesteśmy zamykani, jeżeli trafiamy na patrole. Nie tylko ta dziewczyna nas obwinia. Już prawie dojechaliśmy.

– Ale nawet... – urwała, zaciskając oczy, kiedy pędem minęli przewróconą ciężarówkę.

– Spowolnij ich – warknął.

– Nie...

– Zrób to, co zrobiłaś, ale słabiej. Spowolnij ich.

Serce jej łomotało, ale podniosła dłoń i spróbowała wyobrazić sobie, jak odpycha radiowóz, po prostu odsuwa go od siebie.

Samochodem zarzuciło, a potem pojazd cudem zwolnił. Jak to możliwe?, pomyślała. Kilka tygodni temu ledwie potrafiła zapalić świeczkę, a teraz... teraz to w niej płonie światło.

– Tak jest dobrze. Utrzymaj ich tak. Potrzebujemy tylko kilku minut.

– Boję się, że jeżeli... Może być tak jak z motocyklem. Nie chcę nikogo skrzywdzić.

– Po prostu niczego nie zmieniaj, już widzę most. O kurwa! Podnieśli przeszło. Nie pomyślałem o tym. Powinienem być to przewidzieć.

Dekoncentrując się, obróciła się i zobaczyła wysoko podniesione przeszło mostu. I przerwę pomiędzy nim a drogą.

– Musimy zjechać!

– Nie. Musimy go obniżyć. – Znowu chwycił jej rękę. – Razem. Możemy to zrobić razem. Skup się, Lano, wiesz jak. Skup się na obniżeniu przeszła albo już po nas.

Miał zbyt dobre mniemanie o jej zdolnościach. Ale jego dłoń mocno trzymała jej rękę, tak że odebrała wibracje jego mocy. Cokolwiek w sobie miała, pchnęła to ku niemu.

Zadrżała z wysiłku, poczuła, jak wszystko w niej przesuwa się i... rozszerza. I wtem z szarpnięciem, jak przy zdmuchiowaniu świecy, przeszło zaczęło opadać.

– To działa. Ale...

– Nie rozprasza się, Lano. Damy radę.

Jechali jednak za szybko, a przeszło obniżało się zbyt wolno. Za nimi wyły syreny.

Razem, pomyślała. Życ albo umrzeć. Zamyknęła oczy i pchała coraz mocniej.

Usłyszała łupnięcie, poczuła, jak samochód uniósł się w powietrze i zatrząsł.

– Podnoś! – krzyknął Max.

Czuła, jak dzwoni jej w uszach, jak cała drży, ale pchnęła ponownie. Otworzyła oczy. Przez chwilę myślała, że lecą.

Obróciła się szybko i zobaczyła, że przeszło podnosi się za nimi, metr za metrem. Ścigający ich samochód zatrzymał się z piskiem opon po drugiej stronie.

– Max. Skąd się to bierze? Jak my to robimy? Ta moc, ten rodzaj mocy, jest przerażający i...

– Emocjonujący? Przesunięcie równowagi, otwarcie. Nie wiem, ale czujesz to?

– Tak. Tak. – Otwarcie, pomyślała, i znacznie więcej.

– Wydostaliśmy się. – Odetchnął z ulgą Maks. Uniósł jej dłoń do warg, ale nie zwolnił, gdy jechali torami. – Znajdziemy drogę. Weź wodę z plecaka, oddychaj spokojnie. Cała drżysz.

– Ludzie... ludzie próbują nas zabić.

– Nie pozwolimy im na to. – Gdy odwrócił ku niej głowę, jego ciemnoszare oczy płonęły determinacją. – Przed nami długa droga, Lano, ale poradzimy sobie.

Oparła głowę o zagłówek, przymknęła oczy i starała się uspokoić tętno, pozbyć się z umysłu mgły lęku.

– Jakie to dziwne – wymamrotała. – Tyle czasu mieszkam w Nowym Jorku, a pierwszy raz jestem w Bronksie.

Jego głęboki i niewymuszony śmiech ją zaskoczył.

– Cóż, no to masz niezłą wycieczkę.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Jonah Vorhies próbował objąć rozumem chaos oddziału ratunkowego. Ludzie albo nadal tłumnie napływali, albo wchodzili niepewnym krokiem, jakby ten budynek wciąż oferował cuda. Przychodzili, kaszląc i wymiotując, krwawiąc i umierając. Większość z powodu apokalipsy, inni z powodu przemocy związanej z epidemią.

Widział rany postrzałowe, rany klute, złamania, obrażenia głowy.

Niektórzy siedzieli spokojnie, pozbawieni nadziei, jak ten mężczyzna z na oko siedmioletnim chłopcem na kolanach. Albo ta kobieta ze szklistymi, rozgorączkowanymi oczami, odmawiająca różaniec. Inni wściekali się, krzyczeli, stawiali żądania, plując śliną z wykrzywionych ze złości ust. Jonah pomyślał, że to szkoda, że ich ostatnie uczynki w życiu są tak brzydkie.

Regularnie wybuchały bijatyki, ale rzadko trwały dłużej niż kilka minut. Wirus niszczył ciało tak bardzo, że nawet czempion świata padłby po wymierzeniu lub otrzymaniu kilku ciosów.

Personel medyczny – a raczej jego resztki – robił, co mógł.

Jonah wiedział, że w szpitalu są jeszcze wolne łóżka. Och, mnóstwo wolnych łóżek, bloków operacyjnych i sal zabiegowych. Nie było jednak dość lekarzy, pielęgniarek, stażystów i sanitariuszy, którzy by leczyli, zszywali i tamowali krew.

Panował za to tłok w kostnicy – o tym także wiedział. Nigdzie ani jednego miejsca, ciała piętrzyły się niczym dziecięce klocki.

Większość personelu medycznego? Zmarła lub uciekła. Patti, od czterech lat jego koleżanka z ambulansu, Patti, matka dwójki dzieci, która uwielbiała ostrego rocka, horrory (im makabryczniejsze, tym lepsze) oraz meksykańskie jedzenie – nie żałuj tabasco, mawiała – w drugim tygodniu uciekła na Florydę, zabierając z sobą dzieci. Uciekła, ponieważ jej ojciec – zapalony golfista, który prowadził bardzo przyjemne życie w Tampie – zmarł, a jej matka – emerytowana nauczycielka, ochotniczka walcząca z analfabetyzmem i wielbicielka robótek ręcznych – umierała.

Widział w Patti zapowiedź apokalipsy, razem ze strachem i żalobą, które odczuwała, kiedy się żegnali. Wiedział, że już nigdy jej nie zobaczy.

Jej ani tej uroczej pielęgniarki, która tak lubiła ozdabiać fartuchy kotkami lub szczeniactkami. Żującego gumę balonową sanitariusza, entuzjastyczną stażystkę, która chciała zostać chirurgiem, i dziesiątki, dziesiątki innych.

Padali jak muchy, niektórzy w domu, niektórzy usiłując pracować. Sam kilku przywiózł – teraz już bez Patti. Personel szpitalny, paramedyczny, ratownicy medyczni, strażacy, policjanci – ubywało wszystkich.

Zmarli lub uciekli.

Rachel żyła – śliczna, pełna oddania doktor Hopman. Widział, jak walczyła z falą apokalipsy. Przepracowana, wyczerpana, ale nigdy spanikowana. Zaczął jej szukać, zaglądać do niej.

Dawała mu nadzieję.

A potem postanowił się trzymać z dala od niej, zamknąć w mieszkaniu, odseparować, zniknąć, nadzieja bowiem bolała.

Po jakimś czasie wrócił, szukając daremnie jej iskierki, tej wątłej drobiny światła w okrutnym świecie. I widział tylko śmierć, która na niego zewsząd napierała, rzucała się z pazurami, naigrawała ze zdolności jej widzenia i niepodejmowania żadnych działań.

Wszedł więc na oddział ratunkowy, godząc się z decyzją, którą podjął. Po raz ostatni poszuka nadziei.

Zajrzał do gabinetów zabiegowych i zobaczył śmierć. Zajrzał do magazynów i zobaczył splądrowane półki.

Pomyślał, że ostatni raz obejdzie szpital.



Poza oddziałem ratunkowym wszędzie rozbrzmiewało echo niczym w grobowcu. Przeszło mu przez myśl, że może to jest nawet i stosowne. Może to znak? A Bóg wie, że cisza koi.

Wkrótce wszystko ucichnie.

Wszedł do pomieszczenia dla pracowników – miał stąd kilka dobrych wspomnień, które chciał ze sobą zabrać. Zobaczył Rachel, która siedziała przy jednym ze stolików i pobierała sobie krew.

– Co robisz?

Podniosła na niego wzrok. Na jej twarzy malowało się zmartwienie, zmęczenie i spokój. Lecz ani śladu apokalipsy.

– Zamknij drzwi, Jonah. – Zakorkowała próbkę, opisała ją i odstawiła na stojak między inne. – Pobieram krew. Jestem odporna. Minęły ponad cztery tygodnie, a ja nie mam żadnych objawów. Wielokrotnie byłam narażona na kontakt z wirusem i nic, nie mam żadnych symptomów choroby. Ty też nie – zauważyła. – Usiądź. Chcę wziąć próbkę.

– Dlaczego?

Spokojnie odpakowała nową strzykawkę.

– Ponieważ każdy, kogo leczyłam – każdy bez wyjątku – zmarł. Ponieważ jestem przekonana, że przywiozłeś pacjenta zero na mój oddział ratunkowy: Rossa MacLeoda.

Nogi się pod nim ugięły tak, że usiadł.

– Ja...

– Wysłałam raport do Centrum Kontroli Chorób parę tygodni temu, ale nigdy nie otrzymałam odpowiedzi. Oni też umierają. Nie mogę się tam dodzwonić, ale spróbuję wysłać kolejny raport jutro. Musimy zyskać na czasie, zanim do nas dotrą. Zdejmij kurtkę i podwiń rękaw.

– Zanim do nas dotrą?

– Są teraz w Nowym Jorku. Nowy Jork, Chicago, Los Angeles, Atlanta, oczywiście. – Zaciągnęła gumową opaskę. – Zaciśnij rękę – powiedziała i odkaziła zgięcie łokcia. – Przechesują miasta. Szukają odpornych takich jak ty i ja, biorą ich na testy. Bez względu na to, czy ci odporni chcą być im poddawani.

– Skąd wiesz?

Uśmiechnęła się blado i wsunęła igłę tak, żeby prawie nie poczuł ukłucia.

– Lekarze rozmawiają z lekarzami. Mam koleżankę na stażu w Chicago. Miałam. Chyba już zmarła.

Kiedy głos się jej załamał, siedziała przez chwilę, wciągając powietrze i wypuszczając je, póki się nie uspokoiła.

– Przyjechali w skafandrach ochronnych i przetestowali pracowników. Ona ich nie przeszła, ale wzięli tych, którzy przeszli. Trzy dni temu. Jej brat pracował w szpitalu Sibley w Waszyngtonie. Przejęli tę placówkę. Utworzyli coś na kształt wspólnych oddziałów specjalnych. Centrum Kontroli Chorób, Narodowy Instytut Zdrowia, Światowa Organizacja Zdrowia. Przenieśli chorych do innych szpitali. Zostawili kilku na obserwacji, poddają ich testom. Odporni przechodzą kwarantannę. Wojskową kwarantannę. Jej brat zdołał się wydostać i skontaktować z nią. A ona ostrzegła mnie.

– Słuchałem wiadomości, kiedy mogłem. – Kiedy był je w stanie znieść. – O niczym takim nie słyszałem.

– Jeżeli ktokolwiek w mediach o tym wie, to trzyma to w tajemnicy. Albo też jest przetrzymywany. Takie są moje domysły. – Zakorkowała i opisała pobraną od niego krew, po czym na małej kropce po ukłuciu położyła gazik i zakleiła go plasterkiem.

Usiadła i spojrzała mu w oczy.

– Healy też jest odporny.

– Nie wiem, kto to.

– No tak, skąd. Nasz laborant – dobry. Prowadzi własne testy. Przeprowadziliśmy ich wiele na zarażonych, poczynając od MacLeoda. Ale my, czy raczej on prowadzi je teraz na odpornych. Póki może.

Rachel rozejrzała się po pomieszczeniu jak osoba, która właśnie wypłynęła na powierzchnię

głębokiego basenu.

– Jesteśmy małym szpitalem na Brooklynie, ale dotrą do nas. Jeżeli ktokolwiek natknie się na mój raport wstępny, dotrą do nas szybciej, niż się spodziewamy, a ja zostanę poddana kwarantannie i stanę się obiektem badań. Ty też – dodała, po czym przycisnęła palce do zmęczonych oczu. – Powinieneś trzymać się jak najdalej od tego miejsca.

– Przyszedłem się pożegnać.

– Słusznie. Nie robimy nic dobrego. Ty przywożąc zarażonych, a ja próbując ich leczyć.

Współczynnik umieralności zakażonych wynosi sto procent. Sto procent.

Zakryła twarz dłońmi i potrząsnęła przecząco głową, gdy dotknął jej ramienia.

– Chwila – wymamrotała i zanim odsunęła dłonie, wypuściła powietrze. Jej ciemnobrązowe oczy lśniły blaskiem, ale nie płakała.

– Całe życie chciałam być lekarką. Nigdy nie marzyłam o zostaniu księżniczką, baletnicą, piosenkarką czy słynną aktorką. Tylko medycyna. I to medycyna ratunkowa. Jesteś przy ludziach, kiedy są chorzy i przerażeni, kiedy cierpią. Pomagasz im. A teraz? Moje działania nic nie dają.

– Rzeczywiście. – Poczul, jak wokół niego zamyka się ciemność. – Nic nie dają.

– Może twoja krew coś da. Może Healy wpadnie na jakiś trop. Szanse są niewielkie, ale może. A ja będę robić, co mogę, póki mogę. Powinieneś iść. – Położyła rękę na jego dłoni. – Znajdź bezpieczne miejsce. Nie wracaj tu.

Spojrzał na jej rękę. Wiedział, że jest silna, kompetentna.

– Durzyłem się w tobie.

– Wiem. – Uśmiechnęła się, kiedy podniósł na nią wzrok. – Trochę szkoda, że żadne z nas nic z tym nie zrobiło. Ja – z różnych względów – unikałam angażowania się. Jaka jest twoja wymówka?

– Nie potrafiłem zebrać się na odwagę.

– Nasz błąd. Teraz już za późno. – Odsunęła dłoń, wstała i wzięła stojak z próbkami. – Zaniosę je Healy'emu i zastąpię jego asystentkę, został w dziale sam. Trzymaj się, Jonah.

Przyglądał się jej, jak odchodziła. Pomyślał, że nie ma nadziei. Nie widział w niej niczego takiego. Siła owszem, ale isierka nadziei zgasła. Zrozumiałe.

Odwinął rękaw i włożył kurtkę. Nie chciał wracać przez oddział ratunkowy, przedzierać się przez tę całą śmierć, ale wiedział, że to pomoże mu skonkretyzować podjętą decyzję.

Zignorował krzyki, wymioty, okropny rżący kaszel i wyszedł na zewnątrz. Sądził, że wcieli swój plan w życie wewnątrz budynku. Gdyby miał jaja, zrobiłby to nawet w kostnicy. Ułatwiłby wszystkim robotę. Tyle że nie potrafił tego zrobić.

Tutaj, przy drzwiach na oddział ratunkowy? Do cholery, oni tam mają wystarczająco dużo na głowie. W ambulansie? To wydawało się lepszym pomysłem.

Za kierownicą czy z tyłu? Za kierownicą czy z tyłu? Dlaczego tak trudno mu wybrać?

Sam akt? Żaden problem. Miał do czynienia z wystarczającą liczbą samobójstw i prób samobójczych, żeby wiedzieć, jaki sposób będzie najlepszy. Stary pistolet ojca.

Włożyć lufę do ust, pociągnąć za spust. Po sprawie.

Po prostu nie mógł dalej żyć, widząc wokół siebie tyle śmierci. Pozbawionej nadziei, nieuniknionej śmierci. Nie mógł nadal patrzeć na twarze sąsiadów, współpracowników, rodziny i widzieć w nich śmierć.

Nie mógł dalej zamykać się w ciemności, żeby przestać ją widzieć. Nie mógł nadal słyszeć krzyków, strzelaniny, błagań o pomoc, szalonego śmiechu.

W końcu depresja i rozpacz zmieniają się w szaleństwo. A on bał się, naprawdę się bał, że to szaleństwo uczyni z niego kolejną z bestii polujących na innych i siejących jeszcze więcej śmierci.

Lepiej to skończyć, po prostu skończyć i odejść w ciszę.

Sięgnął do kieszeni i poczuł uspokajający kształt pistoletu. Ruszył w stronę ambulansu, zadowolony, że miał okazję zobaczyć Rachel, pomóc jej, pożegnać się. Zastanawiał się, co też Healy znajdzie w jego krwi. Coś skażonego tą potworną zdolnością?

Przeklęta krew.

Skreślił na dźwięk klaksonu, ale szedł dalej, nawet kiedy minivan z piskiem opon

zahamował i wtoczył się na krawężnik. Więcej zgonów w tym domu śmierci, pomyślał i zgarbił się, słysząc wołanie o ratunek.

Na to nie ma ratunku.

– Proszę, proszę! Potrzebuję pomocy!

Obiecał sobie, że już dość śmierci. Nie będzie więcej patrzył na śmierć.

– Dzieci się rodzą. Proszę mi pomóc

Nie mógł się powstrzymać i odwrócił się. Zobaczył kobietę, która z trudem wysiadła z jaskrawoczerwonego vana, podtrzymując ciężowy brzuch.

– Potrzebuję lekarza. Zaczęłam rodzić. Moje dzieci...

Widział nie śmierć, ale życie. Trzy życia. Trzy jasne iskry.

Pocieszając się, że zdąży się zabić później, podszedł do niej.

– Który tydzień?

– Trzydzieści cztery tygodnie, pięć dni. Bliźnięta. Mam bliźnięta.

– To odpowiedni czas na dwupak. – Objął ją ramieniem.

– Pan jest lekarzem?

– Nie, ratownikiem medycznym. Nie zabiorę pani przez oddział ratunkowy. Pełno tam zakażonych.

– Chyba jestem odporna. Wszyscy pozostali... Ale dzieci. One żyją. Nie są chore.

Słyszac strach w jej słowach, starał się nadać głosowi uspokajające brzmienie.

– Będzie dobrze, proszę się nie martwić. Pójdziemy do tych drzwi tutaj. Zaprowadzę panią na położnictwo. Sprowadzę lekarza.

– Ja... Aaa... skurcz! – Złapała go w pasie, wbiła palce niczym szpony i ze świstem wciągnęła powietrze.

– Proszę oddychać powoli i spokojnie.

– Sam oddychaj powoli i spokojnie – warknęła, dysząc. – Przepraszam.

– Nie ma problemu. Co ile się pojawiają?

– Nie mogłam mierzyć, kiedy już prowadziłam. Zanim wyszłam z domu, były co trzy minuty. Dojazd tu zajął mi, bo ja wiem, jakieś dziesięć minut. Nie wiedziałam, co robić.

Weszli do środka. Poprowadził ją do windy.

– Jak masz na imię?

– Katie.

– Jestem Jonah. Gotowa na bliźnięta, Katie?

Podniosła ogromne zielone oczy, a potem opuściła głowę na jego pierś i zaszlochała.

– Już dobrze, już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Sprowadzić dzieci na ten mroczny świat pełen śmierci? O tym nie pomyślał. Przysiągł sobie, żeby nie wybiegać myślą dalej niż na oddział położniczy.

– Odeszły ci już wody?

Pokręciła przecząco głową.

Drzwi windy otwarły się na pustą recepcję. Panowała tu ta sama cisza, w której każdy dźwięk odbijał się echem. Zdał sobie sprawę, że nikt jej nie pomoże.

Zaprowadził Katie na oddział – puste pokoje, żadnych pacjentów, zero personelu. Czy już nikt nie rodzi dzieci?

Wprowadził ją do jednej z sal porodowych.

– Najlepsza na oddziale – oznajmił, starając się, by jego głos brzmiał pogodnie. – Zdejmijemy ci płaszcz, położymy na łóżku.

– Kto jest twoim lekarzem prowadzącym?

– Nie żyje. To nie ma już znaczenia.

– Zdejmijmy ci buty. – Zanim kucnęła i ściągnęła jej buty, wcisnął guzik przyzywający pielęgniarkę.

Nie zawracał sobie głowy koszulą szpitalną. Nie wiedział, gdzie ją znaleźć, i nie chciał tracić czasu na szukanie. I tak była ubrana w sukienkę.

– Gotowe. – Pomógł jej się ułożyć, uświadamiając sobie jednocześnie, aż znowu wbiła mu

palce w ramię. Ponownie wcisnął guzik przyzywający pielęgniarkę.

– Czy oni wszyscy pomarli? – spytała, gdy skurcz minął. – I lekarze, i pielęgniarki?

– Nie, właśnie rozmawiałem z lekarką na dole, moją koleżanką, zanim wyszedłem, a ty podjechałaś. Sprawdzę, czy nie ma którejś z położnych.

– Boże, nie, nie zostawiaj mnie.

– Nie zostawię. Przysięgam, nie zostawię cię samej. Pójdę poszukać jakiejś pielęgniarki albo położnej i przyniosę dwa inkubatory. Czas porodu mieści się w normie – zauważył – ale to jednak wcześniaki.

– Usiłowałam dociągnąć do trzydziestu sześciu tygodni. Staralam się, jednak...

– Hej! – Wziął ją za rękę i poczekał, aż na niego spojrzy załzawionymi oczami. – Dzieciaki mają już prawie trzydzieści pięć tygodni. Doskonała robota. Daj mi dwie minuty, dobrze? Nie przyj, Katie. Jeśli będzie kolejny skurcz, oddychaj powoli i spokojnie. Nie przyj.

– Pośpiesz się. Proszę.

– Obiecuję.

Wyszedł, a potem rzucił się biegiem.

Nie znał tego skrzydła, był w nim tylko kilka razy, i to nie dalej niż na stanowisku pielęgniarek. W łóżeckach za szklaną szybą zobaczył trójkę noworodków i ten widok dodał mu otuchy. Ktoś musi być na tym piętrze. Ktoś musi zajmować się tymi dziećmi.

Pchnął podwójne drzwi i wszedł do sali operacyjnej. Lekarz – oby – w kitlu i w rękawiczkach trzymał skalpel. Obok stała pielęgniarka. Na stole operacyjnym leżała ciężarna kobieta z zamkniętymi oczami.

– Mam kobietę, która rodzi bliźnięta.

– A ja próbuję uratować życie tej kobiety i jej dziecka. Wynocha!

– Potrzebuję... Ona potrzebuje lekarza.

– Powiedziałem wynocha. Ja jestem lekarzem. Jedynym, jaki tu został, i jestem cholernie zajęty. Siostro!

– Proszę iść! – Nakazała, kiedy doktor zrobił nacięcie.

– Proszę wezwać pagerem doktor Hopman. Tylko tyle. Proszę ją wezwać.

Jonah wypadł biegiem, wziął dwa inkubatory i zawiózł je do sali. Katie akurat miała skurcz.

– Oddychaj, oddychaj. Podłączę je, żeby były gotowe.

– Lekarz... – zdołała wybełkotać.

Włączył inkubatory, zrzucił kurtkę i podwinął rękawy.

– Ty, ja i bliźnięta. Damy radę.

– O Boże, o Boże. Odbierałeś kiedykolwiek poród?

– Tak, kilka razy.

– Odpowiedziałbyś tak, nawet gdybyś nie odbierał żadnego.

– Odbierałem nawet wcześniaka. To moja pierwsza ciąża mnoga, ale hej, jeżeli mogę odebrać jedno, to mogę i dwa. Umyję ręce i włożę rękawiczki. A potem zobaczymy, na jakim etapie jest poród, dobrze?

– Nie mam wyboru. – Wpatrywała się w sufit tak samo jak wtedy, kiedy umierała jej matka.

– Jeżeli coś pójdzie nie tak, obiecuj mi, że się nimi zajmiesz. Zaopiekujesz się moimi dziećmi.

– Wszystko pójdzie dobrze, a ja się nimi zajmę. I tobą. Słowo honoru. – Zrobił znak krzyża na sercu i wszedł do łazienki wyszorować ręce.

– Jak zamierzasz je nazwać?! – zawołał.

– Dziewczynka Antonia. Mój mąż... bardzo chciał mieć córeczkę. Zanim dowiedzieliśmy się, że to bliźnięta, miał nadzieję, że urodzi się dziewczynka. Chłopiec będzie miał na imię Duncan, na cześć mojego ojca.

– Ładnie. Dobrze, mocne imiona. – Włożył rękawiczki i wziął głęboki oddech. – Jedna dziewczynka, jeden chłopiec. Lepiej być nie mogło.

– On tu zmarł. Mój Tony. Moi rodzice też i mój brat. Cztery osoby, które kochałam, zmarły w tym szpitalu, nie wiedziałam, gdzie indziej mogłabym pojechać.

– Przykro mi. Ale twoje dzieci nie umrą i ty też nie. Zdejmij majtki. Muszę zobaczyć, jak to

tam wygląda.

- Nie będę udawała cnotki.
- Musisz nieco unieść miednicę.
- Miednicę... – prychnęła. – Tyłek!
- No, raczej przodek.

Uśmiechnął się, kiedy się zaśmiała.

– Zabawny jesteś.

– Powinnaś wysłuchać całego mojego numeru, jestem urodzonym komikiem. Dobrze, muszę się z tobą bliżej zaznajomić i wiem, że to mało przyjemne. Kontroluj oddech.

Wsunął palce w pochwę, żeby sprawdzić rozwarcie. Starala się głęboko oddychać.

– Mamy pełne rozwarcie, Katie. Przepraszę Antonię, kiedy pojawi się na świecie.

Dotknąłem jej główki.

- Duncan. On jest pierwszy. Jego główki?
- Owszem. I Bogu dzięki, że to jego główka, a nie pupa.
- Chyba idzie.
- Zaczynamy. Już naprawdę blisko. Zaraz... no i proszę. Wody odeszły.
- Och, jak boli. Jezus Maria, jak to boli!
- Wiem.

– Nic nie wiesz. Jesteś facetem. – Odwróciła głowę i zamknawszy oczy, wolno wypuściła powietrze. – Podczas porodu mieliśmy słuchać Adele. Chcieliśmy, żeby były z nami nasze mamy. Obie zmarły. On też już nie żyje. I ojciec. I mój brat, a także brat Tony'ego i jego siostra. Dzieci mają tylko mnie.

– Wychodzi główka Duncana, Katie. Widzę jego główkę. Ma włoski. Ciemne. Chcesz lusterko?

Zażkała, zakryła oczy i wyciągnęła dłoń, żeby poczekał.

– Kochałam Tony'ego. Moich rodziców, mojego brata, jego rodzinę. Moją rodzinę.

Wszyscy odeszli. Dzieci. Z rodziny zostały mi tylko dzieci. A im zostałam tylko ja. – Wytarła oczy.

– Poproszę lusterko. Chcę zobaczyć, jak się rodzą.

Ustawiał je tak długo, póki nie kiwnęła głową. Przeprowadził ją przez skurcze partę, a potem przez sam poród.

Nie mówiła już o stracie, lecz parla, jakby była wojowniczką w bitwie.

Pierwszy przyszedł na świat ciemnooki Duncan. Krzyczał i wymachiwał rączkami. Jego matka uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce.

– Dobry kolor skóry i znakomite płuca. – Jonah wytarł dziecko z mazi płodowej i położył je na piersiach Katie. – Odcinam pępowinę.

- Jest piękny. Idealny. Prawda?
- Zaraz go zważymy i położymy do inkubatora. Wygląda idealnie.
- On... On szuka piersi!
- Cóż, prawdziwy chłopak.
- W książkach pisali, zwłaszcza w przypadku wcześniaków... Przyssał się! Jest głodny. I...

O Boże. Teraz ona. Idzie!

- Antonia nie chce zostać w tyle. Odłożę go do inkubatora.
- Nie, potrzymam go. Jest głodny. Muszę przeć!
- Dobrze, tylko porządnie. Możesz mocniej.
- Staram się!
- Dobrze, tak trzymaj. Rozluźnij się, rozluźnij, oddychaj. I jeszcze raz. Mocno, porządnie.

Spójrz w lusterko, Katie. Przyj!

Wciągnęła ze świstem powietrze i wypuściła z długim, zawodzącym jękiem. Jonah chwycił główkę, obrócił ramionka i Antonia wysunęła się na jego dłonie.

- I już jest.
- Nie płacze, ona nie płacze. Co z nią?
- Daj jej sekundę. – Jonah oczyścił nos i usta, przetarł ciało. – No dawaj, Antonia. Wiemy,

że nie jesteś beksą, ale mama chce cię usłyszeć. Po prostu się nie śpieszy. Nic jej nie jest. Widzę w niej światło, nie ciemność. Widzę życie, nie śmierć.

– O czym ty...

– I już. – Jonah uśmiechnął się szeroko, gdy mała wydała z siebie wysoki jęk, jakby była urażona i lekko poirytowana. – Już robi się różowa. Chciała się zorientować w sytuacji. Prawdziwa piękność, szanowna mamó.

Katie przytuliła ją.

– Spójrz na tę małą słodką główkę.

– Owszem, jej brat zgarnął wszystkie włosy. Daj jej trochę czasu, przegoni go. Przecinam pępowiny. Jeżeli Duncan już skończył jeść, to chciałbym go umyć, zważyć i sprawdzić kilka rzeczy. Ciebie czeka jeszcze urodzenie łożyska.

– Pójdzie już chyba łatwiej niż z bliźniętami.

Jonah wziął Duncana na ręce, starannie go obejrzał, osłuchał, sprawdził odruchy i zważył.

– Dwa i osiem dziesiątych kilograma. Nieźle, nawet gdyby był jedynakiem i urodził się o czasie. Dobra robota, Katie.

– Zobacz, ona mi się przygląda. Wiem, że to nie może być prawda, ale wygląda, jakby na mnie patrzyła. Jakby mnie znała.

– Pewnie, że cię zna. – Patrząc na trzymane w rękach dziecko, Jonah poczuł... triumf i spokojną, niezachwianą miłość.

– Chcę włożyć Duncana do inkubatora na trochę. Daj mi też swoją dziewczynkę. Pójdę poszukać czegoś zimnego do picia – powiedział do Katie, gdy mył Antonię. – Może też coś do jedzenia. A twoja dziewczynka waży dwa i trzy dziesiąte kilograma. Pięknie.

– Skurcz.

– Okej, niech wszystko wyjdzie. Ładnie i elegancko. Mam tu miskę. Wypchnij je, mistrzyni.

Kiedy poród się skończył, Katie leżała bez słowa, a Jonah wytarł pot z jej twarzy. Chwyliła go za rękę.

– Powiedziałeś, że widzisz życie, a nie śmierć. Światło, nie ciemność. A kiedy to zrobiłeś, kiedy to powiedziałeś... wyglądałeś inaczej. Widziałam w twojej twarzy coś innego.

– Dałem się nieco ponieść chwili. – Zaczął się odsuwać, ale Katie ścisnęła go mocniej i spojrzała nań uważnie.

– W ciągu ostatnich tygodni widziałam różne rzeczy. Rzeczy, które nie mają sensu, rzeczy z książek i filmów fantasy. Jesteś jednym z nich? Jesteś z tych, których nazywają Niesamowitymi?

– Słuchaj, jesteś zmęczona, a ja muszę...

– Sprowadziłeś mojego syna i córkę na świat – przerwała mu. – Dałeś mi znów rodzinę.

Dałeś mi... – Z jej oczu popłynęły łzy, a głos zadrżał. – Dałeś mi powód, by dalej żyć. Będę ci za to wdzięczna każdego dnia, do końca życia. Wdzięczna za każdym razem, ilekroć spojrzę na dzieci. Mam dzieci. Jeżeli mam je dzięki temu, że zostałeś obdarzony darem, że jesteś kimś wyjątkowym, to za to też ci dziękuję.

Jonahowi również zaszklily się oczy. Złapał się na tym, że ścisnął jej dłoń tak, jakby była to lina ratunkowa.

– Nie wiem, kim ani czym jestem. Nie wiem. Potrafię zobaczyć w kimś nadchodzącą śmierć albo chorobę. Widzę szczegóły końca i nie mogę tego powstrzymać.

– We mnie i moich dzieciach zobaczyłeś życie. Wiem, czym jesteś. Moim własnym cudem. Musiał usiąść na łóżku, żeby się pozbierać.

– Planowałem się zabić.

– Nie. Nie, Jonah.

– Gdybyś przyjechała pięć minut później, byłbym martwy. Sądziłem, że już nie zdołam dłużej patrzeć na śmierć. A wtedy ty się zjawiłaś i zobaczyłem naraz tyle życia. Wygląda na to, że ty też jesteś moim cudem.

Katie rozluźniła się.

– Czy możesz mnie na chwilę przytulić?

– Jasne, że mogę.

Położyła mu głowę na ramieniu.

Usłyszeli szybkie, energiczne kroki oraz głos Rachel przywołującej go po imieniu.

– Tutaj! To lekarka – powiedział do Katie. – Lepiej późno niż wcale.

– Kto potrzebuje lekarza?

Rachel stanęła w drzwiach, spojrzała na niego, po czym dostrzegła inkubatory.

– No proszę. To twoja sprawka?

– Ona nieco pomogła – odparł Jonah.

– Wygląda mi to na doskonałą współpracę. Jestem doktor Hopman – zaczęła, ale Katie odwróciła głowę. – Katie? Katie Parsoni, prawda?

– Tak. Doktor Hopman. – Z oczu Katie popłynął nowy strumień łez. Wyciągnęła rękę, cały czas przytulając się do Jonaha. – Pani żyje.

– Owszem, pani, jak widzę, i pani dzieci również. Obejrzę was.

– Duncan: dwa i osiem – poinformował ją Jonah. – Antonia: dwa i trzy. Zapomniałem je zmierzyć.

– Zrobiłeś to, co najważniejsze. Jak się pani czuje, mamó? – spytała, podchodząc do Duncana.

– Zmęczona, głodna, wdzięczna, smutna, szczęśliwa. Czuję wszystko. Doktor Hopman była ze mną, kiedy zmarła moja mama. Opiekowała się nią. Moim tatą też.

– Jonah przywiózł ich do szpitala – powiedziała Rachel, zerkając na niego. – Ross i Angela MacLeodowie.

– MacLeod... – Przypomniał mu się rosół na kuchence. Pierwszy pacjent zero. – Zatoczyliśmy koło... – wyszeptał.

– Patrzymy na dwójkę zdrowych dzieci. – Rachel kucnęła i obejrzała łóżyska oraz pępowiny. – Dobrze. Dobrze.

– Jak szybko będą mogły podróżować? – spytał Jonah.

– Muszę obejrzeć Katie i spróbuję znaleźć kogoś z pediatrii, żeby zbadał dzieci.

– Nic im nie jest, one też są zdrowe. Widzę to, tak samo jak widziałem, że jej matka nie jest zdrowa, kiedy ty zajmowałaś się jej tatą. Tak jak widziałem, że ty jesteś odporna. Miałem już tę intuicję, zanim... zanim się to wszystko zaczęło. Ale teraz to się nasiliło. Nie spodziewam się, że mi uwierzysz, jednak...

– Wierzę ci – odparła krótko Rachel. Potarła oczy. – Widziałam różne rzeczy, w które z początku nie wierzyłam, ale jeżeli widzisz ich wystarczająco dużo, to trzeba być idiotą, żeby nie zacząć w nie wierzyć. Byłabym też kiepską lekarką, gdybym nie zbadała kobiety, która dopiero co urodziła bliźnięta.

– Muszę się dowiedzieć, kiedy mogą zacząć podróżować. I kiedy ty będziesz gotowa jechać.

– A dokąd mam jechać?

– Jeszcze nie wiem, ale wiem, że jesteś odporna. Tak samo Katie i te dzieci. Mówiłaś, że robią naloty, zgarniają ludzi do obszarów poddanych kwarantannie, przeprowadzają na nich testy.

– Co? – Katie chwyciła go za ramię. – Oni? W sensie rząd? Zatrzymują ludzi, którzy nie są chorzy?

– Jonah... – westchnęła Rachel.

Pomyślał, że da sobie spokój z wciskaniem kitu. Koniec z rozpaczą.

– Katie ma prawo wiedzieć – powiedział stanowczo. – Musi myśleć o dzieciach. Ty jesteś lekarką. Są ludzie, którzy nie mają wirusa, a potrzebują lekarzy. Którzy potrzebują mądrych, elastycznych lekarzy. Oni będą próbowali zgarnąć ludzi takich jak ja, i choćby nie wiem co, nie dam z siebie zrobić królika doświadczalnego. – Umilkł. – To koło – podjął po chwili. – Krążyliśmy jak meteory: jej rodzice przysli do mnie, ja do ciebie, ty do Katie, Katie do mnie. A teraz dzieci. To coś oznacza. Kiedy będą mogły podróżować? Kiedy będziesz mogła wyjechać?

Rachel spojrzała na dzieci, na cicho płaczącą kobietę, na mężczyznę, który nagle zrobił się twardy jak stal. Na jej twarzy malowało się znużenie.

– Może jutro, w zależności od tego, o jakiej podróży myślisz. Drogi są zablokowane.

– Mogę zdobyć łódź.

– Łódź?

– Patti... Razem jeździliśmy ambulansem – wyjaśnił Katie. – Ona miała łódź. Nie za dużą, ale się nada. Dotrzemy do łodzi, wsiądziemy do niej i przepłyniemy na drugą stronę rzeki. Po czym skierujemy się... tam, gdzie uznamy za stosowne. Będziemy trzymać się obszarów wiejskich w miarę możliwości. Nie jestem pewien, dopóki nie wydostaniemy się z Nowego Jorku. Nikt nie zrobi z tych dzieci królików doświadczalnych.

– Nikt nie tknie moich dzieci. – Łzy przestały płynąć, jakby zakręcono kurek. – Nikt. Możemy jechać już, teraz.

– Jutro – sprzeciwiła się Rachel, podnosząc rękę. – Zbadam panią i będziemy obserwować dzieci przez okrągłą dobę. Jeżeli nie będzie komplikacji, możemy wyjechać jutro. Potrzebujemy zapasów, pieluszek i ubrań, koców. Może będziemy potrzebować mleka w proszku.

– Duncan już ssał pierś.

– Poważnie? – Rachel się zaśmiała. – Kolejna dobra wiadomość. Tak czy inaczej potrzebujemy mnóstwa rzeczy. Pojadę i pozwolę im jechać, jeżeli nie okaże się, że muszą zostać w szpitalu. Kobiecie i jej noworodkom przydałby się lekarz. Chociaż Jonah prawdopodobnie poradzi sobie z resztą spraw. Pojadę, bo masz rację, Jonah. To? – Gestem wskazała całą ich piątkę. – To coś oznacza. I może wreszcie znowu zacznę się czuć jak lekarz.

Podeszła do łóżka.

– Idź i znajdź coś, co świeżo upieczona matka mogłaby zjeść. Może coś chłodnego do picia, na pewno woda. I czyste ubrania. Dla dzieci czapeczki i pieluszki dla wcześniaków. Zobaczymy, na ile jesteś zaradny, Jonah.

– No to załatwione. – Wstał. – Wrócę – zwrócił się do Katie.

– Wiem.

– No dobrze, Katie, zbadam cię.

– Doktor Hopman?

– Rachel. Proszę mi mówić Rachel, skoro będziemy razem podróżować.

– Rachel, kiedy skończysz, czy mogę potrzymać dzieci?

– Oczywiście. – I iskra, która w ciągu tych okropnych dni zgasła, rozbłysła na nowo.



## UCIECZKA

Jak umknąć może człek przed tym, co zapisane;  
Jakże ma przeznaczeniu swemu zbiec?

Ferdousi

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Podczas gdy Katie po raz pierwszy karmiła córkę, Arlys Reid postanowiła nagrać relację z ulicy. Od wielu dni jej materiały opierały się na informacjach od Chucka i na tym, co zdołała znaleźć w internecie mimo niestabilnego połączenia – a do tego dorzucała kilka obserwacji z szybkiego marszu do i ze studia.

Sprawdzając baterie w dyktafonie, przypomniała sobie, że zawsze chciała być reporterką. Pora więc wyjść na ulicę i relacjonować.

Nie uzgodniła tego z producentem ani z reżyserem. Cokolwiek się zdarzy, ta decyzja będzie należała do niej – a część tej decyzji, zdawała sobie z tego sprawę, ciążyła jej z powodu zatajenia najgorszych informacji, które przekazał jej rano Chuck. Pomoc nie nadejdzie.

Gdy wkładała kurtkę, Fred spojrzała na nią znad biurka.

– Dokąd idziesz?

– Na miasto. Zbierać materiały. Będziesz mnie kryła, Fred? Powiedz, że poszłam się zdrzemnąć albo coś takiego. Chcę mieć materiał o zwykłych ludziach. O ile zdołam znaleźć kogoś, kto nie zechce mnie okraść, zgwałcić lub zabić.

– Nie zamierzam cię kryć. – Fred wstała. – Pójdę z tobą.

– W żadnym wypadku.

Mała Fred, całe metr pięćdziesiąt pięć, tylko się uśmiechnęła.

– Właśnie chodzi o to, żeby nie było wypadku. Spędzam tam mnóstwo czasu. Ktoś musi zdobywać roladki śmietankowe i chipsy. A dwie osoby to zawsze lepiej niż jedna – dodała, zarzucając na siebie jasnyniebieską kurtkę w różowe gwiazdki. – Jest targ, no, właściwie nora, na rogu Szóstej i Pięćdziesiątej Pierwszej. Wprawdzie zabita dechami, ale niektórzy z nas wiedzą, że można odciągnąć kilka desek i wcisnąć się do środka.

Naciągnęła na czuprynę rudych loków długą, różową czapkę z pomponem.

– Nadal jest tam jedzenie, więc możemy zdobyć trochę zapasów. Nikt nie bierze więcej, niż potrzebuje. Tak uzgodniliśmy.

– To znaczy kto?

– Hm, no... takie... sąsiedztwo. Ci, którzy zostali. Nie bierzesz więcej, niż potrzebujesz, więc każdy korzysta.

– Fred. – Arlys przełożyła torbę przez ramię i przyjrzała się małemu rudzielcowi o radosnej, piegowatej twarzy. – To jest temat. Ty jesteś najlepszym tematem.

– Nie możesz tego wyemitować, Arlys. – Oczy barwy delikatnej, przytłumionej zieleni raptem posmutniały. – Niektórzy ludzie, gdyby się dowiedzieli, że jest tam jedzenie, natychmiast by je rozdrapali.

– Żadnego adresu, nawet okolicy. – Arlys narysowała palcem krzyż na sercu. – Tylko opowieść. O ludziach, którzy współpracują, pomagają sobie. To jest coś pozytywnego. Każdy tego teraz potrzebuje. Możesz podać parę szczegółów. Żadnych nazwisk i miejsc, tylko jak doszłście do porozumienia, jak to działa.

– Opowiem ci po drodze.

– Dobra, ale trzymamy się razem. – Arlys pomyślała o pistolecie w torbie.

– Jasne. I nie martw się. Potrafię ocenić, czy ktoś jest przyjaźnie nastawiony, czy jest dupkiem. Niektóre dupki nie chcą nikogo zabić. Po prostu są dupkami, bo zawsze nimi byli.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

Skierowały się w stronę klatki schodowej.

– Wiesz, Jim nie będzie zadowolony, że się tak narażasz.

Arlys wzruszyła ramionami.

– Będzie zadowolony, jeżeli zrobię dzięki temu materiał. Tam są przecież prawdziwi ludzie, którzy usiłują przetrwać kolejny dzień. Jak to robią? Co ich spotkało? Ludzie chcą słuchać o innych

ludziach, którzy przetrwali. To pomaga przetrwać im samym.

– Jak na przykład nie biorąc ze składu żywności więcej, niż potrzebują.

– Jak na przykład to. – Gdy schodziły do wyjścia, Arlys przedstawiła ogólny plan. – Pójdziemy na Szóstą i będziemy uważać na ludzi na ulicach. Jeżeli zbierze się grupka, to trzymamy się od niej z daleka. Grupki mogą zmienić się w motłoch.

– Na ogół dzieje się to w nocy – stwierdziła Fred. – Ale w ciągu dnia też się zdarza.

– Nie wychodziłam nocą od trzech tygodni, jeżeli nie liczyć marszruty do domu po wieczornych wiadomościach. A kiedyś uwielbiałam nocne spacerować.

– Wystarczy wiedzieć, gdzie można chodzić, i chodzić tylko po bezpiecznych strefach.

– Bezpiecznych strefach?

– Tam, gdzie jest więcej dobrych niż złych. Niektórzy źli tak naprawdę nie są źli. Są po prostu przerażeni i zdesperowani. Ale niektórzy są tak źli, że trzeba się ich bać, i od tych trzeba trzymać się z daleka, wiedzieć, jak się przed nimi schować.

Arlys po raz wtóry pomyślała, że być może poszukiwany zwykły człowiek właśnie przed nią stoi.

– Skąd wiesz o bezpiecznych strefach?

– Rozmawiasz z ludźmi, a oni rozmawiają z innymi ludźmi – odrzekła Fred. – Niczego nie mówiłam, bo jeżeli to wyemitujemy, to być może ci źli te strefy znajdą. Pomyślałam, że jeżeli zostaniemy zmuszeni zejść z anteny, to opowiem o nich wszystkim, żeby spróbowali się do którejś dostać.

– Zdziwiasz mnie, Fred.

– Czasami ci ludzie potrafią pomóc, jeżeli ktoś chce wydostać się z miasta. Ale wielu nadal nie chce się tu poddać, nawet jeśli będą musieli walczyć.

Arlys otworzyła drzwi wyjściowe.

– Nie zamierzasz założyć maski?

– Wiesz dobrze, że one nic nie dają, prawda? – Arlys spojrzała na Fred. – Wiesz tak samo jak i ja, że jeżeli ktoś ma zachorować, to zachoruje.

– Niektórzy ludzie dzięki nim czują się bezpieczniej. Myślałam, że ty też tak masz.

– Już nie.

Wyszły z budynku i Arlys zamknęła drzwi na klucz.

– Nie będziemy się rozdzielały, ale na wszelki wypadek masz klucz?

– Nie martw się – uspokoiła ją Fred.

Arlys skinęła głową i ruszyły ulicą; powietrze niesło odór spalenizny, krwi i moczu.

– Fred, z iloma, twoim zdaniem, osobami się widziałas lub rozmawiałaś w tych bezpiecznych strefach? Nie puszczę tego na antenę. Tylko między nami.

– Trudno dokładnie stwierdzić. Wiem, że próbują liczyć, ale to się ciągle zmienia. Jedni przychodzą, drudzy odchodzą. Ludzie nadal chorują. Nadal umierają. My – oni, wszystko jedno – próbujemy zabierać ciała na tereny zielone, do parków, najlepiej o świcie. Wciąż jest wystarczająco zimno, wiesz.

– Wiem.

– Ale kiedy temperatury wzrosną, gnijące ciała będą straszne. A ci, którzy zmarli wewnątrz...

Dochodził do niej ten odór w budynku, w którym mieszkała.

Odór rozkładających się ciał.

– Nie da się tak naprawdę urządzić pogrzebów wszystkim. Ciał jest tak wiele – dodała Fred.

– Ktoś mówi kilka słów i... Trzeba ich palić. Są szczury, wiesz, i psy, i koty, i... Nie ma na to rady, trzeba ich palić. To czysta metoda i niepozbawiona szacunku, jak mi się wydaje.

– Byłaś na tych... pogrzebach?

Fred skinęła głową.

– To strasznie smutne, Arlys. Ale trzeba to robić. Trzeba się starać to robić, ale – do diabła – jest ich tak wiele. Znacznie więcej niż mówią.

– Wiem.

Fred spojrziała na Arlys z ukosa spod czapki z pomponem.

– Wiesz? Skąd?

– Mam źródło, ale... To jak z niemówieniem na antenie o bezpiecznych strefach. Gdybym wyemitowała wszystko, czego się od niego dowiaduję, to by mnie powstrzymali. I mogliby do niego dotrzeć.

– Nie powiedziała byś. Nie ujawniła byś źródła.

– Ja nie, ale namierzyliby go przez mój komputer. Nie mogę ryzykować. Mam protokół od niego na wypadek, gdybym kiedykolwiek powiedziała na antenie to, co zdradził mi w zaufaniu. Mam zniszczyć komputer, na którym pracuję, moje notatki, wszystko. I wyjechać.

– Dokąd?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Ponieważ powiedział ci w zaufaniu.

– Zgadza się. Ale jeżeli...

– Ciii! Słyszysz to? – Fred nie skończyła jeszcze mówić, a już chwyciła Arlys za ramię i pociągnęła na róg Szóstej. – Tutaj.

Gdy Fred wciągnęła ją przez rozbite okno wystawowe sklepu, w którym niegdyś sprzedawano buty, Arlys usłyszała odgłos silnika.

– To chyba motocykl. Najeżdźcy?

– Lubią motocykle. Łatwo manewrować wokół wraków. – Fred przyłożyła palec do ust i odciągnęła Arlys od rozbitego szkła w głąb sklepu.

Arlys zaczęła coś mówić, ale Fred gwałtownie pokręciła głową.

Usłyszały dźwięk rozbijanego szkła, dziki śmiech. A potem ryk silnika zaczął się oddalać, cichnąć.

Fred podniosła rękę, dając znak, że jeszcze nie koniec, i odczekała kilka sekund.

– Niektórzy z nich mają słuch jak nietoperze. A czasami jeżdżą grupami. Nie można ryzykować.

Arlys wypuściła powietrze z płuc i rozejrzała się. Po obu stronach ciągnęły się puste półki. Jeżeli w sklepie znajdowały się jakieś kontuary, to ktoś je zabrał.

Na podłodze wałało się kilka butów, parę torebek, jakieś skarpetki.

– Jestem zaskoczona, że cokolwiek zostawili.

– Ci źli biorą, co chcą, a resztę niszczą. Sikają na przedmioty, a nawet robią kupę. Nie potrzebują tych rzeczy, ale nie chcą, żeby ktoś inny je wziął. Niszczenie to ich główne zajęcie.

Fred wyprowadziła Arlys na zewnątrz, podeszła do rogu i rozejrzała się na wszystkie strony, po czym dała do zrozumienia, żeby przebiec na drugą stronę ulicy.

– Piją albo ćpają – ciągnęła – podpalają, strzelają. Jeżdżą, wypatrując kogoś, kto nie ukryje się wystarczająco szybko albo nie zdąży przed nimi uciec. Robią im krzywdę. Albo zabijają. I teraz zaczynają polować.

– Polować na ludzi?

– Przeszukują budynki, w których mieszkają ludzie. Albo mieszkali. Do wielu miejsc nie wchodzi z powodu zmarłych. Ale to nie potrwa długo. Robią to samo, demolują, zabierają, co chcą, i szukają ludzi, którym mogliby wyrządzić krzywdę. Najeżdźcy.

Zatrzymała się przy pustym samochodzie.

– Wczoraj go tu jeszcze nie było. Widzisz, próbowali przejechać, ale ulica jest prawie całkiem zablokowana. Nie zabrali swoich rzeczy. Zobacz, nabrali ich za dużo i nie zdołali unieść, bo pewnie musieli uciekać. Targ jest tu niedaleko.

– Czy to bezpieczna strefa?

– Wystarczająco bezpieczna, jeżeli ktoś nie jest głupi. – To mówiąc, uśmiechnęła się.

Zatrzymała się przed frontem sklepu zabitym deskami. Arlys zmarszczyła się na widok symboli namalowanych na deskach.

– A co one oznaczają?

– Och... można powiedzieć, że to na szczęście. Ktoś jest w środku. Ale to dobrze – powiedziała szybko. – To nie Najeżdźcy ani źli.

– Skąd wiesz?

Ale Fred już poluzowała dwie deski.

– Taki dar – odparła. – To działa jak hasło – wyjaśniła zdumionej Arlys i weszła do środka. Deski zasunęły się za nimi i zrobiło się całkiem ciemno. A potem błysnęło jakieś światło.

– Kto jest z tobą, Fred?

– Cześć, T.J. To Arlys. Pracujemy razem. W porządku. Ona jest z tych dobrych.

– Ściągasz ją do strefy?

– Na pewno nie teraz. Arlys chce zrobić z kimś wywiad, a ja uznałam, że skoro wyszliśmy ze stacji, to wezmę kilka puszek zupy. Jak tam Noah?

Ponieważ w odpowiedzi usłyszały ciszę, Fred postąpiła krok do przodu.

– T.J., wiesz, że nie sprowadziłabym tu nikogo, kto wyrządziłby krzywdę.

– Może ją wyrządzić niechcący.

– Czy mogłabym prosić o nieświecenie mi w oczy? – powiedziała chłodno Arlys. – Wtedy sama będę mogła odpowiadać. – Latarka powoli się obniżyła.

– Nie wiem, jak długo będziemy nadawać program. Jest nas tylko garstka tych, którzy jeszcze pracują, którzy są w stanie i chcą. Komunikacja ma znaczenie, informacja ma znaczenie, nawet ogólna. Nie wiem, ile osób ma jeszcze dostęp do naszego programu, ale każdy, kto ma, może przekazać tę informację komuś innemu. Przypuszczam – i miejmy nadzieję, że to pesymistyczna prognoza – że zostało nam kilka dni, może tydzień, nim skończy się prąd. Chcę do tego czasu zrobić, co do mnie należy. A potem znajdę jakiś inny sposób, żeby wykonywać swoją pracę.

– A o co chodzi z tym wywiadem?

– Chcę zrobić reportaż. Chcę, żeby ludzie usłyszeli osobistą relację, ale nie ode mnie, tylko od kogoś, kto to przeżył. Chcę puścić ten materiał. Ponieważ to ma znaczenie. Właściwie tylko to ma teraz znaczenie.

– Chcesz opowiedzieć jakąś historię?

– Chcę, żebyś ty opowiedział swoją – sprostowała Arlys. – Chcę, żebyś mówił do i za tych wszystkich, którzy są w mieście. Co myślisz, co czujesz, co zrobiłeś. Może jedna osoba to usłyszy i to pomoże jej się trzymać.

– Porozmawiaj z nią, T.J. To dobry pomysł.

– Żadnych nazwisk – dodała Arlys. – Zmienimy ci imię. Żadnego miejsca. Nie powiem, gdzie rozmawialiśmy. Mam ze sobą dyktafon. Jeżeli powiesz, że coś jest nieoficjalne, to go wyłączę.

– Zamierzasz to puścić dziś wieczorem?

– Zamierzam to puścić, jak tylko wrócę, poprosić, żeby emitowano to co godzinę, aż do wieczora. Jutro, jeśli zdołam, planuję porozmawiać z kimś innym, zarejestrować jego lub jej historię i zrobić to samo. To nie koniec, nie pozwolimy, żeby to był koniec. Najeżdźcy nas nie rozszarpią. Przetrywamy. Chcę, żebyś mi powiedział, co robiłeś, co robisz.

– Chcesz usłyszeć moją historię? Dobrze, opowiem ci.

– Mogę wyjąć dyktafon? I latarkę?

– Bierz.

Sięgnęła do torby, wymacała latarkę i wyjęła dyktafon z kieszeni, zanim włączyła źródło światła i skierowała je w stronę T.J.

Jej oczom ukazał się duży facet, barczysty ciemnoskóry mężczyzna o zaciętych, błyszczących oczach. Kilkundniowe włosy na jego głowie wskazywały, że jeszcze do niedawna regularnie się golił.

– Nazywaj mnie Ben.

– W porządku, Ben. Włączam dyktafon. Tu Arlys Reid. Rozmawiam z Benem. Poprosiłam go, żeby opowiedział mi, nam wszystkim, swoją historię. Pandemia zmieniła wszystko w życiu każdego z nas. Jak ty sobie radzisz, Ben?

– Wstajesz rano i robisz to, co musisz. Wstajesz, przez ułamek sekundy wydaje ci się, że wszystko jest jak dawniej. Ale od razu wiesz, że tak nie jest. Nigdy nie będzie, mimo to wstajesz i działasz. Trzy tygodnie i dwa dni temu straciłem mojego męża. Najlepszego człowieka, jakiego

kiedykolwiek znałem. Policjant, odznaczony. Kiedy sprawy przybrały zły obrót, codziennie wychodził do pracy, starał się pomagać innym. Służyć i chronić. Zapłacił za to życiem.

– Został zabity podczas pełnienia obowiązków służbowych?

– Owszem. Ale nie przez kulę czy nóż. To byłoby może łatwiejsze do zniesienia. Został zarażony, zachorował. Tyle że szpitale były już wtedy przepełnione... Nie poszedł. Oświadczył, że to nie ma sensu. Chciał umrzeć w domu, w naszym domu. Martwił się, że mnie zarazi, ale ja nie zachorowałem.

Przez dłuższą chwilę milczał, jakby musiał zebrać myśli.

– Robiłem dla niego wszystko, co mogłem, przez dwa okropne dni. Dwa dni, tyle wystarczyło, kiedy już zdaliśmy sobie sprawę, że nie możemy dłużej udawać, że to nie tylko wyczerpanie wynikające z pracy na dwie zmiany, ale wirus apokalipsa. Nie będę mówił o tych dwóch dniach. Powiem tylko, że umarł tak, jak chciał. W domu. A ja zabrałem go... tam, gdzie go pochowałem.

– Tak mi przykro, Ben.

– Wszyscy myślą, że to, co ich spotkało, jest najgorszą rzeczą, jaka mogła się im przytrafić. A to, ta cholerna plaga, każdemu kogoś odebrało. Wszystkich nas spotkało najgorsze, co mogło się zdarzyć.

– Ale przetrwałeś to. Cały czas z tym żyjesz.

– Chciałem umrzeć. Zachorować i umrzeć, ale się nie zaraziłem. Myślałem, że mogę wziąć pistolet, jego broń służbową, i w ten sposób odejść. Myślałem o tym, kiedy ludzie buntowali się na ulicach, kiedy zachowywali się jak zwierzęta. I myślałem o tym, co mi powiedział: jak bardzo byłby rozczarowany, gdybym nie cenił sobie życia i nie pomagał innym. I nadal się wahałem.

Zamilkł na blisko pół minuty, jednak Arlys nic nie powiedziała, dała mu czas, dała mu znaleźć słowa.

– Tam, gdzie mieszkam – podjął – w moim budynku, ludzie umierali albo uciekali, albo przyłączali się do tych zwierząt na ulicach. I pomyślałem, że nie ostanie się już nic poza ciemnością. Ale usłyszałem w głowie głos męża, który powiedział: Nie rób tego. Nie poddawaj się.

– I nie zrobiłeś tego.

– Prawie zrobiłem. Któregoś dnia wyszedłem, zacząłem wychodzić. Może znajdę trochę jedzenia, może po prostu będę szedł. I na schodach natknąłem się na pewnego chłopaka. Mieszkał w tym samym budynku. Nie znałem jego imienia, nie będę go tu podawał.

– Nazwijmy go John.

– Dobrze. John siedział na schodach i płakał. Jego rodzice i brat – wszyscy zmarli. Nie mógł zostać w mieszkaniu. Można sobie wyobrazić dlaczego.

– Tak.

– Z początku sądził, że chce go skrzywdzić. Nie uciekał. Zamierzał wstać i walczyć, ten przerażony chłopaczek w żałobie. Był gotów walczyć, a ja tylko się rozczulałem nad sobą. Więc usiadłem na schodach i zaczęliśmy rozmawiać. Najpierw zabrałem ciało jego mamy, mieliśmy ją pochować tam, gdzie pogrzebałem swojego męża. Kiedy wychodziliśmy, ktoś się pojawił. Nie chcę podawać jego imienia – dodał, ale Arlys dostrzegła, że zerknął na Fred. – Spytała, czy może mam pomysł. Znała innych, którzy mogli nam pomóc. Więc poprosiliśmy o pomoc i urządziliśmy pogrzeb jego rodzinie.

A John zamieszkał ze mną. Wstajemy rano i jemy śniadanie. Trochę czytamy, odrabiamy matematykę i inne przedmioty. To ważne, żeby chłopak nadal się uczył. Pokazuję mu, jak walczyć, w razie gdyby to było konieczne. Gramy w gry, ponieważ zabawa jest równie ważna, co nauka. Wstajemy i robimy to, co trzeba zrobić, i tak dajemy radę. Kiedy będzie gotów – minęło dopiero kilka tygodni – zamierzam go zabrać z miasta. Wyjechać i znaleźć jakieś czyste miejsce. I tam też będziemy wstawać rano i robić to, co trzeba zrobić. Zbudujemy życie, bo przecież śmierć nie może być wszystkim, co zostało.

Urwał i spojrzał na Arlys tak, jakby zaglądał jej w duszę.

– To nie koniec – powiedział, powtarzając jej słowa: – Nie pozwolimy, żeby to był koniec.

– Dziękuję ci, Ben. Mam nadzieję, że twoja historia dotrze do tych, którzy jej potrzebują. Ja

jej potrzebowałam. Mówiła Arlys Reid, wdzięczna, że istnieją ludzie, którzy robią to, co trzeba robić.

Wyłączyła dyktafon.

– Nie czekaj, aż on będzie gotów. Zabierz stąd Johna najszybciej, jak się da.

– Nazywa się Noah. – T.J. przebiegł wzrokiem od jednej kobiety do drugiej, zanim utkwiał w niej spojrzenie. – Wiesz coś, o czym nie mówisz.

– Wiem, że będzie tu gorzej. Wiem, że gdyby los jakiegoś dziecka zależał ode mnie, to zabrałabym je stąd. Fred mówiła, że są ludzie, którzy mogą ci w tym pomóc. Spakuj się i poproś ich o pomoc. – Umilkła, po czym zwróciła się do Fred: – Powinnaś iść z nimi.

– Zostanę z tobą. Wiesz, z kim się skontaktować, T.J. Poważnie, jeżeli Arlys mówi, że powinieneś wyjechać, to zrób tak. Dla Noah.

– Porozmawiam z nim. On wie, że prędzej czy później to nastąpi. Będzie mi cię brakowało, Fred.

Podszedł i przytulił ją, górując nad nią niczym skała.

– Ja też będę tęskniła za tobą i Noah. Ale wiesz, jeżeli jest nam to pisane, to jeszcze się spotkamy.

– Chciałbym, żeby było nam pisane. – Wyciągnął rękę do Arlys.

– Sądziłem, że opowiedzenie swojej historii obudzi we mnie gniew. Tak się nie stało.

Trzymaj się.

– Taki mam zamiar. Powodzenia, T.J.

Podniósł torbę, w którą zbierał zapasy, rozejrzał się wokół siebie i wśliznął do dziury między deskami.

– To będzie dobry materiał. Mocny. Myślę, że był tutaj, ponieważ musiał opowiedzieć swoją historię i usłyszeć od ciebie, że ma zabrać Noah i uciekać.

– Mieliśmy szczęście.

– Nie szczęście. To nie przypadek. Muszę ci coś powiedzieć – nieoficjalnie.

– Dobrze. Weźmy zupę i powiesz mi w drodze do stacji. Chcę to zmontować.

– Lepiej będzie, jak ci to pokażę, i to tu, gdzie jest bezpiecznie. Tylko nie panikuj, okej?

– Dlaczego miałabym...?

Arlys urwała. Szczeka jej opadła, kiedy Fred poruszyła palcami i zatańczyły wokół niej migotliwe ogniki.

– Jak ty to...?

– Chciałam, żebyś lepiej widziała. – Wyciągnęła ręce na boki.

Na oczach zaskoczonej Arlys z pleców Fred wyrosły opalizujące skrzydła, migocząc tuż pod jej kurtką. A dziewczyna uniosła się nad podłogą, krążąc w powietrzu i machając skrzydłami.

– Co to takiego? Co to jest? – zdumiała się Arlys.

– Z początku trochę spanikowałam – tak się po prostu stało któregoś dnia. A potem stwierdziłam, że to jest absolutnie niesamowite. Okazuje się, że jestem duszkiem!

– Co? Duszkiem? To jakieś szaleństwo. Przestań tak machać!

Płynnym ruchem Fred sfrunęła na ziemię, ale skrzydła nie zniknęły.

– To bardzo fajne, wiesz. Nie możesz o tym nikomu opowiadać, Arlys. To znaczy o mnie. Nazywają nas Niesamowitymi – wciąż nie wiem, czy mi się to określenie podoba, czy nie, ale przyzwyczajam się do niego. No wiem, sądząc po tym, jak robisz relacje, myślisz sobie „Tak, akurat”. Ale patrz. – Fred znowu uniosła się w powietrze. – Właśnie tak!

– To niemożliwe.

– Śmierć ponad miliarda ludzi w miesiąc też nie powinna być możliwa. A jest. A to? Ja? Inni tacy jak ja? To nie tylko możliwe, to równie rzeczywiste, jak cała reszta. Może to jakiś rodzaj równowagi? Nie wiem. Nie potrafię tego rozgryźć, po prostu to akceptuję.

– Inni? Jak ty?

– Duszki, elfy, wiedźmy, syreny, czarodzieje, a to tylko ci, których poznałam.

Jakby zachwycił ją jakiś pomysł, Fred pofrunęła kilkanaście centymetrów wyżej.

– Musimy być ostrożni. Wśród magicznych też są dobrzy i źli. Więc są źli, którzy chcą nas

skrzywdzić, oraz zwyczajni ludzie, którzy tego nie rozumieją, a którzy też chcieliby nas niszczyć.

Sfrunęła i dotknęła ramienia Arlys.

– Pokazałam ci to i mówię o tym, bo coś mi podpowiada, że powinnam to zrobić. Zawsze ufałam temu wewnętrznemu głosowi, nawet gdy nie zdawałam sobie sprawy z jego istnienia.

– Może zasnęłam przy biurku i to wszystko tylko mi się śni.

Fred zaśmiała się i dała jej lekkiego kuksańca w ramię.

– Wiesz, że nie.

– Ja... naprawdę musimy o tym porozmawiać.

– Jasne. Musimy teraz wrócić i przygotować ten materiał. Może wrócimy do tego po wieczornych wiadomościach, jak skończymy pracę. Możemy napić się wina i pogadać o tym. Mam trochę zachomikowanego wina.

– Obawiam się, że to będzie wymagało bardzo dużej ilości wina.

– Okej, ale teraz zupa. Musisz poprawić makijaż i ułożyć włosy, zanim wejdiesz na antenę.

– Słusznie.

– Panikujesz?

– Trochę tak.

Fred uśmiechnęła się.

– Ale zrobisz to, co będzie trzeba. Nie zdradzisz mnie, tak samo jak nie zdradzisz swojego źródła czy T.J. i Noah. Kierujesz się etyką.

\* \* \*

Kiedy wróciły do stacji, Jim określił to inaczej. Nazwał ich zachowanie lekkomyślnością i wygłosił obu ostre kazanie. Kazanie, które do głębi zirytowałoby Arlys, gdyby nie widziała malującego się na jego twarzy niepokoju i nie usłyszała w tym gniewie obawy o ich bezpieczeństwo.

Nie mógł wszakże skrytykować rozmowy. Wysłuchał jej dwa razy, po czym usiadł.

– Jest wyjątkowy – wymamrotał. – Pozwoliłaś mu nadawać kierunek, pozwoliłaś mówić z serca. Cała masa reporterów przygwoździłaby go mnóstwem pytań, próbowała pokierować rozmową. Ty nie.

– To była jego historia, nie moja, Jim.

Obrócił się na krześle i wyjrzał przez okno rzadko używanego biura. Zawołał je tutaj, na dywanik, ponieważ był wkurzony i przestraszony.

– Bo to nigdy nie jest twoja historia. Zanim wszystko diabli wzięli, całe mnóstwo dziennikarzy o tym zapomniało. Sam się zapomniałem, mogłem przeoczyć tę cechę u ciebie. – Odwrócił się do nich. – Dajmy to na antenę. Potrzebujesz zapowiedzi.

– Już mam ją w głowie. Chciałabym emitować to co godzinę, aż do wieczornych wiadomości.

– Dobrze. Ale na drugi raz nie rób niczego takiego bez uzgodnienia tego wpierw ze mną. I nie zabieraj ze sobą tej smarkuli. Przepraszam, Fred, ale trudno nazwać cię Wonder Woman.

– Raczej Dzwoneczkiem – mruknęła Arlys i Fred musiała się roześmiać.

– Dokładnie. A teraz bierzmy się do roboty.

Arlys podyktowała zapowiedź, podczas gdy Fred poprawiała jej makijaż i wygładziła włosy. Czekala przy stanowisku prezentera na zielone światło, na sygnał.

– Tu Arlys Reid. Mam dla państwa, żywię nadzieję, nie jednorazowy punkt programu. Każdego dnia, mimo tragedii i rozpacz, ludzie żyją dalej. Każda z tych osób żyje w żałobie, w niepewności. Każdy ma historię do opowiedzenia, o życiu, jakie prowadził i jakie prowadzi teraz. Oto historia Bena.

Kamera została wyłączona, uruchomiono nagranie.

Wysłuchała tych słów ponownie i także tym razem bardzo ją uderzyły. Pomyślała o dużym mężczyźnie oraz młodym chłopcu; łudziła się nadzieją, że znaleźli drogę do jakiegoś bezpiecznego miejsca.

– Odtworzymy historię Bena za godzinę – powiedziała na zakończenie – żeby nam



wszystkim przypominała o nadziei i ludzkości. Mówiła Arlys Reid, zobaczymy się za godzinę.

Fred zaklaskała. Z westchnieniem zadowolenia Arlys wstała i gestem dała Fred do zrozumienia, żeby poszła z nią do newsroomu. – Zamierzam namówić Jima, żeby pozwolił nam jutro pójść z ręczną kamerą.

– Super!

– Nie pokażemy twarzy nikogo, kto nie będzie tego chciał, ale możemy nagrać trochę materiałów dodatkowych. Jeżeli jest ktoś, kogo znasz, kto chciałby ze mną porozmawiać, daj im znać, że jest taka możliwość. A to wino, Fred? Spotkajmy się u mnie po pracy. Możesz zanoćcować. Myślę, że czeka nas długa rozmowa.

– Piżama party! Suuuper.

Arlys nie potrafiła zrozumieć, jak można być tak radosnym, biorąc pod uwagę stan ludzkości. Ale potem pomyślała: no tak, duszek. Czyż duszków nie rozpieszczała zawsze radość? Jak kobieta, którą znała prawie rok, mogła być czymś, co przecież nie powinno istnieć?

Od zastanawiania się nad tym zaczęło się jej kręcić w głowie.

Musi zająć się pracą, sprawdzić, co zdoła znaleźć do wieczornych wiadomości.

Nie znalazła wiele, ale wiedziała, że kiedy będzie mówić o tym, że w Wisconsin widziano kobietę, która sprawiła, że na śniegu rozkwitły kwiaty, w jej głosie nie może dać się wyczuć drwiny.

Postanowiła do wieczornego programu zmienić żakiet, zdjęć kolczyki i uczesać włosy w kok. Nie ma sensu zanudzać ludzi ciągle tym samym wyglądem.

Ponieważ wypiła już swój przydział kawy – napomniała się, że należy brać tylko tyle, ile potrzeba – zdecydowała się na wodę.

Zajęła miejsce przy stanowisku prezentera, sprawdziła, czy ma ułożone notatki, i rozluźniła ramiona. Przyda się jej to wino.

Przybrała profesjonalną minę, dostała sygnał. Gdy zaczęła pierwszą część, dobiegło ją jakieś zamieszanie za kamerą. W słuchawce rozległ się głos Jima.

– Bob Barrett właśnie wszedł do studia. Chyba jest pijany. Schodzę na dół, spróbuję go odciągnąć.

Czytała dalej, ale kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Teraz usłyszała głos Carol:

– Jim nie zdąży na czas. Mogę zrobić cięcie.

– Arlys Reid! – zabełkotał głębokim barytonem Bob, kiedy szedł ku niej, a raczej się zataczał.

– Wszystko w porządku, Carol. To biurko Boba.

– Cholerna racja. – Wszedł na podwyższenie i opadł na miejsce koło niej.

Śmierdział... dżinem i stęchłym potem. Jego pobrużdżona zmarszczkami twarz połyskiwała od potu i w studyjnym oświetleniu wydawała się chorobliwie blada. Nabiegłe krwią oczy patrzyły na nią z urazą.

– Dwanaście lat siedziałem w tym miejscu.

– Niewzruszenie. Chcesz skończyć wieczorne wiadomości?

– Aaaa, pierdolić wieczorne wiadomości. Świat zmienił się w piekło i wszyscy o tym wiedzą. Historia Bena? – Prychnął z obrzydzeniem. – Nie bierz mnie za serce, nowa. Ja im dam historię.

Arlys zamarła, kiedy wyciągnął broń i zamachał nią w stronę Jima, który biegł do stanowiska.

– Nie podchodź, Jimbo. Niech nikt do mnie nie podchodzi. I, Carol, słonko, jeżeli zdejmiesz mnie z anteny, będę o tym wiedział. Zrób to, a wpakuję kulkę w łeb tej ślicznotce.

Arlys próbowała przełknąć ślinę, ale w gardle jej całkiem zaschło.

– To twoje biurko, Bob – wychrypiała.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy była jeszcze niedoświadczoną reporterką, marzącą o robieniu demaskatorskich, wnikliwych wywiadów z przywódcami państw, Arlys wyobrażała sobie, że znajduje się w sytuacjach, w których rozgrywają się kwestie życia i śmierci i że jej odważne, nieustraszone relacje z miejsca zdarzenia wpływają na cały naród.

Teraz, kiedy siedział przed nią pijany, być może oszalały kolega z bronią w ręce, miała w głowie pustkę. Wzdłuż kręgosłupa spływał jej kroplami pot.

– Nie czekałaś długo, żeby posadzić swój młody, zgrabny tyłeczek na moim krześle, co? Falszywa suko.

Usłyszała swój głos: metaliczny, niewyraźny, jakby mówiła przez słabej jakości łącze.

– Każdy tutaj, każdy z widzów wie, że ja cię tylko zastępuję, póki nie wrócisz.

– Nie wciskaj kitu, robię to lepiej od ciebie, dziewczynko.

Ta „dziewczynka” ją otrzeźwiła – wkurzyła na tyle, że się odgryzła. Później, kiedy analizowała całą sytuację, przyznała, że jej reakcja była głupotą, czystym odruchem, ale wyrwała ją z otępienia.

– Stać cię na więcej, Bob. Jesteś zbyt dobry, zbyt doświadczony, żeby uciekać się do seksistowskich zniewag i bezpodstawnych oskarżeń. – Dołożyła do tego wizualny odpowiednik dezaprobaty, przekrzywiając głowę i delikatnie marszcząc brwi. – Skrytykowałeś historię Bena i to, jak go zapowiedziałam, po czym oświadczyłeś, że masz własną historię. Jestem przekonana, że każdy z naszych widzów chciałby ją usłyszeć. Tak samo jak ja.

– Chcesz wysłuchać mojej historii?

– Bardzo. – Rób wszystko, żeby mówić, podpowiadał jej jakiś głos. Niech mówi, może straci przytomność. Albo ona utonie we własnym pocie wywołanym paniką, zanim on ją zastrzeli.

– Jestem w tym biznesie od dwadziestu sześciu lat – zaczął. – Dwanaście lat siedziałem przy tym biurku. Wiesz, dlaczego *Evening Spotlight* jest najlepiej ocenianym programem informacyjnym w Ameryce?

– Owszem, wiem. Ponieważ ludzie wiedzą, że mogą ci ufać. Masz pewną rękę i spokojny głos.

– Ja nie tylko czytałem wiadomości, ja je wynajdywałem. Ustalałem i relacjonowałem. Zasłużyłem na to biurko. – Walnął pięścią w blat na tyle mocno, że papiery podskoczyły. – Zasłużyłem sobie na nie każdego dnia. Wieczór za wieczorem. To dzięki mnie świat znał prawdę. I dzisiaj też zamierzam przekazać światu – temu, co z niego zostało – prawdę.

Machając ręką, w której trzymał pistolet, odwrócił się twarzą do kamery.

– To koniec! Słyszycie, kurwa? Koniec! Rasa ludzka jest skończona, a na jej miejsce przyjdą dziwni i obcy, demony z piekła. Jeżeli nie umrzecie, dławiąc się własną złością, to one was wytropią. Widziałem je, wydostawały się na ten świat z cieni, wyslizgiwały się z mroku. Może i ty jesteś demonem.

I kiedy znowu wycelował broń w stronę Arlys, kobieta zdrętwiała. On nie stracił przytomności, przeszło jej przez głowę. A ona nie może uciec.

– Mówisz zapewne o tych, których nazywa się Niesamowitymi.

– Pieprzyć to! Są źli. Co twoim zdaniem wywołało tę zarazę? Oni! Nie jakiś cholerny tam ptak ani mutujący wirus. Zesłali na nas chorobę i patrzą, jak zdychamy niczym chore psy. Przejęli nasz rząd, zniszczyli władze na całym świecie i karmią takich żalonych reporterów trzeciej kategorii jak ty bzdurami o leku, który nigdy nie nadejdzie. A z odpornych zrobią niewolników.

Gwałtownie obrócił się do kamery.

– Uciekajcie! Uciekajcie, jeżeli możecie! – zawołał. – Ukryjcie się! Walczcie o to, by spędzić ostatnie dni na wolności. Zabijcie tyłu, ile zdołacie.

– Bob – zaczęła Arlys i wyciągnęła rękę, ale błysk w jego oczach sprawił, że opuściła ją na

stół. – Jesteś doświadczonym dziennikarzem. Wiesz, że musisz dostarczyć dowody, podać fakty na poparcie...

– Trupy gnijące na ulicach! To są twoje dowody. Demony skrobiące w okna – wyszeptał złowieszczo. – Szczerzące się demony, które latają. Wpatrują się w ludzi czerwonymi ślepiami. Wyłączyłem światła, ale nadal widziałem te ich oczy. Zatrują wodę. Zamorzą nas głodem. A ty siedzisz tu i wygłaszasz te ich kłamstwa. Siedzisz i udajesz, że zaraz pojawi się cudowny lek, że istnieje jakaś żalosna nadzieja, ponieważ jakiś facet przygarnął bezdomnego dzieciaka i się z nim bawi? Ludzie muszą mnie posłuchać! Zniszczcie ich, póki możecie. Uciekajcie, póki możecie. Wszyscy możecie być demonami. Każdy z was. Może potrzebujemy jakiegoś pokazu. Ty! Ruda. Jak masz na imię?

– Fred. I nie jestem żadnym demonem.

Bob zarechotał. Arlys nie umiała znaleźć innego słowa na opisanie tego dziwnego, obrzydliwego śmiechu.

– Mówi, że nie jest demonem. Oczywiście, że tak mówi. Wydaje mi się, że one nie krwawią. Nie na czerwono jak ludzie. Możemy to sprawdzić.

– Nie rób jej krzywdy, Bob. – Teraz Arlys położyła rękę na jego ramieniu. – Nie jesteś potworem.

– Widzowie mają prawo wiedzieć! Naszym zadaniem jest przekazywanie im prawdy.

– Owszem, to jest naszym zadaniem, ale nie możemy tego robić, krzywdząc niewinną stażystkę, która codziennie tu przychodzi, żeby nam w tym przekazywaniu prawdy pomagać. Mogła wyjechać z miasta kilka tygodni temu, jednak została i stawia się w pracy. Jim, on z kolei jest szefem naszego działu. Stracił żonę, Bob, ale jest tu i zasuwa w reżyserce. Każdego dnia. Steve zajmuje się kamerą, każdego dnia. Carol też jest w reżyserce, każdego dnia. Wszyscy robimy, co możemy, żeby stacja działała, po to, byśmy mogli przekazywać informacje.

Teraz oczy Boba wypełniły się łzami.

– Nic już nie ma sensu – wybełkotał. – Fałszywa nadzieja to tylko kłamstwo z rozmytą ostrością. Kłamiesz przez filtr zmiękczający. Mam teraz dwie nieżyjące byłe żony, a mój syn... mój syn nie żyje. To już koniec, a oni idą po nas, więc wyświadczę ci przysługę. – Znowu skierował broń na Arlys i przekrzywił głowę. – Pomyśl o tym, co demony mogą zrobić takiej młodej, ładnej kobiecie jak ty. Chcesz ryzykować?

– Nie wierzę w demony.

– Uwierzysz. – Skierował się do kamery. – Wszyscy uwierzycie, kiedy będzie już za późno. Już jest za późno. Mówił Bob Barrett. – Włożył pistolet pod brodę i pociągnął za spust.

Kiedy opadł na krzesło współprowadzącego, na twarz Arlys bryznęła krew, ciepła i gorąca. Usłyszała – znowu jakby przez słabe łącze – wrzask Fred, jakieś krzyki.

– Nie wyłączaj kamery. – Podniosła drżącą rękę. Na ramionach poczuła dłonie Jima.

– Chodź ze mną, Arlys. Chodź ze mną.

– Nie, nie, proszę. – Uniosła głowę i zauważyła, że po policzkach spływa mu krew. – Muszę... Daj zbliżenie na mnie, Steve – poprosiła kamerzystę. – Proszę. Bob Barrett zbudował wspaniałą, godną podziwu karierę jako dziennikarz, dzięki etyce, prawości, dzięki temu, że nie opowiadał bzdur, dzięki oddaniu, z jakim działał na rzecz etosu czwartej władzy, z jakim służył prawdzie. Jego syn, Marshall, miał... siedemnaście lat.

– Osiemnaście – poprawił ją Jim.

– Osiemnaście. Nie wiedziałam, że Marshall zmarł, mogę tylko przypuszczać, jak bardzo Bob cierpiał w ciągu ostatnich dni z powodu tej wielkiej, osobistej straty. Dziś poddał się rozpacz i my, którzy staramy się służyć prawdzie i próbujemy naśladować jego etykę i prawość, ponieśliśmy wielką stratę. Nie należy pamiętać, jakim był w tych ostatnich chwilach. A nawet w nich, nawet w chwilach rozpacz, pokazał mi, że przede mną nadal jest daleka droga do osiągnięcia jego poziomu. Chcąc go uhonorować, wyznam państwu prawdę.

Starła wierzchem dłoni łzę i ujrawszy czerwoną smugę krwi, jęknęła.

– Muszę to zrobić. – Utkwiła oczy w kamerze, modląc się w duchu, żeby Chuck to oglądał.

– Mam informacje ze źródła, które uważam za całkowicie wiarygodne. Dysponuję nimi od

dzisiejszego ranka i zataiłam je. Zataiłam je przed moim szefem, przed moimi współpracownikami i przed państwem. Przepraszam, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Wbrew informacjom i liczbom podawanym mediom przez Światową Organizację Zdrowia wspólnie z Centrum Kontroli Chorób oraz Narodowym Instytutem Zdrowia liczba ofiar wirusa H5N1-X dzisiejszego ranka wynosiła ponad dwa miliardy. To jedna trzecia ludności świata, a nie liczymy tutaj zgonów spowodowanych morderstwami, samobójstwami lub wypadkami związanymi z wirusem.

Arlys z wysiłkiem rozprostowała pod biurkiem zaciśnięte dłonie i cały czas patrzyła w kamerę.

– Dalej, wbrew doniesieniom, postęp prac nad szczepionką przeciąga się, ponieważ wirus ponownie zmutował. Obecnie nie ma żadnej szczepionki. Co więcej, sam wirus nie został jeszcze zidentyfikowany. Poprzednie raporty kategoryzujące H5N1-X jako nowy szczep ptasiej grypy są fałszywe. – Zrobiła przerwę, usiłując odzyskać spokój. – Wszystkie dowody wskazują na to, że wirus ten atakuje tylko ludzi. Niedawno zaprzysiężony prezydent Ronald Carnegie zaraził się H5N1-X i wczoraj zmarł wskutek choroby. Na nowego prezydenta wybrano była sekretarz rolnictwa, Sally MacBride. Nowa prezydent ma czterdzieści cztery lata, skończyła studia na Yale – z najwyższym wyróżnieniem – i przed przyjęciem stanowiska w rządzie przez dwie kadencje była senatorem ze stanu Kansas. Mąż prezydent MacBride, z którym związana była przez szesnaście lat, Peter Laster, zmarł w drugim tygodniu pandemii. Według doniesień dwójka jej dzieci, Julian, lat czternaście, i Sarah, lat dwanaście, żyje i przebywa w bezpiecznym miejscu. Nie mogę obecnie zweryfikować prawdziwości tej informacji.

Sięgnęła po butelkę wody, którą postawiła poza zasięgiem kamery, i upiła łyk. Zauważyła, że Carol cicho płacze, a Jim ją obejmuje. Obok nich stała Fred i głaskała Carol po plecach. Skinęła głową Arlys.

– Mam ponadto informacje, że siły wojskowe – nie mogę zweryfikować z czyjego upoważnienia – zaczęły przeszukania, żeby znaleźć tych z nas, którzy wydają się odporni na wirus, oraz poddać ich kwarantannie w nieokreślonych miejscach celem przeprowadzenia testów. Nie będzie to dobrowolne. W gruncie rzeczy byłby to stan wyjątkowy.

Nie wierzę w demony. To nie jest kłamstwo. Widziałam coś, co kiedyś byłoby niewiarygodne. Widziałam piękno i cud tych zjawisk. Wierzę, że ci, których nazywamy Niesamowitymi – w nich także jest światło i ciemność, tak samo jak istnieje światło i ciemność w nas – również będą zgarniani, zatrzymywani i poddawani testom. I obawiam się, że tych z nas, których H5N1-X oszczędzi, zniszczyć mogą strach i przemoc, rozwijające się w tych z nas, którzy poddają się narzuconym ograniczeniom wolności.

Zamilkła, zaczerpnęła powietrza, spojrzała na Jima, dając mu sygnał, żeby przygotował się na koniec emisji. Skinęła głową i szepnął coś do Carol. Ta potrząsnęła głową.

– Ja to zrobię – odrzekła cicho i ruszyła do reżyserki.

– Wstrzymałam te informacje, wiedząc, że jeżeli je podam, najprawdopodobniej będzie to ostatni program emitowany z tej stacji. Narazi to na szwank moich współpracowników. Pozwoliłam sobie obniżyć poprzeczkę nadziei związanej z ludzkością. Wmawiałam sobie, że nie będzie miało znaczenia, czy się dowiecie, czy mówię prawdę. Przepraszam. I chciałabym pochwalić wszystkich obecnych w tym studiu za to, że zaryzykowali wszystko, co mają, by dotrzeć do prawdy. Proszę was wszystkich, nie poddawajcie się strachowi, żałobie, rozpacz. Przetrwajcie. Znajdę sposób, by do was znowu dotrzeć, by przekazywać prawdę. Tymczasem żegnaj się z wami. Mówiła Arlys Reid.

Oparła się i odetchnęła głęboko.

– Przykro mi, Jim.

– Nie, przestań, daj spokój. – Podeszedł do niej, kiedy spojrzała na Boba bezwładnie siedzącego na krześle w zakrwawionej koszuli.

– O Boże. O Boże.

– Chodź. Zajmę się nim.

– Musiałam to zrobić. – Trzęsąc się cała, pozwoliła mu się poprowadzić. – Bob odebrał sobie życie. Mylił się, ale miał rację co do kłamstw. Byłam częścią tych kłamstw. Nie mogłam już

kłamać po tym... O Jezu, teraz nas zamkną. Zrobiłeś tak wiele, Jim, żebyśmy ciągle działali, a...

– To stałoby się prędzej czy później. Wydobyłaś na światło dzienne prawdę, zanim zapanowała ciemność. Musisz zniknąć, Arlys. Jeżeli wrócisz do domu, najprawdopodobniej cię tam znajdą.

– Jest miejsce, o którym nikt nie wie.

– Okej. Czego potrzebujesz?

– Muszę zniszczyć komputer, którego używałam. Mój informator powiedział mi, jak to zrobić.

– Dobrze. Zrób to. Fred, daj Arlys trochę żywności.

– Jadę z nią – oświadczyła Fred.

– Weź więc dość jedzenia dla dwóch osób – odparł bez zastanowienia Jim. – Fred, zabierz też trochę ubrań z garderoby. – Mówiąc to, rozpiął guziki poplamionego krwią żakietu Arlys. – Ja zajmę się resztą. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Arlys podeszła prosto do komputera, ręce jej drżały. Nie mogła zniszczyć swoich notatek, po prostu nie potrafiła tego zrobić, wepchnęła je więc do teczki, zanim zrobiła to, co Chuck jej polecił.

Zasadniczo, jak wyjaśnił, zainfekuje komputer wirusem, który wymaze wszystkie dane. Potem ma wyjąć dysk i... – jak to określił Chuck – rozpieprzyć go młotkiem. Nawet wówczas jakiś geniusz informatyki być może zdoła coś odtworzyć, ale – według Chucka – wtedy to już nie będzie miało znaczenia.

Musiała zmienić koszulę – także poplamioną krwią Boba – oraz zmyć krew i telewizyjny makijaż. Fred wpadła i chwyciła na chybił trafił kilka kredek do oczu, szminek i tuszów do rzęs.

– Nikt nie będzie ich tutaj używał, więc równie dobrze możemy je wziąć.

– Naprawdę? Wydaje mi się, że ładne buzie będą najmniej istotne.

– Ładne buzie nigdy nie są nieistotne. – Fred wepchnęła kosmetyki upiększające do kieszeni. – Jim mówi, że musimy się śpieszyć. Powinniśmy już iść.

Chwyciła w biegu płaszcz i trafiła na czekającego na nich Steve'a. Trzymał dwa plecaki.

– Zostały, kiedy ludzie przestali przychodzić.

– Dzięki. – Arlys założyła swój i spojrzała na Jima i Carol. – Chodźcie z nami. Wszyscy powinniście z nami pójść.

– Mam tu kilka rzeczy do zrobienia. Jeżeli przyjdą, zanim skończę, wiem, jak się stąd wydostać.

– Ja zostaję z Jimem – oznajmiła Carol. – Zamkniemy wszystko.

– Muszę iść do domu – wtrącił Steve. – Pomogę im, a potem pójdę do domu. Powodzenia. –

Wyciągnął dłoń.

Arlys zignorowała ją i objęła go, a potem pozostałych.

– Jedziemy do...

– Nie mów nam – przerwał jej Jim. – Nikomu nie możemy zdradzać tego, czego nie wiemy.

Uważajcie na siebie.

– Dobrze. Znajdę jakiś sposób – obiecała.

– Jeżeli komukolwiek się uda, to właśnie tobie.

Skierowały się ku wyjściu ewakuacyjnemu i ruszyły schodami w dół.

– Byłaś naprawdę dzielna, kiedy Bob się pojawił. On po prostu, wiesz, stracił panowanie nad sobą, a ty wykazałaś się wielką odwagą.

– Nie wykazałam. To głównie szok. A potem wstyd, bo powiedział, że kłamię, i rzeczywiście kłamałam, chociaż nie wiedział, w jakiej sprawie.

– Myślę, że jeśli o to chodzi, powinnaś sobie odpuścić.

– Dziennikarz...

– Mamy w tej chwili coś w rodzaju apokalipsy – przypomniała jej Fred – więc wszyscy sobie odpuśćmy.

Kiedy dotarły do holu, zorientowały się, że zrobiło się już ciemno. Arlys podeszła do drzwi i zatrzymała się.

– Nie zastanawiałam się, dlaczego nikt tu nie wpadł. Po prostu cieszyłam się, że nikt się nie pojawił. Zrobiłaś coś? Coś takiego jak na targu?

– Otrzymałam wsparcie. To coś o wiele większego niż targ. Prawdopodobnie nie spojrziałaś wystarczająco wysoko, żeby dostrzec symbole. Nie będą działały wiecznie, ale jak na razie nieźle się trzymają.

– Zdziwiasz mnie, Fred. Jesteś chodzącą niespodzianką. Czy to powstrzyma policję, wojsko czy kogokolwiek, kto będzie próbował się tu dostać?

– O tym nie pomyślałam! – Fred zakłósała biodrami i lekko uderzyła Arlys w ramię. – Chyba tak. Nie jestem pewna na sto procent, ale tak, oni chcą nas przecież skrzywdzić, no nie? Może dla niektórych z nich to obowiązek, ale mimo to... Myślę, że dziewięćdziesiąt procent. Nie, osiemdziesiąt pięć.

– Wystarczy. Chodźmy.

– A dokąd?

– Do Hoboken.

– Tak? Byłam tam kiedyś na targach sztuki. Jak się dostaniemy do Hoboken?

– Metrem.

– Przecież nie jeździ.

– To nic, nadal są tory. Pójdziemy nimi pieszo. Zejdziemy w dół na stacji przy Trzydziestej Trzeciej i będziemy szły torami. Trochę to potrwa. – Wymknęły się i znowu ruszyły na zachód, starając się unikać światła tych latarni ulicznych, które jeszcze działały. – Ale mamy czas. Mój informator nie spotka się z nami przed trzecią nad ranem.

– Spotkamy się z twoim informatorem? Super! Nigdy się z nikim takim nie spotkałam.

– Nie ekscytuj się tak. Mam nadzieję, że dobrze zrozumiałam jego szyfr co do tego, gdzie i kiedy się spotkamy, i że oglądał wiadomości, więc wie, że do niego zmierzam. A jeżeli się uda? Będziemy musiały przedostać się dalej. Muszę dostać się do Ohio.

– Nigdy nie byłam w Ohio. – Fred posłała Arlys słoneczny uśmiech. – Założę się, że jest tam ładnie.

\* \* \*

Lana szlochała we śnie. Siedziała pod uschniętym drzewem, którego przypominające szkielet gałęzie sterczały na tle bezgwiazdznego nieba. Wszystko ciemne i uschnięte, ciało i umysł obolałe, była wyczerpana.

Pomyślała, że nie ma dokąd pójść w tym świecie pełnym nienawiści i śmierci, tak cierpiąca po utracie bliskich.

Była zbyt zmęczona, by nadal udawać, zrobić kolejny krok. Straciła wszystko, a nienawiść będzie ją ścigać aż po grób. Jaki jest sens się temu przeciwstawiać?

– Nie masz na to czasu.

Lana podniosła głowę.

Stała nad nią młoda kobieta z dłońmi zaciśniętymi w pięści na biodrach. Sterczące kruczoczarne włosy obcięte na krótko tworzyły ciemną aureolę wokół jej głowy. Mimo że nosiła czarne ubrania, wydawał się jasna, rozświetlona. W bezkسیężycowej ciemności skrzyła się światłem.

Stała szczupła i wyprostowała, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, z kołczanem na plecach i z nożem przy pasku. Odznaczała się wyraźną siłą i niemal niedbałym pięknem.

– Jestem zmęczona – odparła Lana.

– To przestań tracić energię na łzy. Wstań i idź dalej.

– Po co? Dokąd?

– Dla swojego życia, dla świata. Ku swojemu przeznaczeniu.

– Nie ma już świata.

Kobieta kucnęła, tak że ich oczy znalazły się na tej samej wysokości.

– Czy ja tu jestem? Czy ty jesteś? Jedna osoba może stanowić świat, a nas jest dwie. I nie jesteśmy jedyne. Masz w sobie siłę.

– Nie chcę jej!

– Nie ma znaczenia, czego ty chcesz, ale co jest. Trzymasz klucz, Lano Bingham. Wstań i idź na północ. Podążaj za znakami. Ufaj im. Ufaj temu, co masz, i temu, kim jesteś, Lano Bingham. – Kobieta uśmiechnęła się, wypowiadając jej imię, a Lana poczuła przebłysk zrozumienia, świadomości, który zaraz zniknął. – Masz wszystko, czego potrzebujesz. Wykorzystaj to.

– Ja... Czy ja cię znam?

– Poznasz. A teraz wstań!

– Lano, musisz wstać. – Max potrząsnął ją za ramię. – Musimy ruszać.

– Ja... dobrze.

Usiadła na nierównym łóżku w śmierdzącym stęchlizną pokoju. Znaleźli podupadły motel położony na tyle daleko od głównej drogi, że Max uznał go za wystarczająco bezpieczny. Przespali w nim kilka godzin.

Bóg świadkiem, że bardzo tego potrzebowali.

– Jest motelowa kawa. – Wskazał na dzbanek na stoliku telewizyjnym. – Lepsza niż żadna, ale niewiele. – Ujął jej twarz w dłoń. – Do świtu jeszcze daleko. Wyjdę, zobaczę, czy jest coś do jedzenia w automatach. Dziesięć minut. Dobrze?

– Dziesięć minut.

Wzięła kawę do łazienki, ochlapała wodą twarz.

Pachniała metalicznie, ale podobnie jak kawa – lepsza taka niż żadna.

Spojrzała w lustro i zobaczyła podkrążone oczy i bladą skórę. Rzuciła na siebie delikatny czar – tym razem nie z próżności, lecz dla Maksa. Jeżeli będzie wyglądała na zbyt zmęczoną, zbyt słabą, to nie będzie naciskał.

Po wczorajszym dniu rozumiała, że to konieczne.

Ostatecznie udało im się przedostać przez rzekę drogą numer 202, zaraz za prawie opustoszałym miastem Peekskill. Opustoszałym, jak się przekonała, gdyż nie tylko oni próbowali przedostać się na drugą stronę.

Wszędzie stały rozbite i porzucone samochody, niektóre z ciałami za kierownicą.

Musieli zostawić terenówkę mniej więcej w połowie drogi i przenieść swoje rzeczy wokół przewróconej ciężarówki z naczepą, która blokowała drogę. Lana zdała sobie sprawę, że tak jak niektórzy uciekali na zachód – lub próbowali – tak inni śpieszyli na wschód.

Barykady wzniesione po stronie zachodniej były rozbite. Pomyślała, że ktoś się przedostał. Tylko po co?

Osiem godzin zabrała im podróż z Chelsea i przeprawienie się przez rzekę Hudson.

Wzięli kolejny samochód – miał łyse opony, ale jeszcze pół baku paliwa – i skierowali się na zachód, a potem na północ, trzymając się bocznych dróg, unikając zaludnionych obszarów albo tych, które niegdyś były zaludnione.

Kiedy nalegała, że muszą się zatrzymać, odpocząć i zjeść, skręcili na terenie z krętą dwupasmową drogą w kierunku domu wyglądającego na opuszczony. Zabite deskami okna, nieodgarnięty śnieg. Kiedy jednak samochód wjechał na nierówny podjazd, na zapadającą się werandę wyszła kobieta o oszalałym spojrzeniu i uzbrojona w strzelbę.

Pojechali dalej.

Zatrzymali się dopiero, kiedy zrobiło się całkiem ciemno, przy malutkiej stacji benzynowej obok obskurnego motelu o nazwie Ukryty Odpoczynek.

Lana przyrządziła kurczaka i ryż na przenośnej kuchence elektrycznej w opuszczonym biurze motelu. Po kurzu i brudzie na ladzie recepcji poznała, że są pierwszymi gośćmi od jakichś paru tygodni.

Zjedli i położyli się spać.

A teraz musieli jechać w dalszą drogę. Znajdą Erica, a Max wymyśli, co robić dalej.

Usłyszała sygnał siedmiu stuknięć do drzwi i kiedy Max wszedł, wzięła do ręki torbę.

– Jestem gotowa.

– Mam trochę chipsów i napojów gazowanych, kilka batoników. I mamy następny

samochód – oznajmił. – Jest w lepszym stanie niż ten ostatni, tylko ma kompletnie pusty bak. Uruchomiłem na szczęście jeden z dystrybutorów paliwa, możemy więc zatankować do pełna, jak do niego dojedziemy.

– Okej. Musisz jeść coś poza chipsami i batonikami. – Wyciągnęła pomarańczę z torby. – Podzielę się z tobą.

– Dobra.

– Najpierw podjedźmy, wsadźmy bagaż i zatankujmy. Wyglądasz na wyspaną.

Uśmiechnęła się zadowolona, że rzuciła na siebie czar.

– A kto by nie był po nocy w tym pałacu? – Wyszła za nim i mimo kurtki zdrząła z zimna.

– Chyba zanosi się na śnieg.

– Tak, całkiem możliwe, więc bez względu na bak, gdy trafimy na coś z napędem na cztery koła, to się przesiądziemy.

– Ile nam jeszcze zostało?

– Ponad pięćset pięćdziesiąt kilometrów. Jeżeli będziemy jechać głównymi drogami, wyrobimy się dość szybko. Jeżeli nie... – Zawiesił głos i podniósł czerwony kanister z napisem benzyna, po czym poprowadził ją jakieś dziesięć metrów dalej, gdzie na wąskim poboczu stało przechylone auto.

– Prawie im się udało... – wymamrotała.

– Nie miałoby to żadnego znaczenia, skoro dystrybutory zostały wyłączone. Zdołałem przestawić auto magią jakieś trzy metry, ale więcej nie dałem rady. Pewnie razem zdołalibyśmy dalej go przesunąć, ale tak będzie równie szybko.

Nie odezwała się, wiedziała, że wymagał od siebie za dużo. Moc, czego oboje się nauczyli, nie brała się znikąd.

Włał do zbiornika galon paliwa i wstawił kanister do bagażnika.

– Mogę trochę poprowadzić.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Próbowaliśmy tego rozwiązania wczoraj.

Do wczoraj nigdy nie prowadziła samochodu. W końcu mieszkała w Nowym Jorku.

– Muszę ćwiczyć.

– To na pewno. – Zaśmiał się i pocałował ją. – Poćwicz, podjeżdżając do stacji benzynowej. Wsiedli i Max skinieniem głowy wskazał guzik zapłonu.

– Odpal go, to też musisz ćwiczyć.

Zapalanie silnika, dystrybutory i uruchamianie elektryczności zostawiała jemu. Ale owszem – musiała ćwiczyć.

Podniosła dłoń nad guzikiem i skupiła się. Pchnęła. Silnik się włączył. Nakręcona przepływem mocy uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Muszę ćwiczyć, akurat.

– No to ruszaj. – Znowu się zaśmiał i och, jakże ten dźwięk ją uspokajał.

Chwyła kierownicę tak jak spadająca kobieta chwyta linę, pisnęła, po czym ruszyła bardzo powoli, szarpnęła i gwałtownie skręciła w stronę stacji.

– Nie wjeżdż w dystrybutory – ostrzegł ją Max. – Zwolnij, nieco w lewo. Stop!

Wcisnęła hamulec tak mocno, że samochód szarpnął, ale udało się.

– Przystaw dźwignię biegów na P. Wyłącz silnik.

Oboje wysiedli. Max włożył nalewak do baku i uruchomił tankowanie. Kiedy usłyszał szum płynącego paliwa, objął Lanę.

– Działa, mamy szczęście.

– Nigdy nie sądziłam, że ucieszy mnie zapach oparów paliwa, ale... – Urwała i przycisnęła dłoń do jego piersi. – Słyszałeś...

Jeszcze mówiła, a on już się obrócił i schował ją za sobą. Wyciągnął pistolet z kabury na biodrze.

Młody pies, niedawno jeszcze szczeniak, pędził przez parking z radośnie wywieszonym językiem i błyszczącymi oczami.



– Och, Max! – Chciała kucnąć, żeby przywitać się ze zwierzęciem, ale Max spoglądał w innym kierunku.

– Wiem, że tam jesteś. Wyjdź. I chcę zobaczyć podniesione ręce.

Lana stała jak sparaliżowana, nawet kiedy pies oparł się przednimi łapami o jej nogi i merdał radośnie ogonem.

– Nie strzelaj. Jezu! Człowieku, tylko mnie nie zastrzel.

Na dźwięk tego głosu – męskiego, z lekko południowym akcentem – pies popędził z powrotem i obiegł mężczyznę, który wyszedł zza krzaków rosnących na skraju parkingu.

– Mam podniesione ręce, człowieku. Widzisz? Wysoko. My tylko przechodzimy. Nie chcemy nikogo skrzywdzić. Nie zrób krzywdy szczeniakowi, okej? Serio, facet, nie władaj kulki w psiaka.

– Dlaczego się tam chowałeś?

– Usłyszałem samochód, okej? Chciałem sprawdzić. Poprzednim razem, gdy usłyszałem samochód, duppek chciał nas przejechać. Ledwie złapałem Joego i zdążyliśmy zwać.

– To dlatego jesteś taki poobijany?

Na wąskiej twarzy pod lewym okiem zaznaczał się żółknący już siniak, tak samo wokół niechlujnej, nieprzyszyżonej brody.

– Nie. Kilka tygodni temu dołączyłem do jednej ekipy. Wydawali się spoko. Rozbiliśmy obóz, zapaliliśmy zioło. Drugiej nocy mnie pobili i ukradli towar. Miałem naprawdę dobrą trawę, więc się podzieliłem. Ale chcieli wszystko. Zostawili mnie, zabrali plecak, wodę, wszystko. Kiedy czmychnęli, pojawił się Joe. I tak się zakumplowaliśmy. On mnie nie pobije. Proszę, tylko nie zrób mu krzywdy.

– Nikt go nie skrzywdzi. – Lana kucnęła, a Joe podbiegł do niej i zaczął lizać ją po twarzy. – Nikt nie skrzywdzi Joego. Aleś ty słodki!

– To dobry pies. Wydaje mi się, że ma góra trzy miesiące. Trochę labrador. Nie wiem co jeszcze. Możesz już we mnie nie celować? Nie lubię broni. Zabija ludzi, bez względu na to, co mówi Stowarzyszenie Strzeleckie. Mówiło – poprawił się.

– Zdejmij plecak – nakazał Max. – Wyjmij wszystko. I kurtka, wyrwóć kieszenie.

– Ejże, człowieku, dopiero co uzupełniłem zaopatrzenie.

– Niczego nie zabierzemy. Chcę tylko sprawdzić, czy nie masz broni.

– Och. Nie ma problemu! Mam nóż. – Z ciągle uniesionymi dłońmi wskazał na pochwę przy pasku. – Konieczny, jak się wędruje i biwakuje na dziko. Miałem namiot, ale te dupki mi zabrały. Muszę użyć rąk, żeby ściągnąć plecak, okej?

Gdy Max skinął głową, chłopak zdjął plecak, rozsunął zamek, wyciągnął koc ratunkowy, parę skarpetek, bluzę z kapturem, harmonijkę, małą torebkę jedzenia dla psów, kilka puszek, jakieś przekąski, wodę i dwie książki w broszurowej oprawie.

– Mam nadzieję, że znajdę sobie jakiś śpiwór, może pickupa – coś z napędem na cztery koła. Nie znalazłem jeszcze niczego, co mógłbym uruchomić. Nadchodzą śnieżne dni. Jestem Eddie – paplał, wyciągając kolejne rzeczy. – Eddie Clawson. I to wszystko, co mam – dodał. – Mogę już włożyć kurtkę? Jest cholernie zimno.

Był chudy jak tyczka, wysoki, kościsty. Lana uznała, że ma nie więcej niż dwadzieścia dwa, może trzy lata. Spod jego pomarańczowej czapki narciarskiej wyzierały skręcone w niechlujne dredy ciemnoblonde włosy.

Instykt podpowiadał jej, że jest równie nieszkodliwy, jak jego pies.

– Ubierz się, Eddie. Jestem Lana. A to Max. – Zaczęła iść ku niemu. – Musimy czasem komuś zaufać. – Pochyliła się, żeby pomóc mu pozbierać rzeczy. – Dokąd zmierzasz, Eddie?

– Nie mam pojęcia. Nie mam kompasu. To też mi zabrali. Chyba szukam ludzi. Takich, którzy nie są martwi albo nie próbują mnie zabić, którzy mnie nie stłuką z powodu torby trawki. Może to was szukam? Podniósł wzrok, kiedy Max podszedł mu się przyjrzeć z bliska. – Stary, masz nade mną przewagę co najmniej dwudziestu paru kilogramów, i to raczej mięśni, nie tłuszczu. No i masz broń. Nie zamierzam nic kombinować. Chcę znaleźć się w jakimś miłym miejscu. Gdzieś, gdzie ludzie nie stracili do cna rozumu. Dokąd jedziecie?

– Do Pensylwanii – odparł Max.

– Macie dwa miejsca? Mogę wam pomóc się tam dostać.

– Jak?

– No, wystartować. – Eddie zarzucił plecak i wskazał brodą samochód. – To przyjemna bryka i tak dalej, ale nie ma napędu na cztery koła, a idzie śnieg. Główne drogi są raczej pablokowane, a tych bocznych nie odśnieżano od ostatnich opadów. Założę się, że na stacji są jakieś łańcuchy.

– Łańcuchy? – zdumiała się Lana. Eddie uśmiechnął się szeroko.

– Miastowi, co? Łańcuchy śnieżne. Mogą się niedługo przydać. I kilka szufli nie zaszkodzi. Piasek, jeżeli znajdziemy. Albo kilka wiader tego żwiru. Jestem przydatny. – Wypiął pierś. – Powiem szczerze. Nie chcę podróżować sam. Jest dziwnie jak cholera. Widzi mi się, że im więcej ludzi razem jedzie, tym lepiej.

Max spojrzał na Lanę, która odpowiedziała uśmiechem.

– Zobaczmy, czy znajdziemy jakieś łańcuchy – powiedział.

– Tak? – Eddie się rozpromienił. – Super.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Eddie wynalazł skądś łańcuchy i trochę narzędzi – ktoś, kto porzucił stację benzynową, zostawił na niej dobrze zaopatrzoną skrzynkę narzędziową. Potem wygrzebał trzygalonowy kanister i napełnił go paliwem.

– Normalnie nie lubię wozić benzyny w bagażniku – oznajmił, kiedy ją tam wstawiał. – Ale wiecie, okoliczności. Ja i Joe musimy się załatwić przed drogą.

– Jasne, poczekamy – uspokoił go Max.

– On jest w porządku, Max – odezwała się Lana. – Nie wyczuwam w nim nic złego.

– Mam takie samo wrażenie. Nadal przyzwyczajamy się do tego, że wyczuwamy więcej niż kiedyś. I na razie przynajmniej będziemy musieli sobie radzić z obcymi. Ale Eddie przyłączył się do grupki obcych osób i myślę, że mówi prawdę, że oni rzeczywiście zwrócili się przeciwko niemu, pobili go i zostawili bez niczego. Będziemy musieli wyostrzyć ten zmysł, który się pojawił. Bo nie jest jedynym człowiekiem, na jakiego się natkniemy.

– Martwisz się o Erica, ponieważ nie wiesz, z kim jest.

– Wkrótce będziemy razem. Wsiadaj, jest zimno. I chcę uruchomić samochód, zanim ten chłopak wróci. Nie ma powodu, żeby teraz pokazywać jemu czy komukolwiek innemu, co potrafimy.

Wsiedli. Max patrzył w lusterko wsteczne i trzymał dłoń nad guzikiem zapłonu. Uruchomił go, kiedy zobaczył, że Eddie i psiak wracają.

– Wskakuj, Joe. – Eddie wsunął się za zwierzęciem. – Jeszcze raz wam dziękuję. Fajnie jest pokonać trochę kilometrów na siedząco zamiast na nogach.

Kiedy Max wyjechał z parkingu, Lana obróciła się, żeby spojrzeć na Eddiego.

– Jak daleko dotarłeś?

– Nie wiem dokładnie. Byłem w Catskills. Mój znajomy dostał tam robotę jako dozorca poza sezonem w takim kiepskawym ośrodku wypoczynkowym. Takim jak ten z filmu. Kojarzycie „Dirty Dancing” z tymi domkami i tak dalej?

– Nikt nie upchnie Bejbi w kącie.

– Dokładnie. No to ten ośrodek wcale nie wyglądał tak fajnie. Był nieco zapuszczony. Ale pojechałem mu pomóc, naprawialiśmy, co się dało. Nie oglądaliśmy specjalnie telewizji, a internet kiepsko chodził, ale dowiedzieliśmy się, że ludzie chorują, kiedy pojechaliśmy któregoś wieczoru do miasteczka, żeby uzupełnić piwo.

Joe wyciągnął się na jego kolanach, a Eddie głąskał go długimi, kościstymi palcami.

– Było to jakieś trzy tygodnie temu, straciłem poczucie czasu. Następnego dnia zadzwoniłem do domu – po to też musiałem pojechać do miasta, bo nie mogłem się połączyć. Komórka miała w ośrodku kiepski zasięg, a właściciele wyłączyli na zimę telefon. Cholerne skąpiradła. Tak czy siak nie mogłem dodzwonić się do mamuni i martwiłem się jeszcze bardziej. Potem udało mi się skontaktować z siostrą. Powiedziała, że mamunia jest okropnie chora w szpitalu i, Jezus, słyszałem, że Sarri też już zaniemogła.

Nadal głąskał psa, ale odwrócił głowę i spojrzął w okno.

– Wróciłem, żeby się spakować, powiedzieć o wyjeździe Budowi – mojemu kumplowi – i przeraziłem się, bo on też nie czuł się za dobrze. Miał okropny kaszel. Spakowaliśmy się mimo wszystko i ruszyliśmy przed zapadnięciem zmroku. Zostawiliśmy tam jego ciężarówkę, nie miał już siły dalej jechać. A potem rozchorował się tak, że musiałem zjechać z trasy poszukać jakiegoś szpitala.

Przeniósł wzrok na Lanę.

– To było szaleństwo, człowieku, kompletne wariactwo. Zapadła dziura i wszyscy usiłowali z niej zwiać. Widziałem zabite deskami domy i sklepy – chociaż do niektórych się włamano – ale mieli też szpital i dowiozłem tam Buda. – Westchnął głęboko. – Nie mogłem go tak zostawić, ale

moja mamunia i Sarri... – Westchnął. – Nie dało rady się do nich dodzwonić. Dopiero jakaś szóstka czy siódma osoba odebrała. Mój kuzyn Mason. Powiedział, Boże, on też nie brzmiał jak zdrowy. Powiedział, że moja mamunia i jego odeszły, a Sarri jest w szpitalu i nie wygląda to dobrze. Nie mógł wyjechać, poradził mi, żebym nie wracał, że jest źle. Nic się nie da zrobić. Nie było sensu dzwonić do tatki. Zniknął wkrótce po tym, jak ja i Sarri się urodziliśmy, nie wiedziałbym zresztą gdzie go szukać. Tak czy inaczej, Bud nie przeżył. Sarri i Mason też nie.

– Przykro mi, Eddie.

Nie przestając głaskać Joego, chłopak wytarł mokre oczy.

– Ruszyłem, nie myślałem jasno. W końcu dotarłem do takiego miejsca, które było całe zablokowane samochodami, tak że nie mogłem się przedostać. Zawróciłem, pojechałem w drugą stronę. Ciągle trafiałem na zablokowane drogi, a potem zepsuła mi się ciężarówka. Wydaje mi się, że od jakichś dwóch tygodni idę pieszo. Nauczyłem się trzymać z dala od większych miast, tam jest syf, poważny syf. Boczne drogi są lepsze. Myślę o powrocie do domu, to taka mała miejscina Fiddler's Creek pod Louisville. Choć nie wydaje mi się, żebym tam wytrzymał ze świadomością, że moja mamunia i siostra nie żyją. Chyba nie byłbym w stanie wrócić do domu, wiedząc, że ich tam nie ma. Straciliście kogoś?

– Straciłam kilka lat temu rodziców – odpowiedziała Lana. – Jestem jedynaczką. Max nie może się skontaktować z rodzicami, są w Europie. Zamierzamy spotkać się z jego bratem.

– Modlę się, żeby był zdrowy. Nie za bardzo umiem się modlić, choć mamunia usiłowała zrobić ze mnie bogobożnego człowieka. Ale zacząłem praktykować niedawno, będę się więc o niego modlił.

Max zerknął na niego w lusterku wstecznym.

– Dzięki.

– Widzi mi się, że musimy teraz dbać o siebie nawzajem. – Eddie potarł posiniaczoną szczękę. – Niektórzy tak na to nie patrzą. Cieszę się, że wy tak. Jesteście miastowi, od razu to widać. Z jakiego miasta?

– Z Nowego Jorku.

– Bez jaj. Słyszałem, że tam jest naprawdę źle. Kiedy się wydostaliście?

– Wczoraj rano. I tak, rzeczywiście jest tam źle.

– Wszędzie jest źle – dodała Lana. – Wirus zabił ponad miliard ludzi. Mówią, że niedługo opracują szczepionkę, ale...

– Nie słyszeliście.

Lana znowu odwróciła się do Eddiego i zobaczyła, że zrobił wielkie oczy, upodobniając się do sowy.

– Czego nie słyszeliśmy?

– Prosto z Nowego Jorku. Natknąłem się na to wczoraj, gdy byłem na jednej małej farmie. Żebra mnie bolały jak cholera i przyszło mi do głowy, że może pozwolą mi pospać w stodole czy coś takiego. Ale nikogo nie było. Uciekli, więc zatrzymałem się w domu. Mieli generator prądu, no to go uruchomiłem i wzięłem pierwszy od tygodnia gorący prysznic, było bosko. Mieli też telewizor, to pomyślałem, że pooglądam sobie jakieś filmy, było tam sporo płyt DVD, wszystko zostawili. Ale włączyłem i mało ducha nie wyzionąłem, bo nadawali akurat wiadomości. Ta dziewczyna od wiadomości, ee... tak się zabawnie nazywa.

– Arlys? Arlys Reid? – spytała Lana.

– O właśnie, właśnie. Pomyślałem, że trochę pooglądam, to może się czegoś dowiem. No, a poza tym niezła z niej laska. No i ona mówi, a tu wchodzi jakiś koleś i siada. Pijany jak bela. Widziałem go wcześniej. Bob Jakiśtam.

– Bob Barrett? To główny prowadzący – zauważył Max.

– O mój Boże! – Lana odwróciła się tyle, ile mogła. – Co się stało?

– Było tak. – Eddie wygodnie się rozsiadł, żeby móc bez przeszkód opowiadać. – Macha pieprzonym pistoletem, wygłasza jakieś głupstwa i grozi, że zastrzeli tę ładną laskę. Mówi, że wszyscy i tak zginiemy, nie ma dla nas ratunku i takie tam. Laska mu daje głądzić – trzeba przyznać, ma jaja – i wygląda na to, że może zdoła go uspokoić. A potem gość przykłada sobie

pistolet... – Tu Eddie przytknął palec wskazujący pod zaniedbaną brodę. – I bum. Na antenie. Koleś odstrzelił sobie pół twarzy na antenie.

Zaczął padać śnieg i natychmiast ześlizgiwać się po przedniej szybie. Max włączył wycieraczkę.

– Ale to jeszcze nie było najgorsze – ciągnął Eddie. – Ta fajna laska, Arlys? Mówi, żeby nie schodzić z anteny, ale zrobić na nią zbliżenie. Myślałem, że może po to, by widzowie nie patrzyli na trupa. Też zresztą miała krew na twarzy, ale nic to, zaczyna mówić. Mówi, że nie przekazywała wszystkiego i teraz to robi. Że ma jakieś, jak się to nazywa – źródło...? I że zginął nie miliard, ale ponad dwa.

– Ponad dwa? – Lana przycisnęła pięść do mocno bijącego serca. – To niemożliwe.

– Gdybyś ją oglądała, tobyś uwierzyła. Ponad dwa, oświadczyła, i jeszcze, że nie będzie szczepionki, bo wirus wciąż mutuje. I że ten koleś, który był prezydentem, bo ten poprzedni zmarł? No to ten też zmarł i teraz jakaś kobieta – od rolnictwa – jest prezydentem. I że zaczynają zgarniać takich jak, noo, jak my.

Oczy Maksa zwężyły się w lusterku wstecznym.

– Co to znaczy „takich jak my”?

– Tych, którzy są zdrowi. Którzy nie chorują. Zgarniają nas, zabierają do jakichś miejsc, żeby robić testy, i takie tam. Bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie. Stan wyjątkowy i tego typu sprawy. Cholera, sam to widziałem kilka razy w ciągu ostatniego tygodnia czy dwóch. Pieprzone czołgi jechały na wschód, wielkie konwoje ciężarówek wojskowych i tym podobnych. To dlatego ruszyłem na zachód. Tak czy siak wyrzuciła to wszystko z siebie i dodała, że to najprawdopodobniej jej ostatnia relacja, bo zamkną ją za ujawnienie tego wszystkiego. A kiedy skończyła, sygnał stacji zniknął. – Umilkł, lecz po chwili podjął wątek. – Nie wiem, czy ludzie, którzy tam pracują, zamknęli ją, czy zrobiło to wojsko, czy co się stało. Ale nadal nie nadawali, kiedy próbowałem później. Zastanawiałem się, czy tam nie zostać i ukryć się, ale zrobiłem się jakiś nerwowy. Obaj z Joem zrobiliśmy się jacyś niespokojni, tak że dziś rano ruszyliśmy w drogę. I tak wpadliśmy na was.

– Dwa miliardy ludzi – powtórzyła Lana drżącym szeptem. – Jak coś może zabić tyle osób w tak krótkim czasie?

– Bo jest globalne – wyjaśnił Max bezbarwnym głosem. – My jesteśmy globalni. Ludzie podróżują – a raczej podróżowali – każdego dnia po całym świecie. Wirus przechodzi z osoby na osobę, a ta rozprzestrzenia go tam, dokąd pójdzie czy pojedzie. Wystarczy, że kilku zarażonych – mogą nawet nie wiedzieć, że są chorzy – wsiada w samolot do Pekinu albo Rio, albo Kansas kurwa City, narażając na zarażenie resztę pasażerów, personel pokładowy, ludzi na lotnisku, ochronę, sprzedawców w sklepach z upominkami i tych w barach. A oni rozprzestrzeniają chorobę dalej. To idzie w try miga.

– Mówisz... Mówimy – poprawiła się Lana – że to się będzie rozprzestrzeniać i zabijać, aż... Aż nie zostanie nikt poza takimi jak my. Odpornymi.

– O właśnie, odpornymi – odrzekł Eddie. – Odporność. Widzi mi się, że ją mam, bo byłem z Budem przez cały czas. Zanim zachorował i później. A szpital, do którego go zabrałem? Było tam zatręśnienie chorych. Mimo to nie zachorowałem. Jeszcze nie.

– Z tego, co czytałem i słyszałem – zwrócił się do niego Max – objawy zaczynają się dwanaście do dwudziestu czterech godzin po kontakcie z wirusem.

– No to chyba powinienem się cieszyć. I chyba się cieszę – ciągnął Eddie. – Chociaż jest do dupy.

– I co będzie dalej? – Lana spojrzała na Maksa. – Jesteś dobry w wymyślaniu tego, co dalej.

– Tyle że tym razem to nie fikcja, lecz rzeczywistość.

– Jesteś dobry w wymyślaniu tego, co dalej – powtórzyła. – Nie byłam przygotowana na najgorsze. Wyobrażałam sobie, że spędzimy kilka tygodni w górach, aż sytuacja znormalnieje, a przynajmniej jako tako znormalnieje. Ale teraz... Nie będzie niczego, co przypominałoby jakkolwiek normalność, i muszę wiedzieć, czego się spodziewać.

– Jeżeli wirus będzie się dalej rozprzestrzeniał, zabije kolejne dwa miliardy ludzi –

powiedział beznamiętnie Max. – Nie da się powiedzieć, ile osób zostanie. Połowa ludności świata? Jedna czwarta? Dziesięć procent? Można podejrzewać, że, co już zaczynamy widzieć, cała infrastruktura się zawali. Komunikacja, energia, drogi. Placówki medyczne pełne ofiar wirusa będą usiłowały ich i innych pacjentów leczyć. Rannych, chorych na nowotwory czy inne choroby. Nasiliła się szabrownictwo i zabójstwa, jakie obserwowaliśmy w Nowym Jorku. Rząd upadnie albo przekształci się w coś nowego.

Oderwał rękę od kierownicy i uściśnął dłoń Lany.

– Wydostanie się z miasta było właściwym wyborem – ciągnął. – Miasta padną pierwsze. W nich więcej osób zaraża, więcej osób szabruje czy ucieka się do przemocy. Jest więcej infrastruktury, która przestanie funkcjonować. Więcej osób, które będą panikować, więcej wojska usiłującego utrzymać porządek. A hierarchia służbowa zawodzi, gdy dowódcy padają ofiarą wirusa.

– Stare, dobre „uciekaj w góry”.

– Owszem. – Max skinął głową w kierunku Eddiego. – Trzeba znaleźć jakieś miejsce, bezpieczne – na tyle, na ile to możliwe – zaopatrzyć je, utrzymywać i bronić.

– Bronić przed kim?

– Przed każdym, kto będzie usiłował je odebrać. Trzeba liczyć na to, że zejść się podobnie myślące osoby, stworzą społeczności oraz własną infrastrukturę, prawa i porządek. Trzeba szukać jedzenia, zakładać uprawy, polować. Życ.

Choć liczyła na to, że Max zaproponuje jej jakiś przyjemniejszy scenariusz, to musiała przyznać, że ten, który przedstawił, brzmiał aż nazbyt realistycznie.

– A jeżeli ktoś jest taki jak nas dwoje i nie ma pojęcia, jak polować albo uprawiać ziemię?

– Znajduje inny sposób na zaznaczenie swojego wkładu w społeczność i uczy się.

Dotarliśmy już tutaj. Przetrywamy i resztę.

– Mamunia miała ogródek, co roku zbierała z niego całkiem ładne warzywa. Chyba potrafię hodować rośliny i mogę pokazać wam, jak to się robi. Polowałem jako dzieciak, ale od tamtej pory minęło trochę czasu. Jestem jednym z tych nietypowych chłopaków ze wsi, którzy nie przepadają za bronią. Ale wiem, jak jej używać.

– Ciągle nie można wykluczyć, że dojdzie do przełomu w pracach nad szczepionką – upierała się Lana.

– Nie można – zgodził się Max. – Ale skoro zmarły już dwa miliardy ludzi, to umrze jeszcze więcej, zanim szczepionka zostanie rozwieszona i podana, nawet gdyby powstała jutro. Centrum się nie utrzyma, Lano. Już się rozpada. Do cholery, sekretarz rolnictwa jest teraz prezydentem. Nie wiem nawet, kto to jest.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zaczął Eddie – ale powinniśmy się zatrzymać i założyć te łańcuchy, zanim napada więcej śniegu.

– Będziesz musiał mi pokazać, jak to zrobić – odparł Max, po czym zjechał na pobocze, bo śnieg rzeczywiście coraz bardziej gęstniał.

– I mnie – dodała Lana. – Skoro mam się uczyć tego, czego nie potrafię, mogę od razu zacząć.

– Nie ma problemu. To nic trudnego.

Pokazał im, jak rozplątać łańcuchy – okazało się to dość łatwe, zważywszy że zimno, śnieg i wiatr utrudniały to zadanie. A potem, jak spiąć je na szczycie opony. Choć palce sztywniały jej nawet mimo rękawiczek, Lana uparła się, że samodzielnie założy jeden łańcuch.

Musiała się nauczyć.

Obserwowała z zewnątrz Maksa, który musiał podprowadzić auto do przodu, na tyle, by odsłonić resztę opony. A kiedy zobaczyła, jak Eddie to zakłada, i zrozumiała, co trzeba zrobić, krok po kroku, połączyła łańcuchy za pomocą ogniwa napinającego.

– Tak jest dobrze?

Eddie sprawdził jej łańcuch.

– Brawo, Lano, idealnie od pierwszego razu. Zrobiła to szybciej niż ty, Max.

Ten zerknął i uśmiechnął się, zapinając swój łańcuch.

– Miała pomocnika – odparł.

Eddie zachichotał i obszedł auto, by zapiąć ostatni łańcuch.

– Gotowe. – Spojrzał na szczeniaka, który przykucnął na poboczu.

– Skończyłeś, Joe? – Kiedy otworzył drzwi, psiak wskoczył do środka. – Mogę poprowadzić, jeżeli chcesz odpocząć.

Max pokręcił przecząco głową.

– Nie, dobrze jest.

– Daj znać, gdybyś się chciał zamienić. A ja tymczasem zdrzemnę się z tyłu z Joem. Zeszłej nocy nie spałem najlepiej po tych wiadomościach.

Zaczął wyjmować z plecaka koc ratunkowy, ale Lana wyjęła ze swojego bawełniany.

– Weź ten. Jest miękki i miły.

Przez chwilę Eddie tylko wpatrywał się w koc. W końcu wsiadł i poczekał, aż Lana usadowi się i zamknie drzwi.

– Z początku się bałem, że mnie po prostu zastrzelicie i zabierzecie moje rzeczy. Może skrzywdzicie psiaka. A potem zobaczyłem, że się myliłem. Widziałem, że nie jesteście tego typu ludźmi.

– Ty też nie – powiedziała Lana.

– Nie. Nie jestem. Ale chyba można powiedzieć, że i ja, i wy daliśmy sobie nawzajem szansę. Bardzo się z tego cieszę. To przyjemny koc.

Położył się na tylnym siedzeniu i podwinął chude nogi. Piesek skulił się koło niego.

– Dziękuję – powiedział i zamknął oczy.

Lana nie spała. Zamiast tego przypomniała sobie, że nauczyła się zakładać łańcuchy śniegowe. Ugotowała przyzwoity posiłek ze skąpych zapasów – na przenośnej kuchence elektrycznej w biurze motelu. Potrafi rozpałić ogień, jeżeli potrzeba światła lub ciepła, samym oddechem. Potrafi uruchomić silnik siłą woli.

I tą siłą woli, tą siłą, która w niej rośnie, uczy się przestawiać rzeczy, na razie małe, ale to się zmieni. Razem z Maksymem uniosła przęsło mostu i pchnęła na tyle dużo mocy, żeby spowolnić inne auta, a nawet odepchnąć tych, którzy chcieli im wyrządzić krzywdę.

Nauczyła się tego i nauczy wszystkiego innego, co będzie jej potrzebne.

Jeżeli domysły Maksa okażą się słuszne, to wykorzysta siłę woli, umysł, magię i spryt do zrobienia wszystkiego, co będzie konieczne, żeby byli bezpieczni.

Pomyślała też, kiedy chłopak i piesek na tylnym siedzeniu zachrapali cicho i niemal równocześnie, że już zaczęli tworzyć społeczność.

– Kocham cię, Max.

– Ja też cię kocham. Prześpij się trochę. Przed nami jeszcze długa droga.

– Prześpię się, kiedy ty będziesz spał. Możesz mnie potrzebować.

– Kiedy znajdziemy nasze miejsce, a znajdziemy, wyjdiesz za mnie?

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

– Tak.

Patrzyła, jak wschodzące słońce odpędza ciemność. Wypełniała ją nadzieja.

\* \* \*

Dotarcie do stacji przy Trzydziestej Trzeciej zajęło im więcej, niż Arlys wyliczyła. Kilka razy musiały się zatrzymywać i znaleźć kryjówkę. Więcej niż raz udało im się dlatego, że Fred szybciej niż ona usłyszała silniki, kroki czy wystrzały.

Uznała, że to pewnie dzięki magicznemu wyostrzeniu słuchu.

Przy wejściu na Times Square, niegdyś tętniącego życiem, zatłoczonego, rześkie oświetlonego placu, ogromne ekrany i cyfrowe plansze reklamowe wyglądały niczym puste, czarne wrota prowadzące w nieznaną. Na południe od Herald Square uderzył gdzieś nagły grom, przypominający poziomą zygzakowatą błyskawicę, i tym mocniej podkreślił całe to szaleństwo.

Wszędzie leżały ciała, wałęsały się ucztujące psy o zdiczających oczach, straszły zrujnowane sklepy, a wszystko tonęło w morzu samochodów, autobusów i furgonetek porzuconych beładnie na całej ulicy – jakby jakaś gniewna ręka pchnęła je na jezdnie i chodniki.

Ktoś albo coś złowieszczo się zaśmiało.

Ktoś albo coś krzyknęło.

Arlys chwyciła Fred za rękę i nie zważając na upiorną poświatę błyskawicy, puściła się biegiem. Przy wejściu prowadzącym pod ziemię przystanęła, żeby złapać oddech i zwalczyć narastającą panikę.

Nie trać głowy, napominała się w duchu, przeżyjesz.

Jej towarzyszka może i miała skrzydła i lepszy słuch niż sznaucer, ale robiła na Arlys wrażenie zbyt rozentuzjasmowanej, żeby zachować ostrożność.

– Słuchaj, nie wiemy, kto czy co tam jest. Na stacji, w tunelach. Przed nami długa droga, i to bez łatwej drogi ewakuacyjnej w razie potrzeby. Mam broń, ale nigdy do niczego nie strzeliłam.

– I moim zdaniem, nie powinnaś.

Nieopodal znowu rozległ się krzyk i Arlys przeszły ciarki.

– Jeżeli będziemy musiały się bronić, to jej użyjemy. Będziemy szły tak szybko, jak się da, zachowując w miarę możliwości czujność, tak że możesz już nastawiać te swoje superuszy.

– Nieźle też widzę w ciemności.

– Proszę, kolejna zaleta. Trzymamy się razem, tak jak szłyśmy w tę stronę.

Arlys wyjęła latarkę i wycelowała ją w dół schodów. Podniosła wzrok – stały na rogu Macy's.

Pomyślała, że już nigdy nie będzie kolejnej parady świątecznej ani wyprzedaży. Nie będzie kolejnego cudu ani na tej, ani na innej ulicy.

– Chodźmy.

Musiała trzymać nerwy na wodzy, żeby schodzić w dół. Każdy krok sprawiał, że serce tłukło jej się w piersi jak ptak.

Co ona tu robi? Co jakakolwiek zdrowa na umyśle osoba tu robi?

– Słyszysz coś? – szepnęła do Fred.

– Niczego. Jest w porządku.

Znalazły się na dole i zobaczywszy pojedynczy promień światła, skierowały się w jego stronę, po czym przeskoczyły przez bramkę obrotową.

– Zawsze chciałam to zrobić. – Głos Fred, choć ściszony, odbił się echem od ścian. – Dla zabawy, nie żeby nie płacić.

Arlys przyłożyła palec do ust i omiotła latarką peron, obawiając się, że natkną się na martwe ciała zaścielejące stację i tory.

Albo, co gorsza, żywe i szykujące się do ataku.

Snop światła z latarki wskazał znaki informujące, z którego peronu prowadzą tory do Hoboken.

Przyjrzała się uważnie temu peronowi, a także torom i peronowi po drugiej stronie. Tętno nieco się jej uspokoiło – dopóki nie uświadomiła sobie, że muszą zejść niżej i ruszyć w głąb tuneli.

Pomyślała, że nie ma odwrotu. Kiedy wejdą na tory, nie będzie odwrotu.

– No to w drogę. – Usiadła i zeskoczyła na torowisko. Stęknęła cicho, wysokość okazała się znaczna.

Fred rozwinęła skrzydła i opadła lekko jak piórko.

– Być może mogłabym przefrunąć z tobą na niewielkich odległościach. Nie próbowałam jeszcze z nikim latać – przyznała Fred. – Ale udało mi się zabrać w ten sposób kilka psów do schroniska, które założyliśmy. Szkoda, że nie poszliśmy tam i nie wzięliśmy z sobą jednego.

Arlys obawiała się, że natkną się na dziczące zwierzęta, takie jak te, które rozszarpały ciała na ulicy, nie odczuwała więc braku psa.

– Wiesz o trzeciej szynie zasilanej prądem?

– Arlys, może duszkiem jestem od niedawna, ale mam dwadzieścia jeden, nie... już dwadzieścia dwa lata. Musisz przestać się tak bardzo o mnie martwić.

– Czuję się odpowiedzialna.

– Za zrobienie tego, co należy? Owszem, jesteś za to odpowiedzialna. Byłam naprawdę dumna z ciebie, kiedy zrobiłaś to, co zrobiłaś. To wtedy upewniłam się, że z tobą idę. Było trochę



pretensji.

– Pretensji?

– My – ludzie tacy jak ja, magiczni – nie jesteśmy jeszcze szczególnie zorganizowani. Wiele z nas usiłuje w ogóle zrozumieć, czym jesteśmy. A niektórzy, kiedy już dojdą do tego, kim są, tracą rozum albo stają się totalnie źli. Więc staramy się głównie tworzyć bezpieczne strefy i pomagać ludziom, psom i kotom, i innym zwierzętom, które zostały pozostawione samym sobie lub wypuszczone, kiedy ich właściciele zachorowali. Mieliśmy kilka działających zwierciadeł lub kryształów i próbowaliśmy innych zaklęć, żeby się dowiedzieć, co się właściwie dzieje.

Arlys nie miała pojęcia, o jakich zwierciadłach mowa.

– Kryształy? Coś jak kryształowa kula u wróżki w wesołym miasteczku?

– Niektóre z nich pewnie miały jakieś ukryte moce, ale tak, coś takiego, i inne sposoby.

Uznaliśmy, że sytuacja przedstawia się gorzej niż to, co starają się nam wmówić, ale trudno stwierdzić, na ile gorzej, ponieważ dociera do nas mnóstwo sprzecznych doniesień. Mnóstwo paplaniny. Wiedzieliśmy jednak, że jest źle i będzie jeszcze gorzej. To dlatego pomagamy ludziom wydostać się z miasta, jeśli tylko możemy. A kiedy powiedziałaś wszystkim to, co wiedziałaś, wiedziałam, że ci dopomogę.

Zatrzymała się i położyła rękę na ramieniu Arlys. Ta wyłączyła latarkę i dała się Fred poprowadzić w ciemności, dopóki nie dotknęła plecami zimnych płytek.

Nic nie mówiła, nie pytała, ale dotknęła kolby pistoletu.

Usłyszała męski śmiech, który brzmiał wystarczająco podle, by zdać sobie sprawę, że nie zbliża się ku nim nikt życzliwy.

– Widziałeś, jak się ten dupek wił?

Dostrzegła już światło – dwa jasne snopy przecinające ciemność, tańczące na ścianach. Jeżeli padną na nią lub Fred, czy będzie potrafiła użyć broni? Czy będzie w stanie wycelować i strzelić do człowieka?

– Zsikał się. – Rozległ się śmiech. – Kutafon się zsikał.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy tu złapać kolejnego. Pełno tych złamasów w tunelu.

– Daj spokój, większość z nich ma świra. Ale o wiele fajniej jest, jak świrują ze strachu, i dopiero wtedy pruć z nich flaki. Dorwijmy tym razem jakąś babeczkę, ale nie z tych wiem, co tu łążą. Przelecimy ją kilka razy, przybijemy do torów, znowu zerzniemy, a potem wyprujemy z niej wnętrzości.

– Ty chory sukinsynu.

Wybuchnęli śmiechem. Słyszała ich podkute buty. Widziała ich sylwetki za snopami światła.

Pytanie, czy oni zobaczą je?

– Weźmy od razu dwie. Nie mam ochoty na ochłapy po tobie.

Snop światła przesunął się po ścianie kilka centymetrów od jej twarzy. Mocniej zacisnęła dłoń na kolbie.

Gdyby nie byli tak zajęci dowcipkowaniem o planach gwałcenia, torturowania i zabijania, toby je zauważyli. Minęli je na tyle blisko, że gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłaby ich. Szczęściem poszli dalej wzdłuż torów, kłócąc się o najlepsze miejsce do wynalezienia ofiary.

– Nie mam dość umiejętności, żeby ich powstrzymać – szepnęła Fred i zadrżała. – Nie mam jeszcze dość mocy, żeby wiedzieć jak. Mam nadzieję, że ktoś to potrafi. Już nas nie słyszą ani nie zobaczą światła. – Ufając jej, Arlys włączyła latarkę.

Liczyła kroki. Pięćdziesiąt. Sto. Sto pięćdziesiąt.

Tym razem Fred ścisnęła rękę Arlys, mocno wbijając palce.

– Czujesz ten zapach?

– Tak, piżmo, mocz i wymiociny piwne.

– Krew. Mnóstwo krwi i... śmierć. Ale żadnego dźwięku, żadnego ruchu.

Po kolejnych dwudziestu krokach Arlys też to poczuła. Znała ten zapach, ponieważ krew Boba Barretta prysnęła na jej twarz, na włosy.

A potem światło ich latarki natrafiło na coś leżącego na torach. Z ust Fred wydobył się

stłumiony szloch, ale szła dalej.

Kiedy podeszły bliżej, Arlys zdała sobie sprawę, że to ciało. Ciało przybite do torów za dłonie i stopy. Z poobijanej twarzy, odsłaniając powybijane zęby, zwisała luźno szczeka. Obok rozlewała się kałuża ciemnej krwi, najwyraźniej pochodząca z rozciętego brzucha.

Fred opadła na kolana, Arlys zaś usiłując zapanować nad mdłościami, pociągnęła ją ku sobie.

– Musimy iść. On już nie żyje, Fred. Nie możemy nic dla niego zrobić.

– Ja mogę. Odmówię modlitwę, żeby jego dusza znalazła spokój. To mogę dla niego zrobić.

Arlys wyprostowała się i stanęła obok, trzymając w pogotowiu broń.

Nie musiała zadawać już sobie pytania, czy byłaby w stanie wycelować i zastrzelić inną istotę ludzką – nie kiedy patrzyła na to, co istoty ludzkie zrobiły z chłopcem, który wyglądał, jakby dopiero co skończył dwadzieścia lat.

Oczywiście, że byłaby w stanie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Fred wstała i westchnęła, ledwie powstrzymując łzy.

– Był młodszy niż ja.

– Chciałabym... – Arlys urwała. Chcenie niczego nie rozwiąże. – Musimy iść.

– Wiem i wiem, że to nie ma już znaczenia, ale chciałabym, żebyśmy nie musiały zostawiać go tu samego. To zamierzałaś powiedzieć.

– Mimo to musimy. Weź latarkę. – Arlys postanowiła trzymać pistolet w ręku. –

Prawdopodobnie takich jak ci dwaj jest więcej. Jeżeli coś wyczujesz, chowamy się. Jeżeli chowanie się nic nie da, biegniemy. A jeżeli i to nic nie da, walczymy.

Objęła Fred za ramię, kiedy szły.

– Jeżeli walka nic nie da, a ty będziesz mogła uciec...

Nawet w ciemności dawało się wyczuć, że Fred płonie z oburzenia.

– Nie zostawię cię!

– Jeżeli jedna z nas będzie mogła się wydostać, to niech pryska. Pójdiesz potem na róg Park i Pierwszej w Hoboken. Bądź tam o trzeciej nad ranem. Mój informator nazywa się Chuck. Opowiesz mu, co się stało.

– Potrafię już kilka rzeczy. Nadal się uczę, ale trochę już potrafię.

– To będziesz miała okazję je wypróbować, żeby przedostać się do Chucka. Jeżeli nie pojawi się do piątej, znajdź bezpieczne miejsce i podobnych sobie. A potem zwiewaj.

– Zostawiłabyś mnie?

– Tak.

– Nie wierzę. Słyszę to w twoim głosie. Obie dostaniemy się do Chucka. Musisz myśleć o jasnych stronach, o świetle, inaczej siły zła wezmą górę.

Musisz przygotować się na najgorsze, pomyślała Arlys, na niepojęte najgorsze albo umrzesz otoczona mrokiem.

Ruszyły dalej, idąc za snopem światła, po biegnących zakosami torach. Piżmowy smród był coraz silniejszy, tak samo jak odór moczu i nagły, przyprawiający o mdłości fetor wymiocin. I znowu krew.

Arlys odnosiła wrażenie, że już się na to uodparnia, kiedy światło wyodrębniło plamę, kałużę, smugę. Ale wtedy Fred skierowała światło na ścianę.

Nowy Jork jest nasz!

Najeźdźcy

Słowa napisane krwią stanowiły i ostrzeżenie, i wyraz triumfu, podobnie jak czaszka pod nią.

– Jak ci dwaj, którzy nas minęli – szepnęła Fred. – Lubią zabijać. Niektórzy z nich podążają za Mrocznymi Niesamowitymi. Magicznymi, którzy polują na ludzi i na nas. Nie wiem dlaczego.

– Nie ma żadnego dlaczego. To po prostu... – Arlys przycisnęła rękę do ust, tłumiąc okrzyk, i cofnęła się.

– To tylko szczur – uspokoiła ją Fred, gdy gryzoń czmychnął, uciekając od światła. – Tu jest ich mnóstwo. Nie przejmuj się. Szczurów nie ma się co obawiać.

– Wiem, ale mam fobię. – Taką, która pokrywa skórę lodem i wywraca żołądek. Chłopak na torach. Szczury go znajdują. – Nie możemy się zatrzymywać.

Zostały jednak zmuszone, kiedy kilka metrów dalej natknęły się na wagon metra.

Z zewnątrz pokryty był graffiti i wyglądał jak obsceniczny mural. Na pierwszym planie widniały symbol czaszki i płatanina napisów od Zabijać! po Gwałcić suki!, na drugim rysunek mężczyzny z wyolbrzymionym penisem i ciągnącym nagą kobietę za włosy.

Jednak o wiele gorszy był smród. Arlys uświadomiła sobie przyczynę, zerkając przez otwarte drzwi wagonu – wszędzie rozkładające się ciała.

I szczury.

Odciągnęła Fred.

– Na modlitwę o ich dusze jest już za późno.

Tym razem to Fred wrzasnęła, gdy jakaś postać – Arlys ledwie rozpoznała w nim mężczyznę – pojawiła się w otwartych drzwiach. Jego twarz i gęstą, brudną brodę pokrywała krew. Miał brudne okulary na oszalałych oczach i długi, pokryty zakrzepłą krwią płaszcz zwisający z kościstych ramion.

Trzymał nóż, tak samo poplamiony jak płaszcz. I szczyrzył zęby.

– To moje miejsce. Moje! To moi zmarli. Spalę was!

Arlys uniosła pistolet w trzęsącej się dłoni, a drugą chwyciła Fred za ramię.

– Nie chcemy twojego miejsca. Już idziemy dalej.

– Nie ma żadnego dalej! Jest tylko koniec świata! Najpierw złe uczynki. Potem ogień.

Rozumiecie?

Podniósł brudną rękę z paznokciami zakrzywionymi niczym szpony. Płonęła w niej kula ognia wielkości piłki golfowej.

– Ja jestem końcem świata! – Wybuchł śmiechem, równie oszalałym co jego oczy, i cisnął kulę.

Arlys poczuła, jak obok jej twarzy przelatuje intensywne gorąco, a następnie usłyszała, jak skwierczy, kiedy kula uderzyła w ścianę za nimi.

– Nie ma żadnego dalej! – wrzasnął, kiedy Arlys, nadal ściskając Fred za ramię, ruszyła biegiem. – Jest tylko piekło!

Kolejna kula uderzyła koło niej o ziemię i zaskwierczała. Arlys nie przestawała biec. I potknęła się o coś na torach.

Na chwilę niemal straciła przytomność od smrodu, od uginającego się pod nią, gnijącego trupa. Od biegających szczurów po jej plecach, po jej ramionach.

– Zabierz je ode mnie! Ściągnij je! Błagam!

Przetoczyła się, wbiła ręce w coś, co kiedyś było istotą ludzką, po czym stopami i dłońmi odepchnęła się jak najdalej od trupa.

– Łażą po mnie! Są wszędzie! – Wymachiwała rękami, bijąc się po ramionach, tułowi, nogach, szamocząc się, kiedy Fred ją objęła.

– Nic ci nie jest. Nie łażą po tobie. Nic ci nie jest.

Zakręciło się jej w głowie i ponownie przeturlawszy się, zaczęła wymiotować. Fred przytrzymała jej włosy i starała się ją uspokoić.

– O Boże, Boże, Boże, to nie może dziać się naprawdę. To wszystko jest niemożliwe. – Arlys zdołała stanąć na czworakach i zaczęła wycierać twarz. Kiedy zdała sobie sprawę, czym ma pokryte ręce, zakrzuszyła się z wrażenia.

Pełzła, aż poczuła ścianę, i usiadła, opierając się o nią. Serce łomotało w jej piersi jak oszalałe.

– Oddychasz za szybko. Chyba masz hiperwentylację, wiesz? Musisz oddychać wolniej, Arlys. Naprawdę, to ważne.

Połykała powietrze – za dużo, za szybko – czuła, że kręci jej się w głowie, zmusiła się więc do wydechu. Zrobiła wdech, ale już wolniej.

– Nie mogę stracić panowania nad sobą. Nie tu. Nie teraz.

– Powinam była świecić pod nogi. To moja wina.

– Nie. – Choć nadal kręciło się jej w głowie, ten okropny łomot w piersi nieco zelżał. – To niczyja wina. Musimy iść, ale upuściłam pistolet. Musimy go znaleźć. Jest nam potrzebny.

Musimy...

– Znajdę go. Zostań tu. Oddychaj spokojnie, a ja go znajdę.

Arlys skinęła głową. Będzie bezużyteczna, dopóki nie przestanie się trząść, dopóki nie przestanie jej dzwonić w uszach. Zamknęła oczy. Nakazała sobie przestać myśleć i skupić się na

wdechach i wydechach.

Usłyszawszy jęk Fred, zaczęła się podnosić na chwiejnych nogach.

– Już dobrze. Mam. Nie ruszaj się. Ja cię widzę. Całkiem dobrze widzę w ciemności, pamiętasz? Mam też latarkę. Upuściłam ją, ale działa.

Przy ostatnich słowach poklepała Arlys po policzku.

– Możemy się zatrzymać, odpocznij.

– Nie. – Arlys pokręciła głową, zacisnęła zęby i dzwignęła się. Musiała chwilę przytrzymać się ściany, żeby przestało się jej kręcić w głowie i ustały mdłości. – Musimy iść. Musimy się stąd wydostać. Muszę trzymać broń.

Fred ostrożnie włożyła pistolet do ręki Arlys.

– Jestem cała pokryta...

– Może uda mi się coś z tym zrobić. Mogę spróbować.

– Najpierw musimy odejść od tego wariata z kulami ognia. Wytrzymam to, jeżeli ty dasz radę.

Postąpiła krok. Pomyślała o zrzuceniu płaszcza – może reszta ubrań jest czystsza – ale najpierw chciała znaleźć się gdzieś dalej.

– Coś się zbliża. – Fred ledwie słyszalnie szepnęła do ucha Arlys. – Coś złego.

Wyłączyła latarkę i w ciemności przyciągnęła Arlys do ściany, do jednego z wąskich zagłębień.

– Co robisz?

– To coś złego. Jest magiczne i mroczne. Mam marker i piszę nim symbole na ścianie.

Próbuję sobie przypomnieć odpowiednie. Nie mów. Wstrzymaj oddech. Ani drgnij. Módl się.

Skuliły się, a Arlys dostrzegła zbliżające się światło. Po czym pomyślała, że to jednak nie światło. Światła nie są czarne.

A jednak to takie właśnie było – czarne i świejące. I zbliżało się wzdłuż szczytu tunelu.

Dostrzegła jakąś postać.

Mężczyzna z czarnymi, długimi włosami, w czarnym płaszczu powiewającym niczym skrzydła. Leciał pod sklepieniem tunelu.

Trzymał w ramionach bezwładną kobietę – jej nogi, ręce i głowa zwisały luźno. Nagie ciało pokrywały zadrapania, dziury, a nawet ślady zębów. Kiedy się zbliżył, Arlys zobaczyła, że jego oczy płoną czerwienią.

Gdy je mijał, musiała mimowolnie zadrzeć, bo zatrzymał się i obrócił w miejscu. Unosząc się w powietrzu, uważnie zeskanował mrok czerwonymi ślepiami.

Kobieta w jego ramionach jęknęła. Odwróciwszy ku niej twarz, uśmiechnął się wstrętnie.

– Zostało w tobie jeszcze trochę życia. Tym lepiej.

I oddalił się, aż w końcu zniknął w ciemności.

Arlys otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Fred ją powstrzymała.

Stały w ciemności, w milczeniu, przez minutę.

– Nie wiem, na jaką odległość widzi i słyszy – szepnęła Fred.

– Co... co to było?

– Chyba czarnoksiężnik. Nie wiem. Zły. Naprawdę zły. Ona żyła, Arlys. Nie mogłam jej pomóc. Nie jestem wystarczająco silna.

Arlys zastanowiła się, kto może być na tyle silny. Kto mógłby być.

– Dlaczego nas nie zobaczył, nie wyczuł? Symbole?

– Chyba pomogły. Pośpieszmy się. Myślę, że pomogły nas osłonić, a ty pachniesz jak...

– Śmierć.

– Tak. To też działa jak tarcza ochronna.

– No to nie zdejmę płaszcza. Och, dzięki Bogu. Tory idą w dół. Schodzimy pod rzekę.

Zrobiło się stromo i ślisko, szły więc wolniej.

Nim zeszły, Arlys powiedziała, że nie wiedzą, kto lub co czai się w tych tunelach. A jednak nie całkiem wierzyła w to, co mówi.

Teraz się bała.

Liczyło się tylko dotarcie do końca, wyjście na powierzchnię, na powietrze, które nie cuchnęło śmiercią.

– Jesteśmy blisko. Już blisko. – O dziwo, teraz obawy Arlys się spotęgowały. –

Dochodzimy do wielkiego zakrętu przed wyjazdem do Hoboken. Prawie zawracamy, czujesz?

Musisz zacząć sprawdzać perony, szukać...

Pojawili się znikąd.

Usłyszała wrzask Fred, gdy ktoś – albo coś – je rozdzieliło. Ktoś inny chwycił Arlys od tyłu i ją podniósł.

– Suka śmierdzi! Ale ma niezłe cycki.

Kurczowo ścisnęła pistolet, gdy jakaś ręka obmacywała jej piersi.

– Weźmy je na górę i rozbierzmy!

Arlys walnęła mocno łokciem w tył i usiłowała kopnąć. I zamarła w bezruchu, kiedy poczuła nóż dociśnięty do gardła i krew spływającą z miejsca, w którym ostrze nacięło skórę.

– Wolałbym cię zerznąć, kiedy jeszcze oddychasz, ale nie jestem wybredny. Jak wolisz, suko?

Zamknęła oczy.

– Będzie ci przyjemniej, jeśli będę jeszcze ruszała tyłkiem.

Zaśmiał się i polizał ją w ucho.

– Mądra decyzja.

Zmusiła się do bezruchu.

Fred krzyknęła – to był wysoki, czysty dźwięk przypominający nieco śpiew. Kiedy odbił się echem wraz z rechotem napastników, Arlys zmusiła się do wesołości i jakby obrócenia się w ramionach mężczyzny.

A następnie przycisnęła pistolet do jego krocza, po czym wystrzeliła raz i drugi.

Wrzasnął, poleciał do tyłu, a wtedy nóż rozdarł rękaw jej kurtki.

– Co, kurwa? Zabiję ją. Obie was zabiję.

Arlys wycelowała pistolet w stronę głosu, ale bała się, że trafi Fred, jeżeli strzeli.

– Jestem ranny! Ta suka strzeliła mi w jaja. Zabij je!

Arlys kopnęła rękę, która chwyciła jej kostkę, nadepnęła ją mocno, przez co tunel znowu wypełnił się wrzaskiem.

– Biegnij, Arlys! Po prostu biegnij! – krzyknęła Fred.

Usłyszała okropny dźwięk pięści uderzającej w ciało i kości, stłumiony jęk Fred.

Nie mogła strzelać, ale mogła walczyć. Kiedy zbierała się do skoku, tunel wypełnił się oślepiająco jasnym światłem. Arlys szybko osłoniła dłonią oczy. Choć łzawiły, dostrzegła, że Fred próbuje pełznąć, a górujący nad nią mężczyzna tnie powietrze ręką i nożem i sięga do paska po broń. Nie myślała, po prostu wystrzeliła. Raz za razem, nawet kiedy upadł i broń nie miała już naboju.

– Przestań, Arlys, przestań! Możesz je skrzywdzić. Stop! To boli!

Z twarzą białą jak kość pod ciemniejącym sińcem Fred podpełzła ku niej.

– Pomóż mi, proszę.

Dopiero te słowa do niej dotarły. Arlys opuściła pistolet i pobiegła ku przyjaciółce.

– Co mam zrobić?

– Nic mi nie jest. W porządku. Jest za jasno. Za jasno.

Kiedy Fred mówiła, światło nieco przygasło. Arlys dostrzegła tańczące nad nimi dziesiątki drobnych punkcików światła.

– Co... co to takiego?

– One są jak ja. Tylko że mini. – Fred oparła się o Arlys. – Przywołałam je. Nie wiedziałam, że to potrafię, ale jednak tak. Przyleciały na pomoc.

Pierwszy za nimi napastnik jęknął i usiłował sięgnąć po nóż sprawną ręką. Arlys zmusiła się, żeby podejść, podnieść nóż i zetrzeć własną krew z ostrza. Chciała tego człowieka zabić i ta chęć napawała ją obrzydzeniem. Zamiast tego z całej siły i bez wyrzutów sumienia stanęła na jego sprawnej ręce.

Wrzasnął z bólu, ale przeszła tylko do jego martwego towarzysza, po czym zabrała mu nóż i pistolet i wepchnęła wszystko do bocznych kieszeni plecaka.

– Możesz chodzić? – spytała Fred.

– Tak.

– A biegać?

– Dostałam w twarz, nie w nogi.

– Takich jak oni, albo jeszcze gorszych, może być więcej. Zostało nam już niewiele, ale myślę, że powinniśmy iść dalej. Potrzebujemy latarki.

Fred podniosła ją, lecz schowała do schowka z boku plecaka.

– Teraz nie. One mogą z nami zostać.

– Tym lepiej. Ruszajmy. Najszybciej, jak się da.

Arlys dopasowała się do tempa niższej Fred, mimo to posuwały się całkiem szybko.

– Nie zostawiłaś mnie – zauważyła. – A mówiłaś, że zostawisz.

Zwalczywszy w sobie chęć poddania się strachowi, Arlys przyjrzała się światełkom duszków.

– Chyba miałas rację.

– Uratowałaś mnie. Odebrałaś życie, żeby ocalić moje.

Arlys biegła i myślała o jasnym, olśniewającym świetle biorącym górę na ciemnymi, mrocznymi uczynkami.

Na stacji Hoboken podciągnęła się na peron, a Fred podfrunęła.

Arlys chciała wyszorować ręce, twarz, ściągnąć zniszczony płaszcz. Pieczenie na ramieniu sugerowało, że nóż uszkodził nie tylko materiał.

Przede wszystkim jednak chciała znaleźć się już na powierzchni ziemi.

Usłyszała odbijające się echem głosy, nie mogła wszakże ryzykować sprawdzania, czy to wróg, czy ktoś życzliwy. Popędziła więc za Fred schodami prowadzącymi na ulicę.

Ruchliwe światełka okrążyły je, po czym odfrunęły.

– Jeżeli będziemy ich potrzebować – powiedziała Fred – to wrócą albo pojawią się inne.

– Najlepsze wsparcie, jakie można sobie wyobrazić. – A potem w gardle zapiekły ją łyzy. – Muszę dotrzeć gdzieś, gdzie będę mogła umyć ręce i twarz. Ja... Muszę dotrzeć gdzieś, gdzie będę mogła na kilka minut przestać być dzielna.

– Znajdziemy takie miejsce. Oprzyj się teraz o mnie. – Fred objęła Arlys w pasie. – Jesteś ranna. Musimy znaleźć lód, mrożony groszek albo surowe mięso. Czy to właściwie działa?

– Nie wiem, nigdy wcześniej nie dostałam w twarz. To naprawdę boli. W chwili uderzenia. Teraz nie jest tak źle.

Pokuśtykały ulicą, a Arlys modliła się w duchu, żeby nie musiały znowu walczyć. Nie wiedziała, czy miałyby jeszcze na to siłę.

Zatrzymały się przed sklepem z zabita deskami wystawą i zaryglowanymi drzwiami; nazywał się Szafa Cassidy.

– Założę się, że jest tu łazienka dla pracowników. – Fred przyjrzała się drzwiom. – Może jakieś ubrania. Może kurtka, w którą mogłabyś się przebrać.

– Zamknięte naглуcho. Gdybyśmy miały jakieś narzędzia, może...

– Duszki, te doświadczone, potrafią się dostać do zamkniętych miejsc. Umiałabym to być może zrobić. Muszę tylko to znaleźć, utrzymać i...

Fred zamknęła oczy i złączyła dłonie, jakby miała złapać w nie deszczówkę. Zatrzepotała skrzydłami. Zaczęła się lekko świecić.

– Znaleźć to, w sobie – mamrotała – utrzymać, zanieść, ofiarować. Bądźcie ze mną, dzieci światła i powietrza, lasu i kwiatów. Otwórzcie zamki, żebyśmy mogły wejść.

Odrętwiała Arlys usłyszała, jak zamki i zasuwki zgrzytają, szczękają i się odsuwają.

Posiniaczona, brudna i triumfująca Fred zatrzepotała skrzydłami i zrobiła w powietrzu kółko.

– Ha, dokonałam tego! Pierwszy raz dokonałam tego sama!

– Jesteś jakimś cudem, Fred. Absolutnym cudem. – Arlys ostrożnie uchyliła drzwi. – Ale

trzymaj się za mną, na wszelki wypadek.

Ruszyła pierwsza z bronią, za nią, świecąc, unosiła się Fred.

Nie było wątpliwości, że asortyment tego sklepu z odzieżą używaną został mocno przebrany, ale samo miejsce uniknęło wizyt złodziei i wandalii.

– Nikogo tu nie ma. – Fred starannie zamknęła za nimi drzwi. – Wiedziałybym o tym. Nie wyczułam tych dwóch, tych ostatnich dwóch, ponieważ, no cóż, śmierdziałyśmy i było mi trochę niedobrze. Wiesz?

– Wiem, rozumiem. Sprawdźmy, czy możemy się tu gdzieś umyć.

Fred rozejrzała się, niczego nie dotykając, miała brudne ręce.

– Nikt się tutaj nie włamał i niczego nie zniszczył.

– Może ludzie w Hoboken są bardziej cywilizowani. Albo szybciej stąd wyjechali. Albo się gdzieś ukryli. Chuck się ukrywał.

– Prawie o nim zapomniałam.

– Miejmy nadzieję, że nie zapomniał obejrzeć wieczornych wiadomości. Tutaj! Tu jest mała łazienka.

– Hura! Strasznie chce mi się siusiu.

Fred ściągnęła spodnie i opadła na sedes.

Arlys zebrała siły i podeszła do małej umywalki, żeby rzucić okiem w wiszące nad nim lustreczko.

Było gorzej, niż sobie wyobrażała. Krew na twarzy, jakieś skrzepy na włosach, płaszcz pokryty jednym i drugim. Znowu poczuła mdłości i przełknęła podchodzącą do gardła żołąć. Zerwała plecak, a potem płaszcz.

– Może będę w stanie to naprawić.

– Nawet gdybyś mogła...

– Rozumiem. Wyrzucę to i znajdę ci coś ciepłego do ubrania. Chyba zdołam umyć się bez mydła i wody. Jeżeli nie, poczekam, aż skończysz. I, hm, spodnie też.

– Wiem.

– Wyrzucę, żebyś nie musiała... Arlys, ty krwawisz. Jesteś ranna!

Zmusiła się, żeby spojrzeć na ranę, i zdjęła zniszczoną bluzkę.

– Nie jest tak źle.

– Nie jestem uzdrowicielką. To znaczy w sensie magicznym. Musimy znaleźć jakiś antyseptyk i bandaż.

– Nie jest tak źle – powtórzyła Arlys i chociaż broda się jej trzęsła, zdobyła się na uśmiech.

– Będę tak mówić.

– To tylko draśnięcie?

– Dokładnie. Powierzchowna rana.

Odwróciła się do zlewu, poczuła ulgę, gdy z kranu poleciała woda, i naciskając pompkę pachnącego cytryną mydła w płynie, zaczęła się szorować.

Wyczyściła dłonie, całe ręce, choć zaczęło ją szczytać w przedramię. Rozebrała się do bielizny i umyła nogi. Następnie wetknęła głowę do małej umywalki i zmoczyła włosy, umyła je, spłukała, jeszcze raz umyła i płukała, dopóki spływająca woda nie zrobiła się całkiem czysta.

A potem usiadła na zimnej podłodze, z wodą kapiącą z włosów i się rozszochała.

– Przepraszam, że tyle to trwało, ale... Och, Arlys!

Czysta i pachnąca jak wiosenny las Fred rzuciła przyniesione ubrania i uklękła, żeby przytulić Arlys.

– Zabiłam człowieka. Zabiłam go. Może obu. Za...

– Uratowałam mnie. Obie nas uratowałam.

– Nie poznaję tego świata. Nie wiem, jak w nim żyć.

– Chyba nikt go nie poznaje. Dlatego jesteśmy sobie potrzebne. Ty jesteś silna i odważna.

Myślę, że świat potrzebuje takich jak ty. I jak ja.

– Jestem po prostu zmęczona. Strasznie zmęczona.

– Ja też. Może przebierzesz się i chwilę odpoczniemy? To wygląda na bezpieczne miejsce,



do trzeciej mamy jeszcze sporo czasu.

– Dobrze.

– Ale najpierw, ponieważ znalazłam apteczkę, zabandażuję ci rękę.

– Potrzebujesz lodu.

– Nie znalazłam żadnego, mrożonego groszku zresztą też nie. Może Chuck będzie coś miał.

Wzięłam ibuprofen, który znalazłam w biurku, może coś zdziała.

Z zabandażowanym przedramieniem Arlys włożyła czarne grube legginsy. Złożyła dzinsy, które Fred przyniosła jako inną możliwość, i włożyła do plecaka. Nie zaszkodzi mieć coś na zmianę.

Wybrała koszulkę z długimi rękawami i czarną bluzę z kapturem.

Czując się prawie jak człowiek, przyjrzała się kurtkom i płaszczom.

– To jest naprawdę fajne. Kaszmir. – Arlys podniosła czarną dwurzędową kurtkę o marynarskim kroju.

– Będzie na tobie świetnie wyglądała.

– Jasne, jakbym przejmowała się modą.

– Kiedy wrócisz do relacjonowania, będziesz chciała dobrze wyglądać.

– Uwielbiam twój optymizm. – Arlys przymierzyła kurtkę, która pasowała jak ulał.

Następnie złożyła ją, usiadła na niej i wypila jeden z zapakowanych przez Fred napojów oraz zjadła jabłko.

– Co robisz? – spytała.

– Zostawiam wiadomość dla Cassidy, na wypadek gdyby wróciła. Piszę jej, co zabrałyśmy – zostawiam tu metki – i że jeżeli świat wróci do normy, zapłacimy jej. Podpisano: Arlys i Fred, z wdzięcznością.

– Tak, jesteś cudem. – Arlys wyciągnęła się na podłodze i wykorzystała złożoną kurtkę jako poduszkę. – Pół godziny, a potem musimy iść. – Ustawiła niezawodny wewnętrzny budzik. – Jeżeli Chuck się nie pojawi, możemy tu wrócić i zastanowić się, co dalej.

– Pół godziny.

Ale Arlys już jej nie słyszała, bo zasnęła.

Obudziła się pół godziny później, czując się gorzej niż przed zaśnięciem.

Dziesięć minut później były już na zewnątrz, kierując się narysowaną przez nią mapką.

– Chyba tutejsi nie są tak bardzo cywilizowani. – Arlys gestem wskazała sklep, restaurację i targ, wszystko splądrowane.

– Nie wydaje mi się, żeby zostali tu jacyś ludzie. Powietrze praktycznie stoi. Mam nadzieję, że wszyscy znaleźli jakieś bezpieczne schronienie.

Ale Arlys wyobraziła sobie, że przynajmniej w części domów i mieszkań – zamkniętych i zabitych deskami – są martwe ciała.

Na umówione miejsce dotarły dwadzieścia minut przed czasem.

– Nie powinniśmy czekać na odkrytym terenie.

– Za późno.

Słyszac dobiegający z ciemności głos, Arlys obróciła się, jednocześnie wyciągając pistolet.

– Prr, prrr! Stój, Annie Oakley. To ja, Chuck.

Poznała jego głos. Chuck wyszedł z cienia z rękami do góry, z przyklejonym do twarzy, głupim i niewiarygodnie elastycznym uśmiechem.

– Chuck... – Arlys opuściła pistolet i z trudem powstrzymała napływające łzy. – Wcześniej się zjawiłeś.

– Ty też. I nie jesteś sama.

– To jest Fred. – Arlys obronnym gestem objęła koleżankę. – Nie dostałabym się tu bez niej.

– Ach tak, zaraz mi wszystko opowiecie. Ale chodźmy do środka. Od tygodnia jest spokojnie, jednak nigdy nic nie wiadomo.

– Jest mnóstwo rzeczy, o których nie wiesz.

– Miło cię poznać. – Fred wyciągnęła rękę.

– Zapowiadałaś pogodę w ciągu ostatnich kilku tygodni. Przynajmniej w tej dziedzinie były

jakieś dobre wiadomości. Nie idziemy daleko. – Zaczął iść, kołysząc się na długich nogach. – Podprowadziłbym was bliżej, ale naszło mnie z tym Frankiem i dałem się ponieść.

– Zadziałało.

– Wiedziałem, że załapiesz. Nie sądziłem, że to będzie już dziś.

– Przepraszam.

– Hej, nie ma sprawy. Zrobiłaś, co musiałaś, i było to naprawdę coś. Jezu, naprawdę coś.

Cieszę się, że tu jesteście. Lubię ciszę, ale nie aż taką. To miejsce wymarło, dwuznaczność poniekąd zamierzona.

– Musimy się wydostać, Chuck. To znaczy stąd. Oni są za blisko. To coś w tunelach.

– Przeszłyście tunelem metra? – Stał jak wryty i wybałuszył na nie oczy. – Jezu, obie jesteście ze stali. Ja bym chyba nie dał rady.

– Nie jestem pewna, czy ja bym dała, gdybym wiedziała, co się tam dzieje. Ale nie możemy tu zostać.

– Też do tego wniosku doszedłem. Od jakiegoś czasu dopracowuję plan wydostania się stąd. Muszę jeszcze załatwić kilka spraw. Pewnie zejdzie się do jutrzejszego popołudnia. A ty chyba musisz się wyspać. To tu.

Zatrzymał się przed narożnym budynkiem, ceglanym i kilkupiętrowym. Dostojna patyna czasu sugerowała zamożnych mieszkańców.

– Piwnica jest nasza.

– Byłam pewna, że mieszkasz w piwnicy. Jest tu jeszcze ktoś?

Chuck potrząsnął przecząco głową i wyciągnął klucze, po tym otworzył serię zamków.

Kiedy weszli na korytarz, wbił kod na tablicy w ścianie.

– Wszyscy umarli albo uciekli. To miejsce mojego wujka – jedna z jego posiadłości. Ma wielgachny dom na Florydzie. A raczej miał. Zmarł pod koniec pierwszego tygodnia.

– Przykro mi. – Fred potarła ramię Chucka.

– Niezły był z niego facet. Światło! – zawołał i lampy rozbłysły. – Lubię te moje zabawki.

– Niezłe.

Arlys rozglądała się zdumiona. Ogromna i dobrze wykończona przestrzeń kojarzyła się z jakąś supernowoczesną kwaterą główną. Komputery, monitory, stanowiska, jakieś systemy komunikacyjne. Błaty i obrotowe krzesła, największa ściana ekranów, jaką kiedykolwiek widziała, i skórzany rozkładany fotel.

W jednym rogu mieściła się kuchnia – wszystko stalowe, zastawiony przedmiotami blat.

– Sypialnia jest tam, prawie jej nie używam. Możecie ją zająć. Obok niej jest łazienka, ja tu mam swoją.

Fred dreptała wkoło, kręcąc z niedowierzaniem głową, a oczy miała jak spodki.

– Musisz być naprawdę bogaty.

– Wujek był. Zresztą, jakie to ma teraz znaczenie? Bogaty jest chyba ten, kto ma zapasy i dach nad głową. Pod tym względem jest niezłe. Chcecie jeść?

– Nie, ja dziękuję. – Arlys przycisnęła przeguby dłoni do oczu.

– Chcesz pogadać o tym przy piwie?

– Nie teraz. Chyba w tej chwili nie jestem w stanie. Gdybym mogła się położyć.

Gestem wskazała sypialnię.

Arlys podeszła do niej i obróciwszy się, dodała na odchodne:

– Dziękuję ci, Chuck.

– Hej, nie ma to jak kumple z netu. Kładź się, później pogadamy.

– Potrzebuje snu i spokoju. – Fred popatrzyła za Arlys. A potem uśmiechnęła się do Chucka.

– Ja się chętnie napiję piwa.

– Super.

– I mogę ci coś niecoś opowiedzieć. Żeby ona już nie musiała. Chyba że będzie chciała.

– Mam tu kanapę, na której drzemię. Siadaj. A ja wezmę chipsy i salsę do piwa.

Fred rzuciła plecak oraz kurtkę, usiadła na wielkiej skórzanej kanapie i westchnęła.

– Ona naprawdę cię lubi i ci ufa. Rozumiem dlaczego. Hmm, masz może trochę lodu?

W tunelu natknęliśmy się na takich dwóch, którzy próbowali... Jeden z nich mi przywalił.

Chuck przyjrzał się jej, kiedy delikatnie dotknęła posiniaczonej szczęki.

– Mnóstwo ludzi ma zajoba, dlatego lubię samotność.

– Ale znacznie więcej nie ma zajoba.

– Może. Przygotuję wszystko, rudzielcu. Lód, piwo, chipsy i salsa.

– Pikantna?

– No, będziesz zionęła ogniem.

– Taką lubię najbardziej.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Przekroczyli rzekę Susquehanna, Max cały czas prowadził. Posuwali się na zachód. Łańcuchy śniegowe coraz mocniej wgrzyzały się w śnieg – najpierw o cal, potem o dwa.

Max wybrał drogę numer 414, trzymał się obszarów wiejskich i co jakiś czas mijał pojedyncze domy i małe farmy, w miarę jak krajobraz stawał się coraz bardziej pofałdowany, a lasy gęstniały. Kilka razy, gdy Eddie spał z tyłu, razem z Laną przesuwali porzucony lub rozbity samochód na pobocze krętej dwupasmowej drogi.

– Może powinniśmy znaleźć jakieś miejsce, żeby odpocząć? – zapytała Lana. – Prowadzisz od ponad trzech godzin, a droga jest coraz gorsza.

– Przejechaliśmy dziś zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów. Chcę jeszcze trochę ujechać, nim zrobimy przerwę.

Śpiący z tyłu Eddie poruszył się, przetarł oczy i usiadł.

– Pogoda nie odpuszcza, co? Wygląda na to, że z zachodu idzie burza, jedziemy więc w najgorsze. Chcesz, żebym trochę poprowadził?

– Jeszcze nie.

Max przejechał kolejne trzydzieści pięć kilometrów, ale musiał się zatrzymać, gdy natknęli się na trzy rozbite auta tarasujące drogę.

– No ładnie. – Eddie podrapał się po brodzie. – Wygląda na to, że czeka nas trochę pracy. Lano, mogłabyś wyprowadzić Joego, a ja i Max zajmiemy się odblokowaniem drogi?

Max spojrzał na nią znacząco, dając tym samym do zrozumienia, że nie jest jeszcze gotów podzielić się tym, co potrafią, z nowym towarzyszem.

Wzięła więc psa i podreptała po śniegu do kępy drzew.

Max i Eddie podeszli do rozbitych aut.

Za kierownicą hatchbacka leżało ciało mężczyzny.

– W przedniej szybie jest dziura po kuli, która pewnie go trafiła. – Eddie podszedł bliżej, choć nieco zbladł. – Nie znam się na wielu rzeczach, ale wiem, że ten gość nie żyje od niedawna. Góra kilka dni.

– Ktoś strzelał też do tego subaru. Na siedzeniu jest krew.

– Tu w ciężarówce jest stojak na broń, ale pusty. – Lekko szarpiąc brodę, Eddie westchnął. – Żaden ze mnie śledczy, ale trochę takich filmów się w telewizji oglądało. Wygląda na to, że gość strzelił z ciężarówki do tych dwóch tutaj, jednego zabił, a drugiego zranił. Rozbił ciężarówkę i nie mógł nią jechać.

– Chyba masz rację.

– I wiesz... – Eddie rozejrzał się w poszukiwaniu śladów, bojąc się, że je znajdzie. – Może powinniśmy odsunąć te samochody i wynieść się stąd jak najszybciej? Na wszelki wypadek.

Kiedy wrzucili dźwignię biegów na luz, hatchback z łatwością dał się przesunąć. Eddie manewrował kierownicą, podczas gdy Max pchał auto. Obaj mieli śnieg na włosach.

Lana podeszła, kiedy mężczyźni się przy subaru.

– Kapeć. I koło też chyba jest wygięte. – Eddie rozprostował barki. – Będzie wymagało więcej siły.

– Pomogę.

– Tylko nie zerwij żadnego mięśnia – ostrzegł Eddie. Tym razem mocno skręcił kierownicę, zostawił otwarte drzwi i oparł się plecami o przód otworu drzwiowego.

Wystarczyło jej jedno pchnięcie, żeby wiedzieć, że mięśnie tu nie wystarczą. Postanowiła więc wyrzucić inny rodzaj nacisku, i choć starała się, żeby był lekki, samochód potoczył się z szarpnięciem.

– Mamy go! – zawołał Eddie. – Jeszcze trochę!

– Nie szalej, królowo Amazonek – parsknął śmiechem Max.

Pchnęli ponownie, samochód sturlał się po poboczu i zatrzymał przekrzywiony w płytkim rowie.

– Masz więcej krzepy, niż się wydawało – zauważył z uśmiechem Eddie.  
Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech, po czym dla żartu napięła mięśnie.

– Ciężarówkę damy radę objechać – powiedział Max.

– Tak, powinniśmy się precyzyjnie. Ale dajcie mi minutę.

Eddie ześliznął się do rowu, wyciągnął kluczyki z subaru i udeptyjąc mocno śnieg, przeszedł do bagażnika. – Może być tu coś przydatnego. Powinniśmy sprawdzić pozostałe samochody.

– Ja to zrobię. – Max pomyślał o ciele. Lana nie musi go oglądać. – Pomóż Eddiemu.

Zsunęła się i otworzyła walizkę, podczas gdy Eddie przeglądał zawartość kartonowego pudła.

– Dobre jedzenie – ucieszył się. – Wygląda na to, że ktoś zabrał zawartość spiżarni.

– Weź cały karton. Tu są ubrania. Męskie. I... – Wyjęła oprawione zdjęcie przedstawiające mężczyznę po trzydziestce i kobietę mniej więcej w tym samym wieku. On był ubrany w smoking z zatkniętą w butonierkę białą różą, a ona w zwiewną białą sukienkę.

– Zdjęcie ślubne – wymamrotała. – Ale ubrania są tylko męskie. Musiała umrzeć z powodu wirusa.

– Walizkę też powinniśmy zabrać.

– Tak. – Włożyła zdjęcie z powrotem. Uznała, że nie zostawi go tu, by wyblakło z tyłu auta.

We dwójkę zdołali wciągnąć karton na drogę, równocześnie pchając i ciągnąc walizkę. Max dołączył do nich ze sportową torbą i strzelbą.

– Znalazłem to w bagażniku. W torbie jest amunicja, trochę ciepłych ubrań i zwitek banknotów w bucie. Jakby się komuś miały teraz przydać.

– Sprawdzę ciężarówkę.

Eddie potruchtał do pojazdu, a Lana i Max zaczęli pakować znaleziska do auta. Eddie wrócił z połówką jacka danielsa i trzema puszkami budweisera.

– Podejrzewam, że kierowca był nietrzeźwy i może to było powodem kraksy. – Wetknął je do samochodu i obrócił się, strzepując śnieg.

– Piękna okolica. Cholernie piękna okolica. Znaleźć strumień, postawić domek. Życie nie byłoby takie złe. – Uśmiechnął się do psa, który wskoczył do zasy i się w niej wytarzał. – No, jemu też się tu podoba.

Max otworzył drzwi od strony kierowcy i uruchomił silnik, podczas gdy Eddie zawołał psa.

– Ty poprowadź – powiedział do Eddiego. – Ja będę pilotem.

– Się robi. Powinnaś się zdrzemnąć, Lano. Wyglądasz na wykończoną.

Pomyślała, że czar pewnie przestaje działać. Ale rzeczywiście czuła się wykończona. Mimo że nowe zapasy zajęły sporą część siedzenia z tyłu, zdołała się jednak zwinąć i niemal natychmiast zasnęła.

Ku uldze Maksa Eddie okazał się sprawnym kierowcą. Podczas jazdy usta mu się nie zamykały.

– Od dawna jesteście parą?

– Poznaliśmy się jakiś rok temu. Kilka miesięcy później zdecydowaliśmy się zamieszkać razem.

– Kiedy wiesz, że to ta, nie ma na co czekać. Ja swojej jeszcze nie znalazłem. Nie żebym jakoś usilnie szukał, ale doceniam kobiece towarzystwo, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zasnęła?

Max zerknął do tyłu.

– Tak. Miałaś rację, padła z wyczerpania. Może powinienem był zluzować.

– Co ty, trzeba będzie jeszcze trochę cisnąć. To, co tam widzieliśmy, tak to niestety teraz wygląda. Zabić, jak tylko ktoś na ciebie krzywo spojrzy. Nie rozumiem dlaczego, skoro potrzebujemy się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, ale tak już jest. Musiałeś się tego sporo w mieście naoglądać.

– Za dużo. Ludzie są przerażeni i wkurzeni, zdesperowani.

– I niektórzy po prostu nie są dobrzy.

– I niektórzy po prostu nie są dobrzy – powtórzył Max.

Przejechali przez miasteczko, którego główna ulica świeciła pustkami, jeśli nie liczyć samochodów. Sklepy były zamknięte lub zdemolowane.

– Daj mi znać, jeżeli będziesz chciał znaleźć dystrybutor i dolać benzynę.

– Na razie mamy dość dużo. Zjedziemy z tej drogi, kiedy odbije na południe, ruszymy na północ do drogi numer sześć. Jeżeli będzie przejezdna, skierujemy się na południe. Jeżeli nie, znajdziemy boczne drogi.

– Masz mapę w głowie? – Eddie spojrzał na Maksa z podziwem.

– Mam. I zapisałem to, na wypadek gdyby coś mi się stało. Zaopiekuj się nią wtedy. Uważaj na nią.

– Nic się nikomu nie stanie – odparł Eddie. – Wszyscy teraz musimy się opiekować sobą nawzajem. Ale tak, możesz mi zaufać, że zadbam o jej bezpieczeństwo, gdyby zaszła taka potrzeba. Stary, ja już nie mam rodziny. Mogliście mnie tam zostawić. Chyba można powiedzieć, że staliście się moją rodziną.

– Skręć w drogę numer piętnaście, na północ, kiedy do niej dotrzesz. Spróbujmy przejechać jakieś osiemdziesiąt, sto kilometrów, zanim staniemy i znajdziemy benzynę. Lepsze będzie jakieś małe miasto, nic dużego.

– Okej.

Max odchylił fotel i przymknął oczy. Gdy zapadał w sen, usłyszał, jak Eddie śpiewa jakąś piosenkę o aniołach. Country? Bluegrass? Nie rozpoznawał ich zbyt dobrze. Ale czysty, przyjemny głos ukołysał go do snu.

Obudził się raptownie, gdy poczuł, że się zatrzymują. Podniósł oparcie, spodziewając się zobaczyć kolejne wraki blokujące drogę. Zamiast tego dostrzegł pokrytą śniegiem drogę, kilka domów i minicentrum handlowe z dystrybutorami paliwa.

– Droga numer sześć była nieprzejezdna – oznajmił Eddie. – Musiałem zawrócić i poszukać bocznych dróg. Zostało nam ćwierć baku, więc lepiej zatankuję. – Wjechał na parking, gdzie cała trójka wysiadła.

– Wygląda na to, że śnieg nieco zelżał. Zobaczę, czy dam radę przygotować coś naprędce do jedzenia – powiedziała Lana.

– O, ja chętnie. – Eddie rozejrzał się, gdy Max podszedł do dystrybutora. – Cicho tu. Może wszyscy wyjechali.

– Może. Dystrybutory wciąż działają. – Max włożył końcówkę węża do zbiorka.

– Idę do środka. Prawdziwa łazienka byłaby miłą odmianą.

– Pewno zamknięte – zauważył Eddie.

– Sprawdź. – Potrafiła sobie radzić z zamkniętymi drzwiami.

– Mnie i Joemu wystarczy, jak odejdziemy kawalek.

– Tylko szybko – nakazał Max. – I ostrożnie.

Przyjrzał się ulicy – ich ślady w śniegu nie były jedynymi – oraz pobliskim budynkiem. Panowała cisza i spokój, tylko trzy jelenie skubały ziarno wysypane z rozwalonego karmnika dla ptaków po drugiej stronie drogi.

Przeszło mu przez myśl, czy nie poszukać kolejnej terenówki. Śnieg przestał już padać, ale napęd na cztery koła byłby lepszy, zwłaszcza tam, dokąd jechali.

Może jak już zatankują, to wypatrzą auto z napędem na cztery koła i się do niego przeniosą. Przynajmniej zostawią pełen bak dla następnego podróżnego. Rozluźnił się, kiedy Lana wyszła. Niosła jakąś torbę.

– Nadal czuję się źle, zabierając cudze rzeczy, mimo to zrobiłam to. Niewiele tam zostało, znalazłam jednak trochę roladek ziemniaczanych w dziale mrożonek. Kiedy się rozmrożą, będę mogła zrobić kanapki.

– Zdążymy w ten sposób dojechać do jakiegoś bardziej odosobnionego miejsca. – Max odwiesił wąż i zamknął bak. – To jest za bardzo odsłonięte.

– Dziwnie, prawda? Bardziej przypomina zdjęcie niż film. – Schyliła się i podrapała psiaka

po głowie, kiedy do niej podbiegł. – Wskakuj, Joe.

Pies wskoczył na tylne siedzenie, a Eddie podszedł do auta. Spojrzał za siebie.

– Chyba słyszałem...

Wtem huk wystrzału zmiażdżył ciszę niczym młotek szklaną szybę.

Zobaczyła, jak Eddie się szarpnął, twarz mu zbieleła, a na powiewającej zielonej wojskowej kurtce zaczęła się powiększać plama krwi. Zanim zdążyła się do niego rzucić, Max wepchnął ją na siedzenie pasażera.

– Wsiadaj, wsiadaj!

Chwyił Eddiego, gdy ten zatoczył się do przodu, i prawie cisnął go na tył auta.

Następny strzał rozbił tylne światło.

– Schyl się, Lano, schyl się, do cholery. – Max pochylił się i obszedł auto od przodu.

Na parking, cały czas strzelając, wbiegło dwóch mężczyzn.

Wściekła Lana cisnęła w ich stronę całą moc, choć Max wyciągnął już pistolet i wypalił.

Obaj mężczyźni polecili do tyłu, strzelając w powietrze.

Max szarpnięciem otworzył drzwi od strony kierowcy, po czym wcisnął zapłon oraz pedał gazu, jeszcze zanim dobrze usiadł. Zakręcił mocno kierownicą, wpadł w poślizg, przez chwilę wydawało się, że samochód się przewróci, ale łańcuchy na szczęście wytrzymały.

W lusterku wstecznym dostrzegł, że mężczyźni próbują się podnieść, celują, jednak kule trafiały w śnieg za nimi.

Z niektórych domów wybiegli inni uzbrojeni i patrzyli chłodno, jak odjeżdżają.

– Jesteś ranna, Lano?

– Nie, nie, a ty?

– Nie. Eddie, gdzie dostałeś?

– Jestem ranny! – zawołał Eddie i przycisnął dłoń między obojczyk a prawe ramię. –

Jestem, kurwa, ranny. I, o Jezu Chryste, jak to boli.

– Lano, zapnij pasy, do cholery – warknął Max, gdy zaczęła się przeciskać między siedzeniami.

– Muszę zobaczyć, jak to wygląda. Może coś pomogę.

– Nie zatrzymam się tu. Nie mogę się zatrzymać, póki się nie upewnimy, że nie jadą za nami.

Przepchnęła się do tyłu i podniosła skomlącego psa, który lizał Eddiego po twarzy.

Przełożyła go na przednie siedzenie, ten jednak natychmiast chciał przeskoczyć do tyłu, uspokoił się dopiero, gdy Max usadził go komendą siad. Na co psiak nie tyle siadł, ile zwinął się i zaczął płakać.

– Muszę to obejrzeć – Lana rozpięła kurtkę.

– Zobacysz, że dostałem! Co to w ogóle było? Przecież nie robiliśmy nikomu krzywdy.

– Ciii, spokojnie. – Sama była zaskoczona swoim opanowaniem, dłonie jednak wcale jej się nie trzęsły, kiedy rozerwała mu koszulę i ściągnęła z szyi szalik, żeby ucisnąć ranę. – Zatamuj krwawienie, to najważniejsze. Będzie dobrze. Jak tylko znajdziemy się wystarczająco daleko, Max znajdzie miejsce, w którym zatrzymamy się, przeniesiemy cię do środka i się tym zajmiemy.

Wydaje mi się, że mogę coś pomóc.

– Tak jak mi pomogłaś, wywracając tych dupków umysłem czy jakoś tak? Jesteś jedną z tych innych? Oboje jesteście?

Lana spojrzała w jego wstrząśnięte oczy.

– Nie zrobimy ci krzywdy.

– Cholera, właśnie mi ocaliliście życie. Chyba że już umieram.

– Nie umieras. Ja... Max, wydaje mi się, że mogę jakoś pomóc.

Eddie jęknął i zacisnął zęby.

– Gdybyś wzięła flaszkę jacka, to znaczy whisky, to byłby niezły początek.

– Dobry pomysł. Musisz tu ucisnąć, żebym mogła ją wyjąć. Nawet jeżeli będzie bolało. –

Położyła jego dłoń na zakrwawionym szaliku i docisnęła. – O tak.

Odwróciła się, wydobyla butelkę spod siedzenia, rozpięła suwak torby i znalazła w niej

podkoszulek. Uniosła się nieco i wyciągnęła z kieszeni scyzoryk, który dostała od Maksa, po czym nacięła materiał, rozdarła go i przygotowała kilka grubych tamponów.

Otworzyła butelkę Jacka Danielsa, a następnie odsunęła dłoń Eddiego.

– Przygotuj się. – I poliała brzydką małą ranę alkoholem.

Wrzasnął tak, że serce się krajało, mimo to namoczyła tampon i docisnęła go do rany, podczas gdy Eddie ze szklanym wzrokiem usiłował złapać oddech.

– Przepraszam, przepraszam.

– Myślałem, że dasz mi się napić.

Włożyła butelkę do jego drżącej ręki.

– Wrzasnąłem jak dziewczyna.

– Wrzasnąłeś jak facet, któremu ranę po kuli polano alkoholem. – Włożyła dłoń pod jego ramię, wyczuła dziurę w kurtce i wilgoć. – Dociskaj ten tampon, utrzymuj nacisk. – Przyłożyła mu drugi do pleców. – Przeszła na wylot. Kula. Myślę, że to dobrze.

– Nie tak dobrze, kiedy to przez ciebie przeleciała. Wychodząc, robi znacznie większą dziurę, to na pewno.

– Zajmiemy się tym. Max?

– Szukam. Nie jadą za nami, więc się rozglądam.

Zaczerpnęła powietrza i znowu spojrzała Eddiemu w oczy.

– Myślę, że mogę pomóc, spowolnić krwawienie. Nigdy czegoś takiego nie robiłam.

– Ja też nie. – Chwycił ją za rękę. – Pewnie będzie bolało.

– Nie wiem.

– Przekonajmy się. – Zamknął oczy.

Nie miała pojęcia, co się w niej obudziło, ale wezbrało, postanowiło wypłynąć i pomóc.

Jedną dłonią ścisnęła jego rękę, a drugą przycisnęła do wylotu rany. Niech to coś płynie.

Bolało. Usłyszała ból, poczuła go niemal fizycznie, był czarny i pulsujący. Otworzyła się na to, co w niej pęczniało, kotłowało się i wypływało – białe i chłodne przeciwko czarnemu i gorącemu.

– Dość! – Eddie chwycił ją za ramię, ścisnął i potrząsnął. – Dość!

Zadrżała. Cokolwiek przez nią płynęło, nagle znieruchomiło.

– Już – powiedział. – Wyglądasz tak źle, jak ja się czuję. Jest lepiej. Cokolwiek zrobiłaś, jest lepiej. Czuję się słabo i boli – Bóg jeden wie jak – ale jest lepiej.

– Pozwól mi spróbować...

– Lano. – Max mówił cicho, lecz stanowczo. – Nie możesz naciskać za bardzo, za szybko.

Musisz się zregenerować. – Zwolnił. – Tu jest niewielki dom. Wygląda na opuszczony. Sprawdźmy go. – Skręcił, zatrzymał i chwilę obserwując, czekał.

– Wejść sprawdzić. Lano, siadaj za kierownicę. W razie kłopotów jedź. Znajdę was. –

Odwrócił się, żeby poszukać jej oczu. – Znajdę cię.

Pokiwała głową, ale kiedy wysiadł i ruszył do domu, nawet nie drgnęła.

– Nie ma mowy, żebyśmy go zostawili – powiedział Eddie.

– Nie, nie zostawimy go.

– Hm, słuchaj... Jesteście bogami czy coś w tym rodzaju?

– Nie. – Delikatnie odgarnęła mu włosy z twarzy. – Czarodziejami.

– Czarodziejami. A... ha...

– Nikogo tu nie ma – oznajmił Max. – I wygląda na to, że od kilku tygodni nikogo nie było.

Straszna nora, ale się nada.

Podjechał od tyłu, ubijając kołami świeży śnieg. Stał dopiero, gdy się upewnił, że samochód nie będzie widoczny z drogi.

Pomógł Eddiemu wysiąść, i kiedy pod chłopakiem ugięły się nogi, dźwignął go na ręce i zaniósł do środka. Kuchnia przypominała kloakę pełną brudu, śmieci, robactwa i mysich odchodów.

Poradzą sobie z tym, pomyślała Lana.

Salon nie wyglądał lepiej, podobnie jak sypialnia, do której skierował się Max.



– Czekaj, nie kładź go na tym. Rana musi być czysta. – Ściągnęła sfatygowany koc i poplamioną pościel. – Jeszcze chwilę.

Wybiegła na zewnątrz, wygrzebała spakowaną pościel i ręczniki. Narzuciła prześcieradło na łóżko, rozłożyła na nim jeden z ręczników. – Musimy mu zdjąć kurtkę i koszulę.

– Pomóż mu stać – powiedział Max.

We dwojkę jakoś go rozebrali.

– Dobra. – Przycisnęła złożoną na pół myjkę do wylotu rany, kiedy Max położył Eddiego. – Krwawienie prawie ustało, to dobrze. Może jest tu jakiś antyseptyk albo alkohol. Rana z obu stron musi być czysta. Wydaje mi się, że trzeba ją zamknąć, ale nie mam dość mocy, Max.

– Zaszujemy. Coś znajdem.

– Ojej. – Eddie nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

– Wytrzymasz. – Lana mówiła szybko, idąc wąskim korytarzem do ohydnej łazienki.

Zignorowała smród, plamy – kolejna rzecz, z którą poradzą sobie później – i podważyła drzwiczki zardzewiałej apteczki.

– Alkohol, woda utleniona, rolka bandażu. Nie ma plastra. Nie ma mydła. I sądząc po wyglądzie tego miejsca, może go tu w ogóle nie być.

– Nożyczki, igły, nici! – zawołał Max. – Ktoś tu szyl. Mnóstwo gałganków, gdybyśmy ich potrzebowali. Poszukam mydła.

– Przyniosłam, gdybyś niczego nie znalazł. Jest w walizce.

Rozejrzeli się za niezbędnymi przyborami. Max wyszorował tacę, żeby je na niej położyć.

Lana myła ręce tak długo, że prawie zdarła z nich skórę.

Eddie leżał cicho z przytulonym u boku psem. Chłopak miał bladą i wilgotną twarz, ale chłodną w dotyku. Lana pomyślała, że nie ma infekcji, przynajmniej na razie nie.

Wiedziała, że go boli, kiedy czyściła ranę, ale nie szczędziła alkoholu, póki po prostu nie poczuła, że rana jest już czysta. Potem spojrzała na igłę oraz nici i przygotowała się psychicznie do szycia.

– Ja to zrobię. – Max dotknął jej ramienia. – Dam radę. Wszyscy będziemy po tym trochę głodni.

– Nie mogę gotować w tej kuchni, dopóki nie będzie czysta i odkażona.

– Ja to zrobię, a ty zacznij tam.

– Dobra. Trzymaj się, Eddie.

Zdobył się dla niej na wątlý uśmiech, który szybko zniknął, kiedy wyszła.

– Nie ma żadnej możliwości, żebyśmy tego uniknęli?

– Nie wydaje mi się.

– Tak myślałem. Pewno nie masz skręta?

– Przykro mi. Ale wprawię cię w trans. Możesz coś czuć i jeśli to zadziała, to powinno być tak, jakbyś unosił się nad nami.

– Potrafisz tak zrobić?

– Tak myślę. Pójdzie szybciej, jeśli mi zaufasz.

– Stary, nie powiem, że nie wolałbym skręta, ale gdybym ci na tym etapie nie ufał, to oznaczałoby, że mamunia wychowała dupka. Nie obrażaj mojej mamuni.

– Dobra. Patrz na mnie. Nic więcej nie rób, tylko patrz.

Po godzinie Max wrócił do kuchni. Zobaczył, że Lana wystawiła śmieci, wyszorowała blaty, kuchenkę i podłogę. Przez otwarte drzwi lodówki było widać czyste, choć poobijane wnętrze.

A ona sama stała ze spiętymi na czubku głowy włosami, w grubych żółtych rękawicach, które sięgały jej niemal do łokci, i wylewała brudną wodę do zlewu.

Poczuł, że ogarnia go – nie, chwytą w uścisku – mocna, silna miłość.

– Jak z nim? – spytała.

– Śpi. Będzie zdrow, dzięki tobie.

Mimo rękawiczek wtuliła się w niego mocno.

– Myślałam, że nie żyje. Kiedy zobaczyłam, że trafiła go kula, myślałam, że nie żyje.

Prawie go nie znamy... ale jest teraz częścią nas. Jest nasz.

– Jest nasz. Przydałoby się trochę odpocząć. Skończę sprzątać.

– Możesz skończyć – zgodziła się skwapliwie i ściągnęła rękawiczki. – Pod zlewem była zdechła mysz, wciąż w pułapce.

– Zajmę się tym.

– Musiałam. Ten smród... – Zadrżała. – Wyrzuciłam ją na zewnątrz, razem z pułapką.

Możesz sprzątać. Zdezynfekowałam wszystko tu i kuchenkę – użyłam wybielacza – więc mogę zacząć gotować. Mam wszystko, co potrzeba, dzięki temu, co znalazłam w tamtym samochodzie, do zrobienia gęstej i sycącej zupy.

– Myślałem, że cię Kocham, zanim wyjechaliśmy z Nowego Jorku.

– Myślałeś?

– Myślałem, że Kocham cię tak mocno, jak to możliwe, ale myliłem się. Z godziny na godzinę Kocham cię coraz mocniej.

– Czuję to. – Znowu do niego przywarła. – Od ciebie i do ciebie. Myślę, że częściowo dzięki temu nabieram mocy. To miłość, Max.

Położyła dłonie na jego policzkach i oddała się pocałunkowi, oddała się uczuciu miłości.

– Boję się – powiedziała. – Tak bardzo się boję, a jednak jest jakaś część mnie, we mnie, która się otwiera i rozciąga, i ta część mnie się... nie boi.

– Znajdziemy nasze miejsce.

– Wszędzie, byle razem. No... – Odsunęła się i uśmiechnęła. – Może nie tutaj. Zrobisz coś dla mnie?

– Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił.

– Powinam wymyślić coś trudniejszego, ale czy mógłbyś przynieść naszą ostatnią butelkę wina? Przydałby mi się kieliszek.

Później, kiedy zupa już gotowała się na wolnym ogniu, a kuchnia i łazienka zostały wysprzątane zgodnie z jej wskazówkami, Max zaciągnął śmieci, które wystawiła za drzwi kuchni, w stronę małej szopy.

Nie ma sensu, żeby ona wychodziła, pomyślał, jeszcze zobaczy szczura czy mysz lub jakieś inne stworzenie buszujące w tych śmieciach. Jeżeli będą musieli tu zostać jeszcze jeden dzień, dać Eddiemu więcej czasu na nabranie sił, pewnie będzie chciała wyszorować resztę tej okropnej nory.

Trudno byłoby ją za to winić.

Drzwi szopy zaskrzypiały na wypaczonych zawiasach. Max znalazł właściciela domu. Nie żył od co najmniej kilku tygodni. Zajęły się nim gryzonie.

Nie było potrzeby jej o tym mówić, Lana nie musiała tego oglądać. Chociaż poczuł ukłucie w sercu, wrzucił śmieci i zamknął drzwi. Położył na nich dłoń i przekazał błogosławieństwo oraz podziękowania za schronienie.

– Max!

Zamknął zasuwkę drzwi, obrócił się i uśmiechnął, ponieważ w jej głosie usłyszał radość, a nie zaniepokojenie.

– Eddie się obudził. I jest głodny! Nie ma gorączki, nie ma infekcji.

– Już idę.

Tym więcej powodów do wdzięczności. Wyjadą rano i jutro dotrą do miejsca, w którym czeka Eric.

Znajdą swoje miejsce, pomyślał ponownie.

Stworzą je.

## PRZETRWANIE

Przyjaciele, którzy z nami wyruszyli  
Osłabli, w burzy przepadli  
My, my jedyni, ocaleni!

Matthew Arnold

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jonah Vorhies pracował prawie całą dobę. Przed świtem przedostał się ukradkiem na teren przystani Marine Basin, a potem na pokład łodzi zmarłej partnerki z ambulansu.

Nie czuł się dobrze, włamując się na coś, co należało do Patti, i zwłaszcza widząc jej rzeczy porozrzucane na pokładzie starego jachtu motorowego, który tak uwielbiała. Ale z drugiej strony ta łódź dała mu nadzieję i cel.

Schował dodatkowe koce, środki medyczne i jedzenie.

Zaplanował krótką bezpośrednią trasę przez cieśninę dzielącą Staten Island oraz Brooklyn i potem podróż w górę rzeki Hudson, ale przygotował się na komplikacje. Na pokładzie będzie miał noworodki i kobietę w połogu. Oraz lekarzkę.

Rachel. Ona również dała mu nadzieję, gdy sądził, że wszelka zgasła. Nie wahała się uczynić wszystkiego dla zdrowia i bezpieczeństwa Katie i jej dzieci.

Zastanawiał się, czy te nowe istnienia pośród tak wielu zgonów dały nadzieję i cel również Rachel.

Za jego sprawą była gotowa, tak samo jak on, podejmować ryzyko.

Zabiorą noworodki, ledwie dwudniowe, w podróż rzeką w samym środku zimy. Z dala od Nowego Jorku i narastającej przemocy, od ryzyka zatrzymania i uwięzienia.

Tylko dokąd? Żadne z nich tego nie wiedziało.

Kiedy jednak szedł szpitalnymi korytarzami, wiedząc, że robi to po raz ostatni, rozumiał, że nie mają innego wyjścia.

Widział śmierć, swoje przekleństwo, w wielu mijanych ludziach. A pracowników i pacjentów było mniej niż poprzedniego dnia. Za to znowu przybyło ciał w kostnicy.

Gdy wszedł do pokoju Katie, a ona spojrzała na niego ufnie, wiedział, że znajdzie im bezpieczne miejsce. Bez względu na koszt.

– Rachel?

– Poszła sprawdzić, czy nie znajdzie więcej zapasów.

Katie, ubrana w rzeczy, które jej przyniósł, ze spakowaną u stóp torbą, wstała.

– Jonah – rzekła – w żłobku jest tylko jedno dziecko. Dziewczynka. Gdy ty odbierałeś bliźnięta, jej matka miała robione cesarskie cięcie i zmarła. A pielęgniarka... jest chora. Ale dziecko jest zdrowe. Rachel ją zbadała. Minęły dwa dni. Pewnie miałyby już jakieś objawy, gdyby była zarażona.

– Chcesz ją zabrać.

– Jest sama.

– Dobrze.

Katie zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, popłynęły z nich łzy.

– Rachel powiedziała, że się zgodzisz. Szuka mleka dla niemowląt, ale mogę ją karmić.

Mam mnóstwo pokarmu.

– Ma imię?

– Jej matka nazywała się Hannah. Myślę, że powinna się tak nazywać. Hannah.

– Ładnie. – Uśmiechnął się, ignorując lęk o bezpieczeństwo teraz już trójki noworodków. –

A jak ta dwójka?

Podszedł do łóżeczka na kółkach, w którym spały opatulone niemowlaki.

– Pół godziny temu je nakarmiłam. Rachel mówi, że są zdrowe, jakby były urodzone w terminie.

– Ubierzmy je. I ciebie też.

Jonah wsunął rączki Duncana w sweterek ze sklepu z upominkami, a Katie ubierała Antonię. Skóra dziecka, tak różowa i biała przy jego palcach, wydawała się niewiarygodnie miękka. Rzadko zajmował się noworodkami jako ratownik medyczny, ale przeszedł szkolenie i bez

problemu zawiął Duncana w jeden z koców, które zabrał z mieszkania Katie.

Gdy usłyszał kroki Rachel – a potrafił je rozpoznać – ściskanie w żołądku ustało. Kobieta weszła do środka, w jednej ręce trzymała torbę lekarską, w drugiej niemowlę.

– Mamy miejsce na jeszcze jedno?

– Jasne. Bierzcie kurtki. Ja trzymam naszego chłopaka.

Podniósł torbę Katie i wziął torbę lekarską, a Rachel wyjęła własną torbę z szafy.

– Na ulicach jest niespokojnie, ale nie tak źle, jak było. Do przystani dojedziemy raz-dwa.

Kierujemy się prosto do wyjścia, od razu do ambulansu. Wy dwie i dzieci do tyłu.

– Dziś już dwa razy włączyło się zasilanie – oznajmiła Rachel. – Nie wiem, jak długo szpital będzie jeszcze działał. A od czasu tych wiadomości w telewizji prawie nie ma pracowników. Nigdy nie pytałam cię, dokąd jedziemy. Chyba nie wierzyłam, że będziemy musieli płynąć.

– To jedyna możliwość. Nawet gdybyśmy zdołali się przedostać na Manhattan, a wątpię, bo mosty są zablokowane, to potem musielibyśmy przejechać kolejnym do New Jersey. Patti trzymała łódkę przez cały rok w Marine Basin. Mieszkała na niej od czasu rozvodu, jakieś osiem lat temu. Powiedziała, że wychodzi taniej niż mieszkanie. I uwielbiała ją.

– Chodziłam do szkoły z dziewczyną, która mieszkała na łodzi. – Katie zakołysała się z Antonią. – Byłam kiedyś u niej na imprezie.

– Prosto do wyjścia – przypomniał im Jonah, kiedy wyszli z sali. – Prosto na zewnątrz, do samochodu. Mam tam dwa nosidełka, najlepsze, jakie udało mi się znaleźć. Nie wiedziałem, że zabierze się z nami autostopowiczka Hannah.

Nikt ich nie zatrzymywał. Kiedy już znaleźli się na zewnątrz, uderzyła ich zadziwiająca cisza nocy. Katie pomyślała, że te dźwięki z oddali to na pewno huk wydobywający się z niesprawnych silników, a nie odgłosy strzałów. Tak, na pewno z silników.

– Włóż dwójkę do nosidełek, a trzecie trzymaj na rękach. – Jonah otworzył tylne drzwi. – Będę szybkojechał i być może ostro manewrował.

– Poradzimy sobie. Potrzebujesz pomocy, Katie? – spytała Rachel.

– Nie, dobrze jest.

Kiedy Katie umościła dziewczynki, Jonah podał jej Duncana.

– To nie potrwa długo – powiedział i zamknął drzwi.

Wsiadł za kierownicę i dotknął pistoletu, który miał na biodrze.

Bez względu na wszystko.

Jedno z dzieci obudziło się i zaczęło marudzić, gdy ruszyli, jednak ruch samochodu wkrótce ukołysał je do snu. Jonah jechał szybko, unikając obwodnic. Sprawdził kilka tras i główne drogi okazały się nieprzejezdne.

Mimo że zwalniał na zakrętach, kiedy mógł, nie miał wątpliwości co do odgłosów, które słyszeli. Nie zamierzał ryzykować, że kula trafi w ambulans lub któregoś z jego pasażerów.

Usłyszał syreny, zobaczył migające światła i serce mu mocniej zabiło. Na szczęście auto minęło go z absurdalną prędkością, niemal ocierając się o ambulans.

Widział, że to nie są policjanci. I że wkrótce się rozbiją, widział krew, połamane kości – ujrzał to wszystko na kilka sekund wcześniej, nim kierowca stracił kontrolę nad pojazdem i przekoziółkował na zakręcie.

Nie zatrzymał się jednak. Miał cel. Tylko jeden cel.

Skręcił gwałtownie, gdy na ulicę wbiegł jakiś mężczyzna i spróbował chwycić boczne drzwi. Spozrzegł śmierć, zanim jego oczom ukazał się ogromny wilk, który nagle wyrósł jak spod ziemi, i wbił lśniące zęby w gardło mężczyzny. Ten krótko i przenikliwie krzyknął, po czym ucichł.

– Jonah.

– Nie możemy się zatrzymać. – Zerknął na Rachel. – Już prawie jesteśmy na miejscu.

Ambulans z piskiem opon wjechał do mariny i zaczął podskakiwać na nabrzeżu.

– Przetawilem dziś w nocy łódź. Sporo z nich zniknęło, niektóre są porozbijane. Tu robimy to samo. Wsiadamy, prosto na łódź i od razu do kabiny. Będzie cieplej. – Miał nadzieję, że także bezpieczniej.

Wcisnął mocno hamulec i od razu wysiadł otworzyć drzwi. Chwycił torby, wziął Duncana.

– Szybko!

Poprowadził je w niemal całkowitych ciemnościach.

– Tam. Biała łódź motorowa, czerwony napis: Duma Patti.

Wrzucił torby na łódkę, po czym przeniósł Katie na pokład.

– Weź Duncana i wejdź do kabiny – zakomenderował.

– Zajmę się linami – powiedziała Rachel, zanim zdążył je podnieść. – Mój ojciec miał łódkę, tak będzie szybciej.

Skinął głową, wyjął dziecko z nosidełka – zapomniał, które jest które – i wszedł na pokład.

– Odcumuj.

Rachel odwiązała cumę dziobową i pobiegła w stronę rufy. Usłyszała tupot kroków kogoś biegnącego w jej kierunku i czyjś rechotliwy śmiech. Obróciła się w miejscu gotowa do walki. Ale na pokładzie był też Jonah, w jednym ręku trzymał noworodka, w drugim pistolet.

– Cofnij się.

Mężczyzna miał na głowie piracki kapelusz. Wyzierały spod niego powiewające na wietrze włosy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Ahoj! – zawołał. – No to trochę się zabawię.

– Dotknij jej, a pobawisz się z ołowiem w gardle – warknął Jonah. – Rachel!

Szybko odwiązała cumę i wskoczyła na pokład. Wzięła dziecko.

– Wyprowadź łódź – powiedziała spokojnie. Pośpiesznie podeszła do koła sterowego, a Jonah stał, patrząc, jak mężczyzna udaje, że toczy walkę na szpady.

– Nie potrzeba ci dwóch dziewczek. Podziel się łupami, chłopcze. Podziel się.

Gdy łódź odpływała, mężczyzna zamarkował kolejny sztych, stracił równowagę i spadł z nabrzeża. Wypłynął, rechocząc, i usiłował za nimi płynąć.

Jonah zobaczył jego śmierć, lecz nie przez utonięcie. Odwrócił się i podeszedł do Rachel.

– Zabierz dziecko na dół.

– Wiesz, jak prowadzić łódź? Na tak wzburzonej wodzie?

– Często nią pływałem. Parę razy Patti dała mi poprowadzić.

Rachel nie zdejmowała rąk z koła sterowego.

– Zanieś dziecko Katie. Ja steruję, ty pilotujesz. I trzymaj broń w pogotowiu.

Nie mógł się sprzeczać, zwłaszcza widząc, jak Rachel świetnie sobie radzi z łodzią.

– Płyniemy cieśniną, wokół zachodniego końca Long Island i w górę Hudson.

– Dobrze. – Łódź zakołysała się na fali, ale kobieta nawet nie drgnęła. – Dokąd?

– Nie jestem pewien. Powiedzmy, że tak daleko, jak będzie trzeba. Jest zatankowana do pełna, więc tak daleko, jak zdołamy.

Zszedł do kabiny, gdzie Katie siedziała na kanapie Patti i karmiła dwójkę noworodków. Położył obok niej trzecie.

– Musisz zajmować się trójką. Będę na górze z Rachel, ale gdybyś potrzebowała pomocy, zawołaj.

– Poradzimy sobie.

Łódź znowu się zakołysała.

– Pamiętasz, jak było w ambulansie? Tu może być podobnie.

– Poradzimy sobie – powtórzyła.

Wrócił na górę i stanął koło Rachel.

– Czy oni patrolują rzeki? – spytała.

– Nie wiadomo. Nie wiem, dlaczego mieliby to teraz robić, ale świat jest porąbany. –

Lodowate podmuchy wiatru uderzyły go w twarz i zmarszczyły ciemną wodę. – Możemy spotkać więcej takich idiotów jak ten w marinie, ale na łódkach. Będziemy się starali ich omijać, i jeżeli się uda, przyspieszymy.

Nie czuł się najlepiej z pistoletem w ręku, schował go więc do kabury.

– Znam marinę w Hoboken. Mój ojciec – przypomniała mu – kilka lat trzymał tam łódkę.

– Dobra. Hoboken.

– Tym nie prześcigniemy łodzi patrolowej. Jeżeli... Być może zdołam dobić do brzegu,

żeby Katie i dzieci mogły zejść.  
Położył rękę na jej dłoni.  
– Zatem Hoboken.

\* \* \*

W Hoboken Chuck spakował cały sprzęt, jaki uznał, że zdoła unieść. Nie chciał się z niczym rozstawać, ale wiedział, że ten dzień nadejdzie.

Może nie w pakiecie z apokalipsą, ale kiedyś nadejdzie.

Zaplanował, co mu się pomieści, ale musiał to teraz pozmieniać, gdyż dołączyła do nich Fred.

Była absolutnie urocza. Nie dlatego wprawdzie zgodził się ją zabrać, ale w niczym nie przeszkadzała.

Dał swoim paniom, jak teraz o nich myślał, czas na odpoczynek. Arlys spała jak zabita równe dwanaście godzin, urocza Ruda padła – po kilku piwach – na mniej więcej tyle samo.

I trudno się dziwić, gdyby to, co przeszły w tunelu, okazało się choć w połowie tak potwornie wstrząsające, jak Fred to opisała.

Wierzył w każde jej słowo. Dlaczego by nie miał, skoro podsłuchiwał rozmowy przerażonych cywili i równie przerażonych wojskowych. W dodatku, podłączając się do kamer ulicznych, widział niezłe gówno. Naprawdę niezłe gówno.

Tak czy inaczej, skoro nie słyszał niczego, co mogłoby wskazywać na to, że wojskowi wpadli na jego trop – a teraz to głównie oni sprawowali kontrolę – również postanowił się zdrzemnąć.

Wyglądało na to, że trzeba się wyspać na zapas.

Dał im wszystkim jeszcze dzień na odpoczynek i spakowanie się, a sobie na nasłuch tego, co działo się w sieci.

Przyszedł wszakże moment, kiedy należało się pożegnać z jaskinią i jej fantastycznym wyposażeniem.

Arlys wyszła z sypialni pierwsza, ubrana, z włosami spiętymi w koński ogon. Chuck pomyślał, że jest naprawdę atrakcyjna, ale traktował ją jak siostrę.

Nie był nawet w stanie fantazjować o bzyknięciu jej bez wzdrygnięcia się z niesmakiem.

– Fred jest już prawie gotowa. Mogę ci z tym pomóc.

– Wolałbym, żeby nikt nie tykał mojego sprzętu. Zresztą i tak już prawie skończyłem.

Będziemy musieli to załadować do naszego pojazdu. Muszę po niego pójść. Wy możecie spakować jedzenie i to, co zostało z piwa.

– Zajmiemy się tym.

– Dobra. To ja idę po nasz transport.

– Chuck, nie wiemy, co się dzieje na zewnątrz. Pójdę z tobą.

– Spoko. Mam swoje sposoby. – Zasalutował, przykładając palec do skroni. – Dziesięć minut i jestem z powrotem.

– Przynajmniej weź jeden z pistoletów.

– Nie. – Mrugnął i wyszedł.

Arlys przycisnęła palce do oczu, ale tylko na moment. Pomyślała, że przecież dotąd dawał sobie radę, więc i teraz sobie poradzi.

Przynajmniej miał porządną kawę, mógł się napić jeszcze jednej, zanim opuszczą tę dziwną, kosztownie wyposażoną piwnicę. Czuła się w niej bezpiecznie. Jak w schronie przeciwbombowym, gdy świat zewnętrzny rozpadł się na kawałki.

– Chcesz kawy? – spytała Fred, kiedy ta wyszła z ułożonymi włosami i idealnie umalowana.

– Dzięki, nie, Chuck ma jeszcze colę. Dokąd poszedł?

– Po samochód. Musimy spakować jedzenie.

– Okej. – Fred wyciągnęła pudełko ciastek czekoladowych.

– Myślałam o bardziej podstawowych produktach.

– Trzeba jeść te fajne, póki jeszcze są. – Chwyciła colę i pakując jedzenie, popijała ją

łydkami. – Czy on to wszystko zabiera ze sobą?

– Na to wygląda.

– Mam nadzieję, że ma duży samochód i nie będziemy siedzieć upchnięci.

– Mam nadzieję, że ma samochód, który nas stąd wywiezie.

– Nie martw się na zapas. Dotarliśmy tu, prawda? No to dotrzemy i tam.

– Denerwuję się, a wtedy robię się jędzowata. – Arlys chwyciła kilka puszek i pomyślała, czy ktokolwiek powyżej dwunastego roku życia – poza Chuckiem – jada bulion z makaronem w kształcie liter alfabetu, ale przypomniała sobie, że powinna się z tego cieszyć.

– Martwisz się o Jima i resztę. Będę wierzyć, że im się udało, bo nie słyszałyśmy, żeby im się nie udało. W świecie nadal istnieje dobro, Arlys. Czuję dobro tak samo, jak czuję zło.

Arlys odstawiła kawę i podsunęła stertę ciastek owocowych.

– Jabłkowe czy wiśniowie?

– A dlaczego nie jedno i drugie? – Fred otworzyła plecak i wsunęła je do środka. – Jest miejsce.

– Uwielbiam cię, Fred.

Właśnie mijало dziesięć minut, gdy Chuck otworzył zamki i wszedł.

– Ładujemy towar i w drogę.

Arlys włożyła płaszcz i chwyciła pudło z jedzeniem. Wyszła na zewnątrz i stanęła jak wryta. Zamrugnęła z niedowierzaniem.

– Czy to...?

– Hummer. Ale wersja cywilna – dodał Chuck, ładując skrzynię. – Jestem hakerem, nie wojownikiem. Odłotowy, nie? Odłot jak stąd na biegun.

– Fantastyczny! – Fred wepchnęła torby i plecaki, po czym ruszyła po następne.

– Kto... kto kupuje hummera?

– Ja. – Chuck wstawił kolejne rzeczy. – Zawsze uważałem, że ze światem stanie się coś głupiego, więc nie zaszkodzi mieć potężną brykę, którą będzie można pojechać w góry. Jeszcze jedna runda i wszystko będzie spakowane.

Arlys wróciła po zgrzewkę butelkowanej wody, Chuck zaś złapał ostatnią skrzynię ze sprzętem i rozejrzał się z sentymentem po piwnicy.

Potem zamknął drzwi, uruchomił zamki i odwrócił się.

Zdecydowanie nie siedzieli upchnięci – w końcu był to potężny samochód – ale sprzęt i zapasy zajmowały sporo miejsca. Arlys nakłoniła Fred do zajęcia miejsca z przodu, sama zaś usadowiła się z tyłu. Kiedy auto potoczyło się po jezdni, wyjęła notes i ołówek, które Chuck dla niej skądś wygrzebał.

Spisała wszystkie szczegóły ostatniego wejścia na wizję i przeprawy tunelem. Pisała, aż zdrętwiały jej palce. Po chwili zaczęła opisywać początek tej podróży. Może nikt nigdy tego nie przeczyta, nie usłyszy. Może nikogo to nie będzie obchodziło albo nie zostanie nikt, kogo mogłoby to obchodzić. Ale musiała to zapisać punkt po punkcie.

– Pojedziemy na północ dziewiątką – oznajmił Chuck – i zobaczymy, czy uda nam się wjechać na osiemdziesiątkę. Pewnie jest zatkana, ale ten potwór niczego się nie boi. W razie czego rozepchniemy wraki.

Arlys wyciągnęła teczkę z mapami, które na jej prośbę wydrukował Chuck.

– Opracowałam kilka alternatywnych tras.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony, co? Nie martw się, laska. Dotrzesz do Ohio. Taka była umowa.

Już w Ridgefield trafili na sporą przeszkodę. Terenówka z wgiętym tylnym zderzakiem powoli cofała się sprzed karambolu pięciu samochodów blokujących drogę.

Arlys położyła dłoń na pistolecie schowanym pod płaszczem.

– Oni są dobrzy – powiedziała szybko Fred. – Wyczuwam, kiedy ktoś jest zły. – Fred obróciła się. – Pewnie chcą się tylko przejechać, tak samo jak my.

Ponieważ Arlys zaufała jej w tunelu, uwierzyła i teraz. Opuściła okno i wystawiła obie dłonie.



– Hej, usiłujemy tylko przejechać! – zawołała. – Nie chcemy żadnych kłopotów. Jestem Arlys, jadą ze mną Fred i Chuck. Chuck uważa, że da radę rozepchnąć wraki.

– A i owszem – potwierdził.

Przez parę sekund terenówka stała nieruchomo, po czym znowu zaczęła się cofać, aż okno kierowcy znalazło się po stronie Arlys i Fred.

– My również nie szukamy kłopotów. Pomogę przy wrakach.

– Dam radę.

– Chuck mówi, że da radę – przekazała Arlys. – Jeżeli zdoła je rozepchnąć, to możecie przejechać za nami.

Kobieta na siedzeniu pasażera wychyliła się ku nim.

– Arlys Reid?

– Tak.

Skinęła kierowcy, który odetchnął z ulgą.

– Dobra. Poczekamy tutaj.

– No to patrzcie. Przebijamy się!

Chuck rozluźnił ramiona i powoli ruszył. Arlys zaniepokoiła się, że staranuje pięć aut jak rozwścieczony byk, ale podjechał ostrożnie i zaczął manewrować w lewo i w prawo.

Z donośnym, piskliwym zgrzytem metalu przesunął dwa samochody na tyle, żeby nieco wykręcić i zepchnąć jeden na pobocze.

Fred zaklaskała.

– Gry komputerowe – palnął nieoczekiwanie Chuck, cofając się, żeby przepchnąć drugi. – No i przez kilka lat jeździłem pługiem śnieżnym dla jednej z firm mojego wujka.

Pozostałe samochody wystarczyło poprzestawiać o jakieś kilkadziesiąt centymetrów.

– Jeżeli my przejedziemy, to oni tym bardziej. Jesteśmy szersi. – Przejechał koło rozbitych aut i zatrzymał się.

Tym razem terenówka podjechała od strony Chucka.

– Dziękujemy.

– Żaden problem, też chcieliśmy przecież przejechać.

– Jestem Rachel – powiedziała. – To Jonah, a z tyłu jest Katie. Mamy trójkę noworodków.

– Dzieci! – Fred pchnęła drzwi i wyskoczyła.

– Fred!

– Chcę zobaczyć dzieci. – Pomachała ręką Arlys i podbiegła zajrzeć do tylnego okna. – Och! Jakie piękne! Wszystkie twoje? Ach, dzieci mają w sobie światło. Jak się nazywają?

Katie powoli opuściła okno o kilka centymetrów.

– Duncan, Antonia, Hannah.

– Ależ macie szczęście! Chuck, oni mają troje dzieci. Potrzebują pomocy. Powinniśmy im pomóc. Jedziemy do Ohio – paplała, zanim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć. – Jeżeli chcecie, możecie za nami jechać, póki jedziemy w tę samą stronę. Może Chuck dalej też będzie musiał torować drogę.

– Jonah?

Jonah zerknął na Katie i znowu na Rachel, po czym skinął głową.

– Bylibyśmy wdzięczni. Nie wybieramy się do żadnego konkretnego miejsca. Będziemy jechać za wami.

– Jak daleko chcecie dojechać, zanim zrobicie przerwę? – spytał Chuck.

– Mamy prawie pełen bak. Dopiero zaczęliśmy w Hoboken.

– Hej! – Chuck stuknął się palcem w pierś. – Ja jestem z Hoboken. Musieliśmy wyjechać tuż po was. Co powiecie, żeby dojechać do granicy Pensylwanii? Jeżeli będziecie chcieli zatrzymać się wcześniej, zamrugajcie światłami albo zatrąbcie.

– W grupie bezpieczniej – dodała Rachel.

– Owszem, nie zaszkodzi.

Gdy Chuck ruszył autostradą, Arlys zapisała imiona nowych towarzyszy w notatniku.

Pomyślała, że w grupie są nie tylko bezpieczniejsi, lecz także silniejsi.

Z powodu karamboli i porzuconych samochodów, których nawet potężny hummer nie był w stanie przepchnąć, podróż przez stan New Jersey wymagała kluczenia, zawracania i objazdów.

Kiedy w końcu dojechali do Pensylwanii, Chuck wyrzucił pięść do góry w zwyczajnym geście.

– Hura! Przekroczyliśmy granicę kolejnego stanu, moje panie – oznajmił. – Zacznę szukać miejsca na postój. Ta duża dziewczyna robi się głodna.

Skręcili, jak się okazało, w główną ulicę czegoś, co Arlys uznała za osadę – miejscowość była zbyt mała, żeby dało się ją nazwać miastem. Cicho jak w grobie, i to takim zasypanym do połowy śniegiem. Widok jak z pocztówki bożonarodzeniowej – ideał tradycji. To wrażenie jeszcze się spotęgowało, gdy obserwowali, jak stadko jeleni przechodzi koło salonu piękności Arnette, jakby wędrowało po lesie.

Arlys pomyślała, że tutejsi mieszkańcy musieli dobrze znać swoich sąsiadów. Plotkowali z nimi o tym i owym. A Arnette na sto procent była klientką Billy'ego w Zjedz Gdzie Wolisz. Pewnie jadła szarlotkę przy bufecie. Na pewno można było usiąść przy bufecie, za którym stała pyskata kelnerka podsuwająca ciasto.

Co się z nimi stało? Gdzie się podziała Arnette? A Billy? I ta pyskata kelnerka?

Przejechali przez tę miejscowość bez zatrzymywania się, zostawiając ją jeleniom.

Niecały kilometr dalej Chuck skręcił na stację benzynową ze sklepem spożywczym.

– Toalety są prawdopodobnie w środku. – Przyjrzał się uważnie szybom i szklanym drzwiom. – Wygląda na nietkniętą, w okolicy mieszka mało osób. Pewnie będzie zamknięte, ale...

– Dostaniemy się. – Arlys otworzyła drzwi i wysiadła na dziewiczy śnieg. Ruszyła do terenówki, do której Fred rzuciła się biegiem.

– Mogę wziąć jedno? To znaczy potrzymać?

– Robi się marudna. – Katie podała dziecko Fred, która już wyciągała rękę. – Muszę ją nakarmić.

– Nie mam z tym problemu. Och, jaka ona słodka. Jak się nazywa?

– Hannah.

– Słodziutka Hannah. Zabiorę ją do środka. Hannah jest głodna, tak? – szczebiotała do kwilącego dziecka. – Może nie jest zamknięte. Już dobrze, Hannah – uspokajała małą. – Mama zaraz cię nakarmi.

– Miło cię poznać. – Arlys wyciągnęła rękę do Rachel.

– Naprawdę miło poznać kogoś z... to hummer?

– Tak, należy do Chucka.

– Otwarte! – Fred odwróciła się z olśniewającym uśmiechem.

Arlys przypomniała sobie, że duszki potrafią dostać się do zamkniętych miejsc.

Gdy Rachel schyliła się, żeby wziąć dziecko od Katie, Jonah zawołał do Fred:

– Nie wchodź! Poczekaj. – Podbiegł do drzwi. – Sprawdź, czy jest bezpiecznie.

– On ma rację. – Arlys dołączyła do nich szybkim krokiem. – Poczekaj, Fred. Na wszelki wypadek.

Jonah spojrział na nią przeciągle, kiedy wyjęła spod płaszcza broń. Po czym kiwnął głową.

– Ja biorę lewą stronę, ty sprawdź prawą.

Weszli do środka, posuwając się wzdłuż pustawych półek i lady, na której stała otwarta, opróżniona kasa. Przy milczącej zgodzie ona pchnęła drzwi do damskiej toalety, on do męskiej.

Kiedy Jonah się upewnił, że nikogo nie ma, przełożył broń do lewej ręki, wyciągnął prawą i przedstawił się:

– Jestem Jonah.

– Arlys. Fred, możecie wchodzić!

– Chuck mówi, że dystrybutory działają. – Fred pocałowała dziecko, które leżało teraz zadowolone w jej ramionach. – Tankuje hummera.

– Myślę, że to równie dobre miejsce jak każde inne, żeby zawrzeć znajomość. – Jonah

schował pistolet, kiedy Rachel i Katie weszły do środka. – Też zatankuję.

– Potrzebujemy jakiegoś krzesła dla Katie. – Fred promieniała. – Żeby mogła usiąść i nakarmić Hannah.

– Z tyłu jest jakieś. – Arlys wsunęła broń do kabury. – Przyniosę.

– Mogę potrzymać, które to?

– Duncan.

– Mogę potrzymać Duncana, kiedy będziesz karmić Hannah. – Fred zdołała się zamienić dziećmi i zaczęła obcałowywać buzię chłopca.

– Świetnie sobie z nimi radzisz.

– Kiedyś zamierzam mieć pół tuzina. Duncan już się całkiem obudził. Cześć, Duncan!

Informuje, że ma pełną pieluszkę.

– Wcale mnie to nie dziwi.

– Mogę mu zmienić.

– Byłoby super – wtrąciła Rachel, zanim Katie zdążyła coś powiedzieć. Podała Fred torbę z pieluszkami. – Tu jest wszystko, co potrzebne.

– W łazience jest przewijak. – Arlys wyturlała krzesło na kółkach. – Nie sprawdzałam wody, ale skoro dystrybutory działają, to powinna być.

– Mam nadzieję, bo matka musi zjeść coś na ciepło. Nie mów, że sobie poradzisz, Katie.

Masz do wykarmienia trójkę i musisz być zdrowa i silna. Gdzieś tu na pewno jest mikrofalówka.

Arlys wskazała palcem.

– Świetnie. Mogłabyś jej coś podgrzać? Chcę sprawdzić, czy nie zostały tu jakieś leki.

Jestem lekarką.

– Tym bardziej się cieszę, że cię poznałam. Widziałam kilka puszek gulaszu wołowego.

– Idealnie. Poszukam też jakichś witamin dla dzieci. Przy trójce zapasów nigdy dość.

Arlys przeszukała półki – nie było sensu zużywać tego, co wieźli. W podwójnych papierowych miseczkach podgrzała gulasz, puszkowane ravioli, puszkę rosółu z makaronem. Zobaczyła, że mężczyźni wsiadają do samochodów i odjeżdżają od dystrybutorów.

Pomyślała, że pewnie przestawiają auta, żeby nie były widoczne z drogi. Tak na wszelki wypadek.

Rozstawiła jedzenie na ladzie i podała Katie gulasz.

– Dzięki. Mała je już coraz wolniej, zaraz pewnie skończy.

– A Fred?

– Poszła przewinąć Duncana. – Mimo wyczerpania Katie się uśmiechnęła. – Jest cudowna.

– Nawet nie masz pojęcia jak. Muszę powiedzieć, że wyglądasz rewelacyjnie jak na kobietę, która parę dni temu urodziła trojaczki.

Katie spojrzała na Hannah.

– Dwojaczki. Hannah jest sierotą. Jej matka umarła podczas porodu. Była sama w szpitalu, wszyscy inni byli chorzy lub martwi. Więc ją ze sobą wzięliśmy. Teraz jest moja. – Katie podniosła oczy. Mimo wyczerpania jej wzrok zdradzał determinację. – Tak samo jak one.

– Pomożemy ci je chronić. – Fred przyniosła Duncana. – Wszystkie.

– Dzieci i ja nie znaleźlibyśmy się tutaj bez Jonaha i Rachel. Jakaś część mnie mi mówiła, że to ostatni przyzwoici ludzie na ziemi. Mam wrażenie, że to spotkanie z wami było nam pisane. Jest tak okropnie, a jednak spotkaliśmy was – ludzi, którzy opiekują się dziećmi i pomagają obcym. My też wam pomożemy.

– A owszem. – Rachel wróciła z wypchaną torbą. – Leki bez recepty, podstawowe witaminy i pierwsza pomoc. Przejrzyjcie je i weźcie, czego wam potrzeba. No, z wyjątkiem rzeczy dla dzieci.

Rachel odgarnęła grzywę kręconych włosów i zerknęła na ladę.

– Można się częstować?

– No jasne.

– Umieram z głodu.

– Arlys zraniła się w rękę. – Fred zakołysała dziecko. – Rzucisz na nią okiem?

– Lekarz ma pierwszeństwo.

Arlys usiadła na ławie, a Rachel oczyściła i zabandażowała jej ranę.

– Przydałoby się kilka szwów. Będziesz miała bliznę.

– Tym przejmuję się najmniej.

– Dobrze się goi.

– Jaką masz specjalizację?

– Medycyna ratunkowa.

– Coraz lepiej. – Sprawdzając rękę, Arlys zerknęła na Katie, która karmiła kolejne dziecko i jedną ręką jadła gulasz, podczas gdy Fred siedziała na podłodze i przytulała pozostałe maleństwa.

– To ty odebrałaś bliźnięta?

– Nie. Jonah. Spotkał rodzicą Katie i zabrał ją do szpitala. Mieliśmy kryzys. Jedyne położnik usiłował uratować Hannah i jej matkę, więc Jonah przyjął poród bliźniąt. Jest ratownikiem medycznym.

– To nasz szczęśliwy dzień.

– Nasz też. – Rachel sięgnęła po miskę zupy. Mężczyźni wrócili i zaczęli jeść ravioli. – Nie dotarlibyśmy dziś tak daleko, gdybyście nie zepchnęli samochodów z drogi. Musimy trzymać się razem.

– W pełni się z tobą zgadzam. Musimy znaleźć sobie dziś jakieś prawdziwe schronienie. – Tak samo jak Rachel, zerknęła na Katie i dzieci. – Gdzieś, gdzie będzie ciepło.

– To miasteczko, które mijaliśmy, wyglądało dość obiecująco, ale wy chcecie jechać dalej.

Dlaczego Ohio?

– Moi rodzice. Mój brat. Mam nadzieję.

Rachel pokiwała głową i połknęła kolejną łyżkę zupy.

– To jedziemy dalej.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Lana obudziła się rozdygotana i bliska krzyku. Przycisnęła dłoń do serca, które biło jak oszalałe, tak jakby chciało z niej wyskoczyć. Ogarnął ją smutek, obezwładniający smutek, silniejszy nawet od strachu.

Nawiedził ją jakiś okropny sen, którego dobrze nie pamiętała. Kołatało jej w głowie tylko to, co w nim czuła – ten smutek i strach. I... krążące wrony, krążące i kraczące jakimś upiornym wrzaskiem. Krew na jej dłoniach, na twarzy.

Spojrzała na ręce. Drżały, ale nie było na nich żadnej krwi.

Powiedziała sobie, że to stres. Spowodowany snem, spotęgowany tym, że się obudziła.

Skuliła się na łóżku, zapewniając się, że wszystko jest dobrze. Lepiej niż dobrze. Łóżko, ciepłe i miękkie, stało w pokoju, w którym nadal tlił się ogień. Pokój, którego szerokie okna wychodziły na pokryty śniegiem las, cichy i spokojny niczym kościół. Pokój w domu na wzniesieniu.

Znaleźli Erica i żaden stresujący sen nie mógł zamazać radości, którą wywołało wspomnienie spotkania – Max wyskoczył z samochodu, chwycił brata i przytulił go mocno.

Znaleźli Erica całego i zdrowego. Znaleźli schronienie, o jakim nawet nie marzyła, bo nie sądziła, że takie miejsca jeszcze istnieją – kosztowny dom w górach, w łańcuchu Alleghenów.

Gorące jedzenie, dobre wino, grupa ocalałych z pandemii, którzy się zjednoczyli.

Po raz pierwszy od kilku tygodni poczuła się bezpiecznie. Po raz pierwszy od tygodni ona i Max kochali się bardziej z radością niż desperacją.

Nie, nie pozwoli, by jakiś wytwór jej słabej, nerwowej podświadomości to zepsuł. Mimo że nadal czuła zmęczenie, wstała i rozprostowała kości. Pozwoliła sobie na prysznic – och, jakież wspaniałe bicz wodne, miękkie, pachnące mydło i szampon – a następnie powtórzyła imiona nowych towarzyszy.

Oczywiście Eric, osiem lat młodszy od Maksa. Przystojny, entuzjastyczny. Jego oczy wydawały się bardziej niebieskie, nie tak szare jak u Maksa, a uśmiech rozkwitał na twarzy szybciej i był szerszy. Uśmiechał się teraz o wiele częściej, kiedy odkrył w sobie moc, ba, był nią wręcz odurzony.

Zastanawiała się, czy to dziedziczne, ponieważ Eric nigdy wcześniej nie wykazywał ani zainteresowania, ani talentu do czarostwa.

Wirus, pomyślała. To w jakiś sposób wiązało się z wirusem lub wypełniało pustkę, którą ten po sobie zostawiał.

Dalej Shaun, typ niezdarnego kujona. Opadające na twarz włosy i okulary o grubych szklach przesłaniały piwne oczy.

Do grupy studentów college'u należała też Kim, olśniewająca dziewczyna o niezwyklej karnacji barwy karmelu. Zdaniem Lany zdystansowana i ostrożna, ale kto mógł ją za to winić? Według Erica – dziewczyna geniusz.

Czarnoskóry Poe, gwiazda futbolu, którym interesowali się agenci najlepszych drużyn. Twardziel. To on podsunął jej talerz spaghetti, kiedy w śniegu i ciemności znaleźli z Maksem ten dom.

I Allegra, która wyglądała jak królowa śniegu: blada skóra, jasne włosy, chłodne niebieskie oczy. Jednak jej zachowanie przeczyło wrażeniu, jakie można było odnieść, sugerując się jej wyglądem.

Ciepła i otwarta, przyjazna i miła. Ale...

Żadnych ale – nakazała sobie Lana, zakręcając wodę. Allegra i Eric dzielili sypialnię, a ich zachowanie zdradzało, że są parą od niedawna, więc uznała, że będzie dla nich ciepła i przyjazna.

Ubrała się, spojrzała w lustro i postanowiła, że choć nie czuje się może w pełni wypoczęta, to będzie na taką wyglądała. Wyszła znaleźć pozostałych.

Wielki, piękny dom zawdzięczali Shaunowi lub jego rodzicom. Mimo że był to dom wakacyjny, to przy jego urządzeniu nie szczędzono na luksusowe wyposażenie: wspaniałe drewniane podłogi, przestronne pokoje, wielkie okna wychodzące na las i góry, ogromne werandy. Mała domowa siłownia odświeżała jak sen po trudach podróży. Jednak najlepsza okazała się ogromna, wyjątkowa kuchnia.

Znalazła Maksa i Erica w salonie, siedzieli razem przy kawie.

Podeszła do Erica, objęła go ramionami i mocno przytuliła. Widziała się z nim ledwie dwa razy: raz na jakimś rodzinnym ślubie, a potem, gdy poprzedniego lata spędził z nimi długi weekend w Nowym Jorku. Ale się polubili.

Odsunęła się od niego, schyliła i pocałowała Maksa.

– Chcesz kawy? – zapytał Max.

– Właściwie to nie wiedzieć czemu wolałabym herbatę. Eric, mogę jakiejś poszukać?

– Na pewno mamy, bo Kim ją pija. Nie musisz pytać. Jesteśmy tu razem.

– Trzeba będzie pomyśleć o zinwentaryzowaniu jedzenia – zaczął Max, ale Eric przewrócił oczami.

– Człowieku, dopiero co tu dotarłeś. Wyluzuj.

– Jest nas teraz ośmioro – zaczął Max, a ponieważ Lana wiedziała, że Eric nie lubi, gdy Max wchodzi w rolę starszego brata, to mu przerwała. – No właśnie, gdzie są pozostali?

– Poe jest w siłowni, chodzi tam co rano. Allegra wciąż jeszcze śpi. Inni pewnie też. Rzadko wstajemy tak wcześnie. Z wyjątkiem Poego. Wasz Eddie zabrał psa na spacer.

– To może upoluję coś więcej niż herbatę i zrobię jakieś śniadanie? Dla ósemki.

– Byłoby wspaniale. – Eric uśmiechnął się do niej promiennie. – Na ogół każdy robi sobie sam, chyba że Poe coś gotuje. Całkiem niezłe mu to idzie, ale daleko mu do ciebie. Po drodze zabieraliśmy zapasy, jeżeli na jakieś trafiliśmy. I w sieni jest wielka zamrażarka. Shaun powiedział, że rodzice dobrze ją zaopatrzyli, zanim... zanim się wszystko zrypało. – Nachmurzył się i zniżył głos. – Zawsze tu przyjeżdżali po świętach i zostawali jakiś miesiąc. Zapraszali przyjaciół i tak dalej. – Zerknęła na drzwi. – Wygląda na to, że nie przeżyli.

– To musi być dla niego trudne – wyszeptała Lana.

Zamrażarka i spiżarnia okazały się świetnie zaopatrzone. W lodówce było już mniej rzeczy. Max miał rację co do zrobienia spisu zapasów.

Jajka i mleko długo nie przetrwają, a mleko tak czy inaczej skwaśnieje. Znalazała mrożone borówki i postanowiła zrobić naleśniki.

– Na co działa generator? – spytał Max.

Eric z nogami na stoliku wzruszył ramionami.

– Shaun chyba mówił, że na propan.

– Będzie pewnie wiedział, gdzie rodzice go kupowali. Jeżeli zdołamy ściągnąć tu ciężarówkę z propanem, tak żeby mieć zapas do generatora, będziemy mieć ogrzewanie i światło. Nie powinniśmy używać więcej mocy, niż to konieczne.

– Chryste, brzmisz jak Kim.

– Zatem Kim jest rozsądną dziewczyną – odparował Max.

– Słuchaj, z tym, co teraz potrafię... – Eric podniósł dłonie i wprawił w ruch swe palce – to miejsce będzie działało.

– Być może, ale podstawy to podstawy. Ogrzewanie, nowe drewno do kominka, wychodzenie po zapasy jedzenia, zapasy świeżej wody pitnej.

– Będziemy musieli nauczyć się polować.

Do salonu wszedł lśniący od potu Poe, najwyraźniej po treningu.

– No nie, ty też? – Eric pokręcił głową i wstał, żeby dolać sobie kawy.

– Mamy osiem osób i psa do wykarmienia – powiedział Poe. – Być może więcej osób nas znajdzie i będzie potrzebowało schronienia.

– To nie jest jedyne miejsce w okolicy – odrzekł Eric. – Niech sobie znajdą własne.

– Eric! – Zaskoczona, zawiedziona Lana szturchnęła go w ramię.

– Poważnie. Shaun ma tu jakieś dwa i pół hektara, jak powiedział, ale w okolicy są inne

domy. Niektóre tak samo luksusowe, inne zwyczajne.

– Czy ktokolwiek je oglądał? – spytał Max. – Żeby sprawdzić, czy ktoś w nich jest albo czy są jakieś zapasy, które by się nam przydały?

– Rozmawialiśmy dziś o tym z Kim – rzekł Poe do Maksa.

– To dobry pomysł. Pójdę z wami – zaproponował Max. – I masz rację co do tego, że trzeba nauczyć się polować.

– Na co polować? – zdziwił się Shaun, wkładając okulary na zaspane oczy. – Masz na myśli strzelanie do zwierząt? Nie ma mowy. Nie będę strzelać do zwierząt.

– Możesz zostać wegetarianinem. – Poe wzruszył ramionami. – Ale reszta z nas będzie potrzebować świeżego mięsa i musi nauczyć się, jak na nie polować, jak je oprawiać i przyrządzać. Tak czy inaczej, będziemy musieli się też nauczyć, jak hodować te całe warzywa, gdy nadejdzie wiosna. Idę wziąć prysznic.

– Poe i Kim zawsze widzą tylko minusy – mruknął Eric.

– Sądząc po tym, co mówił, raczej są realistami, Ericu – odrzekł cierpliwie Max. – Długo na tym, co jest w zamrażarce, nie pociągniemy. A być może i krótko też nie.

Eric znowu wzruszył ramionami, tym razem nadąsany.

– Sprawdzę, czy Allegra już wstała.

– Daj mu trochę czasu, Max – wyszeptała Lana, gdy Eric wyszedł. – Oni też nie są tu zbyt długo, więc to całkiem naturalne, że chcą się nacieszyć tym, że się udało. A reszta? Muszą zrozumieć wiele spraw, przystosować się do wielu rzeczy.

– Zrozumienie i dostosowanie się jest niezbędne do przeżycia.

– Nie chcę do niczego strzelać. – Shaun usiadł ciężko na kanapie. – Może mógłbym łowić ryby. Każdego lata chodziliśmy z tatą wędkować.

Podsunał zjeżdżające okulary, żeby zasłonić oczy, w których połyskiwały łzy.

Otworzyły się drzwi i z sieni wypadł Joe, a za nim wkroczył Eddie. Na ich widok Shaun się rozpromienił i poklepał po udzie, żeby przywołać psa.

\* \* \*

Po śniadaniu Eric i Allegra zgłosili się na ochotnika do sprzątnięcia, a Max dołączył do Kim i Poego w wyprawie zwiadowczej. Lana zatrzymała Eddiego, żeby sprawdzić rany i zmienić mu opatrunek.

– Myślę, że goi się całkiem dobrze – powiedziała – ale uważam, że nie powinniśmy zdejmować jeszcze szwów.

– Niektóre zaczynają mnie ciągnąć. To pewno dobrze. Zrasta się.

– Bierz dalej ten antybiotyk, który znaleźliśmy w aptece, a jutro znowu cię sprawdzę.

– Tak jest, pani doktor. – Z powrotem włożył koszulę i rozejrzał się po wyłożonej kamiennymi płytkami łazience. – Niezłe miejsce. Nigdy nie byłem w takim domu. Wypasiony. Osiem osób i Joe, a w ogóle nie jest ciasno. Ale...

– Zapasy jedzenia się nie odnawiają. Max znajdzie nowe.

– W lesie jest dużo jeleni. I królików. Nieopodal jest sporo strumieni, w których pewnie można łowić ryby.

– Na myśl o strzelaniu do jelenia lub królika czuję mdłości, co jest hipokryzją, bo przyrządzałam jedne i drugie.

– Też za tym nie przepadam, ale jak trzeba, to trzeba. To całkiem dobre miejsce jak na razie, ale fakt faktem, że lepiej byłoby poszukać miejsca, w którym da się coś wyhodować, odchowić kilka krów mlecznych, mieć stadko kur. I więcej ludzi. Więcej rąk do pracy, więcej rąk do obrony.

– Wiem, że Max uważa tak samo.

– A ty, Lano? – Podeszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz i starannie je zamknął.

– Tu jest coś więcej niż jelenie i króliki.

– Co masz na myśli?

– A łąziliśmy tak sobie po okolicy, razem z Joem. Dobrze jest pobyc na świeżym powietrzu, nie? I natknąłem się w lesie na takie niesamowite coś, jakby krąg z kamieni. Nie tak jak na ognisko,

choć z początku tak myślałem. Tyle że ziemia w nim była czarna i spalona, ale bez popiołu, bez zwęglonego drewna. I jeszcze Joe zaczął się cały trząść i nie chciał do tego czegoś podejść. Ja też nie za bardzo, muszę przyznać.

Pocierając machinalnie ranę, cały czas mówił ściszym głosem.

– Wiesz, jak to jest, jak się jeżą włosy na karku i czujesz takie zimno, i przechodzą cię ciarki po plecach?

– Tak. – Poczula je, kiedy o nich opowiadał.

– No i właśnie tak było. Zaszło mi w ustach. Wycofaliśmy się, bo, człowieku, tam było coś nie tak. Coś, wiesz, nienaturalnego. Możesz mnie nazwać mięczakiem, ale tamtą ścieżką to ja już chodził nie będę.

– Sądziś, że to była magia, czarna magia?

– Nie znam się na tym, ale wiem, że to coś złego. Nie chciałem nic mówić przy wszystkich.

Po prostu jeszcze ich nie znamy, nie?

– Powiedz Maksowi, i tylko Maksowi. Wybierzemy się tam we dwójkę.

– Wolałbym, żebyście nie musieli. Człowieku, wolałbym, żebyście tam nie szli, ale chyba trzeba. A jak trzeba... – Westchnął. – To ja też muszę.

– Kiedy Max wróci. Możesz na razie skorzystać z pralki?

– Bardzo?

– Pomyślałam, że mógłbyś uprać ubrania, które mieliśmy na sobie podczas podróży, skoro jest mydło, woda i pralka. – Poklepała go po policzku. – Jest tu mała pralnia. Możesz rozwiesić tam ubrania, jak je upierzesz, żeby oszczędzić generator.

– No dobra – sapnął. – Myślę, że dam radę.

Gdy Eddie zajął się praniem, Lana postanowiła zinwentaryzować zapasy. Spisała kategorie, ilości, wagę, liczbę puszek. Następnie zabrała się do wyliczenia, na ile posiłków, porcji, dni, tygodni to im starczy.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się, widząc Allegrę.

– Ty i Eric wiecie, jak doprowadzić kuchnię do połysku.

Allegra poruszała się z takim wdziękiem, że prawie płynęła. Miała na sobie dzinsy i jaskrawoczerwony sweter.

– Przynajmniej tyle mogliśmy zrobić po tym niesamowitym śniadaniu. Być może będę musiała dołączyć do Poego w siłowni, jeśli nadal będziesz tak gotować. – Podeszła do okna. – Jeszcze nie wrócili?

– Nie. – Lana zerknęła w okno. – Jeszcze nie.

– Eee tam, na pewno nic im nie jest. Nie minęło jeszcze wiele czasu. Muszę przyznać, że cieszę się, że nie muszę brnąć przez śnieg. Co robisz?

– Spisuję zapasy, na początek żywność. Mam zamiar policzyć potem inne artykuły pierwszej potrzeby: papier toaletowy, mydło, żarówki czy co tam jeszcze jest potrzebne.

– Och, mamy mnóstwo zapasów, nie sądziś? – Wracając wolnym krokiem od okna, Allegra postukała w jedną z puszek. – Przecież nie zostaniemy tu na zawsze. Teraz jest akurat, mamy środek zimy, ale to przecież zapadła dziura. Zwariujemy tutaj. Zamierzam otworzyć butelkę wina – tego też mamy dużo. Hej, gdzieś na świecie jest piąta po południu. Oglądałaś piwnicę z winami?

– Nie.

– I ty mówisz o zapasach – prychnęła. – Pójdę po butelkę i możemy się bliżej poznać.

W końcu ja jestem z Erikiem, ty z Maxem. Jesteśmy jak siostry.

– Masz rację. Kiedy wrócą, będą głodni. Rozmrażam kurczaka. Pomyślałam, że zrobię zupę z tortillą na obiad.

– Brzmi fantastycznie! – Allegra odrzuciła włosy i poszła do piwnicy.

Zupy i gulasze, pomyślała Lana, wstając. Dobry sposób na to, żeby zapasy starczyły na jak najdłużej.

Miała już wszystko, czego potrzebowała, i zaczęła z pamięci wkładać produkty do wielkiego garnka.

– Łał. Już ładnie pachnie. – Allegra, wymachując winem, podeszła, żeby wyjąć korkociąg. –



Eric powiedział, że jesteś prawdziwym szefem kuchni. Zawodowcem.

– Zgadza się. A ty co studiujesz?

– Nauki humanistyczne. Wciąż jeszcze nie zdecydowałam, co potem. Pewnie nie ma to już większego znaczenia.

– Mam nadzieję, że się mylisz.

– Wszystko się zmieniło. – Allegra wyszarpnęła korek. – Trzeba to jak najlepiej wykorzystać. No bo, naprawdę, co jeszcze możemy zrobić? Nie zastanawiałaś się, dlaczego nie zachorowaliśmy? Co to oznacza dla nas? Dla takich jak my?

– Tak, tak, myślę o tym wszystkim. – Lana wypluła fasolę w zlew. – Ale nie znam odpowiedzi.

– Eric powiedział ci, że się zmienił. Wiem, że powiedział ci, że potrafi... eee... robić różne rzeczy. Wyznał mi, zanim się jeszcze tu zjawiliście, że Max też ma moc. I ty, trochę. A teraz to więcej niż trochę w przypadku Erica.

– Nie zamierzamy nikogo skrzywdzić.

– Och, wiem! – Dotknęła ramienia Lany i odstawiła kieliszek wina. – Nikomu nie powiem, jeśli nie chcesz. Eric mówił mi o tym tylko dlatego, że jesteśmy razem. Czy Eddie jest taki jak wy?

– Nie.

– Widzisz... – Allegra usiadła na wysokim stołku i przytknęła do ust wino. – Trudno się nad tym nie zastanawiać, prawda? Dlaczego niektórzy stają się magiczni, a niektórzy nie. Co to znaczy. To jak... nie wiem. Ten wirus zabija tak wielu ludzi i wciąż się rozprzestrzenia, chyba. Czy to rodzaj oczyszczenia?

– Oczyszczenia? – Samo słowo, sam pomysł, po prostu przerażał Lanę.

– Nie wiem. Eric i ja rozmawiamy o tym czasem, gdy jesteśmy sami. A także z innymi, bo trzeba o tym myśleć, trzeba się nad tym zastanawiać. Ale widzę, że ten temat cię denerwuje. Przepraszam.

– To nie twoja wina. Myślałam o tym, ale wszystko dzieje się tak szybko. Zmienia się z dnia na dzień. A czasem z godziny na godzinę.

Lana zamieszała w garnku, żałując, że nie ma świeżych ziół. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek je zdobędzie.

Zrezygnowana wyjęła kurczaka – przypomniała sobie, że jej noże wciąż są zawinięte i schowane w plecaku. Wybrała jeden z bloku. Sprawdziła palcem ostrze i uznała, że jest wystarczająco dobre.

Usiadła przy ladzie kuchennej – żeby być bardziej towarzyską – z nożem, kurczakiem i deską.

– Myślę, że tak, wirus coś otworzył. To nie może być przypadek, że wszystko się wydarzyło w tym samym czasie. Tylko dlaczego? Nie wiem, czy kiedykolwiek się tego dowiemy.

– Słyszeliśmy o tym w kampusie, a nawet potem, gdy już wyjechaliśmy. Jak ludzie, niektórzy ludzie, polowali na takich jak wy. A niektórzy, tacy jak wy, polowali na ludzi i takich jak wy.

– Nie rozumiem, dlaczego, skoro straciliśmy tak wiele, zwracamy się przeciwko sobie.

– Taka już ludzka natura. – Odrzucając włosy, Allegra wzruszyła ramionami. – To okropne, ale tak jest. Zapomniałaś o winie. – Allegra wstała, żeby je przynieść, po czym na nowo opadła na krzesło barowe. – Porozmawiajmy o czymś innym. Nie wiem, co wprawiło mnie w ten nastrój. Pewnie to, że muszę tu siedzieć. Z pewnością jest to ładny dom, tyle że to nie ma znaczenia, skoro muszę tu tkwić.

Ale tu jest bezpiecznie, pomyślała Lana.

Sięgnęła po wino i upiła łyk. Jego zapach sprawił, że zrobiło się jej niedobrze. Szybko odstawiła kieliszek.

– Skwaśniało.

– Jak to? – Allegra powąchała ze ściągniętymi brwiami swój kieliszek, a potem Lany. – Naprawdę?

– Tak. Zresztą i tak muszę podsmażyć mięso.

Kiedy podniosła się ze stołka, pomieszczenie zawirowało.

– Lano! – Allegra zerwała się i zaczęła wyciągać do niej rękę. Max wbiegł z sieni.

– Co jest? Co się stało?

– Nic. Nic. Za szybko wstałam.

– Zakręciło się jej w głowie. Myślałam, że zemdleje. Dobrze się czujesz?

– Tak, tak, nic mi nie jest. To przejściowe. – Lana odetchnęła powoli i z namysłem. –

Wszystko w porządku.

– To moja wina. – Wyraźnie przygnębiona Allegra splotła ręce. – Gadałam o tym wszystkim, co się dzieje, i ją zdenerwowałam.

– To nie to. Naprawdę, po prostu za szybko wstałam. Spadek ciśnienia krwi. Wszystko jest w porządku. – Przycisnęła wargi do ust Maksa. – Uch, jak zimno! – I zaśmiała się. – Robię zupę i możesz mi pomóc, sprawdzając, czy jest jakaś tequila.

Pogłaskał ją po twarzy.

– Zupa z tequilą? Zabawne, że pytasz. Hej, Poe, gdzie masz tę tequilę? Znaleźliśmy trochę w domu, który sprawdzaliśmy.

– Prawdziwa magia – powiedziała Allegra i roześmiała się.

\* \* \*

Kiedy zupa już pyrkotała na ogniu, Lana dopisała do listy to, co przynieśli zwiadowcy. Pokazała spis Maksowi, kiedy rozpałał ogień w kominku w salonie.

– To, co mamy, jeżeli nie będziemy rozrzutni, powinno nam starczyć na kilka tygodni.

Max skinął głową.

– Shaun mówił, że w okolicy są małe miasteczka – bardzo małe – w promieniu kilku kilometrów. Może tam znajdziemy więcej zapasów. Największym problemem jest propan. Bez generatora nie mamy ciepła, światła ani możliwości gotowania. Poe sprawdzał wskaźnik zaraz po tym, jak tu dotarli, i na początku był pełen. Teraz spadł o piętnaście procent. Marnujemy paliwo. – Podniósł się i spojrział na nią. – Powinniśmy zamknąć te pomieszczenia, których nie potrzebujemy, wyłączyć ogrzewanie i używać kominków. Kim wspominała, że mamy sporo świec i oleju do lamp.

– Tak. Mam je na liście.

– Więc ograniczamy zużycie światła. I gorącej wody. Musimy opracować harmonogram pryszniców, skrócić je do pięciu minut.

– Nie pomyślałam o wodzie. Poprosiłam Eddiego, żeby zrobił pranie.

– To także będziemy musieli racjonować.

– Wiem, że masz rację, tak jak wiem, że niektórym się to nie spodoba. Mogą być niezadowoleni, że dostają jakieś role i zadania. Ja się zajmę jedzeniem – i tak to robię – ale jest jeszcze sprzątanie, przynoszenie drewna na opał, wypadki w poszukiwaniu zapasów. I wiadomości, Max. Jesteśmy tu odizolowani. Allegra ma pod tym względem rację. Odosobnienie zwiększa bezpieczeństwo, ale skąd będziemy wiedzieli, co się dzieje? Nie mamy internetu, telewizji, radia.

Podczas gdy mówiła, Max ze zdenerwowania dreptał w tę i w tę, rozważając różne możliwości.

– Sprawdzimy któreś z miasteczek, zobaczymy, czy jest w nich jakaś komunikacja. I w ogóle ludzie. Byliśmy w trzech domach, Lano, i nie znaleźliśmy żywej duszy. Najpierw musimy ustalić, co zrobić, żebyśmy byli samowystarczalni, i tak, masz rację, musimy spróbować się dowiedzieć, co się dzieje.

– Eddie coś znalazł. – Lana zniżyła głos, zerkając za siebie i upewniając się, że są sami. – Kiedy rano wyszedł z Joem, znalazł w lesie jakiś krąg kamieni, pośrodku którego była spalona ziemia. Nie tak jak po ognisku. Mówił, że z tym kręgiem jest coś nie tak. Nawet pies nie chciał podejść bliżej, a cóż dopiero Eddie. Czuł, no cóż, że to było złe, nienaturalne.

– Łatwo się wystraszyć – spekulował Max – ale powinniśmy rzucić na to okiem.

– Nie powiedziałam nic innym. Nie ma powodu siać niepokoju.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? – Z roztargnieniem pogłaskał ją po ramieniu.

– Daję słowo. Właściwie to czuję się mniej padnięta niż dziś rano. Robienie zupy ma

lecniczą moc.

– To weźmy Eddiego i sprawdźmy to, o czym mówił. Jakby ktoś pytał, poszliśmy się przewietrzyć.

– Przynieść trochę drewna – podsunęła Lana.

– Jeszcze lepiej.

Nigdy nie przepadała za zimą ani za chodzeniem po śniegu i nie wstydziłaby się przyznać, że woli spacerować po Chelsea lub starym Meatpacking District od błakania się po górskich lasach.

Było jednak coś zadziwiającego we wdychaniu rześkiego powietrza, w zapachu sosen i śniegu, w ciszy sprawiającej wrażenie majestatycznej, podczas gdy energiczny młody piesek podskakiwał i biegał susami.

Zza drzew wyłonił się olbrzymi samiec jelenia i spojrzał na nich bez lęku, tak że zachłysłęli się ze zdziwienia.

– Dużo dziczyzny – stwierdził Max, niszcząc tę piękną chwilę. – Przepraszam, ale musimy patrzeć na świat od strony praktycznej. W przetrząśniętych domach znaleźliśmy sztucer i strzelbę, jedno i drugie z amunicją. Kim zasugerowała, żeby na razie trzymać je w szopie w ogrodzie. Uznałem to za sensowne.

– Mamy dość jedzenia na najbliższe tygodnie. – Lana nie była w stanie wydusić z siebie nic więcej.

– Widać, gdzie ja i Joe zeszlismy ze szlaku. – Wskazał ręką Eddie. – Rodzina Shauna ma sporo ładnej ziemi. Podejście robi się tu strome i nie miałem ochoty iść aż na samą górę, więc tu odbiliśmy. Hej, Joe! Joe! Wracaj tu.

Pies wrócił, ale idąc w głębokim śniegu, trzymał się blisko Eddiego.

– Skumał, że wracamy do tego dziwnego miejsca. Też mam gęsią skórę.

– Tego miejsca nie widać z domu – zauważył Maks. – Widziałeś jakieś ślady?

– Nie, ale kiedy tu przyszliśmy, padał gęsty śnieg, więc jeżeli ktokolwiek tu był, to przed śniegiem. – Eddie rozłożył ręce, po czym opuścił jedną, żeby pogłodzić Joego po łbie. – Nie pozwolimy na to, żeby dopadły cię jakieś strachy, mój psi kolego. – Mrużąc uspokajająco do zwierzęcia, Eddie nadal go głaskał. – Trochę się trzęsie.

– Tędy?

– Tak, w górę i za zakrętem. Widzisz, którą szliśmy?

– Tak. – Max skinął głową. – Może poczekasz tutaj z Joem?

– Nie mam nic przeciwko temu. Ale gdybyś potrzebował pomocy, to zawołaj, przyjdziemy.

– Zostań z Eddiem – powiedział Max do Lany. – Ja pójdę sprawdzić.

– Sprawdzimy razem. – Wzięła go za rękę. – Jeżeli to coś magicznego, to we dwoje z naszą mocą łatwiej sobie poradzimy.

Nie klócił się, gdy ruszyła we wskazanym przez Eddiego kierunku.

Kiedy zbliżyli się do zakrętu, mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Zrobiło się jakby zimniej. Czy to...?

– Tak. I powietrze wydaje się jakby rzadsze.

I wtedy to zobaczył. Spodziewał się jakiegoś amatorskiego, nieudanego ogniska – czegoś, co mógłby próbować zrobić taki niedoświadczony mieszczuch jak on. Tymczasem to, co przed sobą miał, nie było skutkiem amatorskiej próby znalezienia ciepła i światła, lecz czymś, co zrobiono celowo, co było odpychająco zimne i czarne.

– Czarna magia. – Mruknięcie Lany jakby odbijało echem jego myśli. – Max, jaki mroczny rytuał mógł to spowodować?

– Nie mamy dość informacji. Nie wiemy nawet wystarczająco dużo o tym, co się w nas dzieje, co w nas rośnie. Ale ktoś wie o mroku i wykorzystuje czarostwo w złych celach.

– Z dała od domu, ale mimo to zbyt blisko. – Poczwała na skórze dreszcze, kiedy zbliżali się do kręgu.

Chropowate kamienie ułożone w idealne koło, niczym linia zakreślona przez strzałkę kompasu. Wewnątrz kręgu ziemia była czarna i śliska jak smoła. Ona również tworzyła idealne koło, pozbawione choćby płatka śniegu, który spadłby na jego powierzchnię i otaczające go

kamienie.

– Ja... Czujesz zapach krwi?

– Tak. – Mocno trzymał jej dłoń.

– Myślisz, że to była ofiara krwi?

– Tak, tylko w jakim celu? W zamian za jaką moc? Lano! – Usiłował ją odciągnąć, ale dziewczyna przykucnęła, wyciągnęła rękę i dotknęła jednego z kamieni.

Naraz ta ciemna, zachłanna moc przeszła ją niby błyskawica. Poczowała silne ukłucie w palce, mimo rękawiczek. W ułamku sekundy zobaczyła krew lejącą się do kręgu i usłyszała głos przyzywający kogoś z namaszczaniem.

– Jeleń. Młody jeleń. Z poderżniętym gardłem. – Odwróciła się i przywarła do Maksa, kiedy ten odciągnął ją od kręgu. – Widziałam to, widziałam, jak krew lała się do kręgu. Potem ogień, zimny jak lód, pochłaniający wszystko. Słyszałam...

– Co? – Objął ją jeszcze mocniej, kiedy się w niego wtuliła. – Co takiego usłyszałaś?

– Nie za bardzo mogłam to zrozumieć – to był bardziej ryk niż głos. Ale wzywano Eris.

– Bogini niezgody. Musimy spróbować oczyścić to miejsce. Rytuał się odbył, już go nie odwrócimy. Ale to coś ciągle ma moc.

– I wydaje mi się, że ją przyciąga. Albo będzie przyciągać, w ciemności.

Otworzył paczkę, którą wypełnili przedmiotami z zapasów. Trzy białe świece, jego obusieczny nóż athame, mały pojemnik z solą, garść kryształów.

– Nie wiem, czy to wystarczy, czy mamy wystarczająco dużo mocy.

– Do tej pory szło nam całkiem dobrze – przypomniał jej.

Rozstawił świece w śniegu poza kołem, a Lana rozsypała między nimi kryształy.

– Nie wiemy, co powiedzieć. – Mimo to nasypała soli na jego dłoń, a następnie na swoją.

– Myślę, że musimy wezwać moce światła i poprosić je o pomoc w zwyczajnym oczyszczeniu.

– To nie jest nic zwyczajnego.

Kiedy to mówiła, usłyszała jakieś krzyki i podniosła wzrok.

Po ołowianoszarym zimowym niebie krążyły wrony. Coś w niej rosnęło i tętniło, coś, co przypominało i lęk, i wiedzę.

– Śniłam o wronach, widzisz je? Wroni mordercy przychodzą się nasycić tym widokiem i zerować.

– Lano...

– Rozpal świece, jasne, białe, ich płomienie dobro wróć. Roziskrz kryształy czyste, niemale, ich mocy żadne nie odwróć. Północ, południe, wschód i zachód wezwij, szeregi zewrzyj, złym mocom się zerwij.

Podczas wypowiedzianych zaklęć czuła na twarzy smągnięcia wiatru, który rozwiewał jej włosy. Oczy jej pociemniały i dziwnie zmatowiały, gdy odwróciła się do niego, unosząc ramiona.

– Wezwij je!

Poczował, jak jej moc – nagły jej błysk – rozpała się także w nim. Ujął sztylet. Północ, południe, wschód, zachód.

Nad ich głowami krakały zawzięte wrony. Powietrze wokół jakby zgęstniało.

Nadbiegł Eddie, zdyszany, z dłonią przyciśniętą do gojącej się rany.

– Jasna cholera! – zaklął.

– Świece – nakazała Lana. Wyciągnęła rękę i trzy świece zapłonęły jasnym blaskiem. – Kryształy. – Ponownie wyciągnęła dłoń i kryształy rozjarzyły się, jakby świeciły od wewnątrz.

– Oto światło przeciw ciemności. – Schyliła się i podniosła płonąca świecę. – Weź jedną.

– Ale ja nie jestem...

– Weź jedną – powtórzyła rozkazująco Lana. – Jesteś dzieckiem ludzkości. Jesteś ze światła. Światło płonie w ciemności. – Wrzuciła swoją świecę do kręgu. Ziemia uniosła się w górę, po czym zaczęła kłębić się i wić jak żywa.

Drżącą ręką Eddie wrzucił swoją świecę. Krew zaczęła kipieć, powietrze cuchnęło. Max wrzucił swoją świecę.

– A oto wiara przeciwko lękowi. – Lana zgarnęła kryształy płonące na śniegu i wrzuciła je do środka.

Strzelił słup dymu.

Eddie z trudem przełknął ślinę, zebrał kryształy z ziemi i wrzucił je do kręgu. Potem to samo zrobił Max.

– To walczy, wrywa się i syczy, a jego stworzenia domagają się krwi. Dostanie krew, dobrą i złą. Ale nigdy nie wygra. Teraz sól, by zdławić to, co zło chciało uwolnić.

Podeszła i nasypała Eddiemu trochę soli na rękę.

– Jako i ja. – Wrzuciła sól do dołu. – Jako i ty – zwróciła się do Eddiego. – Jako i my. – Spojrzała na Maksa. – Niech tak się stanie.

Trzy niewielkie garście soli zaczęły rozprzestrzeniać się białą warstwą na szerniałej ziemi. Z nieba strzelił grom, a okrąg zajaśniał białym światłem.

Kiedy się wypalił do końca, w kamiennym kręgu zrobiło się pusto, a poznaczona bliznami ziemia wróciła na swoje miejsce. Nad głowami zatrzepotał skrzydłami mały kardynał i zniknął w lesie.

– To nie ja, nie całkiem – wykrztusiła Lana.

– To byłeś ty – sprzeciwił się Max, po czym podszedł i przyciągnął ją do siebie. – Czułem cię. Czułem cię w sobie, nad sobą. Wszędzie. Moc się obudziła.

Pokręciła głową, ale nie potrafiła tego wyjaśnić. Teraz, gdy to, co w niej wezbrało, odpłynęło, nie widziała żadnych odpowiedzi.

– Hej, słuchajcie... – Eddie usiadł na śniegu, przygarniając Joego. – Czy ja, no wiecie, też jestem czarodziejem?

Jakąś odpowiedź Lana jednak dostrzegła. Wysunęła się z objęć Maksa, przykucnęła, jedną ręką pogładziła Joego, drugą przyłożyła do twarzy Eddiego.

– Nie. Jesteś po prostu dobrym człowiekiem.

– Ale, w sensie, takim zwykłym?

– Wolałabym „szczególnym”, ale tak. Jesteś zwykłym człowiekiem, Eddie.

– Super. – Odetchnął z ulgą. – To było więcej niż fajne, ale wolałbym już stąd spadać, jeżeli nie macie nic przeciwko temu.

– Co się stało, to się nie odstanie. – Max powiódł wzrokiem po martwej ziemi. – Tu jednak ponownie nie nastanie. Wracajmy. I tak nie było nas dłużej, niż zamierzaliśmy. Powinniśmy po drodze zebrać trochę gałęzi.

– Jako przykrywkę. – Eddie chwycił dłoń, którą Max do niego wyciągnął, i wstał. – Bo może jedno z nich...

– Lepiej nie ryzykować.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Solidnie wyglądający dom rodzinny Arlys Reid był położony na niespełna akrze ziemi w dzielnicy znajdującej się na południowy wschód od stolicy Ohio, Columbusu. Tutejsi mieszkańcy nie wynajmowali domów, byli ich właścicielami – wznosili ceglane parterowe budynki w stylu rancho, schludne i staroświeckie domy z półpiętrzem nad garażem, bungalowy oraz domki z dwuspadowymi dachami.

Była to okolica pełna osiatkowanych werand i drucianych ogrodzeń.

Chociaż główna część jej rodzinnego domu powstała w okresie powojennego ożywienia gospodarczego, kolejne pokolenia wprowadzały różne zmiany. Dobudowały taras, dodatkowy pokój, piętro z mansardowymi oknami, urządziły salę multimedialną.

Dorastała, przemierzając rowerem krzywe od mrozu chodniki i bawiąc się na trawnikach w parku.

Dopóki nie wyjechała do college'u, ten dom w cichej, nudnawej dzielnicy prowincjonalnego miasteczka był jedynym, jaki знаła.

Kiedy konwój liczący dwa pojazdy skręcił w jej starą uliczkę, serce Arlys wypełniły nostalgia i tęsknota.

– Nigdy bym nie powiedział, że jesteś z przedmieść Środkowego Zachodu.

Wyjrzała za okno, myśląc o sąsiadach, których znała. Minnowowie, Clarkstonowie, Andersonowie, Malleyowie.

Przypomniała sobie, jakby to zdarzyło się wczoraj, dzień, w którym wróciła ze szkoły do domu, a w kuchni jej matka siedziała z zapłakaną panią Malley i odganiała córkę ruchem ręki.

Pan Malley, ojciec trójki dzieci, kierownik miejscowego banku i król grillowania w przydomowym ogrodzie, zakochał się w pomocy dentystycznej. Tamtego ranka wyprowadził się z domu i zażądał rozwodu.

Teraz, kiedy mijali domy z ciemnymi oknami, zasłoniętymi szczelnie od ulicy, którą od tygodni nie przejechał żaden pług śnieżny, pomyślała, że to zupełnie nie ma już znaczenia.

Odwróciła się do Chucka.

– Świetnie się tu dorastało. – Nie doceniała tego, póki nie dorosła. – Tam, po prawej. Murowany dom z lukarnami i zadaszoną werandą od frontu.

– Naprawdę ładny – przyznała siedząca z tyłu Fred. – Ogromne podwórko. Zawsze chciałam mieć duże podwórko.

To lekkie napięcie, które towarzyszyło Arlys w ciągu tego ostatniego etapu podróży, podczas objazdów i powolnego zbliżania się do celu, gwałtownie się wzmogło. Ogromne podwórko, które podziwiała Fred, pokrywał biały puch, podobnie jak podjazd, a przed zamkniętymi drzwiami garażu piętrzyła się blisko półmetrowa zaspą śniegu.

Nikt nie odśnieżał podjazdu, schodków ani chodnika.

Frontowe okna były ciemne i szczelnie zasłonięte. Tak ważne dla jej matki azalie rosnące na trawniku tworzyły bezkształtne białe bryły.

Chuck wprowadził hummera na podjazd i ustawił się na końcu pod samą ścianą, tak żeby Jonah mógł wjechać po jego śladach. Arlys wyskoczyła z samochodu i wpadła w śnieg niemal po kolana. Ogarnął ją niepokój. Ruszyła do drzwi z tłukącym się w piersi sercem i płonąca twarzą.

– Arlys, poczekaj! – zawołał za nią Chuck i przyspieszył kroku. – Zwolnij.

– Muszę sprawdzić. Mama... muszę zobaczyć, co się dzieje.

– Okej, okej, ale nie sama. – Musiał objąć ją ramieniem, żeby zwolniła. – Pamiętasz?

Wszyscyśmy się co do tego zgodzili, nikt nigdzie nie chodzi sam, zawsze jest z kimś z grupy. A teraz to my jesteśmy twoją grupą.

– Nie odśnieżyli ścieżki, werandy, schodków. Ktoś zawsze odśnieża. Dlaczego nie oczyścili ze śniegu krzewów? Mama nigdy by nie pozwoliła, żeby śnieg zasypał jej azalie. Muszę sprawdzić.

Przecisnęła się obok jednego z różowych dereni, które jej ojciec posadził, gdy burza zniszczyła stary czerwony klon.

– Stać!

Arlys usłyszała zgrzyt i szcęknięcie przeładowywanej broni. Chuck puścił ją i wolno podniósł ręce do góry.

– Spokojnie, proszę pana.

– Trzymaj ręce w górze. Wszyscy. Ręce do góry.

Na wpeł oszołomiona Arlys odwróciła się i spojrzała na mężczyznę w wysokich butach i flanelowej kurtce, trzymającego w dłoniach strzelbę. Z nosa zsuwały mu się okulary.

– Pan Anderson?

Oczy za okularami w srebrnej oprawce powędrowały ku Arlys. Zauważyła, że ją rozpoznał.

– Arlys? Arlys Reid? – wyjąkał.

– Tak, to ja.

Opuścił broń, rozładował ją i ruszył do niej przez śnieg.

– Nie poznałem cię. – Głos mu się załamał, gdy otoczył ją ramieniem. – Nie spodziewałem się tu ciebie.

– Usiłowałam się dodzwonić, próbowałam... Moi rodzice.

Ponieważ wiedziała, już wiedziała, zaszkliły jej się oczy.

Teraz gładził ją po plecach i starał się pocieszyć.

– Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, słonko. Naprawdę bardzo mi przykro.

Wiedziała, a mimo to był to dla niej cios. Na moment przytuliła twarz do jego ramienia.

Poczuła delikatny zapach tytoniu.

Przypomniała sobie, jak lubił siadywać na werandzie po kolacji, paląc cygaro i popijając whisky. Jak obserwowała go tam z okna swojego pokoju bez względu na to, czy panował mróz, czy upał, deszcz czy słońce.

– Kiedy?

– Twój tata jakieś dwa, prawie trzy tygodnie temu, mama kilka dni później. Kazała twojemu bratu zabrać tatę do domu ze szpitala. Nie chciał tam iść. A ona, cóż, w ogóle tam nie dotarła. Mam nadzieję, że to dla ciebie jakaś pociecha, że umarli w domu tak, jak chcieli. Pomogłem Theo pochować ich na podwórku między tymi wiśniami o zwisających gałęziach, które twoja mama tak lubiła.

– Theo...

– Słonko, ja... tydzień później sam go pochowałem. Żałuję, że nie mam dla ciebie lepszych wiadomości.

Odsunęła się i spojrzała w oczy pełne smutku i współczucia.

– Muszę...

– Jasne. Posłuchaj, słonko, od jakiegoś czasu brakuje prądu, więc nie ma ani ogrzewania, ani światła, ale są klucze, jeżeli chcesz wejść do środka.

– Tak, tak, ale muszę w pierw pójść za dom i zobaczyć.

– Dobrze, idź.

– Przyjęliśmy zasadę, że nigdzie nie chodzimy sami – zaczął Chuck, kiedy Arlys zaczęła brnąć w śniegu. – Czy mam...

– Jest bezpieczna – przerwała mu Fred. – Zaraz za nią pójde, ale musi chwilę pobyć sama. Jestem Fred. Pracowałam z Arlys w Nowym Jorku. A to jest Chuck.

– Bill Anderson. Ponad trzydzieści lat mieszkaliśmy naprzeciwko Arlys i jej rodziny.

– To są nasi znajomi – ciągnęła Fred. – Rachel, Katie i Jonah oraz dzieci.

– Dzieci? – Jego twarz jakby się trochę rozświetliła, kiedy podsunął opadające okulary. – A niech mnie, trójka? Musimy zabrać je do środka. Nie powinniśmy tu za długo stać na tym odsłoniętym terenie.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął wielki pęk kluczy.

– Mielście tu jakieś kłopoty? Zdarzała się przemoc? – zapytał Jonah.

– Było tu i ówdzie trochę problemów na samym początku. Teraz zostało już niewiele osób –

kontynuował, brnąc w śniegu, żeby dojść do wejścia. – Van Thompson, przecznicę dalej, nieco zwariował. Strzela do cieni, w domu i na zewnątrz. Parę nocy temu podpalił własny samochód, krzycząc, że są w nim demony.

Przejrzał klucze, wszystkie opisane, wybrał te, na których widniał napis Reid, i otworzył drzwi.

– W środku jest zimniej niż na zewnątrz, ale bezpieczniej.

Weszli do tradycyjnego salonu, utrzymanego w idealnym porządku.

– Zabrałem większość zapasów – westchnął Bill. – Nie widziałem sensu zostawiania ich tutaj. Jeżeli jesteście głodni, mam jedzenie, kuchenkę turystyczną i co tam chcecie. Mogę to przynieść.

– Dziękujemy, ale poradzimy sobie. – Rachel zdjęła czapkę.

– Wyjdę teraz do Arlys. Dzięki, że pan nas tu wpuścił, panie Anderson.

– Bill. – Uśmiechnął się do Fred. – Ciężko jest, więc dobrze mieć wokół siebie ludzi.

Arlys tymczasem pograżyła się w zadumie, stojąc pod zwisającymi gałęziami wiśni i patrząc na trzy groby. Oznaczone krzyżami zrobionymi z deszczulek. Czyżby pan Anderson wygrzebał stary zestaw Theo do wypalania w drewnie, żeby wyryć imiona?

Robert Reid

Carolyn Reid

Theodore Reid

Przecież... przecież... Jej ojciec zawsze był taki silny, matka pełna energii, a brat tak młody. Jak to możliwe, że już ich nie ma? Jak to możliwe, że ich życie tak po prostu dobiegło końca? Jak bardzo cierpieli? Jak bardzo się obawiali, podczas gdy ona w Nowym Jorku opowiadała do kamery kłamstwa i półprawdy?

– Przepraszam. O Boże, przepraszam, że mnie tu nie było.

Arlys zacisnęła powieki, gdy Fred otoczyła ją ramieniem.

– Wiem, że jesteś smutna. Tak mi przykro.

– Powinnam była wrócić do domu. Powinnam tu być.

– Czy zdołałybyś ich ocalić?

– Nie, ale byłabym tutaj. Zajmowałabym się nimi, byłabym dla nich jakąś pociechą.

Pozegnałabym się z nimi.

– Arlys, teraz się z nimi żegnasz. A to, co robiłaś w Nowym Jorku, niesło otuchę wielu ludziom. Sam fakt, że każdego dnia cię oglądali i słuchali. A na końcu? To, co zrobiłaś? Nie wiemy, ile osób uratowałaś. Uratowałaś mnie – upierała się Fred, kiedy Arlys potrząsnęła głową. – Nie odeszłabym i może zabraliby mnie na jakieś testy, zamknęli gdzieś. Tak samo Chucka. Katie i dzieci, wszystkich. Ocaliłaś wiele osób, które można było ocalić. To ma znaczenie.

– Moja rodzina...

– Musi być z ciebie dumna. Założę się, że są dumni ze sposobu, w jaki zdołałaś się wydostać z Nowego Jorku, w jaki sposób pokonałaś całą tę drogę, żeby stanąć tu nad nimi. To pokazuje, że ich kochasz, a miłość ma znaczenie.

– Wiedziałaś, że odeszli. – Musiała bardzo ostrożnie oddychać, żeby w ogóle to powiedzieć. – Wiedziałaś to, czułam, jeszcze zanim opuściliśmy Nowy Jork.

– Ale przyjechałaś tu, bo ich kochałaś. Nie masz nic przeciwko temu, jeżeli pomodłę się za spokój ich dusz? Czuję, że tak się stało, ale i tak chciałabym się pomodlić.

Nie znajdując już żadnych argumentów, Arlys schowała twarz we włosach Fred.

– Polubiliby cię.

Z oczu trysnęły jej łzy, i choć zdawała sobie sprawę, że później też jeszcze będzie płakać, musiała teraz – wszyscy musieli – zdecydować, co dalej robić. Wcześniej nie myślała o tym, co się stanie po powrocie do domu.

Weszły do środka. Serce ją zabolowało, kiedy przeszła przez kuchnię i zobaczyła drewniane łyżki w białym dzbanku, wymyślny ekspres do kawy, który podarowała ojcu na Boże Narodzenie, przyklejone do tablicy korkowej wakacyjne zdjęcie całej czwórki, które Theo zrobił za pomocą kijka do selfie.



Przycisnęła dłonie do oczu, po czym je opuściła.

– Są rzeczy, które możemy wykorzystać. Będziemy musieli zrobić miejsce.

– Nie musisz o tym teraz myśleć.

– Musimy, Fred. – Wzięła zdjęcie i włożyła je do kieszeni płaszcza. – Wszyscy musimy się porządnie zastanowić.

Poszła do salonu. Katie siedziała na kanapie z dzieckiem przy każdej piersi. Trzecie spało w ramionach Billa Andersona. Chuck wyglądał przez szparę w zasłonach.

– Rachel i Jonah? – Spojrzał na Arlys.

– Są na zewnątrz. Nie chcemy, żeby ktoś zabrał nasze zapasy. Przykro mi, Arlys.

Wszystkim nam jest przykro.

– Wiem. Proszę pana...

– Mów mi Bill.

– Bill, nie spytałam o panią Anderson ani o Masie i Willa.

– Theo pomógł mi pochować Avę, zanim zachorował. Masie jest... teraz jest z mamą, mężem i naszymi wnukami.

– Och, proszę pa... Och, Bill.

– To ciężka zima... Potworny czas. Ale Will podróżował po Florydzie w interesach i muszę wierzyć, muszę trzymać się nadziei, że żyje. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy, czuł się dobrze i próbował wrócić do domu.

Arlys usiadła na krawędzi krzesła obok niego.

– Tak mi przykro.

– Wszyscy mamy teraz sporo powodów do żalu. Ale jest i to. – Musnął palcem policzek niemowlęcia. – I tego trzeba się trzymać.

– Ile osób jest jeszcze w okolicy?

– Ostatnio były cztery, ale Karyn Bickles kilka dni temu zachorowała. Zamierzałem do niej zajrzeć, kiedy przyjechaliście. Część zmarła, część wyjechała.

Wpuszczając powiew zimnego powietrza, do środka weszła Rachel.

– Będziemy pilnować zapasów na zmianę. Moje kondolencje, Arlys.

– Dzięki – odparła. – Bill mówi, że w sąsiedztwie są cztery osoby, jedna z nich jest chora. – Zwróciła twarz w jego stronę. – Bill, Rachel jest lekarzem.

– Słyszałem. Niestety lekarz w niczym Karyn nie pomoże. To wirus. Dość się napatrzyłem na jego ofiary.

– Ale może będę w stanie coś zrobić, żeby mniej cierpiała.

– Cóż, mam klucz do jej domu. Możemy tam pójść.

Arlys pomyślała, że trzeba skupić się na kwestiach praktycznych. Ustalić, co dalej.

– Reszta z nas może przetrząsnąć dom, żeby sprawdzić, co może nam się przydać. Na co mamy miejsce. Nie możemy zostać tu bez ogrzewania i wody.

– Jonah i ja właśnie o tym rozmawialiśmy. Uznaliśmy, że chyba najlepiej jechać na południe, może do Kentucky albo w kierunku Virginii – powiedziała Rachel.

Arlys pokiwała głową. Kierunek nie miał dla niej znaczenia, ale południe miało sens.

Uniknąć ostrej zimy, która dopiero się zaczęła.

– Możemy spróbować wytyczyć trasę i alternatywy. Bill, powinienes jechać z nami.

– Mój syn może właśnie próbuje wrócić do domu. Muszę tu być, kiedy Will wróci.

– Nie możesz tu zostać sam.

– Nie powinienes – dodała Katie, po czym spojrzała na Rachel, podała jej dziecko, żeby z nim pochodziła i poczekała, aż mu się odbije. Sama robiła to samo z drugim. – Powinienes jechać z nami.

– Możemy zostawić twojemu synowi trasę – powiedziała Fred. – Zostawić mu wielką notatkę albo znak mówiący, dokąd jedziemy. A jeżeli będziemy musieli zjechać z trasy, możemy mu zostawiać znaki, za którymi mógłby podążać. Założę się, że jest naprawdę sprytny, prawda?

Na twarzy Billa pojawił się cień uśmiechu.

– Owszem. Jest inteligentny i silny.

– Będzie podążał za znakami – uspokoiła go Fred. – Na pewno chciałby, żebyś pojechał z nami, a on nas dogoni.

Bill przesunął się nieco, żeby wyjrzeć przez okno, na swój dom, werandę i podwórko.

– Kupiliśmy ten dom, kiedy Ava była w ciąży z Masie. Wykosztowaliśmy się na niego, ale wiedzieliśmy, czego chcemy dla rodziny. Dobrze nam się tu żyło. Naprawdę dobrze.

– Wiem, jakie to trudne – pocieszyła go Arlys. – Ale musimy stworzyć sobie nowy dom, a to miejsce jest zbyt daleko od źródła wody. I będzie zbyt widoczne, kiedy roztopi się śnieg. Widziałam różne rzeczy, Bill. Nie tylko wirus zabija ludzi.

Wstała.

– Zacznę na górze, tam są koce i pościel...

Rozumiejąc jej nagły ból, Bill również wstał i podał dziecko Fred.

– Theo i ja trochę posprzątaaliśmy, a potem on pomógł mnie. Twoja mama i moja Ava by sobie tego życzyły.

Z oczu Arlys ponownie popłynęły łzy, zanim zdołała je powstrzymać. Bill po prostu ją przytulił.

– Już dobrze, słonko. Łzy zmyją trochę tego, co najbardziej boli.

\* \* \*

Kiedy Arlys się wyplakała, poszła do pokoju rodziców. Znalazła koce, prześcieradła, ręczniki. Może uda im się znaleźć dodatkowy samochód, który pomieściłby zapasy. Mogłaby go poprowadzić.

Zabrała też bandaże, środki antyseptyczne, aspirynę dla dzieci, ibuprofen, środki nasenne bez recepty, a także mydła, szampony, maszynki do golenia, produkty do pielęgnacji skóry.

Na pamiątkę wsunęła do kieszeni, gdzie już trzymała zdjęcie, jedną ze szminek matki.

Przypomniała sobie o nożyczkach i przyborach do szycia.

Mimo okoliczności ogarnęło ją zażenowanie, kiedy w szufladkach stolików nocnych odkryła lubrykant i viagrę. Rachel weszła w momencie, gdy Arlys wpatrywała się w tabletki.

– Jakież leki – bez recepty lub na receptę – do moich zapasów?

– To... eee... viagra.

– Stosowana również w leczeniu nadciśnienia płucnego.

– Och. No cóż. Założę się, że używał tego w innym celu. – Zaśmiała się lekko. – Mieli udane życie. Tak jak państwo Andersonowie. On musi z nami jechać, Rachel.

– Myślę, że się ku temu skłania. Ta kobieta, Karyn? Już zmarła. Kolejna kobieta – nie pamiętam jej imienia – też odeszła. Powiesiła się. Przecnicę dalej mieszka mężczyzna, ale nie mogliśmy zbliżyć się do jego domu, a tym bardziej wejść do środka. Nawet kiedy Bill się przedstawił, zagroził, że zastrzeli nas na śmierć – tak się wyraził – jeśli natychmiast nie zjeździemy z jego trawnika.

– Ale sądzisz, że Bill z nami pojedzie?

– Ciężko mu podjąć tę decyzję, ale tak, myślę, że tu nie zostanie. Ma pickupa – z napędem na cztery koła – i razem z Jonahem starają się teraz założyć plandekę. Jonah forsuje pomysł, że bardzo by nam pomogła jego obecność i samochód. No i dzieci grają ważną rolę.

– Dobra strategia i zgodna z prawdą. Zauważyłam, że dzieci rzeczywiście działają jak magnes. Zatem jedno zmartwienie mniej. Powinniśmy przejrzeć pozostałe domy i sprawdzić, co się nam może przydać. Na pewno znajdziemy broń – powinniśmy ją zabrać.

– A tu jest jakaś?

– Nie, chyba nie, ale na górze może być łuk bloczkowy. Mój brat...

Znow poczuła ogrom straty i prawie straciła oddech.

– Theo... – wymamrotała. – Miał fazę na polowanie jako nastolatek. Przeszło mu, ale łuk został. I jeżeli uda nam się znaleźć jeszcze jeden samochód z napędem na cztery koła, powinniśmy go zabrać. Możemy prowadzić na przemian.

Kiedy Rachel nic nie odpowiedziała, Arlys rzuciła buteleczkę z tabletkami na łóżko do pozostałych zapasów.

– Lepiej mi, jeżeli skupiam się na najbliższych zadaniach.

– Wiem. – Pokiwała głową Rachel. – Nikogo nie straciłam. Jestem jedynaczką. Moja mama zmarła dwa lata temu. Nie widziałam się z ojcem ani z nim nie rozmawiałam, odkąd skończyłam osiemnaście lat. Ale nie oznacza to, że nie rozumiem, jak trudno musi być tu przyjechać, zobaczyć, że rodzina odeszła, a potem skupiać się na najbliższych zadaniach.

Arlys znowu zaszkliły się oczy, ale zdołała powstrzymać łzy.

– To się nie wydaje rzeczywiste, ani trochę. Ale jest.

Do zachodu słońca mieli już suche towary, konserwy i mrożonki w dwóch przenośnych lodówkach wypełnionych śniegiem. Do tego koce, śpiwory, liczne narzędzia kuchenne, cztery noże myśliwskie, osiem pistoletów, trzy sztucery, karabin oraz dwie strzelby, oprócz tej należącej do Billa, i trzy łuki bloczkowe.

Rachel zapakowała dwie skrzynki pełne leków i artykułów medycznych. Kolejna skrzynia mieściła rozmaite baterie. Zgromadzili ubrania, buty, sprzęt zimowy, znaleźli kilka krótkofalówek, w tym zestaw dla dzieci. Fred zebrała skrzynię ubranek i zabawek dla dzieci. Jonah i Chuck spuścili dość benzyny, żeby starczyło na zatankowanie ich samochodów, oraz całkiem nowego nissana pathfindera, którego włączyli do konwoju.

Ściągnęli kilka grzejników olejowych, ugotowali jedzenie na kuchence turystycznej Billa i wytyczyli trasę na południe.

O świcie załadowali auta. Chuck prowadził konwój razem z Fred, za nimi jechała grupka Jonaha. Potem Arlys, która zatknęła zdjęcie z wakacji za osłonę przeciwsłoneczną pathfindera.

Bill spojrzął po raz ostatni na dom, na znak zostawiony synowi, i ruszył za nią.

\* \* \*

Po tygodniu Lana przeprowadziła kolejną inwentaryzację zapasów i okazało się, że zmniejszyły się bardziej niż powinny. Ponieważ to ona – z okazjonalną pomocą Poego lub Kim – zajmowała się gotowaniem, dobrze wiedziała, ile czego powinno być na półkach, w szafkach i lodówce.

Brakowało im kilku puszek zupy i ravioli, dwóch pudełek makaronu z serem – jej opinia o tym gotowym daniu nie miała tu znaczenia – oraz trochę mrożonek. A także chipsów i innych przekąsek.

Ponownie przejrzała zapasy i zagotowała się z wściekłości, gdy do kuchni weszli Max i Eddie, a Joe podbiegł do niej z zaśnieżonym nosem.

– Brakuje nam zapasów żywności – oznajmiła stanowczo. – Ktoś złamał ustalenia i podkrada jedzenie. Złodziei jest być może więcej.

Zamiast spytać, czy jest pewna, Max syknął ze zdziwienia.

– Mamy też mniej propanu niż powinniśmy. Będziemy musieli ściągnąć tu tę ciężarówkę. Mamy mniej niż pół zbiornika. Z tego, co wyliczyła Kim, powinniśmy mieć dużo więcej.

– Jak chcecie to załatwić? – spytał Eddie.

– Ja bym skopał jakiś tyłek.

Lana uśmiechnęła się blado do Maksa.

– Chętnie dołączę.

– Czyj tyłek chcecie skopać? – zaciekawiał się Poe, który właśnie wszedł spocony po porannym treningu.

– Tego, kto podkrada zapasy żywności i zużywa propan.

– Propan? A ile nam zostało?

– Mniej niż połowa.

– Ale Kim mówiła, że nie zejdziemy do połowy zbiornika jeszcze przez pięć dni. Ona nigdy się nie myli. Jakie zapasy żywności?

– Po trochu wszystkiego. Mrożonki, puszkowane, suche, przekąski, gotowe dania w pudełkach.

Poe przesunął dłonią po twarzy i opadł na stołek.

– Powiem ci, że to nie ja, ale pewnie każdy to powie.

– To nie ty. – Lana machnęła ręką z irytacją. – Gotuję z tobą. Widziałam, jak starannie odważasz składniki, a potem odpisujesz je z listy zapasów.

– I nie jest to Kim. Mówię tak nie dlatego, że ją lubię. Kim nie wciska kitu. I nie jest kimś, kto robiłby coś ukradkiem.

– Nie Kim – zgodził się Eddie. – Zawsze zostawia coś na talerzu, żeby było dla Joego. Nie można robić czegoś takiego, a potem kraść. Bo, człowieku, to jest kradzież.

Z dłońmi zaciśniętymi na biodrach Lana spojrzała chmurnym wzrokiem na szafki.

– Muszę przeliczyć porcje.

– Postaramy się zdobyć jak najwięcej zapasów, kiedy pojedziemy po ciężarówkę – powiedział Max.

– Pojadę z tobą – zaoferował się Poe. – Trzeba co najmniej dwóch osób do prowadzenia samochodów, a jeszcze lepiej trzech.

Obrócili się równocześnie i spojrzeli na Shauna, który zszedł na dół. Podsunął zsuwające się z nosa okulary.

– Co?

– Mamy mniej zapasów żywności i propanu – poinformował Poe.

– Tak? No i cóż, jemy i żyjemy, więc zapasy topnieją. – Podeszedł do spiżarni i wyjął z niej puszkę coli. – To mój przydział, a nie piję kawy ani herbaty.

– Ile jeszcze stąd wyjąłeś?

– A czemu niby mnie to o pytasz? – odszczeknął się Poemu.

– Ponieważ, stary, masz poczucie winy wypisane na twarzy.

– Bzdura. Jeżeli ktokolwiek coś bierze, to raczej ty, żeby nie stracić ani odrobiny muskulatury. I wiesz co? Nie muszę tego słuchać. Ani od ciebie, ani od nikogo innego. To mój dom, do cholery.

– Do którego byś bez nas nie dotarł – przypomniał mu Poe i wstał, celowo prezentując imponujący wzrost i budowę ciała. – Ten dom należy do nas wszystkich, do cholery. To zapasy nas wszystkich. I nikt nie bierze więcej, niż wynosi jego przydział.

– Pieprz się. – Ale w oczach Shauna błysnęło coś więcej niż opór. Widząc to, wyczuwając narastający gniew Poego, Max zrobił krok do przodu.

– Spokojnie – rzekł cicho do Poego, a następnie zwrócił się do Shauna. – Czy, jeżeli pójde do twojego pokoju, to znajdę w nim zachomikowane jedzenie?

– Nie masz prawa wchodzić do mojego pokoju. Kto w ogóle zrobił z ciebie kapitana tego cholernego statku? Jesteś tu tylko dlatego, że wyświadczyłem Ericowi przysługę.

– Gościu. – Eddie westchnął. – Słabe to. I właśnie się przyznałeś.

– No i co z tego? No i wzięłem pieprzoną torbę pieprzonych nachosów. Konkretnie doritosów. Zgłodniałem.

– To niefajnie, ale brakuje więcej rzeczy – powiedziała Lana. – Zniknęło znacznie więcej jedzenia.

– Dobra, którejś nocy zrobiłem sobie cholerny makaron z serem. Nie mogłem spać. Pozwij mnie.

– A puszkowany makaron z gulaszem, a zupa? – spytała Lana.

– To nie ja! – Teraz za szklami okularów pojawiły się łzy. – Gulasz w puszcze jest ohydny. Wziąłem doritosy, makaron z serem i dobrze, kilka ciastek. I to wszystko. Stresuję się w nocy. A jak się stresuję, to jem.

– Co się dzieje? – Słyszac podniesione głosy, Kim zbiegła na dół, a za nią Eric i Allegra.

– Wściekają się, bo zjadłem trochę doritosów.

– Ponieważ wzięłeś więcej, niż wynosi twój przydział – poprawiła go Lana.

– Co jeszcze robisz, kiedy się stresujesz w nocy? – spytał Poe. – Śpisz przy włączonym świetle, podkręcasz ciepło w pokoju?

– Czytam. Tak, czytam, ale mam lampkę do czytania. Używam ledowej lampki mocowanej do książki. I lubię spać w chłodnym pomieszczeniu. Mógłbyś spytać mojego pieprzonego współlokatora, gdyby żył.

Łzy spłynęły mu po policzkach, kiedy opadł ciężko na stołek.

– Hej, luz, wszyscy się wyluzujmy! – zawołał Eddie i uśmiechnął się lekko, po czym uniósł rękę. – Nic wielkiego się nie stało. Shauna czasem ssie z głodu.

– Wziął więcej, niż wynosi jego udział. – Głos Maksa był twardy. – Więcej niż ustaliliśmy. Musimy myśleć o grupie jako o całości, a nie tylko o sobie. Mamy mniej jedzenia i propanu, ponieważ ktoś był samolubny.

– Nie wziąłem wszystkiego! Nie wziąłem tego ohydneho gulaszu.

– Jezu, odczep się już od niego. – Eric poklepał Shauna po kolanie. – To nie koniec świata, bo hej, ten właściwie już nastąpił.

Zaciskając dłonie w pięści, Max postąpił krok naprzód. Znał swojego brata. Rozpoznawał to nastawienie.

– Poczęstowałeś się, co Ericu?

– Co, jeżeli tak? Zrobisz głosowanie, czy mnie stąd wyrzucić? I kto cię w ogóle wybrał tu na króla? Przywozisz kolesia, którego nawet nie zaproszono, i jego głupiego psa. Bez nich mielibyśmy więcej jedzenia.

– To było niemiłe, stary – skomentował Eddie.

Ponieważ Lana była wściekła, starała się zachować spokój. Pomyślała, że krzyki, oskarżenia i wulgaryzmy nic nie dadzą.

– Mieliśmy dość jedzenia na dwa tygodnie, teraz nie mamy. I tyle – oświadczyła.

– No to wymyśl coś. – Eric lekceważąco machnął ręką w jej kierunku. – Tylko ty tu gotujesz. Może coś zaniedbałaś. Pewnie podjadasz podczas gotowania, a pilnujesz tej kuchni, jakbyś tu rządziła.

Max zacisnął dłoń na ramieniu Erica.

– Uważaj, co mówisz.

Ten jednak strącił rękę brata i naskoczył na niego ze złością.

Lana dostrzegła u Erica coś więcej niż gniew. Coś bliskiego wściekłości i to ją zszokowało.

– Bo co mi zrobisz? – Eric uniósł rękę. Z czubków jego palców strzeliły niebieskie iskierki.

– Będziesz mnie już zawsze rozstawiał po kątach? Spróbuj, no spróbuj, a zobaczysz, co się stanie.

– Co się z tobą, do diabła, dzieje?

– Wszyscy są po prostu zestresowani. – Allegra złapała Erica za ramię i pociągnęła. – Chodź, Ericu, chodź, proszę. Siedzimy tu jak w klatce i wszyscy jesteśmy podenerwowani. Chodźmy na spacer, okej? Naprawdę chcę się przejść.

– Jasne, skarbie. – Eric wytrzymał spojrzenie Maksa, a w jego oczach błyszczała wściekłość, nawet gdy dał się odciągnąć Allegrze. – Wynośmy się stąd, do diabła. Banda nieudaczników.

Allegra rzuciła przez ramię przepaszające spojrzenie i zaciągnęła Erica do sieni.

– Koleś coś bierze. – Eddie odetchnął. – Też chciałbym tego trochę.

– Moi rodzice nie mieliby narkotyków w domu. Niczego nie przywieźliśmy.

– Shaun ma rację. Zrobię herbatę, dobrze? – Kim czekała na skinienie Lany. – Ciało Poego jest świątynią, a gdyby Eric miał cokolwiek, to byśmy o tym wiedzieli. Trochę trwało, nim tu dojechaliśmy.

– To nie narkotyki, nie takie, jakie masz na myśli. To ta moc – powiedział Max. – Zachłysnął się nią. To w ogóle do niego niepodobne.

– Może tak, może nie. Przepraszam – dodała Kim. – To twój brat. Ale fakt faktem, Shaun spieprzył sprawę i jest mu przykro.

– Nocą się boję. Słyszę jakieś głosy. I zajadam stres. Nie chciałem nic schrzanić.

– Cóż, ale zrobiłeś to – odpowiedziała beznamiętnie Kim. – I będziesz musiał to nadrobić. Eric schrzanił – a jeśli tak, to Allegra o tym wiedziała i prawdopodobnie mu pomagała. On się jednak nie przejmuje. I to będzie problem.

– Porozmawiam z Allegrą. – Lana potarła czoło. – Myślę, że zdołam jej to wytłumaczyć. Chyba będzie umiała go uspokoić, a to konieczne.

– Eric nie radzi sobie z mocą – powiedział cicho Max. – Nie wie, jaki to problem. Zajmę się

tym. Ale na razie musimy zająć się tym, co najważniejsze: spróbujmy zdobyć ciężarówkę z propanem. I postarajmy się znaleźć więcej zapasów.

– Wezmę tylko prysznic, zszedłem już do półtorej minuty – dodał Poe.

– Przydałbyś się – przyznał Max. – Ale... czułbym się spokojniej, gdybyś tu był pod naszą nieobecność.

Poe skinął głową i zerknął przez okno.

– Jasne.

– Zaczęłam spisywać listę tego, co by się przydało. Mam ją na górze. – Lana dała Eddiemu znak, zanim wyszła z kuchni. Poczekała, aż dojdzie do jej pokoju, i zamknęła drzwi.

– Coś się stało? – zapytał Eddie.

– Właściwie tak. Mogę cię prosić o przysługę? Jeśli zobaczysz gdzieś aptekę albo drogerię, trzeba zajrzeć. Przyda się więcej artykułów pierwszej pomocy lub sprzętu medycznego.

– Nie ma problemu.

– I potrzebuję... testu ciążowego.

Wyrzucił ręce w górę i zrobił krok w tył.

– O rany.

– Proszę, nie mów nic Maksowi. Nie chcę nic mówić, dopóki nie będę miała pewności.

– Jeju. Nieźle. Dobrze się czujesz? Masz te, no, poranne mdłości?

– Nie, ale inne objawy owszem. Myślałam, że okres mi się spóźnia przez to wszystko, co się działo. Dopiero parę dni temu się zorientowałam. – Wzięła listę i mu podała. – No i jak się zaczęłam zastanawiać, to skojarzyłam też inne rzeczy. Ale test naprawdę by się przydał, jeśli go znajdziesz.

– Poszukam. Aha, i trzymaj się blisko Poego i Kim, dobrze? Oboje są porządni. To widać. Shaun, trochę palant, trochę pierdoła. Sam taki byłem, potrafię to rozpoznać. A Eric, właściwie twój szwagier. Wiem, że coś z nim jest nie tak.

– Nie martw się. Po prostu wróćcie bezpiecznie.

Kiedy zeszła na dół, słowa Eddiego odbiły się echem w jej głowie. Coś z nim jest nie tak...

To samo powiedział o czarnym kręgu w lesie.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wyprawa w dół krętą górską drogą okazała się miejscami mało bezpieczna i Eddie zatęsknił za czasami pługów śnieżnych i soli drogowej. A zwłaszcza za czasami przeczekiwania ponadmetrowej warstwy śniegu w gównianym mieszkanku, słuchaniu Kid Cudiego, czasem Pink Floydów, paleniu jointów i zajadaniu cheetosów.

W sumie jednak, jadąc w dół, nie miał zamiaru posuwać się w ślimaczym tempie wzdłuż opustoszałych domów. Wolał już zjeżdżać poślizgiem. Minęło trochę czasu, nim dotarli do czegoś, co musiało niegdyś być centrum zaopatrzenia dla wszelkiej maści wędrowców, wczasowiczów i może garstki lokalsów.

Dostrzegł dość duży sklep spożywczy z wymalowanym na szyldzie niedźwiedziem po jednej stronie i wielgachnym jeleniem po drugiej. Pośrodku był napis: Sklep spożywczo-apteczny u Stanleya.

Część apteczna oznaczała, że może wyświadczyć Lanie przysługę i pomóc jej dowiedzieć się, czy jest przy nadziei.

Gdyby była, to byłoby naprawdę coś. Spojrzał z ukosa na Maksa, zanim przyjrzał się reszcie tej miejsciny.

Dom z bali stał dokładnie po drugiej stronie dwupasmowej drogi. Ubrania u Stanleya. Obok był mały budynek ze szklanym frontem: Alkohole u Stanleya.

Piwo!, pomyślał. Proszę, niech tam będzie piwo!

– Wygląda na to, że ten cały Stanley to tu jakaś wielka szycha. Podskoczę do alkoholowego, jak skończymy, i sprawdzę, czy zostało jakieś piwo.

– Nie będę protestował.

– Zaznaj zimnego orzeźwienia dzięki staremu dobremu Stanleyowi. Ale hej, tu jest coś innego niż Stanley. Burgery i nie tylko u Mamy. Może to jest mama Stanleya?

Max zatrzymał się przed wjazdem na sklepowy parking i przez chwilę mu się przyglądał.

– Od czasu ostatniej zadymki nie ma żadnych śladów opon, ale widzę ślady czyichś butów, więc ktoś tu jest albo był w ciągu ostatnich kilku dni.

– Ta cisza przyprawia mnie o gęsią skórę, człowieku. Jak cholera bym nie chciał, żeby ktoś znów mi strzelał w tyłek. – Eddie wskazał brodą sklep. – To pewnie pierwszy przystanek, najpierw jedzenie, potem piwo.

– Jedzenie, piwo, propan. – Max wysiadł i przewiesił sztucer przez ramię. – Zobaczmy, co tu zostało.

Jak się okazało, drzwi nie były zamknięte i gładko się przed nimi rozsunęły. Po drugiej stronie rzędu czterech stanowisk kasowych stały wózki tworzące dwie równe linie. Metalowe koszyki ułożono w piramidę, jakby czekały cierpliwie na kupujących, którzy właśnie potrzebują kilku rzeczy. Max trzymał rękę na pistolecie w kaburze na biodrze i lustrował uważnie wzrokiem wewnątrz sklepu.

Podłogi lśniły czystością. Dostrzegł mnóstwo pustych półek w przejściach między regałami, ale to, co pozostało, było porządnie poustawiane.

– Dziwne. – Eddie niespokojnie przestępował z nogi na nogę. – Zupełnie, jakby sklep był otwarty i tylko czekał, aż podjedzie ciężarówka i uzupełni braki w zaopatrzeniu. Jakby, wiesz, wszystko było normalnie.

– Widać Stanley jest wymagającym szefem.

Eddie zachichotał.

– Chyba powinniśmy zrobić zakupy. – Z grzechotem wyciągnął wózek. – Znajdę coś dla Joego. Na pewno mają tu kości dentystyczne z wapnem.

– Idź w lewo, ja zacznę od prawej. Spotkamy się na środku.

Mijając dział warzywny, Max pomyślał, że faktycznie jest nieco dziwnie. Nie było ani

jednego listka sałaty, ale ktoś wyszorował kosze do połysku. W dziale nabiału nie było mleka ani śmietany, znalazł jednak ku swemu zdumieniu masło i trochę serów.

Załadował wózek tym, co uznał za najpotrzebniejsze i najpraktyczniejsze. Po plakietkach na listwach półkowych orientował się, czego brakuje. Nie było łatwo psujących się artykułów. Żadnych świeżych owoców i warzyw, ale natrafił na mąkę, cukier, sól, sodę i proszek do pieczenia, suszone przyprawy i zioła.

Konserwy przetrzebiono, ale wciąż były zupy, fasola, puszki z pastą pomidorową i sosy. Wziął mielonkę i uśmiechnął się szeroko, gdy wstawiał ją do wózka, bo wiedział, że rozśmieszy to Lanę. A trochę śmiechu by się jej przydało.

Podszedł do działu z makaronami i ryżem, gdy usłyszał głos Eddiego.

– Hej! Jak leci?

Max wyjął pistolet z kabury i poczuł ciężar sztucera na ramieniu. Idąc w kierunku głosu Eddiego, poruszał się szybko i zwinnie.

– Super, bo nie szukam kłopotów. Masz niesamowitego psa. Może chciałby kość z wapnem? Właśnie znalazłem tu ich trochę dla mojego psa.

Max usłyszał głucho warczenie i nerwowy śmiech Eddiego.

– Okej, może nie.

Max wszedł w alejkę i zobaczył plecy mężczyzny – a właściwie chłopca – i wielkiego szarego psa u jego boku. I choć szedł bezszelestnie, pies i chłopak odwrócili się.

– Ciebie też się nie boję.

Max ocenił go na piętnaście, może szesnaście lat. Chudy, z kudłatą czupryną koloru kory drzewa o nieustraszonych, intensywnie zielonych oczach.

Kiedy jego psi towarzysz znów warknął, chłopiec położył mu rękę na głowie.

Kierując się instynktem, Max schował pistolet.

– Nie ma potrzeby, nie chcemy cię skrzywdzić. Potrzebujemy zapasów. Nie chcemy nikogo skrzywdzić ani wziąć tego, co może się przydać innym.

– Masz broń – zauważył chłopiec.

– To na wszelki wypadek – wtrącił Eddie, zanim Max zdążył cokolwiek odrzec. – Niedawno zostałem postrzelony tylko dlatego, że wybrałem się z psem na spacer.

Chłopiec spojrzał na Eddiego.

– Gdzie?

– Och, daleko stąd... A, masz mnie na myśli. – Uświadomił sobie i postukał palcem pod kością obojczykową. – Sikamy sobie z Joem, wiesz, i wracamy z powrotem do samochodu, i nagle bam! Byłoby po mnie, gdyby Lana – dziewczyna Maksa – i Max nie poskładali mnie do kupy. Zaszył mi ranę igłą i nicią i zaopiekował się mną, mimo że dopiero co się poznaliśmy.

Ostrożnie poruszył ramieniem, bo dobrze pamiętał ból, jaki powodował każdy ruch.

– Zobaczmy.

– Tak...? Proszę bardzo. – Eddie posłusznie rozsunął suwak kurtki, rozpiął guziki koszuli i odciągnął podkoszulek, żeby pokazać ranę. – Teraz nie wygląda już tak źle, bo Lana wczoraj zdjęła szwy. Wciąż trochę boli. Z tyłu też. – Wskazał kciukiem za siebie. – Bo kula przeszła na drugą stronę.

Chłopiec przyjrzał się beznamiętnie ranie.

– Goi się dość dobrze. A ty do kogoś strzeliłeś?

– Nie. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał. My, no wiesz, przychodzimy w pokoju.

– Gdzie twój pies?

– Joe? Został... – Urwał i spojrzał na Maksa. – Mogę mu powiedzieć, co nie?

– Z nim na razie nie rozmawiam – oznajmił chłopiec. – Porozmawiam z nim później.

– Okej, no to, widzisz, brat Maksa ma kolegę, który ma tu dom w lesie, więc Max, Lana, ja i Joe postanowiliśmy tu dojechać.

– Kto jest tym kolegą?

– Shaun. – Zwrócił się do Maksa: – Cholera, Max, nie pamiętam jego nazwiska.

– Iseler.



– Znam Iselerów. Robią tu zakupy. Zaopatrzyliśmy ich domek, jak co roku. – Najwyraźniej chłopak uznał, że teraz będzie rozmawiał z Maksem, bo odwrócił się. – Są tutaj?

– Nie udało im się – powiedział Max. – Tylko Shaun przyjechał. My też. W sumie jest nas ośmioro.

– I Joe – dodał Eddie. – Jak twój pies ma na imię?

– Lupa – odrzekł chłopiec i uśmiechnął się. – I nie ma nic przeciwko zjedzeniu smakołyku.

– Pewnie. – Eddie sięgnął do wózka i otworzył pudełko kości z wapnem. – Nie odgryzie mi ręki, prawda?

– Nie, chyba że mu każę.

– Ha-ha. Nie rób tego, okej? Proszę, Lupa. Nie ma to jak pyszna kostka do chrupania, co nie?

Lupa przyglądał się Eddiemu spokojnymi oczami barwy wypolerowanego złota, po czym delikatnie wziął kość z jego palców.

– To piękny pies. Mógłbym... – Eddie wykonał ruch przypominający głaskanie.

– Da ci znać.

Eddie ostrożnie wyciągnął rękę do łba Lupy. Ponieważ zwierzę nie warczało ani nie pokazało zębów, Eddie zaryzykował i przesunął dłonią po futrze.

– O tak, właśnie. Piękne z ciebie zwierzę, tak, przepiękne.

– Masz jakieś imię? – zapytał Max.

– Tak – odparł chłopiec i umilkł. Nie zamierzał powiedzieć nic więcej.

– Czy to twoje miejsce?

– Teraz chyba tak. Należało do mojego wujka. Ale już nie żyje.

– Przykro mi.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Był dupkiem. Pomiałał mną i bił przy każdej okazji.

– W takim razie przykro mi, że tak się zachowywał. Możemy zapłacić choć za część towarów.

– Zapiszę to na konto Iselerów. – Uśmiechnął się złośliwie. – Pieniądze nie mają już znaczenia.

– Nie, ale możemy się wymieniać.

– Nie masz niczego, czego bym potrzebował. Równie dobrze możesz wziąć to, czego chcesz.

– Jesteś tu sam?

– Nie. Dajemy sobie radę.

– Rzeczywiście, czysto tu – skomentował Eddie.

– Moja ciocia i ja posprzątałyśmy po... po. Ona też nie żyje. Starła się. Nie przyszlście tu, żeby demolować. Lupa i ja nie bylibyśmy wówczas tak mili, możecie więc wziąć to, czego potrzebujecie.

– Jesteśmy ci wdzięczni – odparł Max. – Potrzebujemy przede wszystkim propanu.

Moglibyśmy zabrać ciężarówkę do Iselerów i napęlić generator?

Brwi chłopca podjechały w górę aż do opadających na czoło włosów.

– Nie przejeździecie po tych drogach ciężarówką.

– Poradzimy sobie, jeśli możemy jedną zabrać.

Chłopak przyglądał mu się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Dobra. Załadujcie to, co chcecie wziąć, a potem wam wytłumaczę, gdzie znaleźć ciężarówkę.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zajrzał na drugą stronę ulicy i wziął piwo, jeśli jakieś zostało?

– Nie lubię tego smaku. Jeśli jakieś znajdziesz, to bierz.

Myśląc o chłopcu i kimkolwiek, kto z nim jest, Max wziął mniej rzeczy, niż zamierzał.

– Powinieneś pojechać z nami – powiedział do chłopaka, gdy ładowali zapasy do samochodu. – To duży dom, będziemy mieli zapasy, ciepło, światło.

– Nie. Lubię ciszę. – Urwał na chwilę. – Ale miło z twojej strony, że to proponujesz. Będę o tym pamiętał.

– Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie nas szukać.

– Jedź na drugą stronę miasta i skreć w pierwszą w lewo. Nie da się przegapić pieprzonego szyldu Gaz i Elektryczność u Stanleya. Zobaczysz trzy ciężarówki z propanem na parkingu z tyłu. Pierwsza z lewej jest w połowie pełna, powinienes wziąć tę. Nie wysadź się w powietrze – dodaj z półśmiechem.

– Dzięki. – Eddie pochylał się i znowu z zapalem pogłaskał Lupy. – To do zobaczenia, kolego, do zobaczenia. Musisz nas kiedyś odwiedzić i pobawić się z Joem. Dzięki, stary.

– Jeżeli będziesz czegoś potrzebował albo miał kłopoty, zajrzyj do nas – powiedział na pożegnanie Max. – Nawet jeżeli zapragniesz tylko zjeść coś gorącego. Moja kobieta fantastycznie gotuje.

– Wpadniemy do was. – Chłopak położył rękę na głowie Lupy i cofnął się.

Max wsiadł za kierownicę.

– Nie chcę go tu tak zostawiać – mruknął Eddie.

– Nie możemy go zmusić. Ale wpadniemy tu w przyszłym tygodniu, sprawdzimy co u niego, przywieziemy mu gorący posiłek, trochę chleba Lany. Znalazłem mnóstwo drożdży. Spojrzał w lusterko wsteczne i zobaczył, że chłopak stoi na drodze i ich obserwuje.

Wtem się zorientował, że powietrze wokół niego delikatnie drga, usłyszał też wyraźny, spokojny głos w głowie.

*Jestem Flynn.*

– Nazywa się Flynn.

– Co? Skąd to wiesz?

– Właśnie mi powiedział. Ma elfią krew.

– Ma... Jest elfem? – Eddie otworzył usta i obejrzał się za siebie. – Jak, no wiesz, jak Will Ferrell w tym filmie?

Z wesołością, o której istnieniu już prawie zapomniał, Max roześmiał się.

– Chryste, Eddie, jesteś bezbłędny. Nie, nie takim. Jest magiczny i myślę, że gdybyśmy zamierzali sprawiać mu jakieś problemy, nie pozwoliłyby nam odjechać z zapasami i propanem.

– Nieźle, co? Spotkałem pieprzonego elfa. Cóż, wygląda na to, że jest w porzo. I ma tego wielkiego psa.

– To nie pies. Jego imię to zdradza. Lupa. Wolf.

– No teraz to mnie wkręcasz. Nie, ty mnie nie wkręcasz! – Zdał sobie sprawę Eddie. – Dałem kość dentystyczną wilkowi? Głaskałem prawdziwego wilka? To niesamowite!

– Och, Eddie, to kompletnie inny świat. – Max skrecił. – Kompletnie inny świat.

\* \* \*

W domu Lana zajęła się dostosowywaniem przepisu na kurczaka po tokańsku do dostępnych składników. Kiedy gotowała, i Kim, i Poe siedzieli w salonie, a ponieważ nie chciała ich pomocy, zaczęli grać w scrabble.

– Suchonos? No weź przestań. – Nie po raz pierwszy Poe zastukał palcem w planszę. – Co to ma być, osoba o suchym nosie?

Jej długie rzęsy, przysłaniające egzotyczne oczy, zatrzepotały.

– Czy to wyzwanie? Ponownie?

– Tym razem blefujesz. Blefujesz, żeby użyć wszystkich siedmiu liter. I w dodatku masz podwójną premię? Wciskasz kit.

– Wielki, zły słownik jest tuż obok. Sprawdź mnie. Strać jedną kolejkę.

Poe ze złości aż wstał i zaczął krążyć po pokoju, odwracając tym uwagę zmartwionej, zagniewanej Lany i rozśmieszając ją.

– Ile wyzwań przegrałeś? – zapytała go.

– Trzy, ale... Do diabła. Wkręcasz mnie, wiem to. Rzucam rękawicę.

– I znowu przegrałeś. – Kim podniosła słownik i przekartkowała. – Suchonos: gęś

garbonosa...

Urwała, zupełnie nieobrażona, a nawet zadowolona z siebie, kiedy Poe wyrwał jej słownik z ręki.

– Ty cholero!

Kiedy z klapnięciem usiadł na kanapie, Kim wyjęła z torebki siedem liter, ułożyła je i potarła ręce.

– Co my tu mamy...

Przerwali grę, gdy otworzyły się drzwi do sieni. Poe wyprostował się, a jego nadąsana twarz stężała.

Wszedł Eric, trzymając za rękę Allegrę.

– Luz – rzucił na widok twarzy Poego. – Poważnie – dodał, gdy Poe zaczął wstawać. – Zachowałem się jak młotek. Ostatni młotek. Przepraszam, Lano, szczególnie ciebie, ale wszystkich was też przepraszam. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Zachowałem się jak ostatni fiut i jeżeli to cokolwiek zmienia, to czuję się jak fiut.

– Jemu jest naprawdę przykro i mnie też. To częściowo moja wina.

– Nie, nie twoja. – Eric puścił rękę Allegrę i objął ją.

– Jest. Narzekałam, że się nudzę, że czuję się jak w klatce. Po prostu byłam jędzą. To ja zepsułam Ericowi humor, a on się na was wyładował. I... i wziął trochę jedzenia dla mnie, żeby mnie pocieszyć. Oboje wiemy, że to było głupie i nieodpowiedzialne. To się nie powtórzy.

– Możesz zmniejszyć moje porcje, dopóki się nie wyrówna.

– Moje też.

– Nie. – Eric pochylił się, by pocałować włosy Allegrę. – To ja wziąłem jedzenie, to ja podkręciłem ogrzewanie.

– Powiedziałaś, że mi zimno. Że... – Westchnęła głęboko. – To ja narzekałam.

– Ale to ja podkręciłem ogrzewanie.

– Dajmy temu spokój. – Lana usłyszała chłód i ożywienie w swoim głosie, ale nie potrafiła zdobyć się na serdeczność. Ta dwójka zachowywała się jak egoistyczne dzieci, które podkrađały ciasteczka ze słoika.

Ton jej głosu został właściwie odebrany, bo Eric się skulił.

– Wiem, że trzeba więcej niż samych słów, ale od tego muszę zacząć. Gdzie jest Shaun? Jego też chcę przeprosić.

– Jest na górze. – Kim nie podniosła wzroku, tylko bezustannie przesuwała płytki na stojaku. – Był bardzo zdołowany. Zabrał psa i poszedł do siebie.

– Okej, poczekam, aż będzie gotowy. Ach, a Max i Eddie?

– Pojechali po zapasy. Liczą na to, że uda im się zdobyć trochę propanu. – Znów to samo, pomyślała Lana. Znów ten ton. Jakby zirytowany rodzic przemawiał do durnego dziecka.

Eric potarł dłońmi twarz, jak gdyby czuł wstręt do samego siebie.

– Cholera. Powinienem być z nimi pojechać i im pomóc. Dodaj to do listy moich głupich zachowań. Martwisz się, widzę to. Wyjdę im naprzeciw, upewnię się, czy wszystko okej.

– Eric, to daleko – zaczęła Allegra.

– Tylko nieco ponad osiem kilometrów – rzekł spokojnie Poe. – Według Shauna.

– Pójdę w dół. Może potrzebują pomocy.

– Nie. Nie minęło jeszcze dużo czasu. – Lana dołała trochę wina do garnka. – Pomyślimy o tym, jeśli nie wrócą za godzinę.

– Daj mi coś zrobić – nalegał Eric. – Czyny ważą więcej.

– Dziś przynosisz drewno opałowe – przypomniała mu Lana – i dokładasz do kominków.

– Dobrze. Już się do tego zabieram. I posprzątam wieczorem kuchnię bez względu na to, czyja dziś kolej.

Wrócił do sieni. Allegra przygryzła wargę, po czym podeszła do Lany, gdy usłyszała zamykające się drzwi.

– Naprawdę Eric czuje się paskudnie. Oboje się tak czujemy.

– I powinniście. Jeżeli Max i Eddie niczego nie znajdą, będę musiała zmniejszyć porcje,

a nawet wtedy jedzenia starczy nam najwyżej na tydzień.

– Szkoda, że nie mogę cofnąć czasu. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. Dzięki.

– Czy jest cokolwiek, co...

Lana odwróciła się od kuchenki i spojrzała Allegrze w oczy.

– Możesz pójść na górę i znieść wszystko, co z Erikiem ukryliście w sypialni.

– Oczywiście. – Wyszła wyraźnie przygnębiona.

– Wiem, że byłam surowa, ale...

– Ja byłabym surowsza – przerwała jej Kim. – Wiem, że wszyscy szukamy jakiegoś sposobu, żeby to przetrzymać. – Ty gotujesz, Poe siedzi w siłowni. Ja kopię mu żaloszny tyłek w scrabble.

– Ej.

– Powinam była powiedzieć seksowny i jędrny tyłek. Eddie ma Joego, Max planuje i kombinuje.

– Planuje i kombinuje? – powtórzyła Lana.

– Co robić, kiedy i jak. Co dalej, co jest potrzebne. To dlatego tu dowodzi. Cieszymy się, że tu jest. Shaun – wiem, że spieprzył – ale jest załamany rodzicami i nie chce tego dać po sobie poznać. Jest przerażony i nie chce, żebyśmy to widzieli. Czyta, układa puzzle i wariuje, bo nie może grać w gry komputerowe. Gdyby mógł...

– Co?

– Wiem, że to nie jest niezbędne ani praktyczne, ale działa terapeutycznie. – Kim uśmiechnęła się lekko. – Jak scrabble. Gdyby Shaun mógł przez godzinę dziennie odpalić Xboksa, moglibyśmy przyszczędzić paliwo na czymś innym. Gdybyś mogła zapytać Maksa...

Lana uniosła dłoń i przerwała Kim. Pomyślała, że nie mogą, nie powinni wciąż czegoś poświęcać. Trzeba też żyć.

– Nie musimy pytać Maksa o wszystko. Ale powiem mu, że moim zdaniem to by się naprawdę przydało.

– Świetnie. Super. Już kończę, chciałam tylko powiedzieć, że wszyscy znajdujemy sobie jakieś sposoby, ale Eric i Allegra zachowują się – przez większość czasu – jakby to była jakaś impreza, a oni byli nią i nami już znudzeni. Więc trochę za dużo piją, uprawiają seks, wykręcają się od swoich zadań, znowu uprawiają seks.

– Serio?

– Z tym seksem? – wtrącił Poe. – Króliki byłyby pod wrażeniem.

– Nie, z wykręcaniem się od zadań.

– Słuchaj, nie jesteśmy skarżypytami – zaczęła Kim.

– Mów za siebie. – Poe szturchnął palcem Kim. – Tak, na ogół. Zastępuje ich któreś z nas, bo nie warto robić z tego powodu cyrku.

– Impreza się skończyła – oznajmiła Lana. – Nikt się nie objija, wszyscy przestrzegają zasad. I naprawdę mam już dość tego matkowania i strofowania.

Allegra wróciła z wilgotnymi oczami i zarumienionymi ze wstydu policzkami. Położyła na stole otwarte opakowania chipsów, ciasteczek, trochę napojów gazowanych i butelkę wina.

– Możesz sprawdzić nasz pokój. Przysięgam, że to wszystko, ale możesz sprawdzić.

Lana nic nie odpowiedziała, po prostu zaczęła dopisywać przyniesione rzeczy do listy zapasów.

– Wiem, że to było głupie i samolubne. Dziecinne. Przepraszam. Boję się. Wiem, że narzekam na nudę. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że się jednocześnie nudzę i boję, ale tak jest.

– Wszyscy się boimy. – W głosie Kim słychać było lekceważenie, co wyraźnie dawało do zrozumienia, że u niej Allegra nie znajdzie współczucia. – Znajdź sobie jakieś zajęcie, żeby się nie nudzić.

– Tobie jest łatwiej, serio! – zachnęła się Allegra. – Wszyscy jesteście silniejsi albo mądrzejsi, albo po prostu lepiej sobie z tym radzicie. Staram się. Słowo, naprawdę się staram. Ale to mnie przerasta, okej?

Przycisnęła palce do oczu i starła łzy.

– Chyba jestem zakochana w Ericu, ale on też mnie przeraża. Przeraża samego siebie. To, co się z nim dzieje... Trudno sobie z tym poradzić. Nie możecie tego zrozumieć?

Lana pomyślała o tamtej chwili na moście w Nowym Jorku, o tym uderzeniu mocy i złagodniała.

– Możemy. Max i ja możemy pomóc Ericowi.

– Wiem. – Allegra odwróciła się do Lany i spojrzała na nią, jakby ta stanowiła odpowiedź na wszystko. – Eric też to wie. On jest... Dobra, jest trochę zazdrosny i obrażony na Maksa, ale stara się. I naprawdę, daję słowo, ja też mu pomagam. Potrafię go rozśmieszyć albo sprawić, żeby myślał o czym innym albo po prostu rozładował emocje. Tylko po prostu czasami nas to przerasta, wiesz? I przysięgam, że robię wszystko, żeby Eric był, no wiesz, spokojny. Wiem, że wzięcie jedzenia było niewłaściwe, ale go rozbawiło. To było fajne. Wstyd mi to przyznać, ale to było fajne i mnie też rozbawiło. Musimy sobie poradzić z tyloma sprawami, to wszystko jest takie nowe... nigdy wcześniej nie miałam z czymś takim do czynienia... Wszystko, co się wydarzyło, bycie tu, odcięcie od świata, to, co się dzieje z Erikiem, i moje uczucia. Wszystko naraz. Boję się, ale się staram. – Zdławiła szloch i zakryła twarz dłońmi. – Nie chcę, żebyście mnie nienawidzili. Może nie jestem miłą osobą, nie potrafię tego, co wy, ale się staram.

– Okej. – Lana podeszła do niej. – Już dobrze. W porządku, Allegra. Ale staramy się razem. I nikt cię nie nienawidzi.

Pociągając nosem, Allegra objęła Lanę i przytuliła się mocno.

– Wkurzasz mnie. – Kim wzruszyła ramionami, jednak mówiła już lekkim tonem. – Ale nie nienawidzę cię. Nie jakoś bardzo.

Allegra zaśmiała się, pociągając nosem, odsunęła się i rzuciła:

– Dzięki. Naprawdę. Pójdę na górę i się trochę ogarnę. A potem zejść na dół i znajdę sobie jakieś zajęcie, tak jak powiedziała Kim.

Kiedy Allegra wyszła, Lana wróciła do kuchenki.

– To trudne – powiedziała. – To wszystko jest trudne. Chyba wszyscy musimy sobie nawzajem dawać więcej luzu.

– Przepraszam, są ważne – dodał Poe. – I chyba tak naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, jak to musi być, kiedy ktoś ma całą tę moc i tak dalej. Ty wiesz o tym więcej.

– To sporo naraz. Dla tych, którzy to potrafią, i dla tych, którzy nie potrafią.

Eric wbiegł z naręczem drewna.

– Słyszę ich! – zawołał. – Słyszę, jak jada. I brzmi to jak ciężarówka, nie jak samochód.

– Bogu dzięki. – Lana chwyciła płaszcz i wybiegła na zewnątrz.

\* \* \*

Eddie prowadził terenówkę, starając się jeszcze bardziej ubić śnieg, żeby ciężarówka, którą kierował Max, miała większą przyczepność. Zabrali kilka worków z piaskiem ze sklepu ze stacji paliw i położyli je na tylnej klapie terenówki, tak aby, z niewielką pomocą czarów Maksa, sypał się z nich piasek.

Mimo to było ciężko.

Eddie wiedział, że Max ją popycha – dzięki swojej mocy – ale ciężarówka i tak ledwo zipsała. W miarę jak droga robiła się coraz bardziej stroma, zaciskał zęby, jakby sam pchał ciężarówkę, aż pot spływał mu po skroniach i karku.

– No dalej, Max, jeszcze kawałek – mruknął sam do siebie.

Kiedy zaczął wspinać się pod górkę, zobaczył dom i biegnącą ku niemu Lanę. Poczul mocny przypływ nadziei. Za nią wybiegli inni.

– Uda się. – A potem w lusterku wstecznym spostrzegł, że ciężarówka zsuwa się do tyłu. – No żesz, kurwa!

Lana skoncentrowała się i pchnęła moc, wyobrażając ją sobie jako hak i łańcuch, które przyczepiają się do ciężarówki i ciągną ją w górę. Serce jej biło mocno, gdy w końcu poczuła, że „łańcuch” się napina i zaczyna ciągnąć.

- Pomóż – warknęła do Erica. – Możesz pomóc.
- Staram się. – Twarz mu zbieleła, a oczy pociemniały. – To cholernie ciężkie.
- Staraj się mocniej. Ciągnij!

Pół metra, jeszcze pół metra i nareszcie poczuła, że moc Maksa i jej zespoliły się w jedno. Skoncentrowała wszystkie siły na niebieskiej ciężarówce z wielkim białym zbiornikiem i siedzącym w kabinie ukochanym mężczyzną.

- Uda się! Już prawie jest. – Poe pobiegł, ślizgając się po wykopanej w śniegu ścieżce.
- Jeszcze go nie puszczaj – powiedziała Lana do Erica. – Nie puść go.
- Mamy go. – Eric zacisnął dłoń na jej ramieniu. – Patrz, patrz, jest przy generatorze!

Kiedy zobaczyła, że Max jest bezpieczny, zaprzestała czarów i pobiegła ku niemu.

Eric zerknął na dom, zobaczył Allegrę i posłał jej pocałunek. Dostrzegł Shauna w oknie i pomachał mu z entuzjazmem.

Gdy Lana dobiegła do Maksa, rzuciła mu się w ramiona.

- Udało ci się!
- Mało brakowało. – Oddychał ciężko i oparł się o nią czołem. – Udało się dzięki tobie.
- Stary, wjechanie tu tym potworem to niezły wyczyn. – Poe dał Maksowi kuksańca w ramię i udał, że szturcha Eddiego. A potem szczeka mu opadła, gdy zobaczył tył terenówki wyładowany jedzeniem.

– Co to, znaleźliście jakąś hurtownię?

– Sklep.

– I mieli to wszystko?

– To cała historia – odparł Eddie. Wylał spoconą twarz. – Teraz musimy wymyślić, co zrobić, żeby gaz z ciężarówki znalazł się w generatorze.

– Max coś wymyśli. – Eric uśmiechnął się przepraszająco do brata. – Dojechał tu.

Przepraszam, braciszku. Bardzo, bardzo.

– Pogadamy o tym później. – Ale położył dłoń na ramieniu Erica i potrząsnął nią lekko. – I, tak, wykombinujemy, jak napełnić generator.

– Ja wiem jak. – Shaun stracił równowagę na ścieżce w śniegu i przewrócił się na tyłek, tak że okulary podskoczyły mu na nosie.

Poe podszedł do niego, wziął za rękę i pomógł wstać.

– Cholerny prymus.

Mimo mokrego tyłka Shaun zdołał się uśmiechnąć.

– Owszem. Kręciłem się tu, kiedy zamawialiśmy gaz. Lubię wiedzieć, jak coś działa.

– Pokaż nam, jak to się robi. – Eddie cofnął się, gdy Joe szaleńczo obwąchiwał mu buty i spodnie. – Ja podwożę zapasy pod dom. Lano, choć ze mną. Zobaczysz, co przywieźliśmy.

Dostrzegła, jak teatralnie przewraca oczami, więc jeszcze raz uściśnęła Maksa i wsiadła do samochodu.

– Trafiliście na żyłę złota.

– A owszem. Mieli też aptekę. Wsunąłem to, czego chciałaś, do plecaka. W przeciwnym razie Max zastanawiałby się, po co to wzięłem.

– Dzięki, Eddie.

– Powiem po prostu, że powodzenia, bo nie wiem, jakiego wyniku sobie życzysz.

Zewnętrzna kieszeń z przodu.

– Zabiorę twój plecak na górę. Najpierw zapasy. Muszę zrobić spis. Trzeba wiedzieć, co mamy, a potem pójdę.

– Idź teraz, póki większość osób jest na dole. To szybko idzie, prawda? Kiedyś jedna taka myślała, że może... Na szczęście nie, ale pamiętam, że to nie trwało długo. Lepiej idź teraz po skarpetki, bo wybiegłaś w butach i całkiem ci przemokły.

– Dobrze. – Przewiesiła plecak przez ramię, wysiadła, otworzyła tył i wzięła część rzeczy.

– Zdjęłam buty – wyjaśniła Allegra, po czym chwyciła kartonowe pudełko. – Musiałam je wzuwać, inaczej byłabym na dole szybciej.

– To zbyt ciężkie. Weź jedną z tych toreb. Lano, ty też – polecił Eddie. – I zdejmij te mokre

buty, włóż coś ciepłego. Brakuje tylko, żeby się ktoś przeziębiał.

– Masz rację. Zaczynajcie dzielić te rzeczy na kategorie: konserwy, suche i tak dalej. Zaraz wracam.

Wbiegła na górę i zamknęła drzwi. Popędziła do łazienki, po czym zamknęła się w niej na zamek. Już wiedziała, ale chciała – musiała – to sprawdzić.

Otwierając opakowanie, pomyślała, że wiedziała to już wtedy. Tamtego wieczoru, kiedy wróciła do domu z pracy i otworzyli wino. Tamtego wieczoru, zanim wszystko zwariowało, kiedy się kochali, w takim skupieniu, tak szczęśliwi. A potem przeszył ją ten błysk, ta dzika, cudowna eksplozja w niej.

Życie, pomyślała teraz. Światło.

Obietnica i potencjał.

Położyła test na komodzie, ściągnęła buty, skarpetki i mokre aż do kolan dzinsy. Potem, gdy test zamigotał, wydała stłumiony okrzyk. Sięgnęła po niego i zobaczyła, jak znak plus rozbłyskuje jasnym światłem.

Co czuła? Strach, owszem, strach – tyle śmierci, tyle przemocy, tyle niewiadomych. Także wątpliwości. Czy jest wystarczająco silna, wystarczająco kompetentna? Doznała szoku, mimo że przecież wiedziała.

I nad tym wszystkim, pod tym wszystkim, wplecionym w te uczucia, co czuła?

Radość. Tak, po tych wszystkich nieszczęściach czuła radość.

W jednej dłoni trzymała migoczący test, drugą przycisnęła do brzucha, do tego, co ona i mężczyzna, którego kochała, razem zainicjowali.

Ogarnęła ją radość.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Radość zobaczyła także wtedy, gdy przekazała tę wiadomość Maksowi.

Czekała z tym.

Najważniejsze było teraz zorganizowanie i zinwentaryzowanie zapasów. A w dodatku musiała dokończyć robienie kolacji. Ponieważ miała wszystko, czego potrzebowała, pokazała Poemu – najbardziej zainteresowanemu tematem – podstawowe etapy robienia chleba.

Cały ten czas skrywała tajemnicę.

Nie powiedziała Eddiemu wprost, ale gdy dostrzegła w jego oczach pytanie, uśmiechnęła się i postukała dłonią w brzuch. Uśmiechnął się do niej szeroko.

Kiedy Poe wsunął bochenki do piekarnika, pomyślała, że to dobry dzień, szczególny dzień.

Podczas gdy Lana obracała w myślach tę wiadomość, Max siedział z Erikiem przed kominkiem w salonie. Podzielili się jednym z piw, które Eddie znalazł w sklepie monopolowym.

– Zamierzam znaleźć jakiś sposób, żeby wszystkim wynagrodzić to, co zrobiłem. Strasznie mi głupio. Wiem, że to nie wystarczy, dlatego chcę to jakoś zdyskontować.

Choć reszta przestała się na niego gniewać, rozczarowanie pozostało. Mimo to, gdy Max przyjrzał się badawczo bratu, dostrzegł w nim i zawstydzienie, i poczucie winy.

Skarcił się w duchu, przypominając sobie, że przecież Eric jest młody, a w dzieciństwie był rozpieszczany przez rodziców jako niespodziewane dziecko, które późno pojawiło się w ich życiu.

– Mam taką nadzieję, ale najważniejszym problemem jest siła, która rośnie, sposób, w jaki ją wykorzystujesz, to, co z nią robisz. To coś nowego i na pewno ekscytującego.

– O tak. Ale... stary, to jest super. Może byłem trochę zazdrosny, że ty to miałeś, a ja nie. A teraz, kiedy sam to mam, poniosło mnie. Zdaję sobie z tego sprawę.

– Nic w tym dziwnego, naprawdę. No i nigdy nie uczyłeś się czarostwa, jego zasad, nie należałeś do żadnej grupy ani klanu.

– Niczego nie miałem.

– Nie wiedziałeś, że masz – poprawił go Max. – Musiałeś to nosić w sobie od zawsze.

Powinieneś coś zrozumieć, Ericu. – Nachylił się, chcąc uświadomić bratu coś niezwykle ważnego.

– Ekscytacja, ta euforia są naturalne, zwłaszcza że twoja moc objawiła się tak szybko. Ale posiadanie tego daru wymaga sporego szacunku i odpowiedzialności. I ćwiczeń. Mantra czarownic: „Bez istot krzywdzenia” jest czymś więcej niż filozofią. To podstawa życia.

– Rozumiem to. – Eric pokrył wstyd entuzjazmem. – Pojmuję to, Max, doskonale pojmuję.

Gdy jego wątpliwości się zmniejszyły, Max skinął głową.

– To dla ciebie nowość, Ericu. Rozumiem to. Potrzebujesz pomocy, a Lana i ja jesteśmy tu między innymi po to, żeby ci pomóc. Nikt z nas nie wie, jak wielkie są nasze moce, toteż musimy mieć absolutną pewność, że je kontrolujemy. A nie one nas.

– To nagła eskalacja. No bo sam zobacz. – Eric wskazał ręką na kominek, co spowodowało, że płomienie strzeliły w górę. – Coś niesamowitego, prawda?

– To eskalacja – zgodził się Max. – Ale jeśli nie będziesz się uczyć, ćwiczyć i kontrolować, ogień może ci się wymknąć spod kontroli. Spalić budynek, spalić ludzi.

– Jezu, teraz jestem podpalaczem. – Eric przewrócił oczami i łyknął piwo. – Trochę wiary we mnie, co?

– Nie musisz planować krzywdy, żeby ją wyrządzić. To, co było we mnie wcześniej, wydawało się małe i cudowne. A to, co teraz jest, to właśnie to spotęgowanie siły. Miałem jednak lata na to, żeby zbudować ten fundament, uczyć się i ćwiczyć. A mimo to zostało jeszcze tyle rzeczy do poznania, do nauki. Dlaczego, skoro jest tyle mroku, pojawiło się tyle światła? A może to właśnie jest jego przyczyną?

– Wypełniamy próżnię – odparł Eric i pochylił się z przejęciem. – Dużo o tym myślałem. Do diabła, nie za bardzo jest tu co robić. Ludzie tacy jak my rosną w siłę, ponieważ wirus zlikwidował



cały ten szum, niechęć wobec nas, masy.

– Te masy były ludźmi. Nie mogę uwierzyć, i nie chcę, że to, co jest celebracją światła, miłości, życia, wyrosło ze śmierci i cierpienia.

– To teoria. – Eric wzruszył ramionami. – Nie spowodowaliśmy wybuchu pandemii wirusa. Ani cierpienia, ani śmierci. Pomyśl o tym inaczej: że moc utorowała drogę.

– Sam się nad tym zastanawiałem – odparł sucho Max. – Uważam to za coś w rodzaju równoważenia. Dano nam więcej albo raczej to, co już mieliśmy, ujawniło się, żebyśmy mogli zrównoważyć ciemność i śmierć. Pomóc odbudować, pomóc przebudować świat tak, żeby zapanowało na nim więcej dobra. Więcej życzliwości, więcej tolerancji.

– Wychodzi na to samo.

– Myślę, że ćwicząc i ucząc się, zobaczysz różnicę.

Eric oparł się i zrobił nadąsaną minę.

– To co, idę do szkoły, a ty będziesz moim nauczycielem?

– Uznaj to za sposób wynagrodzenia wszystkim tego, co zrobiłeś.

Eric wyszczerzył się w uśmiechu, a nawet wznosił toast piwem.

– Trafiłeś w sedno. Okej, Okej. Kiedy zaczynamy?

– Już zaczęliśmy.

Eric pokiwał głową i zaczął się przyglądać trzymanej w dłoni flaszcze.

– Nie poruszałem tego tematu, bo... – Urwał. – Myślisz, że mama i tata żyją?

– Mam nadzieję, że tak. Że są zdrowi i bezpieczni.

– Mogą być tacy jak my. To niewykluczone.

– Niewykluczone. – Nigdy nie wyczuwał w nich najmniejszego nawet przejawu mocy. Ale u Erica również jej nie wyczuwał. – Wiem jedno: jesteś moim bratem, moją rodziną i musimy się trzymać razem.

– Zachowałem się dziś wobec ciebie jak dupek.

– Zapomnijmy o tym. Zaczynamy tu. – Max nachylił się, wyciągnął dłoń i położył ją na ręce

Erica.

– Okej.

Lana odczekała, aż Max znowu się oparł. Pytanie Erica o rodziców złagodziło nieco jej urazę. Poza tym był wujem jej dziecka. Krewnym.

– Czy ktoś jest głodny?

– Mogę nakryć do stołu – zgłosił się Eric.

– Kim już to zrobiła, ale wspominałaś o sprzątanui.

– Jasne. – I dodał: – Bardzo mi przykro, Lano.

– Wiem. Powiesz Allegrze, że obiad jest już gotowy, dobrze? Wspólny posiłek łagodzi obyczaje.

– Masz rację. Musimy być zespołem, działać wspólnie. Pójdę po nią.

Gdy Eric wyszedł, Max wstał.

– Wciąż jesteś na niego wkurzona i nie mogę mieć o to do ciebie pretensji.

– Już nie tak bardzo jak wcześniej. Przejdzie mi, zwłaszcza jeżeli więcej nie wytnie takiego numeru.

– Dopilnuję, żeby nic takiego się nie stało. Eric potrzebuje wskazówek i jest gotów się z tym pogodzić.

– Dobrze. Skądinąd wiem, że nie może mieć lepszego mentora od ciebie.

– Będzie się denerwował i obrażał, ja będę niecierpliwy. Ale... – Max podszedł do niej. – Tacy już jesteśmy. Wyglądasz na szczęśliwą.

– Bo jestem szczęśliwa. – Zachwycona i nieco przerażona, dodała w myślach. – I będę jeszcze szczęśliwsza, jeśli spędzimy razem trochę czasu po kolacji.

– Brakowało mi tego czasu we dwoje. Moglibyśmy pójść na spacer.

– Myślałam raczej o wieczorze w naszym pokoju.

– Naprawdę? – Uszczęśliwiony pocałował ją w czoło, policzki, usta.

– Tak. Chodźmy na górę po kolacji, Max, i zamknijmy drzwi.

– Więc zjedzmy – przyciągnął ją bliżej i znów pocałował – jak najszybciej.

Podczas kolacji panował wyraźnie lepszy nastrój niż rano. Nawet jeśli nie wszystko udało się puścić w niepamięć, to większość tak. Dobry posiłek, świeże pieczywo, z którego Poe był tak dumny, i obfitość zapasów uleczyły uraz. A Eric zdecydowanie się starał. Przerzucali się żartami z Shaunem, aż ponura twarz tego ostatniego nabrała rumieńców, po czym uciął pogawędkę z Poem o rąbaniu drewna, na koniec zaś rzucił całej grupie wyzwanie zorganizowania turnieju gry planszowej.

– Kolacja była świetna – rzekł Eric do Lany. – Dzięki. I chwała ci za chleb, Poe. Ja biorę się za sprzątanie. Kim powinna ustalić zasady i warunki turnieju. Ma świetny mózg.

– To da Joemu i mnie czas na spacer. No chodź, stary. – Eddie wstał i poklepał się po udzie. Pies wyczołgał się spod stołu.

– Lana i ja dziś nie zagramy. – Max wziął ją za rękę, kiedy wstał od stołu. – Muszę opracować plan lekcji.

– No nie, człowieku! – parsknął śmiechem Eric.

– Jest dobrze – rzekła Lana, oglądając się za siebie, gdy szli na górę z Maksem. – Mam wrażenie, że wyszliśmy na prostą. Może potrzebowaliśmy tego starcia, żeby oczyścić powietrze, zaprowadzić trochę ładu i utwierdzić ludzi w poczuciu wspólnoty.

– Są jeszcze młodzi.

– A my tacy starzy – westchnęła z przekorą.

Zaśmiał się.

– No dobrze, młodszy. Przyda im się wieczór pełen docinków nad planszami, gadania o byle czym i przechwalania się.

Wciągnął ją do sypialni i wziął w ramiona.

– A my możemy to wykorzystać – powiedział i pocałował ją.

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– Mamy cały wieczór na rozmowy. Tęskniłam za tobą, Lano. – Wyciągnął szpilki, którymi spięła włosy podczas gotowania. – Brakowało mi tego odcięcia się od świata, bycia tylko we dwoje. Zatem zaczniemy od tego, pomyślała. Tak, świat zniknął, została tylko miłość.

Rozpalił ogień, ona zapaliła świece. Do miłości dołączył blask magii. Z odległości pół metra machnięciem dłoni odrzuciła kołdrę, czym go rozśmieszyła.

– Taki drobiazg, który ostatnio ćwiczyłam.

– Właśnie widzę. Cóż, no to, żeby nie być gorszym... – Podniósł dłonie i przesunął nimi w dół. Ubrania zjechały z niej aż do stóp.

Zachwycona, spojrzała na siebie.

– To nie wygląda na zachowanie poważnego i trzeźwo myślącego czarodzieja.

– To zachowanie czarodzieja, który cię pragnie, moja śliczna Lano. Byłem zajęty innymi sprawami, zamiast po prostu na ciebie patrzeć.

– Masz na to teraz czas. – Rozłożyła ramiona.

Właśnie tak, pomyślała. Czas na obejmowanie się i całowanie. Zdjęła z niego sweter, żeby poczuć kształt jego ciała – szczuplejszy niż przedtem, twardszy. Miał ostatnio tyle stresu, tyle pracy i zmartwień.

Dziś wieczorem ofiaruje mu coś więcej. O wiele więcej.

Przeszedł ją dreszcz rozkoszy, gdy ją podniósł i przytulił do siebie, i potem, gdy leżeli oboje w chłodnej pościeli. Przycisnął jej dłoń do serca i ust. Ujęła go od tyłu za szyję, przyciągnęła ku sobie i pocałowała. Pomyślała, że obdarowano ją błogosławieństwem, skoro jest tak kochana i ma w sobie tyle miłości.

Czuła na sobie jego wędrujące szorstkie ręce. Och, jakże doskonale wiedział, gdzie chce być dotykana, gdzie i jak muskana, a gdzie mocniej naciskana. Co przyspieszy w niej krążenie krwi. Wiedział, gdzie użyć języka, by wywołać eksplozję przyjemności.

Półżywa z emocji, bez reszty mu się poddała. Wiedziona pożądaniem, przesunęła się, by całować jego pierś. Serce biło mu tak mocno, jakby wystukiwało rytm życia. Jej galopowało, dopasowując się do jego tempa.

Wzięła go w siebie całą sobą, całkiem się dla niego otwierając i mocno do niego przywierając.

– Tak, Max – szepnęła. – Proszę, pozostań tak choć przez chwilę.

Zamarli w bezruchu, stając się jednym ciałem. Patrzyli sobie w oczy. Jej twarz odbijała się w jego tęczęwkach przypominających gęsty dym.

Po chwili wygięła się w łuk, wyrzucając ku niemu biodra. Poruszali się zgodnie w jednym rytmie. Niosła ich ta chwila niczym fala, po niej zaś następna i następna, i następna.

Przypomniała sobie wieczór sprzed kilku tygodni, gdy znajdowali się w innym świecie, leżeli wtuleni w siebie, nasyceni. Gdy poczuła w sobie światło.

W kominku płonął ogień, migotały świece, a ona powoli przeczesywała palcami jego włosy. Pomyślała, że jej amatorska próba ostrzyżenia go nie powiodła się. Miał nierówne kosmyki. Przesunęła dłoń po jego policzkach – szorstkich od kilkudniowego zarostu.

Tak wiele zmian, pomyślała. Małych i ogromnych dla nich obojga.

I ta największa, o której mu jeszcze nie mówiła.

– Max. – Obróciła się, żeby usiąść, i uświadomiła sobie, że przepełnia ją nie tylko uczucie zaspokojenia, lecz także senność. To był ciężki dzień, pomyślała, pełen stresu, wysiłku, napięcia fizycznego i magicznego.

Zastanawiała się, czy nie poczekać z tym do rana, postanowiła jednak, że nie, że powie mu od razu, zanim zgasi świece. Teraz, gdy akt ich miłości jeszcze wibrował w powietrzu.

– Max – zaczęła. – Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. To ważne.

– Mmm.

– Bardzo ważne.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Coś nie tak? Coś się stało, kiedy mnie nie było?

– Och nie, wszystko jest w porządku. – Wzięła go za rękę i patrząc mu w twarz, przycisnęła jego dłoń do brzucha. – Max, będziemy mieli dziecko.

Nic nie odrzekł, wciąż tylko jej się przypatrywał. Na jego twarzy malowały się szok, dezorientacja i czujność. Widziała wszystkie te uczucia naraz.

– Jesteś pewna?

Nie odpowiedziała, zamiast tego wstała, podeszła do komody i wyciągnęła schowany w niej test ciążowy. Wciąż migotał.

– Oto, co się dzieje.

Gdy utkwiał w niej oczy, spostrzegła w nich to, czego najbardziej pragnęła. Radość.

– Lano... – szepnął i przyciągnął ją do siebie, wtulając twarz w jej piersi. Wydawało się, że wdycha ją w siebie, że wdycha cud tej chwili.

– Dziecko, nasze dziecko... Jak się czujesz? Miałaś mdłości? Czy...

– Czuję się silniejsza niż kiedykolwiek. Noszę to, co razem stworzyliśmy. Naszą miłość, nasze światło, naszą magię. Widzę, że jesteś szczęśliwy.

– Brak mi słów – przyznał. – Słowa to moje rzemiosło, nie potrafię jednak opisać tego, co czuję. – Opiekuńczo położył na jej brzuchu dłoń. – Nasze.

– Nasze – powtórzyła, nakrywając jego dłoń swoją. – Chcę, żebyśmy na razie zachowali to dla siebie. Nie chcę o tym nikomu jeszcze wspominać. No, Eddie wie. Nie chciałam ci nic mówić, póki się nie upewniłam, poprosiłam go tylko, żeby mi przywiózł test. Ale nie chcę mówić o tym nikomu innemu.

– Dlaczego? To jest ważne. To jest piękne.

– Nasze – powtórzyła z naciskiem. – Jak ten wieczór. Tylko nasze. Może kieruje mną zwykły przesąd. Wiesz, żeby nie mówić nikomu do końca pierwszego trymestru. I to mniej więcej tyle, co wiem o byciu w ciąży. Boże.

Usiadła obok niego i natychmiast się podniosła.

– Aha, i żadnego alkoholu. To wykluczone. Pewnie dlatego to wino, które dała mi Allegra, tak mi śmierdziało. Wszystko jedno. O Boże. Nie mogę sobie tak po prostu wyszukać w internecie tego, co wolno, a czego nie ani czego się spodziewać. Denerwuję się tym, tą niewiedzą. I może

jestem samolubna i przesądna z tym niemówieniem.

– No to nie powiemy nikomu, dopóki nie będziesz gotowa. I dowiemy się... wszystkiego, co będzie nam potrzebne.

– W jaki sposób?

– Znajdziemy książkę. Gdzieś musi być przecież jakaś biblioteka lub księgarnia.

A tymczasem zdamy się na zdrowy rozsądek. Będziesz odpoczywać, kiedy poczujesz, że potrzebny ci odpoczynek, zdrowo się odżywiać.

– Pewnie powinnam łykać jakieś specjalne witaminy.

– Może uda nam się je skądś wytrzasnąć. Ale pamiętaj, że kobiety przez tysiące lat obywały się bez witamin i jakoś rodziły dzieci.

Uśmiechnęła się lekko i posłała mu twarde spojrzenie.

– Łatwo ci mówić, bo jesteś facetem.

– Owszem, prawda? – Sięgnął po jej rękę. – Zaopiekuję się tobą, wami obojgiem, przysięgam. Tak się musiało stać, Lano. Wtedy, kiedy się stało. Mimo że się przecież zabezpieczaliśmy. Ten znak – dodał, patrząc na migoczący test. – To dziecko jest nam przeznaczone. Dowiemy się, co należy zrobić, aby sprowadzić ją czy jego na ten świat i uczynić go bezpiecznym dla naszego dziecka.

– Ty zawsze wiesz, jak mnie uspokoić – odparła. – Jak sprawić, żebym przestała się bać.

Ufam ci. To dziecko jest nam pisane. Znajdziemy jakiś sposób.

Odwrócił jej twarz ku sobie i pocałował ją.

– Kocham cię. Już kocham was oboje.

– Max, czuję to samo.

– Ofiarowuję ci wszystko, czym jestem, wszystko, co mam lub będę mieć. – Ujął jej dłonie w swoje. – Będę cię chronić, bronić, z każdym oddechem coraz mocniej kochać. Bądź od tej chwili moją towarzyszką, żoną i partnerką.

Serce jej podskoczyło z radości.

– Będę. Jestem. Ofiarowuję ci wszystko, czym jestem, wszystko, co mam lub będę mieć – powtórzyła. – Będę cię chronić, bronić, z każdym oddechem coraz mocniej kochać. Bądź od tej chwili moim towarzyszem, mężem i partnerem.

– Będę. Jestem. – Pocałował ich złączone dłonie, a następnie przypieczętowali obietnicę pocałunkiem.

– Niczego więcej nie potrzebujemy, ale chcę ci dać pierścionek. Chcę dla nas symbolu.

– Nas obojga – dodała. – Koło ma moc.

– Symbol nas obojga. – Położyli się znowu twarzą w twarz, a on gładził ją z uwielbieniem.

– Nie zapytałem, czy wiesz, który to tydzień.

– Prawie siódmy.

W jego oczach mignęło zrozumienie.

– Oczywiście. Jest nam pisane – wymamrotał, przytulając żonę i dziecko.

\* \* \*

Minęły dwa tygodnie. W grupie nadal panował radosny nastrój, tak że można było stawiać ją za wzór współpracy.

Max dobrze znał swojego brata. Tak jak przewidywał, starli się już kilkakrotnie podczas ćwiczeń i nauki. Robili jednak postępy, jak wyjaśnił Lanie.

W domu wprawdzie co jakiś czas wybuchały kłótnie, na szczęście jednak o błahe rzeczy, tak jak to się zdarza w każdej odosobnionej grupie.

Gdy na początku marca stopniała część śniegu i ziemia nieco rozmarzła, był to wyraźny znak, że idzie wiosna. Ludzie z ochotą zaczęli wychodzić z domu.

Poe wynalazł gdzieś łuk myśliwski i każdego dnia przez godzinę ćwiczył się w strzelaniu. Lana często obserwowała go z kuchni, gdy strzelał do celu, który wyrysował sobie na kawałku sklejki.

Jego umiejętności strzeleckie z dnia na dzień rosły. Z ulgą odnotowała, że nie celował do

jeleni swobodnie wędrujących po lesie.

Tymczasem Shaun i Eddie zacieśniali więzy przyjaźni, łowiąc wspólnie ryby i grając na Xboksie. Poe zaś wybrał się któregoś razu z Maksem do miasteczka i doniósł, że Wilczy Chłopiec, jak nazywał Flynn, nie ma zamiaru do nich dołączyć.

Przy tej okazji Max dyskretnie przekazał Lanie trochę znalezionych w aptece witamin dla ciężarnych.

Na początku dziewiątego tygodnia ciąży Lana czuła się zdrowa i silna. Gotowała, przyłączyła się do ćwiczeń Maksa i Erica, chodziła na długie spacery z Maksem lub z Eddiem i Joem, a także uczestniczyła – na ogół przegrywając – w turniejach gier planszowych, które odbywały się regularnie trzy razy w tygodniu.

Wiedziała, że Max ślęczy nad mapami i trasami, szukając najlepszego kierunku, w którym mogliby ruszyć na wiosnę. Mimo że dobrze się czuła w ich nowym, nietypowym domu, a nawet go polubiła, rozumiała, co nim kierowało. Musieli znaleźć więcej osób, mieć miejsce, z którego mogliby się bronić ze wszystkich stron, teraz mając jedną drogę, byli odcięci od świata. Zdawała sobie sprawę, że nawet przy tym, na co natrafili w miasteczku, zapasy nie starczą na długo.

– Na co czekać? – spytała Allegra podczas ogólnej dyskusji. – Dlaczego nie wyjedziemy już teraz?

– Bo mamy tu dach nad głową i jedzenie. Jest tu prąd i ogrzewanie – przypomniał jej Max. – Jeżeli ruszymy w drogę i złapie nas burza śnieżna, to bez tego sobie nie poradzimy. Jeszcze miesiąc i takiego zagrożenia nie będzie.

– Kolejny miesiąc. – Allegra przycisnęła dłonie do głowy i potrząsnęła nią. – Wiem, że marudzę, ale, cholera, siedzimy tu już całą wieczność. Nie widzieliśmy nikogo z wyjątkiem tego dziwnego dzieciaka, którego spotkałeś. Jeśli naszym celem jest znalezienie ludzi, to trochę nam nie idzie.

– A co, jeśli spotkamy niewłaściwych ludzi? – spytała Kim. – Nie jesteśmy przygotowani.

– Okej, to szaleństwo wybuchło, kiedy byliśmy w college’u, i trwało później, gdy tu jechaliśmy. Ale to było kilka tygodni temu. Na pewno wszystko wraca do normalności. Musieli już wymyślić jakąś szczepionkę. Nic nie wiemy, bo utknęliśmy w samym środku niczego.

– Ona ma rację – wtrącił Eric.

– Wiem, że siedzimy tu zamknięci – odparł Shaun – i nie mamy pojęcia, co się dzieje gdzie indziej. – Drgnął niespokojnie. – Ale Max ma rację, śnieg będzie się utrzymywał przez cały marzec do początku kwietnia. Mieliśmy odwilż, więc robimy się niecierpliwi, ale to jeszcze nie koniec zimy.

– Co to, zostałeś miejscowym meteorologiem? – zakpiła Allegra.

Zarumienił się lekko z powodu jej przytyku, ale nie dał się zbić z tropu. Lana pomyślała, że przyjaźń z Eddiem umocniła jego pewność siebie.

– Nie, ale spędziłem tu dużo więcej czasu niż ty. Niż ktokolwiek z was. Mieliśmy cholerne szczęście, że udało nam się tu dotrzeć. Czekamy, aż przyjdzie kwiecień, a wtedy będziemy mieli większą szansę wydostać się stąd bez utknięcia gdzieś po drodze lub odmrożenia sobie kończyn i dowiemy się, co dzieje się na świecie.

– Powiedz im to, co mi powiedziałaś – zwrócił się Poe do Kim. – No dalej – nalegał. – Musimy im to powiedzieć.

– W porządku. Ale ostrzegam, że to bardzo przygnębiające. – Usiadła z powrotem na krześle i zabębniła palcami po stole. – W lutym usłyszeliśmy doniesienia – Eddie usłyszał to samo – z Nowego Jorku. Nie ma żadnych postępów w sprawie szczepionki, w administracji państwowej panuje chaos i zmarły ponad dwa miliardy ludzi.

– Nie wiemy, czy to wszystko prawda – zaprotestowała Allegra. – Albo czy cokolwiek z tego jest prawdą.

– Ale to by się zgadzało z tym, co widzieliśmy na własne oczy – zauważyła Kim. – Możemy podejść do tego optymistycznie i mieć nadzieję, że niedługo potem prace nad szczepionką się powiodły i po tygodniu była gotowa, tylko że trzeba ją jeszcze wyprodukować w masowych ilościach i rozdystrybuować, a w transporcie też panuje chaos. Trzymajmy się jednak wersji

optymistycznej: szczepionka powstała, jest produkowana i rozwożona. To trwa. A przecież ludzie padali jak muchy. Czy ta szczepionka ich uodporni, czy wyleczy? I czy wyleczy kogoś, kto gaśnie? W tempie, w jakim ci zakażeni i nieodporni umierali, możemy realistycznie założyć kolejny miliard zgonów. I szacować, że połowa ludzkości zniknęła z powierzchni ziemi. A to przy optymistycznych szacunkach.

– No to dawaj teraz wersję pesymistyczną – zażądał Poe.

– Nie dochodzi do powstania szczepionki. Posiłkując się naszym kampusem jak probierzem, mamy wskaźnik zgonów sięgający siedemdziesięciu procent, czyli około pięciu miliardów ludzi.

– Nie wierzę w to. – Głos Allegrzy drżał, kiedy szukała ręki Erica. – Nie wierzę w to.

– Przyjmijmy jakiś kompromis między założeniami optymistycznymi a pesymistycznymi. – Kim urwała na moment, ale podjęła wątek ponaglana spojrzeniami Poego. – Nawet wtedy będzie tam cholerny bałagan. Ciała, których nie ma komu usuwać, staną się rozsądkiem różnych innych chorób. Wskutek paniki i ogólnej przemocy nastąpi dalszy wzrost zgonów. Rozpacz doprowadzi do samobójstw. Dodaj to tego niedziałającą infrastrukturę, zepsute jedzenie, brak energii elektrycznej, niedziałającą komunikację. Siedzenie tutaj przez kilka miesięcy to przy tym piknik.

– To jaka jest twoja propozycja? – zapytał Eric. – Mamy tu zostać, kurwa, na zawsze?

– Nie, oczywiście że nie – odparła Kim. – Nie będziemy mieli dość paliwa, żeby przetrzymać kolejną zimę. Nie jesteśmy tu wystarczająco zabezpieczeni, gdyby ktoś chciał zabrać to, co mamy. I musimy mieć wiedzę – dodała. – Potrzebujemy ludzi i miejmy nadzieję, że niektórzy z tych, co przeżyli, to lekarze, naukowcy, inżynierowie, stolarze, spawacze, rolnicy. Lepiej, żeby ludzie nadal chcieli mieć dzieci. Musimy tworzyć społeczności, bezpieczne schronienia. – Urwała. – Wiecie, ile broni jest tylko w tym jednym stanie? – podjęła po chwili. – Nie my jedyni będziemy uzbrojeni. Jezus Maria, pomyślcie choćby o broni jądrowej, o broni biologicznej, do której jacyś wariaci mogą się dorwać. Więc tak, musimy się stąd wydostać, zacząć to wszystko zbierać do kupy, zanim ktoś inny rozwali ten świat do końca.

– Ja... – Allegra przycisnęła dłoń do skroni. – Boli mnie głowa. Czy mogłabym...

Lana wstała i podeszła do szafki z lekarstwami.

– W skali od jednego do dziesięciu?

– Osiem. Może dziewięć.

– Weź dwa. – Przyniosła Allegrze ibuprofen.

– Dzięki. – Dziewczyna popiła tabletki wodą. – Naprawdę nie czuję się dobrze. Pójdę się położyć.

– Przykro mi – zaczęła Kim, ale Allegra pokręciła głową.

– Nie. – Ponownie pokręciła głową. – Nie.

– Naprawdę myślisz, że jest tak źle? – spytał Eric.

– Myślę, że musimy być na to przygotowani, tak.

– Jezu Chryste. – Zamknął oczy i westchnął. – Pójdę do niej, sprawdzę, czy wszystko w porządku. – Ruszył, ale zatrzymał się i popatrzył na Maksa. – A co z takimi jak my?

– Są i dobrzy, i źli, tak jak samo jak wszyscy inni.

– No tak.

Eddie usiadł, gładząc łeb Joego.

– Wydaje mi się, że jak stąd wyjedziemy – zaczął – to powinniśmy pomyśleć o tym, żeby na początek ruszyć na południe, w kierunku Kentucky. Znam te okolice. Jak mówił Poe, musimy znaleźć miejsce, w którym można polować, łowić ryby, sadzić warzywa.

– Jesteśmy dobrzy w łowieniu ryb.

– Tak, jesteśmy – przytaknął Eddie.

– A ty jesteś optymistką czy pesymistką? – zapytała Lana. – Tylko się nie wykręcaj – dodała, widząc, że Kim stara się uniknąć odpowiedzi.

– Pesymistką. Posłuchaj, ta reporterka nie była debilką. Oglądałam ją przez dobry tydzień. Trzymała się, nawet kiedy jakiś facet przystawił jej pistolet do głowy, nawet kiedy potem odstrzelił sobie twarz obok niej. Powiedziała, co wiedziała, do czego była przekonana, i co jej zdaniem ludzie powinni wiedzieć. Odsetek zmarłych, rozpad rządu? Stan wojenny, a to wszystko przy braku

perspektyw na szczerpionkę w najbliższym czasie? Siedemdziesiąt procent, może więcej. Do diabła, jeśli liczba ofiar jest tak wysoka, to i tak mamy już przesrane.

– W porządku. – Lana powiedziała sobie, że będzie rozważna. Dla dziecka. – Wszyscy mamy swoje mocne strony. Po całkiem dobrze radzi sobie z bronią.

– Wszyscy musimy się nauczyć obchodzić z bronią – powiedział Max. – Wszyscy musimy umieć bronić się, polować, łowić ryby. Gotować.

– Tego mogę uczyć. – Uśmiechnęła się Lana. – Wymienię się na lekcje jazdy samochodem.

– Ja jestem dobrym kierowcą – wtrąciła Kim. – Żaden azjatycki kierowca nie pęka, czarny chłopaku – dodała w kierunku Poego.

Ten w odpowiedzi zachichotał.

– To ta czarna część ciebie potrafi prowadzić auto. Mamy miesiąc, żeby to wszystko rozpracować.

– W takim razie południe. – Skinął Eddiemu Max. – Ciepleszy klimat, dłuższy sezon wegetacyjny.

– Znajdziemy źródło energii. Wiatr lub energia wodna – powiedziała Kim. – Zbudujemy szklarnię, co przedłuży sezon wegetacyjny. Musimy mieć dużo zwierząt. Będziemy hodować krowy, kury, świnię.

– Zbudujemy sobie świat? – zapytał Eddie.

Kim wzruszyła ramionami.

– A co nam innego zostało?

\* \* \*

Lana kiepsko spała, dręczyły ją sny.

Śniło jej się, że jest noc. Po niebie krążyły wrony, tak jak wtedy nad czarnym okręgiem. W oddali rozbłysło coś mroczniejszego, prawie zaciemniającego całe niebo. Równocześnie zapłonęła krwawa błyskawica, a zaraz potem przetoczył się grzmot.

Biegła, podtrzymując ręką ciężki brzuch. Oddychała ze świstem, serce biło jej mocno, a po ciele spływały pot i krew. Kiedy nie miała już siły biec, ukryła się, przykucając w cieniu, a to coś, co ją ścigało, szamotało się, zakradało, pełzło.

Kiedy straszna noc ze snu dobiegła końca, szła dokądś ze złamanym sercem, uzbrojona w nóż i pistolet. Kobieta, którą niegdyś była w Nowym Jorku, nigdy by jej nie poznała.

Przeszła dwa kilometry, cztery, pięć, mając tylko jeden cel. Za wszelką cenę chciała ochronić dziecko, które nosiła w łonie.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przez kolejne dwa tygodnie dzielili czas między wyszukiwanie miejsc, układanie planów, wytyczanie trasy i ustalanie alternatyw. Zajmowali się tym, o czym Lana nigdy by nie pomyślała, że może mieć do czynienia.

Nigdy w życiu na przykład nie trzymała w ręku broni, a teraz wiedziała, jak strzelać z rewolweru, broni półautomatycznej, sztucera i strzelby dwulufowej. I robiła to znacznie celniej – nadal musiała ćwiczyć, wątpiła jednak, czy kiedykolwiek przewycięży tę instynktowną niechęć do wstrząsu, który przeszywał ją za każdym razem, gdy pociągała za spust.

Zwolnienie języka spustowego powodowało wystrzelenie pocisku, który miał przedrzeć się przez ciało. Żywiła nadzieję, że biorąc pod uwagę to, kim była, nigdy nie będzie musiała celować do żywych stworzeń ani pociągać za spust.

Po paru lekcjach przestała jednak szarpać i podrywać lufę, gdy strzelała.

Wolała być instruktorem: demonstrować, wyjaśniać, tłumaczyć kolejne kroki przyrządzenia podstawowej zupy i takiego połączenia określonej liczby składników, żeby powstało smaczne danie.

Ćwiczyła łucznicstwo, mimo że uważała – jak zresztą wszyscy inni – że zupełnie się do tego nie nadaje. Nauczyła się zmieniać opony, spuszczać benzynę i codziennie ćwiczyła jazdę samochodem. Te lekcje stanowiły jej ulubioną część dnia – godzinę za kółkiem, którą spędzała tylko z Maksem.

Oznaczało to, że przez ten czas uczyła się umiejętności, którą naprawdę chciała osiąść, i mogła rozmawiać z Maksem o dziecku.

Musieli odłożyć lekcje, kiedy zaczął padać gęsty śnieg. Roztopił się na słońcu, zamarzył, gdy temperatura w nocy spadła, i zostawił zdradliwe ślizgawki pod śniegiem i na nim. Rozsypywali więc dla bezpieczeństwa na ścieżkach zgnięty z kominków popiół.

Lana czuła, że ludzie, tak samo jak ona, nie mogą doczekać się wiosny. I obawiała się nieznanego, które miało nadejść wraz z wybuchem zieleni.

Gdy Max i Poe wybrali się na poszukiwania zapasów, postanowiła zrobić pełną inwentaryzację, notując co, jej zdaniem, powinni ze sobą zabrać. Liczne przybory kuchenne – duży garnek, patelnia, ręczny otwieracz do puszek, durszlak, miski, moździerz i tłuczek, które Max wyszukał dla niej w innym domku. Oczywiście noże.

Poradziliby sobie wprawdzie z jedną drewnianą łyżką, jedną durszlakową i jedną łopatką – ale gdyby, tak jak planowali, wzięli kolejny samochód, mogłaby zmieścić więcej zapasów i sprzętu.

Znalezienie i sprowadzenie pickupa lub terenówki uznali za priorytet. Uznając, że Maksowi na pewno się to uda, zaznaczyła więcej przyborów.

Podniosła wzrok znad środków medycznych i pierwszej pomocy, kiedy weszła Kim.

– Mamy ich całkiem sporo – zauważyła – ale nie zaszkodziłoby mieć ich więcej, kiedy wyruszymy już w podróż. Mogę je uzupełniać metodami medycyny holistycznej, gdy zacnie się już wiosna. Przynajmniej tego zdążyłam się nauczyć.

– Nie za bardzo się na tym znam. Moja mama była bardzo wkręcona w medycynę holistyczną i chińską. – Mówiąc te słowa, Kim podeszła do okna. – Słuchaj, mam wielką ochotę wyjść i złapać trochę słońca. Zrobiło się cieplej. Miałabyś ochotę? Nie chcę dostać bury za to, że poszłam sama.

– Jasne. Spacer dobrze mi robi.

– Ziemia zaczęła rozmarzać, więc zrobiło się mokro, ale...

– Pójdę do buty... – Lana odłożyła notatnik i poszła do sieni. – Dobrze się czujesz?

Kim wzruszyła ramionami i sięgnęła po swoje buty.

– Nosi mnie. To chyba ta świadomość, że nasz czas tutaj dobiega końca. Jasne, jest nużąco. Codziennie robimy to samo. Ale ustalony porządek daje poczucie bezpieczeństwa. Chcę jechać.



Musimy jechać, tylko że...

– Wiem. – Lana wybrała jedną z lepszych kurtek i dołożyła szalik. – Chyba wszyscy mamy tak samo.

– Od rana czuję jakiś taki dziwny strach. Wisi nade mną jak czarna chmura. – Kim zapięła kurtkę i wcisnęła na głowę czapkę narciarską. Jej hebanowe włosy były coraz dłuższe. – Prawdopodobnie zaraziłam się od Allegrzy. Nie nabijam się z niej – dodała, kiedy Lana szturchnęła ją w bok. – Robi, co do niej należy, i stara się nie jęczeć. Ale, o Jezu – szarpnięciem otworzyła drzwi i wciągnęła głęboko powietrze, kiedy wyszły – prawie że widać wiszącą nad nią czarną chmurę.

– Wydaje mi się z tego, co zaobserwowałam i co sama mówiła, że pochodzi z uprzywilejowanej rodziny. Jedyńaczka, zamożni rodzice rozwiedzeni może ją nieco rozpieszczali, żeby wynagrodzić rozstanie.

– Taak, księżniczka wywodząca się z białych bogaczy. Przepraszam, to już jest nabijanie się, a ja naprawdę prawie jej przed tym wszystkim nie znałam, a potem, od kiedy ona i Eric zaczęli ze sobą chodzić, znałam ją tylko towarzysko.

– Czy ty i Eric...

– Co? Och, nie. – Śmiech zdjął z twarzy Kim napięcie. – Chodziliśmy razem na kilka zajęć, a on w zeszłym roku spotykał się krótko z moją koleżanką. Lepiej znałam Shauna – oboje jesteśmy kujonami. To naprawdę był przypadek, że nasza piątka wyjechała razem. Wszyscy ukrywaliśmy się w teatrze, w rekwizytorni. Poe miał samochód, Shaun to miejsce, postanowiliśmy więc uciekać. Była jeszcze jedna osoba, moja przyjaciółka Anna. Nie przeżyła.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że kogoś straciłaś. Byłyście blisko?

– Mieszkałyśmy w jednym pokoju w akademiku. Nie łączyło nas zbyt wiele, ale się zaprzyjaźniłyśmy i byłyśmy dość zgrane. Specjalizowała się w teatrze i tak właśnie znalazłam się w rekwizytorni. To ona mnie tam zaciągnęła. Chciała zostać, przeczekać, ale przekonałam ją, że musimy jechać i opuścić kampus.

– Miałaś rację, Kim. Nie mogłyście ryzykować.

– Wiem i tego się trzymam. To był pierwszy wieczór poza kampusem... Nie dojechaliśmy zbyt daleko, rozpętało się piekło. Znaleźliśmy pusty dom, ruderę właściwie. Anna była wrakiem. Tak jak my wszyscy chyba. Nad ranem... znaleźliśmy ją nad ranem.

Lana milczała, czekając, aż Kim się pozbiera.

– Powiesiła się na gałęzi drzewa. Użyła prześcieradła. I przypięła wiadomość do kurtki: „Wolę umrzeć”.

Lana otoczyła Kim ramieniem.

– Tak mi przykro.

– Nie wiem, dlaczego dzisiaj tak dużo o niej myślałam. To chyba część tej czarnej chmury. Gdzie są pozostali? Wiem, że Max i Poe pojechali szukać zapasów.

Lana pomyślała, że to celowa zmiana tematu i szybko ścisnęła Kim, zanim ją puściła.

– Wydaje mi się, że Eddie i Shaun zabrali Joego na jakieś ćwiczenia, pewnie strzelają z łuku.

– To dobrze dla Shauna, to znaczy Eddie i Joe. Nawet w kręgu kujonów to on był tym, któremu dokuczano lub którego ignorowano. A Eddie traktuje go tak, jakby był fajny, i prawdopodobnie pierwszy raz w życiu Shaun stał się kimś, z kim chcesz przebywać. I robi więcej niż to, co do niego należy. Dzięki niemu mamy dom. Owszem, schrzanił, jednak od tego czasu nie tylko się pilnuje, ale i naprawdę ciężko pracuje.

– Owszem – zgodziła się Lana. – Traktuje lekcje gotowania jak zajęcia z przedmiotów ścisłych, a to nie jest złe.

Kim schyliła się, by podnieść cienką, podobną do bicia gałąź, którą później, gdy szły, wymachiwała od niechcenia. Bił od niej niepokój.

– To przerażające, ale pomyśl tylko... cały ten syf, który się wydarzył? Ta cholerna ogólnoswiatowa zaraza, konieczność przystosowania się do surwiwalu? To może uczynić z Shauna kogoś wspaniałego.

– To przesądzi o osobowości nas wszystkich. – Zatrzymały się, obserwując pędzące między drzewami stado jeleni. – Martwiłam się trochę, że ta sytuacja, ta dynamika zniszczy relację Maksa i Erica. Są chwile, gdy nadal widzę niezadowolenie u Erica, ale przetyka je, robi to, co do niego należy.

– Max jest przywódcą, wszyscy to wiedzą. Ericowi trudniej się z tym pogodzić, ale i on zdaje sobie z tego sprawę.

– Dla mnie, a potem Eddiego, przejście przywództwa przez Maksa było po prostu naturalne. Dla was...

Kim smagnęła powietrze różgą i potrząsnęła głową.

– Słuchaj, mogłabym powiedzieć i powiedziałabym każdemu, że powinniśmy racjonować zapasy, udawać się na ich poszukiwania, przygotować plan. I miałabym Poego po swojej stronie, ponieważ nie jest idiotą. Ale nie bylibyśmy w stanie ustawić wszystkich. No i Eric poniekąd został liderem przy okazji, a od kiedy ty i Max do nas dołączyliście, można powiedzieć, że musiał porzucić tę rolę. – Zerknęła na Lanę. – I dzięki temu, że jesteście, mamy zapasy, organizację i plan. Allegra? To księżniczka, a Eric jest jej rycerzem. Pewnie im to pasuje. Gdzie oni w ogóle są?

– Nie wiem. Nie było ich w domu?

– Nie widziałam ich rzeczy w sieni.

– Pewnie też potrzebowali spaceru. Ociepla się, a na słońcu jest przyjemnie. Śnieg może jeszcze popada, ale mam nadzieję, że to już ostatnie podrygi zimy.

– Chcę zobaczyć, jak wszystko rośnie, uprawiać warzywa i owoce. – Kim odchyliła twarz do słońca i wciągnęła głęboko powietrze. – Ogródek zielony. To pierwsze, co chcę zrobić. Uprawiałam zioła w Chelsea, w doniczkach na parapecie. Szkoda, że nie zabrałam ich ze sobą.

Krążyły w kółko – zgodnie z zasadą, żeby nie oddalać się zbyt od budynku bez wiedzy pozostałych.

– Miło, że chciałaś się przejść – powiedziała Lana. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebowałam wyjścia z domu.

Obie odwróciły się, słysząc odgłos kroków – ktoś biegł i ślizgał się po mokrej ziemi. Lana chwyciła Kim za ramię i spojrzała w lewo. Pomyślała, że prawie widać je z domu, są na tyle blisko, żeby widzieć i czuć dym z komina. Gdyby musiały biec...

A potem spomiędzy drzew wypadł Joe. Lana poczuła ulgę, a nawet zaśmiała się na myśl o własnej paranoi, ale to zniknęło, gdy pies przypadł do jej nóg. Cały drżał.

– Co jest, Joe?

Zza drzew wyłonił się Shaun i pośliznąwszy się, niemal wpadł twarzą w topniejący śnieg, na szczęście Eddie zdążył go chwycić i przytrzymać.

– Co się stało? – spytała z niepokojem Lana.

– Tam jest coś bardzo dziwnego. – Shaun podsunął zsuwające się z nosa, zaparowane od przyspieszonego oddechu okulary. – Bardzo dziwnego. Powinniśmy wracać do domu. I ściągnąć tu Maksa.

– Czekaj. Złap oddech. Co widzieliście?

– Macie krótkofalówki? – spytał Eddie.

– Nie, wybrałyśmy się tylko na spacer.

Shaun, nadal zaróżowiony od biegu i zdyszany, spojrzał za siebie między drzewa.

– Przyniosę. Skontaktuję się z Maksem, bo wziął krótkofalówkę, i powiem, żeby wracał.

– I to szybko – dodał Eddie.

Shaun, ślizgając się, zaczął niezgrabnie iść.

– Eddie – spytała ostro Lana, która już traciła cierpliwość i czuła coraz większy niepokój. –

Co się dzieje?

– Widziałyście kiedyś *Blair witch Project*? No wiecie, ten film?

– Nie – odparła Lana, a w tym samym czasie Kim powiedziała: – Jasne.

– Uwielbiam filmy grozy. – Eddie poklepał uspokajająco Joego jedną ręką i obejrzał się za siebie. – Pamiętasz, jak z drzew zwisały te wszystkie symbolizujące coś patyki? – zwrócił się do Kim.

– Tak. To było przerażające.

– No, a wiesz, na żywo jeszcze bardziej. Tam jest ich całe mnóstwo. Wiszą wszędzie. Z dala od ścieżek, którymi chodzimy, ale Joe zaczął ciągnąć w tamtą stronę, zobaczyliśmy ślady, więc poszliśmy sprawdzić. Wszystkie te dziwne konstrukcje, jak na przykład to – co to jest? – Zakreślił palcem kształt.

– Pentagramy. – Lana poczuła, że ma trudności z oddychaniem.

– Tak, one i te dziwne lalki. Zrobione z gałązek, sznurka, jakichś śmieci i podartych szmat. Widziałem kawałki swojej koszulki z Grateful Dead. *Blair witch Project*, jak cholera, a to nic dobrego.

– Muszę to zobaczyć.

– To coś złego, Lano. – Eddie pokręcił głową. – Złego jak ten czarny krąg. To czuć. A na śniegu jest krew. Wygląda na świeżą. Dużo krwi i, no wiesz, wewnątrzności. Joe zsikał się. Ja prawie też.

– Jaki czarny krąg? – zainteresowała się Kim.

– Później to wyjaśnimy. Musisz mi to pokazać. Jeśli ktoś podchodzi tak blisko domu i używa czarnej magii, muszę to zobaczyć, muszę temu przeciwdziałać.

– Wiedziałem, że to powiesz. – Eddie przeciągnął dłońmi po twarzy. – Poczekajmy na Maksa, dobrze?

– Eddie, muszę to zobaczyć. Wtedy będę mogła wytłumaczyć Maksowi symbolikę i zbierzemy to, co potrzebne, aby temu przeciwdziałać.

– Okej, okej, ale nie przejdziemy koło miejsca, w którym Joe się zsikał, a ja prawie to zrobiłem. O, idzie Shaun.

Shaun wracał z twarzą zaczerwienioną od pośpiechu i oddychał ciężko.

– Powiedziałem im. – Pochylił się i oparł dłoń na kolanach. – Jadą. Dziesięć, piętnaście minut, ale już wracają.

– Dobrze. A teraz zabierzcie mnie tam, a za dziesięć, piętnaście minut Max i ja ustalimy, co z tym zrobić.

– Tam? – Shaun, nadal pochylony, podniósł głowę. Był jeszcze zarumieniony, ale zbladł. – Do tego miejsca? Ja tam nie wracam. Nie ma mowy. Nikt z nas nie powinien tam iść. Max...

– Maksa tu nie ma – zauważyła Lana.

– Wolisz poczekać sam tutaj? – spytała Kim, robiąc krok naprzód.

– Cholera, nie. – Ruszył za nimi, kręcąc głową. – Po prostu nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

– Zostawienie symboli czarnej magii też nie jest dobrym pomysłem – odparowała Lana. – W zeszłym miesiącu znaleźliśmy miejsce, w którym odprawiono rytuał mroczny, niebezpieczny. Też zbyt blisko domu. Oczyszcziliśmy je. I to samo zrobimy z tym, co znaleźliście, cokolwiek to jest.

– Nie powiedzieliście nam o tym – rzuciła oskarżycielsko Kim.

– Nie, i być może to był błąd. – Kiedy Eddie się zatrzymał, zerknęła na zdeptany śnieg po lewej stronie. – Kierujmy się bliżej domu.

– Tak. Ciężko się tu idzie, dużo krzaków, zwalonych gałęzi, kamieni. Dlatego trzymałyśmy się szlaku.

– Jeśli poczekamy na Maksa...

– Lana też potrafi czarować, tak samo jak on – fuknęła na Shauna Kim.

Nie chcąc dłużej tracić czasu na spory, Lana ruszyła po zdeptanym śniegu. Uszła jednak nie więcej niż dwa metry, gdy stanęła. Czowała, jak to coś pulsuje, pracuje, emanuje. Kiedy jej skóra zrobiła się lepka, zdała sobie sprawę, że jest mroczniejsze i potężniejsze niż tamten krąg.

Tamto było ofiarą. A to, jak się obawiała, realizacją.

Przycisnęła dłoń do brzucha, do rosnącego w nim dziecka, i dałaby sobie rękę uciąć, że i tam wyczuwała pulsowanie. Bijące światło.

Ufając temu wrażeniu, ruszyła dalej.

Krew, śmierć, seks. Poczuła ich zapach, wszystko wymieszane i rozmazane.

Potem zobaczyła. Odwrócone pentagramy dyndające z gałęzi. Krew splamiła czerwienią

biały śnieg, a wnętrzności piętrzyły się na prowizorycznym ołtarzu z kamieni, na którym ktoś coś wypatroszył.

Lalki: sześć człekokształtnych i jedna czworonożna.

Kiedy przy niej wrogo pulsowała czerń, a w niej biel, kiedy w całkowitej ciszy powietrze nabrało gorzkiego smaku i znieruchomiało, zrozumiała.

I nappełniło ją to smutkiem.

Aby sprawdzić moc przeciwko mocy, podniosła rękę i zbliżyła światło do ciemności.

Poczuła wstrząs, kiedy ta prawie polizała łapczywie jej dłoń.

– Musimy wracać – rzekła z absolutnym spokojem. – Potrzebuję kilka rzeczy. – Oraz Maksa.

– Dobry pomysł! – Shaun cofnął się o krok, ale zamarł na dźwięk czegoś przedzierającego się przez chaszczę.

– Jezu Chryste, Jezu Chryste, to niedźwiedź. – Kim cofnęła się o krok.

– Coś z nim jest nie tak – stwierdził Eddie. Zdjął z ramienia sztucer, a Joe przestał się trząść i warknął głucho.

Niedźwiedź parł przez krzaki, ale co rusz wzdrygał się i wstrząsały nim konwulsje. Jego ślepie połyskiwały chorobliwą żółcią, kiedy kłapał pyskiem.

– Nie powinniśmy uciekać. – Shaun chwycił Kim za ramię drżącą dłonią. – Nie wolno uciekać, bo może zacząć nas ścigać. A jest od nas szybszy. Może wycofajmy się powoli, dajmy mu dość miejsca, ale trzymajmy się razem, żeby wyglądać na coś większego od niego. To baribal, one nie są agresywne, ale ten...

– Z tym jest coś nie tak... – Eddie oddychał powoli. – Czy ktoś jeszcze ma broń?

– Ja. – Kim macała się po biodrze w poszukiwaniu pistoletu.

– Shaun ma rację, żeby nie biec. Spróbujmy się wycofać. Powoli i spokojnie – dodał Eddie.

Niedźwiedź stanął na tylnych łapach i zaryczał.

– Cholera, to nie zadziało.

– Jest zakazony. Musisz go zabić. Zastrzel go – nakazała Lana, wyrzucając silną moc.

Pierwszy strzał trafił zwierzę w pierś. Niedźwiedź ponownie ryknął, spadł na cztery łapy i ruszył do ataku.

Huknęły wystrzały – najpierw strzelba, potem pistolet. Lana przycisnęła dłoń do brzucha, czerpiąc z tego, co jej dano, i cisnęła w zwierzę postrzępioną kulą światła.

Niedźwiedź zawył, wydając przeszywający jęk bólu, gdy naraz przednie łapy ugięły się pod nim. Lana, litując się nad zwierzęciem, spostrzegła, że w jego oczach jest pustka – nie z powodu śmierci, lecz ze strachu.

A potem Eddie dobił zwierzę ostatnim strzałem.

– Wracamy do domu – zaordynowała Lana. – Wszyscy wracamy do domu. Może być ich więcej. – Kierując się instynktem, machnęła ręką, podpalając wiszące konstrukcje z gałęzi. – Szybko.

– Eric i Allegra – zdołała powiedzieć Kim, kiedy biegli po mokrym śniegu. – Mogą nadal gdzieś tu być. Musimy ich znaleźć, wziąć do środka.

– Eric i Allegra to zrobili. Szybko – powtórzyła Lana.

Kiedy wypadli na polanę wokół budynku, Eric i Allegra stali na ścieżce i trzymali się za ręce.

– Zataiłaś swoje zdolności. – Lana poczuła dreszcz paniki. Nie musiała tu sprawdzać, która moc jest silniejsza, nie kiedy czuła kłębiące się zło.

Potrzebowała Maksa. Wszyscy potrzebowali Maksa.

– Nie chciałam się przechwalać. – Allegra ze śmiechem przechyliła głowę i dotknęła nią ramienia Erica. Ten kokieterjny, kobiecy gest kontrastował z zimnym zadowoleniem malującym się na jej twarzy. – Zabawnie było patrzeć, jak bawicie się swoimi nie największymi mocami, podczas gdy nasze stawały się coraz potężniejsze, mroczniejsze, słodsze. Teraz. – Narysowała palcem koło i otoczyła ich wszystkich kręgiem czarnego ognia. – Poczekamy tutaj, aż reszta naszej wesołej gromadki wróci do domu.

Lana podniosła rękę, gdy Kim wycelowała pistolet.

– Kula nie przejdzie przez krąg i może trafić kogoś z nas.

– Jesteś taka bystra. Złożymy cię w ofierze jako ostatnią. – Eric uśmiechnął się. Promieniał mocą i radością: jedno i drugie emanowało śmiertelnym mrokiem. – Max będzie pierwszy.

Wszystko w Lanie kuliło się ze strachu i odrazy, gdy napotkała wzrok Erica i spostrzegła w jego oczach złośliwą satysfakcję.

– On jest twoim bratem.

– Pieprzyć brata. – Pstryknięciem palców wystrzelił ku niebu wiązki czarnego światła. – Od kiedy pamiętam, zawsze on był pierwszy, a ja miałem po prostu podążać za nim, zawsze równać do niego. Dobry syn, wzorowy student, liczący się pisarz. Moc. Teraz jestem kimś znacznie silniejszym od niego. A on uważa, że może mnie pouczać? Uczyć mnie? Szkolić mnie?

Podniósł rękę w bok i strzelił czarną oleistą błyskawicą w sosnę na skraju lasu. Piorun rozszczerzył drzewo na dwie części, poszarpane połówki tliły się w poczeriałym śniegu.

– Uważa, że jego miękka, biała, słaba siła może mierzyć się z moją?

– O... on przeszedł na ciemną stronę – wyjąkał Shaun. – Jak, jak... Anakin Skywalker.

Usta Erica wykrzywiły się w szyderyczym uśmieszku, gdy cisnął czarną strzałę w pierścień ognia.

– Boże, ale z ciebie pieprzony frajer.

– To nie jesteś ty, Ericu.

Znowu skierował ten szyderyczy uśmieszek ku Lanie, a potem spojrział na swoją dłoń. Wokół jego ręki kłębiło się coś czarnego. Kiedy ją podniósł, w niebo pofrunęły wrony i zaczęły nad nimi krążyć.

– Ależ tak. To w końcu jestem ja i mam to, co zawsze powinno było do mnie należeć. Ludzkość umarła. Stoję na jej gnijącym trupie i jestem. Jesteśmy – poprawił się, spoglądając na Allegrę. – To my jesteśmy tym, co teraz żyje.

– Rozwija się i bierze. Cokolwiek chcemy. Kogokolwiek chcemy. – Nachylając się do Erica, Allegra potarła policzkiem o jego twarz. – Może powinniśmy zachować jedno z nich jako zwierzątko.

– Jesteś chory, gościu – zauważył Eddie i złapał Joego za obrożę, żeby trzymać go blisko siebie. – Jesteś chory.

– Może jego...? – zastanowiła się Allegra. – Jak już upieczemy kundla na rożnie.

– Załatwmy jednego teraz. Nasz ustanawiający zasady bohater się spóźnia. Załatwmy jedno teraz, zabawmy się. Ty wybierasz, kochanie.

– Hm. – Allegra postąpiła krok do przodu, a jej jasne włosy trzepotały wokół głowy, gdy szła po okręgu. – Trudny wybór. Wszyscy są tacy nudni. Z wyjątkiem niej. – Zatrzymała się przed Laną. – Ale ona musi być ostatnia. Ona i ta suka, która w niej rośnie. Musi zobaczyć, jak reszta umiera.

– Myślałam, że jesteś po prostu trochę głupia.

Wytrącona na chwilę z równowagi Allegra zamrugła, patrząc na Lanę.

– Co powiedziałaś?

– Słyszałaś. – Lana pomyślała, że musi robić wszystko, co będzie konieczne, by chronić swoje dziecko. – Trochę głupia, bardzo marudna i przede wszystkim beużyteczna. Widzę, że cię nie doceniłam. Jesteś naprawdę głupia, złośliwa i beużyteczna. Nie jestem pewna, kim w takim razie jest Eric, skoro zdołałaś wykorzystać seks i nieporadną moc, by przyciągnąć go do siebie.

– Facetem – wtrąciła Kim zza Lany. – Facetem, któremu odbiło z powodu pary cycków. Sorry, chłopaki, ale sami widzicie.

Allegra stała w rozkroku i nagle jej włosy zaczęły łopotać na wzmagającym się wietrze.

– Nie masz pojęcia, kim jestem, jak długo to, co jest we mnie, czekało na ten dzień. Ale dowiesz się, zanim wyrwę z ciebie tę wijącą się masę komórek, dowiesz się. Sama się przekonasz.

Allegra rozłożyła ramiona, a te naraz stały się skrzydłami, równie jasnymi jak jej włosy, a ich krawędzie przypominały ostre zęby. Uniosła się i zaczęła obracać. Wirujący wiatr unosił dym z płomieni.

– Oto ona – zaśmiał się Eric i sam uniósł ręce. Jego skrzydła były czarne, oleiste jak błyskawica, którą wystrzelił, i połyskiwały.

– Czym oni są? – wybełkotał zduszonym głosem Shaun. – Co to jest?

– Śmierć, mrok, spustoszenie – mruknęła Lana. I arogancja, pomyślała.

Kiedy Eric i Allegra, podobnie jak wrony, nad nimi krążyli, Lana czerpała energię z tego, kim była, z tego, co miała, i modliła się, żeby to starczyło.

– Kiedy powiem, żebyście ruszyli, to biegnijcie. Do domu.

– Jesteśmy uwięzieni – zaczął Shaun.

– Nie będziemy.

Wydobyła z siebie światło i uderzyła nim o krąg ciemności. Popękał.

– Biegiem – warknęła, całkiem go rozbijając.

Sięgnęła w głąb siebie po więcej i cisnęła w górę. Gdy biegła razem z pozostałymi, usłyszała dźwięk przypominający skwierczenie bekonu na rozgrzanej patelni, ryk bólu i przekleństwo.

Błyskawice spadły z nieba niczym deszcz, zamieniając dom w piekło. Gorąco i podmuch sprawiły, że poleciała do tyłu. Zanim zdążyła się podnieść, zauważyła, że zbliża się ku niej jedno z nadpalonych skrzydeł pikującej Allegrey. Zdesperowana Lana chwyciła je i wykręciła, choć zębata krawędź przebiła jej dłoń i wbiła się w ciało. Nie czując bólu, zwiększała swoją moc. Eric rzucił się, żeby przyciągnąć Allegrę do siebie, i uwolnił ją.

– Max i Poe! Jadą! Musimy do nich biec! – krzyknął Eddie i pociągnął Lanę, żeby pomóc jej wstać.

Usłyszała wystrzały i biegła w otępieniu, a z dłoni kapłała jej krew. Zobaczyła, jak Kim zatrzymuje się i próbuje podnieść Shauna, który się potknął, a drugą ręką strzela. Z przerażeniem dostrzegła, że opalone, pokiereszowane skrzydło sunie ku Kim. I gdy usiłowała zebrać dość siły, żeby ją obronić, Shaun odepchnął Kim. W tejże chwili zębate skrzydło przeorało mu twarz, gardło, pierś i brzuch.

Allegra wzbila się w górę i gdy z Shauna uszło życie, wydała okrzyk triumfu.

– Nie, nie, nie... – jęczała Kim, czołgając się w kałuży krwi. – Shaun!

– On nie żyje. – Krztusząc się, Eddie odciągnął Kim po błocie wymieszanym z topniejącym śniegiem. Zbliżał się ku nim Max.

– Do samochodu. Wszyscy! – zawołał Max, podnosząc ręce i usiłując stworzyć tarczę ochronną. Poe stał obok auta z zaciśniętymi zębami i mierzył ze sztucera. – Do samochodu.

– Nie bez ciebie. – Błada jak płótno i drżąca Lana wyszarpnęła się z uścisku Eddiego. – Nigdy bez ciebie. Oni są silni, Max. W pojedynkę ich nie powstrzymamy. Eric...

– Wiem. Musisz wsiąść do samochodu. – Pot spływał mu kroplami po twarzy, gdy robił, co w jego mocy, by ochronić swoją rodzinę. – Nie beze mnie, ale musimy działać szybko.

– Razem będziemy poruszać się szybciej.

– Ericu. – Ręce mu drżały, mięśnie ledwie wytrzymywały, ale Max nie opuszczał rąk.

– Zobacz, co ona mi zrobiła. – Allegra schowała twarz w ramię Erica. – Skrzywdziła mnie, Ericu. Musi zapłacić.

– Zapłaci. Wszyscy zapłacą.

– Ericu, musisz przestać – zażądał Max. – Dlaczego to robisz?

– Bo mogę! Bo twoje zasady już nie obowiązują. – Ciskał błyskawicami w tarczę. – Bo twój czas się skończył, a mój wreszcie nadszedł. Bo to mi sprawia przyjemność!

– Wykrzywiasz to, co jest w tobie. Nie...

– Och, zamknijże się wreszcie i zgiń!

Pod wpływem siły jego uderzenia Max poleciał na maskę samochodu i dostał krwotoku z nosa. Dzwoniło mu w uszach, patrzył na twarz brata, ale widział na niej tylko nienawiść i chciwość.

Dokonał wyboru.

– Poe, za kierownicę – zakomenderował. – Lana, z tyłu. Nie wytrzymam długo. – Podeszedł bliżej siedzenia pasażera i wsiadł, nie spuszczać wzroku z Erica.

Z tyłu Lana podniosła zakrwawione ręce, a Kim szlochała.

– Lano, musisz pomóc Poemu – rozkazał Max. – Poe, wrzuć wsteczny i w długą. Po prostu jedź! Lano, pilnuj drogi.

Pomyślała, że nigdy nie uciekną temu, co nadchodzi. Wirując, Eric i Allegra jednoczyli siły. Wicher wprawił samochód w drzenie, a ziemia wokół niego zaczęła pękać. Na wzgórzu płonął dom. Wystarczyłoby tylko podpalić samochód – przebiec się przez tarczę Maksa i zarzucić pojazd gradem błyskawic.

Lana przycisnęła dłoń do brzucha, modląc się za swoje dziecko, a drugą dłoń uniosła, by kierować autem, podczas gdy Poe pędził do tyłu jak oszalały.

– Przykro mi Max – wyszeptała.

– Mnie też. Boże, mnie też.

Gdy minęli pędem ciężarówkę z propanem, Max opuścił tarczę, ciskając ją i wszystko, co w sobie miał, w kierunku zbiornika. Jego moc starła się tam z błyskawicami rzuconymi przez Erica.

W jednej chwili Lana dostrzegła wstrząs i panikę na twarzy Erica, a zaraz potem nastąpił wybuch. W powietrze strzelił słup ognia i metalu. Dobięły ją okrzyki, potworne, przepotworne okrzyki, słyszalne mimo wybuchu.

– Wykręć, jak tylko będziesz mógł. – Max patrzył prosto przed siebie. – Kieruj się do wioski. Nie możemy zostawić Flynna ani nikogo, kto z nim jest. Jeśli ci dwoje to przetrwają, rzucają się na każdego, kogo napotkają.

– Ona zabiła Shauna – wyjęczała Kim. – Oni zabili Shauna. Ocalił mi życie, kiedy mnie zaatakowali, a oni go zabili. Nigdy nikogo nie skrzywdził.

Eddie przytulił Kim, kiedy Poe zdołał zrobić zawrotkę na trzy. – Kolesz był bohaterem. Pieprzonym bohaterem.

Joe położył głowę na kolanach Eddiego i zaskowyczał.

– Dłonie Lany bardzo krwawią – zauważył Poe, mocno ściskając kierownicę. – Tam z tyłu powinno być coś do obwiązania.

– Próbowала zabić dziecko – powiedziała Lana. – Nie mogłam jej na to pozwolić. Mogę powstrzymać krwawienie. – Złączyła wnętrza dłoni i zamknęła oczy. Otworzyła je, gdy poczuła, że dłonie Maksa obejmują jej ręce.

Wpatrywał się w nią, a jego oczy były pełne żalu, poczucia winy i niewypowiedzianego smutku.

– Uratowałeś nas – powiedziała.

– Straciłem go. Jak mogłem na niego patrzeć i nie widzieć, że go straciłem.

– Kochałeś go.

– To, co kochałem, umarło wraz z nastaniem ciemności. To, co kochałem... zabiła apokalipsa. Dziecko? Czy z dzieckiem wszystko w porządku?

– Nic jej nie jest. Wiedziałabym, gdyby było inaczej.

– Ona?

– Allegra tak uważa. Wydawała się to wiedzieć, i ja też to czuję.

– No to chyba gratulacje – odezwała się Kim i starła łzy. – Najbardziej chciała zabić ciebie i dziecko. Eric chciał zabić Maksa. Reszta z nas nie miała znaczenia. I tak wszyscy bylibyśmy martwi, gdyby nie Lana i nie Max.

– Przykro mi, człowieku, z powodu twojego brata. Ale... – rzekł Eddie i również otarł łzy z twarzy. – To okropne, że musieliśmy tam zostawić Shauna.

– Był bohaterem – dodała Lana i oparła głowę o zagłówek. – Światło go zabierze. Ja... wiem, że tak się stanie. Nie zostanie sam. Oddał życie za jedno z nas. Nie będzie sam.

– Nie byliśmy dość szybcy – wtrącił Max. – Musimy się nauczyć, jak być szybsi, skuteczniejsi. – Opuścił okno i wychylił się, żeby spojrzeć do tyłu. – Nic za nami nie podąża, a przynajmniej niczego nie widzę ani nie wyczuwam. Ale przybędzie ich więcej. Potrzebujemy innego auta i zapasów. Broni.

– Mamy jeszcze jedną terenówkę – oznajmił Poe – ale zostawiliśmy ją, kiedy Shaun zadzwonił. Kiedy powiedział, że coś się dzieje, zostawiliśmy auto i wróciliśmy tak szybko, jak

zdołaliśmy. Niech to szlag. – W jego oczach zamigotały łzy, wściekłość i żal. Uderzył pięścią w kierownicę. – Niech to szlag.

Gdy wjechali do wioski, Flynn i jego wilk stanęli pośrodku drogi.

Max wysiadł.

– Potrzebujemy zapasów, innego pojazdu, a ty i ktokolwiek tu z tobą jest, musicie jechać z nami. Nadciągają mroczne siły.

– Mamy tu ochronę.

– Nie wystarczy. Moja żona jest ranna – zaczął Max.

Flynn oderwał od niego wzrok i spojrzał na Lanę, która wysiadła z tylnego siedzenia. Nie spuszczał z niej wzroku, a kiedy do nich podeszła, delikatnie ujął jej dłoń.

– Chroniła ją. Broniła Jedynej. Rany się zagoją, ale powinnaś zmyć krew.

– Tak zrobię. Proszę, posłuchaj Maksa. Tu teraz nie jest bezpiecznie.

– Jesteśmy gotowi. Czekaliśmy. – Odwrócił się, a następnie spojrzał w jedną i drugą stronę.

Z budynków wyszli ludzie, głównie dzieci. Niektóre bardzo małe, niektóre nastoletnie.

Kobieta mniej więcej w jej wieku, mężczyzna, siwowłosy i w fartuchu rzeźnika. Opierająca się o łaskę kobieta, która wyglądała na bardzo starą.

Dwadzieścia pięć, może trzydzieści osób, pomyślała Lana, a wszyscy stoją w ciszy i czekają.

Joe wyskoczył z samochodu, podbiegł do Lupy, machając ogonem i obwąchując go. Lupa stał przez chwilę sztywno, po czym wyciągnął przednie łapy, a potem zaczął podskakiwać, zapraszając do zabawy.

Jedna z dziewczynek zachichotała i klasnęła w dłonie, gdy pies i wilk się mocowały.

– Oto kobieta, która ma w sobie Jedyńą – rzekł Flynn. – Czas oczekiwania dobiegł końca, zaczyna się nowy okres. Pójdziemy z nimi.

– Będziemy potrzebować więcej niż jednego samochodu – powiedział Eddie.

Flynn uśmiechnął się.

– Mamy więcej niż jeden. I przyczepę dla krowy.

– Macie krowę?

– Krowa oznacza mleko. Zaprowadzę cię, żebyś mogła umyć ręce – powiedział Flynn do

Lany.

– Dzięki. – Zerknęła na Maksa i ruszyła z chłopakiem. – Jak to możliwe, że wiedziałeś o dziecku, o niej?

Flynn obrzucił ją długim, spokojnym spojrzeniem.

– Jak to możliwe, że ty o niej nie wiedziałaś?



## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Arlys siedziała w gabinecie domu i z ogromnym mozołem przepisywała swoje notatki na przedpotopowej maszynie do pisania. Bill Anderson przytaszczył ją specjalnie dla niej ze sklepiku ze starociami o nazwie Przeżytki. Maszyna była wielka, ciężka i toporna, ale dzięki niej mogła każdego dnia przygotować stronę lub dwie lokalnych wiadomości. W końcu nadal była reporterką.

Nazwała te swoje starania „Biuletynem Nowej Nadziei” i modliła się w duchu, żeby Chuckowi udało się przywrócić internet.

Domek z białej cegły, z szeroką werandą z przodu i wąskim podwórkiem z tyłu dzieliła z Fred. Po sąsiedzku mieszkał Chuck, który wybrał – to ci niespodzianka – piwnicę domu z czerwonej cegły, podczas gdy Bill i Jonah zajęli dwie z trzech sypialni.

Rachel, Katie i dzieci zamieszkały w większym, piętrowym narożnym budynku po drugiej stronie domu Arlys. Pogrupowali się według przyzwyczajenia, odruchowo, a miejsce wybrali z uwagi na bliskość szkoły podstawowej po drugiej stronie ulicy.

Tam Rachel i Jonah założyli coś w rodzaju centrum medycznego – część administracyjna została przekształcona w gabinety lekarskie, stołówka w miejscowy ośrodek kulturalno-społeczny, a sale lekcyjne w skrzyżowanie ośrodka opieki dziennej i edukacji.

Z miasteczka rodzinnego Arlys udali się na południe, a ona dokumentowała każdy etap podróży. Tuż przed granicą z Wirginią Zachodnią złapała ich burza śnieżna, na dwa dni schronili się więc w opuszczonym centrum ogrodniczym, w którym unosił się zapach ziemi i rozkładu.

W tymże centrum zaopatrzyli się w nasiona, sadzonki, nawóz i narzędzia.

Dołączyła do nich grupa, która wędrowała na wschód: Tara, przedszkolanka, a teraz jasnowidzka, Mike ze źle złożoną po złamaniu ręką i szesnastoletnia Jess.

Zrobili dla nich miejsce i w końcu znaleźli placówkę pogotowia, w której Rachel ponownie złożyła rękę Mike’a. Zgromadzili w niej zapasy leków, sprzęt i ciężarówkę.

Dwukrotnie jechali okrężną drogą, unikając odgłosów wystrzałów. Natrafili przy okazji na uciekinierów, którzy szli, jechali lub się chowali. Nie wszyscy do nich dołączyli, ale większość tak.

W idy marcowe ich grupa – licząca siedemdziesiąt osiem osób – wkroczyła do miasteczka Besterville w stanie Wirginia, które jak informował stojący przed wjazdem znak zamieszkiwały osiemset trzydzieści dwie osoby. Besterville okazało się miastem widmem – większość jego mieszkańców po prostu zniknęła. Chociaż drzwi zostały zamknięte na klucz, a kilka sklepów i firm przy głównej ulicy miało zasłonięte wystawy, nie widzieli żadnych oznak wandalizmu ani grabieży.

I tam się zatrzymali. Po siedmiu tygodniach Arlys wciąż nie była pewna, dlaczego wybrali akurat tamto miejsce. Przejeżdżali przecież również przez inne miasta i osiedla, przez tereny wiejskie i miejskie zabudowania.

Ale zatrzymali się i teraz ich grupa składała się z dwustu sześciu osób. Ta liczba zmieniała się z tygodnia na tydzień, a czasami nawet z dnia na dzień, gdy jedni dochodzili, a inni ruszali dalej.

Zmienili nazwę i zastąpili znaki na granicach miasta. I tak Nowa Nadzieja stała się ich domem.

Choć były dni, kiedy Arlys budziła się i czuła wręcz fizyczną tęsknotę za życiem, jakie kiedyś prowadziła, to przypominała sobie strach, potworności z tunelu, przenikliwe zimno. I ciała znajdowane po drodze i w domach, które uznali za swoje.

Stukała pracowicie w klawisze, siedząc przy zabytkowym biurku i mając przed oczami oprawione w ramki zdjęcie swojej rodziny, zrobione podczas Bożego Narodzenia.

Postanowiła, że ogłosi w dzisiejszych wiadomościach, iż Drake Manning, elektryk, oraz Wanda Swartz, inżynier, nadal pracują nad przywróceniem elektryczności dla całej społeczności. Jako reporterka, redaktor naczelna i wydawczyni, zastanawiała się, czy dołączyć do biuletynu oświadczenia najnowszych członków społeczności, że Waszyngton stał się w gruncie rzeczy strefą wojny między władzą wojskową, zorganizowanymi Najeźdźcami i frakcjami Niesamowitych.

Zestawiała należne opinii publicznej – jakkolwiek byłaby mała – prawo do informacji z paniką, jaką ta wiadomość niewątpliwie wywoła. A potem dorzuciła do tego rzeczywistość. W społeczności plotki rozchodzą się niczym masło na gorącym toście. Lepiej pisać oświadczenia.

Dodała trochę kolorytu lokalnego: wspomniała o postępach nad pracami we wspólnym ogrodzie, dumie Fred, założonym w ładnym, rozległym miejskim parku; ogłosiła „Czas opowieści”, konkurs dla dzieci w każdym wieku; przypomniała czytelnikom, żeby przynosili znalezione książki, których nie chcą, do biblioteki miejskiej (w dawnym budynku banku).

Zamieściła ogłoszenia o listach ochotników podzielonych na kategorie: ogrodnictwo, bank żywności, centrum zaopatrzeniowe, giełda odzieży, warta, wypadki zaopatrzeniowe, hodowla zwierząt.

Wzięła gotowy dwustronicowy biuletyn i wyszła do salonu. Chociaż jego umeblowanie można było podsumować określeniem „wczesna amerykańska monotonia”, wszystko to zniknęło pod ręką Fred.

W wazonikach stały wiosenne kwiaty, płytkie misy zapełniały otoczaki z pobliskiego strumienia, a ułożone w ramie skrawki kolorowych materiałów, wstążki i guziki tworzyły fantazyjny obraz. W wyszorowanym palenisku świece tworzyły przyjemny widok, a wieczorem dawały także światło.

Z dwóch frontowych okien zniknęły brzydkie stare zasłony. Zamiast nich Fred powiesiła sznurki kolorowych paciorków, które łapały promienie słońca i zamieniały je w tęcze refleksy.

Arlys pomyślała, że gdy ona starała się informować, Fred instynktownie dążyła do rozjaśnienia i rozweselenia otoczenia. Zastanawiała się, która z nich jest ważniejsza dla społeczności.

Weszła na werandę. Fred skłoniła ją do pomocy w pomalowaniu dwóch starych metalowych krzeseł na słodki, infantylny odcień różu. Na stoliku między nimi stała biała doniczka z białą pelargonią.

Wokół drzwi Fred wymalowała swoje magiczne symbole.

Schodów na werandę z jednej strony strzegła para różowych flamingów, a z drugiej rodzina krasnali ogrodowych. Na wiosennej bryzie pobrzękiwały dzwoneczki wietrzne.

Arlys nazywała ten dom Domem Duszków i czuła się w nim zaskakująco dobrze.

Ludzie spacerowali lub jeździli po ulicy na rowerach. Znała ich twarze, a w większości także imiona, potrafiła określić ich umiejętności lub wady wpływające na życie społeczności. W głębi ulicy zauważyła Billa Andersona – mył wystawę Przeżytków. Przejmował sklep, porządkował go. Ludzie brali to, czego potrzebowali, a większość w zamian oddawała czas i umiejętności.

Nadejdzie taki czas – a ona i grupa, którą uważała za trzon społeczności, często o tym rozmawiali – gdy będą potrzebowali bardziej określonej struktury, zasad, a nawet praw. Prawa zaś oznaczały kary.

Ktoś będzie musiał zarządzać. Już jedna czy dwie osoby usiłowały przejąć kontrolę.

Przeszła na drugą stronę ulicy do piętrowego domu szkolnego. Katie siedziała przy wystawionym na zewnątrz stoliku i karmiła jedno z dzieci. Drugie spało w rozkładanym łóżeczku, a trzecie gaworzyło na leżaczku.

Większości tego, co Arlys nauczyła się o dzieciach, dowiedziała się w ciągu ostatnich tygodni, ale miała pewność, że patrzy na trójkę szczęśliwych, zdrowych i naprawdę ładnych maluchów.

– Daję słowo, że za każdym razem, gdy je widzę, są coraz większe.

– Cała trójka nie narzeka na apetyt – odparła Katie, podnosząc głowę. – Jest zbyt ładnie, żeby siedzieć w środku, więc rozstawiliśmy się tutaj. – Poprawiła ciężarek do papieru na jednej z list zgłoszeń, gdy powiała bryza. – Świeże powietrze wszystkim nam dobrze robi. Dopiero co widziałam Fred.

Arlys pomyślała, że dzień rzeczywiście jest piękny i postanowiła z tego skorzystać, siadając obok Katie.

– Myślałam, że jest w ogrodzie.

– Przyszła po odżywkę do roślin. Nowy biuletyn?

– Owszem, jeszcze ciepły od tej cholernej maszyny do pisania. Jeżeli Chuck kiedykolwiek dokona swojego informatycznego cudu, pocałuję go w usta. Do diabła, zaoferuję mu dowolną usługę seksualną.

– Zaczyna mi brakować seksu – westchnęła Katie. – Czy to nielojalne? Kochałam Tony’ego tak bardzo, ja...

– Nie, to jest nielojalne. To ludzkie.

– Może to dlatego, że zaczynam mieć poczucie stabilizacji, zwłaszcza od kilku ostatnich tygodni. Nie budzę się przerażona co noc. To dziwne wrażenie, ale to, że każdego dnia otwieram oczy w tym samym miejscu, że każdego dnia mam coś do zrobienia, sprawia, że mam poczucie... zadomowienia. Wiem, że nie robię tyle, co reszta, ale...

– To nieprawda. Karmisz i wychowujesz troje dzieci.

– Mam pomoc. Wszyscy mi pomagają.

– Troje dzieci – powtórzyła Arlys. – Prowadzisz spis ludności i zapisy. Zdałam sobie dziś sprawę, że już nie znam imion wszystkich z nas. Twarze tak, ale nie imiona. Ty byś je знаła. Widziałam, jak potrafisz oczarować ludzi, żeby się w coś zaangażowali. Umiesz dogadywać się z ludźmi. Jesteś urodzoną społeczniką.

– Trudno odmówić matce karmiącej albo jej psioczyć. A skoro jesteśmy przy oczarowywaniu ludzi, to przydałaby się nam jeszcze jedna osoba na porannej jodze. To dobrze robi na stres, a ty masz go zbyt dużo. Nie mów, że nie masz czasu. Wszyscy mamy.

– Ta kobieta jest dziwna, Katie.

– Co może być dziwnego w pięćdziesięcioletnim duszku, która mówi na siebie Tęcza? – Katie uśmiechnęła się. – Poza tym to dobra instruktorka. Byłam u niej na kilku zajęciach i mogę ręczyć za jej cierpliwość i wiedzę. Spróbuj, dobrze? Po prostu idź raz. Jeśli ci się nie spodoba, już nigdy nie będę ci zawracać głowy.

– Dobrze, dobrze. Czy ja powiedziałam oczarować? Chciałam powiedzieć terroryzować. – Ale Arlys nabazgrała swoje imię na kartce. – Ile mamy teraz duszków?

Katie sięgnęła do torby i wyjęła notes. Przekartkowała go.

– Ośmioro, bez tych malutkich, które pojawiają się i znikają. Widziałam je zeszłej nocy – w samym jej środku – kiedy Duncan marudził. Po prostu światełka tańczące po podwórku. A dziś rano zobaczyłam, że wzdłuż płotu kwitną kwiaty, których wczoraj nie było. Muszę spytać Fred, co to takiego, ale zdaje się... Może dlatego właśnie przestałam tak się bać.

Ze spokojnym, matczynym wdziękiem przesunęła dziecko – Arlys rozpoznała w nim Duncana – z piersi na ramię.

– Tak czy inaczej ośmioro duszków. Co najmniej ośmioro czujących się z tym wystarczająco swobodnie, żeby się do tego przyznawać. Cztery elfy. Nie jestem pewna różnicy między nimi. Dwanaście osób, które należą do kategorii czarownica/czarodziej/czarownik. I dwadzieścia osiem osób, które mają jakieś zdolności. Jak Jonah. Piątka z proroczymi snami, dwójka zmiennokształtnych – zweryfikowanych – i możesz być pewna, że jest to wstrząsający widok. Mamę czwórkę osób ze zdolnościami telekinetycznymi, alchemika, parę jasnowidzów i tak dalej.

Arlys uświadomiła sobie, że to bardzo dużo. Nie myślała, że aż tyle.

– Wychodzi na to, że ponad dwadzieścia procent społeczności ma magiczne zdolności.

– Myślę, że jest ich jeszcze więcej. Myślę, że są tacy, którzy nic nie mówią, boją się. – Trzymany na ramieniu Duncan cicho, ale wyraźnie beknął. – Mamę również pewien procent – mały, ale obecny – tych, którzy są, no cóż, magicznymi bigotami.

– Kurt Rove.

– Byłby prezesem koalicji antymagicznej. Cieszę się, że przejął pracę w sklepie z paszami dla zwierząt, więc nie ma go tak często w mieście.

– Nawet tam jest upierdliwy z tego, co słyszę.

– Nie rozumiem takich jak on ani tej grupki, którzy się przy nim kręcą. Rachel powiedziała mi, że Jonah musiał wyjść i rozprawić się z Donem i Lou Mercerami, kiedy gonili Bryar Gregory.

– Gonili ją? – Arlys pomyślała o spokojnej, opanowanej Bryar, która na liście Katie figurowała jako jasnowidząca.

– Wyszła na spacer, nie mogła spać. Najwyraźniej Mercerowie siedzieli na werandzie, wypili już kilka piw – może nawet więcej – i ją zauważyli. Szli za nią, dokuczali jej, blokowali drogę, generalnie zachowywali się wstrętnie. Jonah akurat to zobaczył i wyszedł ich powstrzymać. Mogło się zrobić nieciekawie – dwóch na jednego – ale pojawił się Aaron Quince, elf, który chyba się w Bryar durzy. Mercerowie się wycofali. Aaron odprowadził Bryar do domu. – Katie umilkła na moment, ale po chwili podjęła wątek. – Nie rozumiem tego. Kilka miesięcy temu ludzie dosłownie umierali na ulicy. Każdy z nas stracił rodzinę, przyjaciół, sąsiadów. Zostaliśmy tylko my, ale tacy jak Mercerowie, jak Kurt Rove, poniżają i źle mówią o tych z nas, którzy, cóż, mają coś, co może nam pomóc przez wszystko przejść. Ponieważ są inni.

– Mam taką teorię – zaczęła Arlys. – Potężne, poważne kryzysy wydobywają z nas to, co najlepsze lub najgorsze, niekiedy jedno i drugie. A czasem te potężne, poważne kryzysy na niektórych nie mają wpływu. Co oznacza, że bez względu na okoliczności dupki pozostaną dupkami.

– Hm. To dobra teoria. – Katie przytuliła Duncana. – Arlys, wydaje mi się, że Duncan i Antonia... są chyba inni.

– Jak to?

– Śnią. Wszystkie dzieci mają sny, Hannah też, ale one... To coś innego. Mówiłam, że Duncan był niespokojny zeszłej nocy, ale to chyba raczej ekscytacja. To, co mu się śniło, bardzo go ekscytowało. I pewnej nocy w zeszłym tygodniu usłyszałam płacz Hannah. Przestała płakać, zanim doszłam do pokoju dzieciennego. A Duncan był z nią w łóżeczku i nie spał. Zazwyczaj kładę Antonię i Hannah w jednym łóżeczku, Duncana w drugim, tym razem też tak zrobiłam. Ale leżał z dziewczynkami. I on, i Antonia tylko spojrzeli na mnie i uśmiechnęli się. On leżał po jednej stronie Hannah, Antonia po drugiej. Jakby ją uspokajały, by zasnęła.

– To słodkie.

– Owszem. One są słodkie. Opiekują się nią. Czasami mam je razem w kojcu i wychodzę na moment. Wracam, a tam zabawka, której im nie włożyłam. A zeszłej nocy, kiedy karmiłam Duncana, zaczęłam myśleć o Tonym. Jak bardzo by kochał te dzieci, jak bardzo za nim tęsknię. Wtedy Duncan położył rączkę na moim policzku. Poglaskał mnie. Kiedy na niego spojrzałam, patrzył na mnie...

Do oczu napłynęły jej łzy, a Arlys zobaczyła, jak dziecko gładzi matczyne policzek.

– Patrzył na mnie tak samo jak teraz.

Schyliła głowę i go pocałowała.

– Wszystko w porządku, skarbie. Wszystko dobrze. Arlys, los obdarzył mnie trójką pięknych dzieci. Są cudowne. A kiedy myślę o ludziach takich jak Rove i Mercerowie, to się boję. W nich jest nienawiść. Nie trzeba mieć zdolności magicznych, żeby to dostrzec, żeby to wiedzieć. Nienawidzą każdego, kto jest inny.

– To także strach. Nienawidzą tego, czego się boją i nie rozumieją. Ale nas jest więcej, Katie, więcej niż ich. Będziemy się sobą opiekować, tak jak Jonah zajął się Bryar. Tworzymy tu coś nowego. Jeszcze nie wiem co, ale to jest nasze. I nie damy sobie tego zniszczyć. A teraz pójde to opublikować, sprawdzić, co u Rachel. – Arlys podniosła się. – I myślę, że później ogłoszę wydanie specjalne biuletynu. Artykuł redakcyjny. O dupkach.

Teraz Katie się roześmiała.

– No tak, czego się spodziewałam.

– Żebyś wiedziała.

Arlys skierowała się do szkoły, wchodząc w światło równie dziwne, co pięćdziesięcioletni duszek imieniem Tęcza. Magiczne światło miało lekko złoty blask. Przymocowała biuletyn do tablicy korkowej, przejrzała inne powiadomienia. Oferty wymiany jednej umiejętności na inną lub na część mechaniczną. Inni szukali osób zainteresowanych dyskusyjnym klubem książkowym, kółkiem szydełkowania, graniem w softball.

Pomyślała, że ludzie potrzebują ludzi.

Właśnie to tutaj tworzą, mimo grupki durniów, którzy nie widzą nic poza niechęcią do inności.

Ruszyła dalej, skręciła do dawnej części administracyjnej. Przez szklaną szybę zobaczyła, że Rachel i Jonah siedzą skuleni przy biurku.

Arlys zastanawiała się, czy Rachel nie widzi tego, jak on na nią patrzy? Czy tego nie czuje? Mężczyzna był tak wyraźnie w niej zakochany, że nawet Arlys, która uważała się za niewprawną w tych sprawach i na ogół nimi niezainteresowaną, dostrzegła to z daleka.

Zastukała kostkami palców we framugę otwartych drzwi.

– Arlys. – Rachel upuściła ołówek i poruszyła ramionami. – Nowy biuletyn?

– Właśnie go zamieściłam. Po południu będzie wydanie dodatkowe. Nietolerancja kontra akceptacja. Przyzwoitość kontra bycie dupkiem. Redaktor naczelna pozwoliła mi na ostry język. Słyszałam o Bryar i Mercerach. Miała szczęście, że byłeś w pobliżu, Jonah.

Wzruszył ramionami.

– Jestem przekonany, że skopiliby mi tyłek, gdyby Aaron się w porę nie pojawił. Byli na tyle pijani i agresywni, że mogli mnie zaatakować.

– Stawiam na ciebie – powiedziała Rachel. – Opisanie tego, zwłaszcza ostrym językiem, może wzbudzić większą niechęć. Z drugiej strony wyciągnięcie tego wrzodu na powierzchnię i nacięcie go może być lepsze niż pozwolenie, żeby się jątrzył i ropiał.

– To może wymagać czegoś więcej niż słowa – odparł Jonah, po czym wstał i podsunął Arlys krzesło na drugą stronę biurka. – Siadaj – powiedział i oparł się o biurko. – Myślę, że musimy zorganizować spotkanie, i to poważne. Ty, Rachel, Katie, Chuck, Fred, Bill. Dodałbym Lloyda Stensona i Carlę Barker.

– Lloyd był prawnikiem, Carla zastępczynią szeryfa – wtrąciła Rachel. – Lloyd, nie wiem jak to inaczej określić, jest zaklinaczem zwierząt, więc razem z Jonahem daje to trzy osoby o magicznych zdolnościach i wszyscy mają głowę na karku.

– Musimy porozmawiać o oficjalnych prawach, zasadach, konsekwencjach – zaczął Jonah. – Myślę, że powinniśmy spisać coś w rodzaju konstytucji wspólnoty. Kiedy już to zrobimy, trzeba ją zanieść na spotkanie całej społeczności. Ludzie się tu osiedlają i to dobrze. W sumie działamy razem, ale ta sprawa z Bryar to nie pierwsze kłopoty i na pewno nie ostatnie.

– Każdy z nas jest uzbrojony w taki czy inny sposób – zauważyła Rachel. – Co się stanie, jeżeli – a ludzka natura jest, jaka jest – zamiast się zamachnąć pięścią, ktoś wyceluje w kogoś broń? Co by się stało, gdyby Mercerowie zranili Bryar? Musimy być na to przygotowani, zanim do tego dojdzie.

– Zgadzam się – przytaknęła Arlys i pomyślała, że dopiero co rozmyślała nad sformalizowaniem struktury tej społeczności. – Niektórzy nie będą z tego zadowoleni, z zasad i konsekwencji, muszą więc być proste i zrozumiałe. A jeżeli będziemy mieć prawa, to będziemy musieli pilnować ich przestrzegania.

– Mam nadzieję, że Carla zechce się tym zająć – odezwał się Jonah. – Ma doświadczenie, jest spokojna. I może moglibyśmy poprosić Billa Andersona, żeby z nią pracował.

– Billa?

– On też jest spokojny i ludzie go lubią, szanują. Nie jestem pewien, czy zechciałby to robić, ale potrzebujemy kogoś więcej niż tylko Carli. Tak czy inaczej byłby to jakiś początek. Obecnie kierowanie komitetami, bo chyba tak je trzeba nazwać, jest ochotnicze i nie ma kadencyjności.

– Musimy to sformalizować – powiedziała Rachel, stukając ołówkiem w biurko. – Ponieważ nie mieliśmy żadnych pacjentów dziś rano, Jonah i ja próbowaliśmy pracować nad programem. Do tej pory musieliśmy koncentrować się na żywności, schronieniu, bezpieczeństwie, medycynie, dostawach. Teraz potrzebujemy struktury.

Arlys pokiwała głową.

– A ze strukturą wiążą się prawa, obyczaje, hierarchia władzy, konsekwencje. I informacja.

– Mamy to na liście – powiedziała Rachel. – Będziemy musieli wysyłać zwiadowców. Teraz wydaje się, że na świecie zostaliśmy tylko my. Ale ludzie wciąż do nas docierają, więc wiemy, że tak nie jest. Musimy wiedzieć, co się tam dzieje. Może Chuckowi uda się przywrócić

komunikację, ale nie wiemy, z kim będziemy się komunikować ani czym ryzykujemy, jeżeli skontaktujemy się z niewłaściwymi osobami.

– Ludzie są, jacy są – mruknęła Arlys. – Ci Niesamowici też. Posiadanie zdolności magicznych nie immunizuje przeciw przemocy. To tylko kolejna warstwa osobowości. Co my do cholery zrobimy, jeśli ustanowimy prawa i złamie je jeden z naszych Niesamowitych?

– Musimy to jakoś rozpracować.

– Dobrze – odrzekła Arlys i spojrzała wymownie na Jonaha.

– U nas? – zaproponowała Rachel. – Mamy miejsce, a Katie będzie mogła położyć dzieci spać. – Rachel zerknęła na Jonaha. – Dziś wieczorem?

– Im szybciej, tym lepiej.

– Powiem Fred. – Arlys wstała. – I pójde porozmawiać z Billem, pogadam z Chuckiem. Katie jest na zewnątrz. Powiem jej po drodze. Dziewięta?

– Chyba akurat. Carla pracuje w ogrodzie. – Jonah wsunął ręce do kieszeni i patrzył na Rachel. – Skoro nie mamy nic do roboty, chcesz pójść z nią pogadać? Możemy też zebrać pozostałych.

– Pewnie. Wezmę tylko krótkofalówkę. – Rachel wyjęła rządzenia z szuflady biurka, postawiła jedno na biurku z informacją, że lekarka wyszła, ale jest dostępna, a drugie przymocowała do swojego paska.

Przeszli razem do miejsca, w którym Katie przewijała Hannah, a bliźniaki leżały na kocu, piszcząc, machając rączkami i kopiąc nóżkami.

– Zachowują się tak, jakbym im dawała po pół kilograma czekolady – śmiejąc się, podniosła Hannah i przytuliła ją.

Jonah położył dłoń na ramieniu Rachel.

– Słyszysz?

– Co słyszę... a, tak – dodała, gdy dotarli do niej dźwięki zbliżających się silników. – Ktoś jedzie.

– Więcej niż jedna osoba. – Jonah wyszedł na chodnik. Widział też, że inni wychodzą z domów oraz innych budynków. Osłaniając oczy dłonią przed blaskiem słońca, patrzył wyczekująco.

– Jasna cholera.

Rachel wyciągnęła skrzeczącą krótkofalówkę i odbierając komunikat, podniosła jedno z dzieci.

– Strażnik ich puścił! – zawołała do Jonaha i ruszyła ku niemu.

– Nie wiem, czy miał jakiś wybór. Tu musi być jakieś piętnaście samochodów, ciężarówek. I cholerny szkolny autobus.

Arlys i Katie, trzymająca teraz dwójkę dzieci, wyległy na chodnik. Wszyscy razem obserwowali Maksa wprowadzającego swoją grupę do Nowej Nadziei.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Arlys, jednocześnie nieufna i zaciekawiona, przyglądała się uważnie mężczyźnie, który wysiadł z pierwszego samochodu. Wysoki i szczupły, ubrany w dżinsy i czarną koszulkę, miał ciemne, kędzierzawe włosy i znoszone buty na nogach. Zrobił na niej wrażenie twardego i przystojnego; cechował go ten dość niechlujny wygląd człowieka podróżującego od wielu dni, a może tygodni.

Pomyślała, że nowo przybyły ma w sobie coś wyjątkowego, jakąś niezbitą pewność siebie i moc. Jedną ręką ściągnął okulary przeciwsłoneczne, drugą dał znać swojej kolumnie, żeby zaczekać. Ciągnął się za nimi długi sznur samochodów i ciężarówek – więcej niż szacowane przez Jonaha piętnaście. Niektóre wiozły coś, co wyglądało na przyczepy dla koni.

Mężczyzna bacznie lustrował wzrokiem ulicę oraz zgromadzonych na niej ludzi i wydawał się osądzać, czy są przychylnie nastawieni czy agresywni. Wydawał się przygotowany na jedno i drugie.

Stojący obok niej Jonah przestąpił z nogi na nogę, po czym ruszył do nowo przybyłego.

– Jonah Vorhies. – Po trwającym ułamek sekundy wahaniu Jonah wyciągnął rękę.

– Max Fallon. – Max przyjął zaoferowaną dłoń. – Ty tu rządzisz?

– Noo...

Arlys postanowiła się kierować instynktem i zmierzając w ich stronę, z daleka już zaczęła mówić.

– Przybyliśmy tu pierwsi. Jestem Arlys Reid.

Od strony pasażera wysiadła kobieta. Max natychmiast posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Długie jasne włosy miała spięte w koński ogon, a koszulka opinała niewielki ciężowy brzuch.

– Ja cię znam – powiedziała, obchodząc maskę auta. – Oglądałam twoje programy.

Kierowaliśmy się nimi aż do chwili, gdy wyjechaliśmy z Nowego Jorku. Jestem Lana. Max i ja mieszkaliśmy w Chelsea.

Położyła dłoń na ramieniu Maksa.

– Podążaliśmy za waszymi znakami – dodała. – Od...

– Na południe od Harrisburga – uzupełnił Max, kiedy Lana na niego spojrzała. – Po drodze dołączali do nas inni.

– Tak, widzę. – Jonah nie ruszył się z miejsca, kiedy z tylnego siedzenia wysiadł chudy chłopak i merdający ogonem pies. – Ile was jest?

– Dziewięćdziesiąt siedem osób, osiemnaścioro poniżej czternastego roku życia. Osiem psów, w tym dwa szczeniaki, trzy krowy mleczne, dwie rasy holsztyńskiej, jedna Guernsey oraz byczek. Dwa cielęta Black Angus. Pięć koni, w tym ciężarna klacz, osiem kotów, jakiś tuzin kur i kogut.

Jonah gwizdnął.

– To dużo. Jesteście największą grupą, jaka przyjechała, nie licząc żywego inwentarza.

Chcecie się tu osiedlić?

– Nowa Nadzieja. Oto, co ludziom dało podążanie po waszych śladach. – Max obejrzał się za siebie, kiedy wzdłuż sznura pojazdów ruszyli ku nim muskularny czarnoskóry mężczyzna i groźnie wyglądający biały.

Arlys też na nich zerknęła z roztargnieniem, ale zaraz przyjrzała się uważniej. Serce dosłownie podskoczyło jej w piersi.

– O mój Boże! O Boże! – zawołała. – Will? Will Anderson. – I popędziła ku niemu, frunąc z radości, po czym rzuciła mu się na szyję.

Poczuła, jak sztywnieje i zaczyna się cofać.

– To ja, Arlys, Will. Arlys Reid.

– Arlys? – Odsunął ją gwałtownie i spojrzał ciemnoniebieskimi oczami. – Jezu. Jezu. Arlys.

Mój tata? Gdzie jest mój tata?

Ścisnęła mocno jego ramię, poczuła, jak drży, i wskazała w górę ulicy, gdzie Bill szedł wzdłuż sznura samochodów.

– Tato!

Bill zatrzymał się, i gdy nogi się pod nim ugięły, jedną ręką oparł się o samochód, a drugą wyciągnął w kierunku syna. Will rzucił się do niego biegiem.

– Nowa Nadzieja – mruknęła Lana, obserwując, jak ojciec i syn się obejmują. – Wszyscy tego potrzebujemy. Wszyscy tego szukamy.

– Bill nigdy się nie poddał – westchnął Jonah. – Wygląda na to, że mamy pierwszy korek w Nowej Nadziei. Chyba będzie lepiej, jak go jakoś rozładujemy. Mamy system. Wciąż nie działa idealnie, ale zawsze to coś. Może zaczniemy od zaparkowania części pojazdów na szkolnym parkingu.

– Czy jest jakieś miejsce, w którym możemy wyprowadzić zwierzęta? – spytał Max. – Będą potrzebowały jedzenia i wody.

– Ach. – Jonah podrapał się po karku. – Rachel, powinniśmy skontaktować się z kimś, kto jest na farmie. Do niedawna właściwie nie była to farma – wyjaśnił Maksowi. – Jest ich kilka, ale zbyt daleko od miasta, żeby były bezpieczne, więc improwizujemy. Mamy kilka krów, parę koni, kozę i trochę kur. A prócz tego sklep z paszą, ale trzeba jej będzie więcej zdobyć dla zwierząt, które przywieźliście. Mamy trochę siana. Nie potrafię wiele o tym powiedzieć. Nie jestem farmerem.

– Z nami jest dwóch.

– Coraz lepiej. Aaron! – Jonah dał znak człowiekowi stojącemu po drugiej stronie ulicy. – Możesz zorganizować kilka osób, które zaprowadzą przyczepy na farmę i pomogą w ich rozładowaniu? – Pochylił się, by pogłaskać psa, który przyszedł go obwąchać. – Dobry pies.

– Najlepszy na świecie. To Joe. A ja jestem Eddie. Mogę pomóc przy zwierzętach – poinformował. – Ja też cię oglądałem w telewizji – zwrócił się do Arlys. – Masz tu śliczne szkraby – dodał, uśmiechając się na widok dzieci. – Też mamy kilkoro.

– Wstawmy część aut na parking. Przekażesz tę informację dalej, Poe?

– Jasne.

– Kiedy się z tym uporacie, przyjdźcie się zarejestrować. Staramy się na bieżąco kontrolować stan społeczności. Imię, wiek, umiejętności. – Jonah zrobił nieokreślony ruch ręką. – Zajmuje się tym Katie. Chociaż przy tylu osobach przydałaby jej się pomoc.

– Poradzę sobie – odparła Katie. – W którym jesteś miesiącu? – zapytała Lanę.

– Mniej więcej cztery i pół za mną. Czy to... trojaczki?

– Wszystkie moje.

Lana westchnęła i przyłożyła dłoń do brzucha.

– Jeju. – Spojrzała na Maksa. – Jeju.

Na co on objął ją ramieniem i pocałował w skroń.

– Zjedźmy z drogi.

– Ty to zrób. Ja tu poczekam. Mogę... nas zarejestrować, Max. – Poklepała go po piersi, gdy się zawahał. – Zaufanie idzie w obie strony. Mieliśmy kłopoty po drodze – dodała.

– Jak my wszyscy. Są z wami jacyś medycy? – spytała Rachel.

– Emerytowany pielęgniarz, jest świetny. No idź. – Lana szturchnęła Maksa. – Robiąca postępy dziewczyna ze szkoły pielęgniarzkiej. Weterynarz. Strażak i dwóch gliniarzy przeszkolonych w udzielaniu pierwszej pomocy. Żadnych lekarzy, ale...

– Rachel jest lekarzem – wtrąciła Katie. – A Jonah ratownikiem medycznym.

– Lekarz. – Lana znów przycisnęła dłoń do brzucha i spojrzała na Rachel z ulgą w oczach. –

Max.

Pogładził ją po plecach.

– Zaraz wrócę. Czująby się lepiej, gdyby lekarz zbadał ją i dziecko.

– To właśnie zrobimy. Lana, dobrze zapamiętałam?

– Lana Bingham – przedstawiła się i podchodząc do Rachel, wyciągnęła ku niej rękę. – Mam dwadzieścia osiem lat. Jestem szefem, byłam szefem kuchni. Ja...



Drgnęła zaskoczona, kiedy Duncan wyciągnął do niej rączki. Gaworząc, wiercił się w ramionach matki i odwracał się ku Lanie.

– O urodzeniu dziecka i tym, jak to jest, kiedy już się je urodzi, nie wiem prawie nic. – Wyraźnie zdenerwowana wzięła Duncana na rękę.

Gdy położył rączki na jej piersi, niemal natychmiast poczuła spokój. Jego światło przenikało ją tak wyraźnie jak to, które czuła w sobie.

Spoglądała uważnie w jego typowe dla niemowlęcia niebieskie oczy, które miały już zieloną obwódkę.

– Jest wyjątkowy, to znaczy śliczny. – Mówiąc to, nie odrywała od niego oczu. – Jeżeli nie chcecie w Nowej Nadziei Niesamowitych, powiedzcie nam o tym teraz.

Duncan zacisnął dłoń na jej palcu, a światło roziskrzyło się.

– Jest wyjątkowy – zgodziła się ze spokojem Katie. – Tak samo jak jego siostra, Antonia. Jak Jonah i wiele innych osób.

Do oczu Lany napłynęły łzy, gdy dotknęła policzkiem główki Duncana.

– Przepraszam, to hormony. Tak mówi Ray, nasz pielęgniarz.

– Katie, może spisziesz informacje Lany? Gotowałaś zawodowo? – zapytała Rachel.

– Tak, i wierz mi, o wiele lepiej znam się na filetowaniu antara patagońskiego niż na ciąży, porodzie czy byciu matką.

– Wielu rodziców tak ma. Ja z kolei fatalnie gotuję. Mogę wymienić wiedzę położniczo-ginekologiczną na lekcje gotowania. A poza tym, że jesteś szefową kuchni?

– Czarownica.

– I jesteś z Maksem? – Katie, przy stoliku, zapisywała te informacje w tak swobodny i praktyczny sposób, że Lana się uśmiechnęła.

– Tak. On jest ojcem i moim mężem. Max Fallon. Ma trzydzieści jeden lat. Mogę powiedzieć bez cienia przesady, że potrafi zrobić wszystko, co trzeba. To dzięki niemu ta grupa trzyma się razem, ci wszyscy ludzie. Jest pisarzem, ale...

– Max Fallon. – Katie podniosła wzrok. – Nie skojarzyłam. Mój mąż uwielbiał jego książki. Mamy ich trochę w bibliotece.

– Macie bibliotekę? – zdziwiła się Lana.

– Mamy bibliotekę, wspólny ogród, ośrodek opieki dziennej i przychodnię medyczną. Czy Max również ma inne umiejętności?

– Czarodziej.

– Chciałabyś, żeby Max ci towarzyszył podczas badania? – spytała ją Rachel.

– Tak, proszę.

– Przyślij go, Katie. Zabiorę Lanę do środka, żeby oswoiła się z nowym miejscem.

Jonah zabrał od niej Duncana i patrzył, jak Lana wchodzi do budynku z Rachel.

– Są zdrowi. – Położył Duncana na kocyku. – Nie mogłem nie zobaczyć. Zdrowi i silni.

A dziecko... emanuje z niego coś bardzo jasnego. Nie wiem, jak to opisać. Coś... więcej. – Urwał na widok Maksa.

– Właśnie weszły. Zaprowadzę cię.

Gdy Lana przebierała się w fartuszek do badania lekarskiego, Rachel opowiadała, że leki i wyposażenie zabierali po drodze ze szpitali i przychodni.

– Wciąż potrzebujemy więcej rzeczy, ale nie mieliśmy na nie miejsca. A części z tego, co mamy, nie wykorzystamy, dopóki nie będzie prądu. Trzymaj kciuki. Wejdz, Max. Po pierwsze, mówisz, że to cztery i pół miesiąca, zatem osiemnasty tydzień?

– Została poczęta drugiego stycznia. To pewne.

– Data ostatniej miesiączki?

– Nie pamiętam, ale znam datę poczęcia.

– W porządku. – Rachel podeszła do kalendarza na ścianie, odwróciła się i policzyła. – Osiemnaście tygodni, trzy dni. Czyli termin porodu wypada... czterdzieści tygodni od poczęcia, dwudziestego piątego września.

– Ale przecież dziewięć miesięcy to początek września.

Rachel puściła kartki kalendarza i uśmiechnęła się.

– Ciąża trwa bliżej dziesięciu miesięcy. Czterdzieści tygodni.

– To dlaczego mówią, że dziewięć? Widzisz – zwróciła się do Maksa. – Nic nie wiem.

– Teraz wiesz.

– Wiesz, ile ważyłaś przed ciążą? – spytała Rachel, wskazując na wagę.

– Pięćdziesiąt dwa i pół kilograma. O Boże, muszę na to wejść, prawda? – Lana, zrezygnowana, weszła na wagę, ale zamknęła oczy.

– Wzrost sto sześćdziesiąt osiem centymetrów. Waga pięćdziesiąt siedem kilogramów.

– Cztery i pół kilograma? – Lana szeroko otworzyła oczy. – Cztery i pół?

– Doskonale, jak na ten etap ciąży. Przy twoim wzroście i budowie przyrost masy ciała od jedenastu do szesnastu kilogramów będzie akurat. Ale każdy jest inny, więc się nie przejmuj.

– Powiedziałaś szesnaście kilogramów. Myślałam, że Ray przesadza.

– Usiądź proszę na stole, nie krzyżuj nóg. Sprawdzimy ciśnienie krwi. Jak sypiasz?

– To zależy. Ciągle mi się coś śni.

– Nie zawsze mogliśmy się zatrzymywać ani szukać dobrego schronienia na noc – dodał

Max.

– Mmm. Ciśnienie krwi jest dobre. – Rachel je zapisała. – Poranne mdłości?

– Żadnych. Od czasu do czasu kręci mi się w głowie i nieustannie jestem głodna.

– Alergie, schorzenia, jakieś leki?

– Nie, nic.

– To twoja pierwsza ciąża?

– Tak.

Rachel zadawała pytania, Lana odpowiadała, Max wędrował po sali.

– Czulaś jakieś ruchy?

– Chyba... poczułam coś... Kiedy zobaczyliśmy znak? Ten z napisem Nowa Nadzieja?

Poruszyła się. To było niesamowite uczucie.

Max odwrócił się.

– Nic nie powiedziałaś.

– Rozmawiałeś przez krótkofalówkę z Poem. Martwiłeś się. Nie wiedzieliśmy, jak zostaniemy tu przyjęci, nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać. I to nie było to łaskotanie, które czułam wcześniej. Ray nazwał to pierwszymi ruchami płodu. To było coś innego.

Przypominało radość. Czy to normalne?

– Pomiędzy osiemnastym a dwudziestym tygodniem dobrze jest czuć już ruchy dziecka.

Będziesz je czuła częściej, ale nie martw się, jeżeli nie codziennie. „Nie martw się” to mantra dla ciężarnych.

Rachel zerknęła na ultrasonograf i westchnęła.

– Połóż się proszę i postaw tu stopy. – Sięgnęła po rękawiczki. – Muszę przeprowadzić badanie wewnętrzne. Kiedy wszystko uruchomimy, będę mogła zrobić USG.

– To? – Wskazał dłonią Max.

– Tak. Kiedy uda się to włączyć, zobaczycie dziecko na monitorze, usłyszycie bicie jego serca. Będę mogła określić jego wagę i wzrost, sprawdzić mnóstwo rzeczy. Być może będę w stanie – jeśli zechcecie – ustalić płeć.

– To dziewczynka. Wiem to tak samo, jak znam datę jej poczęcia. Wiem, że jest zdrowa i silna, ale...

– ...się martwisz.

– Nie martwiłabyś się, gdybyś mogła zobaczyć ją na USG? – zapytał Max.

Wiedząc, że przyszli rodzice martwią się o wszystko, nawet w normalnych okolicznościach, Rachel posłała Maksowi uspokajający uśmiech.

– Dzieci przychodziły na świat zdrowe i silne na długo przed ultradźwiękami.

– Ale?

– Jestem lekarką. Chciałabym móc skorzystać ze wszystkiego, co możliwe.

– Mogę w tym pomóc.

Max podszedł do urządzenia i położył na nim dłoń. Rachel poczuła, że powietrze wokół niej wibruje, po czym maszyna zabrzęczała.

Lana wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia Maksa.

– Max ma talent do urządzeń, silników, aparatury.

Na mgnienie oka profesjonalizm i spokój na twarzy Rachel ustąpiły miejsca radości.

Uniosła pięść w triumfalnym geście.

– Tak! Mamy tu inżyniera i elektryka oraz informatyka i wszyscy będą chcieli cię jak najszybciej poznać.

– A możesz tego teraz użyć, żeby zbadać Lanę i dziecko?

– Sprawdźmy. Gdybym wiedziała, że jest taka możliwość, nie musiałabyś zdejmować bielizny.

– Jeśli uważasz, że wstyd tu gra jakąś rolę, to nie.

– No dobrze.

Rachel wyciągnęła tubę żelu i naciągnęła gumowe rękawiczki.

– Posmaruję tym twój brzuch. – Podniosła rąbek fartuszka.

– Czy to będzie bolało? – spytał Max i wziął dłoń Lany.

– Nie, to całkowicie bezbolesne badanie. – Rachel przyłożyła głowicę ultrasonografu do posmarowanego żelem brzucha. – Tam. – Ruchem głowy pokazała monitor. – To wasze dziecko.

– Nie za bardzo tu... O Boże, widzę! – Lana zacisnęła dłoń na ręku Maksa. – Widzę ją.

Porusza się. Czuję jej ruchy.

– Słyszycie? To jej serce bije dobrze i mocno. I patrząc na rozmiary, widzę, że z datą poczęcia jest tak, jak mówiliście.

– Jest taka malutka. – Max wyciągnął rękę i obrysował kształt na monitorze.

– Widziałam większe papryki – zgodziła się Lana. – Czy dobrze się rozwija?

– Czternaście centymetrów, sto czterdzieści gramów. Tyle, ile powinna mieć. I ponownie muszę ci przyznać rację. To dziewczynka.

– Widzę jej palce. – Lanie łamał się głos. – Ona ma paluszki.

– Osiem palców, dwa kciuki – potwierdziła Rachel. – Przyjrzymy się jej bliżej. Sprawdź serce, mózg, inne narządy, ale powiem, że widzę tu idealnie ukształtowany osiemnastotygodniowy płód płci żeńskiej. Jak długo to będzie działało? – zwróciła się do Maksa.

Wciąż śledząc ruchy dziecka, przyłożył dłoń Lany do ust.

– A jak długo potrzebujesz?

Rachel sama była niemal bliska płaczu.

– Jeżeli nie powiedziałam tego wcześniej, to powiem teraz. Witamy w Nowej Nadziei.

\* \* \*

Lana wyszła z gabinetu, ściskając listę nakazów i zakazów. Przy stoliku Katie ustawiła się kolejka ludzi. Lana spostrzegła Raya i podeszła do niego, żeby się przywitać.

– Mówiłem ci, mamusiu.

– Lekarka powiedziała, że jest idealna. Obie jesteśmy idealne. Chciałaby porozmawiać z tobą i Carly, kiedy się już tu zdomowicie. I wiesz, Ray, polubiłam ją. Bardzo mi się spodobała.

Poklepał ją po policzku dużą, szeroką dłonią.

– Miałaś rację, podążając za znakami.

– Cześć, jestem Fred. – Doskoczyła do Lany cała w skowronkach. – Ty jesteś Lana, prawda, i Max? Przywieźliście syna Billa. Oszalał z radości. Są w Przeżytkach. Myślę, że potrzebują spędzić razem trochę czasu. Ale Jonah powiedział, żebyś was oprowadziła i pokazała dom, który według niego wam się spodoba. Jeżeli chcecie.

– Naprawdę muszę sprawdzić kilka rzeczy – powiedział Max do Lany. – Kilka osób.

– Idź. Ja pójdę z... Fred? To zdrobnienie od Fredriki?

– Nie, od Freddie. Moja mama była ogromną fanką Freddiego Mercury'ego. No wiesz, Queen?

– Tak – roześmiała się Lana. – Chętnie się rozejrzę i zobaczę dom.

– Jest po drugiej stronie ulicy. Widzisz? – Wskazała na stojący kilka domów dalej piętrowy budynek z werandą. – Kiedyś był większy. Przerobili drugą część na mieszkania. Są nieco przestarzałe i wymagają remontu, ale dom jest całkiem niezły.

– Chciałbym go obejrzeć.

– Rób to, co musisz. – Ucałowała Maksa i poszła z Fred.

– Mieszkam tutaj. Razem z Arlys.

– Spotkałaś ją po drodze?

– Nie, pracowałyśmy razem w Nowym Jorku. Byłam stażystką w stacji. – W uszach Fred dyndały kolczyki z wielobarwnymi koralikami. – Chuck ma tam piwnicę, są z nim teraz Bill i Jonah. Arlys i ja dotarliśmy do Hoboken do Chucka – on jest hakerem, był jej głównym informatorem.

– Jak dostałyście się do Hoboken?

– Przez tunele metra.

Lana stanęła jak wryta.

– Przeszłyście przez tunel? Same z Arlys?

– Musiałyśmy. To było straszne. Momentami naprawdę straszne, ale to już za nami.

Dotarliśmy do Chucka, a od niego wyjechaliśmy jego hummerem. Chuck usiłuje postawić komunikację. Jeśli ktokolwiek da radę, to tylko on... Po drodze spotkaliśmy Jonaha, Rachel, Katie i dzieci. Uwielbiam dzieci. I pojechaliśmy do Ohio, ponieważ rodzina Arlys, ale...

– Przykro mi.

– ...ale poznaliśmy Billa, który się tu z nami zabrał. Po drodze zostawialiśmy dla Willa znaki. I spotkaliśmy Lloyda i Rainbow... Wiem, że dużo mówię. Jestem podekscytowana.

– Ja też.

Schody prowadziły prosto z chodnika na werandę. Fred otworzyła drzwi.

– Ktoś ten dom przerobił, na, jak to się mówi, plan otwarty.

– Tak.

Lana pomyślała, że jest przestronnie i nawet mimo niewielkich okien od frontu do środka wpada całkiem sporo światła.

– Możesz zmienić meble, jeśli chcesz. Nikt nie ma nic przeciwko, jeśli zamieniasz meble na te z pustych domów. Choć teraz już nie będzie tylu pustych. Cieszę się.

– Dam sobie radę. Dzięki.

Ktokolwiek tam mieszkał, lubił prostotę. Szarość kanapy przywodziła na myśl kolor oczu Maksa. Były też szaro-granatowe krzesła, stoły z ciemnego drewna na dębowej podłodze i kominek z szerokim gzymsem.

Ale najbardziej spodobała jej się kuchnia. Na całym parterze położono jednakową podłogę, sprawiało to wrażenie ogromnej przestrzeni, obszar kuchenny odróżniał się jednak szafkami z jasnego drewna i blatem z ciemnoszarego granitu.

Klasnęła w dłonie z radości na widok sześciopalnikowej kuchenki, urządzeń ze stali nierdzewnej i dużego blatu do pracy. Ucieszyła się też z dwóch piekarników i szerokich przeszklonych drzwi na ogródek, przez które wpadało dużo światła.

– To dobra kuchnia.

– Wszystko jest zakurzone, ale...

– Posprzątam. To dobry dom. Ma ładne podwórko. Słyszałam, że jest tu ogród społecznościowy. Są w nim ziola?

– Pewnie. Wiele z nich sadziliśmy z nasion, ale mamy mnóstwo ziół.

– A mogłabym dostać trochę nasion albo rozsadzić te ziola? Kogo mogę o to pytać?

– Właściwie to mnie, więc jasne. Chcesz obejrzeć górę?

– Tak.

– Katie powiedziała, że gotowałaś w restauracji w Nowym Jorku.

– Owszem. Pełniłam funkcję *sous chefa* – takiego jakby zastępcy szefa kuchni – wyjaśniła.

– Pracowałam w Delray's. Trzy i pół roku.

– Znam Delray's! – Fred poprowadziła ją schodami. – To znaczy czytałam recenzje. Nie

było mnie stać na to, żeby tam jadać, ale czytałam opinie. Popularny lokal.

– To były czasy – mruknęła Lana. – Ugotuję ci coś.

– Naprawdę? Jeżeli przyniosę ci ser, zrobisz lazanie?

– Jeśli przyniesiesz mi ser, zrobię ci najlepszą lazanie, jaką jadłaś.

– Mamy krowy mleczne i kozę. Teoretycznie gdy ma się mleko, można zrobić ser i masło.

Ser jest trudniejszy, ale pracuję nad tym. Znalazłam książkę i używam pokrzyw oraz ostów na... jak to się nazywa?

– Podpuszczka. To bardzo sprytne, Fred.

– Zrobiłam trochę twarogu i nie wyszedł taki zły. Przy okazji, jestem duszkiem.

– Powinam była się domyślić. Bije od ciebie blask.

– Twoje dziecko promieniuje blaskiem. Jonah tak powiedział. Widzi takie rzeczy. Ja je czuję, ale on je także widzi. To będzie bardzo przyjemny pokój dziecięcy.

Rozmyślając o dziecku, o świetle, Lana zajrzała do pokoju gościnnego, które służyło także za domowe biuro. Ale Fred miała rację. To będzie przyjemny pokój dziecięcy. Nie za duży, nie za mały, dobrze doświetlony, z oknem wychodzącym na tył domu.

– Możemy to powynosić i znaleźć mebelki dla dzieci.

– Nie wiem nawet, czego dziecko potrzebuje.

– Ja ci pomogę. I Katie. Katie teraz wie o dzieciach wszystko. I ma ubranka dla noworodków. Właśnie rusza kółko szydełkowania. Na pewno zrobią coś dla dzieci.

– Kółko szydełkowania. Duszek robiący sery, lekarka, dom z dobrą kuchnią i ładne podwórko. To jakiś sen.

– Jest trochę minusów. Na wszelki wypadek musimy mieć strażników. I prawie wszyscy nas akceptują, a większość się cieszy z naszej obecności, bo pomagamy.

Lana nie musiała nawet usłyszeć „ale”, żeby o nim wiedzieć.

– Nie wszyscy akceptują Niesamowitych.

– Nie wszyscy, nawet jeżeli nie powiedzą tego wprost. Dzieje się jednak więcej dobrego niż złego. – Zmieniła temat. – Druga sypialnia jest większa i całkiem ładnie urządzona. Łazienka jest tutaj. Na dole jest tylko kibełk i umywalka. Musiała zostać niedawno odnowiona, bo jest całkiem nowoczesna. Nie tak jak mieszkanie.

Lana weszła do sypialni i usiadła na brzegu łóżka.

– Jesteś zmęczona? Możesz się położyć – zaproponowała Fred.

– Nie jestem zmęczona. Jestem przytłoczona. Można zacząć wątpić w istnienie prawdziwej życzliwości. A potem okazuje się, że tak. Jesteśmy bardzo wdzięczni.

– Mamy tylko siebie. Powinniśmy być życzliwi. – Fred usiadła obok Lany. – Społeczność korzysta z waszych zdolności i dzięki temu wszyscy jesteśmy silniejsi. Mogę dotknąć dziecka?

– Jasne. – Lana wzięła dłoń Fred i przycisnęła ją do brzucha.

– Ona kopie!

– Dopiero dziś zaczęła.

– Też jest szczęśliwa. Nie zgłodniałaś? Mamy w domu gotowe dania.

Życzliwość, pomyślała Lana. Zwyczajna życzliwość.

– Zawsze jestem głodna albo raczej ona jest. Ale bardzo chciałabym zobaczyć ogrody.

– Tak? To przyjemny spacer. Możemy się zatrzymać i przy okazji coś przekąsić.

– Królowo Fred – powiedziała Lana, a Fred zachichotała. – Bardzo chętnie. Dawno nie spacerowałam tylko dlatego, że to przyjemne.

\* \* \*

W budynku szkoły podstawowej Rachel zabrała się do przeanalizowania informacji o nowych pacjentach – zbadała siedemdziesiąt dwie osoby z grupy Maksa – i sporządzenia dodatkowych notatek.

Zza szyby przyglądał jej się ukradkiem Jonah wracający z gabinetu pielęgniarki, w którym przechowywali zapasy. Niedawno Clarice, właścicielka salonu fryzjerskiego w normalnych czasach, zrobiła jej nową fryzurę. Wokół twarzy Rachel tańczyły sprężynki elegancko przyciętych

włosów.

Westchnął. Wspólnie zakładali tę przychodnię i często spędzali długie godziny na pracy. Szanował ją jeszcze bardziej jako osobę i lekarza, ale lepiej ją także poznawał. Dowiedział się o niej wielu nowych szczegółów. Lubiła na przykład powieści science fiction, zdobyła szkolną odznakę w konkurencjach lekkoatletycznych, nigdy nie jeździła konno i trochę się tych zwierząt bała. Kolekcjonowała kiedyś dozowniki pudrowych pastylek – co uznał za śmiesznie urocze.

Wiedział, że przez rok wynajmowała dom z grupą innych stażystów, a rozgrywające się tam melodramaty zmusiły ją zredukowania wydatków do minimum, inaczej nie mogłaby wynajmując umeblowanej kawalerki.

Wiedział, kiedy potrzebowała przerwy, pięciu minut dla siebie. I wiedział, że to, co do niej czuje, co o niej myśli, ulega zmianie. To już nie było zauroczenie. Nie miał pojęcia, co z tym zrobić.

Podniosła wzrok. Zauważył zmęczenie w jej oczach i lekkie zdziwienie.

Aby ukryć fakt, że się na nią gapił, podszedł do drzwi.

– Przepraszam. Nie chciałem cię odrywać od pracy.

– Właśnie skończyłam. A raczej skończę, kiedy to wszyscy włączę do dokumentacji.

– Ja to zrobię. Ty odpocznij. Ray nas nieco odciąży, prawda?

– Jest chętny i wie, co robić. Prócz niego jest jeszcze Carly, ta studentka pielęgniarstwa.

Zdobyła trochę doświadczenia podczas podróży tutaj, ale wymaga szkolenia.

Ewidencjonował informacje o pacjentach, podczas gdy Rachel rozcierała kark.

– Ból głowy?

– Przeciążenie – mruknęła. – Mamy cukrzyka typu 2. Dobrze sobie z nim radzili, znaleźli leki doustne, tyle że jest ich za mało. Kilka innych osób też stale przyjmuje leki – nadciśnienie, antydepresanty, beta-blokery, leki przeciwzakrzepowe, inhalatory na astmę i tak dalej.

Pokiwał głową, po czym zebrał dokumentację w kupkę i porządnie ją ułożył.

– Przyszedłem ci właśnie powiedzieć, że będziemy potrzebować więcej leków. Nawet tych podstawowych jest za mało po dzisiejszym dniu. Coś tam mamy – powiedział, odwracając się do niej. – Ale właśnie doszło sto osób. Czas wybrać się na poszukiwania.

– Pojadę z tobą.

– Jesteś tu potrzebna. Sprawdzimy, kto by się do tego najlepiej nadawał, i zachęcimy, żeby się zgłaszali. Powinniśmy też przełożyć spotkanie na później, przynajmniej o jeden dzień. Za dużo się dzieje. A gdy już je zorganizujemy, i jeśli do tego czasu będziemy się z nimi dobrze dogadywać, to prawdopodobnie trzeba by było zaprosić Maksa i... Lanę? Ona ma imię Lana, prawda?

– Tak, i zgadzam się, że powinniśmy ich wziąć pod uwagę. Bill będzie chciał wziąć swojego syna.

– Jego też lepiej poznam. Wprowadza się do nas. Przejechał setki kilometrów, by znaleźć ojca. To wiele mówi o jego sercu i charakterze.

– I tu też się zgadzam. W jednej tylko sprawie mam odmienne zdanie. Nie uważam przełożenia spotkania za konieczne ani możliwe. Katie zajmowała się zapisami, a Lloyd przez jakiś czas jej w tym pomagał. Oboje przyszli mi powiedzieć, że Kurt Rove, Mercerowie i Denny Wertz obserwowali ich z drugiej strony ulicy. Katie widziała, jak Mercerowie naskakują na jakiegoś dzieciaka – nastolatka z psem. Podobno jeden z nich wygadywał coś złego pod jego adresem i groził uspieniem psa, kiedy ten na nich warknął.

– Cholera. Dlaczego Katie nie posłała po mnie?

– Miała taki zamiar, kiedy przypałała się do nich Rove, a ludzie z grupy Maksa mu odpowiedzieli. Podszedł sam Max. Cokolwiek powiedział lub zrobił, Rove i Mercerowie się wycofali. Potrzebujemy tych zasad, Jonah. Musimy utrzymać porządek. I jesteśmy z tym już spóźnieni.

– W porządku. – Potarł twarz. – Dobrze. Mamy około trzech godzin. Dodać Maksa, Lanę i Willa Andersona?

– Myślę, że tak. Mogę po drodze zajrzeć do Maksa i Lany. Ty porozmawiaj z Willem.

– Potrzebujesz przerwy, Rachel. Kiedy ostatnio coś jadłaś?

– To był długi dzień, doktorze Vorhies.

Otworzył szufladę biurka i wyjął batonik proteinowy.

– Dlaczego nie robią ich o smaku lodów z sosem karmelowym albo soczystej pieczeni wołowej? – Rozdarła opakowanie i ugryzła kęs. – Są po prostu okropne. Dobrze, że przynajmniej kiedyś się skończą.

– Może będziemy ich szukać tak jak w filmie szukali nadziewanych ciasteczek Twinkies.

– *Zombieland*. – Roześmiała się. – Uwielbiam ten film. O, kolejna dobra wiadomość jest taka, że nie grozi nam najazd zombie.

– Na razie.

– Ty to potrafisz mnie pocieszyć, Jonah.

– A może pójdziemy na spacer? Przyda ci się trochę świeżego powietrza i zmiany otoczenia.

Pójdziemy powiedzieć Maksowi o spotkaniu, zawiadomimy Billa i jego syna. Może wybierzemy się na przechadzkę do ogrodów.

– Spacer by mi się przydał.

Wstała, zapomniał się od niej w porę odsunąć. Uprzymnił sobie naraz, że przyjął przecież poród bliźniąt w beznadziejnych okolicznościach, że potem wydostał te bliźniaki i ich matkę, a także Hannah i Rachel z Nowego Jorku. W ciągu ostatnich czterech miesięcy robił masę rzeczy, co do których nigdy by nie przypuszczał, że je potrafi ani że im podoła.

Dlaczego więc w tej sprawie nie potrafił uczynić pierwszego kroku?

Nie odsunął się i zdał sobie sprawę, że ona też nie.

– Chciałbym cię o coś zapytać.

– Dobrze. – Nie odrywała wzroku od jego oczu.

– Czy gdyby nic z tego, co się stało, nie wydarzyło się, gdyby świat był taki jak dawniej, a ja zaprosiłbym cię na drinka albo może do kina, to zgodziłabyś się pójść ze mną?

Nie odpowiedziała od razu.

– A na jakiego rodzaju film? To ma znaczenie. Gdybyś mnie spytał, czy pójdę na jakiś zagraniczny artystyczny film z napisami, odpowiedziałabym „nie”. To nie jest sposób na relaks po całym dniu pracy na oddziale ratunkowym.

– Nigdy nie widziałem zagranicznego artystycznego filmu z napisami.

– W takim razie może. – Oczy koloru ciemnej czekolady patrzyły na niego spokojnie. – Czasem trudno mi sobie przypomnieć, jak wyglądał tamten świat. Ale może. Dlaczego nigdy mi tego nie zaproponowałaś?

– Cóż... Zbierałem się do tego.

– Aha, no jest, jak jest, więc kino odpada. Masz jakąś inną propozycję?

– Nie chcę zapeszyć, nie chcę, żeby się między nami popsulo. Musimy tu pracować i dbać o jakiś ład. Więc jeżeli nie jesteś za...

– Och, na miłość boską.

I przewróciwszy oczami, położyła mu dłoń na karku, po czym przyciągnęła go do siebie i zamknęła mu usta pocałunkiem.

Poczuł, że topnieje. Że te wszystkie pragnienia, które go trapiły, zmieniają się w rzeczywistość. Złapał się kurczowo tej myśli, czując, że Rachel kładzie mu dłoń na łomocącym sercu.

– Nie czuję się wcale dziwnie. – Popatrzyła na niego wielkimi pięknymi oczami. – A ty?

– Nie jestem pewien.

Uniosł ją w górę, tak że musiała stanąć na palcach, i znowu pocałował. Nie zastanawiał się już, dlaczego tak długo się wstrzymywał. Po co psuć coś, co jest idealne?

– Nie, nie czuję się dziwnie.

– Dobrze. Powinniśmy pójść na ten spacer. Porozmawiać z Maksem i z Billem.

– Racja. – Puścił ją, gdy przypomniał sobie, że mają priorytety.

– A potem powinniśmy pójść do mnie.

Uniosł brwi lekko zdziwiony.

– Do ciebie.

– Do mojego łóżka. Mamy kilka godzin. Tak jak słusznie zauważyłeś, powinnam odpocząć.

I ty też.

– Pragnę cię od tak dawna.

– Może wcale nie od tak dawna, bo byłabym zaskoczona, gdybyś mnie zaprosił do kina. Ale tak... gdzieś w Pensylwanii, niedługo po tym, jak poznaliśmy Arlys, Fred i Chucka, ja też zaczęłam cię pragnąć.

– Powinniśmy zatem...

– Tak.

Włączyła krótkofalówkę, tak jak zawsze, żeby działała na wypadek nagłej awarii.

– Rachel? – Wyszli, zamykając za sobą drzwi. – Powinienem ci powiedzieć, że jestem dość, cóż, spięty.

– Hmm. – Uśmiechnęła się do niego, gdy przeszli razem przez to dziwne magiczne światło do wyjścia. – Na całe szczęście znam na to dobre lekarstwo.

W ciągu godziny Jonah uznał się za wyleczonego.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

W dużym salonie z wygodnymi kanapami i piękną starą podłogą z kasztanowca Max usiadł i otworzył piwo. Nie miał pewności, co zrobić z tym zaproszeniem, ale uznał, że skoro Jonah i pozostali chcą jego i Lanę lepiej poznać, to nie ma nic przeciwko temu.

A ponieważ on chciał lepiej poznać ich, rad był z tego spotkania.

Nie rozpoczął na razie dyskusji o własnych zastrzeżeniach. Nie, kiedy widział Lanę, jak odżywa po stresujących miesiącach, nie po tym, jak widział, z jaką przyjemnością wkłada kwiaty do wazonu w ich obecnej sypialni.

Nie, kiedy widział dziecko na ekranie ultrasonografu.

Postanowił zachować obawy i wątpliwości dla siebie, przynajmniej dopóki nie pozna lepiej całej sytuacji. Jednak zajście z Flynnem, brzydota mężczyzn, którzy starali się rozdrażnić chłopaka – to nie dawało mu spokoju.

– Katie i Fred za chwilę zejdą – oznajmiła Rachel i zapaliła kilka świec, zanim usiadła obok Jonaha na kanapie naprzeciw Maksa. – Kładą dzieci spać. Arlys poszła odciągnąć Chucka od wiecznego poszukiwania Wi-Fi. Dziękujemy, że przyszliście. Wiem, że sami próbujecie się tu zadomowić.

– A jak reszta twojej grupy? – zapytał Jonah.

– Urządzają się.

– Dobrze. Mogę wam jutro w tym pomóc. Meble, zapasy, tego rodzaju rzeczy.

– Chętnie, dzięki.

– Ty, Katie i dzieci mieszkacie tutaj – powiedziała Lana.

– Nie było nas tak wiele, kiedy tu przybyliśmy – wyjaśniła Rachel. – Ale jakoś zamieszkaliśmy blisko siebie. My dwie jesteśmy tu. Jonah, Chuck i Bill – a teraz też Will – zaraz obok. Dalej za nimi mieszkają Fred i Arlys. Ta grupa jest ze sobą najdłużej.

– Lloyd Stenson wybrał mieszkanie po drugiej stronie ulicy, a Carla Barker jedno z mieszkań nad Przeżytkami. Będą tu dzisiaj. – Jonah, próbując wybadać grunt, wpatywał się w trzymane w dłoni piwo. – Już wcześniej zaplanowaliśmy to spotkanie. Kiedy się pojawiliście, uznaliśmy, że wasza grupa powinna być reprezentowana.

– W jakiej sprawie?

– Jest nas teraz nieco ponad trzysta osób – odrzekł Jonah, patrząc na Maksa. – W większości przypadków ludzie się dogadują. Każdy wnosi coś do społeczności.

– A wszyscy muszą się uporać z traumą – powiedziała Rachel. – Z tym, co stracili, z tym, co zyskali. Z tym, przez co przeszli. Niektórzy spotykają się i prowadzą terapię grupową w kolejnych domach. Inni mają swoje sposoby: praca w ogrodzie, grupy zainteresowań. Lloyd buduje. Aha, i wyczyścił plac zabaw, żeby dzieci mogły się bawić, kiedy dorośli zajmują się sadzeniem lub pieleniem. Pracujemy nad szklarnią – to projekt społecznościowy. Powstają zespoły muzyczne, klub książkowy, grupy modlitewne.

– Mamy ludzi, którzy kolejno zajmują się zwierzętami – dodał Jonah. – Teraz będzie trzeba ich więcej.

– Mówisz, że w większości wypadków ludzie znaleźli jakiś sposób. Znaleźli swoje miejsce.

– Lana wypłała łyk wody, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. – Ale nie każdy.

– Ludzie są, jacy są – zauważył filozoficznie Jonah.

– Tak jak ta grupa, która naskoczyła dziś na Flynnna.

– Don i Lou Mercer? – Jonah skinął głową w stronę Maksa. – To zwykłe dupki.

– Na szczęście Flynn nim nie jest. Wymagaliby wówczas pomocy lekarskiej.

– To nie pierwszy raz, kiedy szukają kłopotów – powiedziała Rachel. – Albo je znajdują.

I to jest powód tego spotkania.

Zerknęła w bok, gdy usłyszała otwierane drzwi i czyjeś głosy.

– Arlys i Chuck.

– Potrzebuję prądu – rzekł Chuck, wchodząc. – Jak dostanę prąd, mogę kontynuować to, co zacząłem. Mając prąd, może zdołam się dostać do centrali któregoś z dostawców internetu i postawić sieć.

Max przyglądał się dwudziestoparoletniemu chudzielcowi z niechlujną kocią bródką i plataniną włosów – platynowych z fioletowymi pasmami. Ten dostrzegłszy jego spojrzenie, znieruchomiał, gapiąc się na Maksa.

– Cholera jasna! Max Fallon! To jest Max Fallon.

– Mówiłam ci – zaczęła Arlys.

– Co? Nie słuchałem. – Rzucił się i chwycił Maksa za rękę, machając nią, jakby stał przy studni. – Jestem twoim wielbicielem. W zeszłym roku byłem na spotkaniu autorskim w Spirit Books, chociaż na ogół czytam e-booki. *Oblężenie*. Niesamowite! Moja ulubiona książka.

Wybił Maksa z rytmu. Minęło sporo czasu – zdał sobie sprawę, że zbyt dużo – odkąd myślał o sobie jak o pisarzu.

– Dzięki.

– Max Fallon – powtórzył Chuck. – Niewiarygodne.

– A to jest Chuck – powiedziała Arlys. – Nasz chłopak z piwnicy.

– To ja. Macie piwo? Zimne?

– Fred je schłodziła – zapewnił Jonah.

– Doskonale. – Dostał jedno i odkręcił kapsel. – No dobra, ty jesteś Max, a ty... przepraszam, nie słuchałem. Lucy?

– Lana.

– Max i Lana. Sprowadziliście ponad setkę osób? Super. – Pociągnął łyk piwa. – Jak tam jest?

– Jechaliśmy, kierując się waszymi znakami, waszą trasą, więc droga była bardziej przejezdna, niż się spodziewaliśmy. Było trochę punktów zapalnych tu i ówdzie. Jak się dało, to ich unikaliśmy, jak się nie dało, to sobie z nimi radziliśmy.

– Najeżdźcy? Banda dupków. Zabiją za puszkę fasoli.

– Tu i ówdzie – powtórzył Max.

– Wpadliśmy na takich pod Baltimore. Straciliśmy trzy osoby. Byłoby gorzej, ale... – Chuck zamilkł i spojrzał na Jonaha.

– W porządku. Mieliśmy Niesamowitych, którzy ustawili zaporę ogniową. To ich zniechęciło.

– Spalony motocykl i jeep – mruknęła Lana. – Zwęglone ciało w jeepie. Jechaliśmy tamtędy.

– Jak się da, unikaj ich – powiedział Jonah. – Jak się nie da, rozpraw się z nimi. Mamy stanowiska wartowników, obsługiwane przez całą dobę. Harley był na trasie północnej, kiedy przyjechaliście, i puścił was, bo...

– ...wyczuliśmy się wzajemnie. – Max znowu usłyszał otwierane drzwi i kolejne głosy. Wyluzował się, rozpoznając w jednym z nich Willa. – Wiedział, że nie jesteśmy Najeżdźcami ani nie chcemy nikogo skrzywdzić.

Max wstał, kiedy Will wszedł z mężczyzną, który musiał być jego ojcem. Taka sama szczęka, takie same oczy. Max chwycił Willa za rękę.

– Znalazłeś go, tak jak mówiłeś.

– Tak. Tato, to jest Max i Lana. Pomogli mi się tu dostać.

Bill Anderson nie podał mu ręki, ale uściskał mocno najpierw Maksa, a potem Lanę.

– Wszystko, czego potrzebujecie – rzekł Bill – w każdej chwili. Dzięki wam odzyskałem syna.

– Z nami lub bez nas, nic by go nie powstrzymało.

– Jest całym moim światem. – Bill podniósł butelkę wina. – Z mojej własnej piwnicy. – Uśmiechnął się i mrugnął.

Fred zeszła po schodach tanecznym krokiem.

– Ty jesteś Will. Will Billa. – Podbiegła do Billa i mocno go uściskała. – Strasznie się cieszę. Jestem Fred. – Obróciła głowę na ramieniu Billa i uśmiechnęła się do jego syna. – Pomagałam tworzyć znaki, używając niewielkiej mocy duszka.

Will wziął jej dłoń i pocałował, a ona zachichotała.

– Och, to pewnie Lloyd i Carla – powiedziała, słysząc pukanie. – Otworzę. Katie już schodzi, więc jesteśmy w komplecie.

Max czekał spokojnie, aż rozgardiasz ucichnie; oceniał sytuację. Lana wyraźnie cieszyła się tą chwilą – ludzie, rozmowy, niemartwienie się, dokąd mogą trafić następnego dnia i kolejnego.

Uznał, że Lloyd jest mniej więcej w tym samym wieku co Bill, czyli ma około sześćdziesiątki. Szczupły, ale umięśniony, poruszał się sprężystym krokiem. Carla, krzepka, krótko ostrzyżona – Max pomyślał, że kiedy on się przyglądał jej, ona oceniała jego.

Katie zbiegła po schodach, od razu przepaszając:

– Wybaczcie. Dzieci są dziś niespokojne. Wprowadziłeś się obok? – zapytała Willa.

– Wszystko wypakowane. Nie żeby było tego dużo.

Kiedy padła na kanapę obok Jonaha, Will usiadł na oparciu fotela Arlys.

– Może znajdziemy czas, żeby nadrobić zaległości – zaczął.

– Jasne, że tak. – Arlys zniżyła głos. – Przykro mi z powodu twojej mamy i siostry.

– Wiem. – Położył rękę na jej dłoni. – I twoi rodzice, i Theo. Jest od cholery powodów do zmartwienia.

Rachel postukała siedzącego na kanapie Jonaha w kolano. Przesunął się niechętnie i wzruszył ramionami.

– Dobra, to ja zacznę – odezwał się Max. – Rachel, Arlys i ja rozmawialiśmy dziś rano, jeszcze zanim dołączyło do nas ponad dziewięćdziesiąt osób i zwierzęta. Przeżyliśmy apokalipsę i sporo przeszliśmy, żeby się tutaj znaleźć i stworzyć przystań w Nowej Nadziei. Wiem, że przywrócenie elektryczności to priorytet, tak samo jak bezpieczeństwo. Do tego dochodzą zapasy, zwłaszcza te medyczne, a to oznacza wysyłanie ekip zwiadowczych na poszukiwania.

Kiedy mówił, Arlys wyciągnęła zeszyt i ołówek.

– Może pora zorganizować zebranie mieszkańców? – podsunął Lloyd. – Powinniśmy przedstawić naszych najnowszych sąsiadów, skrzyknąć nowych ochotników.

– Jasne – odparł Max. – Zanim zrobimy coś, co chyba trzeba nazwać zgromadzeniem publicznym, należałoby obgadać kilka spraw. Pewnie wszyscy słyszeli już, jak Mercerowie potraktowali wczoraj wieczorem Bryar, a potem Aarona.

– Słyszałam, że gdybyś nie wyszedł i nie kazał się im rozejść, to nie skończyłoby się tylko na zastraszaniu. Awanturnicy – dodała Carla. – Niektórzy już się tacy rodzą.

– Możliwe – wtrącił Lloyd. – Dziś szukali awantury z chłopakiem z grupy Maksa.

– O tym też słyszałam. – Carla przyglądała się Maksowi. – I o tym, jak się wycofali, kiedy do nich wyszedłeś.

– Awanturnicy, którzy lubią znęcać się nad słabszymi. Niektórzy już się tacy rodzą.

– Musimy zadać sobie pytanie, co zrobimy, jeśli na zastraszaniu się nie skończy. Jak dotąd były to głównie słowa, kilka poszturchiwań. – Jonah przerwał. – Ale Bryar nie powinna się bać wychodzenia na spacer wieczorem. Nikt nie powinien się bać.

– Prawie każdy jest uzbrojony – wtrąciła Carla. – Nawet ludzie, którzy... i znowu nawiążę do Mercerów, nie powinni nosić broni.

– Kurt Rove – dodał Bill. – Sharon Beamer. I jeszcze kilku innych.

– Potrzebujemy planu. Potrzebujemy struktury. – Rachel położyła dłoń na kolanie Jonaha. – Reguł, praw.

– Kiedy są prawa, konieczni są także ludzie, którzy pilnują przestrzegania tych praw, a także ci, którzy rozstrzygają kwestie sporne i ustanawiają przepisy. – Lloyd zmarszczył brwi i splótł dłonie. – Niektórzy będą protestować, że ktoś im mówi, co mogą, a czego nie. Kto pisze prawa, kto je uchwała, kto egzekwuje, kto decyduje o konsekwencjach ich złamania?

– Zaczynamy od zera, prawda? – zapytał Jonah. – Może więc na początek miejmy ogólny zarys. Zdroworozsądkowo.

– Bez istot krzywdzenia – wtrąciła Lana, po czym uniosła dłoń. – To nasza naczelną zasadą. Przepraszam, nie chciałam przerywać.

– I całkiem dobra. – Uśmiechnął się Bill. – Musielibyśmy ją rozłożyć na czynniki pierwsze. Nie wolno szkodzić ludziom, niszczyć własności, krzywdzić zwierząt. Czerpać z zapasów ponad miarę, bo to szkodzi społeczności.

– Możemy to przedstawić jako działanie dla dobra ogółu. – Arlys nadal notowała. – Tyle że to nas znów prowadzi do kwestii egzekwowania praw i konsekwencji w przypadku niestosowania się do nich.

– Pilnowanie porządku publicznego – powiedział Jonah i spojrzał na Carlę.

– Byłam zastępcą szeryfa w małym mieście – odparła – więc tak, wiem coś o kłótniach i dynamice małych społeczności. Trudniej jest, gdy mamy więcej broni niż ludzi i gdy niektórzy ludzie dysponują tym, co nazwalibyśmy bronią niekonwencjonalną.

– Ile kłopotów mieliście z Niesamowitymi? – spytał Max.

– Niewiele. Ot, dwójka dzieci dała nam popalić – odrzekł Jonah.

– Na ogół testują swoje umiejętności – wtrąciła Fred.

– Yale Trezori wysadził drzewo, Fred – przypomniał jej Chuck.

– Wiem, ale on nie chciał tego zrobić i sam się wystraszył. Ma tylko czternaście lat.

Myślę...

– Śmiało – zachęciła ją Rachel.

– Myślę, że byłoby dobrze stworzyć coś w rodzaju szkoły lub ośrodka szkoleniowego dla dzieci czy w ogóle dla ludzi, którzy nie mają pojęcia o swoich zdolnościach.

– Hogwart – powiedział Chuck, szturchając ją w żebra.

– No coś takiego. Bryar byłaby w tym naprawdę dobra. Jest bardzo cierpliwa.

– Czy masz w swojej grupie kogoś, kto by się nadawał? – zapytała Maksa Rachel. – Kogoś, kto byłby chętny uczyć i poskramiać dzieci?

– Tak, zaczęliśmy już coś takiego robić. – Spojrzał na Arlys, podał jej dwa nazwiska.

– Moglibyśmy to zorganizować w Domu Legionu Amerykańskiego – powiedziała Fred. – Znajduje się tylko przecznicę od głównej ulicy, więc dzieci mogłyby tam same chodzić. Mogłabym porozmawiać z Bryar, i jeśli ona podejmie się tego zadania, to Aaron też się zgłosi. Będzie miał pretekst, by się z nią widywać.

– To dobry pomysł. – Jonah znowu spojrzał na Maksa. – Czy osoby, które wymieniłeś, przyłączyłyby się do tego?

– Porozmawiam z nimi.

– Wspaniale. Carla, jesteś gotowa podjąć się obowiązku pilnowania porządku?

– Jestem gotowa, Jonah, ale czy ludzie będą gotowi pogodzić się z władzą? Poza tym nigdy nikim nie dowodziłam i nie byłabym w stanie robić tego sama.

Mimo że początkowo zamierzał spytać o to Billa, Jonah zwrócił się do Maksa.

– Miałem nadzieję, że ty będziesz chętny.

Max uniósł brwi.

– Ja, a dlaczego?

– Bo potrafisz dowodzić – zauważył Jonah. – I żeby to działało, wszyscy muszą być reprezentowani. Masz dwóch policjantów w grupie. Byłoby akurat.

– Mike Rozer, no tak. – Max potrząsnął głową. – Był gliniarzem w dużym mieście, ma dziesięć lat doświadczenia. Jest opanowany. Drugi to Brad Fitz i ma doświadczenie, ale to narwaniec. I do tego rozgoryczony. To nie jest najlepsze połączenie.

– Rozumiem. Zrobiłbyś to?

Zanim Max zdążył coś odpowiedzieć, Lana dotknęła jego ramienia.

– Dowiozłeś nas tutaj całych i zdrowych. Nie pozwoliłeś ludziom panikować. Każdy, prawie sto osób, które tu z nami przyjechały, wiedzą o tym i dlatego liczą się z tobą. Jeżeli ty będziesz stał za tymi zasadami, uznają je za swoje.

– Chcesz, żebym to zrobił?

– Myślę... Myślę, że to jest twoja rola.

– Dobrze. – Wziął ją za rękę. – Dobrze, spróbujemy. Ale powinniście wybrać jeszcze kogoś spośród siebie, kogoś z Niesamowitych. Żeby była równowaga.

– Diane Simmons – powiedziała Arlys, nie podnosząc wzroku znad notatnika. – Jest bystra, spokojna i nie toleruje głupot.

– Zmiennokształtna – dodała Katie.

– Zgadza się, Diane i Carla to rozsądne osoby – zaczął Lloyd. – A pierwsze wrażenie podpowiada, że Max też taki jest. Ale przygotowanie praw i sprawienie, żeby cała społeczność je przyjęła, uznała autorytet osób, które wymieniliśmy, to zupełnie inna sprawa.

– Miałem nadzieję, że ty je przygotujesz – odparł Jonah. – Jesteś mądry i sprawiedliwy i wszyscy podzielają tę opinię. Ludzie cię szanują, Lloyd, więc jeśli to przedstawiś – i może nie jest to najuczciwszy sposób, ale teraz najlepszy – gdyby to już było przesądzone, to większość ludzi to zaakceptuje.

– A ci, którzy nie?

– Zostaną przegłosowani.

– Pozwól, że to poanalizuję. – Lloyd potarł kark, a potem grzbiet nosa. – Co robimy, jeżeli uda się to przeprowadzić, z tymi, którzy naruszają przepisy? Zamkniemy ich w schowku na szczotki?

– Zamknięte drzwi nie powstrzymają niektórych osób z magicznymi zdolnościami – zauważył Max. – Lana i ja mieliśmy inną metodę.

– Nazywaliśmy to Chwilą na Wyciszenie. – Lana roześmiała się. – Trochę chodziło o to, żeby poczuli się jak idioci, na ogół uciekaliśmy się do tego, kiedy komuś puszczały nerwy, wywiązywała się bójka albo... wybuchała jakaś magiczna wojenka o to, kto ma więcej mocy. Stosowaliśmy tę samą zasadę do wszystkich. Przy czym wcześniej zapowiadaliśmy, ile ta chwila będzie trwała.

– Właśnie, chwila to pozostawanie wewnątrz kręgu przez z góry określony czas – wyjaśnił Max. – Bez możliwości komunikacji. To czas na to, żeby ochłonąć i zastanowić się nad swoim głupim zachowaniem. Całkiem nieźle się to sprawdzało.

– Dostałem raz dziesięć minut – przyznał Will. – Na początku naszej znajomości. Czujesz zażenowanie i odosobnienie. Przez pierwszą minutę chciałem się wydostać i skopać Maksowi tyłek. Dziewięć minut później patrzyłem już na to inaczej.

– Należysz do tych, co się szybko uczą. – Max uśmiechnął się szeroko. Widać było, że się polubili.

– Cóż, pozwólcie, że się nad tym zastanowię – rzekł Lloyd. – Postaram się znaleźć odpowiednie słowa i podejście.

– Dobrze – odparł Jonah i spojrzał na Maksa. – Tymczasem liczymy na to, że jutro weźmiesz się do pracy z ekipą od energii elektrycznej. I podsunął nam kilka osób, które wybrałyby się na rekonesans i poszukiwanie zapasów.

– Okej. Nie jestem pewien, co mogę zrobić, jeżeli chodzi o zasilanie całego miasteczka, ale zobaczymy. A co do rekonesansu, to nie ma lepszych niż Flynn i Lupa.

– To ten chłopak z dzisiaj – powiedziała Rachel. – A Lupa?

– Jego wilk.

– Masz na myśli prawdziwego wilka?

– Owszem. Elf i jego wilk, którzy przez ponad dwa miesiące dbali o bezpieczeństwo i wyżywienie wioski liczącej prawie trzydzieści osób. Wysłałbym też Eddiego i Joego, psa Eddiego.

– Zwykłego psa?

– Zwykły pies i dobry człowiek. Jeżeli chodzi o poszukiwanie zapasów, to Poe i Kim. Eddie, Poe i Kim wprowadzili się do mieszkań przylegających do naszego domu – powiedziała Lana. – Są z nami najdłużej. Nie mają zdolności magicznych, ale są mądrzy i opanowani.

– Wyślij z nimi kogoś magicznego – zasugerował Bill. – Zawsze to dodatkowa ochrona.

– Aaron? – Rachel zwróciła się do Jonaha. – I ty powinienes jechać. Medyk – na wypadek kłopotów, no i będziesz wiedział, czego nam potrzeba.

Ponieważ Jonah też był tego zdania, tylko skinął głową.

– Przygotujesz swoich ludzi, Max? – spytała Rachel. – O świcie?  
– Jasne.  
– Myślę... – Fred rozejrzała się po pomieszczeniu – ...myślę, że nie powinniśmy ich nazywać ludźmi Maksa. Jeżeli jesteśmy razem, to wszyscy. Każdy jest nasz.  
– Fred ma, jak zwykle, rację. – Arlys zamknęła notatnik. – I wyszedł nam z tych dyskusji całkiem niezły program jak na coś, co chyba jest pierwszym spotkaniem rady miasta Nowa Nadzieja.

\* \* \*

Kiedy Lana pocałowała Maksa na pożegnanie o świcie, wydawało się, że jest prawie jak w normalnym życiu. Jej mężczyzna wychodził do pracy, a ona miała w głowie listę prac domowych i spraw do załatwienia.

– Powodzenia. Byłoby lepiej, gdybym poszła z tobą. – Ujęła go za rękę i spłotła palce z palcami Maksa.

– Zobaczymy, jak nam pójdzie. I bądźmy optymistami. Powinnaś się upewnić, że wszystko jest wyłączone. Nie ma sensu uruchamiać zasilania, jeżeli przepali nam to instalację.

– Słuszna uwaga. Tak zrobię. A potem pójdę popracować do ogrodu i przyniosę do domu trochę ziół.

– Tylko się nie przemęczaj. – Położył dłoń na jej brzuchu. – Niesiesz bardzo cenny ładunek.

– Rachel powiedziała, że sensowna dawka ruchu jest dobra dla mnie i dla dziecka, więc będę zachowywała się sensownie. Potem sprawdzę zapasy żywności. Arlys powiedziała, że Dom Legionu Amerykańskiego, w którym chcą założyć centrum szkoleniowe dla dzieci, ma dużą kuchnię. Może uda mi się zorganizować tam wspólną kuchnię. Robić chleb i inne podstawowe rzeczy.

Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

– Jesteś szczęśliwa?

– Tak. A ty nie? Szeryfie?

– Myślę, że to zadanie zrzucimy na Mike'a. – Max zaśmiał się, kręcąc głową i lustrując z frontowej werandy ulicę i budynki. – Dziwne czasy, Lano.

– Będziesz znowu pisał. Napiszesz o dziwnych czasach. Ludzie potrzebują opowieści, Max, i tych, którzy je opowiadają. Przygotuję ci gabinet.

– Jak na razie wygląda na to, że twój dzień będzie bardziej pracowity niż mój.

Na drugim końcu werandy otworzyły się drzwi. Wbiegł Joe i przypadł do nóg Maksa i Lany. Kroczył za nim Eddie.

– Siemano, sąsiedzi.

– Gotowi? – spytał Max.

Eddie postukał w plecak i poprawił strzelbę na ramieniu.

– Tak. Poe i Kim już idą. O właśnie, o wilku mowa.

Lana pogłaskała raz jeszcze Joego, kiedy Poe i Kim wyszli. Pomyślała, że to jedna dobra rzecz, jaka wyniknęła z całej tej tragedii. Odnaleźli się i wydawało się, że dobrze do siebie pasowali.

– Potrzebujecie czegoś do mieszkań? – spytała. – Bill Andersosn mówił, że może pomóc.

– Ja i Joe mamy wszystko, czego potrzebujemy.

– Doszliśmy do wniosku, że na razie niczego nie będziemy zmieniać. – Kim spojrzała na Poego. – Jeżeli zostaniemy w tym miasteczku, w tym domu, to nie miałabym nic przeciwko świeżej farbie na ścianach. No i mamy naprawdę brzydką tapetę, która musi zniknąć.

– Nie będę jej bronić. Chcemy zobaczyć, jak tu się będzie mieszało – dodał Poe. – Jak na razie nie mam powodów do narzekań. Kim jest ten Aaron, z którym jedziemy? Jonaha już poznaliśmy. Czy oni mają pojęcie, co trzeba zrobić, Max?

– Jonah na pewno, a skoro zaproponował Aarona, to powiedziałbym, że obaj się na tym znają.

Dostrzegł na ulicy Jonaha z innym mężczyzną. Max pomyślał, że jest nieco młodszy, lżejszy

i porusza się jak tancerz.

– Możecie się zapoznać. Uważajcie na siebie.

– Przydałoby się zdobyć trochę więcej kości dentystycznych dla psa – powiedział Eddie.

– Zobaczymy, co da się zrobić. A ty? Czegoś sobie życzysz? – zapytała Kim.

– Właściwie tak. Byłoby dobrze, gdybyś natknęła się na porządny zestaw noży kuchennych.

– Takich jak te, które miałaś w górach?

– Wszystko, co będzie choć odrobinę do nich podobne, byłoby świetne. Tak naprawdę to wszelkie porządne narzędzia kuchenne.

– Będziemy szukać. – Poe szturchnął Kim w ramię. – Jedziemy na zakupy.

– A ja zgarnę Flynna i... Cholera, jest tu właśnie. Nigdy nie wiadomo, kiedy ten koleś się pojawi.

Flynn stał bez słowa na środku ulicy. Obok niego siedział Lupa. Joe szczerzył się z szczęścia i pobiegł pobawić się z wilkiem.

– Ruszamy?! – zawołał Eddie.

Flynn skinął głową i uśmiechnął się.

– Ja prowadzę.

– Do diabła! – jęknął Eddie i zdjął czapkę, po czym podrapał się po gęstych włosach i na powrót ją włożył. – Wrócimy, jeżeli tylko nie wpakuje nas na drzewo. Elfy za cholerę nie potrafią prowadzić – dodał.

– A to musi być moja grupa – rzekł Max.

– Powodzenia. – Lana uniosła twarz do kolejnego pocałunku. – Uważaj na siebie.

– Nie przemęczaj się – ostrzegł.

Patrzyła, jak te trzy grupy łączą się i oddalają na parking przyszkolny.

Powiedziała sobie, że nie może się martwić. Martwienie się w niczym nie pomoże. Max wszystkich ich tutaj dowiózł. Mimo burz, napaści agresorów, jadąc po drogach rozmytych przez wiosenne powodzie. Pomyślała, że prowadził ich, ponieważ ktoś musiał się tego podjąć. Ponieważ nowe osoby, które się do nich przyłączały, liczyły na niego i mu ufały.

A wszystko to robił, oplakując brata, który oszalał z powodu przyływu mocy.

\* \* \*

Postanowiła, że przygotuje mu gabinet, kiedy zaczęła wyciągać wtyczki z gniazdek. Oboje musieli odzyskać przynajmniej część dawnych siebie. Wiedziała, że zważywszy na okoliczności, Max stanie się przywódcą. Potężnym czarodziejem. Jego siła rosła z każdym kilometrem podróży.

I nadal był pisarzem. Kimś, kto może napisać o tym, co spotkało świat oraz tych, którzy w nim zostali i walczyli o jego odbudowanie, choć inni starali się go zniszczyć.

Musiał pisać i znajdować na to czas. Zastanawiała się, czy nie pomoże to w żalobie, którą Max wciąż odczuwał?

Ona też musiała znaleźć swoje miejsce w tej dziwnej, nowej rzeczywistości. Stworzyć dom dla ich dziecka, znaleźć pracę – nie tylko to, co trzeba robić, lecz także to, co da jej satysfakcję.

Zatem zorganizuje kuchnię. Będzie gotować. To właśnie robiła najlepiej.

Zapytał, czy jest szczęśliwa, i była. Szczęśliwa, że ma szansę stworzyć miejsce dla siebie, dla niego, dla dziecka. Jeżeli jakaś część niej obawiała się, czy nie będzie tęskniła za Nowym Jorkiem, za życiem, które знаła, zrozumiała, że musi to odłożyć na bok.

Tamto życie było teraz baśnią.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jonah prowadził auto, zygzakując między porzuconymi samochodami.

– Minęliśmy już kilka domów – zauważyła Kim. – A w takich prawie zawsze jest coś przydatnego.

– Możemy zajrzeć do nich w drodze powrotnej. Najważniejsze są leki. Za mniej więcej dziesięć zjazdów będzie szpital. Zabraliśmy, co mogliśmy, jakieś sześć tygodni temu. Potrzebujemy ich więcej.

Jadąc, Poe lustrował drogę i pojedyncze domy.

– W tej furgonetce kurierskiej mamy więcej miejsca – zauważył – ale jeśli wpadniemy w kłopoty, to daleko nią nie uciekniemy.

Jonah rozważał to już wcześniej, zanim zdecydował się na auto przypominające pudełko na kółkach.

– Musimy unikać kłopotów. Na rozjeździe są dwie stacje benzynowe. Może uda nam się zatankować i napełnić te kanistry, wchodzi do nich prawie czterdzieści litrów. Ale to też w drodze powrotnej.

Kim pochyliła się i wskazała ręką na coś.

– Czy to jest centrum handlowe?

– Tak. Rodzaj takiego jakby miasteczka handlowego, część sklepów ma wejście z zewnątrz.

– Może być niezłe. Byliście już tam?

– Próbowaliśmy kilka tygodni temu – odparł Aaron. – Zajęła go jakaś grupa. Nie byli przyjaźnie nastawieni.

– Jeszcze nie wiecie, że Aaron ma skłonność do... bagatelizowania wydarzeń – odezwał się Jonah. – Zaczęli do nas strzelać, zanim jeszcze skręciliśmy na parking. Ile ich było, ze dwadzieścia osób?

– Jakoś tak. – Aaron wzruszył ramionami. – Brakowało im strategii, ale nadrabiali to siłą ognia. Gdyby poczekali, aż wjedziemy na parking, to pewnie by nas wystrzelali.

– Warto sprawdzić jeszcze raz, prawda? Dwadzieścia osób pewnie go nie ogołociło – zauważył Poe. – A może się przenieśli gdzie indziej. W końcu kto by chciał mieszkać w centrum handlowym, skoro są domy?

Jonah rzucił milczącemu Aaronowi ukradkowe spojrzenie. Westchnął.

– Aaron wspominał o tym, i to nieraz. Objedziemy centrum w drodze powrotnej.

\* \* \*

Gdy grupa Jonaha skręciła do szpitala, Eddie wyglądał przez boczne okno zwiadowczego pickupa.

– Powinno być więcej ludzi – zauważył. – I tak, wiem, że już to mówiłem, ale, człowieku, tu powinno być więcej ludzi. Daleko odjechaliśmy?

– Dwadzieścia kilometrów. Niedaleko.

– Może jeszcze dziesięć, a potem powinniśmy posprawdzać boczne drogi. Może znajdziemy inną osadę, taką jak nasza, i dowiemy się czegoś od ludzi, którzy przyjechali tu z południa.

Nim Eddie dokończył zdanie, Flynn ostro skręcił kierownicą w prawo i wjechał w wąską dróżkę, która zaraz odbijała w prawo.

– Jezu, Flynn! Powiedziałem...

– Silniki. – Zjechał na pobocze i zatrzymał się tam, gdzie zakręt i drzewa zasłaniały ich przed drogą. – Czekaj.

Flynn wbiegł za pagórek, a potem – i choć Eddie widział to już wiele razy, nadal wybałuszał gały, kiedy Flynn po prostu wtopił się w jedno z drzew.

Tak jakby... stał się drzewem. Dziwaczna i cholernie fajna elfia umiejętność.



Eddie wciąż miał gęsią skórę, gdy na to patrzył.

– Siedźcie spokojnie, chłopaki. Leżeć – nakazał Lupie i Joemu, kiedy wysunął się z pickupa i kucnął koło niego ze sztucercem.

Teraz już słyszał silniki, w większości chyba motocykli. Powietrze rozdzierał ten charakterystyczny głęboki, chrapliwy ryk. Zbliżał się szybko i był coraz głośniejszy. Z miejsca przy drzewie – a raczej wewnątrz pieprzonego drzewa – Flynn miał doskonały widok na drogę.

Eddie żywił nadzieję, że nie będzie musiał użyć broni, choć pogodził się z koniecznością jej noszenia. Zastrzelił już człowieka – wielkiego, tęgiego Najeżdźcę – podczas ataku na ich grupę na południe od Charles Town w Wirginii Zachodniej.

Była to chwila, której nigdy nie zapomni.

Ale...

Ryk silników rósł, osiągając wreszcie punkt kulminacyjny, po czym zaczął słabnąć. Eddie zerwał się na równe nogi, choć oddychał jeszcze ciężko.

Flynn wysunął się z drzewa.

– Najeżdźcy.

– Jesteś pewien?

– Pięć motocykli. Na tylnych siedzeniach trzech z nich siedziały kobiety. Pickup, cztery osoby w środku, dwie na pace. Wóz kempingowy. W nim tylko dwie osoby. Na boku namalowana czaszka i skrzyżowane piszczele. Do dachu kampera przywiązano nagiego mężczyznę. Już nie żył.

– Chryste. I dzieje się to właśnie wtedy, kiedy myślisz, że świat nie może być już bardziej popieprzony. Masz dobre uszy, stary.

Słuch elfa, pomyślał Eddie, mając nadzieję, że być może nie będzie musiał dziś nikogo zabić.

– Przynajmniej oddalają się od Nowej Nadziei, więc to jest coś. – Eddie spojrzał na pickupa, czując ulgę. – Może trzymajmy się już tej drogi, co? Nie ma sensu ryzykować, że tamci zawrócą. A jest ich sporo.

– Powinniśmy iść.

– Bo?

– Oni też słyszą silniki. A niektóre z tych roślin? – Flynn wskazał na zagajnik. – Polne kwiaty i chwasty? Mogą się przydać. Powinniśmy ich trochę wykopać i zabrać.

– Mieliliśmy zajmować się rekonesansem, a nie ogrodnictwem. – Dał jednak znak psom, żeby wyskoczyły z paki, gdy Flynn ruszył między drzewa. – Tam dalej muszą być jakieś drzewa – wciąż mówił, gdy elf przykucnął, by przeorać ziemię nożem. – Nie żeby w nich grzebać, ale nie zaszkodzi sprawdzić. Ktoś może się tam kryć. To dziwne, że nikogo tu nie ma.

Lupa wydał ciche, ostrzegawcze warknięcie, i gdy z drzewa wypadła dziewczyna, tnąc powietrze nożem, Flynn zerwał się na równe nogi, po czym zatoczył się do tyłu.

Eddie uniósł sztucer i opuścił go, gdy Flynn uskoczył po raz drugi.

– O nie, nie ma mowy. Nie będę strzelał do jakiegoś dzieciaka!

– Jest wystarczająco duża, żeby mnie rozpruć – burknął Flynn.

Lupa rozwiązał problem, skacząc na dziewczynę i powalając ją na ziemię. Położył jej łapy na ramiona, gdy łapała powietrze po upadku.

Flynn rzucił się wyrwać jej nóż z ręki, zanim zdążyłaby dźgnąć nim Lupe.

– On cię nie skrzywdzi. My nie zrobimy ci krzywdy.

Wycelowwała we Flynn'a wściekle spojrzenie złotobrazowych oczu.

– Nie dotykaj mnie. Jeśli to zrobisz, ja zrobię krzywdę tobie.

– Nikt nikogo nie dotyka. – Eddie przewiesił sztucer przez ramię i uniósł obie ręce. –

Wyluzuj, okej?

Joe podszedł do niej i polizał twarz. Wargi jej zadrżały i zamknęła oczy.

Flynn schował nóż do pochwy, jej zaś zatknął za pasek. Przykucnął i położył dłoń na głowie Lupy.

I przemówił do umysłu dziewczyny.

*Jestem taki jak ty.*

Otworzyła gwałtownie oczy. *Kłamstwa, kłamstwa.*

*Nie. Jestem taki jak ty. Jestem Flynn. Eddie nie jest taki jak my, ale jest z nami. Nie jesteśmy tacy jak ci, którzy przejeżdżali.*

– Chodź, Flynn, zawołaj Lupę. Daj dzieciakowi wstać.

– Rozmawiamy.

– Przecież... Och. Okej, dobra.

*Nie musisz uciekać. Ale jeśli chcesz, nie będziemy cię ścigać. Mamy trochę jedzenia w plecakach. Chcesz?*

– Czy ona jest głodna? Mizernie wygląda. – Chuda, brudna i cholernie wkurzona, pomyślał Eddie. – Chcesz coś zjeść, dzieciaku?

Flynn uśmiechnął się.

– Widzisz? On jest z nami. Jest spragniona – powiedział, zdejmując plecak i wyciągając wodę z bocznej kieszeni. – Wszystko w porządku, Lupa.

Wilk wycofał się i przywarował.

– Nie dotykaj mnie.

Nic nie mówiąc, Flynn ustawił obok niej wodę i cofnął się.

– Słuchaj, ona ma jakieś dwanaście lat. Nie możemy jej tu zostawić samej.

– Czternaście – powiedział Flynn, czytając jej w myślach.

– Wszystko jedno. To niebezpieczne, człowieku.

– Potrafi o siebie zadbać. I nie ma potrzeby oddalać się od innych – ciągnął Flynn, gdy dziewczyna porwała butelkę i zaczęła pić.

– Chyba że chcesz być sama. Mamy ludzi, dobrych ludzi.

– Dziewczyny – wtrącił Eddie. – Nie tylko facetów. Powinnaś jechać z nami.

– Nie znam was.

– Jasne, nie ufaj obcym, słusznie, ale mimo wszystko sama nie jesteś tu bezpieczna.

– Nie zrobimy ci krzywdy. Wiedziałybyś to, gdybyś się nam przyjrzała.

Łypała na Flynna spod oka, upijając kolejny łyk.

– Nie wiem jak. Nie wiem, dlaczego słyszę cię w głowie.

– Albo dlaczego stajesz się drzewem, skałą? – Uśmiechnął się do niej ponownie. – Tacy właśnie jesteśmy. Mogę ci pomóc się tego nauczyć. Nie zmusimy cię, żebyś z nami pojechała, ale powinnaś.

– Może się zgubiłaś? – zasugerował Eddie. – Jeśli nie jesteś sama, możemy ci pomóc znaleźć twoją grupę.

– Nie żyją. Wszyscy nie żyją!

Flynn wyjął jej nóż i położył go na ziemi.

– Reszta z nas musi żyć. Chcemy podejść do pobliskich domów, sprawdzić, czy ktoś żyje i potrzebuje pomocy. Jeśli nie możemy nikomu pomóc, weźmiemy zapasy, jeżeli uda nam się jakieś znaleźć. Chodź z nami. Tam, gdzie teraz mieszkamy, takich jak my jest więcej. I więcej takich jak Eddie.

Złapała nóż i wstała. Jej włosy, prawie takie samego koloru jak włosy Flynna, czyli przypominające korę drzewa, zwisały w splecionych strąkach. W oczach, wielkich i ciemnych, malowała się bardziej wojowniczość niż strach.

– Mogę odejść, kiedy chcę.

– W porządku. – Flynn odwrócił się i zaczął iść. Chociaż obecność dzikuski z nożem za plecami budziła jego niepokój. Eddie ruszył za nim.

– Czy ten pies się jakoś nazywa? – zapytała.

– Joe. To świetny pies – powiedział Eddie. – A Lupa też jest dobrym psem jak na wilka.

– A ty jak się nazywasz? – zapytał Flynn, nawet na nią nie patrząc.

Kiedy położyła niepewnie dłoń na głowie Joego, pies wywiesił język. Kąciki jej ust prawie się uniosły, niemal się uśmiechnęła, pierwszy raz od kilku tygodni.

– Starr. Jestem Starr.

\* \* \*

Korzystając z tylnego wejścia do szpitala – niewidocznego z drogi – załadowali ciężarówkę. Kim obserwowała front budynku.

Od czasu ich poprzedniej bytności w szpitalu ktoś już buszował. Zainteresowany raczej opioidami niż szwami i bandażami czy antybiotykami. Jonah załadował urządzenia do EKG, KTG i – mając w pamięci przyjęcie porodu bliźniąt – wszystko, co mógł z oddziału dla noworodków. Poe wytoczył więcej sprzętu na noszach, podążył za nim Aaron z autoklawem.

Tak jak poprzednio Jonah zignorował wyschnięte plamy krwi na ścianach i drzwiach. Przynajmniej tym razem nie było ciał, które należało wynieść i spalić na stosie.

Smród śmierci nie zniknął jednak tak szybko.

– To były dobre łowy – stwierdził Jonah, kiedy załadowali ciężarówkę. – Poe, możesz to poprowadzić?

– Jasne.

– Aaron, zobaczmy, czy da się wziąć ambulans. Przydałby się. Przejrzyjmy też zawartość pozostałych aut.

– Próbują uruchomić ambulans – rzekł Poe, podjeżdżając pod główne wejście.

– Zmyślnie. – Kim wskoczyła do środka.

– Tak. Spodobali mi się.

– Max im ufa, a to ważne. Chcę sprawdzić to centrum handlowe, Poe. To zbyt dobra okazja, żeby ją przegapić. Ile miejsca mamy tam z tyłu?

– Starczy, zwłaszcza jeśli uda im się to uruchomić... No i udało się. Fajnie. – Uśmiechnął się do Kim i ruszył za ambulansem.

\* \* \*

Max stał w pomieszczeniu pełnym komputerów, przełączników sieciowych i monitorów, podczas gdy przebywający tam z Chuckiem mężczyzna i kobieta – uzbrojeni w latarki – mówili coś o sieciach, skrzynkach przyłączowych, wzmacniaczach, transformatorach, kablach napowietrznych i podziemnych i tym podobnych rzeczach.

Pomyślał, że rozumie ich mniej niż oni jego. A większości tego, co mówili, nie rozumiał wcale. Tych troje miało narzędzia i oczywiście wiedziało, jak ich używać. Pochłonięci pracą całkowicie go ignorowali.

Chuck rozłożył się w swojej nowej piwnicy – siedział i mamrotał coś do siebie, dłubiąc we wnętrzu komputera. Na tyle, na ile Max mógł się zorientować, owo mamrotanie sprowadzało się do uruchomienia komputera na jakiejś prowizorycznej baterii na tyle długo, żeby móc się włamać do systemu.

Różne części zostały spalone, zniszczone albo osłabione. Wyglądało na to, że wyłączenie zasilania, które przeszło niczym fala, zlikwidowało prąd nie tylko w stacji, lecz także w całej sieci, przepalając wszystkie transformatory.

Max nie znał się na watach ani wzmacniaczach czy starych kablach, ale znał się na energii. Na tym, jak można jej użyć do odpalenia czegoś. Zignorował rozmowę o ponownym grzebaniu we wnętrznościach, a także stopieniu przewodów w celu zamknięcia jakiegoś obwodu czy przerwaniu innego obwodu – i przyjrzał się leżącej przed nim płycie głównej.

Wyciągnął ku niej rękę, wyobrażając sobie przekazanie energii: włączenie przełącznika, a następnie zapalenie się światła. Zdał sobie sprawę, że to zbyt dużo naraz, i zawęził ten obszar. Krok po kroku, pomyślał, najpierw niech się zapali jedna świeca.

Zawahał się przez chwilę i jeszcze kolejną. A co, jeżeli ta moc, którą przekaże, zniszczy to, co udało się osiągnąć dzięki umiejętnościom i technologii? Umiejętność zapalenia światła to nie to samo, co zrozumienie, jak to światło działa.

Zawęził wyczuwany obszar jeszcze bardziej. Pomyślał o uruchomieniu silnika – nie wie, jak go zbudować, ale wie, jak wykorzystać to, co ma, żeby silnik zaczął pracować.

Wiara. Uwierzyć. Zaakceptować. Otworzyć się.

Monitor, przed którym stał, zamrugał.

Dyskusja – nie kłótnia, ale pełna technicznych szczegółów rozmowa – dalej trwała w najlepsze. Maks postukał Chucka w ramię i wskazał na monitor.

– To ci coś da?

– Co? Ee...? Rany!

Chuck szybko przepchnął się na krzesło biurowym do monitora. Jego palce już sięgały klawiatury, ale zatrzymały się centymetr od nich.

– Człowieku, pierwszy raz, kiedy mam coś zrobić na komputerze, denerwuję się.

Trzymajcie kciuki, chłopaki. I dziewczyno.

Drake Manning szturchnął Chucka w ramię.

– Jak to zrobiłeś?

– To nie ja. – Chuck zdjął dłoń z klawiatury na moment i wskazał kciukiem Maksą.

– Zaczarowałeś komputer?

– Można tak powiedzieć.

– Ja pierdzielę. – Manning, po którego pasku było widać, że ciągle chudł, a spod czapki baseballowej z logo filadelfijskiej drużyny wystawały kępi siwych włosów, zachichotał. – Jak długo to potrwa, panie czarodzieju?

– Nie wiem. To mój pierwszy dzień w pracy.

– Dostałem się. Wszedłem. – Palce Chucka tańczyły na klawiaturze. – O tak, nadal potrafię to robić.

– A możesz tu włączyć prąd? – spytał stanowczo Manning.

– A czy miśki walą kupy w lesie? Daj mi minutkę. Jezu, jak mi tego brakowało. Cholernie mi tego brakowało.

– To. – Manning nachylił się nad Chuckiem i postukał w część monitora. – Tylko to. Jeżeli uruchomimy wszystko, to spalimy całość. Tylko tę stację. Reszta jest zamknięta. Uruchom to, a zaczniemy sprawdzać. Nie wszystko naraz.

– I gotowe. Chyba.

– Włącz światła, Wando. – Manning odetchnął.

– Tylko światła.

Odwrócił się i oboje uśmiechnęli się szeroko.

– No dobra, drużyno, do roboty.

\* \* \*

Na parkingu centrum handlowego samochody leżały przewrócone na bok lub dach niczym żółwie w roztrzaskanej skorupie.

Ciała psów, kotów i jeleni dziobały i ogryzały wrony, sępy i szczury. I tego, co niegdyś było ludźmi. W powietrzu unosił się smród zgnilizny i śmieci.

Jonah przejechał obok szczątków zwisających z pętli. Na szyi wciąż dyndała tektura z napisem:

Niesamowita suko wracaj do piekła

Krążąc po parkingu, nie widział innych oznak życia niż objedzone ptaki i spasioone szczury. Pomyślał, że w którymś momencie będą musieli wysłać ekipę ochotników, żeby spalili albo zakopali zmarłych, posprzątały śmieci i pozbyli się stert odchodów.

Zatrzymał się przy frontowym wejściu przed roztrzaskanymi szklanymi drzwiami i zastanawiał, co sprawiło, że część ludzkiej rasy zrobiła się tak nikczemna.

Wysiadł, a Poe zatrzymał się obok niego.

– Dawno zniknęli – oświadczyła Kim, wysiadając z poszarzałą twarzą. – Ciała mają co najmniej dwa, trzy tygodnie.

– Mogą wrócić – zauważył Poe.

– Dlaczego? To wielki, pusty świat. Jest mnóstwo innych miejsc do zbezczeszczenia i zniszczenia. Żałuję, że tu przyjechaliśmy.

Kiedy głos się jej załamał, Poe objął ją ramieniem. Natychmiast się wyprostowała.

– Ale jesteśmy tu. Powinniśmy zabrać, co się da – rzekła z mocą.  
– Martwi zasługują na coś lepszego – odparł Poe.  
– Damy im to. – Jonah skinął Aaronowi. – Wrócimy tak szybko, jak to możliwe, i zajmiemy się nimi.

Myślał o powieszonym ciele. Odetną je, zanim pojedą. Mogą zrobić chociaż tyle, nim wrócą je pogrzebać lub spalić.

– Najpierw musimy zadbać o żywych.

\* \* \*

Lana skorzystała z rady Fred i zabrała się do przesadzenia kilku ziół do doniczek. Ustawienie ich na słońcu w pobliżu drzwi kuchennych było chwilą czystego szczęścia. A wiedziała, że patrzeć na nie, wachanie i zbieranie ich da jej takich chwil o wiele więcej.

Po raz pierwszy w życiu pracowała w ogrodzie. Spulchniała ziemię i peła rządkki marchwi i fasoli. Palikowała pomidory. Obserwowała rzędy ziemniaków, płożące się pędy kabaczka, dyni i bakłażana, rosnące łodygi kukurydzy.

I kiedy pracowała, słyszała odgłosy bawiących się dzieci.

A co najważniejsze, przeprowadziwszy dokładną inspekcję miejsca, w którym postanowiła urządzić wspólną kuchnię, zaczęła snuć plany.

Uznała, że nad nimi popracuje, siadając na werandzie ze szklanką herbaty. W zamyśleniu przyłożyła dłoń do miejsca, w którym dziecko ją kopnęło. Gdy usłyszała Arlys, podniosła wzrok.

– Podobno miałaś dziś pracowity dzień.

– Cudowny dzień. Masz chwilę? Zaparzyłam słoneczną herbatę<sup>[3]</sup>.

– Bardzo chętnie.

– Przyniosę ci szklankę.

Lana pomyślała, że jeszcze wspanialej jest mieć gościa, móc tak po prostu siedzieć i rozmawiać bez martwienia się o to, jakie niebezpieczeństwo czai się parę kilometrów dalej na drodze.

– Nie ma lodu, ale ją schłodziłam. – Lana podała Arlys szklankę.

– Dzięki. Lista życzeń? – Postukała palcem w notes Lany.

– Kilka. Projekt wspólnej kuchni. Kojarzysz, który to Dave Daily?

– Jasne. Wielki facet z tubalnym śmiechem.

– Był kucharzem w barze. Wiesz, gdzie trzeba było szybko przygotować proste dania. Cały się zapalił do tego pomysłu. I mamy kilka osób, które potrafią oporządzić dziczyznę. Chciałabym mieć wędzarnię – szynka, bekon i tak dalej. Znalazłam w bibliotece książkę na ten temat.

Zrobiło to na Arlys wrażenie.

– Rzeczywiście miałaś pracowity dzień. – Przypatrywała się Lanie znad krawędzi szklanki.

– Ja spędziłam trochę czasu z Lloydem, opracowując porządek zebrania publicznego.

– Martwisz się tym.

– Nie obędzie się bez sprzeciwu tych, którzy nie lubią, gdy im się mówi, co mogą, a czego nie mogą robić. Ale musimy to przeforsować, i to zanim wydarzy się coś, nad czym nie będziemy mieli kontroli ani narzędzi, żeby sobie z tym poradzić. Przygotowałam biuletyn na temat tolerancji i niechęci, akceptacji i staromodnych obaw. Nie każdego przekonał.

– Dziś rano pracowałam w ogrodzie. Prawie każdy okazał się przyjazny i pomocny. Ale kilka osób zachowywało dystans. Również wobec Fred. Nie pojmuję, jak ktokolwiek może na nią patrzeć i nie widzieć tego światła i radości.

– Poznałam magię dzięki Fred. Być może właśnie dlatego było mi łatwiej. Niektórzy po raz pierwszy zetknęli się z magią, widząc tych, którzy niosą strach i śmierć. Mrocznych Niesamowitych. Takie osoby trudniej jest przekonać. Nie mogą pojąć, że nie wszyscy, którzy mają takie zdolności, są w stanie krzywdzić.

Nie, pomyślała Lana, nie wszystkie magie należą do światła.

– Brat Maks. Rodzony brat. On się zmienił. On i kobieta, z którą był. Myślę, że ona zawsze stała po stronie mroku i to pod jej wpływem on się zmienił. Zabili jedną osobę z naszej grupy.

Niewinnego człowieka, chłopaka właściwie. Zabiliby nas wszystkich, zwłaszcza... – Przycisnęła dłoń do brzucha. – Max musiał wybrać i wybrał światło. Wybrał to, co słuszne, choć oznaczało to zniszczenie własnego brata. Kochał Erica, a mimo to wybrał światło.

– To musiało być dla niego okropne.

– Było i nadal jest. Nigdy nie widziałam takiej mocy. Potężna i mroczna. – Wciąż prześladowała Lanę w snach. – Byli nią upojeni, pijani.

– Fred i ja widzieliśmy to w tunelu, kiedy uciekałyśmy z Nowego Jorku. – Skinęła głową, myśląc o tym latającym... czymś w tunelu. – Potężne i mroczne.

– Więc wiesz, o co chodzi. Nietrudno zrozumieć, dlaczego ktoś, kto miał z tym do czynienia, teraz się boi.

Lana odwróciła głowę i widząc nadjeżdżający pickup, wstała.

– To Eddie i Flynn.

Arlys stanęła obok niej.

– Z nimi jest ktoś jeszcze.

Na ich widok Flynn zatrzymał się przed domem.

*To są dobrzy ludzie*, powiedział do Starr.

*Nie znam ich.*

*Nigdy nie poznasz, jeśli zostaniesz w samochodzie.*

Wysiadła niechętnie, gdy kobiety zeszyły po spodkach na chodnik. Za nimi wyskoczyły psy, Lupa i Joe.

– To jest Starr. Nie chce, żeby ktoś jej dotykał.

Lana zauważyła zniszczoną koszulkę i podarte dzinsy na chudziutkim ciele. Splątane i brudne włosy. Podejrzliwe oczy.

– Jestem Lana. A to Arlys.

Starr skuliła ramiona, gdy inni podeszli bliżej lub zatrzymali się, by popatrzeć.

– Przyjechałam tu zaledwie wczoraj – kontynuowała Lana. – Wiem, że z początku można się bać, ale...

– Nie boję się i nie muszę tu zostawać.

Podbiegła Fred i odsunawszy różowe okulary ozdobione kryształkami na sprężyste, rude loki, zawołała:

– Hej, zobaczyłam pickup. Cześć!

– To jest Fred. – Arlys ostrzegawczo położyła dłoń na ramieniu Fred. – Starr nie chce być dotykana.

– Och. – Po twarzy Fred przemknęło współczucie. – Dziwne wrażenie, prawda? Jak każdy tak się na ciebie gapi i jest zaciekawiony, ale to jest dobre miejsce. Może chciałabyś pójść ze mną? Arlys i ja mieszkamy w tamtym domu. Możesz wejść do środka, trochę się umyć.

– Nie muszę zostawać – powtórzyła Starr z uporem.

– Cóż, nawet jeśli zechcesz iść gdzie indziej, możesz mieć czyste ubrania, a najpierw w ogóle coś zjeść. Wtedy możesz zdecydować. – Fred odsunęła się i wskazała na dom dłonią. – Chodź.

Starr postąpiła krok do przodu, po czym podreptała za Fred po chodniku.

– Pełna światła – przyznała Lana.

– Cieszę się, że ktoś ją przejął. – Eddie przewrócił oczami. – Nie sądzę, żeby wsadziła mi ten swój nóż między żebra, jednak droga powrotna trochę stresowała. Troszku się denerwowałam.

– Ona nie skrzywdzi Fred. Boi się i jest ranna. – Flynn zwinął dłoń w pięść i stuknął się w serce.

– Zamachnęła się na ciebie, ale tak, masz rację. Znaleźliśmy ją jakieś dwadzieścia pięć kilometrów stąd na północ. Flynn mówi, że jest taka jak on.

– I tego też się boi. Widzieliśmy grupę Najeźdźców, kierowali się na południe. Nie zobaczyli nas. Nie znaleźliśmy nikogo poza Starr. Kilkoro martwych osób, ale nikogo żywego. Czuliśmy, że powinniśmy ją tu przywieźć. Mamy trochę zapasów, możemy jutro jeszcze jechać.

– Nie wiem, czy to... – Lana zamilkła i tylko pokazała ręką. Przy drzwiach domu po drugiej

stronie zamigotało światło.

– Jasna cholera! Jasna cholera, będzie gorące jedzenie, gorący prysznic i w ogóle będzie gorąco! – Rozradowany Eddie objął Flynna ramieniem. – Stary! Niech stanie się pieprzona jasność!

W kuchni domu, który dzieliła z Arlys, Fred wystawiła torebkę z chipsami ziemniaczanymi i puszkę coli, którą wcześniej schłodziła.

– Pewnie powinnaś zjeść coś zdrowego, ale to wystarczy otworzyć i cóż, sama mam na nie ochotę. Jestem duszkiem – powiedziała swobodnie, wyjmując drugą torebkę chipsów dla siebie. – Ale ty jesteś jak Flynn, prawda? Całkiem niezłe wychodzi mi zgadywanie.

Starr spojrzała podejrzliwie na chipsy. I pożądliwie.

– Nie wiem, kim jestem – odparła.

– Och, nie przejmuj się. Byłam kompletnie przerażona, kiedy pojawiły się po raz pierwszy.

– Rozwinęła skrzydła i zatrzepotała nimi, chrupiąc jednocześnie chipsy. – Ludzie też chcieli skrzywdzić mnie i Arlys. Spotkałyśmy jednak również dobrych ludzi. A teraz jesteśmy tutaj.

Fred otworzyła dla Starr chipsy i puszkę coli. Ta nieufnie wyciągnęła dłoń i wzięła jeden krążek. Skubnęła na próbę, po czym wepchnęła go do ust i chwyciła całą garść. Kiedy jadła, zaczęła płakać wielkimi, cichymi łzami.

– Nie zamierzam cię dotykać – szepnęła współczująco Fred. Jej oczy napelniły się łzami, które spłynęły na policzki. – Ale możesz sobie wyobrazić, że cię przytulam. Przykro mi z powodu tego, co się spotkało. Chciałabym, żeby nie spotykało nas nic złego.

– Wszystko jest złe.

– Nie, naprawdę tak nie jest. Choć można tak czasami myśleć.

– Ono zabiło mojego ojca, mojego małego braciszka, to zło. Apokalipsa.

– Znowu cię przytulam. A twoja mama?

– Zabili ją ci, którzy nas ścigają.

Dreszcz przeszedł Fred po plecach.

– Najeźdźcy.

Starr pokręciła głową.

– Nie oni. Inni. Próbowaliśmy uciekać, ale nas złapali. A potem gwałcili, raz za razem.

I śmiali się. Jesteśmy Niesamowite, więc mogą z nami robić, co zechcą.

Skrzydła Fred złożyły się i zniknęły.

– Mam zamiar usiąść z tobą. Nie dotknę cię, ale muszę usiąść.

– I zrobili nam krzywdę. – Starr nie mogła przestać mówić, a jej słowa były gorzkie i bolały.

– Ciągłe nas krzywdzili. Mama nakazała mi – w mojej głowie – biec i ukryć się w drzewie. I zostać w nim, póki nie zrobi się bezpiecznie. Nie wychodzić, cokolwiek by się działo.

Starr potarłszy twarz, chlipnęła, rozmazując przy tym łzy i brud.

– Matka krzyczała i walczyła, i próbowała uciekać, żeby ich odciągnąć ode mnie, więc rzucili się za nią. Wtedy w mojej głowie krzyknęła: BIEGNIJ! Więc biegłam i biegłam. Kiedy usłyszałam, że są za mną, weszłam do drzewa. Słyszałam, jak krzyczy, ale nie ruszyłam się stamtąd. Nie wyszłam, póki nie zniknęli. Zabili ją. Powiesili na drzewie.

– Och, Starr, tak mi przykro. To za mało, ale tak mi przykro. Twoja mama cię kochała. Chciała, żebyś była bezpieczna.

– Zabili ją, bo uciekłam.

– Nie. – Fred wstała, wygrzebała papierową serwetkę, rozdarła ją na dwie części i dała połówkę Starr. – Zabiliby was obie, a ona o tym wiedziała. Kochała cię i zadbała o to, żeby nie mogli cię zabić.

– Nie miałam wtedy noża, więc nie mogłam wspiąć się na drzewo i jej odciąć. Ale znalazłam jeden i wróciłam. Próbowalam ich znaleźć, żeby ich zabić. Nie udało się.

– Myślę, że twoja mama była tak odważna i kochająca jak każda mama. Myślę, że byłaby zadowolona, że jesteś tu teraz z nami. Możesz zamieszkać ze mną i Arlys, jeśli chcesz. Mamy wolny pokój.

Kiedy Starr pokręciła przecząco głową, Fred usilnie poszukiwała jakiegoś lepszego rozwiązania.

– Może, przynajmniej na razie, wolałabyś mieć własne miejsce. Mamy mieszkania. Możesz wybrać któreś. Będiesz z nami, ale samodzielna. Mogę ci pokazać któreś z mieszkań i przynieść ci trochę ubrań oraz jedzenia. Możesz, wiesz, umyć się, zjeść coś, może trochę odpocząć.

– Mogę wyjść, kiedy tylko zechcę.

– Jasne, ale mam nadzieję, że nie będziesz tego chciała. Nowa Nadzieja to dobre miejsce, żeby... – Urwała, spojrzała na sufit. – Czy to ty to robisz?

– Niczego nie robię.

– Lampa się świeci. Jeśli to nie ty... O kurczę, chyba udało im się uruchomić zasilanie. – Fred wytarła łzy i uśmiechnęła się. – Chyba przyniosłaś nam szczęście. W dniu, w którym się pojawiłaś, odzyskaliśmy prąd.

\* \* \*

Kiedy Max i jego załoga wjechali do miasta, powitały ich okrzyki. Ludzie wybiegli i zaczęli tłoczyć się wokół ciężarówki.

Max zobaczył Lanę, która śmiejąc się, podbiegła do niego. Złapał ją, gdy wskoczyła mu w ramiona.

– Udało ci się.

– Dałem im iskrę. Reszta to ich zasługa.

Przycisnęła usta do jego ucha.

– Musimy wziąć gorący prysznic. Razem.

– Lepszej nagrody nie mogę sobie wyobrazić.

Ktoś poklepał go po plecach, ktoś wepchnął piwo do ręki.

Eddie wyciągnął harmonijkę. Jakaś kobieta usiadła na krawężniku z banjo. Gdy Jonah wjechał do miasta, ludzie tańczyli na ulicy.

– Jest prąd. – Jonah powiedział to nabożnym głosem. – Udało im się uruchomić prąd. Dalej, Aaron, znajdź Bryar i zatańczcie. Później się rozładujemy.

– Dobrze. – Aaron otworzył drzwi i obejrzał się.

Jonah skręcił ambulansem na teren szkoły. Wysiadł, po czym zwrócił się do Poe i Kim:

– Idźcie i świętujcie. Będziemy mieć mnóstwo ochotników, którzy pomogą nam rozładować samochody.

Rzucił im uśmiech, który zbladł, gdy dołączyli do ludzi. Nie mógł znieść tłumu, nawet na tyle, by przez niego przejść, dostać się do domu i zamknąć w nim. Wszedł więc bocznym wejściem do szkoły. Usiadł za biurkiem i schował głowę w dłoniach.

Nie usłyszał otwieranych drzwi ani głosów. Był zbyt zamyślony. Słyszał jedynie własne udęczone myśli, dopóki Rachel nie dotknęła jego ramienia.

– Nie mogłam cię znaleźć, Jonah. Poe powiedział, że widział, jak tu wchodzisz. Więc...

– Wyjdziemy. – Max wziął dłoń Lany.

– Nie. Nie musicie. – Jonah usiadł. Był blady i miał mocno podkrążone oczy.

– Co się stało? – zapytała Rachel. – Poe nic nie mówił.

– Mamy dużo leków i sprzętu ze szpitala. Pod tym względem wszystko jest w porządku.

A potem pojechaliśmy sprawdzić centrum handlowe, to, w którym wcześniej mieliśmy kłopoty.

– Najeżdźcy? – Palce dłoni spoczywającej na jego ramieniu wbiły mu się głęboko w ciało. – Wpadliście na Najeżdźców?

Potrząsnął głową.

– Nie, już zniknęli. Zostawili dużo zniszczeń, wewnątrz i na zewnątrz. Chryste, nasikane na półki i wieszaki z ubraniami. Kim i tak je spakowała. Powiedziała, że mocz się spierze. Taki sam wandalizm jak wszędzie. Potłuczone szkło, obsceniczne bazgroły na murach, stos śmieci. I ciała. Okaleczonych, gnijących. To samo zwierzęta. W środku i na zewnątrz. Zjadane przez szczury i padlinożerne ptaki. My... – Odchrząknął. – Musimy tam wrócić, wykopać groby albo... urządzić kolejny stos pogrzebowy. Te ciała już jakiś czas tam leżą. Ja... – Spojrzał na Maksa i Lanę.

– Miejsce można oczyścić – powiedział Max. – Możemy to zrobić. Dusze zmarłych mogą zostać pobłogosławione.



– Muszą. Aaron też to poczuł. Nie rozmawialiśmy o tym zbyt wiele, ale on to poczuł. A ja, a ja... Nie mamy może whisky?

Rachel podeszła do szafki, wyjęła butelkę i szklanekę. Nalała na dwa palce.

Jonah wypił ją duszkiem i odetchnął głęboko.

– Nie sądzę, żeby to byli wyłącznie Najeźdźcy. Tam było... coś innego. I to coś było gorsze, o wiele gorsze. Powiesili kobietę – Niesamowitą. Czuliśmy, że nie możemy jej tak zostawić. Musieliśmy ją przynajmniej odciąć. Mamy drabinę. Wszedłem tam, żeby przeciąć linę. – Urwał. – Widzę śmierć – podjął po chwili. – To mój dar. Śmierć, uraz fizyczny, chorobę. Wszedłem po drabinie, by odciąć linę, i jej ciało otarło się o moje ramię. Zobaczyłem jej życie, przeblęski tego, kim była. Widziałem, co jej zrobili. Słyszałem jej krzyki. Widziałem jej śmierć.

Wcisnął twarz w piersi Rachel, kiedy ta go objęła.

– Nazywała się Anja. Miała dwadzieścia dwa lata. Była taka jak Fred. Obcięli jej skrzydła, zanim...

– Nie. – Rachel głaskała go po głowie, po plecach. – Nie.

Max podsunął krzesło i usiadł przy biurku.

– To dla ciebie nowość to widzenie życia zmarłych?

– Tak. Nowy dar.

– To z pewnością trudne, ale myślę, że to jest dar. Dar dla tych, którzy żyli. Ktoś ich pamięta. To coś, czego wszyscy pragniemy. Żeby ktoś o nas pamiętał. Możemy ci pomóc. Lana bardziej niż ja.

Max spojrział na nią, a gdy Lana nic nie powiedziała, dodał:

– Masz empatię. Uzdrawiający dotyk.

– Jonah – zaczęła Lana – myślę, że masz to, co masz, bo też to potrafisz.

– A to oznacza, że gdybym znalazł tych, którzy ją zgwałcili, okaleczyli i zamordowali, to zabiłbym ich bez najmniejszych skrupułów?

– To znaczy, że jesteś człowiekiem – odrzekł Max i wstał. – Wrócę z tobą i pogrzebię ją.

– Kiedy oznaczysz jej grób imieniem – powiedziała Lana, kładąc dłoń na dziecku, które się w niej poruszało – kiedy ją pochowasz, uwolnisz jej duszę. Ulżysz własnej. Oznacz jej grób imieniem i wypowiedz jej imię. Czuję to.

– Zatem tak należy zrobić. I to właśnie zrobimy. Pojadę teraz z tobą. Do pozostałych wyślemy ekipę jutro.

Jonah kiwnął głową, wstał i uścisnął dłoń Maksa.

– Dziękuję ci.

\* \* \*

Później, nocą, Max przewracał się z boku na bok, nie mogąc pozbyć się wyraźnych obrazów z umysłu. Nie widział, nie czuł tego, co Jonah, kiedy chowali zbezczeszczone szczątki niewinnej, młodej kobiety.

Nie widział jej życia, jej jasności. Widział tylko śmierć, okrucieństwo, tylko odebranie życia. I aż nazbyt dobrze wyobrażał sobie strach i agonię ostatnich chwil jej życia, gdy Jonah położył kamień na szczycie kopca, a on użył ognia, by wyryc jej imię.

Oznacz grób jej imieniem, wypowiedz je. Tak zrobili i Max miał nadzieję, że młoda, niewinna kobieta odnalazła spokój.

Wierzył, że Jonah również, przynajmniej chwilowo, odnalazł go w tym rytuale szacunku.

Jednak nocą, w ciszy i pustce między sprawami, którymi trzeba było się zająć, Max nie odzyskał spokoju.

Pomyślał o Ericu. Przypomniawszy sobie, jak bardzo zafascynował go brat, kiedy był noworodkiem, jak bardzo rozśmieszał go jako małe dziecko. Przypomniawszy sobie, jak sfrustrowany był Eric w wieku pięciu i sześciu lat, gdy rozpaczliwie usiłował być taki jak osiem lat od niego starszy brat.

A jednak to Ericowi pierwszemu zdradził tajemnicę tego, kim jest, jakie ma zdolności. Ponieważ łączyło ich zaufanie. Braterstwo.

Jak mógł nie zauważyć tych zmian? Jak mógł być na nie tak ślepy? Gdyby tylko je dostrzegł, zyskałby wystarczająco dużo czasu, by wyciągnąć Erica znad krawędzi mroku, zanim ten całkiem do niego wpadł.

Powinien był się nim zaopiekować. Zorientować się. Zamiast tego zabił swojego brata.

To, co stało się na końcu, nie wymaże tego wszystkiego, co działo się wcześniej. Tak jak okropieństwa kresu życia nie wymazały dziewczyny, którą pochowali.

Tylko że on nigdy nie będzie miał szansy, by pochować brata, oznaczyć grób jego imieniem, wypowiedzieć je. Zapewnić jego duszy spokój.

Aby żyć zgodnie z wyborem, którego dokonał, robił to, co konieczne. Jedzenie, schronienie, droga. Podążanie za znakami. Zabił ponownie, by bronić życia tych, za których stał się odpowiedzialny. Bez istot krzywdzenia – w tę przysięgę wierzył każdą komórką ciała. Złamał ją, dokonał tego wyboru, ponieważ nie widział innego, i pogodził się z tym, że być może będzie musiał dokonać go ponownie.

Miał teraz szansę stworzyć tu nowe życie, z Laną, z ich dzieckiem, z dziećmi, które mogą pojawić się później. Będzie więc robił to, co jest konieczne.

Obok niego Lana poruszyła się we śnie, jak często to robiła. Sny zakłócały jej odpoczynek, sny, których nie potrafiła zapamiętać. Lub twierdziła, że nie pamięta. Tym razem jednak zamiast przytulić się do niego, odwróciła się i wstała z łóżka.

– Wszystko w porządku?

Podeszła do okna i stanęła naga w niebieskawym świetle księżyca.

– Sprowadzenie zbawiciela jest twoim przeznaczeniem. Życie ze śmierci, światło z ciemności. Sprowadzenie zbawiciela jest twoim przeznaczeniem. Życie ze śmierci, światło z ciemności.

Wstał i podszedł do niej. Nie dotknął jej, nie odezwał się, gdy patrzyła przez okno oczami równie ciemnymi jak noc.

– Moc wymaga ofiary, aby mogła osiągnąć swą straszliwą równowagę. Żąda krwi i łez, a jednocześnie nadal karmi się miłością i radością. Ty, syn Tuatha de Dananna, żyłeś już wcześniej, znowu żyć będziesz. Ty, ojciec zbawiciela, ojciec Jedynej, korzystaj z chwil i ciesz się nimi, ponieważ chwile są ulotne i skończone. Ale życie i światło, moc tego, co nadejdzie, jego dziedzictwo będzie nieskończone.

Lana wzięła go za rękę i przycisnęła do słodkiego wzgórnika brzucha.

– Ona jest serca biciem, trzepotem skrzydeł, światła poruszeniem. Ona jest blaskiem miecza, cełnym trafieniem błyskawicy. Ona jest odpowiedzią na pytania, których jeszcze nie zadano.

– Będzie.

Lana wróciła do łóżka.

– Ona jest twoją krwią. Ona jest twoim darem. Śpij teraz i bądź spokojny. – Pociągnęła go na łóżko i ułożyła się obok niego. Położyła dłoń na jego policzku. – Jesteś kochany. – Zamknęła oczy i westchnęła. Zasnęła.

I on też.

## Z CIEMNOŚCI DO ŚWIATŁA

Światło zaś świeci w ciemności  
i ciemność go nie ogarnęła.

J 1:5

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Samozwańcza rada miasta uznała, że nie będzie lepszego momentu na zebranie całej społeczności. Uruchomienie prądu podniosło morale i nastrój, ale było oczywiste, że nie minie dużo czasu, gdy ten pomniejszy cud zostanie uznany za coś naturalnego.

Postanowili poruszyć temat, póki w mieście panował duch wdzięczności i uznania.

Nagłośnienie nie stanowiło problemu. Podobnie jak znalezienie ochotników, którzy rozstawili rzędy krzeseł w Domu Legionu, szkolna stołówka nie pomieściłaby bowiem zwiększonej liczby mieszkańców, w razie gdyby pojawiło się tyle osób, ile oczekiwano.

Rozstawili długie stoły na podwyższeniu, Chuck zaś włączył nagłośnienie.

Arlys stała w pustej sali, w duchu widząc już przestrzeń zapełnioną ludźmi. Wyobrażała sobie niezliczone scenariusze – od całkiem dobrych po źle rokujący chaos.

– Myślisz, że jesteśmy gotowi, Lloyd?

– Bardziej chyba nie będziemy. – Spojrzał na segregator trzymany w dłoniach. – To dobry program, rozsądny. Nie znaczy, że się przyjmie. Poczynając od poproszenia wszystkich, żeby zostawili broń w holu. Niektórzy tego nie zrobią.

– I martwię się, że ci, którzy tego nie zrobią, będą najprawdopodobniej tymi, którzy sprawią kłopoty. Ale od czegoś musimy zacząć. – Odwróciła się, gdy Lana weszła z wielkim koszem. A potem wciągnęła w nozdrza unoszącą się w powietrzu woń. – O mój Boże, co tak wspaniale pachnie?

– Chleb. Świeżo upieczony. – Postawiła kosz pełen małych bochenków na podwyższeniu. – Mamy różne. Ponastawiałam mnóstwo zaczynów. Mieliśmy paczkowane drożdże, ale kiedyś się skończą, staram się więc je hodować. I zamierzam spróbować zrobić suche drożdże.

– Umiesz wytwarzać drożdże? – Arlys prawie że wsadziła głowę do kosza.

– Tak. Rosną na owocach, ziemniakach, a nawet pomidorach. Będę eksperymentować. Ktoś musi jednak wykombinować, jak mielić mąkę.

– Jeśli natychmiast nie dostanę kawałka tego... – Lloyd wciągnął głęboko powietrze przez nos – ...najpewniej zaraz umrę.

– Często się. Wymyśliłam, żeby było po trochu dla każdego gospodarstwa domowego. Są nieduże, wiem, ale...

– Święty Jezu – wybełkotał Lloyd z pełnymi ustami.

– Działanie wspólnoty w praktyce. – Arlys odłamała kawałek chleba z bochenka Lloyda. – Będziemy mieli zasady i organizację, ale... – Wgryzła się. – Będziemy też mieli chleb, który wywołuje łzy w oczach. Jest jeszcze ciepły!

– Chleb symbolizuje gościnność. Chlebem się łamiemy. – Lana uśmiechnęła się, patrząc na kosz. – Uznałam więc, że będzie dobrym symbolem na pierwszy dzień działania wspólnej kuchni.

– Wyjdiesz za mnie? – Lloyd urwał kolejny kawałek.

– Hej! – Arlys szturchnęła go łokciem. – Ustaw się w kolejce.

Śmiejąc się, Lana pomachała dłonią z pierścionkiem, który pewnego wiosennego wieczoru Max wsunął jej na palec.

– Jestem już zajęta, ale upiekę dla ciebie chleb. A potem? Fred i ja zamierzamy się poważnie zabrać za robienie serów.

– Jeżeli to się wam uda, to koronujemy was na królowe Nowej Nadziei.

Śmiejąc się razem z Arlys, Lana zmierzwiła sobie włosy.

– Dobrze wyglądałabym w koronie. Przyniosę więcej.

– To się uda, Lloyd – rzekła Arlys, siadając obok kosza.

Usadowił się po drugiej stronie, przełamał to, co zostało z jego bochenka, i podzielił się z Arlys.

– A żebyś wiedziała, że tak.

\* \* \*

O ósmej w sali słyhać było gwar rozmów. Niektórzy buntowali się przeciw zostawieniu broni, inni to wezwanie zignorowali. Większość jednak położyła ją przed salą.

Wciąż panowała odświętna atmosfera, co potwierdzało sensowność zorganizowania spotkania. Arlys przyglądała się, jak Kurt Rove – nadal z pistoletem na biodrze – wchodzi do sali zdecydowanym krokiem. Obrzucił tłum twardym spojrzeniem, zanim przeszedł do krzesła, które zajęli dla niego Mercerowie. Wiedziała, że jeżeli zaczną się jakieś kłopoty, to właśnie tam. Zajęła miejsce przy długim stole i otworzyła notatnik. Liczyła się z tym, że będzie miała sporo do zapisania.

– Niektórzy już są wściekli – szepnęła Fred.

– No właśnie widzę.

Jonah podszedł do podium. Gdy jego hmmm rozeszło się po sali, wszyscy z zaskoczeniem zamilkli, po czym gruchnęli śmiechem.

– Nagłośnienie mamy dzięki Chuckowi. – Przeczekał oklaski. – A mamy je, ponieważ mamy prąd, dzięki Manningowi, Wandzie, ponownie Chuckowi i Maksowi.

Rozległy się gromkie brawa, którym towarzyszyły okrzyki i gwizdy.

Arlys zauważyła, że Rove tylko skrzyżował ręce na piersi.

– Chcemy prosić wszystkich o oszczędzanie prądu. Dla tych z was, którzy nie mają u siebie pralki, Manning zlikwidował konieczność płacenia w pralni samoobsługowej. Umieścimy tam formularz zgłoszeniowy, żeby nie było kolejek. Mamy w magazynie środki piorące, a Marci Wiggs kieruje komitetem zajmującym się produkcją mydła. Marci, może wstaniesz i powiesz nam, jak to wygląda.

Arlys uznała to za sprytne posunięcie, kiedy wywołana kobieta wstała i zaczęła referować. W ten sposób pojawił się temat artykułów pierwszej potrzeby oraz współpracy.

Jonah wyczytał innych ochotników. Produkcja świec, szycie ubrań, drewno na opał, hodowla zwierząt, ogród, projekt szklarni, konserwacja obiektów w przestrzeni publicznej.

– Niektórzy z was mogą nie znać Lany. Czy możesz wstać, Lano? Lana zamienia kuchnię, tutaj w tym budynku, we wspólną kuchnię, która zapewni podstawowe produkty spożywcze tym z nas, którzy nie potrafią zgotować wody.

To wywołało jeszcze większe salwy śmiechu i brawa.

– Zaczęłaś od dziś, prawda, Lano?

– Pomogło mi w tym wiele osób. – Wyrecytowała szybko imiona osób z ekipy sprzątającej i organizacyjnej. – Mamy trochę nowego sprzętu dzięki Poemu i Kim, Jonahowi oraz Aaronowi i zamierzamy to wykorzystać. Dave, Mirium i ja postanowiliśmy na początek zrobić coś najbardziej podstawowego i najbardziej sycącego. Chleb. – Podniosła koszyk. – Symbol życia, gościnności i wspólnoty. Mamy dość, żeby każdy dom wziął bochenek. – Przechyliła koszyk, tak aby zgromadzeni mogli zobaczyć jego zawartość, i uśmiechnęła się, słysząc ich radość. – Koszyki stoją w holu. Zabierzcie swoją część przy wyjściu. Tymczasem mamy...

– Niczego od niej nie wezmę. – Nadal mając skrzyżowane ręce, Rove wpatrywał się w Lanę i pogardliwie skrzywił usta. – Skąd wiemy, co tam wsadziła? Kto mówi, że może przejąć tu kuchnię? Nim się spostrzeżemy, wstawi tam kociołek czarownicy.

– Właśnie skończyły mi się oczy traszki – odrzekła chłodno Lana. – Ale mam kilka różnych zakwasów i parę wydrukowanych przepisów dla każdego, kto chciałby z nich skorzystać.

– Ja wezmę bochenek Kurta! – zawołał ktoś.

Lana zaczęła, aż śmiech opadnie.

– Zaczniemy także budować za kuchnią wędzarnię. Jeśli ktoś z was ma doświadczenie w wędzeniu mięs, to niech się do mnie zgłosi, bardzo bym chciała z nim porozmawiać. W ciągu kilku kolejnych dni Dave i ja będziemy robić kielbasę i mortadelę z dziczyzny. Arlys ogłosi w biuletynie, kiedy będą gotowe. Mamy nadzieję, że kuchnia będzie otwarta sześć dni w tygodniu, a my zawsze dostępni dla tych, którzy, tak jak Jonah, chcą nauczyć się gotować wodę.

Gdy usiadła, Max poklepał ją pod stołem w udo.

– Dzięki, Lano. Ta kobieta potrafi gotować – dodał Jonah. – Wczoraj wieczorem miałem przyjemność zjeść trochę jej makaronu bez traszki. Rachel, czy możesz przekazać nam najnowsze informacje dotyczące przychodni?

Wywołana do odpowiedzi wstała.

– Kolejne podziękowania dla Jonaha, Aarona, Kim i Poego. Mamy teraz w pełni zaopatrzone ambulans i trochę porządnego sprzętu. A dzięki pracy ekipy energetycznej przychodnia będzie mogła teraz ten sprzęt uruchomić. Nasze szafki z lekami, zarówno tymi bez recepty, jak i tymi na receptę, znów są dobrze zaopatrzone. Ruszamy też z medycyną holistyczną dzięki Fred, Tarze, Kim i Lanie. – Zerknęła na swoje notatki. – Jonah i ja nadal będziemy uczyć resuscytacji krążeniowo-oddechowej w pierwszą środę każdego miesiąca wieczorem o siódmej, a kursy pierwszej pomocy będą się odbywały co poniedziałek wieczorem o siódmej dla każdego, kto się zgłosi. Jak zawsze, przychodnia jest otwarta codziennie od ósmej, Jonah lub ja będziemy dostępni w nagłych przypadkach całą dobę. Do personelu przychodni dochodzą teraz Ray, pielęgniarka i Carly, studentka pielęgniarstwa, oraz Justine, uzdrowicielka. Będziemy razem pracować, żeby Nowa Nadzieja była zdrowa.

– Uzdrowicielka, ja pierdzielę! – krzyknął Lou Mercer. – Co ona robi, dotyka cię i naprawia złamaną rękę? – Parsknął śmiechem, a niektórzy do niego dołączyli.

– Możesz wybrać rodzaj badania lekarskiego – odpowiedziała Rachel tonem równie zimnym jak luty. – Tak samo jak możesz siedzieć tu i być dupkiem. Nadal będziemy leczyć ci hemoroidy.

– Słuchaj, suko...

– Doktor Suko – odwarknęła. – I, jako jedyny lekarz w tej społeczności, powiem wam wszystkim, że te tradycyjne leki kiedyś się skończą. Upłynie termin ich ważności. Bez chemika, farmaceuty, laboratorium, bez tego wszystkiego koniec końców będziemy musieli korzystać z innych rodzajów medycyny i lecznictwa oraz pomocy tych, którzy mają zdolności i umiejętności, by je wyprodukować. Musimy żyć w takim świecie, w jakim przyszło nam żyć.

– Mam cukrzycę. – Podniósł się jeden z nowych pacjentów Rachel. – I nie jestem jedyną osobą, której stan zdrowia wymaga codziennego przyjmowania leków. Jestem cholernie wdzięczny, że grupa moich sąsiadów pojechała szukać tego, czego potrzebujemy. I wdzięczny, że kiedy to, czego potrzebujemy, się skończy, jest ktoś, kto będzie próbował utrzymać mnie przy życiu i w zdrowiu. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– Myślę, że to wszystko wyjaśnia. – Rachel odeszła od mikrofonu i usiadła.

– Każdy, kto nie chce słuchać tego, co dziś wieczorem trzeba powiedzieć, nie musi tu siedzieć – rzekł Jonah i cofnął się o krok. – Tak samo jak każdy, komu nie podoba się to, co trzeba zrobić, aby stworzyć tę społeczność i zadbać o jej bezpieczeństwo, nie musi pozostawać w Nowej Nadziei. Przetrwaliśmy i udało nam się tutaj dostać. Przetrawanie już nie wystarczy, więc przekazuję prowadzenie tego spotkania Lloydowi.

Wywołany przeszedł do podium, otworzył segregator, po czym wyjął okulary do czytania z kieszeni koszuli i wsunął je na nos. Spojrzał ponad nimi na publiczność.

– Trafiłem do Nowej Nadziei pierwszego kwietnia. Prima aprilis był wyjątkowo parszywy. Zimny deszcz, chwilami deszcz ze śniegiem, zimny, silny wiatr. Przyszedłem sam, po tym, jak grupa, z którą kilka tygodni podróżowałem, została napadnięta przez Najeźdźców. Rozdzieliliśmy się i myślę, że miałem szczęście, bo gdy rozbiegliśmy się we wszystkich kierunkach, wpadłem do rowu. Uderzyłem się w głowę, strzaskalem sobie nogę. Przeżyłem jednak. Nie wiem, co się stało z innymi. Kiedy odzyskałem przytomność i udało mi się wypełznąć z rowu, byłem sam. Wielu z nas tułało się samotnie od pierwszych dni stycznia. – Umilkł na moment, a po chwili dodał: – Już nie jesteśmy sami.

Niektórzy zaczęli klaskać.

– Miałem szczęście – ciągnął Lloyd. – Uciekłem, utykając, i pierwszego kwietnia dokużykałem do Nowej Nadziei. Tego dnia wartownikiem był Bill Anderson, który zabrał mnie prosto do przychodni, gdzie Rachel opatrzyła mi nogę i dała butelkę wody. Młoda Fred przyniosła

mi pomarańczę i batonik Milky Way. I nie wstydzę się przyznać, że płakałem jak dziecko. To Arlys przyniosła mi ubrania na zmianę, to ona i Katie dopilnowały, żeby w domu, do którego zabrał mnie Chuck, znalazły się koce, woda i jedzenie. W domu, w którym do dziś mieszkam.

Byłem ranny, a zaopiekowali się mną. Byłem głodny, a dali mi jeść. Nie byłem nagi, ale, na Boga, śmierdzący i obdarty, a przyodziali mnie. Dali mi schronienie. Dali to, co każdy z nas dziś ma. Społeczność. – Przerwał i poprawił okulary. – Wszyscy tutaj mogą opowiedzieć mniej lub bardziej podobną historię. Chcę, żebyście wrócili do niej myślami. Chcę, żebyście nie zapominali o tym, że macie szczęście, gdyż Jonah ma rację. Przetrawanie już nie wystarczy. Gdy dokuśtykałem do Nowej Nadziei, żyło w niej trzydzieści jeden osób. Teraz jest nas ponad trzysta.

Grupa, z którą byłem, rozbiegła się bez żadnego planu – ja również – kiedy zostaliśmy zaatakowani. Nie mieliśmy przywódcy ani celu poza własnym przetrwaniem. Nie mieliśmy planu ani organizacji. Nowa Nadzieja ma już teraz więcej i zamierzamy na tym bazować. Rozmawialiśmy już trochę o tym, co osiągnęliśmy, i o planach na przyszłość. Teraz porozmawiamy o tym, jak chronić naszą społeczność przed Najeźdźcami i tymi, którzy zagrażają spokojowi z zewnątrz, jak również tymi, którzy zakłócają ten spokój od wewnątrz.

Zdjął okulary do czytania i z roztargnieniem zaczął je czyścić rękawem koszuli.

– Mieliśmy kilka incydentów i moglibyśmy je nazwać niegroźnymi na tle całej reszty – podjął po chwili. – Walki na pięści, groźby użycia przemocy i fizyczne zastraszanie. Naszą własną Bryar zastraszało i napastowało dwóch mężczyzn, kiedy spacerowała główną ulicą. Małemu Dennisowi Readerowi z werandy domu, w którym mieszka, ukradziono naprawiony przez Billa rower. Na drzwiach domu, w którym mieszkają Jess i Flynn, Dennis i kilkoro innych dzieci, nabazgrano brzydkie słowa. Najstarsza z nas, pieszczotliwie zwana Ma Zet, mieszkająca naprzeciw mnie, wróciła do domu po pracy w ogrodzie. Ma osiemdziesiąt sześć lat, a poświęca swój czas społeczności. Okazało się, że ktoś splądrował jej mieszkanie.

Na moment znowu urwał i położył dłonie na pulpicie.

– Zadam więc wam pytanie: czy jesteśmy wspólnotą, która będzie beczynną siedzią, podczas gdy młoda kobieta nie może w spokoju pójść na spacer, gdy dom seniora zostaje zdewastowany albo gdy małemu chłopcu zabiera się rower z werandy?

Tak jak się spodziewał, rozległy się okrzyki: nie. Tu i ówdzie rzucano twarde, ukradkowe spojrzenia na Mercerów.

– Cieszę się, że to słyszę. – Podniósł rękę, aby uciszyć hałas. – Cieszę się, że to słyszę. Zgadzą się. Zgadzą się założyciele tej społeczności. Zgadzą się ludzie, którzy was przyjęli, opatrzyli wasze rany, zapewнили wam jedzenie i dach nad głową. Przeżyliśmy i pracujemy każdego dnia, aby zabezpieczyć nasze domy przed każdym, kto się tu pojawi i zechce wyrządzić nam krzywdę. Nadszedł czas, aby wprowadzić w życie prawa, które uchronią nas wszystkich przed każdym, kto w naszej społeczności chce wyrządzić nam krzywdę.

Rove zerwał się na równe nogi.

– Prawa?! – zawołał. – To, że ktoś dotarł tu pierwszy, nie oznacza, że może mówić reszcie, co ma robić i jak żyć. Mamy większe zmartwienia niż rower jakiegoś dzieciaka, na litość boską. Spójrzcie, kto tam siedzi, tyranizując resztę. Połowa z nich nie jest taka jak my.

– Masz co do garnka włożyć dzięki tym ludziom. Jak chcesz sam szukać jedzenia gdzie indziej, to droga wolna, nikt cię nie będzie zatrzymywał. – Lloyd nie podniósł głosu ani nie zaostrzył tonu.

Ale jego słowa miały dużą wagę.

– Tak samo jak każdy, kto postanowił iść dalej, dostaniesz zapasy i życzenia wszystkiego dobrego na drogę.

– Tak to będzie wyglądało?

– Tak to właśnie będzie wyglądało.

– Ale kto decyduje? – Siedząca na przodzie kobieta podniosła rękę. – Kto pisze te prawa i co się stanie, gdy zostaną złamane?

– To dobre pytanie, Taro. Zaczynamy od tego, co, jak sądzę, każda tu obecna rozsądna osoba poprze. Prawa przeciw przemocy, przeciw kradzieżom i aktom wandalizmu. Spisałem te

z nich, które, naszym zdaniem, są najistotniejsze. Rozdamy kopie, żebym tu nie musiał stać i wszystkiego czytać. Omówię tylko przykładową kwestię zabójstwa. – Wciągnął głęboko powietrze przez nos. – Zgodzimy się, że nie wolno tolerować odebrania komuś życia. Ale co, jeśli to życie zostało odebrane w samoobronie, w obronie innego życia? To trzeba rozważyć. Pierwszą linią, która rozstrzyga takie kwestie, jest ochrona porządku publicznego. Mamy Carlę, która sześć lat była zastępcą szeryfa, Mike'a Rozera, który dziesięć lat służył w policji, i Maksa Fallona, który przyprowadził blisko setkę osób do Nowej Nadziei, skłonnych i zdolnych służyć społeczności w tym obszarze.

Tym razem to Don Mercer zerwał się na równe nogi.

– Nie będę przyjmował rozkazów od jakiejś byle lali z zadupia, która pewnie siedziała na grubym tyłku i żarła pączki, ani od jakiegoś pieprzonego psa, którego nikt tutaj nie zna. I na pewno od nikogo takiego jak on. – Wskazał na Maksa. – To tacy jak on są przyczyną tego wszystkiego i większość z nas dobrze o tym wie. Co niby powstrzyma tego pieprzonego cudaka od zabicia kogokolwiek z nas, jeśli mu się zachce? To taki jak on zabił twój męża, co nie, Lucy?

Chuda kobieta z krótkimi, siwiejącymi włosami kiwnęła głową.

– To jego gatunek zabił Johnny'ego. Spadł na nas z góry jak demon z piekła. Ledwo uszłam z życiem.

– Pewno tacy jak on zdewastowali mieszkanie starszej pani. I pewno oni zabrali rowerek temu dzieciakowi. Prawo srawo – ironizował. – Kolejny sposób na to, żeby wykiwać prawdziwe istoty ludzkie.

Słyszając to, Max podniósł się powoli ze swego miejsca. Prawie nie patrzył na Rove'a, gdy ten wstał z dłonią opartą na kolbie pistoletu.

– To istoty ludzkie zabiły trzy osoby z naszej grupy. Urządziły zasadzkę i zabiły trzy istoty ludzkie, zanim zdołaliśmy je powstrzymać. Jeżeli chcecie nas dzielić pod względem dobra i zła, to obie strony mają w sobie ciemność. Dobrze o tym wiem. To ktoś taki jak ja, i jednocześnie inny, spowodował śmierć młodego człowieka, który udzielił nam schronienia. To ten ktoś zwrócił się przeciw wszystkiemu, w co my, magiczni, wierzymy. On i kobieta, która go odmieniła, odebrali jedno życie i odebrali życie mojej żony i dziecka, moich przyjaciół. Był to mój brat, mój własny rodzony brat, i żeby powstrzymać go przed zabijaniem, przed używaniem tego, co jest darem, do niszczenia, musiałem odebrać mu życie.

Utkwił w Rovie spojrzenie zimnych, szarych oczu.

– Wierz mi, jeżeli wyciągniesz ten pistolet i zagroźisz komukolwiek tu obecnemu, powstrzymam cię. Jeżeli ktokolwiek, kto ma dar, będzie chciał wyrządzić komukolwiek krzywdę, powstrzymam go. Obraziłeś moją żonę, która wykorzystwała swoje zdolności, żeby upiec dla wszystkich chleb. To nie jest przestępstwo, tylko ignorancja. Wyciągnij broń, jeżeli chcesz poznać różnicę.

– Bzdura! – Lou Mercer wstał gwałtownie. – Dlaczego on może grozić, że wykorzysta swoje hokus-pokus, by zaatakować jednego z nas?

– A Kurt może grozić wszystkim bronią?

– Mój pistolet jest w kaburze – zaprotestował Kurt.

– To trzymaj go tam i usiądź, do diabła.

– To wszystko są bzdury – zachnął się Lou. – Bzdurne prawa, które sobie wymyślili!

Niewydarzona policja, która będzie nas rozstawiać, a wszystko dlatego, że niektórzy z tych tam na podwyższeniu przybyli tu przed nami. Bzdura, powtarzam. Moim zdaniem powinniśmy głosować. Wciąż jesteśmy w pieprzonej Ameryce i mamy prawo głosować. Nie będziemy robić tego, co nam mówią.

– Może chcielibyście przejrzeć te prawa, zanim...

– Och, zamknijże się, do diabła! – krzyknął Lou do Lloyda. – Nie masz więcej do powiedzenia niż ja. Moim zdaniem powinniśmy przegłosować tę bzdurę. Poddajmy pod głosowanie, czy pozwolimy jakimś dupkom dyktować nam, jak mamy żyć.

– W porządku, Lou, przystąpmy zatem do głosowania. Najlepiej przez podniesienie rąk – zaproponował Lloyd. – Wszyscy, którzy są przeciwni strukturze prawnej w Nowej Nadziei,



mianowanym władzom egzekwującym rzeczony prawa oraz systemowi sprawiedliwości ustalającemu konsekwencje łamania tych praw, niech podniosą rękę.

Otakował wzrokiem salę. Domyślał się już, kto podniesie dłoń, i z zadowoleniem stwierdził, że całkiem nieźle zna się na ludziach.

– Naliczyłem czternaście osób przeciw. Arlys?

– Czternaście przeciw – potwierdziła.

– To bzdury... – zaczął Lou.

– Wezwałeś do głosowania. Głosujemy. Ci wszyscy, którzy są za strukturą prawną w Nowej Nadziei, mianowanymi władzami egzekwującymi rzeczony prawa oraz systemem sprawiedliwości ustalającym konsekwencje łamania tych praw, niech podniosą rękę. – Pokiwał głową. – Ponieważ za opowiedziało się więcej niż dwieście osób, czyli większość, głosujący opowiedzieli się za strukturą prawną. Eddie, Fred, możecie rozdać kartki, żeby mieszkańcy mogli przestudiować propozycje?

Kiedy rozdawali plik kartek w celu dalszego ich rozdzielenia między rzędy, Rove przepchnął się do przodu, po czym wyrwał papier z rąk Eddiego, zmiął go i rzucił na podłogę.

– Stary, nie bądź takim fiutem – skomentował Eddie.

Twarz Rove'a w mgnieniu oka poczerwieniała z wściekłości. Zwinął dłoń w pięść i zamachnął się, celując w twarz Eddiego, ale o dziwo, jego dłoń zatrzymała się pięć centymetrów od niej. Wściekłość zamieniła się w szok i frustrację, a potem odrazę.

– Wiedziałem, że jesteś jednym z nich – powiedział z pogardą.

– Nie jest. – Lana podniosła się. – Nie w taki sposób, jaki masz na myśli. To ja zablokowałam pański cios, panie Rove – kontynuowała, idąc ku niemu. – Ponieważ nie pozwolę panu zastraszać ani fizycznie atakować przyjaciela.

– Ach, Lano, dam sobie radę.

Poklepała Eddiego po ramieniu.

– Wiem o tym. Idź i rozdaj papiery. – Kiedy Eddie się oddalił, Lana stanęła na jego miejscu. Postukała palcem w powietrze przed pięścią Rove'a. Rozluźnił ramię i opuścił rękę.

– Chce się pan na mnie zamierzyć, panie Rove? – Nie patrząc za siebie, podniosła rękę, gdy Max zerwał się na równe nogi. – A może da pan temu spokój, tak samo jak z obelgami i nietolerancją?

Wyczuwała w nim nienawiść i widziała, że w tej nienawiści i towarzyszącemu jej upokorzeniu bardzo chciałby ją skrzywdzić. Ale równie mocno się jej bał.

Kilkoro innych ludzi wstało, gdy jego dłoń, nadal zwinięta w pięść, drżała. Niektórzy przeszli, by stanąć po jej stronie albo za nią.

– Idź do domu, Kurt – poradził Manning i delikatnie odsunął Lanę. – Idź do domu i ochłoń.

Rove odwrócił się na pięcie i wymaszerował. Z czternastu osób, które z nim głosowały, podążyło za nim tylko dziewięć.

– Masz jaja – zwrócił się do Lany Manning. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, że tak mówię.

– Nie mam nic przeciwko, bo mam je od niedawna. – Uśmiechnęła się Lana.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Przez tydzień, potem drugi, kiedy maj przeszedł w czerwiec, Nowa Nadzieja rozbudowywała się intensywnie. Powstały szklarnia, wędzarnia i miejsce do piknikowania koło ogrodów. Dołączyły do nich dwie nowe grupki, najpierw trójka, potem piątka.

Po przywróceniu prądu Chuck postanowił uruchomić internet; połączył w tym celu swoją moc z magicznymi zdolnościami Maksa. Było to co prawda wolne i niestabilne łącze, wymagające wielokrotnego wdzwaniania się, i dostępne tylko w miejscach, które uznali za priorytetowe, ale dawało kolejny powód do optymizmu.

Wiele osób niemających kontaktu z bliskimi codziennie ustawiało się w kolejce do nowej biblioteki miejskiej, żeby wysłać maile i sprawdzać, czy przyszła jakaś odpowiedź.

Nikt jej nie otrzymał, jednak nadzieja nie umierała.

Chociaż Chuck kontynuował swoje poszukiwania, komunikacja ze światem zewnętrznym nie dawała rezultatów. Arlys może nie potrafiła przeglądać sieci, ale miała oprogramowanie umożliwiające jej wydawanie biuletynu bez konieczności łomotania w starą maszynę od pisania.

A Max pisał.

Jonah dyskretnie przeniósł się do pokoju Rachel.

Ogrody rozkwiły, a jeśli działa się to przy niewielkim udziale magii, to nikt nie narzekał.

– Wydaje się, że znaleźliśmy równowagę. – Lana siedziała na werandzie, na krześle pomalowanym w wesoły odcień czerwieni, popijała herbatę słoneczną i podjadała kruche ciasteczka z własnych zapasów.

Towarzyszyła jej Arlys, która często odwiedzała ją pod koniec dnia.

– Jest sielankowo – kontynuowała. – I mówi to prawdziwy mieszczuch. Mamy świeże czereśnie, winogrona...

– Przez co trudno nie myśleć o drożdżach.

– Ale też o tartach, dżemach i galaretkach. Zaczynają się już pomidory, mamy wspaniałą świeżą sałatę i inne zielone warzywa. Bill przytaszczył do kuchni dwie skrzynie słoików. Obserwuję rosnącą kukurydzę, co dla osoby, która całe życie spędziła w mieście, jest niewiarygodnym przeżyciem. Rachel powiedziała, że dziecko jest idealne i waży już blisko pół kilograma. Przysięgłabym, że jest znacznie cięższa, ale potem wyobraziłam sobie zjedzenie pół kilograma cukru, no i jednak widzę pewien związek.

Westchnęła z zadowoleniem i pogłaskała się po brzuchu.

– Mówiąc o drożdżach, to zrobiliśmy trochę i je wysuszyliśmy. A dzięki Chuckowi nie muszę już spisywać ręcznie przepisów i czekać, aż złapie mnie skurcz w dłoni. No i Rove, i Mercerowie oraz ta wkurzająca Sharon Beamer nie sprawiali nam żadnych problemów od czasu tego publicznego spotkania.

– Daj im czas.

– O nie, mam dobry humor i nie pozwolę go sobie zepsuć. O, Will idzie. – Lana machnęła ręką, dając mu znak, żeby podszedł. – Jak tam sprawy?

– Sprawy?

– Między wami? – Lana poruszyła znacząco brwiami. – Wyczuwam jakieś wibracje.

– Coś źle wyczuwasz. Jesteśmy tylko przyjaciółmi, bawiliśmy się razem jako dzieci. – Arlys upiła łyk wina, spoglądając na idącego ku nim Willa. – Ale przyjemnie się na niego patrzy.

– Drogie panie.

– Nie mamy piwa – powiedziała Lana. – Ale jest wino.

– Nie miałbym nic przeciwko. Właśnie wróciliśmy z polowania.

– Tylko mi nie mów, że znowu będę robiła kiełbasę z dziczyzny.

– Jest pyszna.

– No dobrze. Przyniosę ci kieliszek.  
– Siedz – nakazała Arlys. – Ja przyniosę. Pół kilograma cukru – dodała, wstając, i weszła do środka.

– Pół kilograma cukru? – zdziwił się Will.

Lana pogładziła się po brzuchu.

– Spróbuj ciastek.

– A, bardzo chętnie. – Wziął jedno z nich i ugryzł. Zamknął oczy. – Och, naprawdę pyszne.

Mogłabyś tym zarabiać na życie.

– Zarabiałam. To były piękne dni.

Arlys wyszła z kieliszkiem i naleła mu wina. Will oparł się o słupek ogrodzenia. Zerknął za siebie, gdy trzy jelenie przeparadowały główną ulicą.

– Dobrze, że Fred pomyślała o założeniu tego niewidocznego ogrodzenia wokół ogrodów – zauważył. – Wystarczy przejść niecały kilometr, żeby ustrzelić jelenia.

– Dobrze też, że przyjęliśmy rozporządzenie przeciwko stosowaniu broni w granicach miasta – dodała Arlys. – W przeciwnym razie mielibyśmy więcej przypadkowo rozbitych okien.

– Na pewno. Mamy pomysł, żeby napaść dziś wieczorem Rachel i pooglądać filmy na DVD. Jesteście chętni?

– My to znaczy kto?

– Tato i ja... Chuck, jeśli uda nam się wyciągnąć go z piwnicy, i jeszcze kilka innych osób.

U nich jest duży ekran i odtwarzacz. Wstęp za czymś do jedzenia lub picia.

– Ja mogę być chętna – powiedziała Arlys, uśmiechając się do niego. Pomyślała, że naprawdę przyjemnie się na niego patrzy, gdy Lana wstała i przeszła na drugą stronę schodów. – A ty, Lano? Miałabyś chęć na wieczór filmowy?

– Coś nadchodzi. Wszystko się zmienia. Coś nadchodzi. Zawsze tak było. Coś nadchodzi.

Kończy się i zaczyna.

Will zrobił krok w jej kierunku, po czym rzucił się, gdy się zakołysała.

– Hej, hej, hej. – Wepchnął swój kieliszek Arlys i podtrzymał Lanę.

– Wszystko w porządku. Po prostu zakręciło mi się w głowie.

– Zawołam Rachel. Znajdę Maksa.

– Nie, nie, naprawdę, tylko zakręciło mi się w głowie. Nic mi nie jest.

– Idę po Rachel – uparła się Arlys i rzuciła się pędem na drugą stronę ulicy.

– Tutaj. – Will zaniósł ją do krzesła i posadził. – Co to jest?

– Ach, herbata słoneczna.

– Dobrze, to pewnie może być. Wypij trochę. Mocno zbladłaś. Co nadchodzi?

– Nie wiem. – Położyła dłoń na brzuchu. – Ogarnęło mnie jakieś poczucie nieuchronności.

I smutku. Ćwiczę, ale nie tyle, ile powinnam. Powinnam lepiej wiedzieć, jak takie uczucia kontrolować lub interpretować.

Rachel w podkoszulku i luźnych szortach przeszła szybkim krokiem przez ulicę.

– Co się dzieje?

– Coś mnie nawiedziło – poinformowała Lana. Rachel sprawdziła jej puls. – Pojawiło się i zniknęło. Czuję się już dobrze.

– Masz bardzo wysokie tętno.

– Przestraszyło mnie. Czasami ogarnia mnie jakieś uczucie. Otacza mnie jak gdyby. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Jakby wylewało się ze mnie i zalewało. Nic fizycznego. Nie w taki zwykły sposób.

– Poszukam Maksa – powtórzył Will.

– Och, nie, nie rób tego. – Nie chcę, żeby się martwił. Nic mi nie jest.

– Jeśli po niego nie pójde, to skopie mi tyłek.

– No dobrze, dobrze. Nie mogę pozwolić na to, żeby Max miał do ciebie pretensje. Rachel, naprawdę, dziś rano badałaś mnie i dziecko. Wiem, co to było – nic fizycznego – i już minęło.

Ujęła dłoń Rachel, a potem Arlys.

– Coś nadchodzi, i to wkrótce. Tyle wiem na pewno.

– Wszystko się zmienia – powtórzyła Arlys. – Kończy się. Zaczyna.  
– Czy ja to powiedziałam? To trochę tak, jakbym znajdowała się poza sobą. Albo w sobie. Nie jestem jasnowidzem. – Spojrzała na swój brzuch. – Ale możliwe, że ona nim jest. Nie widzę tego, co ona. Tylko to czuję.

Usłyszała odgłos biegnących stóp, ale chodnikiem biegł nie Max, lecz Chuck.

– Mam coś! – Machnął trzymanym papierem i wbiegł na ganek. – Kontakt. Jakby.

– Znalazłeś coś w internecie? – Arlys wyrwała mu z ręki kartkę i przeczytała, nie czekając, aż Chuck odzyska oddech.

Uwaga wszystkie bogobojne istoty ludzkie

Jeśli to czytasz, należysz do wybranych. Bez wątpienia straciłeś bliskie ci osoby i byłeś, może nadal jesteś, zrozpaczony. Bez wątpienia byłeś naocznym świadkiem obrzydliwości, które zbezczesciły świat, stworzony przez Naszego Pana. Być może wierzysz, że nadszedł Koniec Świata. Ale głowa do góry!

Nie jesteś sam!

Miej Wiarę!

Miej Odwagę!

My, którzy przetrwaliśmy tę demoniczną plagę przygotowaną przez Dzieci Szatana, stoimy przed Wielkim Sprawdzianem! Tylko my możemy obronić nasz świat, nasze życie, nasze dusze. Uzbrojcie się i przyłączcie do Świętej Krucjaty. Czy będziecie stać z boku, kiedy nasze kobiety są gwałcone, nasze dzieci okaleczane, a przetrwaniu ludzkości zagrażają bezbożni, Niesamowici? Przyszłość Ludzkiej Rasy jest w naszych rękach. Aby ją ocalić, musimy skąpać ich w krwi demona.

Zbierzcie się razem, Wybrani Wojownicy! Polujcie, zabijajcie, niszczone ZŁO, które nam zagraża. „Czarownicy nie zostawisz przy życiu”<sup>[4]</sup>, tak rzecze Pan. Nadeszła pora kary! Nadszedł czas Rzezi! Nadszedł czas Wojowników Czystości!

Jestem z wami. Jestem taki jak wy.

Jestem pełen blasku Sprawiedliwej Pomsty.

Wielebny i Komendant Jeremia White

– To jest fatalnie napisane – zdołała wykrztusić w końcu Arlys. – Przystylizowane i cholernie przerażające.

– Wojownicy Czystości. – Lana chwyciła barierkę werandy. – Flynn powiedział, że wreszcie udało mu się przekonać Starr, by powiedziała nieco więcej. Banda, która zabiła jej matkę, nazywała siebie Wojownikami Czystości i miała tatuaże. Skrzyżowane miecze, a pod nim litery P i W.

– Wiem. Tak samo jak kojarzę tego Jeremiaha. – Arlys oddała kartkę Chuckowi. – Już w styczniu, w pierwszych tygodniach epidemii podburzał do rozlewu krwi.

– Ma bardzo prostą, amatorską stronę – odezwał się Chuck. – Natknąłem się na nią, szukając kontaktu z innymi. Na stronie jest jeszcze więcej. Wrzucił kilka zdjęć, są dość drastyczne. I ma tatuaż, o którym mówisz. Nazywa go Znakiem Wybranych. Porąbany psychol. Twierdzi, że pracuje nad stworzeniem tablicy ogłoszeń. Włamałem się i odkryłem, że koleś ma ponad dwieście odwiedzin. Nieco mniej niż pięćdziesięciu unikalnych użytkowników, więc ludzie wracają i ponownie zaglądną na tę jego stronę.

– Pięćdziesiąt to niewiele – mruknęła Arlys. – Ale...

– To oznacza, że nie tylko my mamy prąd i internet – dokończył Chuck.

– Być może nie nas jedynych bulwersuje ten porąbany psychol – zauważyła Arlys. – Jednak...

– Niektórzy będą się tym upajać. – Rachel pokiwała głową, patrząc ponuro. – W tym kilkoro osób z Nowej Nadziei. Czy jesteś w stanie stwierdzić, gdzie on teraz jest? Skąd zamieszcza materiały na stronie?

– Wydaje mi się, że się przemieszcza i korzysta z telefonu komórkowego, co jest jeszcze bardziej przerażające, bo nie wiem, jak to możliwe. Tak czy inaczej, skoro już na to trafiłem, mogę go monitorować. Poza tym wszystko, co znalazłem, jest sprzed wybuchu epidemii. Materiały, które już były, zanim wszystko padło. Ale jeżeli jest jeden – ten porąbaniec – to będzie ich więcej.

Urwał, gdy Max podjechał do krawężnika pickupem. Wysiadł z jednej strony, a z drugiej wyskoczył Will.

– Nic mi nie jest – powiedziała szybko Lana.

– Will mówił, że zemdląłeś.

Spojrzała z wyrzutem na Willa.

– Trochę mi się zakręciło w głowie.

– Miałaś wizję? – Max wziął jej twarz w dłonie i przyjrzał jej się uważnie.

– Nie, nie... Trudno mi to wytłumaczyć. Myślę, że dziecko miało wizję, i to jakoś na mnie przeszło.

– Jesteście połączone fizycznie – zauważyła Rachel. – Twoje zdrowie, zdrowie dziecka. W zasadzie nic o tym nie wiem, ale wydaje mi się możliwe, że wasza więź może dotyczyć również tych spraw.

– To nie pierwszy raz – zgodził się Max. – Czy to może jej szkodzić?

– Powiedziałabym, że prowadzenie samochodu jest wykluczone.

Lana spojrzała na nią przerażona. Od kiedy nauczyła się prowadzić, uwielbiała to.

– No błagam!

– Staję po stronie lekarza – oświadczyła Arlys. – Wyłączyłaś się. Byłaś gdzie indziej. Ja bym zrezygnowała z prowadzenia pojazdów, obsługiwania ciężkiego sprzętu – dodała, próbując złagodzić ten cios.

– I tak okropny jest z ciebie kierowca. – Max pocałował ją w czoło.

– No nie, jeszcze mi za to zapłacisz, ale tymczasem mamy większe zmartwienia. Chuck?

Chuck podał wydruk strony Maksowi i zaczął tłumaczyć, Lana usiadła zamyślona. Uznała, że nie może ryzykować. Cokolwiek wpływa na nią, wpływa też na dziecko.

I widocznie na odwrót.

Rachel dolała jej słonecznej herbaty.

– Napij się. I chcę, żebyś mnie poinformowała, gdybyś znowu dostała zawrotów głowy. Jakiegokolwiek nietypowe odczucia, fizyczne i nie tylko. Nie ma sensu stresować się tym, co Chuck znalazł. Jeden fanatyk i bardzo duży kraj.

– To pomaga, ale, jak powiedzieliśmy, mamy tu grupkę osób, które prawdopodobnie podjęłyby to wezwanie.

– Większości nie ma. – Max ponownie przebiegł wzrokiem po odezwie. – Mike i ja poszliśmy sprawdzić Rove'a. Tylko zerknąć. Wyjechał, podobnie jak Mercerowie, a także Sharon Beamer, Brad Fitz i Denny Wertz.

– To wyjaśnia, dlaczego nie widzieliśmy ich w ciągu ostatnich kilku dni. – Arlys pokiwała głową. – I nie przychodzili po zapasy ani nie zgłaszali się do żadnych zadań. Cóż. Nie będę za nimi tęsknić.

– Cieszę się, że ich nie ma – powiedziała Lana. – Będę spokojniej spała.

– To również wyjaśnia, dlaczego nie mamy dwóch pickupów – ciągnął Max. – Siedemdziesiąt litrów benzyny, zapasy żywności, broń. Dlatego pojechaliśmy ich sprawdzić. – Z roztargnieniem przesunął dłonią po ramieniu Lany, lustrując wzrokiem ulicę. – Mimo wszystko podejrzewam, że większość osób uzna tę stratę za wartą zapłacenia cenę ich odejścia.

– No to ja wracam na dół sprawdzać, czy w internecie nie ma nikogo więcej. – Chuck zmierzwił palcami zaniedbaną brodę. – Nie chcę być tym, który psuje humor, ale przed apokalipsą na świecie było mnóstwo techników i hakerów, a teraz ich w sieci prawie nie znajduję... – Jego ramiona uniosły się i opadły. – Nie da się nie wyciągnąć wniosków, czyż nie? A wniosek może być

tylko taki, że ponad połowa – grubo ponad połowa – zmarła z powodu wirusa.

– Niestety – zawiesił głos i poszedł.

– On ma rację. – Max przesuwał dłonią po rękę Lany, żeby ją uspokoić i pocieszyć. – Możemy to ocenić na podstawie tego, co wszyscy widzieliśmy, kiedy staraliśmy się tu dostać. A liczba docierających tu ludzi, czy to zostających, czy jadących dalej, w ciągu ostatnich dwóch tygodni spadła do zera.

– Dlatego tym ważniejsze jest budowanie i utrzymywanie tego, co tu mamy – dodała Arlys. – Prawo, porządek, edukacja, woda i żywność.

– Bezpieczeństwo – dodał Max. – Wielki świat, jeden fanatyk – powtórzył. – Ale ma zwolenników. Są Najeźdźcy, są Mroczni Niesamowici. Jeżeli jeszcze istnieją jakieś prawa i struktury państwowe, to tutaj nie sięgają. A jakie prawa i struktury mogą jeszcze istnieć? Nie wiemy, kto lub co nimi kieruje. Musimy więc chronić to, co mamy.

– Zgadzam się. Zgadzam się z tym wszystkim – powiedziała Rachel, trzymając ręce w kieszeniach i patrząc na ulicę. Na panujący w mieście spokój. – Zrobiliśmy ogromny postęp w stosunkowo krótkim czasie. Same podstawy systemu zasad, obowiązków społecznych dały ludziom jakiś fundament. Być może odejście tych, którzy nie chcą tego fundamentu – jak Rove – wzmacnia wspólnotę. To wielki świat i mamy szansę uczynić tę jego część bezpieczną i solidną.

– To musi być coś więcej niż zasady i obowiązki. Żyjemy. – Lana położyła dłoń na brzuchu, kiedy dziecko drgnęło. – Tak wielu z nas było w żałobie, nawet kiedy robiliśmy to, co należało robić. – Spojrzała na Willa. – Tak wielu z nas straciło część siebie. Ale też coś znaleźliśmy. Znaleźliśmy w sobie rzeczy, o których istnieniu nie wiedzieliśmy. Żyjemy – powtórzyła. – Może nadeszła pora, żeby to uczcić. Już prawie przesilenie.

– Najdłuższy dzień roku. – Uśmiechnął się Max. – Dzień świętowania.

– Tak, i niektórzy z nas będą go świętować. Myślę, że to za wcześnie – zostało tylko kilka dni – żeby zrobić z tego święto całej wspólnoty. Potrzebujemy więcej czasu, żeby je zaplanować i myśleć, że to jest właśnie to, czego potrzebujemy.

– Kiedy byłem mały, moim ulubionym świętem był zawsze czwarty lipca.

– Pamiętam. – Arlys odwróciła się i uśmiechnęła do Willa. – Grill, orkiestry dęte, hot dogi i fajerwerki.

– Ciasto z wiśniami mojej mamy.

– Czule wspominam ciasto wiśniowe twojej mamy.

– Święto Niepodległości w Nowej Nadziei. Mamy jakieś trzy tygodnie na jego organizację – zauważył Will. – A jego organizacja ożywi ludzi, prawda?

– Typowo amerykańskie święto – odparła Arlys. – Jedzenie, zabawa, rzemiosło, muzyka, taniec. Podoba mi się to. Naprawdę mi się to podoba.

– Moglibyśmy zacząć ten dzień od uroczystości upamiętniającej tych, których straciliśmy. – Lana sięgnęła po dłoń Maksa. – Uhonorować przyjaciół i rodzinę, których nie ma już z nami. I zakończyć dzień świętowaniem.

– Teraz podoba mi się to jeszcze bardziej. Popracuję nad biuletynem – zdecydowała Arlys. – Opublikuję go jeszcze dziś.

– Mam kilka pomysłów – powiedział Will do Arlys. – Odprowadzę cię. To dobry pomysł, Lano. Dobry pomysł.

– Dam znać Jonahowi. Will ma rację. – Rachel poklepała rękę Lany. – To bardzo dobry pomysł.

Zostali sami na werandzie. Max siedział i patrzył na miasto.

– Jesteś tu szczęśliwa? – zapytał, zanim zdążyła odpowiedzieć. – Tak między nami?

– Nie jest to życie, jakie sobie wyobrażałam. I nadal zdarza mi się obudzić z przekonaniem, że jestem w lofcie. Tęsknię za wieloma rzeczami. Za tym, że wracam do domu w hałasie i tłumie. Pamiętam, jak zaczęliśmy rozmawiać o wzięciu kilku dni wolnego i pojechaniu do Włoch lub Francji. Pamiętam tamto życie i tęsknię za nim. Ale tak, jestem tu szczęśliwa. Jestem z tobą, a za kilka miesięcy będziemy mieć córkę. Żyjemy, Max. Wyciągnąłeś nas z koszmaru i przyprowadziłeś tutaj. A ty? Jesteś tu szczęśliwy?

– To nie jest życie, które i ja sobie wyobrażałem i też mi wielu rzeczy brakuje. Ale jestem z tobą. Mamy dziecko. Oboje jesteśmy w stanie wykonywać pracę, która nas satysfakcjonuje, i mamy moce, których oboje wciąż się uczymy. Mamy cel. Żyjemy i mamy jakiś cel. Będziemy to świętować.

\* \* \*

Dzień uroczystości wstał słoneczny i różowy.

Lana zaczęła go tak samo jak poprzednie, przygotowując posiłki z ekipą od spraw kuchni. Skupiła się na swoim obszarze, zostawiając dekoracje – którymi dowodziła Fred – innym ludziom.

Przyrządziła niezliczone hamburgery z dziczyzny i indyka, słuchając ćwiczących muzyków i stukotu młotków wbijających gwoździe. W sali obok kuchni Bryar i inni wraz z grupami dzieci robili chińskie lampiony – czerwone, białe i niebieskie – oraz papierowe gwiazdy z imionami tych, którzy odeszli.

Gdy błękit zastąpił róż, Lana wyszła na zewnątrz i jak wielu innych przysłuchiwała się, jak nowo powstały chór intonuje pieśń *Cudowna Boża łaska*.

Patrzyła, jak Bill i Will Andersonowie wieszają gwiazdki na starym dębie na skraju zieleńca. Jak stali z Arlys, gdy ona wieszała swoje.

A po niej wielu innych, tak że te symbole zakryły dolne gałęzie.

Wzruszyła się, kiedy Starr podeszła zawiesić swoją gwiazdkę.

Wszędzie wisiały lampiony, które duszki miały zapalić, gdy zaczną się zmierzchać.

Girlandy kwiatów przyozdabiały latarnie i nowo wybudowane altanki.

W południe muzycy grali w pawilonie, który ochotnicy skończyli malować zaledwie poprzedniego wieczoru. Dymiły stojące rzędem grille.

Na stołach spoczywało rękodzieło – wszystko do wymiany na inne przedmioty. Dzieciaki miały malowane buzie i jeździły na kucykach. Inni grali w bule lub podkowy.

Dzięki ogrodowi mieli na stołach prawdziwą ucztę – pomidory, papryki, kabaczki i letnią kukurydzę (Rachel powiedziała, że dziecko jest już tak długie jak kolba kukurydzy).

Pogoda, słoneczna i upalna, sprawiła, że wiele osób leżało w cieniu na trawie, wypijając jeden za drugim kubek słonecznej herbaty, którą przygotowała wspólna kuchnia.

Usłyszała rozmowę o utworzeniu drużyny softballowej, jednej dla dorosłych, drugiej dla dzieci, i korzystaniu z boiska Małej Ligi, położonego prawie kilometr za miasteczkiem.

Wiele osób mówiło o rozbudowie farmy, przeniesieniu się na inną, większą, znajdującą się półtora kilometra od miasta.

Pomyślała, że to dobre tematy, pełne nadziei na przyszłość.

Tańczyła z Maksem na zielonej trawie ubrana w letnią sukienkę, wydymając się nad jej brzuchem. Wygrzewając się w słońcu, plotkowała z Arlys, a Eddie grał na harmonijce. Na huśtawce Fred i Katie kołysały się z dziećmi na kolanach.

Max zapytał ją kilka tygodni wcześniej, czy jest szczęśliwa. Tego dnia, w tamtym momencie, bez wahania odpowiedziałaby, że tak.

Westchnęła i uniosła dłoń, by pomachać Kim oraz Poemu.

– Będziemy to robić co roku, prawda?

– Myślę, że zdecydowanie tak – odparła Arlys. – I wymyślimy coś na święta: Boże Narodzenie, Chanuka.

– Tak! Przesilenie zimowe. – Lana pocierała kolistymi ruchami brzuch. – To będzie jej pierwsze.

Arlys uniosła twarz i odgarnęła włosy – dzięki Clarice znów miała eleganckiego boba z pasemkami.

– Nadal nie wymyśliłaś imienia dla dziecka?

– Mamy z Maksem różne pomysły, ale żadnych faworytów. Zeszłego lata dopiero co wprowadziłam się do Maksa. Była to dla mnie wielka, fantastyczna zmiana. Teraz jesteśmy tu i spodziewamy się dziecka. O! Max gra w podkowy. Założę się o cały zapas proszku do pieczenia, że nigdy wcześniej nimi nie rzucał.

Roześmiała się, gdy rzucił jedną, zatrzymał ją w powietrzu, obrócił, cofnął, po czym pozwolił, żeby opadła równo na słupek.

– I jeszcze oszukuje!

Carla – jego partnerka w grze – przywitała ten manewr owacjami, a Manning – jeden z jego przeciwników – prychnął udawanym oburzeniem. Max podniósł ręce w niewinnym geście, po czym zerknął na Lanę. Uśmiechnął się i mrugnął.

– Bardzo poważnie traktował czarowanie. Rozluźnił się nieco przy mnie, ale nigdy nie widziałam, żeby w takich celach ją wykorzystywał. Cieszę się, że jest tak zrelaksowany. Przyniosę jeszcze trochę kukurydzy i wspomogę nieco drużynę jego przeciwników.

– Pójdę z tobą.

Lana podniosła się i ruszyła do rzucających podkowami. Spoglądając na stoły, pomyślała, że zdecydowanie musi donieść kukurydzy. I pomidorów. I jeszcze sprawdzić, ile zostało burgerów z dziczyzny i indyka.

Najpierw jednak poprowadziła rzuconą przez Manninga podkowę do słupka i zmusiła ją do wykonania potrójnego salta, nim ta z brzękiem opadła na słupek. Uśmiechnęła się do Maksa szeroko i mrugnęła.

Manning zaśmiał się radośnie, odtańczył taniec zwycięstwa i posłał jej całusa.

Tak, pomyślała, dobrze jest po prostu się bawić.

– Hej. – Will podbiegł i pociągnął Arlys za rękę. – Potrzebujemy kogoś do gry w bule.

– Właśnie miałam...

– Och, śmiało. Zbieram kukurydzę, jakbym robiła to od dziecka.

– Nie wiem, jak się gra w bule.

– To dobrze, ja też nie. – Will chwycił jej dłoń i zerknął na gwiazdy kołyszące się na gałęziach. – To dobry dzień. – Pod wpływem impulsu nachylił się i cmoknął Lanę w policzek. Po czym obrócił do siebie Arlys i pocałował ją – ale powoli i swobodnie – w usta. – Naprawdę dobry dzień.

Lana uśmiechała się całą drogę, idąc na pole kukurydzy.

Pachniało zielonością i ziemią. Gdy wykręcała kolbę z kukurydzy, towarzyszyły jej muzyka, głosy, brzęk podków uderzających o metalowe słupki. Słyszała śmiech dzieci, magiczny dla niej dźwięk niesiony letnim wiatrem.

Wszystko wydawało się zastygnąć w spokoju – błękitna połać nieba, wysokie zielone łądygi, ich muśnięcia na jej skórze. Stała przez chwilę, trzymając w ramionach kolby kukurydzy, przepelniona wdzięcznością za to, co otrzymała.

Wtem dziecko poruszyło się w jej łonie. Kopnęło tak gwałtownie – szybką serią kopnięć – że niemal podskoczyła. Usłyszała krzyk jednego z dzieci Katie, długi i piskliwy, przebijający się przez muzykę i inne dźwięki. Kiedy się odwróciła, żeby tam wrócić, coś sfrunęło pod jej stopy.

Spojrzała w dół i zamarła.

Na ziemi leżał nadpalony kartonik, z podwiniętymi, poczerniałymi krawędziami, rozpoznała jednak wspólne zdjęcie jej i Maksa – to samo, które spakowała, zanim opuścili Nowy Jork. Które stało w domu w górach, kiedy...

Nad głową, po niebie, które zasnuwały szare chmury, krążyły czarne wrony.

– Max! – Kukurydza z hukiem uderzyła o ziemię, gdy biegła, przebijając się przez zielone morze łądyg. I usłyszała pierwsze odgłosy strzałów.

Gdy przedzierała się na drugą stronę poletka kukurydzy, usłyszała rozlegające się krzyki.

Ludzie pierzchali na wszystkie strony, dając nura do kryjówek, niektórzy ostrzeliwali się.

Zobaczyła Carlę rozciągniętą na ziemi, z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w niebo. I Manning, o Boże, Manning wykrwawiający się na miękkiej ziemi koło słupków na podkowy.

Krzyk uwiązał jej w gardle, gdy Kurt Rove uderzył Chucka kolbą karabinu.

Zapanował chaos, jedni na oślep strzelali z pistoletów i łuków, inni zaś łapali dzieci, żeby je ochronić lub ukryć w bezpiecznym miejscu.

Rainbow, która co rano prowadziła zajęcia jogi, osłoniła migotliwą tarczą kobietę z małym dzieckiem. A potem poleciała do przodu, gdy została od tyłu trafiona kulą.



Lana ujrzała, jak jakiś człowiek – wysoki, szczupły, z grzywą falujących złocistych włosów – podnosi strzelbę i mierzy do Fred, która wznosiła się do góry, wściekle machając skrzydłami, z jednym z dzieci w ramionach.

W ciągu sekund, ledwie sekundy, świat się zmienił.

Lana nie miała żadnej broni oprócz mocy, więc instynktownie nią cisnęła. Strzelba wycelowana we Fred i dziecko wypadła z rąk mężczyzny, który zwrócił na nią obłąkane niebieskie oczy.

– Tam. – Wskazał. Stojący obok niego mężczyzna, ciemnoskóry i umięśniony, z tatuażem czystości na bicepsie, podniósł ręce. W każdej miał pistolet.

– Zabić czarownicę! – krzyknął.

W chwili, kiedy Lana uniosła dłonie, by walczyć i chronić dziecko, rozległ się grzmot. Zatrzęsła się ziemia.

– Nasza!

Zza budynku, z przypalonymi skrzydłami i bliznami na twarzy, wyłonili się Eric i Allegra.

Wydawało się, że świat stanął w miejscu. Było to złudzenie, bo słyszała krzyki, kanonadę, a nawet przecinający powietrze świst łądyg, gdy niektórzy chowali się w poletku kukurydzy.

Przeżyli. Żyli. Widziała w ich oczach śmierć.

Zebrała w sobie całą energię do walki.

Max podbiegł do niej i zawołał:

– Uciekaj!

– Dokąd? – Eric wybuchnął śmiechem, wystrzeliwując w niebo czarne błyskawice. – Nie ma dokąd biec, nie ma gdzie się ukryć. Odsuń się, bracie. Tym razem nie chcemy ciebie.

– Chcemy tego, co jest w niej. – Z błyskiem skrzydeł Allegra sfrunęła niżej. Max wysunął się na przód i pchnął Lanę do tyłu.

– Uciekaj. Ocal naszą córkę.

– Razem jesteśmy silniejsi. Mamy więcej. – Lana chwyciła Maksa.

– Nie musisz tego robić, Ericu, nie musisz tego wszystkiego robić! – krzyknął Max. – Sprzymierzasz się z szaleńcem, który poluje na takich jak my. On zwróci się przeciwko tobie. Oni wszyscy zwrócą się przeciwko tobie.

– Wow, nigdy o tym nie myślałem. – Rzucił Allegrze zdziwione spojrzenie. – Może powinniśmy o tym pomyśleć. Tyle że... no tak, zapomniałem o jednej sprawie. Usiłowałeś mnie zabić. Myliłem się, Max. Ciebie też chcemy. Martwego.

– Oni oboje. Ich troje! – krzyknęła Allegra. Wokół jej twarzy powiewały jasne włosy. – Przyzywamy ciemność. Władamy ciemnością! Ciemnością obracamy wniwecz światło.

Tak samo jak Lana z Maksem, tak i Allegra chwyciła dłoń Erica. Huknął grom, niebo przecięła czarna błyskawica. Wspólnie z Maksem Lana blokowała ciosy i je parowała.

Poczuła, że ziemia pod jej stopami drży od mocy.

Na ramieniu Maksa, tam gdzie trafił go piorun, pojawiła się krew. Po drugiej stronie pola biegli ku nim Flynn, Lupa, Jonah i Aaron.

Poczuła przyływ nadziei. Łącząc siły, dadzą odpór ciemności.

– Biegną na pomoc. Musimy tylko...

Ujrzała falę czerni, poczuła jej ostrą krawędź, nim Max zdążył ją obrócić. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Trzymał ją w ramionach, osłaniając ją i dziecko własnym ciałem.

Wzięła na siebie całą moc nienawiści i ciemności. Wstrząsnął nim potworny dreszcz, a po chwili upadł na nią, tak że oboje polecili między łądygi kukurydzy. W miejscu, w którym fala ciemności rozcięła jej skórę, ciekła krew.

Niemal straciła dech w piersiach, w głowie jej się kręciło, wolniutko wypęzła spod jego ciała, przetoczyła się i spróbowała zaciągnąć Maksa w bezpieczne miejsce.

Krwawił z wielu ran, miał na całym ciele poparzoną skórą.

– Nie. Proszę, nie. Max. – Gdy wzięła go w ramiona, gdy przycisnęła twarz do jego twarzy, wiedziała, że odszedł.

Odszedł. Zginął. Zamordowany.

Wezbrała w niej wściekłość, rozpacz i szalejąca furia. Pokryta jego krwią i sama krwawiąca, uwolniła ją z krzykiem, który rozciął powietrze niczym ostrze.

Trysnęła z niej niczym skondensowana kula czerwieni, trafiając na oleistą czern.

Usłyszała skowyty bólu.

Biec. Kazał jej biec, a ona go nie posłuchała. Prosił, żeby ratowała dziecko, i oddał życie, aby obie uratować.

Tylko dokąd miała biec? Gdzie się miała schronić? Łkając, wyciągnęła tkwiący za paskiem Maksa pistolet, a następnie czule zsunęła obrączkę z jego palca i wepchnęła sobie na kciuk. Ucałowała jego twarz, usta, dłonie.

Ocal dziecko, bez względu na koszt.

Jego słowa wciąż tłukły jej się w głowie, gdy szlochając, przebiła się w stronę lasu przez łodygi kukurydzy i zaczęła biec.

Zauważywszy po prawej stronie jakiś ruch, zawirowała i wyrzuciła przed siebie rękę, gotowa walczyć i bronić się. To Starr wysunęła się z drzewa.

– Jesteś ranna.

Lana potrafiła tylko potrząsnąć głową.

– Ty zraniłaś ich mocniej.

Starr wskazała coś za jej plecami. Lana spojrzała na park. Cokolwiek z niej się wydobyło, ta szaleńcza, czerwona, wściekła rozpacz powaliła część napastników. Nie widziała śladu Erica ani Allegry, poza wąską, wznoszącą się ku niebu smugą dymu.

Widok Arlys, która utykając, szła do ciała Carli, Rachel klęczącej koło nieprzytomnego, zakrwawionego Chucka, był jak jątrzenie bolesnej rany. Inni, których znała, na których jej zależało, biegli na pomoc lub w stronę ulicy, z bronią w rękach.

– Katie, dzieci?

– Jonah zabrał je do środka. Zabili Rainbow. Była dobra. Przyszli po ciebie. Po nią – powiedziała Starr, wyciągając rękę, i po raz pierwszy od wielu tygodni, dotykając innego człowieka, przyłożyła dłoń do brzucha Lany.

– Nie mogę zostać. Oni wrócą. Nie mogę... Zabili Maksa.

– Przykro mi. Był dobry. – Starr skłoniła głowę. – Oni chcą nas zabić, nas wszystkich, ale zbawicielkę najbardziej.

– Ona nie jest zbawicielką – zaprotestowała Lana. – Jest moją córką.

– Jest jednym i drugim. Słyszałam ich. – Teraz Starr przycisnęła dłoń do głowy. – Słyszałam całą tę nienawiść. To boli, więc uciekłam i ukryłam się tak samo jak wtedy, gdy zabili mamę. Nie walczyłam, ale następnym razem będę walczyć. Oni ci pomogą, będą cię chronić. Ją.

– Ja muszę ją chronić. Nie mogę tu zostać. Będą znów próbowali. Wrócą i spróbują jeszcze raz.

– W takim razie musisz uciekać. – Starr skinęła głową. – Musisz się ukryć. Nadal słyszę ich w głowie. Powieszę za ciebie imię Maksa na drzewie.

Oślepią łzami Lana ruszyła przed siebie. Wkraczała w te wszystkie sny, które ją prześladowały nocami.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Przez wiele dni Lana trzymała się z dala od głównych dróg. Chowala się tam, gdzie mogła, sprawdzając położone na uboczu domy. Szukała ubrań i jedzenia. W jednym z domów znalazła łańcuszek: nawlekła na niego obrączkę Maksa i zawiesiła ją na szyi.

Jadła to, co udało się jej znaleźć, martwiła się o dziecko.

Bała się wron, gdy widziała, jak krążą nad głową, lub słyszała ich wołanie, zmieniała kierunek.

Pewnego razu, kompletnie wyczerpana, osunęła się na ziemię u podnóża uschłego drzewa, zbyt zmęczona i zrozpaczona, by iść dalej. Wpatrując się w niebo przez nagie gałęzie, zapadła w sen. Śniła o szczupłej, młodej kobiecie o szarych oczach i czarnych włosach, która kazała jej wstać i iść dalej.

Wstała więc i poszła dalej.

Straszne dni przechodziły w straszne noce.

Nie mając poczucia czasu ani odległości, zasnęła w porzuconym samochodzie stojącym na poboczu; o świcie zbudził ją dźwięk silników.

W pierwszym odruchu chciała zacząć wołać o pomoc, jednak górę wziął silniejszy instynkt, który kazał jej trwać w bezruchu. Dostała gęsiej skórki, gdy silniki zostały wyłączone.

Drzwi samochodu otworzyły się i trzasnęły. Przez otwarte okno doleciały do niej męskie głosy.

– Powinniśmy wrócić do tej gównianej miejsciny i zrównać ją z powierzchnią ziemi. Ktoś tam na pewno wie, gdzie się podziewa ta dziwka.

– Jak wielebny mówi, że jej tam nie ma, to jej nie ma.

Usłyszała zbliżające się kroki i mocniej ścisnęła pistolet, z którym spała. Potem usłyszała charakterystyczny dźwięk rozpinanego suwaka i dźwięk spadającego na asfalt płynu.

– Strata benzyny, jakby mnie ktoś pytał. Więc jeżeli ta dwójka popaprańców tak bardzo chce ją dorwać, to mogli to zrobić, kiedy mieli okazję. Zamiast tego straciliśmy sześciu dobrych ludzi. Powinniśmy zabijać popaprańców, a nie z nimi współpracować.

– Nie widzę nikogo, kto by cię pytał o zdanie. Wielebny wie, co robi. Ma plan i spodziewam się, że tymi świrusami zajmiemy się, jak tylko załatwimy tę babę. Pieprzona wiedźma. Mam z nią rachunki do wyrównania.

– Aj, czyżby uszkodziła ci śliczną buźkę, kiedy się wyrwała?

– Pieprz się, Steed.

Rozległ się krótki śmiech, po czym ktoś zasunął zamek błyskawiczny.

– Wiem, że te szajbusy cierpią bardziej niż ty, po co jeździmy w tę i nazad, szukając jakiejś zaciężonej przez demona suki.

– Znajdę ją pierwszy i wsadzę nóż prosto w nią i tego jej bachora.

– Czarownice trzeba wieszać albo palić.

– To później. Teraz powinniśmy przejrzeć te samochody i sprawdzić, czy warto coś wziąć.

– Daj spokój. Za jakieś trzydzieści kilometrów jest duża stacja benzynowa. Znajdziemy tam lepsze rzeczy.

Wciąż mocno ścisnęła pistolet, gdy poczuła kołysanie samochodu.

– Tu i tak stoją same strucle.

Wstrzymała oddech, słysząc oddalające się kroki, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Leżała bez ruchu, gdy silnik ryknął i zapiszczały opony.

Liczyła uderzenia serca, nawet gdy samochód już odjechał i zapadła cisza.

– Nie pozwolilibym im cię tknąć – mruknęła, wypełzając z tylnego siedzenia na drżących nogach. – Wschód. Jadą na wschód, więc my skierujemy się na zachód.

Zdecydowała jednak, że nie pieszo. Gdyby poszła piechotą, istniałoby ryzyko, że odległość między jej dzieckiem a tymi, którzy chcieli je skrzywdzić, nie byłaby wystarczająco duża. Postanowiła przemieszczać się drogą, przynajmniej na razie.

Usiadła za kierownicą i położyła pistolet na siedzeniu obok. Dłuższą chwilę zajęło jej uruchomienie mocy, do której nie sięgała od dnia, gdy ta wytrysnęła z niej w morderczym ślupie czerwieni.

Kiedy wyciągnęła rękę, silnik odpalił. Jechała, mając za plecami wschodzące słońce.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy samochód zgasł. Zostawiła go tam, gdzie stanął, po czym ruszyła przed siebie górzystą ścieżką. Po obu jej stronach wznosiły się góry.

Wędrując, straciła poczucie czasu. Chwilami szła, chwilami jechała, po jakimś czasie natrafiła na kolejny samochód; stale poszukiwała jedzenia i wody. Unikała miast, w których mogłaby napotkać złych ludzi.

Nie wiedziała, czy znajdzie tam przyjaciela, czy wroga.

Odcięła swoje dawne życie grubą kreską. Upolowała królika i wiewiórkę, zdjęła z nich skórę, a mięso upiekła nad ogniskiem rozpalonym za pomocą magii. Musiała nakarmić siebie i swoje dziecko.

Nie postępowała jak kobieta, która niegdyś wierzyła, że jedzenie powinno być sztuką – teraz jadła, by żyć, jadła, by karmić to, co w niej rosło.

Jej świat skurczył się do drzew, skał, nieba i niekończących się dróg. Natrafiła na dom, w którym znalazła czyste ubrania i pasujące niemal na nią buty.

Dobre samopoczucie zależało od czucia ruchów dziecka. Cieszyła się, gdy znalazła drzewo brzoskwińowe. Rozkoszowała się smakiem świeżo zerwanego słodkiego owocu, upajała sokiem spływającym po wyschniętym od upału gardle.

Bezpieczeństwo oznaczało brak głosów ludzkich, a także brak sylwetki człowieka, z wyjątkiem własnego cienia.

W ciągu tych tygodni od czasu opuszczenia Nowej Nadziei zamieniła się w koczowniczkę, wędrowniczkę, pustelniczkę, niemającą żadnego planu prócz wędrowania, jedzenia i szukania na noc schronienia.

Działo się tak, ale tylko do pewnego momentu.

Wspiąwszy się na zalesione wzgórze, natychmiast przykucnęła, by się ukryć.

Na łagodnie opadającym, przechodzącym w równinę terenie stał dom. Otaczał go rozległy ogród w letnim rozkwicie. Sięgnęła do znalezionej po drodze plecaka po lornetkę.

Jej oczom ukazały się rzędy czerwonych, dojrzałych pomidorów, groszku, fasoli, papryki i marchwi. Zieleniła się sałata i kapusta oraz kabaczki i bakłażany. Poletko kukurydzy przypomniało jej o krwi i śmierci.

Max.

Zwinęła się w kłębek i przez chwilę leżała, walcząc z falami smutku i rozpacz, po czym znów przytknęła do oczu lornetkę.

W zagrodzie stało kilka koni, oddzielonych płotem od czarno-białej krowy, za nimi wznosił się kolejny płot, a za nim pasły się czarne mięsne krowy z cielakiem.

Jej wzrok spoczął na zagrodzie, w której leniwie tarzało się pięć świń.

Kurczaki! Wizja jaj sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu.

Sam dom był kwadratowy i solidny, prosty, biały, z szeroką werandą. Małą, tradycyjną stodołę pomalowano w radosny odcień czerwieni.

Przebiegła wzrokiem po zabudowaniach wznoszących się nad szopą, małym, przysadzistym silosem, parą wiatraków, szklarnią, a także ozdobnymi drzewami i krzewami oraz czymś, co przypominało ul. Ciągnęły się za nimi pola i łąki. Pomyślała, że to chyba jest pszenica.

Miejsce wyraźnie było przez kogoś zagospodarowane, na zewnątrz stał samochód, a skoro tak, to ktoś musiał być w środku.

I miał jajka oraz świeże owoce i warzywa.

Miała dużo czasu, mogła czekać.

Zapadła w sen.

Obudziło ją szczekanie psa i serce podeszło jej do gardła.

Przed domem biegła para psów, które bawiąc się, to wpadały na siebie, to siłowały się na trawie.

Gdy z domu wyszedł mężczyzna, podniosła lornetkę do oczu. Opalony, ubrany w spłowiałe dżinsy i podkoszulek, wyglądał na silnego. Miał kędzierzawe włosy, czapkę z daszkiem i okulary przeciwsłoneczne, które przysłaniały mu oczy.

Wstawiwszy do pickupa dwa kosze z warzywami i owocami, wrócił do domu. Wyszedł z dwoma następnymi, po czym gwizdnął na psy.

Zwierzaki wskoczyły na tył samochodu. Po załadowaniu jeszcze kilku koszy mężczyzna wsiadł do szoferki i odjechał.

Zanim wstała, dwa razy policzyła do sześćdziesięciu.

Wokół rozlegał się tylko śpiew ptaków i chrobotanie wiewiórek. Podtrzymując jedną dłonią wydatny brzuch, wpatrzona w dom, zaczęła schodzić w dół skalistego zbocza.

Przeszło jej przez myśl, że jeśli mężczyzna nie mieszkał sam, ktoś mógł być w środku. Bardzo chciała się jak najszybciej znaleźć w ogrodzie, mimo to postanowiła zachować ostrożność, okrążyć dom i dopiero zajrzeć do środka.

Na tyłach też rozciągała się weranda, obok której rosły w ostrym słońcu zioła: bazylia, rozmaryn, tymianek, oregano, szczypiorek i koperek. Wyciągnęła nóż i odcięła sporą ich garść. Wciągnęła w nozdrza ich zapach, a następnie wepchnęła do plastikowego worka wyjętego z plecaka.

Zawahała się. Ktoś mógł być w środku na drugim piętrze. Uznała jednak, że warto zaryzykować.

Puściła się pędem tak szybko, na ile pozwalał jej przesunięty środek ciężkości, i zerwała pomidora. Wgryzła się w niego jak w jabłko, po czym starła sok z brody.

Zerwała strączki grochu, garść fasolki szparagowej, lśniący bakłazan, wyszarpnęła też z ziemi marchewkę i główkę czosnku. Wybrała sałatę, zjadła liść, resztę chowając w plecaku i kieszeniach.

Jabłka, jeszcze nieco zielonkawe, włożyła razem z gronem fioletowych winogron. Zjadła trochę, stojąc przy dwóch kamiennych tablicach w cieniu jabłoni.

Ethan Swift

Madeline Swift

Zmarli z powodu zarazy w odstępie dwóch dni.

A ktoś – czyżby ten farmer? – opisał groby i posadził między nimi żółty krzew różany.

– Ethanie i Madeline, mam nadzieję, że wasze dusze odnalazły spokój. Dziękuję za jedzenie.

Zamknęła oczy i stojąc w cieniu liści, żałowała, że nie może zwinąć się pod drzewem w kłębek i zasnąć. A potem obudzić w świetle bez strachu i konieczności wędrowania. W świetle, w którym Max mógłby ją przytulić, a ich dziecko narodziłoby się w pokoju i bezpieczeństwie.

Pomyślała, że tamten świat bezpowrotnie przeszedł do historii. Życie w tym oznaczało wykonywanie czynności koniecznych do przeżycia.

Zerknąwszy na gdaczące kury, wyobraziła sobie, że podsmaża drób na kawałku masła, doprawionego świeżym czosnkiem i ziołami.

Pomyślała, że farmerowi prawdopodobnie nie zrobi różnicy zniknięcie kilku warzyw, ale na pewno zauważy brak kury. A ponieważ chciała zostać w okolicy dzień lub dwa, wróci tu i nim ruszy w dalszą drogę, zabierze mu jedną z kur.

Na razie weźmie kilka jajek.

Przeszła między dziobiącymi kurami do otwartego kurnika. Ale znalazła tylko jedno brązowe jajko pod jedną siedzącą tam kurą, która wydawała się równie ostrożna i nieufna, co Lana.

– Zebrał jajka wcześniej – mruknęła. – Mam szczęście, że się nie śpieszyłam.

– To u niej typowe.

Lana odwróciła się błyskawicznie, ścisnęła jajko niczym granat, a drugą dłoń wystawiła

gotowa bronić się mocą.

Podniósł ręce do góry, celowo odsuwając je od pistoletu na biodrze.

– Nie będę żałował ci jajka ani tego, co jeszcze sobie wzięłaś. Zwłaszcza że jesz za dwoje.

Mam wodę, jeśli jej potrzebujesz. Mleko też. Trochę boczku, do tego jajka.

Musiała przełknąć ślinę, zanim wypowiedziała pierwsze słowo do innego człowieka, odkąd opuściła Nową Nadzieję.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego miałbyś mi cokolwiek dawać? Kradłam.

– Tak samo jak Jean Valjean. – Wzruszył ramionami. – On też był głodny. Słuchaj, możesz wziąć sobie to jajo i iść albo wejść do środka i zjeść ciepły posiłek. To zależy od ciebie.

Opuściła dłoń i położyła ją na brzuchu. Pomyślała o dziecku.

Zasadził krzew różany, by upamiętnić swoich zmarłych. Powinna to uznać za dobry znak.

– Chętnie zjadłabym gorący posiłek. – Kiwnęła głową. – Mogę się odwdziżyć za niego, a także za owoce i warzywa, które wzięłam.

Uśmiechnął się.

– A co masz?

– Mogę to odpracować.

– Cóż. – Podrapał się po karku. – Możemy o tym porozmawiać.

Odsunął się, by ją przepuścić na werandę.

Wciąż jeszcze mogła uciec.

– Kobieto, gdybym chciał cię skrzywdzić, już bym to zrobił.

Odwrócił się i podszedł do miejsca, w którym zobaczyła psy – podskakujące i machające ogonami – tuż za siatką odgradzającą kury.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Zobaczyłem odbłysek słońca w twojej lornetce. A przynajmniej tak mi się wydaje, że to była lornetka. Psy i ja uznaliśmy, że wyjedziemy, zatrzymamy się i wrócimy piechotą, żeby sprawdzić, co knujesz. Nie zrobią ci krzywdy.

I jakby na dowód jego słów oba psy – duże, z gęstym, kremowym futrem i szaleńczo szczęśliwymi oczami – podeszły, żeby się z nią przywitać.

– To jest Harper, a to Lee. *Zabić drozda* było ulubioną książką mojej matki.

Zobaczyła, że mężczyzna zerka w kierunku jabłoni i grobów. Ponieważ wciąż ścisnęła w dłoni jajko, podała mu je w nagłym poczuciu, że głupio się zachowuje.

– To twoi rodzice?

– Tak, tak – powtórzył, ruszając w stronę domu. – Po twoich butach widzę, że pokonały sporo kilometrów.

– Przeszły je wcześniej, jeszcze zanim je znalazłam.

Nie pytał więcej. Wszedł na ganek, otworzył niezamknięte na klucz drzwi wejściowe. Kiedy się zawahała, westchnął niecierpliwie.

– Zostałem wychowany w tym domu przez dwie osoby, które tam pochowałem. Oboje mieszkali tu od trzydziestu pięciu lat. Dobrze tu wszyscy żyliśmy – i oni, i ja. Nie będę okazywał im braku szacunku, wyrządzając jakąkolwiek krzywdę ciężarnej kobiecie, i to pod dachem, który mam dzięki nim. Wchodzisz czy nie?

– Przepraszam. Zapomniałam, że ludzie mogą być przywoici.

Weszła do przestronnego, wygodnego salonu z wielkim kamiennym kominkiem i prostymi meblami, które w wesoły, gościnny sposób mieszały różne style.

Było tam także sporo pyłu i psiej sierści.

Kręcone schody wiodły na piętro. Na dolnym schodku stał kosz na pranie pełen skłębionych prześcieradeł i ręczników.

Mężczyzna ruszył korytarzem, a gdy zatrzymał się, znaleźli się w pokoju pełnym półek z książkami i bibelotami.

– Moja mama była zagorzałą czytelniczką. Ostatnio sam nadrabiam zaległości.

Przez moment odniosła wrażenie, że to tylko sen, czyżby śniła? Pokój wabił ją do siebie z niesłychaną siłą i budził wspomnienia z życia, które niegdyś prowadziła. A także miłości – kiedy wyciągnęła rękę i wzięła książkę z półki.

– Max Fallon. Lubiła jego książki. Jeszcze go nie czytałem. Jesteś jego fanką?

Podniosła wzrok z oczami pełnymi łez i przycisnąwszy do serca książkę ze zdjęciem jej ukochanego, wyszeptła:

– To mój... mój mąż.

– On był fanem?

– Max... – Zaczęła się kołysać i płakać. – Max... Max...

– Cholera. – Ściągnął czapkę i przeczesał dłonią włosy. – Może powinnaś usiąść. Możesz zatrzymać tę książkę. Tylko... pójdę... ee, przyprowadzić samochód. Więc... – Wskazał dłonią fotel i wyszedł z pokoju.

Usiadła na skraju dużego fotela obitego granatową skórą i rozszlochała się na dobre.

Poszedł nastawić czajnik na herbatę.

Pomyślał, że w kurniku wyglądała na bardzo spiętą, gotową – a pewnie i zdolną – do walki. Nie zamierzała się poddać. Jej oczy – wielkie i błękitne jak letnie niebo – były wyczerpane, ale zacięte i pełne determinacji. A ciąża – naprawdę zaawansowana – czyniła z niej jeszcze silniejszą wojowniczkę.

Tam jednak, w bibliotece matki, opadło z niej całe napięcie, a ona sama okazała się wątłą, wrażliwa i złamana przez los.

Lepiej radził sobie z gotowością do walki.

Kiedy usłyszał, że nadchodzi, postawił na kuchence patelnię.

– Przepraszam – powiedziała.

– Utrata bliskich boli. Prawie każdy, kto przetrwał, wie jak bardzo. – Podeszedł do lodówki i wyjął z niej boczek zawinięty w szmatkę. – Max Fallon był twoim mężem.

– Tak.

– Straciłaś go podczas epidemii?

– Nie. Wydostał nas z Nowego Jorku. Zadbał o naszą ucieczkę i bezpieczeństwo. Został zabity. Jego brat go zabił.

– Jego brat?

– Jego brat przeszedł na stronę ciemności. Za sprawą tej wynaturzonej wiedzy. Jego brat i ludzie, którzy nas nienawidzą, bo nie jesteśmy tacy jak oni. Chcieli mnie zabić. Ją zabić. – Objęła rękami brzuch. – Max nas uratował. Umarł za nas. Zabili go. Zrobił to jego brat, Eric i Wojownicy Czystości. Zabili Maksa, a także ludzi, z którymi budowaliśmy życie. Próbowali zabić najwięcej, jak się da. Musiałam odejść, bo chcieli mnie, i zabiliby każdego, kto stał im na drodze. Polowali na mnie. I nadal na mnie polują. Będą próbowali zabić i ciebie, jeśli mi pomożesz.

Skinął poważnie głową.

– Hmm... – Odwrócił się do kuchenki. – Wolisz jajecznicę czy sadzone?

Znowu dźwignęła się na nogi, prawie bez tchu. Zacisnęła dłonie w pięści.

– Kim jesteś?

– Swift. Simon Swift. W innym życiu kapitan Swift, armia amerykańska. W tym jestem farmerem. A ty?

Zanim odpowiedziała, zdjęła plecak i odłożyła go na bok.

– Lana Bingham. Byłam szefową kuchni. Jestem czarownicą.

– Co do tego drugiego, to zorientowałem się jeszcze w kurniku, kiedy wymierzyłaś mi lekki cios.

– Nie chciałam...

– Lekki, powtarzam. Założę się, że mógł być dużo silniejszy. Szefowa kuchni? To dlaczego ja gotuję?

Westchnęła, nabrała powietrza i kucnęła przy plecaku. Wyjęła z niego zioła, pomidora, paprykę i dymkę.

– Chciałbyś omlet?

– Pewnie.

– Fajna kuchenka. I w ogóle to przyjemna kuchnia.

Znów jej zadrżał głos. Widział i słyszał, że Lana usilnie stara się go opanować.

– Skąd bierzesz gaz ziemny?

– Mam szyb gazowy.

– Co takiego?

– Mam naturalny szyb gazowy. – Wskazał ręką za okno. – Gaz doprowadzony jest rurami do domu. Mamy gazowe oświetlenie, kuchenkę gazową, wszystko na gaz. No i trochę energii wiatrowej.

Umyła w zlewie ręce, a potem zioła i warzywa.

– Potrzebuję kilku rzeczy. Więcej jajek, niedużą miskę i trzepaczkę.

– Już ci daję.

Po podgrzaniu patelni położyła na nią plastry boczku. Wyciągnęła z bloku największy nóż – całkiem przyzwoity, położyła deskę do krojenia i kiedy boczek zaczął skwierczeć, zabrała się do siekania jarzyn.

Gotowanie. Zwyczajne. Jak cokolwiek może być jeszcze zwyczajne?

A jednak, siekając zioła, znowu poczuła się sobą.

– Byłeś w wojsku.

– Tak, jakieś dziesięć lat. I tak miałem już dość, ale opuściłem armię głównie dlatego, że mama zachorowała. Nowotwór. Ktoś musiał im tu pomagać, kiedy z tym walczyła. Zwalczyła raka, wygrała z nim. A potem... potem przyszła ta pieprzona apokalipsa.

– Przykro mi.

Pracowali razem w ciszy kilka minut. Podał jej puszkę, w której przechowywał wytopiony z boczku tłuszcz, a także plastikowe wiadro do zbierania resztek na kompost. I z podziwem przyglądał się, jak gotuje.

– Jak długo jesteś w drodze? – spytał.

– Nie wiem. Straciłam poczucie czasu. Był czwarty lipca, kiedy... wyszłam.

– Jakies sześć tygodni. Skąd zaczęłaś iść?

– Byliśmy w miejscu, które nazwaliśmy Nowa Nadzieja, w Wirginii. Myślę, że na południe od Fredericksburga. Gdzie jestem teraz?

– Sporo przeszłaś. To Maryland. Zachodnia część.

– A te góry?

– Pasma Błękitne.

– Są tu inni ludzie?

– Trochę. Jest miasteczko, teraz raczej osada. Prowadzimy małą wymianę handlową. Ja im zawożę warzywa i owoce. Mają młyn. Robią mąkę. Jest trochę owiec, krosna. Kował, rzeźnik. Trzeba sobie radzić z tym, co jest.

Zalała warzywa jajkami.

– Jest tam jakiś lekarz?

– Jeszcze nie. Tylko asystent weterynarza.

Przełożyła omlet na jeden z wystawionych przez niego talerzy, przecięła go na pół i jedną część zsunęła na drugi talerz.

– Czy są jacyś Niesamowici?

– Pojawiło się kilkoro. Nikt nie ma z tym problemu. Chcesz mleka?

– Nienawidzę mleka, ale poproszę, chyba jest dobre dla dziecka.

Wyjął dzbanek i nalał jej szklankę.

Usiedli przy blacie kuchennym wykonanym z dobrego granitu w szare cętki. Pierwszy kęs sprawił, że zamknęła oczy i całą sobą chłonęła tę chwilę.

– No dobra, nie żartowałaś z tym szefem kuchni. Kawał czasu nie jadłem czegoś tak dobrego.

Jadła powoli i szacowała sytuację.

– Gdybym mogła tu zostać na kilka dni, odpracowałabym to gotowaniem. I w Nowej



Nadziei mieliśmy ogród, więc nauczyłam się go uprawiać. Mogłabym ci pomóc. Na razie jeszcze, przynajmniej przez kilka dni, nie powinno być tak niebezpiecznie.

Dla nas obojga, dodała w myślach.

– A potem co?

– Nie wiem. Nie myślałam o niczym innym, jak tylko o tym, żeby być w drodze, uciekać, dbać o bezpieczeństwo dziecka.

– Kiedy ona ma się urodzić? Mówiłaś ona, prawda?

– Tak. Ostatni tydzień września.

– Zamierzasz ją urodzić sama, w trasie?

Wiedziała, jak to brzmi, i nieustannie się tym martwiła, ale nie widziała innego wyjścia.

– Mam nadzieję, że znajdę jakieś miejsce i... zrobię to, co będę musiała. Nie pozwolę, żeby coś jej się stało. Zrobię wszystko, co zdołam, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

– W osadzie, w domach wokół są kobiety.

– Nie mogę... nie mogę narażać na niebezpieczeństwo tylu ludzi. Wojownicy Czystości, nie wiesz, co to za ludzie.

Przed oczami stanęły jej ładny park i radosna uroczystość, a potem porozrzucane ciała, dym i krew Maksa wsiąkająca w ziemię.

– Wiem. Kilkoro z nich przejechało przez osadę kilka tygodni temu. Nie zostali ciepło przyjęci.

– A więc byli tu. – Zadrżała.

– Z tego, co słyszę, niektórzy z nich podróżują i szukają tych, którzy myślą tak samo jak oni. Ale tak jak powiedziałem, nikogo takiego tu nie znaleźli.

Jadł i wciąż się zastanawiał. Między Wojownikami Czystości, Najeźdźcami i zwykłymi dupkami podróżująca samotnie kobieta nie mogła być bezpieczna. A w dodatku ta kobieta miała za około osiem tygodni urodzić dziecko.

Groźna czy nie, najwyraźniej stanowiła dla kogoś cel.

Przełknął ostatnie kęsy omletu i powiedział:

– Powinnaś zastanowić się nad pozostaniem tutaj. Możesz przejąć kuchnię, to na pewno. Powinnaś zastanowić się nad pozostaniem tutaj przynajmniej do chwili, gdy urodzisz dziecko. Na górze są cztery sypialnie. Używam tylko jednej.

– Mogą mnie znaleźć. Eric...

– To ten brat?

– Moc odebrała mu rozum. W moim dziecku jest coś wyjątkowego, ważnego. Nie wiem. Ale Eric i Allegra chcą ją zabić.

– Cóż, jeśli jest wyjątkowa i ważna, to tylko kolejny powód, żeby urodziła się tu, gdzie jest bezpiecznie. Nie lubię ludzi, którzy wywołują problemy, wszczynają wojny i generalnie starają się coś spieprzyć. Bez względu na to, jacy są, nie podoba mi się takie postępowanie.

– Nawet mnie nie znasz.

Odsunął pusty talerz na bok i wrzucił ramionami.

– A co to, do cholery, za różnica?

Nic, co mógłby jeszcze powiedzieć, nie uspokoiłoby jej bardziej.

– Jestem ci bardzo wdzięczna i strasznie zmęczona, po prostu zmęczona. Czy możemy ustalać to z dnia na dzień?

– Jasne. Wybierz sypialnię. Będziesz widziała, która jest zajęta. – Podniósł się i zaczął sprzątać po jedzeniu.

– Pozmywam. To część umowy.

– Następnym razem zostawię ci wszystko. Wyglądasz na kompletnie wykończoną. Idź więc na górę, wybierz sobie łóżko i odpocznij. Muszę zawieźć towar do miasta. Najlepiej weź pokój moich rodziców. To jedna z tych wypasionych dużych sypialni. Ma własną łazienkę.

– Simonie, dziękuję ci.

Zaniósł naczynia do zlewu.

– A potrafisz zrobić pieczeń rzymską?

- Jeśli prócz tego, co już widziałam, masz mięso, to potrafię zrobić niesamowitą pieczeń.
- To zrób ją na kolację i będziemy kwita.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Główna sypialnia znajdowała się u szczytu schodów. Łóżko z baldachimem przykrywała ciemnozielona kołdra i cztery duże poduszki w ozdobnych poszewkach, wykończonych spokojnym, matowym odcieniem złota, dopasowanym do ścian.

Przypomniała sobie, że tu umarli jego rodzice. Zauważyła, że uporządkował ich pokój, co musiało być dlań trudne, i usunął wszystkie ślady choroby.

Mimo dojmującego zmęczenia zdała sobie sprawę, że ta synowska troska o przywrócenie sypialni do takiego stanu, jakiego życzyłaby sobie jego matka, wiele mówiła o tym człowieku.

Człowieku, który ofiarował jej jedzenie i schronienie. Przypomniał się jej Lloyd, który wspominał o tym na pierwszym spotkaniu wspólnoty Nowej Nadziei. Mimo to zamknęła drzwi na klucz, a nawet dodała czar blokujący wejście. Nie uważała nawet za przesadę wstawienia krzesła pod gałkę u drzwi.

Chciała spać, po prostu na trochę zniknąć, zanurzyć się w czystej pościeli, pod kołdrą w kolorze leśnej zieleni. Myśląc o jego matce, spojrzała na brud i pył pokrywające jej ciało, po czym weszła do łazienki przylegającej do sypialni.

Nie mogła zlekceważyć kobiety, w której domu znalazła schronienie, i zanieczyścić jej łóżka.

Łazienka też okazała się uporządkowana. Na czystych, choć nieco zakurzonych blatach, piętrzył się stos puszystych ręczników. Lana odstawiła plecak i otworzyła szklane drzwi prysznicza.

Na półce stały żel pod prysznic, szampon, odżywka, była nawet damska maszynka do golenia. Ponieważ jej własne zapasy znacznie zmalały, Lana, rozbierając się, postanowiła zignorować konwenanse. Użyje teraz tego, czego potrzebuje, a przeprosi później.

Rozpląkała się, gdy gorąca woda opadała na jej ramiona i głowę, splukując brud, którego nie dało się zmyć w strumieniach i potokach. Pomyślała, że ma prawo do kilku łez.

Owinęła głowę w jeden ręcznik, a ciało w drugi. Kto wie, jak długo to potrwa?

Otoczyła ją miękkość, rozkoszna miękkość.

Odwróciła się i spojrzała w lustro. Jej pełne piersi i brzuch. Musi być już w trzydziestym trzecim lub czwartym tygodniu. Z całego serca wierzyła, że jej córka nadal jest zdrowa i silna. Czują w sobie to światło, to życie – i jedno, i drugie zależne od niej, Lany.

Nawet jeśli oznaczało to, że musi być zależna od szczodrości kogoś obcego, to niech tak będzie. Trudno, będzie ostrożna i nieufna.

Spojrzała na koszyki stojące na otwartych półkach obok lustra.

Balsam do ciała, krem do twarzy, wszystko cudownie kobiece.

– Madeline Swift... – wymamrotała. – Jestem ci wdzięczna, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

Posmarowała się grubą warstwą, ale czuła, że jej wysuszona skóra wchłania wilgoć jak gąbka. Ponieważ wszystko w plecaku miała brudne, pożyczyła szlafrok wiszący na drzwiach łazienki.

Drżąc z wdzięczności, odsunęła kołdrę i ułożyła się w pościeli. Zasnęła, nic jej się nie śniło.

Gdy otworzyła oczy, nie pamiętała, gdzie jest. Zaniepokoili się. I – ach tak... – naraz wszystko wróciło: wiejski dom i nierozważnie wielkoduszny mężczyzna o surowej twarzy. Podniosła się szybko, na tyle, na ile jej pozwalał brzuch, po czym pościeliła łóżko, odwiesiła szlafrok i ubrała się.

Po położeniu słońca rozpoznała, że to już się południe – całkiem niezłe potrafiła już ocenić czas. Spała co najmniej dwie godziny. Jeśli chciała zostać na noc – o Boże, bardzo chciała zostać na noc! – powinna na to zapracować.

Zaintrygowana, ruszyła w obchód po piętrze i natknęła się na inną łazienkę, mniejszą niż ta,

z której ona korzystała, najwyraźniej używaną przez Simona.

Na drzwiach prysznic wisiał ręcznik, na małej toaletce obok stał kubek ze szczoteczką do zębów.

Znalazła pokój gościnny – jako że nie wyobrażała sobie, żeby Simon Swift spał w pościeli zdobionej ślicznymi fiołkami, a potem jeszcze jeden pokój, będący połączeniem dodatkowej sypialni i saloniku, z maszyną do szycia pod szafką.

Na koniec znalazła jego pokój – niezasłane łóżko, koszula rzucona na oparcie fotela; w powietrzu unosiła się nikła woń ziemi oraz trawy.

Zauważyła stojącą w kącie strzelbę. Doceniała, że podczas snu miał broń pod ręką.

Ponieważ nie zastała go na dole, wyjrzała przez okno. Simon pracował w ogrodzie, okopywał grządki. Był spocony. Pod jabłonią przy grobach spały psy, nieopodal stały konie, obserwując go z łbami przewieszonymi nad płotem.

Przeszło jej przez myśl, żeby wyjść i zaproponować mu pomoc, ale odrzuciła ten pomysł. Zauważyła, że pozmywał naczynia: te, których używali tego ranka, stały czyste i suche obok zlewu. Nic nie wskazywało na to, żeby przygotowywał posiłek, gdy ona brała prysznic, spała, a potem wędrowała po domu.

Zarobi więc na swoje utrzymanie, sprawdzając, co jest w kuchni i przygotowując mu lunch.

Gdy wszedł zgrzany i głodny, a psy, przepychając się razem z nim, zobaczył Lanę stojącą przy kuchence. Coś cholernie dobrze pachniało i jak sobie uświadomił, pachniało też kobietą.

Upięła niedbale włosy, które teraz błyszczały niczym karmel. Gdy się odwróciła, uderzyła go jej piękna twarz. Malowały się na niej spokój i rozwaga.

Ostrożna wobec niego, pomyślał, gdyż psy, które ją obstępowały, szaleńczo machając ogonami, nie wydawały się jej przeszkadzać. Starał się zachowywać swobodnie.

– Co gotujesz? – zapytał.

– Smażone warzywa i ryż. Pomyślałam, że bardziej przyda ci się lunch niż pomoc w ogrodzie.

– Słusznie. – Podeszedł do zlewu, zmył brud z dłoni i przedramion. – Gdzie gotowałaś?

W sensie zawodowo?

– W Nowym Jorku.

– Duże miasto.

– Takie było. – Nałożyła jedzenie na talerz, który podała mu wraz z serwetką znaną w szufladzie. – Widziałam trochę zakwasu w lodówce.

– Tak, mój tata lubił piec chleb. Nie potrafił przyrządzić nic innego, co nadawałoby się do jedzenia, ale lubił robić chleb. Podtrzymałem ten zakwas, jednak...

– Upiekę chleb, jeśli chcesz.

– Chętnie. – Usiadł. – Ty nie jesz?

Skinęła głową, ale nie wzięła sobie talerza ani nie usiadła.

– Chciałam ci podziękować...

– Już to zrobiłaś.

– Nie brałam prawdziwego prysznic od... Wybacz, jeśli ponoszą mnie emocje. Częściowo to hormony. Ale możliwość umycia włosów... Użyłam szamponu twojej matki i jej żelu pod prysznic. I ma – miała – krem do twarzy. Był otwarty i trochę sobie wzięłam. Bez pytania...

– Bądź tak miła i nie płacz z tego powodu. – Popatrzył na nią znad talerza rozdrażnionymi orzechowymi oczami, w których mieniły się zieleń i złoto. – Zniechęci mnie to do tych warzyw, a są cholernie pyszne. Mama by się tym nie przejęła, a już ja na pewno nie. Bez problemu poradziłem sobie z rzeczami taty, z jej jakoś nie potrafiłem. Używaj więc wszystkiego, czego chcesz.

– Tam są zapasy. Nieotwarte. Możesz je na coś wymienić.

– Korzystaj z tego – prawie warknął. – Gdybym chciał wymienić jej cholerny krem do twarzy, dawno bym to zrobił.

Rozumiejąc jego ból i stratę, nie ciągnęła dłużej tematu. Nałożyła sobie jedzenie na talerz i usiadła.

– Są tu jakieś miejsca, do których nie powinnam wchodzić?  
– Poza zamkniętym pomieszczeniem w piwnicy, w którym trzymam okaleczone ciała ofiar, możesz chodzić wszędzie.

Podniosła na widelcu trochę smażonych warzyw. Miał rację. Były cholernie pyszne.

– W porządku, będę się trzymała od piwnicy z daleka. Masz jakieś alergię pokarmowe?

– Nie znoszę szpinaku.

– W takim razie nie dodam go do pieczeni rzymskiej.

\* \* \*

Simon zostawił Lanie dużo swobody. Spodziewał się, że zostanie na parę dni i się pozbiera. Nie miał problemu z tym, żeby dać jej nieco spokoju i czasu, zwłaszcza że, Jezu drogi, ta kobieta naprawdę potrafiła gotować. Jej obecność bez wątplenia odmieniła to miejsce. Poprzednio nie zauważał kurzu i sierści psa, teraz jednak dostrzegł ich brak. I choć nie miał dotychczas kłopotu z wyciąganiem ubrań lub ręczników z kosza na uprane rzeczy, to nie przeszkadzało mu znajdowanie ich złożonych tam, gdzie ich miejsce.

Psy ją polubiły. Któregoś razu, późnym wieczorem, przeszedł obok biblioteki i zobaczył ją siedzącą w ciemnościach – oplakującą męża – z głową Harper na kolanie i Lee leżącą przy jej nogach.

Doszedł do wniosku, że kiedy Lana już się pozbiera, to zawiezie ją do osady i przekaze jednej z kobiet, które znał. Każda z nich będzie wiedziała więcej niż on o kobietach w ciąży i porodach.

Co do prób przekonania go, że dziecko, które nosi, jest szczególne i stanowi cel mrocznych sił, to wstrzymywał się z opinią. Choć nie mógł zaprzeczyć, że przyzwyczyił się do samotności i samodzielnego radzenia sobie z farmą, nie potrafił jej ot tak po prostu wyrzucić.

Wychowano go na porządnego człowieka – był porządnym człowiekiem.

Lana z kolei nie rwała się zbyt do rozmowy i to też było w porządku, nawykł bowiem do ciszy.

Uważał ją za swego rodzaju tymczasowego, mieszkającego na farmie pracownika, który przygotowywał trzy porządne posiłki dziennie i zajmował się domem, co uwalniało go od kłopotu. Pracownika, który nie wymagał zapewniania rozrywki i na którego miło było popatrzeć, zwłaszcza gdy po kilku dniach z jej oczu zniknęło spojrzenie człowieka będącego kłębkim nerwów.

Prawdę mówiąc, musiał przyznać, że będzie mu brakowało obecności kogoś, kto potrafił właściwie obchodzić się z płodami ziemi, oraz pewności tego, że gdy wejdzie do domu po porannych obowiązkach domowych, to dostanie gorące śniadanie.

Nie zbliżała się do pola kukurydzy, nie pytał dlaczego.

Czwartego dnia oboje wpadli w rutynę na tyle wygodną, że zaczął się martwić. Rutyna prowadziła do wzajemnej zależności.

Co mógł zrobić? Nakłonić ją, żeby przeprowadziła się do osady i została tam, dopóki nie urodzi dziecka?

Zagał rozmowę na ten temat, gdy jedli obiad. Lana przyrządziła na jego prośbę smażonego kurczaka i sałatkę ziemniaczaną.

– Zamierzam zawieźć jutro trochę warzyw i owoców do osady – oznajmił.

– Przydałoby się je wymienić na więcej mąki.

– Ty wiesz lepiej, czego mamy mało w spiżarni. Powinnaś ze mną pojechać. Zobaczysz, co tam jest.

Podniosła na niego smutne, ciemnoniebieskie oczy.

– Mogę zrobić ci listę.

– Owszem. Prawdopodobnie są rzeczy, których potrzebujesz. Rzeczy osobiste.

– Niczego nie potrzebuję. Jeśli jesteś gotów, żebyśmy ruszyła w drogę, to...

– Nie powiedziałem tego. – Choć przemknęło mu to przez głowę. – Słuchaj, są tam kobiety, które przeszły przez to, przez co i ty przechodzisz. Które, no wiesz, niedawno urodziły dzieci. Poza tym pojawiają się tam nowi ludzie, niektórzy zostają. Może przybył ktoś, kto ma doświadczenie

medyczne.

Bezustannie bawiła się palcami wokół obrączki, którą nosiła na szyi.

– Mam jeszcze czas. Mogę zrobić więcej, dopóki...

– Chryste, Lano. – Rzadko używał jej imienia, uczynił to teraz z czystej frustracji. – Zlituj się. Mówię, że lepiej ci będzie z ludźmi, którzy wiedzą, co robić, gdy dziecko zdecyduje się przyjść świat. Jeśli ty się tym nie denerwujesz, to chyba jesteś z pieprzonej stali.

– Jestem śmiertelnie wystraszona, przerażona. Mimo że wiem, że jej przeznaczeniem jest urodzić się, żyć, wyróżniać się i dokonywać niesamowitych rzeczy, jestem przerażona.

– Nie wyglądasz na przerażoną – odparł, przypatrując się jej twarzy.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Zanim spostrzegłam ze wzgórza farmę – zaczęła, kładąc dłoń na brzuchu – wiele razy byłam zmęczona i głodna, ale nigdy nie pozwalałam sobie na strach. Jeżeli jednak lęk znalazł do mnie drogę, musiałam go odepchnąć, inaczej przestałabym się starać. Zatrzymałabym się i poddała. Powtarzałam sobie, że muszę znaleźć bezpieczne miejsce, w którym sprowadzę ją na świat.

A potem zobaczyłam z drogi tę farmę. Dom, pola, zwierzęta – i nagle świat jakby stanął w miejscu.

Jej dłoń powoli zataczała kręgi na brzuchu.

– Chciałam tam pobyc tylko chwilę. Zobaczyłam pomidory na krzaku, brzęczące pszczoły, gdaczące kury. Myślałam o jedzeniu, bo byłam głodna. Nie myślałam o schronieniu ani odpoczynku. Dopóki się do mnie nie odezwał. Dopóki mnie nie zaprosił, żebym weszła do środka i zjadła, no a potem zaczęłam mieć nadzieję. Wiem, że jestem nie w porządku, że pokładanie nadziei w tobie jest nieeleganckie, ale cóż, muszę tak robić. Bo ona tego ode mnie wymaga.

Pomyślał, że nie, Lana nie wyglądała na przestraszoną. Że ani w jej głosie, ani w twarzy nie było błagania. Nie zdołałby oprzeć się błaganiu. Jednak jej słowa i wyraz twarzy dowodziły siły charakteru.

A to było dlań jeszcze trudniejsze do odparcia.

– Może pójdziemy na kompromis? – zaproponował. – Przyprowadzę tu jedną z kobiet, ma na imię Anna. Typ babci, prawdopodobnie skopałaby mi tyłek za to, że ją tak nazywam. Mogłybyście się poznać, zobaczyłabyś, jakie zrobi na tobie wrażenie. Wiem, że urodziła dzieci. Kiedy nadejdzie czas, mógłbym po nią pojechać, pomogłaby ci.

– Najpierw trafi w twoje ręce.

– Co takiego?

Jej oczy się zmieniły, nagle pociemniały niby nocne niebo. Wydawały się przeszywać go na wskroś.

– W twoje – powtórzyła. – Zjawi się w noc smaganą wiatrem. Narodziny Jedynej zapowie błyskawica. Będiesz uczyć ją jeździć konno i myśleć, że urodziła się z tą umiejętnością. Ja nauczę ją dawnych zwyczajów, wszystkiego tego, co umiem, ona jednak potrafi dużo więcej. Spokój... czas wyjęty spoza czasu, w którym mrok szaleje. Ciemność będzie zwyciężać, dopóki w Księżde Zakłęcz, w Studni Światła Jedyne nie ujmie miecza i tarczy. Dopóki wraz ze wzrostem magii nie zajmie należnego jej miejsca. Zaryzykuje wszystkim, by wypełnić swoje przeznaczenie, to cenne dziecko Tuatha de Dananna. Po to wzrasta we mnie, po to trafi w twoje ręce.

Nagle bardzo zbladła i sięgnęła drżącą dłonią po szklankę z wodą.

– Co to było? – zdumiał się.

– To ona. – Lana popijała wodę małymi łydkami, aż zawroty głowy jej minęły. – Nie wiem, jak to wyjaśnić. Czasem ją widzę tak wyraźnie, jak teraz ciebie. Jest taka piękna. – Jej oczy wypełniły się łzami, które nie spłynęły po policzkach. – Taka silna, nieustępliwa i piękna. Czasem ją słyszę, słyszę jej głos w głowie. Myślę, że poddałabym się dziesiątki razy, gdybym nie słyszała tego głosu, gdyby nie nakazywał mi iść dalej. I czasami, tak jak teraz, Jedyne przemawia przeze mnie. Albo przekazuje mi swą wiedzę, żebym to mogła mówić za nią.

I w tej chwili Simon jej uwierzył. Całkowicie.

– Czym ona jest?

– Odpowiedzią. Kiedy się boję, boję się o nią, o to, czego ma dokonać. Zdaję sobie sprawę, o co cię proszę. – Drzemiące dotąd psy uniosły czujnie głowy.

– Tak, słyszę to. – Nie odrywając od niej wzroku, Simon wstał. – Ktoś się zbliża. Powinnaś zejść do piwnicy i schować się, tam gdzie trzymam warzywa, dopóki nie zobaczę, kto to. Zabierz ze sobą strzelbę – dodał, sięgając po pistolet leżący na lodówce.

Wychodząc na werandę, chwycił stojący przy drzwiach sztucer. Do farmy zbliżał się jakiś nieznaną pickup. Spod jego kół tryskał zwir.

Nakazał psom nie ruszać się z miejsca i czekał, aż dwaj mężczyźni, obaj uzbrojeni, wysiądą z samochodu.

– Brywieczór – przywitał się, obserwując ich chód, dłonie, mimikę twarzy.

Przeczuwał, że będą kłopoty, i gotów był stawić im czoło.

Jeden z obcych miał poraną bliznami twarz, jakby czyjeś szpony przeciągnęły po niej od prawej do lewej, od miejsca tuż pod prawym okiem do szczęki pod lewym uchem.

Nadawało to jego twarzy wyraz stałego krzywienia się w szyderczym uśmiešku.

– Przyjemnie tu masz – odezwał się ten z postrzępioną, siwiejącą brodą.

– Owszem, dobrze się tu mieszka.

– Masz sporo zwierząt i duży ogród jak na jednego.

– Dzięki temu mam co robić. Mogę jakoś pomóc?

– Szukamy kobiety.

– A kto nie szuka? – Simon uśmiechnął się szeroko.

Brodaty roześmiał się, po czym wyjął z przedniej kieszeni kartkę i rozłożył ją.

– Konkretniej.

Simon rzucił okiem na kartkę, na której widniał doskonały szkic Lany.

– Ładniutka. Sam bym ją chętnie znalazł.

– Jest w ciąży, jakiś siódmy czy ósmy miesiąc. Podobno błąka się tu po okolicach.

– Myślę, że pamiętałbym tę twarz, a zwłaszcza, gdyby była błakającą się ciężarną. Jak ją zapodzialiście?

– Nie twoja sprawa – warknął mężczyzna z blizną.

– Po prostu pytam. Rzadko kogoś tu widuję.

– Musisz się czuć samotny, sam jeden – zauważył brodaty i pociągnął nosem.

– Jak już wspominałem, mam co robić.

– Żyjesz tu odcięty od świata, na uboczu. Masz dość jedzenia, by wyżywić armię. A tak się składa, że my akurat mamy armię. Zabierzemy przyczepę z dwiema krowami.

– Nie jestem zainteresowany wymianą, ale dzięki.

– Nikt nie mówił o wymianie. – Pokryty bliznami wyciągnął pistolet. – My zabieramy. Rusz się i doczep przyczepę do naszego samochodu.

– Wiesz, to niezbyt przyjazne z twojej strony.

Simon błyskawicznie zaczął działać. Ten z bliznami trzymał pistolet jak jakiś kowboj z filmu klasy B, widowiskowo, ale bez sensu. Simon walnął go w przedramię, wbił łokieć w brodatą twarz i w trzech płynnych ruchach celował w nich z ich własnego pistoletu.

– Zastrzeliłbym was obu tam, gdzie stoicie – rzekł miłym, choć lodowatym tonem. – Tyle że nie mam ochoty kopać wam grobów. Radziłbym się zastanowić, zanim sięgniesz po tę broń – ostrzegł brodatego. – A teraz wyjmij ją powoli dwoma palcami i odłóż na werandę. W przeciwnym razie strzelę w brzuch twojemu przyjacielowi i pozwolę mu wykrwawić się na śmierć.

– Nie powiedziałem, że to mój przyjaciel.

Simon poradziłby sobie z napastnikami i taki miał zamiar. Ale usłyszał głos Lany.

– Ja nie mam nic przeciwko kopaniu grobów.

Starając się niczego po sobie nie okazać, pomyślał, że wprawdzie słyszał głos Lany, ale kobieta stojąca ze strzelbą wycelowaną w nieproszonego gościa zupełnie jej nie przypominała.

Była krzepkiej budowy, ale nie ciężarna, i miała krótkie, ciemne włosy zamiast długich, karmelowych. Uśmiechała się szyderczo, co dobrze odpowiadało jej surowej, pociągłej twarzy.

– Nie żebyśmy wcześniej tego nie robili.

– Oj tam, nie strzelaj do nich, jeżeli nie musisz, słonko. – Udając rozbawienie, Simon wyciągnął pistolet z kabury drugiego mężczyzny. – Dopiero co pomalowaliśmy tę werandę zeszłej

wiosny. Jest mniej miła niż ja – skomentował. – A jeszcze są ci na górze i w stodole. Z bronią wycelowaną prosto w was. Są jeszcze wredniejsi niż ona, a to naprawdę rzadkie. Armia, powiedziałaś. I tak, owszem, dobrze tu jadamy. Z przyjemnością dałbym wam co nieco na drogę, ale nie byliście grzeczni. Prawda, słonko?

– Wiesz, co o tym myślę, a ten i tak już krwawi na tej choleralnej werandzie. Może postrzele tego drugiego w nogę?

– Mówiłem, że jest wredna. Na waszym miejscu wsiadłbym migiem do pickupa i wiał stąd najszybciej, jak się da. Inaczej ta kobieta się zdenerwuje i was postrzeli. A wtedy reszta wyjdzie i dokończy dzieła.

– Chciałbym odzyskać broń – oznajmił brodaty.

– Potraktuj tę stratę jako konsekwencję kiepskich manier. Wynoście się z mojej ziemi albo dostaniecie po kulce. A potem poszczuję was psami.

Oba psy jak na komendę wyszczerzyły zęby i zaczęły warczeć.

Mężczyźni wycofali się z ganku i usadowili się w ciężarówce. Jeden z nich sięgnął po coś do kieszeni, Simon dostrzegł ten ruch, zaczekał jednak, aż ten z blizną wyszarpienie drugi pistolet i wysunie go przez boczne okno.

Strzelił mu w środek czoła, po czym wycelował w kierowcę, który wykręcił na wstecznym, wyrzucając żwir spod kół i dym z rury, potem ostro zakręcił i ruszył przed siebie. Gdy auto się zatrzymało, Simon zmienił pistolet na sztucer, ale wstrzymał się ze strzałem. Od strony pasażera otworzyły się drzwi i kierowca wypchnął martwe ciało kolegi.

– Cholera, wygląda na to, że jednak będę kopał.

Odczekał, aż ciężarówka zniknie za wzniesieniem.

– Nie mówiłaś, że jesteś zmiennokształtna.

– Nie jestem. – Lana opuściła strzelbę, po czym zatoczyła się kilka kroków i usiadła na stopniach werandy. – To złudzenie. – Wiedziała, że iluzja zniknęła powoli. – Jest jak... kostium. Nigdy wcześniej tego nie próbowałam. Pochłonęło dużo mocy. Zabiłeś go.

– Jego wybór, nie mój.

– To oni byli w Nowej Nadziei i nas zaatakowali. – Pokiwała głową. – Jego twarz, tego martwego – wskazała na niego ruchem dłoni – te blizny to moje dzieło. Nie wiem, jak to się stało. Jakiś czas temu prawie mnie dorwali.

– Mówiłem ci, żebyś zeszła do piwnicy.

– I co bym tam robiła? – Gdy uniosła głowę, wróciła jej zwykła nieustępliwość. – Drżała i czekała? Liczyła na to, że ktoś ochroni mnie i moje dziecko? Dawno z tym skończyłam. Jakbym robiła to w innym życiu. Pomyślałam, że jeżeli zobaczą mnie – to znaczy iluzję – będą mieli więcej powodów uwierzyć, że mnie nie widziałaś. Że zostawią cię w spokoju. A potem usłyszałam, że chcą ci zabrać krowy, i wiedziałam, że nie odjadą.

Siedziała w milczeniu, kiedy zwolnił psy i usiadł obok niej, a zwierzaki trącały ich pyskami, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Rano wyjadę. Chciałabym odczekać, aż ten człowiek znajdzie się wystarczająco daleko.

Uważał, żeby jej nie dotknąć, ani razu, odkąd pojawiła się w jego świetle, ale teraz ujął jej podbródek w dłoń i odwrócił twarz ku sobie.

– Nigdzie nie pójdziesz. Zaproponowałem ci, żebyś się tu zatrzymała, bo tego potrzebowałaś. Bóg świadkiem, że na to zapracowałaś. Wierzyłem, że wierzysz w to, że ludzie polują na ciebie i twoje dziecko. Ale muszę przyznać, że podejrzewałem cię o paranoję. Myliłem się.

– On może wrócić, sprowadzić innych.

Usadawiając się wygodniej, żeby potarosić psy, Simon pokręcił głową.

– Ten typ szuka łatwych zysków. A już wie, że z nami łatwo mu nie pójdzie. Zaufaj mi, poradzę sobie z tym. – Wstał. – Tak samo, jak poradziłbym sobie z tymi dwoma.

– Wiem. Widziałam to. Co robiłeś w wojsku?

Uśmiechnął się.

– Wykonywałem rozkazy.



– I wydawałeś je. Kapitanie.

– Minęło trochę czasu. Teraz jestem farmerem. – Spojrzał na pola i uprawy. – Ale wiem, jak chronić swoją ziemię i dom.

Pomyślała, że jest wojownikiem. Pod tą swobodą i spokojem kryła się niebezpieczna, lecz kontrolowana siła. Obserwowała tę kontrolę u Maksa, widziała, jak się w nim rozwija, gdy prowadził ludzi, którzy mogli na niego liczyć.

A teraz siedziała z innym wojownikiem, innym przywódcą.

– Ludzie są silniejsi razem. Ja też wiem, jak się bronić.

– Odniosłem takie wrażenie. Już kiedy znalazłem cię w kurniku.

– Nie zawsze taka byłem. W Nowym Jorku – czy to naprawdę było zaledwie kilka miesięcy temu?, przeszło jej przez myśl – lubiałam chodzić na zakupy, planować przyjęcia. Marzyłam o otwarciu własnej restauracji. Nigdy nie miałam w ręku broni, nie mówiąc o strzelaniu z niej.

A moja moc... przypominała szept.

– Wygląda na to, że znalazłaś swój głos.

– Raczej zostałam znaleziona. Gdybyś nie wrócił pomóc rodzicom, zostałbyś w armii?

– Nie, i tak był czas z niej odejść.

– Co chciałeś robić?

Uświadomił sobie, że to najdłuższa i na pewno najswobodniejsza rozmowa, jaką do tej pory prowadzili. Z trupem kilka metrów dalej. Zastanawiał się, dlaczego nie wydaje mu się to dziwne.

– Myślałem, że może założyłbym firmę w tym mieście, które nie jest już miastem.

– Jaką firmę?

– Produkcją mebli. To w zasadzie było hobby mojego ojca, które i mnie się udzieliło.

Mała firma, pracowałbym sam tyle, ile bym chciał, na własnych warunkach. Blisko domu, bo spędziłem zbyt wiele czasu z dala od niego.

Zaczął zapadać zmierzch. Zorientował się, że dobrze jest tak po prostu siedzieć i rozmawiać z nią o marzeniach.

– No, ale muszę wykopać dół.

Poszedł po szpadel.

Lana nie ruszyła się z miejsca, nadal siedziała z rękami wspartymi na brzuchu. Mimo śmierci, przemocy, zagrożenia czuła się bezpieczna.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY**

Koniec końców Lana postawiła na swoim. Nie mogła ani pójść do osady, ani pozwolić, by ktoś przyszedł do niej. Jedno i drugie stwarzało niebezpieczeństwo, w razie gdyby Wojownicy Czystości wrócili.

Dziecko przemawiało do niej i przez nią. Na razie wierzyła, że wszystko jest tak, jak powinno być.

Gotowała, pracowała w ogrodzie, podbierała kurom jaja i czerpała radość z prostoty tego życia.

Gdy lato zaczęło zmieniać się w jesień, zaczęła zbierać warzywa i przetwarzać je na zimę. Robiła dżemy i galaretki, podczas gdy Simon kosił i belował siano, żął pszenicę na mąkę, wkładał kukurydzę do silosu lub przynosił do kuchni.

Pewnego dnia przyniósł nasiona, na które się wymienił – po trzy z owoców karłowatych pomarańczy i cytryn. Uznała je za tak bezcenne jak diamenty.

– To się może udać – powiedział, gdy je posadzili, zamierzając później zanieść je do szklarni. – W przyszłe lato będzie lemoniada. – A na jesieni kaczka w pomarańczach.

– Może znajdziemy limonki i napijemy się tequili. – Zaśmiała się i ostrożnie przykryła ziarno ziemią.

– Musisz lubić tequilę – zauważył. – Pierwszy raz słyszę, jak się śmiesz.

– Sadzę nasiona drzewka pomarańczowego w ziemi nawiezionej kurzymi odchodami i wyobrażam sobie, że piję tequilę. To dość zabawne.

– Mój tata stale powtarzał, że wystarczy odrobina kurzej kupy i od razu wszystko lepiej rośnie.

– Przekonajmy się, co ja potrafię.

Zaintrygowana postanowiła zdać się na instykt i wyciągnęła dłonie nad doniczką.

Natychmiast popłynął przez nią strumień mocy. Poczuła wzrost, pulsowanie i siłę.

Z ziemi wychylił się delikatny zielony pęd i zaczął rozwijać się ku światłu.

Parsknęła śmiechem, najpierw z zaskoczenia, a potem z radości. Promieniejąc, spojrzała na Simona i zobaczyła, że się na nią gapi.

– O cholera... – wykrztusił.

– Jeśli wolisz, żeby nie...

– Czy ja ci wyglądam na głupka? – zapytał, błyskając zielonozłotymi oczami. – Świat jest, jaki jest. A ja jestem w nim farmerem, u którego pracuje wiedźma, która potrafi pomóc uprawom. Masz problem z tym, kim jesteś?

– Nie, ale...

– To dlaczego ja miałbym mieć? Moim zdaniem naszym największym problemem od samego początku są ludzie, którzy celują palcami i nie tylko palcami, w tych, którzy nie są tacy jak oni. Powinniśmy być od nich lepsi. To może być nasza ostatnia szansa, żeby urządzić ten świat, jak należy.

Poklepał kolejną doniczkę.

– Zajmij się tą.

Rozradowana znów pozwoliła mocy działać. A potem odsunęła się od delikatnego pędu.

– Nie wiem, czy to ja, czy ona, czy my razem. Ale wiem, że mnie odmieniła. Gdybym jutro się obudziła i wszystkie te miesiące okazały się snem, byłabym nadal odmieniona. Och! – Zaśmiała się, przykładając dłoń do boku brzucha.

Tego rodzaju ruchy i gesty sprawiały, że się denerwował.

– W porządku?

– Tak. Kopie. – Ku zaskoczeniu ich obojga Lana wzięła go za rękę i przycisnęła ją do

brzucha.

Przeszedł przez niego prąd. Rosnąca w brzuchu istota kopnęła go w dłoń i z powodów dlań niejasnych poczuł to kopnięcie również w sercu.

Ktoś tam w środku rośnie, pomyślał. Ktoś niewinny i bezradny. A jednak sądząc po sile kopnięcia, nieustępliwy.

– Ona... ma siłę.

Cofnął się o krok, zauważywszy, że twarz Lany rozświetla wewnętrzne światło, wyglądała tak jak w chwili, gdy sprawiła, że z ziemi wykiełkował pęd. Jej widok, odważnej i promiennej, poruszył w nim jakąś strunę, tę samą, którą dziecko poruszało w niej.

Do tej pory bardzo starannie tego unikał.

– Mam pracę, do której muszę wrócić. Poradzisz sobie z resztą?

– Tak.

Gdy wyszedł, wciąż stała, rozkoszując się zapachem ziemi i roślin.

\* \* \*

Simon stale wyszukiwał sobie jakieś zajęcia i traktował Lanę tak, jakby traktował siostrę, gdyby ją miał. We wrześniu koło farmy przejechały dwie grupy. Lana pozostała w domu, żeby nikt jej nie zobaczył.

Dał im zapasy i skierował ich do osady. Wiedział, że niektórzy w niej pozostaną, inni będą szli dalej, szukając kogoś innego lub czegoś więcej, po prostu szukając.

Odprowadziwszy drugą grupę, Simon wszedł do kuchni, w której Lana mieszła przy kuchence gulasz, obok niej stała strzelba.

Przestawił broń koło drzwi kuchennych.

– Osiem osób – oznajmił Simon. – Jedna z nich miała skrzydła. Nie mogę się do tego przyzwyczaić. Kilka dni temu okrążyli Waszyngton.

Ponieważ stół był już nakryty – dla Lany takie rzeczy były ważne – umył się w zlewie.

– Usłyszeli strzelaninę, widzieli dym – ciągnął. – Jeden z nich uciekał stamtąd, kiedy trafił na tę grupę. Powiedział, że podobno... O Boże, jak ona się nazywa?... – Urwał, potarł skroń. – Prezydent MacBride wciąż żyje, a resztki rządu próbują utrzymać miasto. Za każdym razem, gdy udaje im się postawić łączność, ktoś ją niszczy.

– To brzmi zupełnie nierealnie. Jak opowiedzieć o innym świecie.

– Owszem. Tyle że to nasz świat. Krążą plotki o ludziach zamkniętych w obozach i laboratoriach.

– Magicznych ludziach?

– Tak, ale nie tylko. Szacuje się... – Zastanawiał się, czy w ogóle jej o tym mówić, i prawie doszedł do wniosku, żeby zmienić temat.

Ale nie mógł.

– Mówię ci, bo byłoby nie w porządku, gdybym to przed tobą ukrył, ale to nie jest potwierdzona wiadomość, okej?

– Okej.

– Mówią, że zaraza już się skończyła, dobiegła końca. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że według szacunków zabiła około osiemdziesięciu procent ludności. Całego świata. Czyli ponad pięć miliardów ludzi. Może więcej. Muszę się napić.

Podszedł do spiżarni, wziął butelkę whisky i nalał na dwa palce.

– To samo słyszałem kilka dni temu. – Wypił połowę szklanki. – W osadzie jest radioamator, udało mu się dotrzeć do kilku innych, nawet do jakiejś pary w Europie i wcale tam nie lepiej. Dodaj do tego tych, którzy się zabili, tych, którzy zostali zabici, a liczba rośnie. Nowy Jork... Chcesz tego słuchać?

– Tak. Mało tego, muszę to usłyszeć.

– Nowy Jork jest pod kontrolą Mrocznych Niesamowitych. Mówi się o składaniu ludzi w ofierze, o paleniu na stosie takich jak ty – tych, którzy nie są jak oni. Wojsko kontroluje pewne obszary, zwłaszcza na zachód od Missisipi, ale z tego, co zrozumiałem, hierarchia służbowa jest

dość nadwyreżona. Istnieją jakieś osobne oddziały, które wyznaczają nagrodę za głowę wszystkich Niesamowitych – mrocznych, jasnych, wszystko jedno.

– Wojownicy Czystości.

– Tak, oni temu przewodzą. Najeźdźcy wędrują, atakują i uciekają. I są łowcami nagród.

Spokojnie nałożyła chochelką gulasz do eleganckiej wazy jego matki – uparcie dbała o całość kształtu posiłku. – Czyli jest źle nie dla wszystkich, ale dla kogoś takiego jak ja? Wszyscy na nas polują. Trudno uwierzyć w to, co któregoś dnia powiedziałaś, że to może być nasza ostatnia szansa, żeby urządzić świat jak należy.

Zaniosła naczynie do stołu.

– Muszę wierzyć.

Nałożyła gulasz z wazy do misek, po czym usiadła i zaczęła, aż do niej dołączy.

– Kiedy byłam w Nowej Nadziei, widziałam, co ludzie potrafią i ile rzeczy robią razem.

Widziałam, jak niektórzy próbowali to niszczyć. Byłeś żołnierzem.

– Tak.

– Był nim też Max, pod koniec. Postanowił walczyć, prowadzić innych, bo ktoś musiał się tym zająć. Ty robiłeś to samo: zabijałeś, by chronić kogoś, kogo prawie nie znałeś. Dałeś ludziom, którzy się tu pojawili, jedzenie, które sam wyhodowałeś, i to był wybór. Ludzie próbujący niszczyć nie wygrają, ponieważ zawsze znajdą się tacy ludzie jak Max, jak ty, jak ludzie, których zostawiłam, ci, którzy dokonują wyboru.

Patrzyła na sytuację bardziej optymistycznie niż on. Nie miał nic przeciwko równowadze.

– Czytam jedną z jego książek. Nie tę, którą masz – dodał, gdy spojrzała na niego zdziwiona. – Jedną z poprzednich. Dobra. Był dobrym pisarzem.

– Owszem. – Uśmiechnęła się mimo bólu w sercu. Był dobry.

\* \* \*

Zwykle po długim dniu, po wieczornym posiłku i wieczornych obowiązkach Simon pracował w stodole. Odprężał się przez godzinę czy dwie przed pójściem do łóżka z książką w bibliotece matki.

Brakowało mu telewizji i nie wstydził się do tego przyznać, ale książki mu to rekompensowały. Tęsknił też za piwem i żywił nadzieję, że grupa, która próbuje uruchomić mały browar, odniesie sukces. Wieczorami na ogół wybierał herbatę, w której – prawie – zasmakował.

Nie rekompensowała oczywiście braku piwa.

Z reguły towarzyszyły mu psy, był to więc przyjemny i nieskomplikowany sposób na podsumowanie dnia. Nim szedł na górę, wypuszczał je jeszcze z domu na ostatnie okrażenie.

Książka pozwalała mu oderwać się od pracy, świata, kobiety śpiącej na górze. Rzeczy do zrobienia zawsze będą, na istnienie świata nic nie poradzi. A myśli dotyczące Lany starał się ograniczać.

Przez ostatnie dni się uczył. Książki równie dobrze nadawały się do tego celu i do rozrywki.

Odkąd zmarli jego rodzice, wyszukiwał mnóstwo nowych tytułów. Prowadzenie gospodarstwa w takim, a nie innym świecie wyglądało nieco inaczej niż w czasach sprzed wybuchu pandemii apokalipsy.

W bibliotece przybyło sporo pozycji.

W książkach znajdował instrukcje dotyczące pszczelarstwa, rzeźnictwa – choć akurat to ostatnie chętnie scedował na mieszkańców osady – robienia masła, sera, wykonywania holistycznych leków i zabiegów.

Także gotowania zanim pojawiła się Lana.

Zajmował się więc tym, co uważał za swój obowiązek domowy, czemu towarzyszyła mieszanina fascynacji i odrazy przyprowadzona sporą dawką przerażenia.

Zdziwił się, gdy usłyszał, że schodzi, zamknął z trzaskiem książkę i wstał. Nigdy nie wychodziła z pokoju wieczorami, kiedy już tam zniknęła i zamknęła drzwi.

Teraz jednak weszła do jego pokoju, z rozpuszczonymi opadającymi na ramiona włosami, w wielkim workowatym T-shircie opinającym Wzgórze Małeństwa i ledwie sięgającym jej do

połowy ud.

Pomyślał, że ma cholernie ładne nogi, i natychmiast zabronił sobie o tym myśleć.

– Przepraszam. Nie mogłam spać.

– Nie ma problemu. Potrzebujesz czegoś?

– Zastanawiam się nad czymś do czytania... – Urwała, kiedy dostrzegła tytuł tej, którą trzymał. – Poród domowy?

Uświadomił sobie, że zdekoncentrował się z jej powodu. Rozproszyły go jej nogi, tak że trzymał książkę okładką do góry.

– Mają dużo książek w osadzie – wymamrotał. – Można je pożyczać. Tę ukradłem, gdyż nie byłem w stanie wymyślić powodu, dla którego ją pożyczam. Uznałem, że powinienem wiedzieć, co do diabła robić, gdy nadejdzie czas.

– Dobry pomysł, przynajmniej jedno z nas będzie wiedziało. – Przyłożyła dłoń do bolącego krzyża. – Rozmawiałam trochę z Rachel, lekarką w Nowej Nadziei, planowaliśmy zacząć szkołę rodzenia we wrześniu. Taki był plan. Tak czy inaczej pomyślałam o czymś do czytania i może herbacie.

– Ja zrobię. Wyglądasz na zmęczoną.

– Obraziłabym się, gdyby nie to, że tak się czuję. Powinnam to przeczytać?

– Nie, jeżeli chcesz dziś spać. – Okraślił to uśmiechem, co ją rozbawiło.

Roześmiała się, ale szybko przycisnęła dłoń do boku.

– Oj.

– Chyba trudno jest spać, kiedy mała cię od środka kopie.

– Nie wiem, chyba nie. Rachel mówiła, że skurcze przepowiadające to zapowiedź nadchodzących atrakcji. – Mówiła urywanym głosem i chwyciła się oparcia kanapy.

– Boli cię?

– To tylko... Nie jest tak źle. Ale nie daje mi spać. – Zrobiła wydech i wyprostowała się.

– Może już się zaczęło...

– Co? Poród? Och, nie, to tylko te fałszywe skurcze. Wiedziałabym. To znaczy, musiałabym to wiedzieć. Myślę, że herbata rumiankowa i książka mi pomogą. Może właściwie tylko herbata.

– Okej. – Rzucił książkę i ruszył za nią do kuchni. – Mogę ci ją przynieść na górę.

– Dzięki, ale czuję się lepiej, gdy nie leżę. Jestem po prostu niespokojna. Wygląda na to, że psy też. Mam je wypuścić?

– Tak, niech wyjdą. – Nastawił czajnik, gdy otworzyła drzwi.

Z zawrotem wpadł do środka wiatr.

– Naprawdę mocno wieje – mruknęła, stojąc przez chwilę i pozwalając, by owionęło ją chłodne powietrze. – Niewykluczone, że nadchodzi burza.

Odwrócił wzrok od unoszonych wiatrem włosów i koszuli tańczącej wysoko wokół jej ud. Prerażała go jej atrakcyjność.

Napomniął się, że to ciężarna kobieta. Kobieta, która mu ufa i na nim polega. Kobieta oplakująca mężczyznę, którego kochała.

– Ciemne noce pełne cudów, gdy magia sposobi się, by przybrać na sile. Max tak lub jakoś podobnie napisał. Tak odbieram tę noc.

Sapnęła, obejmując ręką brzuch. I wtedy odeszły jej wody płodowe.

Stali, ona przy drzwiach, owiewana wiatrem, on przy kuchence, w czajniku gotowała się woda, i patrzyli na siebie kompletnie zszokowani.

– O mój Boże. Wody mi odeszły. Słyszałeś to? Słyszałeś? Pyknęło i poleciały. O Jezu Chryste! To już chyba nie są skurcze przepowiadające.

– Okej, okej. Czekaj. – Wyłączył gaz pod kuchenką. Będzie potrzebował wrzątku, żeby wysterylizować... Nie, to później, lepiej o tym teraz nie myśleć.

– Nie wydaje mi się, żeby czekanie wchodziło w grę.

– Nie chodziło mi o to, żebyś czekała. Miałem na myśli... Dobra. – Odezwały się lata treningu wojskowego. Po prostu przeszedł w tryb bojowy.

– Zabierzemy cię na górę.

- Zalałam całą podłogę.
- Później to wytrę. To, czego potrzebujemy, jest na górze.
- Czego potrzebujemy?

Kwestię wzięcia jej na górę rozwiązał, biorąc ją na rękę. Swoje wazyła, ale dźwignął ją bez trudu.

- Czytałem książkę, tak? Czysta zasłonka prysznicowa, ręczniki, koce, inne rzeczy. Wiem, co robić.
- Ja powinnam to wiedzieć.
- Mam stoper. Musimy mierzyć czas między skurczami. Miałaś kilka, co ile minut? Pięć?
- Nie wiem. Myślałam, że to te przepowiadające. Dlaczego są dwa rodzaje? Kto w ogóle je wymyślił?

Jedno z nich, przynajmniej jedno z nich, musiało zachować spokój.

- Powiedz mi, od jak dawna je mniej więcej masz.
- Myślę, że od kilku godzin. Jestem idiotką.
- Nowicjusz to nie to samo co idiota. – Zaniósł ją do pokoju rodziców i postawił obok starego łóżka z baldachimem. – Przyniosę rzeczy. Możesz tu poczekać?
- Tak. Jest okej.

Ponieważ nie wiedział, jak długo to wszystko potrwa, działał szybko. Miał ze sobą miski ułożone jedne na drugich, rozłożył zasłonę prysznicową, poukładał też ręczniki.

- Będzie mokro. Ach, i przyniosę ci inną koszulkę. Ta całkiem przemokła.

Spojrzawszy na siebie i niego, przymknęła na moment oczy.

- Myślę, że czas na wstyd już minął.

Ściągnęła koszulę i stanęła w słabym blasku lampki gazowej. Wyglądała niczym jakaś kształna, piękna, nieziemska bogini płodności.

Napomniął się, że jest kobietą, która zaczęła rodzić.

A on był położnikiem.

- Pomogę ci się położyć, a potem przyniosę resztę rzeczy.

Ułożył ją na łóżku, przykrył kocem i włączył gazowy kominek, który jego matka tak lubiła.

- Zaraz wracam. Aha, i skup się na oddechu, dobrze? Wdech przez nos, wydech ustami.

Czekaj... proszę. – Wsunął jej stoper w dłoń. – Wciśnij, jak się zaczniesz następny. Zmierz, ile trwa, a potem zacznij mierzyć, ile czasu upłynie do następnego.

Uwijał się jak w ukropie. Wysterylizował nożyczki, odmierzył kilka długości mocnego sznurka, wziął też miskę lodu, miskę ciepłej wody i ścierki. Wyszorował dłonie i paznokcie. Żałował, że nie pomyślał o zdobyciu gdzieś jakichś rękawic lekarskich.

Gdy przyniósł wszystko, Lana oddychała podczas skurczu.

- Są coraz mocniejsze – jęknęła. – Naprawdę mocne. Ten ostatni trwał minutę, a między jednym a drugim upłynęły cztery minuty.

– Okej. W książce piszą, że gdy zaczniesz się akcja porodowa, będę widział główkę wychodzącą... stamtąd. I powinienem... yyy... patrzeć. Przy następnym skurczu.

Oparta o poduszki spojrzała mu prosto w oczy.

- Kiedy masz urodziny?

– Urodziny?

- Muszę wiedzieć o tobie coś bardziej osobistego.

– Dziwne, ale dobrze. Drugiego czerwca.

- Jak masz na drugie imię?

Uśmiechnął się lekko.

– James.

- Pierwszy raz, kiedy uprawiałeś seks?

– Daj spokój.

– Mówię serio. Zaraz będziesz oglądał moją pochwę. – Uniosła brwi, kiedy się wzdrygnął na dźwięk tego słowa. – Jeżeli zamierzasz ją obejrzeć, nie powinieneś mieć kłopotu z jej nazwą. Zadałam ci dość niewinne pytanie.

– Miałem szesnaście lat. Nazywała się Jessica Hobbs. Obmacywaliśmy się pewnego wieczoru w moim pickupie kupionym z trzeciej ręki. Drugi raz okazał się dla nas obojga lepszy.

– W porządku. – Zerknęła na okno. – Wpuściłeś psy? Naprawdę mocno wieje.

– Tak, są w środku. Śpią w moim pokoju. Chcesz...

Uniosła się z kolejnym skurczem.

– Zaczyna się.

Zdjął koc, po czym delikatnie rozsunął jej nogi, tak że stopy opierały się o łóżko.

Nie myśl, nie reaguj – nakazał sobie w myślach. Widział przecież, jak cieleły się krowy, jak żrebiły klacze. Widział... Dobry Boże.

– Nie widzę jej jeszcze, mamy trochę czasu.

Zwilżył ściereczkę i wytarł jej spoconą twarz. Zastanawiał się, jakim cudem jeszcze nie wyginęliśmy skoro poród jest tak straszny.

Trzy szaleńcze godziny później wiedział, że musi istnieć jakiś lepszy system. Technologia, medycyna powinny były znaleźć na to jakiś sposób. Gdy skurcze stawały się coraz silniejsze i częstsze, jedną ręką ocierał jej pot, drugą zaś pozwalał jej miażdżyć mu kości, ilekroć ból osiągał apogeum.

Zgodnie z sugestiami zawartymi w książce podsuwał jej kawałki lodu, za każdym razem zbiegając po nie na dół w przerwach między skurczami. Co kilka kolejnych sprawdzał rozwarcie i zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie uprawiać seks z jakąś kobietą.

Na zewnątrz szalał wiatr. Wpatrywała się w niego zasnutymi z bólu oczami, on zaś oddychał wraz z nią. Wciąż ścisnęła jego prawą dłoń. A miała konkretny uścisk.

Mniej więcej w czwartej godzinie opadła na stos poduszek. Między jej piersiami połyskiwała wisząca na łańcuszku obrączka.

– Dlaczego ona się wreszcie nie urodzi! – zawołała.

– W książce piszą, że pierwsze dziecko rodzi się dość długo. – Nie wiedząc, co począć, odgarnął jej wilgotne od potu włosy z twarzy. – Pamiętam, jak moja mama mówiła, że rodziła mnie około dwunastu godzin.

Nie doceniał wystarczająco matki, ani trochę.

– Dwanaście? Dwanaście?

Zrozumiał, że zabrnął, gdy uniosła się i z obnażonymi zębami chwyciła go za koszulę, po czym przyciągnęła do siebie i warknęła:

– Zrób coś!

– Zachowaj spokój. Damy sobie radę.

– Damy? My? Przynieś mi cęgi, do diabła, daj cholerne cęgi. Jak ci wyszarpnę kilka zębów bez znieczulenia, to będziesz mógł mówić my. I nie mów mi, żebym zachowała spokój, ty cholerny pomyleńcu... O Boże!... O Boże, idzie!

– Oddychaj, oddychaj. No chodź, malutka. Sprawdzę, czy już widać. Oddychaj. Jasna cholera, widzę jej główkę! Widzę jej główkę. Ma włosy. – Nie wiedząc czemu zachwyciły go jej włoski i spojrzawszy na dyszącą Lanę, uśmiechnął się szeroko.

– Więc wyciągnij ją! Po prostu ją wyciągnij!

Ponownie opadła na poduszki. Zamknęła oczy.

– Naprawdę widziałeś jej główkę?

– Tak. Włosy wyglądają na ciemne. Są mokre, ale wyglądają na ciemne.

Przesunął się, zawinął trochę lodu w szmatkę i pogładził ją tym po twarzy.

– Okej, słuchaj, świetnie ci idzie. Wiem, że boli. Nie wiem, dlaczego, do diabła, musi tak bardzo boleć. Natura to marnie obmyśliła, ale zbliżamy się do końca. Dasz radę.

– Dam radę – sapnęła. – Przepraszam za tego cholernego pomyleńca.

– Nie ma sprawy. Tak się czuję.

– Ale nie jesteś i w razie, gdybym cię tak znowu nazwała – albo i gorzej – to mówię ci teraz, jesteś bohaterem. Jesteś – powtórzyła z mocą, gdy potrząsnął głową. – Potrafię ich rozpoznać. O, kurwa!

Był kiedyś na polu walki. Dowodził ludźmi, tracił ludzi, zabijał ludzi. Nic go jednak nie

przygotowało na trudy pomagania rodzącej kobiecie, która walczyła, by wypchnąć dziecko na świat.

Ukląkł na łóżku i podparł jej stopy o swoją dłoń, dając jej oparcie, gdy raz za razem parła.

Z jej zmrużonych oczu biła niezłomna wola przetrwania. Mokra od potu twarz połyskiwała. Nie krzyczała z bólu, wydawała z siebie raczej okrzyki bojowe. Gdy oblał go pot, zdarł przemoczoną koszulkę i odrzucił na bok.

Podobnie jak Lana nosił na szyi łańcuszek – medalik z wizerunkiem Archaniola Michała.

– Oddychaj i przyj. Oddychaj. – Wytarł przedramieniem pot z czoła, gdy się oparła o poduszki i zbierała siły. – Już naprawdę blisko.

Lana zwinęła się i wciągnęła głęboko powietrze. Zaczęła przeć, gdy do wyjącego wiatru dołączyło pierwsze dudnienie grzmotu.

– Idzie główka. Jezu, Lano, patrz. Widzę główkę. Nie, oddychaj tylko, nie przyj. Czekaj, oddychaj, nie przyj. Okej, tak. – Ostrożnie odsunął pępowinę z szyi dziecka. – No, to teraz reszta. Gotowa?

Łzy mieszały się z potem, gdy poddawała się bólom porodowym, patrząc, jak Simon pomaga przy wyjściu jednego ramionka, a potem drugiego.

Pokój raz po raz rozświetlały błyskawice. Wtem zapłonęły samoistnie stojące na gazowym kominku świece.

Gdy Lana wydała z siebie dziki okrzyk, dziecko wysliznęło się wprost w dłonie Simona. Zaczępnawszy powietrza, z pierwszym oddechem samo krzyknęło, jakby z triumfem.

– Mam ją. – Osłupiały, przerażony i poruszony Simon wpatrywał się w wierzące się w jego dłoniach niemowlę. – Mam ją. Wow!

– Jaka piękna! Och, czyż nie jest piękna!

Gdy Lana wyciągnęła rękę, Simon podał jej dziecko.

– I to jak. Musisz trzymać jej główkę niżej, tak podaje książka. Żeby odsączyć płyny. Umyję ją troszkę, dobrze? I musimy dbać, żeby było jej ciepło.

Śmiejąc się i płacząc, Lana przycisnęła usta do policzka niemowlęcia.

– To moje dziecko – oświadczyła. – Jest tu i jest piękna. – Gdy spojrzała na Simona, niebo przecięła błyskawica. – W twoje i moje ręce. Jest też i twoja.

Ponieważ nie był w stanie mówić, skinął tylko głową.

Ogarnianie spraw praktycznych niosło ukojenie. Musiał posprzątać po porodzie, i zanim się do tego zabrał, wstał już świt. Dziecko ssało pierś matki.

Ten widok będzie miał w głowie do końca życia.

– Co powiesz, żebym zrobił jajecznicę i przyniósł ci herbatę, której nie zdążyliśmy zrobić?

– Tak, chętnie zjem. – Pogłaskała palcem włoski dziecka. Ciemne jak u Maksa. – Nie mam słów, Simonie. Po prostu nie mam.

– Jak jej dasz na imię?

– Fallon. To jest Fallon – odparła. – Urodzona w pierwszym roku. Poczęta i ocalona przez jednego mężczyznę, przyszła na świat dzięki dłoniom drugiego. Wiem, że uhonoruje was obu. Wiem o tym.

Przyniósłszy jej jedzenie, upewnił się, że ma wszystko, czego potrzebuje i dobrze się czuje, po czym wyszedł zająć się zwierzętami. Pola mogły zaczekać.

\* \* \*

Po powrocie do nich zajrzał. Obie spały, miał więc czas na prysznic. Odkręcił kran i stojąc w strugach ciepłej wody, oparł dłonie o płytki. Usiłował połapać się w lawinie własnych uczuć.

Było ich zbyt wiele.

Przyniósł ze stodoły to, nad czym od tygodni wieczorami pracował.

Sięgając do pasa kołyskę wyciosał z sosny. Pomalował ją na ciemny, intensywny brąz.

Pchnięta dłonią lekko się zakołysała.

Dziewczynka obudziła się. Miała typowo niemowlęce ciemnobłękitne oczy, którymi wydawała się przeszywać go na wskroś.



– Hej, mały człowieczku – wyszeptał. – Wyglądasz, jakbyś wiedziała o wszystkim, co się dzieje dookoła, i nie tylko. Złapię kilka godzin snu. Więc...

A co, jeżeli będą go potrzebowały?

Wzruszył ramionami i wyciągnął się na łóżku koło Lany.

Odpywając w sen, pomyślał, że jeżeli będą go potrzebowały, to będzie obok. Dziecko zakwiliło, więc otworzył oczy.

– Nie budź jej, dobrze? – Niezdarnie poklepał pupkę niemowlęcia. – Na jej miejscu spałbym miesiąc.

Kiedy znów zakwiliła i zaczęła się wiercić, przesunął się.

– No dobrze, spróbujemy inaczej. – Podniósł ją, a kiedy zwinęła się na jego piersi, pogładził jej plecki. – Tak, teraz dużo lepiej. Dużo lepiej. Moja dziewczynka.

Kiedy zamknął oczy, Fallon przyglądała mu się uważnie. Znała go.

## EPILOG

W ostatnim dniu pierwszego roku Lana stała przy oknie, obserwując, jak pada lekki, malowniczy śnieg. Przytulała Fallon i zastanawiała się, co przyniesie nowy rok.

Dwanaście miesięcy temu była z Maksem na imprezie w SoHo, piła wino, śmiała się, tańczyła, podczas gdy na Times Square zgromadziły się tysiące osób, aby świętować nadejście nowego roku.

Często myślała o Maksie. Wystarczyło tylko spojrzeć na Fallon, na jej już gęste, kruczoczarne włosy, na oczy powoli zmieniające kolor z niemowlęcego błękitu w przydymioną szarość.

Ból serca zelżał, a dziecko było częścią gojenia się ran.

Podobnie jak Simon, o czym dobrze wiedziała.

Tak samo, jak zdawała sobie sprawę z jego uczuć do niej, z jego bezsprzecznej miłości do dziecka.

Zakończy ten rok, ten pierwszy rok, pamięcią o mężczyźnie, którego kochała, wspomnieniami, które zawsze będą jej drogie. I zacznie następny, oddając serce mężczyźnie, którego zaczęła kochać.

– Ty nas łączysz, kochanie. – Musnęła ustami włosy Fallon. Uniosła wysoko dziecko, które zaczęło gaworzyć i machać nóżkami. – Jesteś wszystkim.

Usłyszała szczekanie psów. Opuściła dziecko i dostrzegła mężczyznę jadącego konno drogą w stronę ich domu.

Pierwszą reakcją był strach. Czy już zawsze tak będzie?

Pobiegła po zrobione przez siebie nosidełko, włożyła do niego Fallon i mając wolne ręce, sięgnęła po strzelbę. Gotowa do ochrony i obrony, patrzyła, jak Simon idzie w kierunku jeźdźca.

Mężczyzna zsiadł z konia. Miał na sobie długi, ciemny płaszcz, trzymał lejce gniadego konia w dłoni odzianej w rękawiczkę. Nie nosił kapelusza, na jego falujące włosy padał śnieg. W brodzie, przystrzyżonej i równie ciemnej co włosy, widać było białe pasmo.

Rozmawiali. Simon spojrział na dom, po czym zostawił mężczyznę stojącego w śniegu wraz z koniem.

– Kim on jest? – zapytała Lana, gdy Simon otworzył drzwi wejściowe. – Czego chce?

– Powiada, że nazywa się Mallick. Przybył oddać hołd Jedynej i jego matce i nie wejdzcie bez twojego zaproszenia. Twierdzi, że ma ci coś do powiedzenia. Nie jest uzbrojony.

– Wie o dziecku?

– Wiedział, kiedy się urodziła, Lano. Znał godzinę. Zna jej imię. Mówi, że jest jej zaprzysiężony. Wierzę mu. – Simon wyjął z jej rąk strzelbę. – Ale powiem mu, żeby odszedł, jeśli nie chcesz z nim rozmawiać.

– Ma moc – odparła. – Czuję to. Odślania się przede mną, pozwalając mi poczuć moc, żebyśmy zrozumiała, że nie użyje jej do wyrządzenia krzywdy. Wołałabym nie musieć z nim rozmawiać. Wołałabym, żeby Fallon pozostała tylko dzieckiem, moim dzieckiem. Ale...

Lana podeszła do drzwi i wyjrzała.

– Proszę, wejdź.

– Dziękuję ci. Czy jest miejsce, w którym mój koń mógłby odpocząć od niepogody? Przebyliśmy długą drogę.

– Zajmę się tym. – Simon musnął dłonią włosy Fallon i uścisnął ramię Lany, żeby dodać jej otuchy. – Nikt jej nie skrzywdzi.

– Przyrowadź go do kuchni. Zrobię mu coś do jedzenia.

Podgrzała zupę, zrobiła herbatę, pokroiła chleb. I zebrała się w sobie, gdy Simon wprowadził Mallicka do środka.

– Błogosławionaś ty – pozdrowił ją Mallick. – I światło, które przyniosłaś światu.

– Jest jedzenie.

– I życzliwość. Mogę usiąść?

Skinęła głową, ale cały czas jedną ręką obejmowała opiekuńczo dziecko, które miała w nosidełku.

– Skąd wiesz o mojej córce?

– Jej przyście zostało zapisane w tekstach, pieśniach, przepowiedniach. Rok temu od dziś, gdy krew przeklętych zbezczeszczyła świętą ziemię, materia została rozerwana, a szale przechylone. Nastąpiło oczyszczenie, a magia kontratakuje. Nie masz się czego obawiać z mojej strony.

– Dlaczego więc się boję?

– Jesteś matką. Która matka nie boi się o swoje dziecko, zwłaszcza gdy ma wskazówki co do jego przyszłości. Mogę zjeść? Pościłem trzy dni na cześć Jedynej.

– Tak. Przepraszam.

– Tu, proszę siadać. – Simon wyjął Fallon z nosidełka. Natychmiast zwróciła ku niemu twarz i gaworząc, pociągnęła go za włosy. Potem spojrzała z powagą na Mallicka.

– Wciąż pamięta fragmenty z czasu oczekiwania i widzi część tego, co ma nadejść – oznajmił Mallick. – Zna te wszystkie miejsca i czasy tak samo jak terazniejszość. Ty też to widzisz – rzekł do Lany.

Czując ciężar przeznaczenia, kobieta usiadła.

– Czy nie ma dla niej wyboru?

– Czekają ją wiele wyborów, podobnie jak nas wszystkich. Gdyby Max zdecydował się ruszyć na północ zamiast na południe, gdybyś ty zdecydowała się zostać, zamiast myśleć przede wszystkim o dziecku i swoich przyjaciółach, gdyby Simon kazał ci odejść, wszyscy bylibyśmy zupełnie gdzie indziej. Jesteśmy jednak tutaj, a ja kończę post tą doskonałą zupą.

Jedząc, przyglądał się Fallon.

– Będzie wielką pięknoscią – zauważył – co rzecz jasna nie jest kwestią wyboru.

Odziedziczyła po tobie wiele cech, podobnie jak po swoim biologicznym ojcu. Nauczysz ją tego, co wiesz, tak samo jak nauczy ją jej faktyczny ojciec. Tak jak ja, gdy nadejdzie czas.

– Ty?

– To moje zadanie. I mój wybór. Pozwól, że cię wpierw pocieszę. Przez trzynaście lat będzie bezpieczna. Będą na nią polować, będą przeczesywać ziemię, ale jej nie znajdą. Kiedy znów mnie ujrzysz, będziesz musiała mi ją powierzyć na dwa lata.

– Nie...

– To będzie twój wybór, ale i jej. Dwa lata, bym nauczył ją tego, co wiem, wyszkolił ją do jej misji, by stała się tym, kim ma się stać. Świat będzie wówczas płonął i krwawił. Niektórzy będą budować, inni niszczyć. O ileż łatwiej jest rozrywać, niż cerować. Lat dalszych, poza tymi, nim będzie gotowa, nim ujmie w dłonie miecz i tarczę, nie widzę. Ale bez niej i bez tych, których poprowadzi, cierpienie będzie niezmiernie.

– A jeśli powiemy nie? – zapytał stanowczo Simon. – To co wtedy?

– Macie trzynaście lat na rozważenie i podjęcie decyzji. Na to, żeby się do niej przygotować. Podobnie jak ona. Mam dla niej dary. – W jego dłoni pojawiła się nagle czysta, biała świeca. – Tylko ona może ją zapalić, poprowadzi ją ona przez ciemność. – Postawił ją i ponownie otworzył dłoń. Tym razem miał w niej kryształową kulę. – Tylko ona może zobaczyć, co się w niej kryje, a kula ta pokaże jej drogę. – Postawił ją obok świecy. – I... – Wyczarował różowego misia. – Nie wszystko musi być obowiązkiem. Mam nadzieję, że przyniesie jej pociechę i radość. Wiedz, że zawsze będzie miała mój miecz, moją pięść, moją moc. Jestem zaszczycony, będąc nauczycielem i obrońcą Fallon Swift. Dziękuję za jedzenie.

I zniknął.

Simon, wciąż stojąc z dzieckiem w objęciach, zrobił krok do tyłu.

– Hmm... On właśnie... Kto tak robi? Potrafisz coś takiego?

– Nigdy nie próbowałam.

– Może nie próbuj. I mimo tego zniknięcia nikt nam jej nie zabierze, jeżeli każemy mu spadać. Nikt nas nie zmusi, żebyśmy oddali ją jakiemuś czarodziejowi na kilka lat, żeby urządził jej

magiczny obóz treningowy.

– Wiedziałaś, kiedy ją nosiłam – mruknęła Lana. – Ona wiedziała. Trzynaście lat. Będzie bezpieczna.

– Będę dbał o jej bezpieczeństwo każdego dnia.

– Wiem o tym. – Wstała i odwróciła się do niego. – W dniu, w którym się urodziła, obudziłam się, a ty spałeś obok mnie, wyczerpany, i trzymałeś ją. Wtedy już wiedziałam. Zrobiłeś dla niej własnymi rękami kołyskę, myślałeś o niej, jeszcze zanim się urodziła. I wiedziałam.

Nazwał ją Fallon Swift. Dasz jej swoje nazwisko?

– Ja... pewnie. Dałbym jej wszystko, ale...

– Kochałam Maksa. I ona też go będzie kochała. Opowiem jej o nim wszystko, co będę mogła.

– Oczywiście, że powiesz.

– Co mnie tu przywiodło, Simonie? Czy to ona? – Podeszła bliżej, uśmiechając się, gdy Fallon złapała ją za palec i usiłowała go ugryźć. – Czy to ja? Czy Max, który kierował mnie ku człowiekowi, który będzie nas kochał i chronił? Komu mógłby zaufać i kogo szanować. A może to wszystko działo się naraz. A może to coś w tobie nas tu ciągnęło. Ty też jesteś jej ojcem. Ojcem, który uspokaja ją w nocy, który nauczy ją chodzić i mówić. Który będzie się o nią martwił, będzie z niej dumny. Ma szczęście mieć dwóch dobrych mężczyzn za ojców. Nosi imię po Maksie. Chciałabym, żeby nosiła także twoje.

– Już je nosi. – Dławiły go emocje. – Z dumą je jej daję.

– Fallon Swift. – Lana zdjęła łańcuszek z obrączką Maksa z szyi. – Zostawię to dla niej. – Położyła biżuterię obok prezentów i zdjęła obrączkę z lewej dłoni, po czym wsunęła na prawą. – A to... Będę nosić na cześć mężczyzny, którego kochałam. Czy możesz się z tym pogodzić?

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

Pomyślała, że on jej nie dotknie, nie przekroczy tej granicy, bo rozumiał, czym jest honor. Bo żył honorowo.

Dotknęła więc go pierwsza, przekroczyła tę linię, wstając, położyła dłoń na jego policzku i pocałowała go w usta.

– Mam szczęście, że byłam kochana i kochałam dobrego człowieka. Mam szczęście kochać i być kochaną przez innego. Kochasz mnie?

Fallon przytuliła główkę do jego ramienia, a Simon nie wiedział, co począć.

– Myślę, że od chwili, gdy cię przyłapałem z jajkiem w ręku. Mogę poczekać... – zaczął, ale znów zamknęła mu usta pocałunkiem.

Tym razem, nie zważając, że rozdzielało ich dziecko, przyciągnął ją do siebie i już się nie hamował.

– Rok się kończy – oznajmiła. – Straszny, cudowny, gorzki i radosny rok. Następny chcę zacząć przy tobie. Czekać na wszystkie następne z tobą. Być twoją rodziną.

Ogarnęła ją radość, kiedy ją przytulił, i błogosławione ciepło, gdy ich usta znów się spotkały. Radość życia.

Między nimi, gaworząc, wierciło się dziecko. Rozradowane.

I machnięciem dłoni zapaliło świecę.

[1] Przełożyła Małgorzata Szercha.

[2] Nawiązanie do pierwszej linijki piosenki Franka Sinatry: *Start spreading the news*, oraz – poniżej (następne zdanie w dialogu) – do refrenu: *If I can make it there* (przyp. tłum.).

[3] Herbata parzona przez kilka godzin w letniej wodzie na słońcu (przyp. tłum.).

[4] Wj 22:17.

## *SPIS TREŚCI*

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Epilog

Tytuł oryginału: Chronicles of the One. Year One

Copyright © 2017 by Nora Roberts

Copyright for the Polish Edition © 2018 Edipresse Polska SA

Copyright for the Translation © 2018 Magdalena Rabsztyn-Anioł

Edipresse Polska SA

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska

Redaktor inicjujący: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51), Barbara Tekiel (tel. 22 584 25 73),

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Ewdokia Cydejko

Korekta: Iwona Sośnicka, Jolanta Kucharska

Projekt okładki: [www.blacksheep-uk.com](http://www.blacksheep-uk.com)

Zdjęcia na okładce: Shutterstock

Skład i łamanie: Tomasz Pisarek / [tom@pisarek.xyz](mailto:tom@pisarek.xyz)

Biuro Obsługi Klienta

[www.hitsalonik.pl](http://www.hitsalonik.pl)

mail: [bok@edipresse.pl](mailto:bok@edipresse.pl)

tel.: 22 584 22 22

(pon.–pt. w godz. 8.00–17.00)

[www.facebook.com/edipresseksiazki](http://www.facebook.com/edipresseksiazki)

[www.instagram.com/edipresseksiazki](http://www.instagram.com/edipresseksiazki)



ISBN 978-83-8117-149-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

